



1840

1840





335158
JOHN GALSWORTHY

1886/II
t.I
SAGA RODU
FORSYTÓW

I.

POSIADACZ

PRZEKŁAD

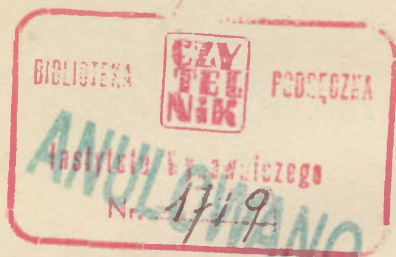
R. CENTNERSZWEROWEJ

1930 *braly*

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”
WARSZAWA



495900



Ż O N I E M O J E J

poświęcam całość „SAGI FORSYTÓW“
uważając to ze wszystkich
dzieł moich za najmniej niegodne,
bowiem gdyby nie żony mojej współczucie, zachęta
i krytycyzm,
nie byłbym nigdy został takim nawet
pisarzem, jakim jestem.

PRZEDMOWA

Tytuł ogólny „Saga Rodu Forsytów“ przeznaczony był pierwotnie dla części, noszącej obecnie tytuł „POSIA-DACZ“; decyzję nazwania tem mianem zbiorowej kroniki rodu Forsytów spowodowała forsytowska uporczywa żywotność, tkwiąca w każdym z nas. Przeciwno nazwie „Saga“ przemawiać mogłoby łączenie z tem pojęciem pierwiastka bohaterskiego, zaś na kartkach niniejszych niewiele znaleźć można bohaterstwa. Wyraz ten wszelako użyty jest z rozmyslną ironją; w długiej tej opowieści, mimo że mamy w niej do czynienia z osobistościami w tużurkach, w sukniach z falbanami oraz z okresem złoconych kantów, nie brak w rezultacie zasadniczego żaru konfliktów. Niezależnie od gigantyczności postaci i krwiożerczości dawnych czasów, jakimi przekazały nam je czarodziejskie baśnie i legendy, byli bohaterowie dawnych Sag tak samo Forsytami w swoim instynkcie władania i tak samo mało odpornymi na wpływ piękna i miłości, jak Swithin, Soames, a nawet Jolyon młodszy. O ile też heroiczne postacie w nigdy nieistniejących czasach zdają się wyrastać ponad ramy swojego otoczenia w sposób, jaki nie przystoi Forsytowi z ery wiktoriańskiej, przyjąć możemy za pewnik, że instynkt rodowy był wówczas nawet siłą górującą i że „rodzina“, „poczucie ogniska domowego i własności“ — pomimo czynionych ostatnio usiłowań „wyperswadowywania“ tych uczuć — rozstrzygały tak samo o wszystkim wówczas, jak rozstrzygają dzisiaj.

Tak wielu pisało i dowodziło, jakoby ich rody właśnie były pierwowzorami Forsytów, że możnaby nieomal uwierzyć w typowość tego gatunku. Obyczaje zmieniają się, urabiają się mody, i dom „Tymoteusza przy Bayswater-Road“ staje się gniazdem nieprawdopodobieństwa we wszystkim z wyjątkiem jego cech zasadniczych; nie spotkamy się już z podobnym mu, może również z nikim takim jak James czy stary Jolyon. A jednak przekonywają nas codziennie cyfry podawane przez Towarzystwa Ubezpieczeń, a także wyroki sędziów, że nasz raj ziemski, do którego wkradają się dzicy tacy najeźdźcy, jak Piękno i Miłość, porywający nam z przed nosa poczucie bezpieczeństwa — kryje w sobie jeszcze bogate skarby. Tak samo niewątpliwie jak pies odpowie szczekaniem na brzęk łańcucha, na który próbujemy go związać, tak samo opornie przeciwstawi się, tkwiący w naturze ludzkiej, prawdziwy Soames sile rozkładowej, czyhającej dokoła granic jego posiadania.

„Niech zamarla przeszłość grzebie swoich zmarłych“ — lepszym byłoby powiedzeniem, gdyby przeszłość mogła zamierać kiedykolwiek. Trwanie przeszłości w dalszym ciągu jest jednym z owych tragikomicznych błogosławieństw, któremu przeczy każde nowe stulecie, występujące z mурowaniem niewątpliwą pewnością na widownię dziejów, aby dać wyraz swoim domaganiom się czegoś najzupełniej nowego. Żaden wiek jednak nie jest tak zupełnie nowy! Natura ludzka pod zmienną postacią uroszczeń swoich i zewnętrznego swojego stroju, ma i zawsze będzie miała w sobie bardzo wiele z Forsyta, mogłaby jednak ostatecznie być dużo gorszym tworem.

Zwracając się okiem wstecz ku stuleciu wiktoriańskiemu, którego rozkwit, zmierzch i upadek odzwierciadlony jest w pewnej mierze w „Sadze rodu Forsytów“, widzimy, że

wpadliśmy bodaj z deszczu pod rynnę. Trudno byłoby uzasadnić twierdzenie, jakoby stan rzeczy lepszym miał być w Anglii w 1913 aniżeli w 1886, w dobie zgromadzenia się Forsytów u starego Jolyona z racji zaręczyn Juny z Filipem Bosinney'em. A w roku 1920, kiedy rodzina zgromadziła się ponownie celem asystowania przy obrzędku zaślubin Fleur z Michelem Mont'em, jest Anglja napewno tak samo nad miarę spróchniała i zbankrutowana, jak była nadmiernie zeskorupiała i dającą zbyt niskie odsetki w dziewiątym dziesiątku ubiegłego stulecia. Gdyby kronika niniejsza miała charakter naukowego studjum historii rozwoju, należałoby położyć nacisk na takie czynniki, jak wynalezienie roweru, samochodu i samolotu, powstanie taniej prasy codziennej, zanik życia wiejskiego i rozrost miast, wreszcie na narodziny kinematografu. Ludzie są istotnie zupełnie niezdolni do kontrolowania własnych swoich wynalazków; w najlepszym razie wyrabiają w sobie zdolność przystosowywania się do nowych, wytworzonych przez te wynalazki, warunków.

Długa ta opowieść nie jest jednak naukowem studjum danej epoki; zadanie jej polega raczej na unaocznieniu zamętu, jaki sieje Piękno w życiu ludzi.

Postać Ireny, która — jak to zapewne zdołał czytelnik zauważyć — nigdy nie występuje bezpośrednio, tak że obecność jej daje się jedynie stwierdzić na podstawie odczuwań innych ludzi, jest wcieleniem oszalamiającego Piękna, wywierającego niepokojący wpływ na świat posiadaczy.

Zauważono, że czytelnicy, brnący przez słone wody Sagi, stają się coraz bardziej skłonni do litowania się nad Soamesem, przyczem wyobrażają sobie, że, czyniąc tak, buntują się przeciwko nastrojowi, jaki chciał wywołać jego

twórca. Nic podobnego! I on sam również lituje się nad Soamesem, którego tragizm życiowy jest najzwyczajszą, niezależną od woli ofiary, tragedją osobnika, niewzbudzającego miłości, zarazem jednak niedość gruboskórnego, aby nie miał zdawać sobie dokładnie sprawy z tego faktu. Nawet Fleur nie kocha Soamesa tak, jak czuje on, że powinien być kochanym. Litując się wszelako nad Soamesem, gotowi są może czytelnicy wrogo ustosunkować się do Ireny. Uważają oni, że Soames nie jest przecież złym człowiekiem; że nie jego było to winą; że Irena powinna była mu wybaczyc, i tak dalej i tym podobne! Zajmując takie względem niej stanowisko, tracą oni z oczu tę prostą, leżącą u podstawy całej opowieści prawdę, że tam, gdzie jedno z obojga skojarzonych pozbawione jest najkompletniej siły przyciągania płciowego, niezdolna jest żadna litość, żaden głos rozsądku, żadne poczucie obowiązku przewyciężyć wstręt, tkwiącego w Naturze. Czy tak być powinno, nie wchodzi tutaj wcale w rachubę, ponieważ faktycznie wcale nie wchodzi. I tam, gdzie Irena wydaje się surową i okrutną — jak w scenie w Bois de Boulogne, czy w Galerji Goupenor — jest ona tylko rozumna trzeźwą, gdyż wie dobrze, że najdrobniejsze z jej strony ustępstwo będzie ową kroplą, poprzedzającą niemożliwy, ohydny strumień:

Krytykując ostatnią fazę Sagi, możnaby mieć żal o to, że Jolyon i Irena — ta para buntowników przeciwko wszelkiemu władaniu — domagają się jednak duchowych praw własności do syna swojego, Jona. Byłoby to jednak zaprawdę nadmiernem już krytykowaniem opowiedzianej historii. Żaden bowiem ojciec i żadna matka nie mogliby pozwolić chłopcu poślubić Fleur bez zapoznania go z faktami, i fakty też, a nie perswazje rodziców, wpływają na de-

cyzję Jona. Co więcej, Jolyon perswaduje nie przez wzgląd na siebie, ale na Irenę, która swoją znów perswazję streszcza w powtórzonym parokrotnie zdaniu: „Nie myśl o mnie, myśl o sobie!“ To, że Jon, znający fakty, zdaje sobie sprawę z uczuć swojej matki, nie może uchodzić za uzasadniony dowód, jakoby miała ona być pomimo wszystko Forsytką.

Jakkolwiek jednak oddziaływanie Piękna i żądzy Swobody na świat posiadania najgłówniejszem jest założeniem Sagi rodu Forsytów, nie może ona być zwolniona od ciężącego za niej zadania, jakim jest trwale zabalsamowanie wyższych sfer stanu średniego. Podobnie jak starożytni Egipcjanie kładli obok swoich mumij przedmioty potrzebne im w przyszłym ich życiu, usiłowałem i ja umieścić obok postaci Ciotki Anny, Juli i Hester, Tyma, Swithina, starego Jolyona, Jamesa i ich synów to, co im zapewnić może ślad życia na przyszłość: trochę balsamu, który dopomoże im do trwałego utrzymania się w gorączkowo zapędzonym królestwie rozkładowego czynnika — „Postępu“.

Jeśli wyższa warstwa średnia wraz z innymi klasami społecznymi skazana być ma na przejście w stan amorfizmu, macie ją tutaj przechowaną pod szkłem na tych stronicach, aby mogli oglądać ją wszyscy, wążający się po rozległym bezdrożu muzeum Literatury. Spoczywa ona tutaj, zakonserwowana we własnej swojej treści: Poczuciu własności.

John Galsworthy.

CZEŚĆ I

... Odpowiecie
Niewolnicy są nasi ...
Kupiec Wenecki

ROZDZIAŁ I.

PRZYJĘCIE U STAREGO JOLYONA

Uprzywilejowani, którzy dostąpili zaszczytu uczestniczenia w rodzinnej uroczystości Forsytów, mieli możliwość oglądania czarującego i pouczającego widoku rodziny, należącej do wyższego mieszczaństwa, w pełni upierzenia. Ktokolwiek wszelako z tych uprzywilejowanych posiadał dar analizy psychologicznej (talent pozabawiony wartości pieniężnej, tem samem nieznanym Forsytom), był świadkiem widowiska, nietylko cudownego samo przez się, ale rzucającego światło na jedno z zawitych zagadnień rodu ludzkiego. Mówiąc poprostu, to zgromadzenie rodziny, której ani jedna odnoga nie lubiła innej, wśród której nie było trzech członków, złączonych uczuciem godnem miana sympatji, mogło służyć mu za dowód niepojętej owej, spoistej solidarności, czyniącej rodzinę tak potężną jednostką społeczną, tak wyraźnem odtworzeniem społeczeństwa w minjaturze. Przed świadkiem tym odsłaniała się wizja mrocznych dróg rozwoju form społecznych, umożliwiająca mu zrozumienie życia patryjarchalnego, rojenia się dzikich hord, powstawania i upadku narodów. Był on w położeniu człowieka, który, mając możliwość obserwowania rozwoju drzewa od momentu jego zasadzenia (wymownego tego przykładu krzepkiego wrastania, utrwalania się i pomyślnego bytowania wpośród śmierci innych roślin, nie tak trwale zakorzenionych, mniej chłonnych i odpornych), mógłby zarazem oglądać rozkwit tego samego drzewa w pełni so-

czystego jego ulistwienia, w bujności jego nieomal odrażającej, u szczytu pysznego jego rozrostu.

Dnia 15 czerwca 1886, około czwartej po południu, osobnik, szczęśliwie obecny w siedzibie starego Forsyta w Stanhope Gate, mógł mieć możność obserwowania najwyższego rozkwitu rodu Forsytów.

Zebranie rodzinne miało na celu uczczenie zaręczyn panny Juny Forsytc, wnuczki starego Jolyona z panem Filipem Bosinney'em. W olśniewającej świetności jasnych rękawiczek, barwnych kamizelek męskich i pstrych sukien damskich zgromadziła się cała rodzina — nawet ciotka Anna, rzadko już teraz ruszająca się z zacisznego kącika w zielonym salonie brata jej, Tyma, gdzie, pod osłoną pióropusza zeschłych traw w jasnoblękitnym wazonie, siedziała cały dzień z książką albo ręczną robotką, w otoczeniu wizerunków trzech pokoleń Forsytów. Tak, stawiała się nawet i ciotka Anna. Jej sztywno wyprostowana, hieratyczna postać i dostojność zastygłej w spokoju starczej twarzy uosabiała nieugięte wcielenie idei rodziny.

Ilekroć zaręczał się, zenił, czy wychodził za mąż, albo rodził się ktokolwiek z Forsytów — stawiali się niezmiennie wszyscy Forsytowie. Ilekroć umierał ktoś z Forsytów — ale żaden z Forsytów nie umarł jeszcze dotychczas; Forsytowie nie umierali; śmierć była niezgodna z ich zasadami, uzbierali się też przeciwko niej, przedsięwzięli instynktownie środki ostrożności, naturalne u ludzi, posiadających wielką siłę żywotną i nieznoszących zamachu na swoją własność.

Forsytowie, zmieszani tego dnia z tłumem innych gości, wyróżniali się sztywniejszą jeszcze niż zazwyczaj wyniosłością, czujną, badawczą stanowczością i uroczystym dostojenstwem, jakgdyby zwarli się w szyk obronny. Tymas przezornej nieufności, cechujący twarz Soamesa

Forsyta, znalazł dzisiaj odbicie na obliczach wszystkich Forsytów. Cała rodzina sprężyła się na straży.

Podświadoma obraźliwość zachowania się ich wszystkich uczyniła z przyjęcia u starego Jolyona moment psychologiczny historii rodu, stała się zaczątkiem jej dramatu.

Forsytowie byli czemś dotknięci; nie każdy Forsyte poszczególnie, ale Forsytowie jako całość, jako rodzina. Uzewnętrzniało się to w doskonalszym jeszcze niż zwykle nieposzlakowaniu stroju, w spotęgowanej wylewności uczuć rodzinnych, w wyolbrzymieniu dostojności rodu i... w pogardliwym grymasie wietrzenia czegoś zagrażającego. Forsytowie wietrzyli to, co nieuchronnie wydobywa najaw zasadnicze rysy każdej zbiorowości społecznej, grupy czy osobnika — wietrzyli niebezpieczeństwo. Przewidywanie niebezpieczeństwa nadawało tarczy ich wzmożony błysk świetności. Po raz pierwszy ujawniali oni, jako rodzina, instynktowne poczucie zetknięcia się z czemś obcem, z czemś, co im zagraża.

Oparty o fortepian mężczyzna okazałej postawy opancerzył potężną swoją pierś dwiema kamizelkami z wtkniętą w nie rubinową szpilką, zamiast, jak przy pospolitszych okazjach, jednej, atlasowej, z szpilką djamentową. Wylaniająca się z ponad jedwabistych tych przepychów gładko ogolona, kwadratowa, starcza, blada jego twarz barwy wyblakłej skóry jaśniała szczególnie uroczystym dostojenstwem. Był to Swithin Forsyte. Tuż przy oknie, gdzie był większy niż w całym salonie dostęp świeżego powietrza, bliźniak jego, James (obaj, zarówno gruby Swithin, jak chudy James, byli braćmi starego Jolyona) mierzący, tak samo jak Swithin, zgórą sześć stóp wzrostu, ale bardzo szczupły, jakgdyby od urodzenia już przeznaczyła go natura do utrzymania równowagi w rodzinie, siedział w zwykłej swojej, pochylonej na-

przód pozie. W szarych jego oczach tkwił wyraz skupionej tajnej troski. Zrzadka tylko ogarniały one nagłym, badawczym błyskiem całe otoczenie. Policzki jego złożyły dwie równoległe, podłużne bruzdy, czyniąc je jeszcze chudsze; długą, starannie ogoloną górną jego wargę okalał po obu stronach zarost bokobrodów. W palcach obracał na wszystkie strony porcelanową filiżankę. W pobliżu, słuchając, co mówi do niego ubrana na brązowo dama, siedział, blady, ciemnowłosy i równie starannie ogolony, syn jego, Soames, podciągając do góry podbródek i marszcząc nos owym wspomnianym już uprzednio grymasem pogardliwej nieufności, jakgdyby w ujemnej ocenie jajka, o którym wiedział naprzód już, że nie będzie go mógł strawić. Siedzący poza nim jego stryjeczny brat, wysoki George, syn piątego Forsyta, Rogera, miał drwiący wyraz w rysach mięsistej twarzy, jakgdyby obmyślał jeden ze zwykłych sardonicznych swoich dowcipów.

Wszystkich ogarnął związany z wydarzeniem dnia niezwykły nastrój.

Rzędkiem, jedna tuż przy drugiej, zasiadły trzy panieciotki: Anna, Hester (obie stare panny, które tem samem zachowały rodowe nazwisko Forsytów) i Julia — zdrobniale od imienia Julji — która we wczesnej młodości zapomniała do tego stopnia, co winna była swojemu rodowi, że poślubiła Septimusa Halla, człowieka nader wątlej konstytucji. Przeżyła go też o wiele lat. Wraz z młodszą i starszą swoją siostrą mieszkała teraz w domu szóstego i najmłodszego ich brata, Tymba, na Bayswater Road. Każda z tych pań trzymała wachlarz w ręce i każda barwnym jakimś szczegółem stroju, odświeżnym piórem czy broszą podkreślała uroczysty charakter zebrania.

W środku pokoju, pod świecznikiem, stał, jak przystoi gospodarzowi domu, sam stary Jolyon, głowa rodu For-

syków. Osiemdziesięcioletni starzec miał, dzięki swojej pięknej, srebrno-siwej głowie, wypukłemu, sklepionemu czole, małym ciemno-szarym oczom i ogromnym, siwym, rozłożysto opadającym poniżej silnie zarysowanej szczęki wąsom, wygląd patryjarchalny. Pomimo jednak wychudłej twarzy i zapadłych skroni, zdawał się zachowywać wciąż jeszcze niespożyte siły młodości. Trzymał się niezmiernie prosto, a przebiegle, bystre jego oczy nie utraciły nic z dawnego swojego blasku. Tem wytłumaczyć się dała niechęć i nieufność w stosunku do niego ludzi drobniejszej postaci, na których wywierał wrażenie wyższości. Rządząc się w ciągu nieskończonego szeregu lat własną wolą, zdobył sobie usankcjonowane przez czas prawo do niej. Nigdy też nie przyszłoby staremu Jolyonowi na myśl, że należy przybrać nieufny czy obronnie wyzywający wyraz twarzy.

Pomiędzy nim a czterema obecnymi jego braćmi: Jamesem, Swithinem, Mikołajem i Rogerem, wiele zachodziło podobieństwa i wielkie też dzieliły ich różnice. Każdy z tych braci znacznie różnił się od innych, mimo to wszyscy wzajem byli do siebie podobni.

Odmienne rysy pięciu tych twarzy i odrębność wyrazu każdej z nich znaczyła wspólna cecha stanowczości, ujawniona w energicznym zarysie podbródka, stanowiąca wspólny podkład powierzchownych odrębności i nadająca wszystkim charakterystyczne piętno rasowe, sięgające zbyt zamierzchłej przeszłości, aby można było zbadać jego powstanie, zbyt odległe i ustalone, aby podlegać mogło dyskusji — istny stempel urzędowy, a zarazem najpewniejsza gwarancja pomyślności rodu.

To samo piętno, może nieco mniej wyraziste, ale niezaprzeczone, znak czegoś niedającego się wyplenić z duszy rodu, cechowało młodsze pokolenie, zarówno w osobie George'a o turzej twarzy oraz bladego, dzielnego Archibalda, jak i młodego Mikołaja z jego łagodną, ba-

dawczą uporczywością i wreszcie pełnego powagi i tępej determinacji Eustachego.

W ciągu omawianego popołudnia wszystkie te twarze, tak różne i równocześnie tak podobne, zdradzały wyrazem swoim nieufność skierowaną niewątpliwie do osobnika, którego poznanie było właściwym celem zgromadzenia się ich tutaj.

O Filipie Bosinney'u wiadomo było, że jest młodym człowiekiem bez majątku, ale dziewczęta z rodu Forsytów zaręczały się dawniej już z niezamożnymi chłopcami i wychodziły za nich za mąż. Nie ten fakt też nadewszystko wzbudzał wątpliwości w umysłach członków rodziny. Bodaj, że sami oni nie umieliby wyjaśnić powodu nieufności, kryjącego się we mgle ploteczek rodzinnych. Jeden tylko szczegół nie ulegał kwestji, fakt złożenia przez młodego człowieka ceremonjalnej wizyty ciotkom: Annie, Juli i Hester, w miękkim szarym kapeluszu — w miękkim, szarym kapeluszu, nie nowym w dodatku! — w zdefasonowanym nakryciu głowy ze zmiętem rondem.

— Jakie to dziwne, moja droga — jakie niezwykle!

Ciotka Hester, przechodząc przez mały, ciemny przedpokój (miała nieco krótki wzrok) chciała strącić niešťśliwy kapelusz końcem bucika ze stolka, przyjąwszy go za obcego, wylinialego, natrętnego kota. — Tommy miewał takich, nieprzynoszących mu zaszczytu przyjaciół.

Sploszona była, widząc, że mniemany kot nie porusza się z miejsca.

Jak artysta doszukuje się zwykle znamiennego drobnego szczegółu, będącego niejako wcieleniem zasadniczego charakteru danej sceny, miejsca czy osoby, tak samo bezwiedni ci artyści — Forsytowie — intuicyjnie uczepili się owego kapelusza. Był on dla nich znamiennym szczegółem, streszczającym w sobie właściwy sens i istotę całej sprawy; każdy też z nich zadawał samemu sobie pytanie:

— Czy ja sam złożyłbym takiego rodzaju wizytę w takim kapeluszu?

I każdy też odpowiadał na to pytanie przecząco, a niektórzy, obdarzeni bujniejszą od innych wyobraźnią, dawali:

— Nie, nie przyszłoby mi coś podobnego nigdy do głowy!

George, usłyszawszy opowiadanie o miękkim, szarym kapeluszu, wyszczerzył zęby w rodzaju uśmiechu. Kapelusz najwidoczniej włożony był umyślnie, na żart! On sam znał się najlepiej na podobnych kawałach.

— Co za impertynencja! — rzekł. — Pirat!

I to słówko: „pirat!“ przechodzić zaczęło z ust do ust, stając się stopniowo ulubionym sposobem określania Bosinney'a.

Ciotki zrobiły Junie zarzut z powodu nieszczęsnego kapelusza.

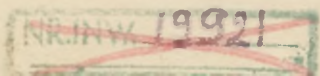
— Nie powinnaś mu była pozwolić, moja droga! — zdecydowały.

Juna odpowiedziała po swojemu ostro i hardo — była wcieleniem samowoli.

— O, a cóż to szkodzi? Fil nie wie nigdy, co ma na sobie!

Zuchwałej tej odpowiedzi nie mógł nikt dać wiary. Człowiek, który nie wie, co ma na sobie?! Nie, nie! To niepodobna!

Kim właściwie jest ten młodzieniec, któremu tak świetnie udało się zaręczyć z Juną, uznaną dziedziczką starego Jolyona? Wiedziano, że jest z zawodu architektem; nie stanowi to jednak samo przez się wystarczającej racji noszenia podobnego kapelusza. Wśród Forsytów nie było ani jednego architekta, jeden z nich wszelako znał osobiście architekta, który nigdy nie powazyłby się złożyć w takim kapeluszu oficjalnej wizyty podczas londyń-



skiego sezonu. Jest w tem coś niebezpiecznego!... niebezpiecznego!...

Juna nie uznawała tego, oczywiście, ale Juna, pomimo nieskończonych swoich jeszcze dziewiętnastu lat, była taka pewna siebie! Powążyła się wszak oświadczyć w rozmowie z panią Soamesową — zawsze tak pięknie ubierającą się — że pióra są pospolite. Pani Soamesowa przestała, pod wpływem niedopuszczającego dyskusji sądu Juny, nosić pióra. Tak, kochana Juna jest bardzo stanowcza w wyrażaniu swoich opinij!

Cała ta podejrzliwość, ten krytycyzm i zdecydowana nawet ta nieufność nie przeszkodziły jednak Forsytom zgromadzić się w domu starego Jolyona na jego zaproszenie. Przyjęcie w Stanhope Gate było wielką rzadkością; nie urządzano tu zebrań towarzyskich od lat dwunastu, od dnia śmierci starej pani Jolyonowej.

Nigdy jeszcze nie stawiała się rodzina tak w komplecie, jak tym razem, bowiem zespoleni tajemniczymi węzłami jednościi, pomimo pozornie dzielących ich różnic, uzbroili się Forsytowie przeciwko wspólnemu wrogowi. Jak stado bydła, zbijające się na widok psa, łeb przy łbie i bok przy boku w jedną skupioną gromadę, zwarli się oni murem, gotowi runąć na intruza i stratować go na śmierć. Zjawili się też niewątpliwie, aby zasięgnąć języka, a także aby wymiarkować, jaki będzie każdy z nich musiał dać prezent ślubny. Jakkolwiek zazwyczaj kwestja podarunków ślubnych ustalana bywała w ten sposób, że jeden pytał drugiego: — „Co właściwie ty dajesz?... Mikołaj daje łyżki...” pozostawała jednak sprawa ta w znacznej zależności od osoby narzeczonego. O ile był to młodzieniec wytworny, ogładzony i wyglądający na zamożnego, bardziej było wskazane ofiarowywanie mu ładnych rzeczy, liczył bowiem na takie. Wkońcu dawał każdy podarek najwłaściwszy i najodpowiedniejszy dzięki uzgodnieniu tej kwestji — w taki sam sposób, jak uzgadniane

bywają ceny na zebraniu giełdowem — na specjalnem posiedzeniu rodzinnem w wygodnym, należącym do Tymoteusza, domu z czerwonych cegieł w Bayswater, wychodzącym na Park i zamieszkałym przez ciotki: Annę, Julę i Hester, gdzie ustanawiano ostatecznie i nieodwołalnie, co kto ma ofiarować.

Niepokój rodziny Forsytów usprawiedliwiała sama już wzmianka o kapeluszu. Czy podobna, czy zresztą słusznie byłoby, aby jakakolwiek rodzina, licząca się z zewnętrznymi formami, a to cechować wszak winno każdą rodzinę, należącą do zamożnego wyższego mieszczaństwa, nie miała się niepokoić?!

Sprawca tego zaniepokojenia stał w drzwiach sąsiedniego pokoju, rozmawiając z Juną. Jego kędzierzawa czupryna była wyraźnie zwichrzona, jakgdyby symbolizująca zdziwienie na widok niezwykłości tego, co działo się dokoła. Sprawiał też do pewnego stopnia wrażenie człowieka, podkpiwającego w duszy ze wszystkich i ze wszystkiego.

George zwrócił się na uboczu do brata swojego, Eustachego:

— Wygląda, jakgdyby chciał połknąć nas, bezczelny pirat!

„Bardzo dziwnie wyglądający ten człowiek“, jak wyraziła się o nim w następstwie pani Small, był średniego wzrostu i krzepkiej budowy, miał bladą, smagłą cerę, płowy wąs, mocno wystające kości policzkowe i ściągłą, zapadniętą twarz. Czolo ścięte było ku tyłowi i kopulasto uwypuklało się ponad oczami, przypominając nieco czola, oglądane w lwiej klatce w Ogrodzie Zoologicznym. Oczy miał złotawe, barwy xeresu, chwilami krępująco roztarznione. Stangret starego Jolyona, który odwoził Junę i Bosinney'a do teatru, podzielił się swoim wrażeniem z lokajem:

— Licho go tam wie, co za jeden. Coś jak nawpół-oswojony lampart.

Coraz kto inny z Forsytów zbliżał się, aby rzucić na niego okiem.

Juna stała przed nim, służąc mu za parawan przed natrętną tą ciekawością. Maleńka, drobna figurka, „cała złożona z włosów i ducha“, jak się ktoś wyraził kiedyś o niej, miała błękitne, śmiało patrzące na ludzi oczy, twardo zarysowany podbródek i kwitnącą cerę. Twarz jej i cała postać wydawały się zbyt nagle i subtelne na dzwiganie wieńczącej je korony miedziano-złoty włosów.

Wysoka, kształtna kobieta, którą jeden z członków rodziny porównał niegdyś do pogańskiej bogini, stała przed młodą parą, przyglądając się jej z przyćmionym nieco uśmiechem.

Dłonie jej, obciążone perłowym zamszem rękawiczek, skrzyżowane były jedna na drugiej; poważną, uroczą twarz skłoniła nieco na bok, przykuwając do siebie spojrzenia wszystkich mężczyzn. Postać jej kołysała się zwiewnie, jakgdyby w takt poruszania się powietrza. Leciuchny, ciepły rumieniec słabo barwił jej policzki; wielkie, głębokie oczy miały miękki wyraz słodczy. Nade wszystko jednak lgnęły spojrzenia męskie do jej warg — zadających pytania, czy odpowiadających na nie z niezmiennym, przyćmionym zawsze uśmiechem. Były to wargi zmysłowe i razem słodkie, zdające się tchnąć ciepło i aromat wonnego kwiatu.

Obserwowana przez nią para narzeczonych nieświadoma była, że jest przedmiotem zaciekawienia bogini. Pierwszy zauważył jej obecność Bosinney, który zapytał o jej nazwisko.

Juna podprowadziła narzeczonego ku pięknie zbudowanej kobiecie.

— Irena jest moją najserdeczniejszą przyjaciółką — rzekła. — Chcę, żebyście zaprzyjaźnili się z sobą oboje.

To wyrażone tonem rozkazu życzenie małej panienki wywołało uśmiech na twarzy wszystkich trojga. Soames Forsyte, zbliżywszy się niepostrzeżenie, stanął za kobietą o pięknych kształtach, która była jego żoną i poprosił:

— Przedstaw i mnie także.

Stale widzieć go było można na publicznych takich zebraniach u boku żony, a ilekroć nawet obowiązki towarzyskie odwoływały go od niej, śledził ją zdala oczami, na których dnie tkwił dziwny wyraz czujności i tęsknoty.

Ojciec Soamesa, James, badał wciąż jeszcze, siedząc przy oknie, markę fabryczną trzymanej w ręce porcelanowej filiżanki.

— Dziwię się, że stary Jolyon pozwolił na to narzeczeństwo — zwrócił się do ciotki Anny. — Niema, jak słyszę, widoków pobrania się ich w ciągu lat jeszcze. Ten młody Boosinney (wymawiał „o“ przeciągle w przeciwieństwie do krótkiego brzmienia tej głoski w sposobie wymawiania nazwiska narzeczonego) jest podobno zupełnie bez środków. Jak wydawałem moją Winifredę za Dartiego, kazałem mu wyliczyć się z każdego posiadanego grosza i umieścić wszystko na pewnej lokacie. Dobrze się stało; do dzisiaj nie mieliby napewno ani grosza!

Ciotka Anna, rozparta na aksamitnym fotelu, podniosła oczy na mówiącego. Czoło jej obramowane było siwemi lokami, niezmienionemi od dziesiątków lat i powodującemi zatracenie przez członków rodziny pojęcia o czasie. Nie odpowiedziała; w rzadkich tylko okazjach przemawiała, szczczędząc swój starczy głos; nie mającemu wszelako czystego sumienia Jamesowi starczyło wymowne spojrzenie jej za odpowiedź.

— O — dodał — na to, że Irena nie miała posagu, nie

mogłem już nic poradzić. Soamesowi tak pilno było do ślubu, że aż wychudł przez czas starania się o nią.

Odstawiając ostrożnie filizankę na wieko fortepianu, rzucił okiem na grupę przy drzwiach.

— Dobrze się jednak stało, że jest tak jak jest.

Ciotka Anna nie zażądała bliższego wyjaśnienia dziwnego tego zdania. Wiedziała, co przez to rozumie. Irena, nie mając pieniędzy, nie odważy się na niedorzeczność popełnienia czegoś niewłaściwego, przebąkiwano bowiem — tak, szeptano sobie na ucho — że Irena zażądać miała jakoby oddzielnego pokoju. Oczywiście jednak Soames nie...

James przerwał jej domysły...

— Gdzie podziewa się Tymoteusz? — zapytał. — Czy nie przyjechał z wami?

Zaciśnięte wargi Anny rozchylił zarys tkliwego uśmiechu.

— Nie, uważał za nierozsądne narażać się przy panującym dyfterycie. Taki jest skłonny do chwytania zarazków.

— O, tak, ten umie dbać o swoje zdrowie — rzucił James. — Ja nie mógłbym pozwolić sobie na takie chuchanie na siebie.

Trudno byłoby orzec, co było nutą górującą w tej uwadze — podziw, zazdrość, czy pogarda.

Tymoteusz w istocie zrzadka tylko bywał widzialny. Najmłodszy z rodzeństwa, wydawca z zawodu, już przed kilku laty, kiedy interesy wydawnicze były napozór w pełni rozkwitu, przewidując stagnację, która nie nastąpiła wprawdzie jeszcze, ale która, zdaniem wszystkich, musiała nastąpić, sprzedał swój udział w firmie, produkującej głównie książki treści religijnej i ulokował pokaźny, osiągnięty z tej sprzedaży, kapitał w dających trzy procent papierach państwowych. Krokiem

tym wyodrębnił się odrazu z pośród całej rodziny, bowiem żaden z Forsytów nie zadawał się nigdy procentem niższym niż cztery od sta. Wyodrębnienie to zwolna, ale nieuchronnie odbiło się na jego usposobieniu, bardziej niż u innych skłonem do nadmiernej ostrożności. Stał się postacią mityczną nieledwie — rodzajem wcielonego pojęcia bezpieczeństwa, stanowiącego najgłębsze i najtrwalsze podłoże światopoglądu Forsytów. Nie popełnił też nigdy nieprzezwrotności ożenienia się i wzięcia na swoje barki ciężaru posiadania dzieci i rodziny.

James dokończył swoje uwagi, opukując filizankę:

— To nie jest prawdziwy stary Worcester... Jolyon musiał powiedzieć ci coś o tym młodym człowieku. O ile mnie wiadomo, nie ma on żadnego ustalonego interesu, żadnych stałych dochodów, ani żadnych mających jakieś znaczenie stosunków, ale zresztą, nie wiem nic — nikt nigdy mi o niczem nie mówi.

Ciotka Anna potrzęsła głową. Starcza jej twarz drapieżnego ptaka o zarysowanych ostro linjach czworokanciastego podbródka drgnęła niespokojnie; pająkowato zakrzywione jej palce mocno się wzajem oplotły i zacisnęły, jakgdyby dopomagając jej w ten sposób do skupienia całej siły woli.

Najstarsza ze wszystkich Forsytów, prześcigająca ich o szereg lat, zajmowała wśród rodziny szczególne stanowisko. Oportuniści i samoluby, każdy z osobna i wszyscy razem — nie więcej zresztą niż ogół ich sąsiadów — tracili wobec nieugiętej postaci ciotki Anny grunt pod nogami. Cóż więc w poważniejszych okazjach pozostawało im czynić innego, jak poprostu unikać jej?

Zakładając jedną na drugą długie, cienkie swoje nogi, mówił James w dalszym ciągu:

— Jolyon postąpi naturalnie po swojemu. Nie ma dzieci — urwał nagle, przypomniawszy sobie o istnieniu syna starego Jolyona, Jolyona juniora, ojca Juny, który

ongi tyle narobił wrzawy, przekreśliwszy swoją egzystencję opuszczeniem żony i dzieci, i ucieczką z cudzoziemką guwernantką. — Zresztą — dokończył śpiesznie — jeżeli mu się tak podoba, może sobie pozwolić. Stać go na to. Ciekawe, ile jej przeznaczy. Przypuszczam, że tysiąc funtów rocznie; komuż innemu miałby pozostawić swoje pieniądze?

Wyciągnął rękę, aby uścisnąć podaną sobie dłoń ferytycznego, gładko wygolonego jegomościa, o zupełnie prawie lysej czaszce, z długim, przelamanym nosem, pełnemi wargami i zimnemi, szaremi oczami pod osłoną prostokątnych brwi.

— A, Nick, jak się masz? — odezwał się.

Mikołaj Forsyte przypominający wyglądem przedwcześnie przemądrzałego uczniaka, pośpiesznie trzepotliwym, ptasim niejako ruchem dotknął zimnej dłoni Jamesa końcami jeszcze zimniejszych bodaj palców i natychmiast cofnął je. Legalną zupełnie drogą zdobył znaczny majątek, prowadząc, jako dyrektor, handlowe jakieś przedsiębiorstwo.

— Mam się źle — mruknął niechętnie — chory byłem przez cały tydzień; nie mogę sypiać. Doktor nie umie powiedzieć dlaczego. Mądry z niego chłop; gdyby nie to, nie wzywałbym go; niewiele mam jednak z niego prócz rachunków za wizyty.

— Doktorzy! — wtrącił James, skwapliwie podejmując poruszony temat. — Miałem ich już wszystkich, ilu ich jest w Londynie, dla siebie i dla moich. Żadnego z nich pożytku; niepodobna niczego się od nich dowiedzieć. Weź chociażby Swithina. Dużo mu pomogli? Przyjrzyj mu się — grubszy niż kiedykolwiek, potwornie gruby. Tak go mordują, a mimo to nie mogą zmniejszyć jego wagi. Przyjrzyj mu się!

Swithin, wysoki, barczysty, bujnie rozrosły, z wypuczoną piersią niby odęty gołąb w upierzeniu jaskra-

wych swoich kamizelek, nadchodził ku nim napuszonym krokiem.

— Hm... Jak się macie? — zapytał tonem obytego z formami salonowca — jak się miewacie?

Każdy z trzech braci, patrząc na obu pozostałych, przybierał pogrzebowo ponurą minę, wiedząc z doświadczenia, że będą obaj usiłowali prześcignąć i zaćmić go opisem własnych dolegliwości.

— Mówiliśmy właśnie — rzekł James — że nie tracisz na wadze.

Swithin wybałuszył blade, okrągłe oczy, jakgdyby niezupełnie dosłyszawszy, o czem mowa.

— Nie tracę na wadze? Jestem w doskonałej formie — odparł, pochylając się nieco naprzód — nie taki chudzielec jak ty!

W obawie jednak, aby nie uronić nic z rozmiaru wypukłej swojej piersi, cofnął się, zastygając w nieruchomej pozie, o nic bowiem nie dbał bardziej, aniżeli o zachowanie wyniosłego wyglądu.

Ciotka Anna spoglądała starczemi oczyma na jednego po drugim. Spojrzenie jej było zarazem wyrozumiałe i surowe. Zkolei wszyscy trzej bracia ogarnęli wzrokiem Annę. Zaczynała nieco już podupadać na siłach. Nadzwyczajna kobieta! Osiemdziesiąt sześć lat, jak obszył. Może pożyć jeszcze dziesięć lat, choć nigdy nie była szczególnie silnej konstytucji. Bliźniacy, Swithin i James, mieli dopiero po siedemdziesiąt pięć lat a Mikołaj całkiem jeszcze dziecko, niewiecej niż siedemdziesiąt, czy coś koło tego. Wszyscy byli silni i tem się wzajem pocieszali. Ze wszystkich form własności za najbardziej cenną, bowiem najbliższą oczywiście ich dotyczącą, uważali szacowne zdrowie własne.

— Organizm mam w zupełnym porządku — zaczął James — nerwy tylko mi nie dopisują. Najmniejszy

drobiazg drażni mnie piekielnie. Będę musiał pojechać do Bath.

— Bath! — mruknął Mikołaj. — Próbowałem Harrogate. Nic niewarte. Potrzebne mi powietrze morskie. Niema nic nad Yarmouth. Sypiam tam...

— Fatalnie dokucza mi wątroba — przerwał Swithin, cedząc wyrazy. — Przerażliwe bóle w tej okolicy — dotknął ręką prawego boku.

— Brak ruchu! — mruknął James, nie odrywając oczu od porcelanowej filiżanki i dodając szybko: — I ja miewam bóle tutaj.

Swithin spałowiał, napuszczony jak stary indyk.

— Ruchu?! — oburzył się. — Używam go aż nadto! Nie korzystam nigdy z windy w Klubie.

— Nie wiedziałem — pośpieszył James usprawiedliwić się. — Nie wiem nigdy nic o innych, nikt mi nic nie mówi.

Swithin utkwił w nim badawczo wzrok i wreszcie zapytał:

— Co robisz na ten ból?

James rozpromienił się.

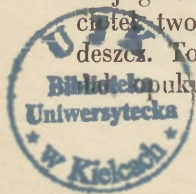
— Ja? — zaczął — biorę lekarstwo, w którego skład wchodzi...

— Jak się stryj ma?

Stała przed nim Juna, podnosząc rezolutną twarzą z ponad nizin drobnej swojej figurki ku wyżynom rozłożystej postaci stryja i wyciągając do niego rączkę.

Wyraz rozpromienienia zgasł na twarzy Jamesa...

— Jak się masz? — wywzajemnił się, pochylając ku niej głowę. — Słyszę, że jedziesz jutro do Walji, do cioci twojego narzeczonego? Będiesz tam miała ciągle deszcz. To nie jest prawdziwy stary Worcester — dopukując filiżankę. — Zato garnitur, który dałem



na ślubny prezent twojej matce, był najautentyczniej prawdziwy.

Juna przywitała się uściśnieniem dłoni z wszystkimi trzema stryjami i zwróciła się do ciotki Anny. Wyraz niezmiernej słodyczy rozpromienił twarz staruszki, która, dygocąc z tkliwego wzruszenia, ucałowała policzki dziewczątka.

— Wyjeżdżasz więc na cały miesiąc, kochanie?

Juna poszła dalej, a ciotka Anna śledziła wzrokiem szczupłą, drobną jej figurkę. Okrągłe, barwy stali oczy starej kobiety, zaczynające zachodzić już bielmem, jak oczy ptaka, żadnie wypatrywały postaci młodej dziewczyny wpośród stłoczonego dokola niej i żegnającego się już tłumu. Końce palców staruszki zaciskały się wzajem coraz mocniej w sprężonym wysiłku odzyskania całej dawnej potęgi woli przed ostatecznym, nieuniknionym już jej zanikiem.

— Tak — rozmyślała — wszyscy są tacy dobrzy; mnóstwo ludzi przyszło jej powinszować i złożyć życzenia. Powinna czuć się bardzo szczęśliwą.

Pośród tłumu, skupionego przy wyjściu — strojnego tłumu, złożonego z przedstawicieli rodzin adwokatów, lekarzy, bankowców i innych zawodów, jakim oddaje się wyższe mieszczaństwo — było co najwyżej dwadzieścia procent Forsytów; ciotce Annie wszelako wydawało się, że wszyscy są Forsytami — niewiele się w istocie od tamtych różnili, nic dziwnego też, że widziała w nich krew swojej krwi i kość swojej kości. Ród ten był całym jej światem; nie chciała znać żadnego innego; nigdy może nawet nie знаła żadnego innego. Wszystkie ich drobne tajemnice, ich zaręczanie się, śluby, drogi powodzenia każdego z nich, kwestja zarabiania przez nich pieniędzy — wszystko to było jej własnością, jej rozkoszą, jej życiem. Poza tem zlewało się dla niej wszystko inne w mglistą, mętną mieszaninę faktów

i osób, pozbawionych istotnego znaczenia. Z tym specyficznie właściwym jej światem będzie musiała się rozstać, kiedy i na nią przyjdzie kolej umierać; ten właśnie stosunek jej do niego nadawał prawdziwą doniosłość jej osobie, utrwalił w niej utajone owo poczucie własnego znaczenia, bez którego nikt z nas nie potrafiłby wcale żyć. Z dniem każdym też coraz żądniej lgnęła do tego poczucia i chociaż życie uciekało od niej coraz bardziej, zdecydowana była utrzymać ten swój świat aż do końca.

Przyszedł jej na myśl ojciec Juny, młodszy Jolyon, który uciekł z ową dziewczyną cudzoziemką. O! Jaki cios bolesny dla jego ojca i dla nich wszystkich! Tak wiele zapowiadający młody człowiek! Tragiczny cios, mimo że obyło się, na szczęście, bez publicznego skandalu dzięki temu, iż żona młodego Jolyona nie domagała się rozwodu. Dawne dzieje! A kiedy przed sześciu laty umarła matka Juny, mąż jej poślubił ową kobietę, z którą miał, jak mówiono, dwoje dzieci. Bądź co bądź jednak, utracił prawo brania udziału w dzisiejszej uroczystości, pozbawiając tem samem starą ciotkę pełnego nasycenia jej dumy rodowej, możności urzeczywistnienia należnej jej rozkoszy widzenia i uściskania bratanka, z którego tak była dumna i w którym pokładała tak wielkie nadzieje. Myśl ta napelniła goryczą niezapomnianej krzywdy stare, wierne serce ciotki Anny. Oczy jej zaszkliły się łzami. Otarła ją ukradkiem chusteczką z najcieńszej weby.

— No i cóż, ciotko Anno? — zagadnął ją głos jakiś z poza jej pleców.

Soames Forsyte, o płaskich ramionach, o gładko ogolonych płaskich policzkach, płaski w stanie, mimo ogólną tę płaskość, miał w całej swojej postaci coś dziwnie okrągłego. Patrzył na ciotkę Annę wdół i nieco bo-

kiem, jakgdyby chcąc dostrzec coś poprzez skrzydło własnego nosa.

— A co ciotka myśli o tych zaręczynach? — zapytał.

Oczy ciotki Anny spoczęły na nim z dumą. Soames, najstarszy z bratanków, od czasu, kiedy syn starego Jolyona rozszedł się z rodziną, był teraz jej ulubieńcem, uznawała w nim budzącego największą ufność dziedzica tradycyj rodu, który w tak krótkim czasie wymknąć się ma z pod jej kierunku.

— Bardzo szczęśliwe dla tego młodego człowieka. Przystojny chłopak, nie zdaje mi się jednak, aby był odpowiednim zupełnie narzeczonym dla naszej kochanej Juny.

Soames dotknął brzegu złoczonego świecznika.

— Oswoi go — odparł, wilżąc ukradkiem palec i pocierając nim wypukłe ozdoby. — To prawdziwa stara pozłota; nie dostanie teraz takiej. Ubieganoby się o tę sztukę na licytacji u Jobsona... — Mówił zwolna, delektując się własnymi słowami, jakgdyby czuł, że rozwesela niemi starą ciotkę. Rzadko bardzo mówił w sposób tak poufny. — Chętnie sam nabyłbym ją — dodał — stara pozłota zawsze zachowuje swoją wartość.

— Jak też ty się znasz na tem wszystkim! — zdziwiła się ciotka Anna. — A jak się ma kochana nasza Irenka?

Uśmiech zgasł na twarzy Soamesa.

— Nieźle — odparł. — Uskarża się tylko na brak snu; sypia jednak daleko lepiej aniżeli ja — uzupełnił, spoglądając w stronę drzwi, gdzie żona jego rozmawiała z Bosinney'em.

Ciotka Anna westchnęła.

— Dobrze może będzie dla niej, jak przestanie się widywać tak często z Juną. Ta nasza kochana mała Juna ma bardzo stanowczy charakter!

Soames zaczerwienił się; nagle rumieńce szybko zjawiały się i równie szybko znikaly z płaskich jego policzków i sadowiły się pomiędzy oczami, gdzie już pozostawały, jako zewnętrzna oznaka niepokojących go myśli.

— Nie pojmuję, co ona widzi w tym postrzeleniu — wybuchnął, spostrzegłszy jednak, że nie są już sami, przerwał rozmowę, powracając ponownie do badania świecznika.

— Podobno Jolyon kupił jeszcze jeden dom — ozwał się tuż obok głos Soamesowego ojca — musi mieć multum pieniędzy, więcej, aniżeli wie, co ma z niemi zrobić! Ma to być na Montpellier Square; w sąsiedztwie Soamesa! Nigdy mi nikt o tem nie mówił. Irena nie opowiada mi nigdy nic.

— Świetnie położony; o dwie minuty ode mnie — poinformował Swithin — a z mojego mieszkania nie trwa droga do Klubu dłużej niż osiem minut.

Kwestja położenia ich domów była dla Forsytów wagi decydującej, co zresztą było rzeczą naturalną wobec tego, że tkwiła w tem cała istota ich powodzenia.

Ojciec ich, pochodzący z rodu farmerów, przybył z Dorsetshire w początku stulecia.

„Najstarszy Forsyte z Dorsetu“ — jak nazywali go bliscy przyjaciele, był z zawodu kamieniarzem, który doszedł do stanowiska majstra budowlanego. Ku końcowi życia przeniósł się do Londynu, gdzie prowadził roboty aż do swojej śmierci i pochowany został w Highgate. Pozostawił dziesięciorgu dzieciom swoim zgórą trzydzieści tysięcy funtów do podziału. Stary Jolyon, mówiąc o nim — o ile wogóle o nim wspominał — nazywał go „twardym, gruboskórym człowiekiem, pozbawionym wszelkiej oglady“. Następne zkolei pokolenie Forsytów czuło w istocie, że przodek ten nie przynosił im wielkiego zaszczytu. Jedynym wytworniejszym

rysem charakteru, jaki mogli w nim znaleźć, było jego przyzwyczajenie picia madery.

Ciotka Hester, autorytet w sprawach historii rodu, opisywała go w sposób następujący:

— Nie przypominam sobie, aby miał kiedykolwiek coś zrobić, przynajmniej nie za moich czasów. Był... hm... był, widzisz, właścicielem domu. Włosy miał tego samego mniej więcej koloru co stryj Swithin; szeroki w barach, figury okazałej. Czy był wysoki? N...nie... niebardzo wysoki — mierzył pięć stóp i pięć cali, o twarzy piegowatej. — Cere miał świeżą. Pamiętam, że zwykł pić maderę. Ale najlepiej zapytaj o niego ciotkę Annę. Kim był jego ojciec? Miał... miał coś do czynienia z rolą w Dorsetshire, nad morzem.

James wybrał się tam kiedyś osobiście, żeby stwierdzić na miejscu, skąd właściwie pochodzi ich ród. Znalazł dwie stare zagrody gospodarskie i drogę kołową, odciśniętą w różowawym gruncie i prowadzącą do młyna nad zatoką, nadto mały, szary kościółek, podparty zewnętrznie filarami i jeszcze mniejszą, jeszcze bardziej szarą kapliczkę. Rzeczulka, obracająca koła młyńskie, wpadała do zatoki tuzinem spienionych strumyków, i po grząskiem tem ujściu uganiały się prosiaki i świnki. Mgła spowijała dalszy plan pejzażu. W tym właśnie zakątku, tonąc stopami w błotnistym gruncie i zwracając twarze ku morzu, udreptywali pierwotni Forsytowie drogi tutejsze tydzień po tygodniu w ciągu setek lat.

Czy James żywił nadzieję znalezienia tu dziedzictwa, czy też szacownych jakichś pamiątek — trudno orzec. Faktem jest, że powrócił do miasta grubo nie w humorze, siląc się w sposób iście wzruszający na pokrywanie doznanego zawodu możliwie dobrą miną.

— Niewiele czego mogłem się dowiedzieć — oznajmił — wioska jak tysiące innych, odwieczna jak świat.

Odwieczność ta starczyła im za pociechę. Stary Jolyon,

w którym od czasu do czasu wzbierała desperacka uczciwość, wspominając o swoich przodkach, mawiał:

— Drobni ziemianie, najpewniej mizerne szaraki.

Powtarzał jednak wyraz „ziemianie“, jakgdyby znajdował w tem określeniu pewną pociechę.

Wszystkim Forsytom powiodło się tak świetnie, że wszyscy, jak to się mówi, byli ludźmi na stanowiskach. Mieli udziały w rozmaitych przedsiębiorstwach, i, jak dotychczas — z wyjątkiem Tymoteusza — nie lokowali kapitałów w rencie państwowej, bowiem niczego w życiu nie obawiali się bardziej, aniżeli wyciągania tylko trzech procent ze swoich pieniędzy. Kolekcjonowali też obrazy i podtrzymywali takie instytucje dobroczynne, które mogły przynosić pożytek ich domownikom na wypadek starości czy choroby. Po ojcu, majstrze murarskim, odziedziczyli skłonność do cegły i wapna. W zaczątkach swoich najprawdopodobniej członkowie jednej z pierwotnych sekt, stali się teraz naturalnym biegiem rzeczy wyznawcami Kościoła Anglikańskiego i wymagali od żon swoich i dzieci możliwie regularnego uczęszczania do najwytworniejszych świątyń stolicy. Gdyby ktoś poważił się podać w wątpliwość ich chrystjanizm, zadziwiłby ich i dotknął boleśnie. Niektórzy z nich opłacali własne ławki w kościele, dając w ten sposób najpraktyczniejszy wyraz swojemu sympatyzowaniu z nauką Chrystusa.

Ich rezydencje, umieszczone w określonych odległościach dokoła parku, stały jakgdyby na czatach, wypatrując czujnie, czy aby nie wymyka im się ze szpon samo owo serce Londynu, do którego parły ich najtajniejsze żądze i czy nie obniża się tem samem ich wartość we własnem ich pojęciu.

I tak: stary Jolyon mieszkał w Stanhope Place; Jamesowie w Park Lane; Swithin w samotnych wspianiałościach pomarańczowych i błękitnych komnat w okolicy Hyde Parku — pozostawał w stanie bezzennym, ani mu na

myśl przyszło się ożenić! — Soames z żoną w zacisznem gniazdku za Knightsbridge; Rogersowie w Prince's Gardens. (Roger był owym niezwykłym Forsytem, który postanowił — i zamiar swój przeprowadził — wychować czterech swoich synów odmiennie niż to się działo u innych członków rodu, dając im do ręki nowy fach. „Co?! Dbać przez całe życie tylko o zaokrąglenie własności nieruchomości? Nie, nic z tego! Ja sam nigdy nie robiłem nic innego!“ — mawiał przytem.)

Haymansowie z kolei — pani Haymans była jedyną zamężną siostrą Forsytów — mieszkali w domu, położonym na wzgórzu Campden; dom ten rozplanowaniem swoim przypominający kształt żyrafy, był tak wysoki, że przyglądającym się mu drętwiał kark; Mikołaj z rodziną rezydował w Landbroke Grove, rozległej siedzibie znacznej wartości, i wreszcie ostatni, bynajmniej nienajgorszy, Tymoteusz, zajmował apartamenty przy Bayswater Road, gdzie Anna, Julia i Hester mieszkaly pod jego opieką.

James długo rozmyślał i wreszcie zapytał gospodarza domu, zarazem brata swojego, ile dał za kamienicę na Montpellier Square. On sam zawsze miał ochotę na kupno w tamtej okolicy, żądano jednak od niego sum horendalnych.

Stary Jolyon wyszczególnił warunki kupna.

Dwudziestodwuletnia dzierżawa? — upewnił się James — właśnie o ten dom dobijałem targu, daleś za dużo za niego!

Stary Jolyon zmarszczył gniewnie czoło.

— Nie mówię tak dlatego, żebym sam chciał go mieć — pośpieszył James dodać — nie odpowiadałby mi za tę cenę. Soames zna dobrze ten dom, będzie mógł ci powiedzieć. Warto wysłuchać jego zdania.

— Nie dbam ani trochę o jego zdanie — odciął się stary Jolyon.

— Hm... wolna wola... Mówię jednak, że warto wy-

śłuchać. A zresztą, zrobisz po swojemu. Dowidzenia! Jedziemy do Hurlingham. Juna wybiera się, jak slysze, do Walji. Co będziesz robił tu sam? Możebyś zjadł z nami obiad?

Jolyon odmówił. Odprowadził gości aż do drzwi wejściowych, dopomógł im wsiąść do ich karocy, kiwnął im głową na pożegnanie i zapomniał o swoim spleenie. Żona Jamesa siedziała na przednim siedzeniu, zwrócona twarzą do koni, wysoka i majestatyczna, w koronie jasnokasztanowatych jeszcze włosów; po lewej jej ręce Irena. Obydwaj mężowie, ojciec i syn, siedzieli naprzeciwko swoich żon nieco przechyleni naprzód, jakgdyby oczekiwali czegoś od nich.

Stary Jolyon patrzył na odjeżdżających w pełnym świetle słonecznym, śledził wzrokiem ich drganie i podskakiwanie na sprężynowych poduszkach pojazdu, ich kołysanie się wraz z każdym jego poruszeniem.

Pierwsza przerwała panujące w pojeździe milczenie pani Jamesowa.

— Widzieliście kiedy podobną kolekcję dziwadel?

Soames, patrząc na nią z pod oka, kiwnął głową, zauważył jednak, że Irena rzuciła na niego ukradkiem jedno z nieodgadnionych swoich spojrzeń. Bardzo prawdopodobnie zrobiła każda z poszczególnych odnóg rodowego pnia Forsytów tę samą uwagę, wracając do domu z przyjęcia u starego Jolyona.

Z pośród ostatnich opuszczających jego dom gości czwarty i piąty brat, Mikołaj i Roger, wyszli razem, kierując się przez Hyde Park ku stacji kolei podziemnej przy ulicy Praed. Podobnie jak wszyscy inni Forsytowie w poważniejszym wieku, trzymali i oni własne konie i nigdy nie brali dorożek, o ile tylko mogli uniknąć tego.

Dzień był słoneczny, drzewa parkowe zieleńiły się bogactwem czerwcowego listowia. Bracia zdawali się nie

sposstrzegać piękna otaczającej natury, przyczyniało się ono jednak do ożywienia przechadzki i rozmowy.

— Tak — rzekł Roger — ładna kobieta ta żona Soamesa. Słyszałem, że nieszczęśliwie z sobą żyją.

Ten brat miał wypukłe czoło i najświeższą cerę ze wszystkich Forsytów. Jasnoszare jego oczy mierzyły w przejściu fasady domów, od czasu do czasu też podnosił parasol, aby, jak się wyrażał „brać miarę“ ich wysokości.

— Nie miała posagu — odparł Mikołaj.

On sam poślubił tęgi wór, że zaś było to jeszcze w złym okresie, poprzedzającym wydanie prawa własności kobiety zamężnej, miał możliwość dowolnego użytkowania wniesionego mu przez nią posagu.

— Kim był jej ojciec?

— Nazywał się Heron; był podobno profesorem.

Roger potrząsnął głową.

— To nie przynosi dochodu — rzekł.

— Ojciec jej matki był podobno, jak słyszę, cementsciarzem?

Twarz Rogera rozjaśniła się.

— Ale zbankrutował — dodał Mikołaj.

— O! — zawołał Roger. — Soames będzie miał z nią wiele kłopotu; zapamiętaj moje słowa, wiele kłopotu. Wygląda zupełnie obco pomiędzy nami.

Mikołaj oblizal wargi końcem języka.

— Ładna kobieta — rzekł, usuwając gestem ręki przechodzącego tuż obok zamiatacza ulic.

— Skąd ją wytrzasnął? — zapytał Roger. — Wyobrazam sobie, co go muszą kosztować jej fatalaszki!

— Mówiła mi Anna, że latał za nią jak oszalały. Pięć razy odrzucała go. Jamesa irytuje to wyraźnie.

— O — westchnął Roger — żal mi biednego Jamesa, miał już dość kłopotu z Dartie'm.

Różowe zawsze jego policzki przybrały żywszy jeszcze

koloryt pod wpływem ruchu, częściej też niż zazwyczaj podnosił parasol do poziomu oka. Twarz Mikołaja wyrażała również zadowolenie.

— Za blada na mój gust — rzekł — ale zbudowana kapitalnie!

Roger milczał.

— Uważam, że wygląda bardzo dystyngowanie — odezwał się wreszcie. Była to najwyższa pochwała w słowniku Forsytów. — Ten młody Bosinney nie dochrapie się nigdy niczego — dodał. — Mówili mi u Burkitta, że to jeden z takich cyganów artystycznych. Licho wie, co mu się snuje po głowie — udoskonalić angielską architekturę?! To mu nie da pieniędzy! Ciekaw byłbym usłyszeć, co Tymoteusz mówi o tem?

Stanęli na stacji kolei podziemnej.

— Którą jedziesz klasą? Ja zawsze drugą.

— Boję się drugiej — zauważył Mikołaj — nie wie się nigdy, co można złapać.

Kupił bilet pierwszej klasy do Notting Hill Gate a Roger bilet drugiej do South Kensington. Nie upłynęła minuta, kiedy przybył pociąg; bracia rozstali się i wsiedli każdy do odpowiedniego przedziału. Każdy z osobna czuł się dotknięty, że brat nie zmienił swoich przyzwyczajzeń dla dotrzymania mu jeszcze przez chwilę towarzystwa. Każdy jednak wyraził to w sobie właściwy sposób.

— Co za manja grać zawsze rolę żebraka, jak ten Nick! — pomyślał w duchu Roger.

— Zawsze był nieznośnym uparciuchem — powiedział sobie o bracie Mikołaj.

Uczuciowość nie należała do słabości Forsytów. Czy mieli zresztą czas na sentymenty w wielkim tym Londynie, który zdobyli i który wchłonął ich w siebie?

ROZDZIAŁ II.

STARY JOLYON IDZIE NA OPERĘ

O piątej po południu następnego dnia siedział stary Jolyon sam z cygarem w ustach, mając na stoliku przed sobą filiżankę herbaty. Był zmęczony, zasnął też, nie zdążywszy nawet wypalić do końca cygara. Mucha usiadła mu na włosach, oddychał chrapliwie wśród usypiającej ciszy, jego górna warga pod siwym wąsem odymała się i wciągała zpowrotem powietrze. Cygaro wypadło z pomiędzy palców żylastej, pomarszczonej ręki i dopaliło się samo na pustem palenisku kominka.

Ponury mały gabinet z kolorowemi szybami okiennemi, wstawionemi celem odgrożenia się od widoku ulicy, zapelniony był masywnemi rzeźbionemi mahoniowemi meblami z zielonem aksamitnem pokryciem. O garniturze tym mawiał zazwyczaj stary Jolyon:

— Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby mi grubo kiedyś za niego zapłacili!

Miło mu było pomyśleć, że w przyszłości będzie mógł zarobić na rzeczach, które nabył ongi znacznie taniej.

W mrocznej, soczyście brunatnej atmosferze, właściwej tylnym pokojom siedziby Forsytów, rembrandtowski efekt jego wielkiej głowy uwieńczonej grzywą siwych włosów i odrzynającej się od oparcia wysokiego poręczowego fotela, psuł wąs, nadający jego twarzy marsowy poniekąd wygląd. Stary zegar, który wisiał tu zawsze przed jego ślubem jeszcze, zatem od czterdziestu bezmała lat, zaznaczał cykaniem swoim żalosne wspomnienia sekund, ulatujących nazawsze od jego starego właściciela.

Nie dbał nigdy o ten pokój, do którego bardzo rzadko wchodził, chyba po to tylko, aby wyjąć cygaro z japońskiej szafeczki w rogu. Teraz z kolei mści się na nim pokój za to zaniedbanie.

Jego skronie, uwypuklające się, niby strzechy, ponad jamami wklęsłości pod nimi, jego kości policzkowe i podbródek zarysowywały się ostrzej podczas snu, ujawniając z bezlitosną szczerością starczość twarzy.

Obudził się. Juna odjechała! James przepowiedział mu, że będzie się czuł osamotnionym. James jest specjalistą od dokuczliwego krakania. Przypomnił sobie z uczuciem zadowolenia, że sprzątnął mu dom z przed nosa. Dobrze mu tak; niech się nie upiera przy cenie. Dureń!... Nie potrafi myśleć o niczem innym, jak tylko o pieniądzach. A może naprawdę przeplacony ten dom? Ogromnych wymaga wkładów... Cała ta sprawa z Juną będzie go kosztowała sporo grosza. Nie powinien był pozwolić na jej zaręczenie się. Poznała się z Bosinney'em w domu Baynesów. Baynes i Bildeboy — spółka architektów. Baynes, którego dobrze znał — takie sobie ciepłe kluski — jest zdaje się wujem Bosinney'a ze strony matki. Od chwili tego poznania się nie przestawała dziewczyna zaprzętać sobie głowy młokosem, a jak raz sobie coś wbije w mózgownicę, i w sto koni z niej tego nie wypędzi. Zawsze i wiecznie musi opiekować się jakimś niezdarstwem; to już jej słabość; zawsze znajdzie sobie jakiegoś niedołęgę, któremu wszystko poświęca. Chłopak goły jak święty turecki, i właśnie z nim musiała się zaręczyć — pustak, niepraktyczny, lichy wie jeszcze w co się wplącze. Ile będzie jeszcze z nim kłopotu!

Juna przyszła do niego pewnego dnia, oznajmiając mu tę nowinę w zwykły swój nagły, szorstki sposób i, jak-gdyby znajdując w tem jedyną pociechę, dodała:

— Taki jest nadzwyczajny! Czasem przez cały tydzień żył o filiżance kakao jedynie!

— Chciałby może, żebyś i ty żyła tylko filiżanką kakao?

— O, nie! Wy pływa już teraz pełną parą!

Stary Jolyon wyjął cygaro z pod białych wąsów, powalanych kawą na brzegach i spojrzął na drobną postać dziewczątka, które tak głęboko wrosło mu w serce. Znał się trochę lepiej niż ona na takim „wypływaniu pełną parą“. Ale mała, objawszy rękami jego kolana, ocierała się o niego podbródkiem, pomrukując, jak głaskany kot. Dziadek, strząsnąwszy popiół ze swojego cygara, wybuchnął w nerwowem podnieceniu:

— Wszystkieście jednakowe! Musicie mieć to, na co wam przysła w tej chwili chętką. Inaczej nie uspokoiacie się! Ha, jeżeli chcesz koniecznie unieszczęśliwić się, rób jak chcesz. Ja umyвам ręce od wszystkiego!

Umył zatem ręce od wszystkiego, stawiając jedyny tylko warunek, że nie pobiorą się, dopóki Bosinney nie będzie zarabiał co najmniej czterystu funtów rocznie.

— Nie będę mógł dać wam zbyt wiele — rzekł, ale Juna nie po raz pierwszy słyszała z jego ust te słowa. — Może ten twój — jakże mu tam na imię? — pomyśli o dostarczeniu ci kakao.

Prawie że nie widywał Juny od czasu, jak rozpoczęła się ta historia. Fatalna sprawa! Ani mu się śni dawać małej dużo pieniędzy, ażeby umożliwić chłopcu, o którym nie wie nic bliższego, pędzenie wygodnego życia w próżniactwie. Widywał już takie rzeczy; nie prowadzą nigdy do niczego dobrego. Co najgorsze jednak, nie ma nadziei przelamania jej decyzji; dziewczyna uparta jak koziół, zawsze taką była, od maleństwa. Nie ustąpi jednak, dopóki nie przekona się, że młody Bosinney zarabia sam dostatecznie na życie. Że Juna niejedną będzie miała do przelknięcia gorzką pigułkę z tym narwańcem, to jasne jak słońce; chłopak tak się zna na zarabianiu pieniędzy, jak koza na pieprzu. A co się tyczy tych jego starych ciotek w Walji, do których dziewczynie tak było śpieszno, można sobie wyobrazić, jakie to muszą być straszdyła na wróble!

Stary Jolyon siedział bez ruchu, wpatrzony w ścianę; gdyby nie otwarte jego oczy, możnaby przypuścić, że śpi... Co za myśl, żeby ten szczeniak Soames śmiał dawać mu rady! Zawsze był szczeniakiem z tym swoim śmiesznie zadartym do góry nosem! Ale niezadługo będzie z niego podobno wielki posesjonat, osiadły we wspaniałej siedzibie wiejskiej! Posesjonat! Hm! hm!... Fakt, że potrafi wywęszyć wszędzie dobre kupno, jak jego ojciec; zimny, wyrachowany żebrak!

Jolyon podniósł się, zbliżył do szafki w kącie i zaczął systematycznie napelniać swoją cygarniczkę cygarami z świeżo nabytej paczki. Nie są nawet złe na tę cenę, niepodobna jednak dostać teraz prawdziwie dobrego cygara. Daleko obecnym wyrobom do dawnych „Superfinosów“ Hansona i Bridgers’a! To były cygara!

Myśl ta, jak nieuchwytnie zalatujący zapach perfum, cofnęła go pamięcią wstecz do cudownych nocy w Richmond, gdzie po obiedzie siadywał na tarasie „Berla i Korony“ z cygarem w ustach w towarzystwie Mikołaja Treffry, Traquaire’a, Jacka Herringa i Antoniego Thornwarthy. Jak przednio smakowały wówczas cygara! Biedny stary Nick! — nie żyje! i Jack Herring — także! i Traquaire zginął przez tę swoją żonę, Thornworthy do niczego już, trzęsący się dziad... Nic dziwnego!... Przy jego apetycie!...

Z całej ówczesnej kompanji pozostał on sam tylko; no i Swithin także. Ale co tu robić z taką baryłą?

Trudno uwierzyć, że to tak dawno; on sam czuje się młodym jeszcze! Ze wszystkich myśli, jakie przechodziły mu przez głowę, kiedy tak stał, sortując cygara, ta była najprzykrzejsza, najbardziej gorzka. Pomimo białej swojej głowy i osamotnienia pozostał młodym, z sercem pełnym wciąż jeszcze iluzji... A te popołudnia niedzielne, kiedy on i mały Jolyon włóczyli się po Spaniard’s Road, zapuszczając się aż do Highgate, do

Child's Hill, a potem powracali znów do Heath na obiad do hotelu Jacka Straw'a. Jakie delicyjne były wówczas jego cygara! A jakie noce balsamiczne! Niema już teraz takich nocy!

Kiedy Juna była pięcioletnim bąkiem, i kiedy co drugą niedzielę prowadził ją do Zoologicznego Ogrodu, odciągając małą od towarzystwa zacnych kobiet: babki jej i matki, i kiedy stawali nad niedźwiedzią jamą, przynęcając nasadzonemi na koniec parasola ciastkami najulubieńsze niedźwiadki dziecka, jaki smak miały wówczas cygara!

Cygara! Nie udało mu się nawet przeżyć własnego podniebienia — słynnego podniebienia, na które przysięgano, jak na brodę proroka, w piątym i szóstym dziesiątku stulecia i o którym mówiono:

— Forsyte — najlepsze podniebienie w całym Londynie!

Podniebienie to stało się w pewnej mierze źródłem jego majątku, jego kariery, jako znanego powszechnie właściciela hurtowni herbaty. Firma Forsyte i Treffry, której herbata słynęła romantycznym swoim aromatem, czarem wyjątkowej oryginalności. Nazwę firmy owiewała szczególna atmosfera tajemniczości i niesłychanej przedsiębiorczości, umiejętności zawierania specjalnych umów z najlepszymi towarzystwami przewozowemi, wybierania wyjątkowych portów, zawiązywania stosunków bezpośrednio ze Wschodem.

Napracował się w tej branży! W owych czasach ludzie umieli pracować! Dzisiejsza młodzież nie rozumie wcale znaczenia tego wyrazu. On sam osobiście wglądał w najdrobniejszy szczegół, wiedział o wszystkim, co się dzieje, przesiadywał czasem całe noce przy pracy. Osobiście też wybierał zawsze swoich agentów, chlubił się tem. Jego umiejętność dobierania ludzi, mawiał, stanowiła tajemnicę jego powodzenia. Wykorzystywanie mistrzow-

skiego tego daru było właściwie jedyną stroną jego fachu, którą prawdziwie lubił. Dla człowieka, obdarzonego takimi jak on zdolnościami, nie była to odpowiednia karjera życiowa. Teraz nawet, kiedy firma, przeistoczona na Towarzystwo Akcyjne, chyli się ku upadkowi (wycofał oddawna swój udział), doznawał ostrego uczucia żalu, ilekroć myślał o tych czasach. Mógł dokonać czegoś o wiele lepszego! Mógłby być świetnym adwokatem! Myślał nawet o kandydowaniu do parlamentu. Jak często mawiał do niego Mikołaj Treffry:

— Mógłbyś stać się czem chcesz, mógłbyś odważyć się na wszystko, Jo, gdybyś nie był tak przekłęcie ostrożny i taki dbały o siebie!

Kochany stary Nick! Zaczny chłop! Szkoda tylko, że taki postrzeleniec i hulaka! Znali go wszędzie jak zły szeląg. Ten zato nigdy nie dbał o siebie. Umarł też.

Stary Jolyon sortował swoje cygara, zastanawiając się, czy on sam nie był może zanadto dbały o siebie i przeczorny.

Umieścił wreszcie cygarniczkę w bocznej kieszeni tużurka, zapiął ją i, utykając na obie nogi kolejno, opierając się o poręcze długiego szeregu schodów, powrócił na górę do swojej sypialni. Dom był zbyt obszerny. Jak Juna wyjdzie zamąż — o ile naprawdę nie odstąpi od swojego kaprysu i poślubi tego chłopca; znając dziewczynę, można być pewnym, że to uczyni — wynajmie dom, a sam zamieszka w jednym pokoju w pensjonacie. Po kiego licha trzymać półtuzina służby, biorącej się wciąż wzajem za lby?!

Na dzwonek jego zjawił się lokaj — okazały mężczyzna z brodą, stąpający miękkim, cichym krokiem i niezwykle milczący. Jolyon kazał mu przygotować ubranie; chce iść na obiad do Klubu.

— Od jak dawna wrócił powóz po odwiezieniu miss

Juny na stację? O drugiej? Niech zajedzie o wpół do siódmej.

Klub, do którego wszedł stary Jolyon z uderzeniem siódmej godziny, był jedną z owych politycznych organizacyj dla zamożnego wyższego mieszczaństwa, pamiętających lepsze w przeszłości dni. Pomimo że dużo mówiono o jego likwidacji — kto wie, czy właśnie nie dlatego — zdradzał „Rozłam“ (tak brzmiała nazwa klubu), zbijającą z tropu żywotność. Ludziom sprzykrzyło się powtarzać, że „Rozłam“ jest w przededniu końca. Stary Jolyon powtarzał to również, zachowywał się jednak wobec tego faktu z obojętnością, drażniącą członków solidnie zorganizowanych klubów.

— Dlaczego nie wypisujesz się z listy członków? — irytował się nieraz Swithin. — Dlaczego nie wstępujesz do „Poliglota“? Nigdzie w całym Londynie nie dostaniesz takiego wina jak nasz Heidsick po dwadzieścia szylingów za butelkę — i, zniżając głos, dodał: — Zostało go już tylko pięć tysięcy tuzinów. Pijam je regularnie co wieczór.

— Pomyślę o tem — odpowiadał Jolyon, ilekroć jednak przychodziło mu na myśl wykonać zamiar, przypominał sobie o pięćdziesięciu gwineach wpisowego, które zwróciłyby mu się dopiero po czterech czy pięciu latach. Poprzestawał więc w dalszym ciągu na myśleniu tylko o tem.

Za stary już jest, żeby się bawić w liberała. Oddawna przestał wyznawać polityczne doktryny swojego klubu, pozwalał sobie nawet, mówiąc o nich, nazywać je „wierutnym nonsensem“, sprawiało mu jednak przyjemność pozostawanie w charakterze członka w szponach instytucji, głoszącej zasady tak sprzeczne z jego własnymi. Zawsze zresztą miał pogardę dla klubu tego, do którego wstąpił przed wielu laty po nieprzyjęciu go do „Rozmaitości“ na tej zasadzie, że zajmuje się „handlem“.

Jakgdyby nie był tyleż wart co każdy z nich! Pogardzał, rzecz prosta, klubem, do którego został przyjęty. Członkowie jego — to sama holota, wielu z nich mieszka nawet wprost w samym City — agenci giełdowi, obrońcy sądowi, urzędnicy licytacyjni — licho wie kto jeszcze! Jak większość ludzi silnego charakteru, nie zdobywających się jednak na oryginalność, mało cenił stary Jolyon sferę, do której sam należał. Stosował się wiernie do jej obyczajów towarzyskich i innych, w duchu jednak uważał wszystkich jej członków za „mizerną holotę“.

Lata i filozofja życiowa, którą zdobył w ich przebiegu, przyćmiły pamięć porażki, doznanej w „Rozmaitościach“, i teraz w myślach jego wzniosły się one do godności „Króla Klubów“. Byłby już członkiem jego od lat wielu, ale wprowadzający go Jack Herring tak ślamazarnie zabrał się do zadania, że zarząd klubu nie zdawał sobie wcale sprawy, jakie robi głupstwo, odrzucając starego Jolyona. Syna jego, Jolyona juniora, przyjęto odrazu! Bodaj że nawet jest w dalszym ciągu jego członkiem; przed ośmiu laty otrzymał ojciec datowany z tamąd list od syna.

Nie był w „Rozłamie“ od miesięcy już. Przez ten czas odświeżono lokal, pstrząc go barwną dekoracją ścian, jak zwykło się czynić ze starymi domami i starymi okrętami, aby łatwiej móc je sprzedać.

— Wstrętny kolor tapety w palarni! — pomyślał.
— Ale jadalnia wcale niczego.

Mroczno-czekoladowy odcień, ożywiony jasno-zielonymi szlakami, odpowiadał jego gustowi.

Zamówił dla siebie obiad i usiadł w tym samym kącie, a może przy tym samym nawet stole (niewiele znac było postępu w „Rozłamie“-klubie o radykalnych niemal zasadach), przy którym on i Jolyon junior zwykli siadywać przed dwudziestu pięciu laty, ilekroć zabierał syna do teatru podczas świąt czy wakacyj.

Chłopiec wielbił teatr i stary Jolyon przypomniał sobie syna, siadującego zazwyczaj naprzeciw niego i usiłującego ukryć podniecenie pod pozorem udawanej, zbyt przejrzystej jednak obojętności.

Zamówił teraz taki sam obiad, jaki wybierał zawsze jego chłopak — rosół, rzeczną rybę, kotlet i kawałek tortu. O, gdyby tak mieć go teraz naprzeciw siebie!

Nie widzieli się już od czternastu lat. Nie po raz pierwszy od tego czasu zadawał sobie stary Jolyon dręczące pytanie, czy w owej sprawie z synem nie zawinił też trochę i on sam. Nieszczęśliwa miłość dla niegodziwej flirciarki, Danae Thornworthy, obecnie Danae Pellow, córki Antoniego Thornworthy, rzuciła młodego człowieka w ramiona matki Juny. Powinien był może niedopuszczyć do ich pobrania się; byli zbyt młodzi oboje, przekonawszy się jednak o nadmiernej wrażliwości chłopca, pragnął ojciec widzieć go jak najprędzej ustalonym w bezpiecznym porcie małżeńskim. Po czterech latach runął gmach! Niepodobieństwem było oczywiście stanąć wówczas po stronie syna; rozsądek i tradycje — to połączenie potężnych czynników, zastępujących mu niezłomne zasady, głosiły niepodobieństwo bronienia syna, serce jednakże wołało inaczej. Ponura bezwzględność całej sprawy wykluczała wszelkie liczenie się z uczuciem. Istniała wszakże Juna, maleńka kruszyna z płomiennymi włosami; oplotła się ona, owinęła dokoła starego Jolyona, wrosła mu w serce, stworzone na zabawkę i umiłowane schronienie drobnych nieporadnych istotek. Z całą trzeźwością zdawał sobie sprawę, że musi zdecydować się na rozstanie z wnuczką lub z synem. Półśrodki nie zdadzą się nanic w podobnej sytuacji. Na tem polegała cała tragedia. I drobna, bezbronna istotka odniosła zwycięstwo. Nie będzie uganiał się za zającem, ani polował z chartami. Rozstał się z synem.

Rozstanie to trwało dotychczas.

Swojego czasu zaproponował wypłacanie Jolyonowi juniorowi zmniejszonej, ale stałej pensji, propozycja jego została jednak odrzucona. Bodaj że odrzucenie to dotknęło go bardziej niż wszystko inne, pozbawiając go ostatniej możliwości wyładowywania w ten chociażby sposób swojego uczucia dla syna, starcząc za namacalny, nieodwołalny dowód ostatecznego zerwania, jakim musiało być z konieczności podobne zrzeczenie się wszelkiej wspólnoty własności.

Obiad nie smakował Jolyonowi. Szampan wydał mu się cierpki; nie taki, jak Veuve Clicquot z dawnych dni!

Przy czarnej kawie przyszło mu na myśl pojechać na operę. Kazał sobie podać Times'a — nie uznawał innych dzienników — i przejrzał kolumnę widowisk na ten wieczór. Dawano „Fidelia“.

Chwała Bogu, że nie jedną z nowomodnych niemiec-
kich pantomin zwarjowanego tego Wagnera.

Włożył dawny szapoklak operowy, który ze swoim splaszczonem przez użycie randem i wysokim kształtem starczył za żywy emblemat wspanialszej przeszłości; wciągnął na ręce parę lawendowego koloru rękawiczek, wydających mocny zapach rosyjskiego juchtu wskutek stałego przebywania w kieszeni w bezpośrednim sąsiedztwie skórzanej cygarniczki, i kazał sprowadzić doróżkę.

Powozik potoczył się wesoło po ulicach, których nie-
zwykle ożywienie uderzyło starca.

— Hotele muszą robić kolosalne obroty — pomyślał. Przed kilku laty nie było tutaj jeszcze ani jednego z wielkich tych gmachów hotelowych. Uśmiech zadowolenia błysnął na jego twarzy na wspomnienie o własności gruntowej, jaką posiadał w tej okolicy. Wartość jej podskoczyła niewątpliwie olbrzymio! Świetny interes!

Myśl ta naprowadziła go wszelako na splot dziwnie oderwanych, tak mało cechujących członków rodu Forsytów, refleksyj, w których snuciu tkwiła poczęści tajemnica jego przewagi nad nimi wszystkimi. Jakiemi drobinami są ludzie! Ile tych drobin! Co się z nimi wszystkimi stanie?

Potknął się, wysiadając z dorożki, zapłacił woźnicy ściśle bez napiwku, ile się należało, poszedł w kierunku kasy, aby kupić bilet i stał z portmonetką w ręce — nie uznawał zwyczaju młodych ludzi obecnego pokolenia, lubiących nosić pieniądze po kieszeniach „luzem“. Kasjer wychylił się z budy, niby warujący stary pies.

— O, zawołał ze zdumieniem — to pan Jolyon Forsyte! Nie mylę się! Jak mi Bóg miły! Nie widziałem już łaskawego pana od lat! Drogi, szanowny panie! Inne były dawniej czasy! Tak, tak, pan szanowny, i pański brat, i pan Traquair z sali licytacyjnej, i pan Mikołaj Treftry — abonowaliście zawsze po sześć, siedem krzesel u nas co sezon. Jakże zdrowie pańskie? Nie młodniejemy, nie, nie!...

Czerstwa twarz starego Jolyona okryła się ciemniejszym jeszcze rumieńcem; zapłacił swoją gwineję. Nie zapomniano go więc! Wszedł do sali teatralnej równocześnie z rozpoczęciem uwertury, jak stary koń bojowy na sygnał do ataku.

Splaszczony swój szapoklak, usiadł, ściągnął, i starannie złożył jak to czynił ongiś, lawendowego koloru rękawiczki i przyłożył do oczu lornetkę, żeby rozejrzeć się po sali. Odjąwszy ją wreszcie i opuściwszy na złożony szapoklak, utkwiał wzrok w kurtynę. Dotkliwiej niż kiedykolwiek poczuł, że skończyło się już dla niego wszystko. Gdzie się podziały wszystkie kobiety, wszystkie owe ładne kobiety, których tak tu było zawsze pełno? Co się stało z dawnym owem zamieraniem serca w oczekiwaniu pierwszych tonów którego z wielkich śpiewa-

ków? Co z uczuciem upojenia życiem i zdolnością wchłaniania w siebie jego rozkoszy?

Najzarliwszy bywalec operowy swojego czasu! Jakie tam teraz opery?! Ten zwarjowany Wagner zmarnował wszystko; niema melodji, niema pieśni, niema głosów do śpiewania ich. O, cudowni dawni śpiewacy! Niema już śladu po nich! Siedział, słuchając śpiewania dobrze znanych scen, i tępy ból ścisnął jego serce.

Od srebrnego pierścienia włosów, zaczesanych za uszy aż do ułożenia stóp obutych w czarne rozciągane gumami na bokach półbuciki, nie było nic starczo zniekształconego i osłabłego w całej postaci starego Jolyona. Siedział tak samo — a przynajmniej prawie tak samo — wyprostowany jak za dawnych czasów, kiedy przychodził tutaj co wieczór; i wzrok też zachował równie dobry, a przynajmniej prawie równie dobry. Natomiast, jakie uczucie znużenia życiem i utracenia wszelkich co do niego ułud!

Przywykł przez całe życie cieszyć się każdą rzeczą — bodaj nawet daleką od doskonałości — tyle jest na świecie rzeczy niedoskonałych! — używał ich jednak powściągliwie, aby jak najdłużej zachować młodość. Teraz utracił już tę umiejętność cieszenia się życiem, utracił zdolność filozoficznego zapatrywania się na nie; pozostało mu tylko przeraźliwe uczucie, że wszystko się już dla niego skończyło. Ani nawet chór więźniów, ani pieśń Florjana nie były w stanie rozproszyć ponurych jego myśli.

Gdyby chociaż Jo był przy nim! Musi już mieć teraz czterdzieści lat. Zmarnował czternaście lat życia jedyne go swojego syna. A przecież Jo przestał już być parjasem społecznym. Jest żonaty. Stary Jolyon nie był zdolny oprzeć się chęci zaznaczenia swojego uznania dla tego kroku syna przez posłanie mu czeku na 500 funtów. Czek został mu zwrócony w liście, datowanym z „Rozmaitości“ i zawierającym słowa następujące:

„Najdroższy ojcze!

Hojny dar twój był mi miły, jako oznaka, że nie sądzisz o mnie tak źle. Zwracam ci go, gdybyś jednak uważał za właściwe ulokować sumę tę na rzecz malca (nazywamy go Jolly), który nosi wspólne nasze imię i, tytułem obyczaju społecznego, nasze nazwisko, bardzo będę rad.

Mam z głębi serca nadzieję, że zdrowie twoje jest równie dobre jak zawsze.

Twój kochający syn

Jo.“

List był kubek w kubek jak sam chłopak. Zawsze serdeczny i miły w obejściu. Stary Jolyon odpowiedział:

„Drogi mój Jo!

Suma („£ 500“) wciągnięta jest do moich ksiąg na rzecz twojego chłopca pod nazwiskiem Jolyona Forsyta, i została oprocentowana prawnie na pięć od sta. Mam nadzieję, że dobrze ci się powodzi. Zdrowie moje dotychczas jeszcze dobre.

Z wyrazami miłości

Twój kochający cię ojciec
Jolyon Forsyte.“

Co roku 1 stycznia dodawał do kapitału tego setkę oraz procenty. Suma rosła; w najbliższy Nowy Rok wyniesie tysiąc pięćset i kilka funtów! Trudno byłoby powiedzieć, ile satysfakcji sprawiała mu ta coroczna transakcja. Korespondencja ich urwała się jednak na owych dwu listach.

Pomimo miłości dla syna, pomimo instynktownego uczucia (poczęści wrodzonego, poczęści zaś, jak u tysięcy osób jego warstwy społecznej, wynikłego z ciągłego obracania się w sferze interesów), które skłaniało go do sądzenia ludzi z rezultatów ich prac raczej anizeli wedle

własnych zasad, tkwiło w głębi jego serca dziwne rozdwojenie. W danych okolicznościach powinien był syn właściwie zmarnieć doszczętnie; tak się zawsze czytało o tem w powieściach, kazaniach i sztukach teatralnych, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się czytać, słyszeć lub oglądać na scenie.

Po otrzymaniu czeku zpowrotem był stary Jolyon zupełnie zbity z tropu. Coś wydawało mu się nie w porządku. Dlaczego syn jego nie zeszedł na psy? A zresztą, skąd można było to wiedzieć?

Słyszał — postarał się oczywiście sprawdzić to — że Jo mieszka w St. James Wood, że posiada mały domek z ogrodem na Wistaria Avenue, że żona jego bywa z nim w towarzystwie — w towarzystwie nieszczególnem, rozumie się — że mają dwoje dzieci, że chłopaczka nazywają Jolly¹⁾ (w danych warunkach brzmiało imię to nieomal cynicznie, a stary Jolyon nie lubił cynizmu i zarazem bał się go), a dziewczynkę — urodzoną już w małżeństwie — Holly. Skąd możnaby się poinformować, jakie są naprawdę materialne warunki syna? Wiedział tyle jedynie, że skapitalizował on rentę otrzymaną, jako schedę, po ojcu matki i wstąpił jako skromny urzędnik, do biur Lloyd'a; poza tem malował obrazy akwarelą. Stary Jolyon wyszperał to i kupował je w sekrecie od czasu do czasu, spostrzegłszy przypadkiem podpis syna pod jednym z pejzażów, przedstawiających rzekę Tamizę i wystawionych w oknie handlarza obrazów. Uważał je za marne i nie zawieszał ich na ścianie przez wzgląd na podpis; chował je też stale w szufladzie.

W wielkiej sali operowej ogarnęła go niezmożona tęsknota za synem. Odtwarzał w pamięci swojej wizje dalekiej przeszłości, kiedy malec w brązowym płóciennym

¹⁾ Jolly — wesoły.

nem ubranku lubił prześlizgiwać się pod łukiem rozstawionych ojcowych nóg, potem czasy, kiedy on sam biegł obok kucyka chłopca, ucząc go konnej jazdy; dalej dzień, w którym po raz pierwszy zaprowadził syna do szkoły... Chłopczyzna taki był przylepny i dający się kochać! W kolegjum w Eton zyskał w zbyt wielkim może stopniu owe pożądane manjery, które, jak wiedział stary Jolyon, nabyć można tylko w tego rodzaju szkole, bardzo znacznym kosztem; zawsze wszelako niezmiennie był miły i serdeczny w obcowaniu. Zawsze też był mu towarzyszem — nawet po Cambridge — jakkolwiek uniwersytet oddalił go nieco od rodziny wskutek zyskanych tam wszelkiego rodzaju plusów. Stosunek starego Jolyona do krajowych szkół publicznych i „uniwerków“ pozostał zawsze niezachwiany, zachował też wzruszające uwielbienie, niewolne jednak od pewnego rodzaju nieufności w stosunku do systemu kształcenia, stosowanego w wyższych uczelniach, z których nie było mu danem korzystać samemu...

Teraz, kiedy Juna odjechała i opuściła dom, a raczej prawie, że go opuściła, pociechą byłoby dla niego widzenie się z synem. Czując, że myślą tą popełnia zdradę wobec swojego rodu, swoich zasad i swojej warstwy, usiłował stary Jolyon zająć się wyłącznie słuchaniem śpiewaka. Marny aktorzyzna! — marny nieudolny partacz! A Florjan... niczem kij!

Już po dawnej operze. Jak łatwo zadowolnić dzisiejszą publiczność!

Na ulicy udało mu się złapać dorożkę z przed nosa opasłemu, znacznie młodszemu jegomościowi, który uważał ją już za swoją własność. Droga jego wiodła poprzez Pall Mall, ale, dojechawszy do rogu, zamiast pojechać w kierunku Green Parku, skręcił dorożkarz na ulicę St. James. Stary Jolyon wyciągnął już rękę przez okienko (nie znosił, aby wożono go niewłaściwą drogą), w tej

samej jednak chwili, odwróciwszy się, spostrzegł, że znajduje się naprzeciwko klubu „Rozmaitości“. Tęsknota, która żarła go cały wieczór, wzięła górę. Kazał dorożkarzowi zatrzymać się. Zdecydował się wejść i zapytać, czy Jo należy jeszcze do klubu.

Wszedł. Hall klubowy zachował w zupełności dawny swój wygląd z czasów, kiedy bywał tutaj na obiadach w towarzystwie Jacka Herringa, jako że miano tu najlepszego kucharza z całego Londynu. Rozejrzał się dookoła bystrym, władczym swoim wzrokiem, który sprawiał, że zawsze lepiej bywał obsługiwany, aniżeli wszyscy inni.

— Czy pan Jolyon Forsyte jest jeszcze członkiem waszego klubu? — zwrócił się do lokaja.

— Tak, proszę pana, jest obecnie tutaj. Kogo mam zameldować?

— Ojca jego.

Jolyon junior, już na wychodnem z klubu, włożył kapelusz i przechodził przez hall, kiedy portjer zatrzymał go. Niemłody był już, siwiejący, z twarzą zbiedzoną — nieomal kopją ojcowej i krzaczastym opadającym jego wąsem. Zbladł mocno. Spotkanie to po tylu latach było straszne; niczego tak panicznie nie bał się, jak wszelkich scen. Zetknęli się obaj i podali sobie ręce bez słowa. Wreszcie ojciec ze drzeniem w głosie zapytał:

— Jak się masz, mój chłopcze?

— Jak się masz, ojczy?

Obciśnięta rękawiczką lawendowego koloru dłoni starego Jolyona drgnęła.

— Jeżeli idziesz w moją stronę — rzekł — mogę cię podwieźć.

I jakgdyby stale, co wieczór, odprowadzali się wzajem do domu, wyszli razem i wsiedli do dorożki.

Staremu Jolyonowi wydało się, że syn jego urósł. — Zmężniał w każdym razie — pomyślał. Uprzejmy

zawsze wyraz twarzy chłopca przysłaniała teraz maska nieco sardoniczna, jakgdyby warunki jego życia nakażywały mu zbrojenie się w nią. Rysy jego twarzy były niezaprzeczenie charakterystyczne dla rodu Forsytów, miały wszelako w wyrazie swoim obce innym członkom rodziny skupienie uczonego czy filozofa. Tak, przez te lat piętnaście musiał często niewątpliwie skupiać się i zwierzać w samym sobie!

Dla młodego Jolyona był pierwszy rzut oka na ojca wstrząsający do głębi. Miał wygląd taki starczy i znużony! Kiedy jednak siedzieli już w dorożce, wydał mu się ojciec prawie niezmieniony, niewzruszenie spokojny, jakim go zawsze pamiętał, wyprostowany i spoglądający jak dawniej bystrym, władczym swoim wzrokiem.

— Dobrze wyglądasz, papo.

— Średnio — odparł stary Jolyon.

Owładnął nim niepokój, który, czuł to dobrze, musi wyrazić słowami. Odzyskawszy tak niespodzianie syna, rozumiał, że musi dowiedzieć się przedewszystkiem, jaka jest jego sytuacja finansowa.

— Jo — rzekł — chciałbym wiedzieć, jak tam u ciebie z flotą? Przypuszczam, że musisz być zadłużony po uszy?

Umyślnie nadał zapytaniu swojemu tego rodzaju formę, aby ułatwić synowi wyznanie.

Jolyon odparł z pewnym, właściwym mu odcieniem ironji:

— Nie, nie jestem zadłużony!

Jolyon ojciec wyczuł w jego tonie urazę; ujął go delikatnie za rękę. Popułnił krok ryzykowny. Musiał jednak narazić się na to, zresztą Jo nie zachowywał się nigdy szorstko względem niego. Jechali przez chwilę w milczeniu. Dorożka stanęła przed domem starego Jolyona, który gestem ręki zaprosił syna, aby wszedł za nim, ale Jolyon junior potrząsnął głową.

— Juny niema — dodał ojciec pośpiesznie — pojechała z wizytą. Wiesz pewnie, że jest zaręczona?

— Już?

Jolyon senior wysiadł z dorożki i, płacąc woźnicy, po raz pierwszy w życiu dał mu przez omyłkę suwerena zamiast szylinga.

Obdarowany wzięwszy zwyczajem dorożkarzy monetę pomiędzy zęby, zaciął cichaczem konia i szybko odjechał.

Stary Jolyon obrócił niedosłyszalnie klucz w zamku, otworzył drzwi i dał znak synowi. W chwili, kiedy zawieszał palto na kolku, syn spojrział na niego i dostrzegł na jego twarzy wyraz chłopaka, wybierającego się do cudzego ogrodu na wiśnie.

Drzwi jadalni były otwarte, gaz palił się zmniejszonym płomieniem. Na stole syczała spirytusowa maszynka pod imbrykiem, a tuż przy tem spał, mrużąc cynicznie oczy, stary kot. Jolyon-ojciec spędził go przyciszonym „a sio!“ Drobnym ten incydent ulżył mu, osłabiając nieco napięcie jego uczuć. Pogroził jeszcze zwierzęciu splaszczonym swoim szapoklakiem.

— Ma pchły — rzekł, wypędzając kota z pokoju. Po-przez drzwi w hallu, prowadzące do sutereny, syknął kilka razy jeszcze na zwierzę: „Ssst!“ jakgdyby przyśpieszając tem uwolnienie się od kota, gdy nagle dziwnym zbiegiem okoliczności ukazał się z dołu lokaj.

— Możesz iść spać, Parfitt — rzekł gospodarz domu.
— Sam pozamykam drzwi i pogaszę światła.

Kiedy jednak powrócił do jadalni, kot wskoczył do pokoju przed nim, zadarłszy ogon wesoło wgórze, jakgdyby dając w ten sposób do zrozumienia, że manewr odesłania lokaja nie był dla niego niespodzianką. Podstępny starego Jolyona w stosunku do domowników nie udawały mu się nigdy. Stale prześladowała go na tym punkcie fatalność.

Jolyon-syn uśmiechnął się mimowoli. Przywykł do ironicznego traktowania rzeczy; tego wieczora specjalnie napraszało się wszystko w jego oczach na ironję. Epizod z kotem; zawiadomienie o zaręczynach własnej córki. Tyleż więc miał do niej prawa, ile do tego kota! Przemówiła do jego duszy cała poetyczna sprawiedliwość tego faktu.

— Jak wygląda teraz Juna?

— Drobna, maleńka — odparł ojciec — utrzymują, że jest podobna do mnie. Mylą się. Raczej przypomina matkę twoją — te same oczy i włosy.

— O?! Zatem jest ładna?

Jolyon senior był zanadto Forsytem, ażeby chwalił cokolwiek otwarcie, nadewszystko coś, co szczerze wielbił.

— Niczego sobie — ma prawdziwie Forsytowski podbródek. Smutno tu będzie, jak wyjdzie z domu, mój Jo.

Wyraz jego twarzy ponownie szarpnął syna za serce, jak w pierwszej chwili ich spotkania.

— Jak się urządzisz, ojczy? Mała musi być po uszy zakochana w nim?

— Jak się urządzę? — powtórzył stary Jolyon w nagłym wybuchu rozdrażnienia. — Nie będzie należało do przyjemności pozostawanie tu samemu. Nie mam pojęcia, jak to się skończy. Chciałbym doprawdy... — Powstrzymał się i dodał: — Najważniejsze, co zrobić z domem?

Jolyon młodszy rozejrzał się po pokoju. Wydał mu się szczególnie ponurym i wielkim ze swojemi dekoracjami ściennymi w postaci olbrzymich martwych natur, pamiętnych mu jeszcze z czasów chłopięcych i przedstawiających uśpione psy z nosami wetkniętymi w więzie marchwi, porozrzucane w artystycznym nieładzie pomiędzy wiankami cebul i kiściami winogron. Dom był kolosalny, nie mógł sobie jednak Jolyon wyobrazić ojca,

mieszkającego w ciasniejszych ramach, tem bardziej więc wydawało mu się to wszystko godnem ironji.

W wielkim swoim fotelu poręczowym siedział stary Jolyon Forsyte, głowa rodu, klanu i wierzeń, z siwą głową i sklepieniem kopulasto czołem, przedstawiciel umiarkowania i ładu, czciciel własności. Najbardziej samotny starzec, jaki istnieć mógł w całym Londynie.

Siedział tak wpośród ponurego przepychu komnaty, jako igraszka w rękach wielkich potęg, niedbających o względy rodu, klanu czy wierzeń, i wiodących nieubłaganie ku nieuniknionemu końcowi. W tej właśnie postaci ujawnił się obraz ojca wpatrzonym w niego bezstronnie oczom syna.

Biedne, stare ojczyisko! Takim więc był koniec, do którego zmierzał, takim cel, w imię którego poświęcił tak wspaniałomyślną powściągliwość całego życia?! Coraz większe starzenie się, w coraz większem osamotnieniu, z nieukojoną tęsknotą za żywą duszą, z którą mógłby zamienić słowo.

Teraz z kolei przyjrzał się stary Jolyon synowi. Chciał pomówić z nim o wielu rzeczach, o których nie miał z kim mówić w ciągu tylu lat. Niepodobieństwem było poważnie wpoić w Junę przekonanie, że posiadłość w dzielnicy Soho musi wzrastać w cenie; nie mógł powierzyć jej swojego niepokoju z powodu niepojętego milczenia Pippina, naczelnego dyrektora Nowej Spółki, eksploatującej kopalnię węgla, której prezesem był przez tak długi czas; nie mógł zwierzyć jej się z obaw swoich, związanych ze stałym spadkiem wartości udziałów pewnego koncernu amerykańskiego, ani nawet dyskutować z nią w jaki sposób, drogą specjalnego rozporządzenia swoim majątkiem, zdoła ustrzec swoich sukcesorów od zapłacenia kolosalnego podatku spadkowego, jaki obciążylby ich po jego śmierci. Wreszcie, w miarę popijanej filizanki herbaty, którą zdawał się mieszać automatycznie,

zdobył się na rozpoczęcie swoich zwierzeń. Otwarła się w ten sposób przed nim nowa perspektywa życia, ziemia obiecana możliwości odsłonięcia przed istotą bliską własnej duszy, zatem możliwości znalezienia przystani, zabezpieczającej przeciwko przyływowi żalów i ponurych przewidywań, kojącej go narkotykiem obmyślenia, w jaki sposób najkorzystniej zaokrąglić swoją własność i unieśmiertelnić jedyną część jego istoty, która nie ulegnie zagładzie.

Jolyon-syn umiał słuchać; stanowiło to jego wielką zaletę. Nie odrywał oczu od twarzy ojca, od czasu do czasu tylko zadając mu pytania.

Wybiła pierwsza, zanim Jolyon senjor skończył. Na dźwięk zegara przypomniał sobie swoje zasady. Wyjął z kieszeni zegarek i spojrzał ze zdumieniem na wskazówki.

— Muszę położyć się, Jo — rzekł.

Jolyon młodszy wstał i wyciągnął ramię, aby pomóc ojcu podnieść się. Starcza twarz przybrała znów wyraz znużenia i zgnębienia; oczy odwracały się uparcie.

— Dobranoc, mój chłopcze; myśl o sobie.

Minęła jeszcze chwila, poczem Jolyon-syn zawrócił ku drzwiom. Wzrok mu się zmacił; uśmiech znikł z jego twarzy. Nigdy przez całe te piętnaście lat, od czasu, jak przekonał się po raz pierwszy, że życie nie jest rzeczą łatwą, nie wydało mu się ono tak bardzo skomplikowanym.

ROZDZIAŁ III.

OBIAD U SWITHINA

W błękitno-oranżowej, wychodzącej na park, jadalni Swithina nakryty był stół na dwanaście osób.

Kryształowy pajak z zapalonymi świecami zwisał ze stropu ponad stołem, podobny do olbrzymiego stalak-

tytu, załamujący rzucane promienie świetlne w taflach wielkich zwierciadeł o złotych ramach, rzucający błyski na płyty marmuru, jakimi wyłożone były boczne stoły, na obramowanie ciężkich, złożonych, wysłanych gobelinem foteli. Każdy sprzęt w pokoju świadczył o umiłowaniu piękna, tak głęboko wkorzenionem w rodzinach, które własną zasługą wydzwignęły się z pierwotnej popospolitości na wyższy szczebel życia społecznego. Swithin nie znosił prostoty, wielbiąc, natomiast, wykwent, co wyrobiło mu wśród jego koła towarzyskiego opinię człowieka o szerokim rozmachu zbyt kownych upodobań. Świadomość, że każdy, kto przestępował próg jego domu, dostrzegł od razu, iż znajduje się w siedzibie bogacza, dawała mu trwale i niezmiennie uczucie zadowolenia, jakim nie darzyły go może żadne inne warunki jego życia.

Od czasu swojego wycofania się z pośredniczenia w sprzedawaniu domów, który to zawód, zwłaszcza dział jego licytacyjny, wydawał mu się upokarzającym, poświęcił się zadawalnianiu arystokratycznych swoich upodobań.

Przepych i zbytek, w jakim żył w ciągu ostatnich lat, upodobnił go do muchy, pławiącej się w miodzie; w umyśle jego, niczem niezajętym od rana do wieczora, krzyżowały się prądy dwu szczególnie sprzecznych uczuć: stałego, niezmiennego zadowolenia, że udało mu się, idąc własnymi drogami, zdobyć majątek — i przeświadczenia, że człowiek, pragnący we własnem bodaj pojęciu uchodzić za dystyngowanego, nie powinien nigdy brukać umysłu swojego pracą.

Stał przy kredensie w białej kamizelce z wielkimi złotymi i onyksowemi guzikami, przyglądając się lokajowi, zanurzającemu w kąpiel z lodu szyjki trzech butelek szampana. Bezkrwiste fałdy jego podbródka uwięzione były pomiędzy szpicami stojącego kołnierzyka, którego, pomimo że przeszkadzał mu w poruszaniu

głową, nie zgodziłby się pod żadnym pozorem zmienić na wygodniejszy. Oczy jego prześlizgiwały się z butelki na butelkę. Rozważał w myśli, rozumując w sposób następujący:

— Jolyon wypija szklaneczkę, albo co najwyżej dwie; bardzo dba o swoje zdrowie. Jamesowi niewolno teraz wcale pić wina; Mikołaj... Fanny?... I oni napewno złopiają po dawnemu wodę. Soames nie liczy się; chłopcy, bratankowie jego — Soames skończył trzydzieści jeden lat — nie umieją wcale pić! Ale Bosinney? Natrafiwszy w samem brzmieniu nazwiska intruza na coś wykraczającego poza ramy zwykłej swojej filozofji, zahaczył się Swithin. Targnął nim niepokój. Coś jak złe przecucie! Nie umiałby tego określić bliżej!... Juna — to tylko dziewczyna, w dodatku zakochana. Emilja, żona Jamesa, nie od tego, aby wypić szklaneczkę szampana. A co do Hetty Chessmann! Myśl o starej przyjaciółce zasępiła niezmaconą dotychczas pogodę jego oczu. Można się spodziewać, że wytrąbi odrazu pół butelki.

Wspomnienie pozostałego, ostatniego ze spodziewanych gości rozpromieniło starczą jego twarz, nadając jej wyraz kota pomrukującego z zadowolenia. Pani Soamesowa! Może nie wypije wiele, potrafi jednak ocenić zalety wina, które jej podadzą. Przyjemnie jest podać jej dobre wino! Śliczna kobieta — prawdziwie z nią sympatyzuje!

Sama myśl o niej podniecała jak szampan. Przyjemnością jest podawanie dobrego wina młodej kobiecie, takiej pięknej, tak doskonale umiejącej ubierać się, posiadającej tak czarujące manjery, niezmiennie dystygowanej — przyjemnością przyjmowanie jej u siebie. Unieruchomiona pomiędzy dwoma szpicami kołnierzyka głowa jego z wysiłkiem poruszyła się po raz pierwszy tego wieczora.

— Adolffie! — rzekł do lokaja — trzeba wstawić jeszcze jedną butelkę!

On sam wypije także pewnie sporo, bowiem, dzięki receptom doktora Blighta, czuje się wyśmienicie, a nadto był o tyle ostrożny, że nie jadł drugiego śniadania. Odmajając dolną wargę, wydał ostatnie jeszcze zlecenia:

— Adolffie, ździebelko ‚West India‘ jak podasz szynkę.

Wszedł do przedpokoju, usiadł z rozstawionemi kolanami na brzeżku krzesła, i cała jego wysoka, rozłożysta figura zastygła w pozie dziwnej, wyczekującej nieruchomości. W każdej chwili gotów był zerwać się. Od miesiący już nie wydawał proszonych obiadów. Obiad ten, wydany na cześć zaręczyn Juny, wydawał mu się zrazu dokuczliwym kłopotem (w rodzie Forsytów z całym nabożeństwem utrzymywano zwyczaj czczenia zaręczyn uroczystemi obchodami), po uporaniu się wszakże z pracą przy rozesłaniu zaproszeń i wydaniu dyspozycji kucharzowi poczuł się przyjemnie podnieconym.

Siedząc teraz z zegarkiem w ręce, tłusty, wygładzony i lśniący, niczem oselka masła, nie myślał o niczem.

Wysoki mężczyzna, z okazałemi bokobrodami, który niegdyś służył u Swithina, a teraz miał sklep korzenny, wszedł, oznajmiając:

— Pani Chessmann i pani Septymusowa Small!

W tej samej chwili ukazały się dwie panie. Pierwsza, ubrana cała na czerwono, miała duże plamy tej samej barwy na policzkach i bystro spoglądające, żywe oczy. Zbliżyła się do Swithina, wyciągając do niego rękę, uwięzioną w długiej rękawiczce koloru pierwiosnka.

— Jak się masz, Swithinie? Nie widziałam cię już od wieków. Wiesz, mój drogi, że porządnie się od tego czasu roztyłeś!

Wewnętrzne poruszenie Swithina zdradzała jedynie nieruchomość jego wzroku. Zawrzał w nim głuchy,

gniewny bunt. Być otyłym jest rzeczą wulgarną, nawet mówić o otyłości; jest tylko barczysty, nic więcej. Zwracając się do siostry, ujął podaną sobie rękę jej i rzekł tonem nakazu.

— I cóż z tego? Mam się dobrze, Julo.

Pani Septymusowa Small była najwyższą z czterech siostr; pocziwa jej, okrągła starcza twarz miała minę stale zasępioną; złościły ją niezliczone zmarszczki, jak-gdyby do dzisiejszego wieczora wciśnięta była w siatkę z żelaznego drutu, a kiedy maskę tę nagle zdjęto, pozostało po niej na całej twarzy mnóstwo niepoddających się faldek skóry. Nawet oczy jej miały wyraz nadsiania. To był jej sposób stałego wyrażania żalu z powodu śmierci Septimusa Smalla.

Znana była z nieustannego popelniania nietaktów przez mówienie tego, czego nie należało mówić, upór jej wszelako, właściwy wszystkim Forsytom, nietylko nie pozwalał jej nigdy cofać się, ale często podniecał ją do dalszego jeszcze brnięcia w tym kierunku. Wraz ze śmiercią męża utracił jej familijny upór, jej rodzinna trzeźwość sposobność wyladowywania się. Lubując się w prowadzeniu nieskończonych gawęd, ilekroć tylko nadarzała się okazja, wiodła w dalszym ciągu wielogodzinne rozmowy, bez śladu dawnego ożywienia jednak, opowiadając z epiczną monotonią o niezliczonych dowodach prześladowania jej przez Opatrzność. Nie spostrzegła przytem wcale, że słuchacze jej współczuli z Opatrznością tą raczej, aniżeli z nieszczęśliwą jej ofiarą. Zbyt dobre miała serce, aby mogło jej to przyjść na myśl.

Tyle się biedaczka nasiedziała przy łóżku Smalla (który był człowiekiem słabowitym), że weszło to w jej zwyczaj, niezliczone też zdarzały się i w następstwie okazje, w których wypadło jej siadywać, nieraz całemi tygodniami przy łóżkach innych chorych, zabawiać chore dzieci, dorosłych pacjentów i inne przykute do łoża osoby,

nigdy też nie mogła pozbyć się uczucia, że świat jest najniewdzięczniejszym miejscem pobytu dla człowieka. Co niedzielę sadowiła się pod kazalnicą niezmiernie krasomówczego, świetnego kaznodziei, Tomasza Scoles'a, wywierającego na nią zawsze bardzo silny wpływ; udawało jej się jednak przekonać każdego, że i to nawet było nieszczęściem dla niej. Stała się przysłowiową w rodzinie, ilekroć też spostrzegano czyjąś szczególnie posępną minę, mawiano o nim czy o niej:

— Istna Julia.

Stały ten nastrój jej umysłu wystarczyłby do zabicia każdego człowieka, tylko nie Forsyta, przed dojściem do lat czterdziestu, ona zaś miała siedemdziesiąt lat i wyglądała doskonale jak nigdy przedtem. Czulo się też, że drzemią w niej nieujawnione jeszcze możliwości korzystania z życia. Posiadała trzy kanarki, kota Toma i pół papugi — wspólnie z siostrą Hester. Biedne te stworzenia (starannie ukrywane przed nieznoszącym zwierząt Tymoteuszem), namiętnie się do niej przywiązały — w przeciwieństwie do istot ludzkich, co do których nowym wciąż ulegać musiała biedaczka rozczarowaniom.

Imponująco wyglądała tego wieczora w czarnej bombasynowej tualecie z liljowem wstawieniem na przodzie w kształcie nieśmiałego trójkąta, zakończonego czarną aksamitką dokoła cienkiej szyi; połączenie czarnego z liljowym uważane było przez każdego prawie z rodu Forsytów za szczególnie skromne.

Zwróciła się z wyrzutem do Swithina:

— Anna pytała się o ciebie. Nie byłeś u nas od wicków.

Swithin założył wielkie palce obu rąk za wykrój kamizelki i odparł:

— Anna wyraźnie podupada na siłach; należałoby wezwać do niej doktora.

— Państwo Mikołajostwo Forsytle!

Mikołaj Forsyte, podnosząc w górę prostokątne brwi, wszedł z uśmiechem na ustach. Udało mu się w ciągu dnia doprowadzić do skutku swój projekt wykorzystania pracy pewnego szczepu z Górnych Indyj przy eksploataowaniu kopalni złota na Cejlonie. Był to jego ulubiony plan, urzeczywistniony nareszcie pomimo wielkich przeszkód i trudności — nic dziwnego też, że bardzo był zadowolony. Podwoi to wydajność jego kopalni. Jak zwykł często przekonywać, wszelkie doświadczenia życiowe wykazują zawsze jedno i to samo — że człowiek musi umrzeć; czy więc umrze, zmożony przez starość, we własnym kraju, czy też przedwcześnie z powodu wilgotnych wyziewów w głębi kopalni na obcej ziemi — małe ma znaczenie, byleby przez tę zmianę w sposobie swojego życia przynosił korzyść Brytyjskiemu Imperjum.

Sila jego przekonywania była niewatpliwa. Podnosząc przełamany swój nos w kierunku słuchacza, dodawał:

— Z braku kilkuset roboczych rąk nie wypłacamy dywidendy od wielu już lat. Ładnie też wyglądają nasze akcje! Nikt nie chce płacić za nie po pięćdziesiąt szylingów nawet.

Jeździł także do Yarmouth i wrócił ztamtąd, czując się odmłodzonym o dziesięć lat co najmniej. Uścisnął Swithina za rękę, wołając rozradowanym głosem:

— Jesteśmy więc znów razem!

Postępująca za nim żona jego, wymizerowana, nędzna kobiecina, uśmiechnęła się jak na komendę.

— Państwo Jamesowie Forsyte! Państwo Soamesowie Forsyte!

Swithin sprężył się w nieskazitelnej formie.

— Witaj, Jamesie, witaj, Emiljo! Jak się masz Soamesie? Jak się macie wszyscy?

Dłoń jego ujęła rękę Ireny i oczy rozszerzyły mu się z zachwytu. Śliczna kobieta — troszkę za blada, ale jaka

postawa! Jakie oczy! Zęby!... Za piękna dla takiego Soamesa!

Natura uposażyła Irenę w ciemno-brunatne oczy i złote włosy, stwarzając w ten sposób niezwykle połączenie, przykuwające do siebie tęskny wzrok wszystkich mężczyzn i stanowić mające jakoby oznakę słabego charakteru. Ciepła, miękka bladość jej szyi i ramion, wydadtyniona złotawym połyskiem sukni, nadawała całej jej postaci wabiącą cechę obcości.

Soames stał za nią, wpijając żądne oczy w obnażone ramiona żony. Wskazówki zegarka, który Swithin trzymał wciąż jeszcze otwarty na swojej dłoni, dawno przesunęły się poza ósmą. Goście spóźniali się; było już pół godziny po umówionej porze obiadu, gospodarz domu zawrzał buntem zniecierpliwienia.

— Jolyon nie zwykł nigdy spóźniać się! — rzekł do Ireny, niezdolny opanować gniewu. — Napewno zatrzymuje go Juna.

— Zakochani nie znają godzin — odparła.

Swithin wlepił w nią rozogniony wzrok. Ciemno-pomarańczowy rumieniec zabarwił jego policzków.

— Nie widzę powodu. Pewnie to teraz taka głupia moda!

Pod nieopanowanym tym wybuchem niezadowolenia zdawała się tać nieujawniona gwałtowność pierwotnych pokoleń.

— Jak się stryjowi podoba nowa moja gwiazda? — zapytała Irena pieszczotliwym tonem.

Spinając koronki przy wycięciu stanika, błyszcząca pięciopromienna gwiazda zestawiona z jedenastu brylantów.

Swithin przyjrzał się klejnotowi. Znał się dobrze na drogich kamieniach; nie mogła też młoda kobieta zadać mu pytania, zdolnego skuteczniej odwrócić jego uwagę od spóźniania się gości.

— Od kogo ją dostałaś?

— Od Soamesa.

Twarz jej pozostała nieporuszona, mimo to blade oczy Swithina rozszerzyły się, jakgdyby obdarzone nagle zdolnością przenikania cudzych myśli.

— Nudno ci musi być w domu — rzekł. — Gdybyś miała kiedy ochotę przyjść do mnie na obiad, uraczyłbym cię winem, jakiego nie znajdziesz napewno w całym Londynie.

— Panna Juna Forsyte — pan Jolyon Forsytle!... Pan Bosinney!

— Chodźmy do stołu! Proszę! — zawołał Swithin, nie ukrywając podrażnienia i zapraszając gości niecierpliwym gestem.

Podał ramię Irenie pod pretekstem, że nie miał jeszcze od jej ślubu okazji goszczenia jej u siebie. Juna z natury rzeczy należała się Bosinney'owi, umieszczonemu pomiędzy Ireną a narzeczoną. Z drugiej strony Juny siedział James, prowadzący do stołu żonę Mikołaja, potem stary Jolyon z żoną Jamesa, Mikołaj z Hatty Chessmann i wreszcie, zamykający koło biesiadników, Soames z panią Small.

Obiady rodzinne u Forsytów odbywają się wedle ustalonego ceremonjału. Nie podaje się na nich na przykład hors d'oeuvres. Z jakiego dzieje się to powodu, niewiadomo. Młodszy członkowie rodziny przypisują zwyczaj ten potwornie rujnującej cenie ostryg; prawdopodobnie jednak wpływa on z chęci przystąpienia od razu do rzeczy, z rozsądnego przekonania, że hors d'oeuvres zamulają tylko niepotrzebnie żołądek. Jedynie dom Jamesów, niezdolnych oprzeć się ogólnie przyjętemu w Park Lane zwyczajowi, wyłamuje się czasem z tej tradycji.

Ponure nieledwie milczenie, niezwracanie uwagi na współbiesiadników trwa bezpośrednio po usadowieniu

się aż do obniesienia pierwszego dania i wówczas jednak przeplatane bywa krótkimi jeno pytaniami, uwagami i odpowiedziami.

— Tym znów zapadł na zdrowiu.

— Niewiadomo, co mu jest? — Nie, doktor nie umie określić.

— Czy Anna nie zejdzie dzisiaj? Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — nie!

— Kto cię leczy, Fanny?

— Doktor Stabbs.

— Co?! Stabbs?! Ten konował!

— Co się dzieje z Winifrydą?

— Ma za dużo dzieci. Już czwórkę!

— Dlatego wychudła jak szczapa!

— Ile płacisz za to sherry, Swithinie? Trochę za cierpkie jak na mój gust.

Przy drugim kieliszku szampana zapanowuje powszechne ożywienie, ujawniające się w skłóconym szmerze głosów, z pośród których wylania się chwilami tok długiego opowiadania Jamesa, przeciągającego się nieraz aż poprzez moment najwyższego napięcia uroczystości rodzinnego obiadu w rodzine Forsytów. Momentem tym jest podanie „combra jagnięcego“.

Bez tego dania nie może odbyć się żaden obiad w rodzinie Forsytów. W soczystej solidności tego pieczonego jest coś, co szczególnie odpowiada gustom ludzi „na pewnym stanowisku“. Jest pożywne i smaczne; to rodzaj potrawy, której jedzenia nie zapomina się. Ma przeszłość i przyszłość, niby depozyt złożony w banku; jest czemś, co nadaje się jako przedmiot dyskusji.

Każda odnoga rodziny uparcie przywiązana była do poszczególnego miejsca pochodzenia jagniąt. Stary Jolyon przysięgał na Dartmoor, James na Welsh, Swithin na Southdown, Mikołaj utrzymywał, że najlepsze są na Nowej Zelandji. Co się tyczy „oryginała“ Rogera, musiał

on naturalnie wymyślić coś zupełnie nowego, z rodzajem objawienia też, jakgdyby odkrył nowe światy, albo wpadł na pomysł nowego fachu dla swoich synów, oznajmił o wykryciu sklepu, w którym mają niemieckie jagnięta. Kiedy zaś wyrażono wątpliwość co do autentyczności tej informacji, wyciągnął z pugilaresu rachunek rzeźnika, przyczem wykazało się, że płaci za cenny produkt więcej niż wszyscy inni. Przy tej właśnie okazji zwrócił się stary Jolyon do Juny z jedną z częstych filozoficznych swoich uwag:

— Wierz mi, że Forsytowie to zwarjowany naród. Przekonasz się o tem sama zczasem.

Jedynie Tymoteusz nie brał udziału w tych dysputach, jakkolwiek bowiem comber jagnięcy był ulubioną jego potrawą, obawiał się, jak utrzymywał, jej skutków.

Dla każdego interesującego się psychologją Forsytów jest ta ważna kwestja combra jagnięcego sprawą zasadniczej doniosłości. Nietylko stanowi ona niezłomny dowód stałości ich tradycyj, ich nieugiętości zarówno indywidualnej jak klanowej, ale zarazem nadaje im trwałą pieczęć przynależności z urodzenia i instynktów do wielkiej klasy ludzi, przywiązujących wagę do sprawy posilnego i smacznego odżywiania się, niepozwalających sobie natomiast na żadne specjalne upodobanie ani potrzeby w dziedzinie piękna.

Młodszy członkowie rodziny chętnie obeszliby się wogóle bez tego rodzaju pieczystego, przekładając nad nie perliczki albo sałatę z homara — coś bardziej przemawiającego do wyobraźni a mniej pożywnego — były to jednak przeważnie kobiety; mężczyźni z pośród tego odłamu ulegali wpływowi żon swoich, czy matek, które, zmuszone same do stałego, przez całe swoje życie po ślubie, spożywania jagnięcego combra, przekazały synom tajemnie wrogi swój stosunek do tego dania.

Zaledwie zdążyła się skończyć wielka dyskusja na te-

mat jagnięcego combra, podano szynkę Tewkesburską, zlekką podlaną zaprawą West India. Swithin tak obficie się uraczył tą potrawą i spożywał ją tak długo, że powstał z jego winy zator w podawaniu. Chcąc całkowicie oddać się rozkoszy spożywania ulubionego smakołyku, przestał nawet rozmawiać.

Soames, siedzący obok żony Septimusa Smalla, bacznie wszystko obserwował. Miał szczególne swoje, związane z wypieszczonym projektem budowlanym powody czujnego przyglądania się Bosinney'owi. Młody architekt mógłby mu się może przydać do jego planów; kiedy tak siedział, oparty o grzbiet krzesła i pogrążony w ustawianie ścian z okruszyn chleba, sprawiał wrażenie uzdolnionego, myślącego młodego człowieka. Soames zauważył, że frakowy jego garnitur jest dobrze skrojony, ale przyciasny, jakgdyby robiony przed wielu laty.

Widział, że zwrócił się on do Ireny i powiedział jej coś, na co twarz młodej kobiety rozpromieniła się, jak często rozpromieniała się w towarzystwie innych osób, nigdy zaś w jego własnym. Natężył słuch, aby dosłyszeć, o czym mówili, przeszkodziła mu w tym jednak ciotka Jula, która w tej chwili właśnie zabrała głos.

— Czy nie wydawało się to zawsze Soamesowi bardzo dziwnem? — zaczęła. — Dopiero ostatniej niedzieli ten kochany ksiądz Scoles tak sarkastycznie powiedział w swoim kazaniu:

— Co człowiekowi przyjdzie z tego, że zyska własną duszę, ale utraci całą swoją własność?

— Tak brzmi — zaznaczył — hasło, jakim się rządzią sfery bogatego mieszczaństwa. — Co chciał powiedzieć przez to? Co przez to rozumiał? Może rzeczywiście ma rację; takiem wydaje się istotnie credo zamożnego mieszczaństwa. Prawda? Co Soames myśli o tem?

Soames odpowiedział w roztargnieniu:

— Skąd mógłbym wiedzieć? Tyle tylko wiem, że Scoles — to szarlatan. A jak się ciotce wydaje?

Ale Soames niebardzo w tej chwili wiedział, co mówi. Bosinney podczas rozmowy z sąsiadką wyraźnie obrzucał spojrzeniem stół, jakgdyby wskazywał jej szczególnie cechy gości i Soames dużo dalby za to, aby wiedzieć, co narzeczony Juny mówi o każdym. Uśmiech, jakim Irena przyjmowała jego uwagi, wskazywał, że podziela jego zdanie. Zdawała się zresztą zawsze podzielać zdanie innych ludzi, tylko nie jego.

W tej chwili zwróciła wzrok w stronę męża. Soames spuścił nagle oczy. Uśmiech zgasł na jej twarzy.

— Szarlatan? Co Soames chce przez to powiedzieć? Jeżeli duchowny może być szarlatanem, wszystko się kończy. W takim razie może nim każdy być! To okropne!

— A jednak tak jest — stwierdził Soames.

Podczas pełnego grozy milczenia, jakie zamknęło narazie usta przerażonej ciotce Juli, doleciało uszu Soamesa kilka słów wypowiedzianych przez Irenę i brzmiących mniej więcej jak:

— Rozstańcie się z nadzieją, wy, którzy tu wchodzić!

Ale w tej samej chwili dokończył Swithin jedzenia swojej pieczonej szynki.

— Gdzie kupujesz grzyby? — zapytał Irenę tonem układnego dworaka — najlepiej kupować je u Snileyboba; można przynajmniej być pewnym, że są świeże. Drobniejsi kupcy nie dbają o to.

Irena zwróciła się ku gospodarzowi domu, aby mu odpowiedzieć, i Soames zauważył, że Bosinney obserwuje ją i uśmiecha się do samego siebie. Dziwny uśmiech ma ten chłopiec! Taki naturalny, jakgdyby uśmiechało się zadowolone z czegoś dziecko. Widząc, że Bosinney zwrócił się do Juny, uśmiechnął się i Soames także,

ale nieco sarkastycznie — nie podobała mu się Juna, która nie miała miny zbyt zadowolonej.

Nie było w tem nic dziwnego, jako że prowadziła w tej chwili z Jamesem rozmowę treści następującej:

— Wie stryj, zatrzymałam się na drodze powrotnej nad rzeką i widziałam piękne miejsce pod budowę domu.

James, lubiący jeść wolno i dojadać do końca to, co sobie położył na talerz, przerwał na chwilę proces żucia.

— Co? — zapytał. — Gdzież to jest owo piękne miejsce?

— Tuż za Pangbourne.

James włożył kawał pieczonej szynki do ust i Juna cierpliwie czekała.

— Napewno nie masz nawet pojęcia, czy grunt, o którym mówisz, jest do nabycia? — zapytał wreszcie. — Nie zainteresowałaś się, rozumie się, ani trochę, jaka jest cena gruntu w tem miejscu?

— Owszem, wiem, dowadywałam się.

Jej drobna energiczna twarzyczka pod miedziano-złotą koroną włosów podejrzenie ożywiona była i roznamietniona.

James przyjrzał jej się badawczo.

— Co? Nie masz chyba zamiaru nabywania ziemi? — zawołał, wypuszczając widelec z ręki.

Zaciekawienie Jamesa podnieciło Junę jeszcze bardziej. Oddawna już ułożyła sobie w mądrej swojej główce, że musi namówić stryjów do korzystnego dla nich samych i dla Bosinney'a budowania will i pałacyków wiejskich.

— Rozumie się, że nie — pośpieszyła zapewnić go. — Przyszło mi tylko na myśl, że byłoby to takie wspaniałe miejsce dla stryja... czy dla kogo innego... do zbudowania na niem willi.

James spojrział na nią zukosa i umieścił jeszcze jeden kawał pieczonej szynki w ustach.

— Bardzo droga musi być ziemia w tych stronach? — rzekł.

To, co Juna wzięła za osobiste zainteresowanie, było tylko platonicznem podnieceniem każdego Forsyta, który dowiaduje się o czemś możliwem do nabycia i mogącym przejść w obce ręce. Nie chciała jednak dopuścić nawet myśli, aby nadzieje jej miały tak odrazu się rozwiać, nie przestawała też rozwodzić się w dalszym ciągu nad poruszoną sprawą.

— Powinienby stryj przenieść się na wieś. Chciałabym mieć dużo pieniędzy, żeby móc zamieszkać na wsi. Nie pozostałabym ani dnia w mieście.

James był poruszony do głębi wysokiej, chudej swojej postaci. Nie miał pojęcia, że bratanica jego ma tak wyraźnie ustalone poglądy.

— Dlaczego stryj nie przenosi się na wieś? — nalegała Juna. — Doskonale zrobiliby to stryjowi.

— Pod jakim względem? — obruszył się James. — Ciekawa rzecz, coby mi przyszło z kupowania ziemi i budowania will? Nie miałbym nawet czterech procent z moich pieniędzy!

— Cóż to znaczy?! Ale oddychałby stryj czystem powietrzem!

— Czystem powietrzem?! Co mi po czystem powietrzu?!

— Myślę, że każdemu powinno zależeć na oddychaniu czystem powietrzem — rzuciła Juna z wyraźną pogardą.

James otarł serwetą usta.

— Nie znasz się na wartości pieniędzy — rzekł, unikając wzroku dziewczyny.

— Nie, nie znam się, i mam nadzieję, że nigdy się nie poznam! — zawołała i, zagryzając z niewypowiedzianą goryczą usta, zamilkła.

To okropne! Jej krewni tacy są bogaci, a biedny

Fil nie wie, skąd wytrząśnie parę groszy na jutrzejszy tytuń! Nie mogliby zrobić czegoś dla niego? Ale tacy są samolubni. Dlaczego nie mieliby budować will? Pełna była naiwnej wiary, prawdziwie wzruszającej i czasem zdolnej zdziałać cuda. Bosinney, do którego zwróciła się po doznaniu haniebnej porażki, rozmawiał z Ireną. Ożywienie i podniecenie Juny zgasło niby zdmuchnięte mroźnym powiewem. Z oczu jej buchnęły iskry gniewu, jak z oczu starego Jolyona, ilekroć ktoś ośmielił się stanąć wpoprzek jego woli.

I James sam był mocno podrażniony. Miał wrażenie, że ktoś próbuje pozbawić go prawa lokowania jego kapitałów na pięć procent. Żadna z własnych jego córek nie powiedziała by nic podobnego. Był zawsze bardzo wyrozumiały w stosunku do swoich dzieci i świadomość tego faktu potęgowała jeszcze jego oburzenie. Zajął się swojemi truskawkami, oblał je powodzią śmietanki i zaczął zjadać je pośpiesznie. — Tego przynajmniej nie da sobie odebrać.

Nic dziwnego, że był zgnębiony. Od pięćdziesięciu czterech lat (zdobył stanowisko notariusza w najwcześniejszym, dopuszczalnym przez prawo wieku), poświęcał się wyłącznie zabezpieczeniu sum hipotecznych, lokowaniu kapitałów na murowanie pewny wysoki procent, prowadzeniu spraw na zasadzie wyciągania dla samego siebie i klientów swoich najwyższej dochodowości przy możliwie największem bezpieczeństwie lokaty, obliczaniu ścisłych możliwości pieniężnych we wszelkich okolicznościach życia, tak że wkońcu przywykł myśleć wyłącznie kategorjami pieniężnymi. Pieniądze były dla niego teraz światłem, którego promienie uwykuły mu rzecz każdą, tak że bez nich nie umiałby nic widzieć, nie mógłby dostrzegać zjawisk. I to jemu właśnie rzucano w twarz — i kto rzucił?! — niesłychane takie słowa:

— Mam nadzieję, że nie poznam nigdy wartości pieniędzy!

Cóż dziwnego, że spochmurniał, nagle zmrożony. Wiedział, że to niedorzeczność, bowiem w przeciwnym razie przeraziłoby to go, a nie rozgniewało! Do czego dochodzi teraz na świecie? Przypomniawszy sobie jednak historję Jolyona-syna, uspokoił się nieco. Czego można się wogóle spodziewać od osoby, mającej takiego ojca? Zkolei skierowała się myśl jego w jeszcze mniej miłym kierunku. Co ma znaczyć cała ta gadanina o Soamesie i Irenie?

Jak we wszystkich szanujących się rodzinach istniało i u Forsytów specjalne sanktuarjum, poza którego obręb nie wychodziły tajemnice rodzinne i w którego ramach dyskutowano o wartości członków rodziny. Ustalono na tej Forsytowskiej giełdzie, że Irena żałuje swojego zamążpójścia, i fakt ten spotkał się, oczywiście, z powszechnem potępieniem. Powinna była wiedzieć co robi; żadna rozsądna kobieta nie popelnia tego rodzaju pomylek.

James pomyślał z nieukontentowaniem, że Soamesowie posiadają przecież ładny dom, doskonale położony, i że, nie mając dzieci, ani kłopotów materialnych, wieść mogą życie zupełnie beztroskie. Soames nie lubił mówić o swoich interesach, niewątpliwie jednak porządnie zaokrąglą swój majątek. Główne, okazałe dochody czerpie z prowadzonego przez siebie biura. — Tak samo, jak ojciec, bierze czynny udział w sprawach znanej spółki notarjuszów i obrońców — Forsyte, Bustard i Forsyte — a wiadomo przytem, że jest bardzo ostrożny. Szczególnie dobrze mu się udało ze splacaniem — nieco przedterminowem — kilku hipotek; prawdziwie opatrnościowe okazje.

Nie było powodu, dla którego Irena nie miałaby być szczęśliwą, a tymczasem dowiaduje się, że zażądała od-

dzielnego pokoju. Wiedział, na czym się takie rzeczy kończą... Dlaczego?... Soames nie pije przecież.

Przyjrzał się swojej synowej. Patrzył na nią chłodno i podejrzliwie. Odczuwał lęk i potrzebę pomocy, doznawał wrażenia osobistej obrazy. Dlaczego tak się tem trapi? Wszystko to razem wierutne bajki niewątpliwie; ktoby tam zrozumiał kobiety?! Zawsze przesadzają, niewiadomo, ile jest prawdy w ich gadaniu. Zresztą nikt nie mówił o tem z nim bezpośrednio, musiał sam wszystko wyszperać. Po raz drugi spojrział przelotnie na Irenę, a potem na Soamesa, który, pozornie słuchając wynurzeń ciotki Juli, zerkał wciąż ukradkiem na Bossinney'a.

— Przywiązany jest do niej, widać to — pomyślał James. — Dość przyjrzeć się, jak stara się jej zawsze dogodzić i obdarowywać ją.

Niepojęty bezsens obojętności Ireny dla męża uderzył go ze zdwojoną siłą. Szkoda też, że taka jest nieprzystępna; on sam, James, mógłby szczerze ją polubić, gdyby była mniej sztywna. Ostatnio zaprzyjaźniła się bardzo z Juną; stosunek ten nie wpływał na nią dodatnio, stanowczo nie. Zaczyna mieć tak samo jak tamta, własne swoje poglądy. Niezrozumiale prawdziwie, na co jej to wszystko. Ma przyjemne ognisko domowe i wszystko, czego można sobie tylko życzyć. Czuł, że należałoby staranniej dobierać jej koło bliskich przyjaciół. Dalej tak iść nie może. Zbyt śliska to droga.

Juna, lubiąca opiekować się nieszczęśliwymi, wyciągnęła z Ireny wyznanie, na które odpowiedziała kazaniem o potrzebie znalezienia wyjścia chociażby w postaci separacji. Wobec namów jej zachowała się jednak Irena milcząco, jakgdyby strachem przejmowała ją sama myśl o przeprowadzeniu na zimno podobnej walki. Soames nigdy nie zgodzi się wyrzec jej — rzekła za całą odpowiedź.

— Ktoby o to dbał?! — zawołała Juna. — Niech robi co mu się podoba; twoją rzeczą jest przeprowadzenie tego, do czego dążysz!

Nie ulękała się poruszenia tej sprawy na zebraniu u stryja Tymoteusza. James, usłyszawszy o tem, oburzył się naturalnie i zgorszył...

A gdyby Irenie naprawdę przyszło do głowy uprzeć się — sama myśl o tem wyprowadzała go zupełnie z równowagi — i opuścić Soamesa? Przepuszczenie podobne wydało mu się jednak tak potwornem, że od razu odsunął je ze zgrozą; łączyło się ono w umyśle jego z przerażającą wizją klęski, z sykiem zjadliwych języków całej rodziny, z hańbą katastrofy, tak blisko dotyczącej jego najbliższych, jednego z jego dzieci! Na szczęście, nie posiada Irena pieniędzy — co najwyżej lachmaniar-skie pięćdziesiąt funtów rocznie. — Z pogardą pomyślał o zmarłym Heronie, który pozostawił ją bez grosza, jak stała. Pogrążony w zadumie, założywszy długie swoje nogi pod stołem, jedną na drugą, zapomniał zupełnie wstać, kiedy panie wyszły z jadalni. Będzie musiał pomówić z Soamesem — ostrzec go; tak dalej iść nie może... Zauważył z kwaśnem nieukontentowaniem, że Juna pozostawiła nalane dla niej kieliszki pełne wina.

— To głównie robota tej małej — pomyślał. — Irenie samej nie przyszłoby to do głowy. — James był człowiekiem niepozbawionym wyobraźni.

Głos Swithina wyrwał go z niemej tej kontemplacji.

— Dałem za to czterysta funtów — rzekł. — Oczywiście, że to prawdziwe dzieło sztuki.

— Czterysta! Hm, hm!... To dużo pieniędzy! — wtrącił Mikołaj.

Przedmiot, o którym była mowa, stanowiła grupa z włoskiego marmuru, umieszczona na strzelistym marmurowym również cokóle i rozsiewająca w całym pokoju atmosferę wyższej kultury. Postacie drugorzędne,

których było sześć, wszystko nagie kobiety, nader mi-
sternie wycyzelowane, zwracały się ku postaci centralnej,
tak samo nagiej kobiety, wysuwającej się naprzód, jak-
gdyby chciała zaznaczyć wobec widza niezwykłą do-
niosłość własnej swojej osoby. Ciotce Juli, siedzącej
naprzeciwko grupy, z trudnością udawało się nie pa-
trzyć na nią przez cały wieczór.

W odpowiedzi na uwagę Swithina zabrał stary Jolyon
głos, wszczynając dyskusję.

— Czterysta funtów?! Nonsens! Nie dam sobie wmo-
wić, żeby można było za coś podobnego zapłacić cztery-
sta funtów!

Uwięziony pomiędzy dwoma szpicami kolnierzyka pod-
bródek Swithina dokonał po raz drugi tego wieczora bo-
lesnego ruchu wahadłowego.

— Cztery setki funtów, uczciwych angielskich fun-
tów, ani szeląga mniej. Nie żałuję tego wydatku. To
nie pospolita krajowa robota — ale prawdziwa nowo-
czesna włoska!

Soames podniósł wargę w uśmiechu i rzucił okiem
na Bosinney'a. Architekt ukrywał uśmiech poza kłębami
dymu papierosowego. W tej chwili rzeczywiście przy-
pominał nieco wyglądem swoim pirata.

— Ile to roboty w takiej sztuce! — pośpieszył wtrą-
cić James, któremu prawdziwie zaimponował rozmiar
grupy. — Dobrze możnaby to sprzedać u Jobsona.

— Biedak, cudzoziemski zdychacz z głodu, który ją
zrobił, chciał za nią pięćset funtów — wyjaśniał w dal-
szym ciągu Swithin. — Dałem mu cztery setki. Warta
jest z zamkniętymi oczami osiem. Wyglądał biedak na
nawpół zamorzonego!

— O! — wmieszał się nagle Mikołaj — te marne drapi-
chrusty, ci nędzarze artyści! Nie pojmuje doprawdy,
czem to żyje. Weźcie takiego Flageoletti'ego chociażby!
Tego, co to go Fanny i dziewczęta wciąż ściągają do

domu, żeby im rzępolił na skrzypcach. Wątpię, czy udaje się biedakowi dochrapać przez cały rok setki funtów.

— Tak — przytaknął mu James — potrząsając głową.
— Doprawdy trudno pojąć, czem to żyje!

Stary Jolyon podniósł się i z cygarem w ustach zbliżył się do rzeźby, aby bliżej jej się przyjrzeć.

— I dwu nie byłbym dał za to! — bąknął.

Soames spostrzegł, że ojciec jego i Mikolaj spojrzeli po sobie wzajem z pewnym niepokojem; siedzący po drugiej stronie Swithina Bosinney osłonięty był chmurą papierosowego dymu.

— Ciekaw jestem, co on o tem myśli? — zadał sobie James w duchu pytanie. Jasnem było dla niego, że rzeźba ta jest fatalnie *vieux jeu*; okrutnie przestarzała, o całe pokolenie wstecz. Nikt nie spojrzalby już u Jobsona na tego rodzaju dzieło sztuki.

— Nie miałeś nigdy zielonego pojęcia o rzeźbach — rzucił wreszcie Swithin bratu. — Znasz się na swoich obrazach, poza tem na niczem!

Stary Jolyon powrócił na swoje miejsce, pykając z cygara. Ani mu się śniło dać się wciągnąć w dyskusję z tym niedołągą Swithinem, upartym jak dziki osioł. Na czem on się zna?! Nie umiał nigdy odróżnić posągą od słomkowego kapelusza.

— Sztukaterja! — rzucił pogardliwie.

Swithin nie mógł się już dłużej powstrzymać. Rąbnął z całych sił pięścią w stół.

— Sztukaterja?! — krzyknął. — Chciałbym widzieć, czy w całym twoim domu masz jedną chociażby rzecz, która umywałaby się do tego! W słowach jego zabrzmiała znów pieniająca się gwałtowność pierwotnych pokoleń.

Naprężoną sytuację uratował James.

— Cóż pan powie nam o tem, panie Bosinney? Pan,

jako architekt, musi przecież znać się na rzeźbach i ornamentach.

Oczy wszystkich zwróciły się ku Bosinney'owi. Czekano z dziwnie podejrziwem natężeniem na jego odpowiedź.

Soames, odzywając się po raz pierwszy, zapytał:

— Tak, Bosinney'u, co ty o tem powiesz?

Bosinney odpowiedział krótko:

— Dzieło to zdumiewa wprost!

Słowa jego były zwrócone do Swithina, uśmiechem oczu porozumiał się z starym Jolyonem; jedynie na Soamesa nie zwrócił uwagi.

— Zdumiewa czem?!

— Swoją naiwnością!

Odpowiedź tę przyjęto wymownem ogólnem milczeniem. Swithin jedynie nie był pewien, czy zawierać ona miała pochwałę.

ROZDZIAŁ IV.

PROJEKT BUDOWY

W trzy dni po obiedzie u Swithina stanął Soames na progu pomalowanych na zielono frontowych swoich drzwi, poczem wyszedł na skwer i, przyglądając się stąd fasadzie domu, stwierdził, że wymaga on pomalowania na świeżo.

Żonę pozostawił siedzącą na kanapie w bawialni z założonemi beczynnymi rękami, wyraźnie czekającą, kiedy wreszcie mąż wyjdzie. Powtarzało się to często. Właściwie codziennie.

Nie mógł pojąć, co ma mu do zarzucenia. Nie pije przecież! Czy może zaciąga długie? Gra w karty? Kłnie?... Czy unosi się kiedykolwiek gwałtownie? Otacza się hałaśliwymi przyjaciółmi? Spędza nocę poza domem?... Nic podobnego.

Głęboki, tajony wstręt, jaki wyczuwał w swojej żonie, był dla niego zagadką a zarazem źródłem najstraszliwszej udręki. Nie mógł oczywiście doszukiwać się przyczyny tego stanu rzeczy w fakcie, że popełniła błąd, wychodząc za niego zamięż bez miłości, że usiłowała przemoc się i pokochać go, ale nie mogła.

Nie byłby Forsytem, gdyby potrafił wyobrazić sobie dziki taki powód odsuwania się od niego żony.

Dlatego też zmuszony był Soames jej wyłącznie przypisać całą winę. Nie spotkał nigdy na swojej drodze kobiety, zdolnej do wzbudzania tak głębokiego uczucia. Gdziekolwiek ukazał się z żoną, widział, jak szły za nią oczy wszystkich mężczyzn; ich spojrzenia, ich sposób zachowania się, głos ich zdradzały aż nadto wymownie, do jakiego stopnia są nią oczarowani. Przysznać musiał, że jej postawa wobec tych holdów była bez zarzutu. Nie przychodziło mu napewno na myśl, że Irena należy do rzędu owego — niezbyt często spotykanego wpośród rasy anglo-saskiej — typu kobiety, stworzonej do kochania i do tego, żeby być kochaną, kobiety, która, nie mogąc kochać, nie żyje. Czar jej postaci, pociągający ku niej serca, uważał za nieodłączny składnik jej wartości jako przedmiotu jego posiadania, nie mógł jednak pozbyć się myśli, że mogłaby równie dobrze być obdarowywaną, jak darzącą; ona nie darzyła go, natomiast, niczem.

— Dlaczego więc wyszła za mnie zamięż? — zadawał sobie nieustannie pytanie.

Zapomniał o swoim staraniu się o nią, o półtoraroczny, w ciągu którego oblegał ją niby twierdzę, którą należało zdobyć i wyczekiwał cierpliwie, obmyślając coraz nowe plany rozrywek dla niej, obsypując ją podarunkami, ponawiając wciąż swoje oświadczenia i oddalając od niej nieustanną swoją obecnością wszystkich innych wielbicieli. Zapomniał o dniu, w którym, wy-

zyskując zrećźnie ostrą fazę jej niechęci do zwykłego domowego jej otoczenia, zdołał uwieńczyć wreszcie zabiegi swoje powodzeniem. O ile wogóle pamiętał coś z wszystkiego tego, budziły się w jego pamięci jedynie wspomnienia wyrafinowanej kapryśności traktowania go przez złotowłosą czarodziejkę. Nie zapomniał też wyrazu jej twarzy — dziwnie obcej, obojętnej, zarazem błagalnej, kiedy nagle pewnego dnia uległa jego natarczywości i wyraziła zgodę na ponowioną po raz tysięczny prośbę, aby zechciała być jego żoną.

Było to jedno z owych niezmiernie wytrwałych, prowadzonych z bezgranicznem oddaniem zabiegów o miłość, opisywanych w powieściach lub opowiadanych ustnie o zakochanym do szaleństwa, ziszczającym wreszcie cel upragniony, otrzymującym należną nagrodę za to, że niestrudzenie kuł tak długo żelazo, aż wkońcu ugiął je na swoją modłę. W powieściach i opowiadaniach uwieńczenie to przybiera formę ceremonji ślubnej, niezmiennie rozpoczynającej nową, szczęśliwą erę.

Soames zawrócił na prawo, starając się trzymać strony cienia.

Stanowczo, wymaga dom przemaalowania, o ile nie zdecyduje się przenieść na wieś i tam wybudować dla siebie willę.

Po raz setny w tym miesiącu rozważał w myśli tę kwestję. Niema oczywiście powodu działać pośpiesznie! Mieszka bardzo wygodnie, dochody jego wciąż wzrastają, sięgają już trzech tysięcy rocznie, ale ulokowany przez niego kapitał nie jest może tak wielki, jak wydaje się jego ojcu, który lubi zawsze wyobrażać sobie, że jego dzieci są zamożniejsze, niż to się dzieje w istocie.

— Mogę poświęcić z łatwością osiem tysięcy, nie uciekając się do pomocy ani Robertsona ani Nicholls'a — obliczał.

Zatrzymał się przed jednym z okien wystawowych

sklepu z obrazami. Soames był amatorem obrazów i miał mały pokój pod Nr. 62 na Montpellier Square, wypełniony ustawionymi wzdłuż ścian płótnami, których nie było już gdzie zawieszać. Przywoził je do domu, powracając z City, zazwyczaj pociemku już, i w niedzielne popołudnia spędzał w tym swoim składzie obrazów długie godziny, przyglądając się nabytym płótnom w rozmaitem oświetleniu, badając autentyczność podpisów na nich i czasem robiąc dotyczące ich różnego rodzaju notatki.

Obrazy te wszystkie prawie były pejzażami, mającymi na przednim planie postacie ludzkie i noszącymi na sobie niejako piętno tajonego na dnie duszy buntu przeciwko Londynowi, przeciwko jego wysokim domom i jego niekończącym się ulicom, wśród których upłynęło jego życie i życie jego bliskich. Od czasu do czasu zabierał z sobą dorożką jeden czy dwa obrazy i wstępował po drodze do City do Jobsona.

Rzadko pokazywał je komukolwiek; Irena, której sąd cenił, ale do której dlatego może właśnie nigdy nie zwracał się z prośbą o wypowiedzenie go, w wyjątkowych jedynie okazjach bywała w owym pokoju, wówczas mianowicie, kiedy szło o spełnienie ciężącego na niej obowiązku żony. Mimo że prosił ją, aby zechciała przyjrzeć się obrazom, nie czyniła tego nigdy. Dla Soamesa było to jednym jeszcze źródłem przykrości. Bolała go ta jej wyniosła duma czy obojętność, której w głębi duszy obawiał się nawet nieco.

W tafłowej szybie wystawowego okna sklepu z obrazami ujrzał odbitą i patrzącą na niego własną podobiznę.

Jego gładkie, wyzierające z pod ronda wysokiego kapelusza włosy, miały jedwabisty, lśniący połysk, taki sam jak miękki pilśń kapelusza; policzki jego, blade i płaskie, zarys gładko wygolonych warg, wydatny

kształt podbródka z sinawą plamą po starannie golonym zarostie i surowa prostota zapiętego na wszystkie guziki, dobrze skrojonego surduta nadawały mu pozór powściągliwego trzymania się na uboczu i niedostępnego zamknięcia się w sobie. Oczy jego jednak, szare, zimne, z napięciem wpatrujące się oczy, przedzielone podłużną zmarszczką pomiędzy jednym a drugim łukiem brwi, wpatrywały się w niego żądnie, jakgdyby znając tajną jakąś jego słabośćkę.

Przyglądał się tematом obrazów, nazwiskom podpisanych na nich malarzy, obliczał wartość poszczególnych płócien; czując jednak, że nie doznaje zwykłej przy platonicznem tem zachwycaniu się satysfakcji, poszedł dalej.

Wypadnie zachować Nr. 62 jeszcze na rok, jeżeli zdecyduje się budować! Czasy są odpowiednie do budowania; pieniądz od lat już nie był tak drogi; miejsce, które oglądał w Robin Hill, udawszy się tam na wiosnę celem zbadania stanu hipoteki Nicholla — nie mogło być lepiej wybrane. W odległości dwunastu mil od Hyde Parku wartość gruntu musi podnosić się automatycznie nieomal; napewno dostanie zawsze więcej za nabyty plac aniżeli dał za niego, tak że dom, o ile tylko zbudowany będzie prawdziwie solidnie, stanowi pierwszorzędną niewątpliwie lokatę.

Świadomość, że byłby jedynym członkiem rodziny, mającym posiadłość wiejską, mało wpływała na jego decyzję. Dla prawdziwego Forsyta względy uczuciowe, nawet ambicja zdobycia wyższego stanowiska społecznego, stanowi zbytek, na jaki można sobie pozwolić w drugim rzędzie dopiero, po nasyceniu bardziej materialnych swoich apetytów.

Wydostać Irenę z Londynu, odciągnąć ją od stykania się z ludźmi, od widywania przyjaciół i osób, które podsuwały jej rozmaite myśli niepotrzebne!... O to wła-

śnie szło. Zanadto przyjaźni się z Juną. A Juna nie lubi go. Odplaca jej zresztą tem samem. W żyłach ich płynie ta sama krew.

Dla wydostania Ireny z miasta warto poświęcić wszystko. Dom będzie się jej podobał, przyjemność sprawi jej krzątanie się przy zdobieniu go — prawdziwa z niej artystka!

Dom musi być w dobrym stylu, coś, co zawsze będzie miało swoją cenę, coś wyjątkowego, w rodzaju ostatnio zbudowanego domu Parkera, z wieżyczką; Parker sam przyznaje jednak, że jego architekt zrujnował go. Ci architekci — to niebezpieczny gatunek ludzi — nigdy nie można wiedzieć, na jakim się jest z nimi świecie. Jak tylko który z nich zyska uznanie i sławę, wpędzić zaraz gotów w Bóg wie jakie koszty, a w dodatku strasznie jest pewny siebie i zarozumiały; nie da sobie nic powiedzieć.

Zwyczajny znów, tuzinkowy architekt, na nic się nie przyda. — Wizja wieżyczki Parkera wyklucza możliwość powierzenia zadania zwyczajnemu, tuzinkowemu architektowi.

Dlatego właśnie wpadło mu do głowy zwrócić się do Bosinney'a. Od dnia obiadu u Swithina zdążył zasięgnąć informacji, których rezultat był dość skąpy, ale zachęcający:

— Z nowej szkoły?

— Tak, z najnowszej.

— Zdolny?

— Bardzo zdolny, zdolniejszy niż można sobie wyobrazić — trochę tylko... trochę... fantasta.

Nie był w możności dowiedzenia się, jakie i czyje domy Bosinney budował, ani jakich żądał za nie cen. Pozwoliło mu to przypuszczać, że sam będzie mógł dyktować warunki. Im więcej o tem myślał, tem bardziej mu się projekt ten podobał. Przedewszystkiem

pozostanie rzecz cała w rodzinie, co u Forsytów weszło już niejako w krew. Nadto będzie mógł zyskać „uprzywilejowane“, o ile nie nominalne ceny — co uważał za zupełnie słuszne wobec tego, że da młodemu Bosinney'owi sposobność wykazania swoich uzdolnień, bowiem dom ten nie ma być zwykłym budynkiem mieszkalnym.

Soames rozmyślał z przyjemnością o dziele, jakie niewątpliwie wyrosnie z pod ręki młodego architekta. Jak wszyscy Forsytowie, umiał być w danym razie skończonym optymistą.

W dodatku biuro Bosinney'a mieści się tuż w pobliżu, co umożliwi mu ciągle sprawdzanie planów i pilnowanie ścisłego ich wykonania.

Z drugiej strony łatwiej będzie skłonić Irenę do opuszczenia Londynu, o ile roboty będzie prowadził narzeczony najserdeczniejszej jej przyjaciółki. Zamążpójście Juny może zależeć od tego. Irena nie może przecież stać się zawadą na drodze Juny do szczęścia; nigdy tego nie zrobiłaby — zna ją zbyt dobrze. Poza tem Juna będzie bardzo zadowolona, co da się również korzystnie wyzyskać.

Bosinney wygląda na zdolnego i rozumnego, zarazem jednak — i to właśnie stanowi jedną z wielkich jego atrakcyj — sprawia wrażenie człowieka, nieumiejącego zapatrywać się na sprawy ze stanowiska własnego interesu nadewszystko — nie będzie twardy na punkcie pieniędzy.

Soames uczynił uwagę tę nie z myślą podejścia młodego człowieka; była to zwykła linja jego rozumowania — rozumowania każdego dobrego kupca — wszystkich owych tysięcy dobrych kupców, z którymi miał do czynienia na swojej drodze na wyżyny Ludgate Hill.

Rozważając w ten sposób z uczuciem ulgi, że Bosinney będzie ustępliwy na punkcie pieniędzy, bezwiednie sto-

sował Soames w praktyce niezbadane prawa, rządzące wielką własną jego klasą ludzi — samą naturą ludzką w zasadzie.

Kiedy tak przepychał się naprzód, wzrok jego, zazwyczaj utkwiony w ziemię przed siebie, skierował się w górę, pociągnięty widokiem kopuły kościoła świętego Pawła. Stara ta kopuła miała szczególny dla niego czar, nie raz też, ale dwa albo i trzy razy tygodniowo zatrzymywał się na codziennej swojej drodze, aby wejść pod jej strop i usiąść w jednej z bocznych naw na pięć czy dziesięć minut, podczas których odczytywał nazwiska i napisy na pomnikach. Trudno było zrozumieć pociąg, jaki czuł do wielkiego tego kościoła, o ile nie szukał w nim możliwości skupienia się celem skoncentrowania myśli na interesach, jakie czekały na jego decyzję tego dnia. Ilekroć zaprzętała myśl jego jakaś sprawa, szczególnie doniosła w danym momencie, albo wymagająca szczególnie wnikliwego zglebienia jej, wchodził niezmiennie do katedry św. Pawła i w ciągu pięciu czy dziesięciu minut, spędzonych w jednej z bocznych jej naw, cicho jak myszka, uważnie odczytywał nazwiska i napisy na jednym pomniku po drugim. Po dokonaniu tego tak samo cicho wychodził i w drodze powrotnej stale zatrzymywał się na Cheapside, idąc w tym kierunku krokiem bardziej stanowczym, jakgdyby dostrzegł coś, co zdecydowany był kupić.

I tego ranka wszedł do kościoła, zamiast jednak przelizgiwać się wzrokiem z pomnika na pomnik, podniósł oczy na kolumny i tafle ścian, zastygły nieruchomo w tej kontemplacji.

Jego podniesiona w górę twarz z wyrazem głębokiego, modlitewnego skupienia, cechującego często twarze ludzi w kościele, pobladła kredowo na tle mroków rozległego budynku. Uwięzione w rękawiczkach dłonie trzymały rączkę parasola. Bezwiednym ruchem podniósł je

pod strop. Może olśniło go błogosławione jakieś natchnienie?

— Tak — powiedział sobie — muszę mieć miejsce na rozwieszenie moich obrazów.

Wieczora tego, w drodze powrotnej z City, wstąpił do biura Bosinney'a. Zastał młodego artystę bez tużurka, palącego fajeczkę i kreślącego linje jakieś na rozłożonym przed nim planie. Odmówiwszy zaproponowanego mu gościnnie przez architekta napicia się czegoś, przystąpił Soames z miejsca do rzeczy.

— O ile nie ma pan nic lepszego do roboty w niedzielę, może zabrałby się pan ze mną do Robin Hill? Chciałbym zasięgnąć pańskiego zdania w sprawie wyboru gruntu pod budowę.

— Zamierza pan budować?

— Może — rzekł Soames — ale proszę, niech pan nie mówi o tem nikomu. Potrzebna mi pańska opinja.

— Bardzo dobrze — zgodził się artysta.

Soames rozejrzał się po pokoju.

— Trochę wysoko pan się ulokował — rzucił uwagę.

Wszelka informacja, jaką udałoby się mu zdobyć co do rodzaju i celu spraw Bosinney'a mogła mu się przydać.

— Jak dotychczas, w zupełności mi to odpowiada — odparł architekt. — Ale pan naturalnie przyzwyczajony do eleganckich lokali.

Wytrząsnął popiół z fajeczki, włożył ją jednak zpowrotem pustą pomiędzy zęby — może dopomagała mu ona przy prowadzeniu rozmowy. Soames zauważył wklęsłość w każdym policzku, jakgdyby skutek wsysania.

— Ile pan płaci za takie biuro? — zapytał.

— O pięćdziesiąt za dużo — odparł Bosinney.

Odpowiedź ta korzystnie usposobiła dla niego Soamesa.

— Tak, przypuszczam, że musi być drogo — rzekł. — Przyjadę po pana w niedzielę rano.

W najbliższą niedzielę zajechał po Bosinney'a do-
rożką i zawiózł go na stację. Po przybyciu do Robin
Hill nie znaleźli koni, musieli więc odbyć pieszo paro-
kilometrową drogę na miejsce.

Był pierwszy sierpnia — przepiękny dzień, słońce
paliło, ani jedna chmurka nie plamiła błękitu nieba.
Na prostej, wąskiej ścieżce, prowadzącej na szczyt
wzgórza, nogi ich wzbijały wgórę tumany żółtego pyłu.

— Piaszczysty grunt — zauważył Soames, rzucając
ukradkiem okiem na płaszcz Bosinney'a. Z bocznych
kieszeni wyzierały wsunięte w nie zwoje papierów, pod
pachą trzymał dziwnego wyglądu laskę. Soames zakar-
bował sobie w myśli wszystkie te szczegóły.

Jedynie mądry człowiek, albo też w samej rzeczy
„pirat“, pozwolić sobie mógł na podobnego rodzaju
zaniedbanie w ubraniu. Jakkolwiek też ekscentryczność
taka była właściwie dla Soamesa czemś odrażającym,
dawała mu ona jednak pewne uczucie zadowolenia, bo-
wiem świadczyła o cechach, które będzie mógł nie-
wątплиwie korzystnie dla siebie wyzyskać. Zresztą, co go
obchodzi sposób ubierania się chłopaka, jeżeli tylko
umie on dobrze budować domy?

— Powiedziałem już panu — zaczął — że chciałbym,
aby budowa tego domu była niespodzianką, dlatego też
proszę, aby pan nie mówił o niej nikomu. Nie zwykłem
nigdy mówić o moich sprawach przed doprowadzeniem
ich do końca.

Bosinney skinął głową.

— Jak tylko kobiety dowiedzą się o jakim planie —
dodał Soames — lichy wie, na czym się on skończy.

— O! — zawołał Bosinney — kobiety to djabelskie
nasienie!

Myśl taka oddawna już nurtowała na dnie duszy Soa-
mesa, nigdy wszelako nie ujął jej w słowa.

— O — zauważył — zatem i pan zaczyna także... —

Zawahał się, dodał jednak z nagłym wybuchem irytacji:
— Juna ma temperamencik... zawsze go miała.

— Temperament nie jest złą rzeczą u anielskiej istoty.

Soames nie nazywał nigdy Ireny anielską istotą. Nie mógł pogwałcić do tego stopnia najgłębszych swoich instynktów, aby odsłonić przed innymi istotną wartość ukochanej kobiety i zdradzić w ten sposób swoje uczucia dla niej. Nie odpowiedział.

Skreśli w nawpółubitą drogę poprzez zagajnik. Wyżłobiona kolej prowadziła pod prostym kątem do dołu, z którego kopano żwir. Poza dołem sterczały kominy domów wiejskich, wpośród drzew, na skraju gęstego lasu. Kępy pierzastych traw pokrywały wyboistą powierzchnię gruntu; z ponad nich zrywały się raz wraz i wzbijały w górę skowronki, trzepocąc skrzydełkami w słonecznej poświacie. Na dalekim widnokregu zarysowywała się poza nieskończonemi szeregami pól i ogrodzeń smuga piaszczystych wydm.

Soames szedł naprzód, wskazując drogę, aż wreszcie znalazł się na dalekim krańcu i tutaj zatrzymał się. Było to owo obrane przez niego miejsce. Teraz jednak, kiedy miał sprezentować je Bosinney'owi, oświadczył mu niepokój.

— Agent mieszka w tamtym domku — rzekł — da nam coś przekąsić; lepiej posilić się nieco przed zabranieniem się do roboty.

Poszedł naprzód, wskazując znów drogę ku domkowi agenta, niejakiego Oliwera, rosłego mężczyzny z szeroką twarzą i siwiejącą bródką, który powitał ich na progu. Przy śniadaniu Soames zaledwie kosztował potraw, nie spuszczał natomiast oczu z Bosinney'a i parokrotnie ukradkiem otarł jedwabną chusteczką czoło. Skończyło się wreszcie śniadanie i Bosinney wstał od stołu.

— Przypuszczam, że panowie musicie mieć wspólne sprawy do obgadania — rzekł — ja tymczasem pójdę

i sam pogapię się troszkę — dodał i, nie czekając na odpowiedź, wyszedł.

Soames zainteresowany był, jako notariusz, sprawami posiadłości. Prawie całą godzinę trwały narady jego z agentem w sprawie rozplanowania gruntów, a także w kwestji umieszczonych na nich sum hipotecznych Nicholla i innych. Wkońcu dopiero, jakgdyby mimochodem, potracił o nabycie gruntu pod budowę.

— Pańscy mocodawcy — rzekł — powinnyby zrobić dla mnie wyjątkowe ustępstwa od ceny wobec tego, że ja pierwszy będę tutaj budował.

Oliwer potrząsnął głową.

— Miejsce, obrane przez pana, jest najtańsze ze wszystkich, jakie posiadamy. Im bliżej szczytu wzgórza, tem drożej kalkulują się.

— Mniejsza o to. Nie jestem jeszcze zdecydowany — odparł Soames. — Możliwe, że wcale nie będę budował. Renta gruntowa jest bardzo wysoka.

— Żał byłoby mi pana, panie Forsyte, gdyby pan odstąpił od swojego zamiaru. Myślę, że popełniłby pan błąd. W dużym promieniu dokoła Londynu niema ani jednego miejsca z takim widokiem, nigdzie też nie nabędzie pan ziemi równie tanio, jeśli weźmiemy pod uwagę wyjątkowo sprzyjające tutaj warunki. Wystarczyłoby tylko dać kilka ogłoszeń w gazetach, a mielibyśmy tłumy chętnych nabywców.

Spojrzeni wzajem po sobie. Twarze ich zdradzały wyraźnie ich myśli:

— Mam dla ciebie zbyt wielki szacunek, jako dla dobrego kupca, abym miał wierzyć temu co mówisz — mówił sobie każdy z nich w duchu.

— A jednak — powtórzył Soames — nie jestem jeszcze zdecydowany, przypuszczam nawet, że sprawa nie dojdzie do skutku.

Po tych słowach wziął z rogu pokoju swój parasol,

podał agentowi zimną swoją dłoń, i, wycofawszy ją bez mocniejszego uściśnienia jego ręki, wyszedł z domku.

W głębokiej zadumie powrócił wolnym krokiem na obrane miejsce. Czuł instynktownie, że dowodzenia agenta są słuszne. Tani grunt. Najważniejsze zaś, że agent w rzeczywistości nie uważał go za tani, tak, że intuicja Soamesa odnosiła tryumf nad rzeczoznawstwem agenta.

— Tani, czy nie tani, jestem zdecydowany mieć go — pomyślał.

Skowronki poderwały się z trawy pod jego stopami; w powietrzu wirowało mnóstwo motyli; trawy i zioła tchnęły słodkie aromaty i napelniały niemi powietrze. Żywczy zapach paproci dolatywał z lasu, gdzie gruchały ukryte w zaroślach gołębie; zdala, z falami ciepłego powietrza, przyływały rytmiczne dźwięki rozkolysanych dzwonów kościelnych.

Soames szedł, utkwivszy oczy w ziemię; wargi jego rozchylały się i zamykały, jakgdyby naprzód już smakując wyśmienity kęs. Kiedy stanął nareszcie na miejscu, nie mógł dostrzec nigdzie Bosinney'a. Przeczekawszy chwilę, poszedł przez zagajnik w kierunku zbocza. Gdyby się nie bał donośnego dźwięku własnego głosu, huknąłby na architekta z całej siły, żeby dać mu znać o sobie.

Zagajnik był pusty i samotny jak prerja; ciszę w nim przerywał tylko od czasu do czasu szelest przemykających do swoich nor wiewiórek i śpiew skowronków.

Soames, pjonjer-przywódca wielkiej armji Forsytów, przystępujący do ucywilizowania tej guszy, czuł się nieco spłoszony samotnością, śpiewem niewidzialnych ptaków, ciepłą słodyczą powietrza. Zawrócił już, kiedy wreszcie spostrzegł Bosinney'a.

Architekt leżał rozciągnięty, jak długi, pod rozłożystym dębem, którego chropawy, sękowaty pień wraz z licznymi rozgałęzieniami oraz gęstwiną liści stał na skraju zbocza.

Soames musiał dotknąć ręką pleców leżącego, aby zbudzić go z zadumy. Bosinney spojrział w górę.

— Hallo, panie Forsyte, znalazłem odpowiednie miejsce na wystawienie pańskiego domu. Spójrz pan!

Soames stanął i rozejrzył się, a potem odezwał się chłodno:

— Może się pan i zna bardzo dobrze, ale to miejsce będzie mnie kosztowało dwa razy drożej.

— Do diabła z kosztami! Przyjrzyj się pan lepiej widokowi!

Tuż prawie przed ich nogami złocił się łąn zbożowy, ciągnący się aż po ciemniejącą woddali wstęgę zarośli. Wielka równina pól, poprzerzynanych miedzami i opłotkami, kończyła się na dalekim widnokregu smugą szarosińawych wzgórz. Srebrzystą wstęgą wila się na prawo linja rzeki.

Niebo było tak błękitne, a słońce świeciło tak jasno, że zdawało się tu panować wieczne lato. Wśród niezamąconej ciszy eteru szybowały lekkoskrzydłe ptaki. Żar płonął nad falami zbóż; cichy, nieomal niedosłyszalny szmer drgał w powietrzu, niby nieuchwytny odgłos weselnego upojenia, przenikającego ziemię i niebo.

Soames patrzył. Pomimo jego woli i wiedzy coś wzbierać zaczęło w jego piersi. O, żyć tutaj, w obliczu tego wszystkiego, móc pokazywać to swoim przyjaciołom, posiadać to, mówić o tem!... Policzki jego rozogniły się rumieńcem. Ciepło, promiennosc, blaski opanowały wszystkie jego zmysły, podobnie jak opanowało je przed czterema laty piękno Ireny, budząc w nim najgorętsze jej pożądanie. Spojrzzał ukradkiem na Bosinney'a, którego oczy, oczy „nawpółoswojonego leoparda“ zdawały się chłonać w siebie pejzaż. Promienie słońca rzuciły błyski na najbardziej uwypuklone części twarzy młodego artysty, na wystające jego kości policzkowe, na wydatny punkt podbródka, na pionowe

fałdy ponad jego brwiami. Soames przyglądał się z nieprzyjemnem uczuciem tej kosmatej, wniebowziętej, niestarannie utrzymanej twarzy.

Przeciagli, cichy poszum wiatru wionął nad zbożami, tchnąc im w twarz falę nagrzanego balsamu.

— Mógłbym zbudować panu tutaj pałacową siedzibę — odezwał się Bosinney, przerywając nareszcie milczenie.

— Może i tak — odparł Soames sucho. — Tylko że nie pan poniósłbyś koszt jej.

— Za jakie osiem tysięcy mniej więcej mógłbym wystawić pałac.

Soames zbiełał. W duszy jego zawrzała walka. Spuścił oczy i oświadczył, zaciąwszy się:

— Nie mogę sobie na to pozwolić.

I zwolna, ociężałym krokiem, skierował się ku pierwotnie obranemu miejscu.

Spędzili tam jeszcze chwilę, rozważając szczegóły projektowanego domu, poczem Soames powrócił do domku agenta.

Po upływie pół godziny stanął na progu i, wraz z Bosinney'em, ruszył ku stacji.

— Wie pan — bąknął, nie otwierając nieomal ust — wziąłem ostatecznie ten pański kawalek.

Zamilkł ponownie, głowiąc się nad dociekaniem, w jaki sposób ten chłopak, którego przywykł mieć za nic, mógł zaważyć zwycięsko nad jego własną decyzją.

ROZDZIAŁ V.

FORSYTOWSKA PARA MAŁŻEŃSKA

Podobnie do tysięcy uświadomionych przedstawicieli tej samej warstwy społecznej i tego samego pokolenia, którzy zaludniają olbrzymi Londyn i którzy dawno już

zerwali z upodobaniami do mebli krytych czerwonym pluszem i wiedzą, że grupy z włoskiego marmuru są „vieux jeu“, zamieszkiwał Soames dom, prezentujący się możliwie dobrze. Frontowa jego fasada zaopatrzona była w miedzianą kołatkę do drzwi swoistego rysunku, w okna otwierające się nazewnątrz i balkony obwieszone skrzynkami do kwiatów z pstrzącami się bukietami fuksyj; od tyłu domu (wielki zbytek) mały dziedzińczyk wyłożony był jasnozielonemi płytkami i okolony krzewami różowych oleandrów, rosnących w pawiowo-błękitnych konwiach. Tutaj, pod osłoną wielkiego japońskiego parasola barwy pergaminu, mogli mieszkańcy domu czy goście, ukryci pod jego osłoną przed wzrokiem ciekawych, popijać herbatę, podziwiając równocześnie świeżo nabyte przez Soamesa srebrne szkatułki.

Wewnętrzna dekoracja była w stylu Pierwszego Cesarstwa i Williama Morrisa. Rozmiar domu czynił go wygodnym; pełno w nim było zakątków, podobnych do ptasich gniazdek, a drobne, zdobiące je przedmioty ze srebra sprawiały wrażenie złożonych w nich jajeczek.

Na tle ogólnej tej harmonji razily bardziej jeszcze dwie walczące z sobą wzajem sprzeczności. Dom ten zamieszkiwała pani jego, która potrafiłaby zachować wytworność na samotnej wyspie i pan jego, którego pojęcie wytworności polegało na zdobieniu swojej siedziby i siebie samego z myślą o zwycięskim współzawodnictwie. Ta współzawodnicząca pogoń za wytwornością skłoniła Soamesa w czasach jego studenckich do wprowadzenia mody noszenia białych kamizelek w lecie i aksamitnych prążkowanych w zimie, nie pozwalala mu ukazywać się publicznie z krawatem wylazającym z ponad kołnierzyka i zniewalała go do okurzania wyjętym z bocznej kieszeni kawalkiem zamszu lakierowanych swoich półbucików wobec wielkiego tłumu, zebranego

w dniu popisu celem wysłuchania deklamowanej przez niego sceny z Moliera.

Nieposzlakowana nieskazitelność cechowała powierzchowność Soamesa, jak wielu współczesnych mu Londyńczyków. Niepodobna było wyobrazić sobie go z jednym bodaj włoskiem nie na miejscu, w krawacie, zbaczającym na jedną ósmą cala od geometrycznie doskonałej linii środka, w kołnierzyku, który nie lśniłby jak słońce! Soames Forsyte nie wyszedłby za żadne skarby świata z domu, nie wziawszy kąpieli — codzienne kąpanie się było nakazem mody. — Z jak bezbrzeżną też pogardą traktował ludzi, którzy tego nie czynili!

Irenę, natomiast, można było doskonale wyobrazić sobie, kąpiącą się, jak nimfa, w zacisznym, ukrytym przed okiem ludzkim strumieniu jedynie dla rozkoszowania się oświeżającym chłodem wody i upajającym pięknem własnego ciała.

W tym domowym konflikcie dwu sprzecznych usposobień zwycięzcą okazał się mężczyzna. Tak samo jak w toczącej się w narodzie walce pomiędzy żywiołem saksońskim i celtyckim zmuszony był temperament wrażliwszy i subtelniejszy ulec i podporządkować się narzuconej mu bardziej konwencjonalnej nadbudowie.

W ten sposób upodobnił się dom Soamesa Forsyta ściśle setkom innych domów, posiadających takie same wysokie aspiracje i stał się owym „czarującym domkiem państwa Soamesostwa Forsytów — tak bardzo indywidualnym, prawda, droga pani? — prawdziwie wytwornym!”

Zamiast państwa Soamesostwa Forsytów czytajcie — państwa Jamesostwa Peabodych, czy Tomaszostwa Atkinsów lub Emanuelostwa Spagnolettich, wstawcie bądź jakie wreszcie nazwisko ludzi, należących do zamożnego mieszczaństwa londyńskiego z wyższymi aspiracjami na

punkcie indywidualnego dobrego smaku. Dekoracja może być odmienna, określenie natomiast ściśle zgodne.

Wieczorem 8 sierpnia, w tydzień po wyprawie do Robin Hill, w jadalni swojego domu — „tak bardzo indywidualnego, prawda, moja droga? prawdziwie eleganckiego!” — Soames i Irena siedzieli przy obiedzie. Gorący obiad w niedzielę był jedną z drobnych cech, znamionujących wykwent domu tego jak i wielu innych jemu podobnych. W początkach małżeńskiego swojego pożycia ustalił Soames zasadę, że „służba musi podawać nam gorący obiad w niedzielę — nie ma przecież nic lepszego do roboty“.

Wprowadzenie tego zwyczaju nie wywołało rewolucji. Bowiem — zły znak dla Soamesa — służba była prawdziwie oddana Irenie, która, wbrew ustalonej tradycji, zdawała się uznawać jej prawo do podlegania ogólnoludzkim słabostkom.

Szczęśliwa para siedziała, nie jedno naprzeciwko drugiego, ale pod prostym kątem przy pięknym stole z różanego drzewa; jedli nie na obrusie — szczyt elegancji! — i jak dotychczas nie przemówili do siebie ani słowa.

Soames lubił mówić przy obiedzie o interesach albo o najnowszych swoich akwizycjach, dopóki też prowadził tego rodzaju monolog, nie raziło go milczenie Ireny. Dzisiejszego wieczora jednak nie był w stanie mówić. Po-stanowienie budowania zaprzętało w ciągu całego tygodnia jego myśl, zdecydował się też wreszcie wyjawic żonie wielką nowinę.

Trema, jaką odczuwał przed tem wywnętrzeniem się, drażniła go niepomiernie. Nie mógł zrozumieć, skąd ona pochodzi; wszakże mąż i żona — to jedna właściwie osoba! Od chwili, kiedy zasiedli do stołu, nie podniosła ani razu oczu na niego; ciekaw był, o czem może myśleć przez cały ten czas. Jakiem okrucieństwem jest jej zachowanie się względem człowieka, który pra-

cuje tak jak on, aby zdobyć pieniądze dla niej i który cierpi w głębi duszy na widok jej, siedzącej tutaj z taką miną, jakgdyby... jakgdyby zapaść się nad nią miały mury domu. Sam wyraz jej twarzy wystarcza, aby wstać od stołu i wyjść z pokoju.

Ciepłe światło lampy, przyćmionej różowym abażurem, padało na obnażoną jej szyję i ramiona — Soames lubił, aby Irena wkładała do wieczornego obiadu dekolowane suknie. Dawało mu to niewypowiedziane poczucie wyższości nad ogółem znajomych, których zonom wystarczało przebieranie się do obiadu, spożywanego w domu, w najlepsze suknie wizytowe, albo nawet noszenie lepszych sukien domowych. W tej różowej łunie jej jasna cera i włosy barwy bursztynu dziwny stanowiły kontrast z ciemno-brunatnymi jej oczami.

Czy może ktoś posiadać ładniejszy stół jadalny, aniżeli ten, z jego soczystym, ciepłym zabarwieniem, z jego dekoracją kwiatową z jedwabisto-płatkowych róż, z rubinowymi kryształami kieliszków i oryginalną srebrną zastawą? Czy może mężczyzna nazwać „swoją“ piękniejszą kobietę aniżeli ta, która siedzi przy tym stole? Wdzięczność nie należała do cnót Forsytów, którzy w wiecznej swojej pogoni za współzawodnictwem nie mieli sposobności do uprawiania jej. Soames doświadczał też jedynie uczucia gniewu, dochodzącego w napięciu swoim do bólu, że nie posiada pięknej tej kobiety w tym stopniu, w jakim ma prawo do posiadania jej, że nie może, wyciągawszy rękę po tę różę, zerwać jej i wywachać z niej najgłębszych tajemnic jej serca.

Inne, będące w jego posiadaniu rzeczy, wszystkie zgromadzone przez niego przedmioty, jego srebra, obrazy, domy, lokaty, dawały mu tajemne, głębokie poczucie własności; posiadanie Ireny nie dawało mu tego uczucia.

W tym jego domu wypisane było groźne memento na każdej ze ścian; kupiecka trzeźwość Soamesa protesto-

wała jednak przeciwko tajemnemu głosowi ostrzeżenia, że Irena nie jest stworzona dla niego.

Poślubił tę kobietę, zdobył ją, uczynił z niej swoją własność, wydawało mu się też zaprzeczeniem najbardziej zasadniczego ze wszystkich praw, prawa własności, że posiadał ciało jej jedynie i nic więcej — o ile zresztą posiadał i to nawet, o czym zaczynał wątpić. Gdyby ktokolwiek zapytał go, czy pragnie posiadać także i jej duszę, wydałoby mu się pytanie takie śmiesznem i sentymentalnem. W gruncie rzeczy jednak pragnął tego, a groźne memento mówiło mu, że to się nigdy nie stanie.

Była stale milcząca, bierna, wabnie odporna, jakgdyby w ciągłej obawie, aby słowem, poruszeniem czy gestem nie pozwolić mu przypuścić, że go lubi. Biedny Soames zadawał też sobie samemu pytanie: Czy pozostać ma już tak między nimi zawsze?

Jak to się dzieje z większością, lubiących czytywanie powieści, ludzi jego pokolenia (a Soames był wielkim miłośnikiem takiej lektury), nadawała beletrystyka odpowiednie zabarwienie jego światopoglądowi, zawdzięczał jej też wiarę, że ten stan rzeczy jest jedynie kwestją czasu. Wkońcu zdobywa mąż zawsze miłość swojej żony. Nawet w wypadkach tragicznego zakończenia — Soames nie lubił zresztą tego rodzaju książek — żona umiera zazwyczaj z wyrazami gorącej skruchy na ustach, o ile zaś umierającym jest mąż — myśl zupełnie nieprzyjemna — rzuca się z rozdzierającym łkaniem, w przystępie spóźnionego żalu, na martwe jego ciało.

Chodził często z Ireną do teatru, wybierając instyktownie sztuki współczesne, poruszające nowoczesne zagadnienia małżeńskie, tak szczęśliwie niepodobne do małżeńskich problemów rzeczywistego życia. Okazywało się, że i te sztuki teatralne kończyły się zawsze w taki sam sposób, nawet o ile w całą sprawę wmie-

szany był jeszcze „ten trzeci“. Śledząc rozwijającą się na scenie akcję, współczuł często Soames z kochankiem, zanim jednak jeszcze zdążył powrócić do domu, nabierał, jadąc z Ireną dorożką, przekonania, że nie ma racji, rad więc był, że sztuka kończyła się odmiennem od jego pierwszego impulsu rozwiązaniem. W modę zaczynał właśnie wchodzić jeden szczególny typ męczyzny — męża — człowiek silny, nieco pierwotny, ale z gruntu zdrowy, który zawsze wkońcu sztuki odnosi bezwzględny tryumf. Soames nie lubił właściwie tego rodzaju typów i gdyby nie wzgląd na własną sytuację, byłby wypowiedział otwarcie swoją odrazę do nich. Zbyt jasno wszelako zdawał sobie sprawę, że jedynym dla niego ratunkiem byłoby okazanie się takim zwyciężającym „silnym“ mężem, aby ujawnić miał kiedykolwiek tę niechęć, której źródła szukać może należało w tajemnym podłożu tkwiącej w jego własnej naturze brutalności.

Milczenie Ireny tego wieczora było wyjątkowe. Nigdy jeszcze dotychczas nie spostrzegł podobnego wyrazu na jej twarzy. Że zaś zawsze najbardziej przerażają rzeczy niezwykle, był Soames prawdziwie przerażony. Zjadł deser i przynaglił do pośpiechu pokojówkę, zmiatającą srebrną szcoteczką okruszyny. Po wyjściu dziewczyny nalał sobie kieliszek wina i zapytał:

— Był kto dzisiaj po południu?

— Juna.

— Czego ona znów chciała?

Ustalonym było oddawna u Forsytów aksjomatem, że odwiedziny są zawsze wynikiem jakiegoś interesu.

— Przyszła pewnie pogadać o swoim narzeczonym? — dodał.

Irena nie odpowiadała.

— Coś mi się wydaje — rzucił Soames złośliwie —

że bardziej ona się ubiega o niego niż on o nią. Nie odstępuję go ani na krok.

Pod wpływem spojrzenia Ireny poczuł się nieswojo.

— Nie powinienes mówić takich rzeczy! — zawołała.

— Dlaczego nie? Każdemu rzuca się to w oczy.

— Nie sędzę. A gdyby tak było, należałoby umieć zachować choć trochę przyzwoitości i nie mówić o tem.

— Uprzejma z ciebie żona, niema co! — burknął, dziwiąc się w duszy żarowi jej odpowiedzi. Niepodobne to było do niej. — Zaślepiąca jesteś w tej Junie! Muszę ci jednak powiedzieć, że teraz, kiedy uczepliła się tego swojego „pirata“, nie dba już zupełnie o ciebie; rychło się o tem przekonasz. I tak jednak nie będziesz się już tak często z nią widywała; zamieszkamy na wsi.

Rad był, że oznajmił jej tę nowinę pod pozorem nagłego wybuchu irytacji. Spodziewał się odruchu oburzenia; milczenie, jakim Irena przyjęła oznajmioną nowinę, stropiło go.

— Nie zdaje się to interesować ciebie? — dodał.

— Wiedziałam już o tem.

Spojrzał na nią wnikliwie.

— Kto ci powiedział?

— Juna.

— Skądże ona o tem wie?

Irena zbyła pytanie to milczeniem. Stropiony i zaniepokojony Soames dodał:

— Świetna to okazja dla Bosinney'a. Stać się może początkiem jego karjery. Mówiła ci pewnie o tem?

— Tak.

Zamilkła. Soames przerwał ponownie milczenie.

— Myślę, że nie masz ochoty przynosić się?

Irena nie odpowiedziała nic.

— Ha, trudno, nie mam możności odgadnięcia, czego właściwie sobie życzysz. Masz zawsze taką niezadowoloną minę. Wszystko ci się niepodoba tutaj, jak się zdaje!

— Czy moje życzenia mają z tem coś wspólnego?

Zabrała wazon z różami i wyszła z pokoju. Soames pozostał przy stole. A więc poto podpisał kontrakt? Poto zamierza wydać około dziesięciu tysięcy funtów? Przypomniały mu się słowa Bosinney'a: — „Kobiety to djabelskie nasienie!”

Powoli jednak uspokoił się. Mogło być gorzej. Mogła zrobić mu scenę. Ostatecznie, dobrze się stało, że Juna przełamała za niego pierwsze lody. Musiała wyciągnąć tajemnicę od Bosinney'a. Powinien się był domyśleć, że tak będzie.

Zapalił papierosa. W rezultacie obyło się bez sceny! Da się ugłaskać — taka już jej natura; zimna, ale nie klótniwa. Pociągając dym z papierosa, i puszczając jego kłęby na środkową dekorację lśniącego stołu, snuł plany urządzenia przyszłego domu. Niema się czem trapić — zaraz pójdzie i naprawi całą rzecz. Irena siedzi teraz pewnie pociemku, pod japońskim parasolem. Piękna, ciepła noc...

Juna przyszła rzeczywiście tego popołudnia z błyszczącymi oczami, wołając już na progu:

— Twój Soames to zacny chłop! Świetnie ułożyło się dla Fila, coś właśnie w jego guście!

Dostrzegłszy brak zrozumienia i zdziwienie na twarzy Ireny, dodała:

— Mówię, rozumie się, o nowym waszym domu w Robin Hill. Jaktó?! Nic o tem nie wiesz?!

Irena nic nie wiedziała.

— O, w takim razie nie powinna byłam może ci nic mówić! — opamiętała się zbyt późno i, rzucając niecierpliwe spojrzenie na przyjaciółkę, zawołała:

— Wyglądasz, jakgdyby cię to nic a nic nie obchodziło. Jaktó? Nie rozumiesz, że o taką właśnie okazję modliłam się do Boga?! Tego tylko było Filowi potrzeba. Przekonają się wszyscy, co on potrafi!

Nie krępując się już obowiązkiem dochowania tajemnicy, opowiedziała całą rzecz.

Od chwili własnych swoich zaręczyn zdawała się nie-
zbyt interesować położeniem przyjaciółki; godziny, spędzane z Ireną, poświęcała na własne zwierzenia; czasem nawet, pomimo całego serdecznego jej dla młodej kobiety współczucia, niezdolna była zatrzeć w uśmiechu swoim śladu litościwej pogardy dla istoty, która tak fałszywie pokierowała własnym życiem, która tak niesłychany, tak niedorzeczny popełniła błąd.

— Powierza mu także całą stronę dekoracyjną — pozostawia mu co do tego wolną rękę. To świetnie... Nie dokończyła, wybuchnąwszy gamą wesołego śmiechu, który radośnie wstrząsnął jej drobną figurką; podniosła rękę i strzepnęła muślinową firankę. — Wiesz, zwróciłam się nawet do stryja Jamesa... — Urwała jednak, zdjeta nagłym wstrętem na wspomnienie tego incydentu. Wobec obojętności przyjaciółki nie zatrzymała się u niej dłużej i rychło odeszła. Będąc już na ulicy, odwróciła się i ujrzała Irenę, stojącą jeszcze na progu. W odpowiedzi na pożegnalny jej gest ręką dotknęła Irena dłonią swoją czoła i, zwolna zawróciwszy, zamknęła drzwi...

Soames wszedł do bawialni i wyjrzał przez okno.

Irena siedziała nieporuszona pod japońskim parasolem i tylko koronka, okrywająca białe jej ramiona, falowała zlekka, podnosząc się i opadając w takt spokojnego jej oddechu.

Coś wszelako w milczącej tej postaci, siedzącej tutaj bez ruchu, zdradzało kryjący się pod pozornym tym spokojem żar uczuć, jakgdyby cała jej istota wstrząśnięta była do głębi, zasadniczej ulegając przemianie.

Wysunął się powrotem do jadalni, niezauważony.

ROZDZIAŁ VI.

JAMES NA SWOBODZIE

Niebawem wieść o decyzji budowania, jaką powziął Soames, rozniosła się po całej rodzinie, budząc niepokój, jaki każda decyzja, związana z kwestją własności, budzić musiała z natury rzeczy wśród Forsytów.

Nie stało się to z winy Soamesa, który szczerze pragnął utrzymać całą rzecz w tajemnicy. Przepelniona radością Juna opowiedziała o szczęśliwym dla niej fakcie pani Small, udzieliwszy jej absolucji podzielenia się nowiną z ciotką Anną jedynie — sądziła, że rozweseli tem zacne serce kochanej staruszki, nieopuszczającej już od dłuższego czasu swojego pokoju.

Pani Small pobiegła zaraz do ciotki Anny, która, leżąc oparta o stos poduszek, przyjęła wiadomość tę z uśmiechem i rzekła wyraźnym swoim, dygotliwym, starczym głosem:

— Bardzo to dobrze dla kochanej Juny; spodziewam się jednak, że będą ostrożni — to rzecz niebezpieczna!

Kiedy po odejściu gościa pozostała sama, twarz jej sposepniała, okryta nagłą chmurą, jak owe zasmucające błękit nieba obłoki, które przepowiadają burzliwy poranek.

W ciągu długotrwałego leżenia w łóżku nie przerywała rozpoczętego procesu ponownego sprężania całej swojej siły woli, co znajdowało odbicie i na jej twarzy, w coraz większym zwłaszcza zaciskaniu się kątów jej ust.

Jej panna służąca, Smither, pozostająca w służbie u niej od najmłodszych swoich lat — nie mówiono o niej nigdy inaczej, jak tylko: Ta dobra, poczciwa Smither, szkoda, że taka powolna! — otóż Smither co rano z najskrupulatniejszą starannością dokonywała ostatecznej ceremonji, wieńczącej odwieczną tualetę ciotki

Anny. Po wyjęciu, z nieposzlakowanej bieli wnętrza atłasowego pudła do wstążek, siwych, płaskich loczków, stanowiących insygnja osobistego dostojenstwa noszącej je, podawała je swojej pani i dyskretnie odwracała się od niej.

Codziennie też wzywane były ciotki — Julia i Hester — i proszone o udzielanie wiadomości o zdrowiu brata Tyma? o tem, co słyhać u Mikołaja? Czy drogiej Junie udało się uzyskać od dziadka skrócenie okresu narzeczeństwa wobec tego, że Bosinney buduje teraz dom dla Soamesa? Czy żona młodego Rogera naprawdę „spodziewa się”? Jaki był przebieg operacji, której poddał się kochany Archie? Co Swithin zrobił z tym pustym domem na Wigmore Street, którego dzierżawca zaprzepaścił całe jego pieniądze i w dodatku tak fatalnie się z nim obszedł? Nadewszystko jednak pragnęła ciotka Anna dowiedzieć się szczegółów o Soamesie — czy Irena w dalszym ciągu... w dalszym ciągu upiera się przy żądaniu oddzielnej sypialni?...

Co rano wysłuchiwała też Smither oznajmienia:

— Zejdę dzisiaj po śniadaniu na dół, około drugiej. Myślę, że będziesz musiała mi być pomocną, moja Smither, po tak długim leżeniu w łóżku!

Pani Small nie zadowolniła się jednak opowiedzeniem o budowie domu ciotce Annie tylko. Zkolei powierzyła tę tajemnicę — pod warunkiem najściślejszego dochowania sekretu — pani Mikołajowej, która zwróciła się do Winifredy Dartie celem sprawdzenia, czy wiadomość ta jest prawdziwa; Winifreda, jako rodzona siostra Soamesa, musi wszak najlepiej wiedzieć o tem. Przez nią już najprostszą drogą dostała się wiadomość do Jamesa. Usłyszana nowina niezmiernie go wzburzyła.

— Nikt mi o niczem nie mówił — oburzył się, i, zamiast iść do Soamesa, którego mrukliwości trochę się obawiał, uzbroidł się w parasol i poszedł do Tyma.

Zastał panią Septymusową i Hester (której powiedziano także — uważano ją za dyskretną jak grób, z tego głównie względu, że mówienie nużyło ją) chętnie, rozumie się gotowe do dyskusowania w tej sprawie. Bardzo to zanie ze strony Soamesa — zdecydowano — że powierzył budowę Bosinney'owi; może jednak nieco ryzykownie? Jak to George nazwał go? ... „Piratem?!“ Jakie to pocieszne! Ale George zawsze taki pocieszny! Jednakowoż rodzina musi się z tem pogodzić. — Wszyscy uważali, że muszą traktować Bosinney'a, jako należącego do rodziny, mimo że wydaje się to dziwnem.

W tem miejscu jednak James zaoponował:

— Nikt nie wie nic o nim. Nie pojmuję, czego Soames spodziewa się po tego rodzaju młodym człowieku. Nie dziwilbym się, gdyby Irena uważała za właściwe wmieszać się w tę sprawę. Pomówię z...

— Soames — wtrąciła ciotka Julia — powiedział panu Bosinney'owi, że nie życzy sobie, aby o tem wspominał. Nie chce, aby o tem mówiono, o ile wiem, i gdyby Tym wiedział, byłoby mu bardzo przykro; ja sama...

James nastawił rękę do ucha.

— Co?... Wyraźnie tracę słuch. Nie słyszę, o czem się mówi. Emilji zrobiło się coś w nogę, w wielki palec u nogi. Nie będziemy mogli pojechać do Walji przed końcem miesiąca. Zawsze musi wleźć coś w drogę!

Dowiedziawszy się, czego chciał, wziął kapelusz i wyszedł.

Było piękne popołudnie, poszedł więc pieszo przez park w kierunku siedziby Soamesa, u którego zamierzał obiadować wobec tego, że Emilja, z powodu chorego palca u nogi, leżała w łóżku, a córki jego — Rachela i Cecylja — pojechały w odwiedziny na wieś. Poszedł naukos ścieżką, wiodącą od Bayswaterskiej strony głównej alei do wrót Knightsbridge, poprzez łąkę, po-

rośniętą niską, spaloną trawą, upstrzoną pasąciami się na niej poczerńiałemi owcami, usianą siedzącymi parami i dziwnymi postaciami, leżącemi twarzą do ziemi, niby trupy na polu, zmiecionem huraganowym ogniem bitwy.

Szedł pośpiesznym krokiem z opuszczoną głową, nie rozglądając się ani na lewo, ani na prawo. Widok tego parku, stanowiącego dla niego właściwe pole bitwy, na którem walczył przez całe życie, nie pobudzał jego umysłu do żadnych rozważań. Wszystkie te ciała, leżące twarzą nadół, jakgdyby wyrzucone z pod prasy w zamęcie walki, te czule parki, siedzące na trawie tuż bliźutko przy sobie i zaznające godzinki rajskiej rozkoszy, przemocą wyrwanej z pośród jednostajnej szaryzny codziennego harowania, nie budziły w nim żadnych pożądań; minął już dla niego czas na nie. Oczy jego utkwione były w trawę pastwiska, jak nosy owiec, które trawę tę oskubywały.

Jeden z jego dzierzawców zaczął opóźniać się z wypłacaniem czynszu, zrodziła się więc poważna kwestja, czy nie byłoby lepiej usunąć go odrazu. Narażałoby to jednak na niebezpieczeństwo niezalezienia innego dzierzawcy przed Bożem Narodzeniem. Swithin wpadł właśnie grubo — należało mu się to, za długo zwlekał.

James rozważał to wszystko, maszerując śpiesznie, trzymając parasol swój przezornie poniżej zagięcia rączki, aby ustrzec jedwab od przetarcia się w środku przy stałym obijaniu się skówiki o ziemię.

Jego chude, podniesione w górę ramiona, opuszczone teraz ku dołowi, jego długie nogi, maszerujące z pośpieszną, mechaniczną precyzyjnością, czyniły to jego przejście przez Park, zalany słońcem, którego jasne promienie stroiły złotą glorią całe to próżniactwo — całe to mnóstwo ludzkich dowodów nieublaganej walki o własność, chwilowo wytraconych poza jej nawias —

podobnem do przelotu wielkiego ptaka lądowego ponad oceanem.

W chwili, kiedy wychodził z Albert Gate, poczuł, że ktoś dotknął jego ramienia.

Był to Soames, który, wracając do domu z biura cieniłą aleją od strony Piccadilly, znalazł się nagle tuż obok ojca.

— Matka twoja chora; leży w łóżku — zaczął James — szedłem właśnie do was, obawiam się jednak, czy wam nie przeszkodzi.

Nazewnątrz nacechowany był stosunek pomiędzy ojcem a synem czysto Forsytowskim brakiem sentymentu — mimo to niepodobna było w żadnym razie powiedzieć, aby obaj wzajem nie byli do siebie przywiązani. Możliwe, że jeden traktował drugiego jako lokatę kapitału, niewątpliwie jednak szczerze dbał i troszczył się każdy z nich o dobro drugiego, dobrze się też wzajem czuli obaj w swoim towarzystwie. Nie zamienili jednak nigdy dwóch słów na temat bardziej intymnych zagadnień życia, ani też nie ujawniali jeden przed drugim głębszych żadnych uczuć.

Łączyło ich coś, czego niepodobna było ująć w słowa, coś głęboko ukrytego w samej istocie narodów i rodzin — krew, mówią, gęściejsza jest niż woda — żaden z nich zaś nie był istotą zimnokrwistą. Miłość Jamesa dla dzieci była w istocie teraz główną racją jego bytu. Posiadanie istot, które są częścią jego samego i którym może przekazać zgromadzone bogactwa, leżało u podstawy samej idei gromadzenia tych bogactw. Cóż zaś dzisiaj, kiedy dożył już siedemdziesięciu pięciu lat, może mu jeszcze sprawiać przyjemność poza zbieraniem majątku? To zbieranie majątku celem przekazania go własnym dzieciom stanowiło rdzeń jego życia.

Nie było też w całym Londynie człowieka rozsądniej-

szego niż James Forsyte (o ile naczelnym przejawem zdrowego rozsądku jest instynkt samozachowawczy, jakkolwiek Tym poszedł w tym kierunku bezwątpienia za daleko), w całym tym wielkim Londynie, którego tak znaczną część zgromadził w swoim posiadaniu i który kochał taką nieujawnianą miłością, jako środowisko najlepszych dla siebie możliwości. Posiadał cudowny wrodzony zdrowy rozum klas średnich. Rzetelny puls kompromisu tętnił w jego żyłach żywiej aniżeli w żyłach Jolyona, pomimo całej potęgi jego woli oraz jego momentów roztkliwiania się i filozofji — żywiej aniżeli w żyłach Swithina, męczennika urojonych chorób, aniżeli Mikołaja, cierpiętника z przyrodzenia, żywiej wreszcie aniżeli w żyłach Rogera — ofiary własnej przedsiębiorczości. Ze wszystkich braci był James umysłem najmniej wybitnym, najmniej świetnym pod względem formy zewnętrznej, z tej też racji miał najwięcej szans długiego życia.

Dla Jamesa, w wyższym stopniu aniżeli dla wielu innych, rodzina była ważną i drogą. W jego stosunku do życia było zawsze coś pierwotnego, a zarazem tkliwego: lubił ognisko rodzinne, lubił rodzinne ploteczki i lubił nawet utyskiwania rodzinne. Wszystkie swoje decyzje czerpał ze śmietanki, którą zbierał z najcieńszych umysłów rodzinnych, poprzez nie zaś z najcieńszych umysłów tysięcy innych rodzin podobnego składu. Z roku na rok, tydzień po tygodniu, chodził do brata Tyma, w którego frontowej bawialni, siedząc z założonemi jedna na drugą nogami, z długimi białemi bokobrodami po obu stronach gładko ogolonych jego policzków — bacznie obserwował wrzenie familijnego kotła i wypływanie na wierzch jego śmietanki; wychodził też od brata zawsze odświeżony, z uczuciem ukojenia, nade wszystko z niepodobnem do określenia uczuciem pokrzepienia i pociechy.

Pod twardą powłoką instynktu samozachowawczego kryło się w usposobieniu Jamesa dużo miękkości — odwiedziny u Tyma były dla niego godziną, spędzoną na łonie matki. Głęboki pociąg, jaki miał on sam do tulenia się pod ochronę skrzydeł rodzinnych, odbijał się zkolei na jego uczuciach dla własnych dzieci; jak zmora prześladowała go ustawicznie myśl o pozostawieniu ich na łup niegodziwości świata i ztąd o konieczności uzbrojenia ich przeciwko niej przez odpowiednie zaopatrzenie w pieniądze, zdrowie i dobre imię. Kiedy syn jego starego przyjaciela, Johna Streeta, zaciągnął się do służby kolonjalnej, potrzasał z ubolewaniem głową, nie mogąc zrozumieć, że też John Street mógł na to pozwolić. Kiedy zaś młody Street nadziany został na dzidę, tak wziął to sobie James do serca, że uważał za swój obowiązek obchodzenie wszystkich kominków specjalnie w celu powtarzania wszędzie:

— John wiedział, na czym się to skończy, nie mógł już jednak poradzić sobie z nim.

Kiedy zięć jego, Dartie, przechodził kryzys finansowy z powodu przespekulowania się na akcjach naftowych, omal nie rozchorował się James ze zgrzyoty; zdawało mu się, że słyszy ponure podzwonne, oznajmiające wyrok zagłady na dobrobyt całej rodziny. Trzymiesięczne leczenie, zakończone kuracją w Baden-Baden, zaledwie zdołało przywrócić mu równowagę. Było coś straszliwego w samej myśli, że gdyby nie jego, Jamesa, pieniądze, nazwisko Dartiego figurowałoby na liście bankrutów.

Posiadając organizm tak zdrowy, że kiedy zaboląło go ucho, pewien był, że umiera, uważał przypadkowe niezdrowia żony i dzieci za dokuczliwości zsyłane na niego osobiście przez Opatrzność, zakłócające spokój jego ducha; zupełnie, natomiast, nie wierzył w choroby innych ludzi, poza bezpośrednim jego kołem rodzinnym,

zapewniał też stale każdego, że to wszystko tylko skutki niedbania o sprawne funkcjonowanie wątroby.

Stale też w takich wypadkach powtarzał:

— Mogli się tego spodziewać. I ja także cierpię na to samo, o ile nie zachowuję ostrożności.

Idąc tego dnia do Soamesa, czuł, że życie szczególnie mu dokuczyło. Emilja z powodu chorego palca leży w łóżku, a Rachela baraszkuje sobie na wsi; znikąd pomocy ni współczucia. W dodatku ta choroba Anny — nie sądził, aby mogła przeżyć lato; odwiedził ją już trzy razy, nie była jednak w stanie przyjąć go! Teraz jeszcze ten pomysł Soamesa budowania domu! I w to także trzeba będzie wglądać. Co się tyczy kłopotu z Ireną, nie ma pojęcia, na czem się to skończy — licho wie, do czego może dojść!

Wchodził do bramy Nr. 62 przy Montpelier Square ze stanowczą intencją czucia się nieszczęśliwym.

Było już wpół do ósmej i Irena zupełnie ubrana siedziała w bawialni. Miała na sobie suknię barwy płynnego złota (obnosiwszy ją na proszonym obiedzie, na balu oraz na wieczorku tańczącym, mogła już tylko donaszać ją teraz w domu), przybraną przy wycięciu stanika kaskadą koronek, na których spoczęło odrazu bawczące oko Jamesa.

— Gdzie kupujesz twoje stroje? — zapytał z naciskiem. — Rachela i Cecylja ani w połowie nawet nie są tak dobrze ubrane jak ty. A ta koronka point-de-rose, chyba nie jest prawdziwa?!

Irena zbliżyła się do niego, aby mógł się przekonać, że jest w błędzie.

Pomimowoli odczuł James na sobie wpływ jej uprzejmości. Owionął go słaby, kuszący zapach perfum, jakim przesiąknięte były jej włosy i jej ciało. Żaden szanujący się Forsyt nie poddawał się jednak tego rodzaju wrażeń

niom, i James więc zaznaczył tylko, że wydaje ona prawdopodobnie znaczne sumy na stroje.

Uderzono w gong i Irena, wsunąwszy białą swoją rękę pod jego ramię, weszła z nim do jadalni, gdzie posadziła teścia na zwykłym miejscu Soamesa, na lewo od siebie pod prostym kątem. Przyćmione światło miękko zalewało pokój, dzięki czemu nie odczuwało się tu stopniowego zapadania mroku. Pani domu zręcznie zaczęła bawić gościa rozmową o nim samym.

James odrazu odczuł zachodzącą w sobie zmianę, coś jakgdyby wzbieranie słodkich soków w owocu pod wpływem ożywczego ciepła słonecznego, dziwnie błogie uczucie pieszczoty, pochlebstwa, przymilności, jakimi go tu darzono, mimo że on sam nie zdobył się ani na jedno słowo pochwały czy tkliwości. Czuł, że to, co je, dobrze mu robi, czego nie doświadczał nigdy w domu; nie pamiętał, aby kiedykolwiek tak mu smakowała szklaneczka szampana, kiedy zaś zainteresował się jego marką i ceną, zdumiony był, przekonawszy się, że to zupełnie ten sam gatunek, którego znaczny zapas posiada we własnej swojej piwnicy, a którego nigdy nie mógł pić. Z miejsca też postanowił oświadczyć swojemu handlarzowi win, że bezwstydnie go nabiera.

Podnosząc oczy z ponad talerza, rzekł:

— Pełno tu u was ładnych rzeczy. Co też daliście za to sitko do cukru? Musi to być kosztowna sztuka?!

Szczególnie mile ujęty był widokiem zawieszzonego na przeciwległej ścianie obrazu, który on sam dał im w podarunku.

— Nie miałem pojęcia, że taki jest ładny! — wyznał.

Wstali, aby przejść do salonu i James poszedł tuż za Ireną.

— To mi się nazywa smaczny obiadek — szepnęła, muskając oddechem swoim obnażone plecy młodej ko-

biety — nic ciężkiego, a jednak nie nazbyt francuski. Nie mogę doprosić się takiego u siebie w domu. Płacę mojej kucharce sześćdziesiąt funtów rocznie, nie udaje mi się jednak wymóc na niej przyrządzenia obiadu w ten sposób!

Dotychczas jeszcze nie wspomniał ani jednym słowem o budowie nowego domu; nie uczynił tego wówczas nawet, kiedy Soames, pod pretekstem pilnego zajęcia, udał się do pokoju na najwyższym piętrze, gdzie przechowywał swoje obrazy.

Teść i synowa pozostali sami. James czuł jeszcze miły wpływ oparów winnych i doskonałego likieru, wypitego przy czarnej kawie. Doznawał w stosunku do Ireny ciepłego uczucia bliskości. Jest naprawdę pociągającą istotą; umie słuchać i zdaje się rozumieć, co się do niej mówi; rozmawiając też z nią, nie przestawał obserwować całej jej postaci, od czubka pantofelków barwy brązu aż do złocistych, miękko falujących jej włosów. Siedziała, oparta o grzbiet empirowego fotela, całe jej giętkie ciało zlekka kołysało się przy każdym poruszeniu, jakgdyby poddawała się pieścizocie ramion niewidzialnego kochanka. Usta jej uśmiechały się, oczy były nawpół przyknięte.

Niewiadomo, czy odczucie niebezpieczeństwa, tkwiącego w samym czarze jej postaci, czy wprost może wysilek trawienia spowodował nagle zamilknięcie Jamesa. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek dotychczas pozostawał zupełnie sam na sam z Ireną. W pewnym momencie, ogarnąwszy wzrokiem całą jej postać, dziwnego doznał wrażenia, że ma naprzeciwko siebie obcą zupełnie istotę.

O czym może ona myśleć w tej chwili, oparta tak o grzbiet fotela?

Kiedy wreszcie przemówił, głos jego brzmiał bardziej szorstko, jakgdyby zbudzono go nagle z milego snu.

— Czem się zajmujesz cały dzień? — zapytał. — Nie przychodzisz nigdy do Park Lane?

Tłumaczenie się jej brzmiało dość niezręcznie i James, słuchając go, nie patrzył na nią. Nie chciał przypuszczać nawet, że synowa unika jego domu — zbyt wiele mówiliby to.

— Przypuszczam, że nie masz czasu — rzekł — bywasz zawsze w towarzystwie Juny. Słuchasz jej widocznie za przyzwoitkę przy chodzeniu jej z narzeczonym, czy coś w tym rodzaju. Mówiono mi, że Juny nie można nigdy teraz zastać w domu; twój stryj Jolyon nie musi być zachwycony, że zostawia go tak wciąż samego. Wszyscy uważają, że Juna zanadto narzuca się młodemu Bosinney'owi. Bywa on tu pewnie u was codziennie, prawda? Ciekaw jestem, jakiego ty jesteś o nim zdania? Sądzisz, że on sam wie, do czego dąży? Mnie, muszę przyznać, wydaje się on dość słabym charakterem. Boddaj, że w ich związku kobieta nosi spodnie!

Policzki Ireny zabarwiły się żywszym rumieńcem. James spojrział na nią podejrzliwie.

— Myślę, że ojciec niezupełnie rozumie pana Bosinney'a — rzekła.

— Nie rozumiem go? — oburzył się James. — Dlaczegoż to nie miałbym go rozumieć? Wiem, wiem, należy go traktować, jako artystę. Podobno ma być zdolny — wszyscy to przypuszczają. Zresztą, znasz go lepiej, niż ja — dodał, spoglądając na nią znów podejrzliwie.

— Rysuje teraz projekt domu dla Soamesa — rzekła miękko, widocznie starając się ułagodzić teścia.

— Naprowadza mnie to na sprawę, którą chciałem poruszyć — dodał James. — Nie pojmują, skąd Soamesowi wpadło na myśl powierzyć zrobienie planów takiemu młodzikowi?! Dlaczego nie zwrócił się do pierwszorzędnego architekta?

— Może właśnie pan Bosinney jest pierwszorzędnym architektem!

James wstał i zwrócił się do niej.

— Widzę — rzekł — że wy wszyscy młodzi trzymacie ze sobą; zdaje się wam, że zjedliście wszystkie rozumy, że znacie się najlepiej na każdej rzeczy.

Prostując przed nią swoją wysoką, szczupłą postać, podniósł palec do wysokości jej piersi, jakgdyby wydając wyrok potępienia na jej urodę.

— Tyle tylko mogę powiedzieć, że cała ta brać artystyczna, czy jak się tam oni sami mianują, to ludzie niezmiernie mało zasługujący na zaufanie, mogę ci też tylko poradzić, abyś starała się mieć z nimi jak najmniej do czynienia.

Irena uśmiechnęła się. W napiętym łuku jej warg dziwne tkwiło wyzwanie. Zdawała się nie mieć już poprzednich dla teścia względów. Pierś jej wznosiła się i opadała, jakgdyby w gniewnym podnieceniu, ściągnęła ku sobie spoczywające na poręczach fotela ręce, aż spotkały się wzajem końce jej palców; ciemne jej oczy wpiły się z nieopisanym wyrazem w twarz gościa.

Spłoszony tym wzrokiem wpatrzył się James ponuro w mozaikę posadzki.

— Muszę ci powiedzieć, co myślę — rzekł. — Szkoda, że nie masz dziecka, o które musiałabyś troszczyć się i którem musiałabyś się zająć!

Wyraz głębokiej zadumy ściągnął nagle rysy młodej kobiety, tak że James nawet zauważył skamienienie całej jej postaci pod miękką powłoką jedwabiów i koronek jej stroju.

Przeraził go efekt wypowiedzianych przez niego samego słów, i, wzorem większości mężczyzn, nieodznaczących się wielką odwagą, próbował znaleźć usprawiedliwienie dla siebie w szukaniu nowej zaczepki.

— Za mało dbasz o rozrywki. Dlaczego nie chcesz je-

chać z nami do Hurlingham? Ani też nie bywasz dość często w teatrze? W twoim wieku powinnyby cię bawić to wszystko. Jesteś przecież taka młoda!

Wyraz zadumy pogłębił się na twarzy Ireny; milczenie jej zaczęło drażnić Jamesa.

— Zresztą nie mam pojęcia o tem, co się u was dzieje. Nikt mi o niczem nie mówi — rzekł. — Soames powinienby chyba umieć dbać o własne sprawy. Jeżeli sam nie potrafi sobie poradzić, ani ja, ani nikt inny nie przyjdzie mu z pomocą — tyle chciałem powiedzieć...

Gryząc w zakłopotaniu paznokieć wskazującego palca, rzucił ukradkiem zimne, ostre spojrzenie na milczącą wciąż synowę.

Wzrok jego spotkał się z utkwionem w niego spojrzeniem jej oczu, tak ciemnych i przepastnych, że zawahał się i umilkł zakłopotany. Na czoło wystąpiły mu drobne kropelki potu.

— No, trzeba mi już iść — bąknął po krótkiej pauzie i w chwilę potem wstał, jakgdyby lekko zdziwiony, że synowa go nie zatrzymuje. Podał na pożegnanie rękę Irenie, nie broniąc jej odprowadzenia go do drzwi, a potem aż na ulicę. Nie, nie potrzeba mu dorożki, woli iść pieszo, niech Irena pożegna za niego Soamesa, a jeśli będzie miała ochotę zabawić się, zawiezie ją którego dnia do Richmond.

Wrócił do domu i odrazu, wszedłszy do sypialni, zbudził żonę z pierwszego snu, jakiego zaznała od dwudziestu czterech godzin, aby jej powiedzieć, że — jego zdaniem — u Soamesów zaczyna dziać się niedobrze; na ten sam temat rozwodził się przez pół godziny jeszcze, aż wreszcie oświadczywszy, że ze wzburzenia nie zmruży napewno oka, odwrócił się na drugi bok, poczem zaraz rozległo się donośnie jego chrapanie.

W domu na Montpelier Square Soames, wyszedłszy z pokoju z obrazami, stanął niepostrzeżony na górnym

podeście schodów, przyglądając się Irenie, wyjmującej ze skrzynki przybyłe ostatnią pocztą listy. Po dokonaniu tego wróciła do salonu, w chwilę potem jednak wyszła i stanęła na progu, jakgdyby nadsluchując, poczem z wolna zaczęła wstępować na wiodące na górne piętro schody, miłośnie tuląc do piersi małe kociątko. Stojąc na górze, widzieć mógł jej twarz, pochyloną nad drobnem stworzonkiem, pomrukującem u jej łona. Dlaczego nigdy z takim wyrazem nie patrzyła na męża?

Dostrzegła go i nagle zmiana wystąpiła wyraźnie w jej rysach.

— Są dla mnie listy? — zapytał.

— Trzy.

Odsunął się, a ona bez słowa minęła go i poszła do swojej sypialni.

ROZDZIAŁ VII.

PRZEWINIENIE STAREGO JOLYONA

Stary Jolyon opuścił tego samego popołudnia plac krokietowy w zamiarze powrotu do domu. Nie zdążył jednak jeszcze dotrzeć do Hamilton Terrace, a już zmienił zamiar i, skinąwszy na dorożkę, rzucił woźnicy numer domu na Vistaria Avenue. Powziął pewne postanowienie.

Przez cały ostatni tydzień nie widywał prawie wcale Juny. Od dłuższego czasu, nieomal od samego dnia zaręczyn swoich z Bosinney'em, rzadko bywała w domu, bardzo mało udzielając się dziadkowi, który nigdy jednak nie napraszał się o jej towarzystwo. Nie było w jego zwyczaju prosić o coś kogokolwiek. Widział, że dziewczyna ma teraz głowę, zaprzątniętą wyłącznie Bosinney'em i jego sprawami, bez skrupułu też pozostawia dziadka samego w wielkim jego domu na lasce kilkorga służby, nie troszcząc się bynajmniej, że starzec nie ma żywej duszy, z którą mógłby zamienić słowo od rana

do wieczora. Klub jego zamknięty, na czas letnich porządków; towarzysze jego z zarządu — na letnich rozjazdach, nic więc nie ciągnęło go do City. Juna chciała, żeby wyjechał; sama jednak nie mogła mu towarzyszyć, ponieważ Bosinney pozostawał w Londynie.

Dokąd wszelako miałby sam pojechać? Nie mógł przecież puścić się w samotną podróż zagranicę! Przeprowa przez Kanał źle się zawsze odbija na jego wątrobie, zresztą nienawidził włóczenia się po hotelach. Roger przebywał w jednym z zakładów hydropatycznych — ale on, Jolyon, nie może przecież teraz, w tym wieku, zacząć bawić się w podobne rzeczy! Zresztą wszystkie te sanatoria — to oczywiście blaga, zamydlenie oczu!

Rozumowaniem podobnem starał się ukryć przed samym sobą własne zgnębienie. Bruzdy, żłobiące jego policzki, pogłębiły się, oczy jego patrzyły z większą z dnia na dzień melancholją, niesamowicie rażącą na jego surowej zawsze, spokojnej twarzy.

Tego zatem popołudnia puścił się w drogę przez St. John's Wood w złotej poświacie zachodzącego słońca, pstrzającego blaskami swojemi kępy drzew akacjowych, które zieleniły się przed każdym małym domkiem, zdając się stać na straży mikroskopijnych ogródków. Jadąc, rozglądał się dokoła z zaciekawieniem, jako że była to dzielnica, której granic nie przestępował żaden z Forsytów bez jawnego lekceważenia i tajonej ciekawości.

Dorożka jego zatrzymała się przed niewielkim domkiem, pomalowanym na poszarzały ze starości żółty kolor, zdradzający, że od wielu lat nie tknął jego murów pędzel malarza. Wyglądał zwiejska ze swojemi sztachetami i furtką, służącą za wejście.

Stary Jolyon wysiadł, zachowując najzupełniejszy spokój; jego masywna głowa ze zwisającemi wąsami i sterzącą do góry szczotką siwych włosów pod nadmiernie

wielkim cylindrem i jego surowe, nieco zagniewane spojrzenie zdawały się mówić: — Zmuszono mnie do tego!

— Pani Jolyonowa Forsyte przyjmuje?

— Tak, proszę pana — jak mam zameldować?

Stary Jolyon pomimowoli porozumiewawczo mrugnął okiem na dziewczynkę-pokojówkę, wymieniając jej swoje nazwisko. Wydała mu się taką zabawną małą zabką.

Poszedł za nią przez ciemny przedsionek do małego saloniku, którego meble pokryte były barwnym kretone. Dziewczynka wskazała mu fotel.

— Państwo są w ogrodzie, proszę pana; niech pan będzie łaskaw spocząć, pójdę i oznajmię im pańską wizytę.

Stary Jolyon usiadł na wskazanym sobie fotelu i rozejrzał się z zaciekawieniem dokoła. Wnętrze domu, tak samo jak i jego zewnętrzne otoczenie, wydało mu się nędzne — nie potrafiłby inaczej tego określić; znać było na wszystkim jakieś — nie umiałby powiedzieć, na czym ono właściwie polegało — jakieś obdrapanie, a raczej może wysiłek wiązania końca z końcem. O ile mógł na pierwszy rzut oka zauważyć, nie było w całym pokoju sprzętu, mogącego kosztować z nowości pięć funtów angielskich. Ściany, wyblakłe, widocznie oddawna nieprzemalowane, udekorowane były akwarelowymi szkicami; przez sam środek sufitu czerzyła się podłużna rysa pęknięcia.

Wszystkie te małe domki były to stare, drugorzędne konstrukcje, komorne za nie nie mogło wynosić nawet stu funtów rocznie. Myśl, że jeden z Forsytów, w dodatku własny jego syn, mieści się w podobnym lokalu, zaboląła go bardziej, aniżeli mógł przypuścić.

Dziewczynka wróciła.

— Państwo proszą pana do ogrodu — dygnęła, wskazując mu drzwi werendowe.

Schodząc po trzech stopniach, prowadzących do ogrodu, zauważył Jolyon, że i one gwałtownie domagają się pomalowania.

Pod starą gruszą zgromadzona była cała rodzina Jolyona młodszego — żona jego, dwoje dzieci i pies Baltazar.

Ten moment pójścia im naprzeciw był aktem największej odwagi w całym życiu Jolyona-ojca, mimo to nie drgnął ani jeden mięsień na jego twarzy; wewnętrznego jego niepokoju nie zdradziło ani jedno poruszenie nerwowe. Głęboko osadzone starcze oczy patrzyły śmiało i bez trwogi na przeciwnika.

W ciągu tych paru minut zdołał ujawnić w całej pełni podświadomy zdrowy rozum, równowagę ducha i żywotności ustroju, czyniące z niego samego i wszystkich podobnych mu przedstawicieli jego klasy właściwy rdzeń narodu. Spokojnym, zrównoważonym, niezrzucającym się w oczy sposobem prowadzenia własnych spraw przy lekceważeniu wszelkich cudzych, służyć oni mogli za typowy wzór zasadniczego indywidualizmu, wrodzonego Brytyjczykom pod wpływem odosobnionego z natury rzeczy życia ojczystej ich wyspy.

Pies Baltazar obwąchał końce spodni gościa; przyjacielski i cyniczny kundel — potomek przypadkowego związku rasowego pudła z pokojową foksterjerką — poczuł węchem coś niezwykłego.

Po załatwieniu ceremonij powitalnych usiadł stary Jolyon w lożynowym fotelu, podczas kiedy dwoje jego wnucząt, umieściwszy się po obu stronach dziadkowych kolan, przypatrywało mu się w pełnym podziwieniu; dzieci nigdy jeszcze nie widziały takiego starego pana.

Mała parka była wzajemnie niepodobna do siebie, jak gdyby natura z umysłu zaznaczyła różnicę, wywołaną odmiennością warunków urodzenia ich obojga. Chło-

piec, Jolly, dziecię grzechu, o krótkiej, okrągłej twarzy, z zaczesanych z czoła włosach barwy konopi, z zabawnym dolkiem na podbródku, miał wygląd miłego urwisa i typowe oczy Forsytów; mała Holly, dziecko prawego związku, miała smagłą cerę i poważną, skupioną duszyczkę, przezierającą poprzez źrenice szarych, tęsknych oczu matki.

Pies Baltazar, obszedłszy trzykrotnie dokoła trzy niewielkie rabaty kwiatowe, aby dać wyraz swojemu lekceważeniu wszelkich spraw świata, umieścił się również przy starym Jolyonie i, wymachując i objając własne boki krętym z natury ogonem, wlepił w gościa mądre ślepie, nie mrużąc ich wcale.

Nawet w ogrodzie prześladowało starego Jolyona w dalszym ciągu wrażenie ogólnego obdrapania; łozinowy fotel trzeszczał pod jego ciężarem; grzędy kwiatowe świeciły łysinami; w pobliżu okopconego kominową sadzą muru czerniła się wydeptana przez koty ścieżka.

Podczas kiedy dziadek i wnuczęta bacznie przyglądali się sobie wzajem z pełnem ufności zaciekawieniem, jakie ludzie bardzo starzy budzą w istotach bardzo młodych i odwrotnie, Jolyon młodszy trwożnie śledził wyraz twarzy swojej żony.

Wydłużony owal jej szczupłych policzków zabarwił się żywszym rumieńcem, wielkie, szare oczy z zarysowanym ponad nimi łukiem ciemnych brwi zaiskrzyły się. Włosy jej układające się miękkimi falami i zaczesane z czoła, zaczynały już siwieć, tak samo jak włosy jej męża, i ta wczesna siwizna nadawała żywemu zabarwieniu jej policzków cechę wzruszająco bolesną nieomal.

Wyraz tej twarzy, jakiego nigdy dotychczas na niej nie oglądał, jaki żona tać musiała przed nim widocznie, zdradzał ukryte żale, tęsknoty i obawy. Oczy jej pod ciemnym łukiem brwi wpatrzone były żądnie w grupę, złożoną z dziadka i wnucząt. Nie odzywała się.

Jedynie mały Jolly żywo podtrzymywał rozmowę; posiadał wiele cennych przedmiotów, pragnąłby też bardzo zaprezentować je jak najrychlej nieznanemu temu przyjacielowi — o zabawnie długich, zwisających na podbródek wąsach i rękach, tak śmiesznie pomarszczonych i pokrytych mnóstwem niebieskich żył — zakładającemu nogę na nogę, jak jego własny tatuś (zwyczaj, który starał się sam naśladować), że jednak był Forsytem, chociaż niespełna ośmioletnim, nie wspominał ani o posiadanych już zabawkach, ani o tem, co w tej chwili najbliższem było jego sercu — o obozie żołnierskim, wystawionym w oknie jednego ze sklepów i przyobiecany mu przez ojca. Niewątpliwie wydawało mu się to zbyt wielkiem zuchwalstwem — wspomnianie o tym przedmiocie najwyższych pożądań byłoby nazbyt już ryzykownem kuszeniem Opatrzności.

Słońce rzucało blaski swoje poprzez gąszcz liści na małą, złożoną z trzech pokoleń grupę, spokojnie usadowioną pod starą gruszą, która oddawna już nie rodziła owocu.

Pobrużdżona twarz starego Jolyona czerwieniła się smugami, jak zazwyczaj czerwieniła się twarze starych ludzi w słońcu. Ujął w dłoń swoją rączkę małego Jolly; malec wlaźł na dziadkowe kolana, a mała Holly, zelektryzowana tym widokiem, wdrapała się na nie także. Odgłos grzebania ziemi łapami psa Baltazara rozbrzmiewał rytmicznie.

Nagle młoda pani Jolyonowa wstała i pośpieszyła do wnętrzu domu. W chwilę potem mąż jej, wybaknąwszy jakiś pretekst, poszedł za nią. Stary Jolyon pozostał sam z wnukami.

Lubiąca podobne skoki ironiczne Natura zaczęła dokonywać w nim jednego z dziwnych owych przewrotów, podporządkowanych niezmiennym jej prawom, których władza sięga najtajniejszych głębin serc ludzkich.

Ta sama tkliwość dla małych dzieci, ten sam niepokonany pociąg do zaczątków życia, który zwycięzko niegdyś zniewolił go do wyrzeczenia się własnego syna i pójścia za Juną, odezwał się w nim teraz powtórnie, każąc zapomnieć o Junie, aby iść za temi, drobniejszemi od niej istotami.

Młodość, niby płomień niezgaszony, nie przestawała płonąć w jego piersi, powracał więc do niej, do drobnych płonek ludzkich, tak niebaczących, wymagających tak wielkiej troskliwości, do małych, okrągłych twarzyczek, tak nieuzasadnienie poważnych lub rozpromienionych, do dyszkantowych głosików, do nagłych, perlistych gam śmiechu, do niecierpliwie ciągnących go za poły rączek, do ocierania się smukłych ciałek o własne jego nogi — do wszystkiego, co młode i nieporadne, co młode, małe i potrzebujące opieki. Oczy jego zwilgotniały, jego głos zmiękł, zlagodniało dotknięcie jego chudych rąk, pokrytych siecią niebieskich żył, załopotало starcze w jego piersi serce. Odrazu też stał się dla drobnych tych istotek przystanią rozkoszy, ucieczką przed niebezpieczeństwem, ukryciem, w którym mogły dowoli bawić się, śmiać i szczebiotać; aż wreszcie z łozinowego fotela, na którym siedział stary Jolyon, wytrysło, niby promienność światła słonecznego, cudowne rozradowanie trojga serc.

Inaczej odczuł ten moment Jolyon młodszy, śpieszący teraz za żoną do jej pokoju.

Zastał ją siedzącą na krześle przed tualetką z ukrytą w obu dłoniach twarzą.

Dłecy jej wstrząsało łkanie. To jej namiętne poddawanie się cierpieniu było dla niego czemś zagadkowym. Setki razy przeżywał podobnego rodzaju jej wybuchy; w jaki sposób mógł je przeżyć, nie wiedział sam, nigdy bowiem nie wierzył, aby mogły to być chwilowe tylko, przemijające nastroje; lęk okrutny zdejmował go za

każdym razem, że wybiła ostatnia godzina ich współistnienia.

W nocy zarzucała mu żona często ręce na szyję i wołała:

— O, Jo, ile cierpisz przeze mnie! — Powtarzało się to setki razy.

Wyciągnął rękę i niepostrzeżenie wsunął do kieszeni brzytwę swoją do golenia.

— Nie mam prawa tu pozostawać. Muszę zejść zpowrotem nadół! — pomyślał — i, niewidziany przez żonę, powrócił do ogrodu.

Mała Holly tronowała na kolanach dziadka, wzięwszy w posiadanie jego zegarek; Jolly, cały purpurowy z wysiłku, usiłował wykazać, że potrafi stać na głowie. Pies Baltazar, przysunawszy się jak mógł najbliżej do stołu z zastawą herbatnią, pochłaniał ślepiami smakowicie pachnące ciasto.

Jolyon młodszy poczuł złośliwą chęć przerwania wesołej ich zabawy.

Z jakiej racji ma ojciec jego przychodzić do nich i wzburzać do tego stopnia jego żonę? Nic dziwnego, że jest to dla niej wstrząśnienie po tylu latach! Powinien był wiedzieć o tem; powinien był uprzedzić ich. Czy zdarzyło się jednak, aby któremu z Forsytów przyszło kiedykolwiek na myśl, że jego postępowanie może zranić kogokolwiek? Nie, stanowczo, ojciec postąpił źle.

Pod wpływem tych rozważań krzyknął szorstko na dzieci i kazał im iść na górę na herbatę. Spłoszone maleństwa, które nigdy nie słyszały ojca, przemawiającego do nich tak surowym tonem, zerwały się i pobiegły, trzymając się za ręce, ale mała Holly odwróciła się i spojrziała raz jeszcze poza siebie.

Jolyon-syn nalał ojcu filiżankę herbaty.

— Żona moja nie czuje się dobrze dzisiaj — rzekł zdając sobie w zupełności sprawę, że ojciec zrozumia

powód nagłego jej odejścia, poczuł też coś w rodzaju nienawiści nieledwie do starego człowieka, który, wiedząc o tem, mógł siedzieć tak spokojnie.

— Miły macie domek tutaj — rzekł stary Jolyon, spoglądając przenikliwie na syna — wzięliście go zapewne w dzierżawę?

Jolyon-syn skinął potakująco głową.

— Niebardzo tylko podoba mi się otoczenie — dodał Jolyon-ojciec — sama holota, bieda z nędzą.

— I my także jesteśmy holota i bieda z nędzą — odparł syn.

Po tych słowach nastąpiło milczenie, przerywane jedynie rytmicznym grzebaniem piasku łapami Baltazara.

— Zdaje mi się, Jo, że nie powinienem był tu przyjść — rzekł z prostotą stary Jolyon — ale taki się czuję samotny!

Na te słowa podniósł się Jolyon-syn i położył rękę na ramieniu ojca.

W sąsiednim domu ktoś wygrywał na rozstrojonym fortepianie, powtarzając nieustannie arję „La donna é mobile“, mały ogródek zasnuł się cieniem, promienie słońca muskały już tylko krawędź muru, na którym w ostatnich jego blaskach wygrzewał się kot, wytrzeszczający senne oczy na psa Baltazara. Zdała dochodziły słabe odgłosy ulicznego ruchu; pnącza, rozpięte na sztachetach dokoła ogrodu, zasłaniały wszystko z wyjątkiem nieba, domu i starej gruszy, której najwyższe gałęzie złociło jeszcze słońce.

Przez czas jakiś siedzieli obaj mężczyźni, zrzadka tylko zamieniając parę zdań. Wreszcie stary Jolyon wstał, aby odejść, przyczem nie padło z ust żadnego z nich ani jedno słowo zapowiedzi ponownego jego przyjścia.

Poszedł do domu głęboko zasmucony. Jaka nędzna dziura! Stał mu przed oczami wielki, pusty dom w Stanhope Gate, jedynie odpowiednia siedziba For-

sytów, ogromny pokój bilardowy i niemniej imponujący salon, do którego z jednego końca tygodnia na drugi nikt nie wchodził.

Ta kobieta, której twarz dość mu się podobała, mogłaby o połowę mniej być wrażliwa; ile naciерpieć się przez nią musi biedny Jo! A ta słodka parka dzieciaków! Ach, jakie to straszliwe szaleństwo!

Poszedł w kierunku Edgware Road, mijając szeregi małych domków, nasuwających mu (niesłusznie niewątpliwie, ale uprzedzenia Forsytów są rzeczą nietykalną) ponure wszelakiego rodzaju przypuszczenia.

Niestety, opinia publiczna, głoszona ustami starych bab plotkarek i przelewających z pustego w próżne gadulskich, pozwala sobie wydawać sąd na własną jego krew i ciało! Rojowisko starych intrygantek! Wbił energicznie koniec parasola w ziemię, jakgdyby chciał przetrzeć nim serce owych plotkarek, ośmielających się szkalować dobre imię jego syna, skazywać na ostracyzm jego i jego następcę, który mógłby nadać znów cel i treść dziadkowemu życiu!

Gniewnie zagłębił w ziemię koniec parasola. A przecież on sam podporządkowywał się przez piętnaście lat sądowi świata — i dzisiaj po raz pierwszy dopiero sprzeniewierzył mu się.

Z dawną goryczą przypomniał sobie dzieje Juny, jej biednej matki i całą wogóle bolesną tę historję. Paskudna rzecz!

Długo trwało, zanim się dowlókl do Stanhope Gate, bowiem z wrodzoną swojemu usposobieniu przewrotnością, szedł całą drogę pieszo, mimo że bardzo był zmęczony.

Umył ręce w umywalni na dole i poszedł do jadalni w oczekiwaniu obiadu; był to jedyny pokój, z jakiego korzystał, o ile Juna przebywała poza domem — czuł się tu mniej samotnym. Wieczorna gazeta nie nadeszła

jeszcze, „Times'a“ przeczytał już, nie miał więc czem się zająć.

Pokój wychodził na tyły domu, nie dochodziły tu zatem odgłosy ruchu ulicznego. Nie lubił psów, teraz jednak i pies byłby mu pożądanym towarzyszem. Oczy jego, błądzące po ścianach pokoju, zatrzymały się na obrazie, noszącym tytuł: „Rybacy holenderscy, ściągnący łódki o zachodzie słońca.“ Arcydzieło to było koroną jego zbiorów. Dzisiaj jednak nie doznawał na jego widok zwykłej przyjemności. Zamknął oczy. Czuł się osamotnionym! Nie ma prawa narzekać, wie o tem dobrze, nic jednak na to nie poradzi — jest słabem, nieszczęśliwym stworzeniem, zawsze niem był — brak mu odwagi!... Taki był bieg jego myśli.

Lokaj wszedł nakryć do stołu i, widząc pana swojego, pozornie uspiętego, starał się poruszać bez szmeru. Stary służący nosił także zarost na twarzy, nie golił wąsów, co budziło poważne wątpliwości w umysłach wielu członków rodziny, tych zwłaszcza, którzy, jak Soames, uczęszczali do wyższych szkół publicznych i przywykli do ustalonych na tym punkcie przepisów. Czy można go było istotnie uważać za służącego? Żartownisie, wspominając o nim, nazywali go „przeniewiercą stryja Jolyona“; George, znany kpiarz rodzinny, przyklepił mu na stałe przydomek „wąsacza“.

„Wąsacz“ krążył na palcach pomiędzy wielkim politurowanym kredensem a wielkim politurowanym stołem, nieporównanie cicho i zręcznie.

Stary Jolyon, udając śpiącego, obserwował go z pod oka. Typowy okaz pochlebcy — zawsze go za takiego uważał — dążącego jedynie do jak najprędzszego pozbycia się roboty, aby móc wymknąć się na wyścigi, na których grał namiętnie, do swojej kobiety, czy, lichy go wie, gdzie jeszcze!... Roztył się! A o pana swojego nie dba ani trochę!

W tej samej jednak chwili, bezwiednie uległ starzec jednemu ze zwykłych swoich nastrojów filozoficznych, które wyodrębniały go tak bardzo z pośród wszystkich innych Forsytów.

— Ostatecznie z jakiej racji miałby kochać mnie? Nie płacę mu za to, żeby kochał. Dlaczego więc żądać mam tego od niego? Na tym świecie nie można spodziewać się od ludzi przywiązania, o ile nie oplaca go się darami czy pieniędzmi. Może na tamtym świecie będzie inaczej? — niewiadomo, niepodobna przewidzieć... pomyślał. I znów zamknął oczy.

Nieprzerwanie, cichaczem wykonywał lokaj swoją pracę, wyjmując coś raz wraz z poszczególnych przedziałek kredensu. Stale zwrócony zdawał się być plecami do starego Jolyona, aby w ten sposób uchronić się od niewłaściwości dokonywania swojej pracy wobec chlebobdawcy; od czasu do czasu chuchał przelotnie na srebro i wycierał je kawałkiem zamszu i badał ilość wina pozostałego w karafinkach, które uważnie podnosił do góry, pochylając się nad nimi pieczołowicie. Po ukończeniu swojej roboty stał przez chwilę, obserwując uśpionego pana i w zielonkawych jego oczach przemknął wyraz pogardy.

Tak, tak, jego pan — stare dziadzisko; niewiele mu już pozostało do życia!

Wzadając się, jak kot, na palcach, przeszedł przez pokój, aby nacisnąć guzik dzwonka elektrycznego przy drzwiach. Otrzymał polecenie: „Obiad na siódmą!“ Co go tam obchodzi, że jego pan śpi? Obudzi go bez ceremonji — noc jest do spania! Nie ma zamiaru kawęczyć ze starym — musi uwolnić się jak najprędzej, oczekują go w Klubie o wpół do dziewiątej!

W odpowiedzi na dzwonek ukazał się mały lokajczyk z srebrną wazką. Starszy lokaj wziął mu ją z rąk i postawił na stole, poczem, stając w otwartych drzwiach,

jakgdyby celem wprowadzania wchodzących gości, oznajmił uroczyście:

— Obiad podany, jaśnie panie!

Stary Jolyon podniósł się ociężale z krzesła i zajął miejsce przy stole obiadowym.

ROZDZIAŁ VIII.

PLAN Y D O M U

Wszyscy Forsytowie, jak powszechnie jest uznane, okryci są zewnętrzną skorupą na podobieństwo owego niezmiernie pożytecznego zwierzątka, które służy Turkom do wyrabiania tyłu ślicznych drobiazgów; innemi słowy, nie bywają Forsytowie nigdy widzialni — a gdyby byli widzialni, niktby ich nie poznał — inaczej aniżeli w zwykłym ich żywiole, na który składają się: warunki ich życia, własność ich, znajomości i żony, stale towarzyszące im w wędrówce ich po świecie, złożonym z tysięcy innych Forsytów w ramach niezmiennego ich żywiołu. Bez właściwego swojego środowiska, bez właściwego swojego żywiołu, nie jest żaden Forsyt do pomyslenia — byłby jak powieść bez intrygi, co, jak wiadomo, należy do anomalji.

W pojęciu Forsytów był Bosinney człowiekiem pozabawionym własnych ram, własnego żywiołu, wydawał im się też jedną z rzadkich owych istot ludzkich, przechodzących przez życie w otoczeniu warunków, własności, znajomych i żon, nie należących do nich.

Jego mieszkanie na Sloane Street, na najwyższym piętrze domu z przybitą na zewnętrznej stronie drzwi tabliczką: „Filip Baynes Bosinney, Architekt“ nie było podobne do mieszkań, zajmowanych przez Forsytów. Nie miał bawialni, wyodrębnionej od pracowni, natomiast w pracowni tej obszerne pomieszczenie oddzielone

było kotarą, aby ukryć przed klientami i gośćmi przedmioty, niezbędne do wygod życia: łóżko, kanapkę, zbiór fajek, maszynkę spirytusową, tomy powieści i ranne pantofle. Część biurowa pokoju umeblowana była w sposób zwykły — szafka z pokratkowanymi otworami, okrągły stół dębowy, składana podstawa do umywalni, kilka twardych stołków i sporych rozmiarów półka, zawalona rysunkami i planami. Juna była w jego pracowni dwa razy już na herbacie pod opieką ciotki, jako przyzwoitki.

Przypuszczano, że posiada jeszcze od tyłu sypialnię.

O ile mogła rodzina stwierdzić, składały się na roczny dochód jego dwa radcostwa techniczne, przynoszące mu po dwadzieścia funtów, a także od czasu do czasu przypadkowe honorarja, nadewszystko zaś — znacznie ważniejsza pozycja — renta osobista przekazana mu na mocy testamentu przez ojca i wynosząca sto pięćdziesiąt funtów rocznie.

To, co doszło ich uszu o owym ojcu, było mniej przekonujące. Okazało się, że był on wiejskim lekarzem w Lincolnshire; pochodził z Kornwalji; znany był z uderzająco pociągającej powierzchowności i bajronicznych skłonności — słowem był popularną w swoim hrabstwie osobistością. Wuj Bosinney'a, Baynes, z Baynes'ów i Bildeboy'ów, istny Forsyte z ducha, chociaż nie z nazwiska, niewiele miał do powiedzenia o swoim szwagrze.

— Dziwak! — określił go. — O trzech starszych swoich synach wyrażał się zawsze lekceważąco: „Pocziwe stworzenia, ale takie ciepłe kluski!“ Wszystkim im bardzo dobrze się powodzi na służbie w Indjach. Filip był jedynym, którego ojciec lubił. Miał dziwny sposób rozumowania. Pewnego razu odezwał się do mnie: — Pamiętaj, mój kochany, nie pozwól nigdy, aby biedna twoja żona wiedziała, co o niej myślisz! — Rozumie się, że nie poszedłem za jego radą. Nie należę do takich!

Ekscentryk! Do Fila mawiał: „Czy będziesz żył, jak gentleman, mój chłopcze, czy nie, pamiętaj umrzeć jako gentleman.“ On sam kazał się pochować w garniturze frakowym, w atlasowym krawacie z brylantową szpilką. Oryginał, stanowczo oryginał, zapewniam panów!

O samym Bosinney'u mówił Baynes z serdecznem ciepłem, zarazem jednak z pewnem politowaniem: — Odziedziczył coś z bajronizmu ojca. Chociażby to jego zlekceważenie całej kariery życiowej, kiedy rzucił moje biuro. Tak, tak moi panowie, rzucił je i włóczył się po świecie z plecakiem tylko przez całe sześć miesięcy! I pogo to wszystko? pytam się. Żeby zapoznać się z architekturą zagraniczną — z zagraniczną architekturą?! Na co mógł liczyć? Ma, na co sobie zasłużył. Taki zdolny młody chłopak — i nie zarabia nawet głupich stu funtów rocznie! Przyznać muszę, że to jego zaręczenie się — to najlepsze co mógł zrobić. — Powstrzyma go ono od szalonych kroków! Fil — to jeden z tych, co potrafią cały dzień spać i czuwać całą noc, poprostu dlatego, że nie mają uregulowanego życia, żadnych jednak złych skłonności — ani cienia złych skłonności!... Stary Forsyte jest bogatym człowiekiem...

Pan Baynes starał się na wszelkie sposoby schlebiać Junie, która często w owym czasie bywała w jego domu na Lowndes Square.

— To budowanie domu dla pana Soamesa — jaki świetny człowiek interesu ten pan Soames! — jest tem właśnie, czego Filowi było potrzeba — wyraził się, mówiąc z nią o Filipie. — Niech się droga pani nie spóźniewa widywać go teraz często. Ważna sprawa! Ważna sprawa! Chłopak musi wybić się! To droga do kariery dla niego. Niech pracuje! Ja w jego wieku pracowałem dniem i nocą. Moja poczciwa żona mawiała do mnie: — „Bobie, nie pracuj tak ciężko, myśl o swoim zdrowiu.“ — Nie słuchałem jej; nigdy się nie oszczędzałem!

Juna zaliła się, że narzeczony nie znajduje czasu na przychodzenie do Stanhope Gate.

Kiedy przyszedł znów po raz pierwszy, nie zdążyli być sam na sam przez kwadrans, a już, szczególnym trafem, w jakich stwarzaniu była pani Septymusowa Small mistrzynią, zjawiała się ona i kazała zaanonsować. Bosinney niezwłocznie ukrył się, w myśl uprzedniej umowy, w małym gabinecie, aby przeczekać tam, dopóki natrętny gość się nie wyniesie.

— Jaki on chudy, moja droga! — zawołała ciotka Jula. — Często widywałam to u ludzi w okresie narzeczeństwa; pilnuj się jednak, moje dziecko, żeby nie zaszło to zadaleko! Radzę ci spróbować mięsnego ekstraktu Barlowa; doskonale zrobił stryjowi Swithinowi.

Juna, stojąca przed kominkiem ze sposepniąłą twarzą, doznawała wręcz uczucia wyrządzonej jej osobistej zniewagi tą niewczesną wizytą ciotki, której odpowiedziała szyderczo:

— Jest szczupły, bo pracuje; ludzie, zajęci prawdziwie pożyteczną pracą, nie tyją nigdy.

Ciotka Jula obraziła się. Ona sama zawsze była chuda, jedyną wszelako przyjemnością, jaką zawdzięczała temu faktowi, była możliwość tęsknienia za utyciem.

— Sądzę, moja droga — rzekła z dąsem na twarzy — że nie powinnabyś pozwalać na przezywanie twojego narzeczonego „Piratem“. Dziwnem wydawałoby się to przecież teraz, kiedy ma budować dom dla Soamesa! Mam nadzieję, że wykona robotę z całą starannością; to takie ważne dla niego; Soames ma taki dobry gust!

— Gust?! — zaperzyła się Juna. — Nie dałabym grosza za jego gust, ani też za niczyj z całej rodziny!

Pani Small osłupiała.

— Stryj Swithin — rzekła z godnością — miał zawsze taki wytworny gust! A mały domek Soamesa jest śliczny; nie chcesz chyba powiedzieć, że tak nie jest?!

— Hm! — mruknęła Juna — to tylko dzięki Irenie!
Ciotka Julia próbowała załagodzić sytuację powiedzeniem czegoś przyjemnego.

— A jak przyjmie kochana Irenka projekt zamieszkania na wsi?

Juna wlepiała w ciotkę rozszerzone zdumieniem oczy, jakgdyby roziskrzzone nagłym błyskiem uświadomienia. Błysk ten zgasł w nich jednak w tej samej chwili, ustępując miejsca jeszcze bardziej twardemu spojrzeniu, jakgdyby siłą woli zmusiła nagły głos sumienia do zamilknięcia.

— Rozumie się, że będzie zadowolona. Dlaczegoż nie miałyby być zadowolone?

Pani Small zaczęła się usprawiedliwiać.

— Nie wiem — rzekła — sądziłam, że przykro jej będzie rozstać się ze swoimi przyjaciółmi. Stryj James utrzymuje, że kochana Irenka za mało bierze udziału w ogólnym życiu. My uważamy — to znaczy stryj Tym uważa — że powinnyby częściej bywać w towarzystwie. Będzie ci pewnie bardzo brakowała!

Juna zarzuciła niecierpliwym gestem ręce za szyję.

— Stryj Tym dobrzeby zrobił, gdyby zechciał nie wtrącać się do tego, co go nie dotyczy — burknęła.

Ciotka Julia zerwała się wyprostowana.

— Tym nie wtrąca się nigdy do tego, co go nie dotyczy.

Juna poczuła nagłą skruchę. Jednym skokiem była przy ciotce i uściskała ją.

— Przepraszam cię serdecznie, cioteczko; ale tak chciałabym, żebyś dała Irenie raz nareszcie święty spokój!

Ciotka Julia, której nie przychodziło na myśl nic odpowiedniego do powiedzenia na ten temat, zamilkła i, zabierając się do odejścia, zapięła czarną jedwabną pelerynę i wzięła z krzesła swój zielony woreczek.

— A jakże się ma kochany twój dziadunio? — przy-

pomniła sobie już w przedpokoju. — Musi pewnie często bywać osamotniony teraz, kiedy poświęcasz cały swój czas panu Bosinney'owi? — Pochyliła się, ucałowała siostrzenicę kilkakrotnie i wyszła wreszcie, drobiąc ceremonjalnie krocзки.

Z oczu Juny trysnęły łzy; wpadła do małego gabinecik, w którym Bosinney siedząc przy stole, rysował ptaki na odwrocie leżącej przed nim koperty i rzuciła się obok niego na krzesło, wołając:

— O, Filu, jakie to wszystko okropne! — Serce jej było tak samo rozplomienione, jak barwa jej włosów.

Następnej niedzieli z rana, w chwili, kiedy Soames golił się, oznajmiono mu, że pan Bosinney jest na dole i chciałby widzieć się z nim. Usłyszawszy to, otworzył drzwi do pokoju żony i rzekł:

— Bosinney jest na dole. Zejdź, proszę cię i zabaw go, dopóki się nie ogolę. Będę za chwilę gotów. Przypuszczam, że przychodzi w sprawie planów.

Irena spojrzała na niego bez słowa, dokończyła pośpiesznie toalety i zeszła na dół.

Nie mógł wydostać z niej, co myśli o domu. Nie wypowiedziała się przeciwko projektowi, a nawet, o ile związane to było z osobą Bosinney'a, zdawała się być dość przychylnie usposobiona dla samej myśli.

Z okna swojej gotowalni mógł obserwować ich rozmawiających na dziedzińcyku przed domem.

Śpieszno mu było dokończyć golenia, zaciął się też dwa razy. Doleciał go z dołu ich śmiech, pomyślał więc: — Dobrze się widocznie czują z sobą!...

Jak przewidywał, Bosinney przyszedł po niego, żeby mu pokazać swoje plany.

Wziął kapelusz i poszedł za nim.

Plany rozłożone były na dębowym stole w pokoju młodego architekta. Soames blady, ale niewzruszenie spo-

kojny, pochylił się nad nimi i wlepił w nie badawczy wzrok, nie odrywając go od nich przez długą chwilę i nie odzywając się ani jednym słowem.

Wreszcie bąknął:

— Dziwny dom, dziwny!

W czworoboku dokoła osłoniętego wewnętrznego dziedzińca narysowany był prostokątny dwupiętrowy budynek. Dziedziniec ten, okolony krążgankiem, biegnącym dokoła wyższego piętra, nakryty był szklanym dachem, opartym na ośmiu wyrastających z ziemi kolumnach.

W pojęciu Forsyta był to w istocie dziwny dom.

— Bardzo dużo tu zaprzepaszczonego bez użytku miejsca — zauważył Soames.

Bosinney zaczął nerwowo przebiegać pokój. Soamesowi nie podobał się wyraz jego twarzy.

— Zasadą tego domu — wyjaśnił wreszcie architekt — było danie panu możności szerokiego oddechu — wielkopańska zasada!

Soames wyciągnął wskazujący i wielki palec, jakgdyby chcąc zmierzyć stopień wielkopańskości, jaki mógłby osiągnąć, i odparł:

— Tak, rozumiem!

Twarz Bosinney'a przybrała szczególny wyraz, zdradzający całą siłę jego zapału.

— Starąłem się nakreślić dla pana plan domu, odpowiadającego poczuciu dostojności. Jeżeli nie podoba się panu, proszę, niech mi pan to odrazu powie. Ma pan słuszność, najmniej należało się z tem liczyć — na co się zdało poczucie dostojności w domu, jeżeli można zamiast tego wcisnąć jeszcze jeden pokój kąpielowy?

Nagłym ruchem wskazał lewe skrzydło podłużnego korpusu środkowego:

— Jest się przynajmniej gdzie obrócić. To na pańskie obrazy, oddzielone od dziedzińca kotarą, jak pan ją rozsunie, otrzyma pan przestrzeń pięćdziesięciu stóp na

dwadzieścia trzy stopy i sześć cali. Ten podwójny piec tutaj w środku wychodzi jednym frontem na dziedziniec, a drugim na salę obrazów; ta oto ściana szczytowa złożona jest cała z okien; ma pan dzięki niej południowe światło, a z dziedzińca północne. Resztę swoich obrazów może pan rozwiesić na górnej galerji, albo w innych pokojach. W architekturze — dodał, patrząc na Soamesa i wyraźnie nie widząc go, co sprawiło Soamesowi dziwną przykrość — tak samo jak w życiu, niema dostojenstwa bez harmonijności. Ludzie utrzymują, że to przestarzała zasada. Szczególna w istocie rzecz; nie przychodzi nam nigdy na myśl wcielić główną zasadę życia w budowę naszych domów; przeladowujemy nasze mieszkania ozdobami, błyskotkami, kącikami, byle tylko zamydlić oczy. Przeciwnie, oko powinno mieć wypoczynek; efekt winien być wywołany niewieloma prostymi surowymi linjami. Harmonja, regularność planu — to główna rzecz; niema dostojenstwa bez harmonji i regularności.

Soames, nieświadomy satyryk, nie odrywał wzroku od Bosinney'owego krawata, któremu daleko było do harmonijności linji; nie był też ogolony, a ubranie jego w nieszczęśliwym było porządku.

— Czy nie będzie to wyglądało jak koszary? — zapytał.

Odpowiedź przyszła nie odrazu.

— Rozumiem — rzekł wreszcie Bosinney — chciałby pan mieć jeden z tych przytulnych miłych domków, gdzie służba gnieździ się w izdebkach na poddaszu, ale zato pełno jest upiększeń i romantycznych wieżyczek, a drzwi frontowe wglębione w ten sposób, aby można było sztucznie urządzić paradne wejście po stopniach na górę. Nietrudno będzie znaleźć czego panu potrzeba. Znam takich majstrów. Całe życie miałem z takimi do czynienia!

Soames przeraził się. Olsniony był rzeczywiście planami, instynktownie też tylko ukrył swoje zadowolenie. Nie umiał mówić komplementów. Pogardzał ludźmi, którzy potrafią szafować szczerze pochwałami.

W tej chwili zaś znalazł się w położeniu człowieka, zmuszonego do powiedzenia komplementu, o ile nie chce narazić się na niebezpieczeństwo utracenia rzeczy pożądanej. Bosinney należał do typu ludzi, po których możnaby się spodziewać podarcia planów i odmówienia dalszej pracy dla niego; rodzaj dorosłego dzieciaka!

To dorosłe dzieciństwo, wobec którego czuł się o tyle wyższym, wywierało szczególny, nieomal hypnotyzujący wpływ na Soamesa, który nigdy nie doświadczył podobnego uczucia osobiście.

— T...tak — wybąknął wreszcie — to... to niewątpliwie oryginalne.

Do takiego stopnia czuł w głębi duszy nieufność, a nawet pewien wstręt do określenia „oryginalne“, że wydawało mu się, jakoby nie zdradził tą uwagą właściwego swojego stosunku do planów.

Bosinney'owi wszelako zdawała się ona sprawiać przyjemność. Tak, to właśnie określenie mogło być miłym człowiekowi takiemu jak on! Powodzenie dodało Soamesowi odwagi.

— To... imponująca siedziba — rzekł.

— Przestrzeń, powietrze, światło — mruknął Bosinney — niemożna żyć po pańsku w pałacykach, jakich tysiące buduje się dla fabrykantów.

Soames zrobił pogardliwy gest; utożsamiono go z klasą wielkopańską; za żadną cenę nie zgodziłby się zostać zaliczonym do rzędu fabrykantów. Ozwalał się w nim jednak wrodzona nieufność do teorii i maksym. Po kiego djabła cała ta gadanina o harmonijności i dostojności? Wydało mu się, że dom będzie zimny.

— Irena nie znosi chłodu — rzekł.

— O! — zawołał Bosinney sarkastycznie. — Żona pańska?! Nie lubi chłodu? Pomyślę o tem; nie będzie jej zimno. Patrz pan! — wskazał na cztery zaznaczone w regularnych odstępach punkty na murach od strony dziedzińca. — Będzie pan miał rury z gorącą wodą w aluminiowych futerałach; można je dostać w artystycznym wykonaniu.

Soames podejrzliwie spoglądał na oznaczone punkty.

— Wszystko to bardzo pięknie — rzekł — ale co to ma kosztować?

Architekt wyjął z kieszeni arkusz papieru.

— Dom powinienby oczywiście być całkowicie zbudowany z kamienia, przypuszczając jednak, że pan nie będzie mógł pozwolić sobie na to, zgodziłem się na kompromis na rzecz stiuku. Powinienbym dać dach miedziany, ustąpiłem jednak i zrobiłem go z zielonego łupku. W tym stanie, jak się prezentuje teraz, będzie pana kosztował dom — już wraz z robotami metalowymi — osiem i pół tysiąca.

— Osiem i pół tysiąca? — powtórzył Soames. — Jakto? Ustaliłem przecież jako ostateczną granicę, bez prawa jej przekroczenia, osiem tysięcy?

— Trudno, nie może być zrobione ani o grosz taniej — odparł Bosinney chłodno. — Jak pan chce. Musi się pan zdecydować. Tak albo nie.

Był to prawdopodobnie jedyny sposób, w jaki można było uczynić Soamesowi tego rodzaju propozycję. Zaskoczyła go ona i oszołomiła. Rozsądek mówił mu, że powinien porzucić cały plan. Plan jest jednak dobry, wiedział o tem — harmonijny we wszystkich szczegółach, cechuje go prawdziwe dostojeństwo; nawet pokoje służby bez zarzutu. Zyska w opinii ludzi, zamieszkując dom, mający cechy tak wysoce odrębne od innych, a zarazem tak doskonale urządzoney.

Rozglądał się w dalszym ciągu w szczegółach planu,

podczas kiedy Bosinney poszedł do swojej sypialni, aby ogolić się i przebrać.

Obaj razem powrócili w milczeniu na Montpellier Square. Soames przyglądał się młodemu człowiekowi z pod oka.

Bosinney jest przystojnym chłopcem — pomyślał — o ile jest przyzwoicie ubrany.

W chwili wejścia obu mężczyzn Irena nachylona była nad kwiatami. Zaproponowała posłanie służącego po Junę.

— Nie, nie — zaprotestował Soames — mamy jeszcze do obgadania dużo spraw!

Przy śniadaniu był na swój sposób serdeczny i zmuszał wciąż Bosinney'a do jedzenia. Rad był, że młody architekt tak dobrze jest usposobiony, pozostawił go też po śniadaniu w towarzystwie Ireny, sam zaś wykradł się do swoich obrazów, jak to zwykł czynić co niedzielę. W porze herbaty zjawił się w salonie i zastał ich rozgadanych jak młode sroki, jak to określił.

Niezauważony przez żadne z nich stanął we drzwiach, wieszając sobie, że wszystko idzie tak gładko. Bardzo szczęśliwie, że Irena i Bosinney tak się z sobą zgadzają; zdawało się, że zupełnie zżyta już jest z myślą o nowym domu.

Namysł w zupełnym spokoju, w pośród ukochanych swoich obrazów, skłonił go do dorzucenia owych pięciuset funtów, jeżeli już ma tak być koniecznie. Miał wszelako nadzieję, że Bosinney okaże się po południu nieco ustępliwszym. Wszystko przecież od niego zależy; napewno istnieje tysiące sposobów zaoszczędzenia kosztów ostatecznego wykonania, nie psując w niczem ogólnego efektu.

Czekał więc już tylko na sposobność pomówienia z młodym architektem, któremu Irena nalewała w tej chwili pierwszą filiżankę herbaty. Promień słońca, przedzierający się przez koronkę firanek, rzucał ciepłe błyski

na policzek młodej kobiety, rozświetlał złoto jej włosów, rozniecał wesołe iskierki w marzących jej oczach. Te same błyski wpływały też może na ożywienie cery Bosinney'a, nadawały spłoszony nieco wyraz jego twarzy.

Soames, który nie znosił blasku słońca, rażącego wprost jego oczy, zerwał się, aby spuścić roletę. Biorąc filiżankę herbaty z rąk żony, zaczął chłodniej, aniżeli zamierzał:

— Nie mógłby pan jednak urządzić się tak, żeby budowa nie kosztowała więcej niż osiem tysięcy? Musi być przecie mnóstwo drobiazgów, które możnaby nieco zmienić.

Bosinney odpił spory łyk herbaty, odstawił swoją filiżankę i rzekł krótko:

— Ani jednego!

Soames spostrzegł się, że jego propozycja ugodzić musiała w jakąś nieznaną mu strunę osobistej próżności.

— Ha — zgodził się — w takim razie rób pan jak pan uważa.

W kilka minut później Bosinney wstał, chcąc wyjść; Soames wstał także, aby go odprowadzić. Architekt zdawał się po dziecinnemu rozradowany. Soames stał jeszcze chwilę, śledząc oczami oddalającego się rozkołysanym krokiem, poczem wrócił zamyślony do salonu, gdzie Irena zajęta była odkładaniem na miejsce nut. Pod wpływem nieopanowanego popędu ciekawości zapytał:

— I cóż, jak ci się wydaje nasz „Pirat“?

Czekał na jej odpowiedź, utkwivszy wzrok w deseń dywana. Wypadło mu czekać dość długo.

— Nie wiem — rzekła wreszcie.

— Uważasz go za przystojnego?

Irena uśmiechnęła się. Soamesowi wydało się, że w uśmiechu tym był odcień szyderstwa.

— Tak — odpowiedziała — bardzo.

ROZDZIAŁ IX.

ŚMIERĆ CIOTKI ANNY

Ku końcowi września przyszedł ranek, w którym ciotka Anna nie mogła już wziąć z rąk wiernej swojej Smithers oznak osobistego swojego dostojenstwa. Doktor, po którego pośpiesznie posłano, spojrzawszy na nią, oświadczył, że panna Forsyte umarła we śnie.

Ciotki Julia i Hester zdruzgotane były tym ciosem. Nie wyobrażały sobie nigdy podobnego końca. Wątpliwem było właściwie, czy wogóle wyobrażały sobie, że koniec musi nastąpić. W głębi duszy uważały za nierozważne ze strony Anny, że odeszła od nich tak bez pożegnania, bez walki nawet. Niepodobne to do niej.

Kto wie, czy nie najgłębiej dotknęła je myśl, że członek rodu Forsytów mógł pozwolić, aby wydarła mu została z ręki władza nad życiem. Skoro mogło to zdarzyć się jednemu, dlaczego nie ma zdarzyć się wszystkim?!

Upłynęła cała godzina, zanim zdobyły się na odwagę powiedzenia o tem Tymowi. Gdyby można było zataić to przed nim! Gdyby przynajmniej można było przygotować go do tej wieści stopniowo!

Długo stały przed drzwiami jego pokoju, naradzając się szeptem. A kiedy było już po wszystkim, naradzały się szeptem w dalszym ciągu.

Odczuje to dotkliwie w następstwie — wyrażały obawę. — Przyjął jednakże na razie wieść tę spokojniej, aniżeli można się było spodziewać. Pozostanie w łóżku, oczywiście!

Wyszły, popłakując zcicha.

Ciotka Julia nie opuszczała swojego pokoju, złamana ciosem. Twarz jej, pobladła z płaczu, podzielona była na przegródki linjami drobnych fałdek obrzmiałego ze wzruszenia ciała. Niepodobna było wyobrazić sobie życia bez Anny, która współżyła z nią przez siedem-

dziesiąt trzy lata. W ich przebiegu jedyną przerwą był krótki przejściowy okres jej małżeństwa, dzisiaj już wydający się snem nieledwie. Co pewien czas zbliżała się do komody i wyjmowała z szuflady z pod woreczków z lawendą świeżą chustkę do nosa. Jej tkliwe serce nie mogło znieść myśli, że Anna leży w drugim pokoju zimna i sżywna.

Ciotka Hester, zawsze cierpliwa i milcząca, wcielenie energji rodzinnej, siedziała w salonie, w którym rolety były popuszczane. I ona także płakała z początku, ale w sobie raczej, niedostrzeżenie. Główna zasada jej życia, zachowanie energji we wszelkich okolicznościach, nie opuściła jej nawet w smutku. Siedziała, cienka, prosta, nieporuszona, wpatrzona tępo w palenisko kominka, opuściwszy ręce bezradnie na kolana, okryte fałdami ciężkiej czarnej jedwabnej sukni. Zechcą zapewne niepokoić ją, zaprządz ją do pracy. Jakgdyby to zdało się na coś! Cokolwiekby się zrobiło, nie powróci to już Anny. Pocóż więc dręczyć ją niepotrzebnie?

O piątej przybyli trzej bracia: Jolyon, James i Swithin. Mikołaj był w Yarmouth, a Roger zapadł na ciężki atak podagry. Pani Haymans przyszła sama poprzednio jeszcze i, po odwiedzeniu ciała Anny, wróciła do domu, pozostawiwszy kartkę do Tyma — którą notabene ukryto przed nim —, że należało ją zawiadomić odrazu. W rzeczywistości, wszyscy mieli to uczucie, że powinni byli być zawiadomieni wcześniej, jakgdyby skutek spóźnionego zawiadomienia zaniedbali coś, czy niedopatrzili czegoś ważnego. James odezwał się:

— Wiedziałem, że tak się stanie; przepowiadałem przecież, że nie przeżyje lata.

Ciotka Hester nie odpowiedziała, że jest już październik prawie. Czy opłaci się swarzyć? Są ludzie, którzy zawsze muszą upierać się przy swoim.

Posłała na górę powiedzieć siostrze, że przyszli bracia.

Pani Small zeszła odrazu. Umyła zapuchniętą wciąż jeszcze twarz i jakkolwiek z surowym wyrzutem spojrziała na jasno-granatowe spodnie Swithina — przyjechał wprost z klubu, gdzie dano mu znać o śmierci Anny — miała wyraz twarzy pogodniejszy niż zwykle: instynkt wyczuwania rzeczy niewłaściwej i w tym momencie nawet górował u niej nad wszystkim.

Wszyscy pięcioro poszli na górę odwiedzić ciało. Pod śnieżnie białe prześcieradło podłożono watowaną koldrę, teraz bowiem, bardziej niż kiedykolwiek, potrzebne było ciotce Annie ciepło; usunięto poduszki; plecy i głowa leżały płasko, przypominając nieruchomością tą sztywność swoją przez całe życie; czepek, wieńczący wierzchołek głowy, ściągnięty był po obu stronach do wysokości uszu; pomiędzy obramowaniem jego a prześcieradłem twarz zmarłej, równie prawie jak ono biała, zwrócona była z zamkniętymi oczami ku twarzom braci i sióstr. Niezwykły spokój czynił ją surowszą jeszcze niż zazwyczaj; wszystkie kości jej zarysowywały się wyraźnie pod wyschlą jak pergamin, zrzadka tylko zmarszczoną skórą — kwadratowy podbródek, wystające kości policzkowe, czoło z zapadniętymi skroniami, subtelnie wyrzeźbiony nos, cała ta twarz — twierdza niepokonanego ducha, który uległ śmierci, teraz zwrócona niewidzącymi oczami w górę, zdawała się usiłować odzyskać owego ducha, odzyskać władzę opiekuńczą, świeżo jej wydartą.

Swithin spojrział przelotnie tylko na twarz zmarłej i wyszedł z pokoju; widok jej, jak przyznawał później, wywarł na nim wstrząsające wrażenie. Zeszedł nadół, poruszył cały dom, i, chwyciwszy swój kapelusz, wgramolił się na siedzenie czekającego powozika, zapomniawszy podać adres woźnicy, który zawiózł go do domu, gdzie przez cały wieczór siedział nieruchomo na krześle.

Przy obiedzie nie mógł przełknąć nic prócz kuropatwy i szklanki szampana...

Stary Jolyon stał w nogach łóżka ze złożonymi modli-
tewnie rękami. On jeden ze wszystkich obecnych zapa-
miętał śmierć matki i teraz — patrząc na Annę, myślał
o tamtej. Anna była starą kobietą, ale śmierć przyszła
po nią wkońcu — śmierć przychodzi po wszystkich!
Twarz Jolyona była nieporuszona, oczy jego zdawały
się błąkać gdzieś bardzo daleko.

Ciotka Hester stała przy nim. Nie płakała już teraz,
źródło łez wyschło — natura jej nie pozwalała na dalsze
trwonienie sił; spłotła ręce, patrząc nie na Annę, ale
w bok, starając się uniknąć bolesnego wysiłku zdawania
sobie sprawy z rzeczywistości.

Ze wszystkich braci i siostr zdradzał James najsilniej-
sze wzruszenie. Łzy spływały wzdłuż równoległych bruzd
wychudzonej jego twarzy; przed kim będzie teraz zwierzał
się ze wszystkich swoich trosk? Julia nie zdała się na
powiernicę, Hester jeszcze mniej. Odczuł śmierć Anny
bardziej, aniżeli mógł przypuszczać, że ją odczuje;
zgnębi go ten cios na tygodnie całe.

Wreszcie ciotka Hester wymknęła się z pokoju,
a ciotka Julia zaczęła krzątać się, czyniąc „co było po-
trzebne“, tak że dwa razy niezręcznie potrafiła o jakiś
sprzęt. Stary Jolyon, zbudzony z zadumy, z rozpamięty-
wania dawno minionej przeszłości, spojrział na nią po-
nuro i wyszedł także. James sam jeden pozostał przy
łożku. Rozejrzawszy się ukradkiem dokoła, aby upewnić
się, że nie jest obserwowany, pochylił nad zmarłą długi
swój korpus i złożył na jej czole pocałunek, poczem
i on także pośpiesznie wyszedł z pokoju. Spotkawszy
Smither w hallu, zaczął rozpytywać ją o szczegóły po-
grzebu, przekonawszy się jednak, że i ona sama nic nie
wie, jął jęklonie utyskiwać przed nią, że jeśli nie będzie
zwrócona dostateczna uwaga, wszystko pójdzie naopak.
Lepiej byłoby posłać po pana Soamesa, który zna się
dobrze na tych rzeczach; pan jej, Tym, zanadto jest

zgnębiony — należałoby troskliwie zająć się nim; co się zaś tyczy jej pań, nie przydadzą się na nic, nie mają dość sprytu na to! Zresztą gotowe się pochorować, nie byłoby w tem nic dziwnego. Najlepiej zrobi, posyłając po doktora; należy w porę zaradzić złemu... Nie sądzi, ażeby jego siostra Anna dobrym zrobiła wybór; gdyby radziła się Blanka, żyłaby teraz jeszcze napewno. Smither może posyłać zawsze do Park Lane, ilekroć będzie potrzebowała porady. Oczywiście, jego powóz będzie do ich dyspozycji w dniu pogrzebu. Wreszcie wyraził powątpiewanie, aby mogła znaleźć się w jej kredensie szklanka wina i parę biszkoptów — nie jadł dzisiaj śniadania!

Dni, pozostające do pogrzebu, minęły bez wstrząśnień. Oddawna było wiadomo, że ciotka Anna zostawiła niewielką swoją fortunę Tymowi, nie było zatem powodu do żadnych wątpliwości i niepokoju. Soames, który, jako notariusz z zawodu, był jedynym wykonawcą woli zmarłej, zajął się wszystkimi przygotowaniami, we właściwym też czasie rozesłał do wszystkich męskich członków rodziny następujące zaproszenia:

„Do...

Proszony pan jest o uczestniczenie w obrzędzie złożenia do grobu zwłok panny Anny Forsyte na cmentarzu Highgate, w południe 1-go października. Powozy będą czekały przy „Altanie”, na Bayswater Road, o 10.45. Uprasza się o nieskładanie wieńców.“

Nadszedł ranek, zimny, z wysokim, szarem londyńskim niebem. O wpół do jedenastej zajechał pierwszy powóz Jamesa. Siedział w nim James i zięć jego, Dartie, piękny, barczysty mężczyzna szczelnie opięty surdudem, z bladą, tłustą twarzą, ozdobioną ciemnym, umiejętnie

zakreconym wasem i niedajacym sie usunac zarysem bokobrodow, ktore, uragajac wszelkim usilowaniom golenia, zdaja sie byc oznaka czegos nieodlaczego od osoby golacego sie, czegos, czesto zwlaszcza dajacego sie spostrzegać u ludzi, ktorzy zwykli spekulowac na giełdzie.

Soames w charakterze wykonawcy ostatniej woli zmarlej, przyjmowal gości, jako ze gospodarz domu, Tym, pozostawal wciaz jeszcze w lozku — wstac mial dopiero po pogrzebie. Ciotki Julia i Hester zejść mialy nadól dopiero po wszystkim, wiadomo bowiem bylo, ze przygotowane ma byc śniadanie dla tych, ktorzy zechca jeszcze powrócić. Drugi zkolei przybyl Roger, utykajacy wciaz jeszcze z powodu przebytego swiezo ataku podagry, a wraz z nim trzej jego synowie: Roger junior, Eustachy i Tomasz. George, ostatni z synow, przybyl prawie bezposrednio po nich wlasnym powozikiem i zatrzymal sie w hallu, aby zapytac Soamesa, czy przedsioborstwo pogrzebowe oplaca mu sie.

Nie lubili sie wzajem.

Potem przybyli dwaj Haymansowie — Giles i Jesse — uroczyscie milczacy, doskonale ubrani, z swiezo zaprasowanymi faldami czarnych wieczorowych spodni. Jolyon senior przyjechal sam. Po nim Mikołaj, wyrozniajacy sie czerstwym kolorytem twarzy i starannie ukrywaną ruchliwoscia glowy i ciala. Towarzyszył mu jeden z jego synow, potulny i jakgdyby zgaszony. Swithin Forsyte i Bosinney przybyli rownoczesnie i stali w drzwiach wejsciowych, ceremonjalnie ustepujac jeden drugiemu pierwszenstwa. Kiedy jednak drzwi otworzily sie, usilowali przepchnac sie obaj razem, poczem odbyly sie w hallu juz ceremonjalne wzajemne przeprosiny i Swithin, doprowadziwszy do porzadku swoje ubranie, nieco zdefasonowane podczas utarczki, powoli wszedl po schodach na gore. Za nimi przybyla reszta towarzysztwa, ktora stanowili: drugi Haymans, dwaj zionaci

synowie Mikołaja i wreszcie Tweetyman, Spender i Warry, dwaj mężowie Forsytówien i mąż Haymansówny. Teraz już orszak żałobny był w komplecie, w liczbie dwudziestu i jednej osoby. Z całej męskiej połowy członków rodu Forsytów brakło dwóch tylko: chorego Tyma i Jolyona juniora.

Wszedłszy do szkarłatno-zielonego salonu, którego barwy tak żywy stanowiły kontrast z niezwykłością ubrań żałobników, nerwowo szukał każdy miejsca do siedzenia celem możliwego ukrycia rażącej czerni swoich spodni. Czarność ta, zarówno jak niezwykła barwa ich rękawiczek, wydawała im się nieprzyzwoitą nieledwie jako rodzaj przesadnego uzewnętrzniania ich uczuć. Niejeden też, że zgorzeniem wprowadzie ale i z pewną zazdrością zarazem, rzucił okiem na „Pirata“, który przyszedł bez rękawiczek i nosił, jak zawsze szare spodnie. Przyciszony gwar rozmów ożywiał się chwilami, nikt jednak nie mówił bezpośrednio o zmarłej, czyniąc to jedynie w sposób pośredni przez dopytywanie się wzajemne jeden o drugiego, jakgdyby w związku z wydarzeniem rodzinnym, dla którego uczczenia zebrali się tutaj wszyscy.

Wreszcie odezwał się James:

— I cóż, myślę, że czas, abyśmy ruszyli?

Zeszli nadół parami, jak ich pouczono bezpośrednio przed ceremonją, i, ściśle pilnując kolejności starszeństwa, powiadali do powozów.

Karawan ruszył stępa; powozy potoczyły się zwolna za nim. W pierwszym jechał stary Jolyon z Mikołajem; w następnym — bliźniacy: James i Swithin; w trzecim Roger ojciec i Roger syn; Soames, Mikołaj junior, George i Bosinney wsiedli do czwartego. W każdym z dalszych powozów, w ogólnej liczbie ośmiu, znalazło pomieszczenie trzech albo czterech członków rodziny, a dopiero za niemi jechał powozik doktora i jeszcze potem,

w przyzwoitej odległości, dorożki, któremi jechali domownicy i służba, wreszcie, na samym końcu, pusty powóz, zaokrąglający właściwy orszak do tradycyjnej liczby trzynastu pojazdów.

Dopóki orszak posuwał się wzdłuż głównej ulicy Bayswater Road, utrzymał pochód stępem, z chwilą wszelako kiedy skręcał w mniej ważną bocznice, przyspieszał nieco kroku, aby znów zwolnić tempo, ilekroć przechodził elegantszemi ulicami, i tak aż do samego miejsca. W pierwszym powozie stary Jolyon i Mikołaj rozmawiali o swoich testamentach. W drugim bracia bliźniacy, po pierwszej nieudatnej próbie, nie przerywali milczenia; obaj byli nieco przyglusi, dlatego też zbyt uciążliwym był dla nich wysilek mówienia dostatecznie głośno, aby się wzajem usłyszeć. Raz jeden tylko odezwał się James:

— Będę musiał rozejrzeć się i dla siebie o kawałek ziemi. A jak ty się urządziłeś, Swithinie?

Swithin, utkwivszy w nim przerażony wzrok, odparł:

— Nie mów ze mną o takich rzeczach!

W trzecim powozie prowadzona była rozmowa, przerywana wyglądaniem z powozów, jak daleko już ujechali. W pewnym momencie rzucił George zdanie:

— Tak, tak, czas już był najwyższy na starą naszą ciotkę.

Nie uznawał ludzi, przekraczających siedemdziesiątkę.

Na odnośną jego uwagę odpowiedział mu Mikołaj junior łagodnie, że reguła ta nie zdaje się dotyczyć Forsytów. Na to zapewnił George, że on sam zamierza popełnić samobójstwo z chwilą dożycia sześćdziesięciu lat. Mikołaj junior, uśmiechając się i gładząc długi swój podbródek, wyraził przypuszczenie, że ojcu jego nie podobałaby się ta teoria; zaokrąglił on znacznie swój majątek już po sześćdziesiątce. Siedemdziesiąt — to co

innego, to najdalszy kres; z chwilą kiedy dożyją tego wieku, czas będzie na nich odejść i zostawić majątek dzieciom. Milczący dotychczas Soames wtrącił się w tym momencie do rozmowy; nie zapomniał uwagi George'a o zyskowności roli wykonawcy testamentu, zaledwie dostrzegalnie też tylko podnosząc powieki, zauważył, że tak mogą mówić jedynie ludzie, którzy nigdy nie potrafili zebrać pieniędzy. Co się jego samego tyczy, zamierza żyć tak długo, jak będzie mógł. Powiedzenie to było daniem po nosie George'owi, o którego złem położeniu materjalnem wiedziano powszechnie. Bosinney zadowolnił się powtórzeniem dwukrotnie w roztertargnieniu:

— Tak, tak!

George ziewnął głośno i na tem urwała się cała rozmowa.

Kiedy wreszcie stanął karawan u celu, zaniesiono trumnę do kaplicy i znów wszedł cały orszak parami we właściwym porządku do głównej nawy. Ta męska gwardja przyboczna, której wszyscy członkowie związani byli ze zmarłą węzłami pokrewieństwa, szczególnie imponujący stanowiła widok w wielkiej stolicy z jej pstrą różnorodnością życia, z jej niezliczonymi zajęciami zawodowymi, z jej przyjemnościami, obowiązkami, z jej straszliwymi trudnościami i udrękami, a nadewszystko z jej nieubłaganem dążeniem do indywidualnego traktowania spraw.

Tutaj wszelako zgromadziła się rodzina, przełamując wszelkie przeszkody, dając przykład niezachwianej jedności, służąc jako świetna ilustracja prawa własności. Stanowiło ono źródło wspaniałego rozrostu ich drzewa rodzinnego, które wszystkie swoje soki, zasilające pień, liczne odnogi i ulistwienie, czerpało z podstawy tej, niezawodzącej od początku aż do zupełnego jego rozkwitu. Duch starej kobiety, utulonej tutaj do ostatniego snu, zgromadził ich wszystkich na tej demonstracji. Było

to jej ostatnie wezwanie, skierowane do tej jedności, która stanowiła ich siłę — ostatecznym też było tryumfem jej, że umarła, kiedy drzewo pozostawało w największym jeszcze rozroście, nienaruszone.

Los zaoszczędził jej widoku gałęzi, wybujających poza punkt równowagi. Nie mogła zajrzeć w głąb serc następnych pokoleń. To samo prawo, któremu podporządkowana była ona sama i które stale kierowało jej rozwojem i stopniowem przeistaczaniem się jej ze smukłej, przyuczanej do prostego, sztywnego trzymania się dziewczynki w silną, rosłą kobietę, a potem w staruszkę kanciata, słabą, podobną już raczej do czarownicy, z coraz ostrzej zaznaczającą się indywidualnością w miarę, jak odpadały z niej ostatnie ślady ścierania się ostrości kantów przez zetknięcie ze światem — to samo prawo nie przestawało w dalszym ciągu wywierać przemożnego swojego wpływu na rodzinę, nad którą czuwała z macierzyńską troskliwością.

Widziała rodzinę tę młodą i dorastającą, widziała ją potem silną i dojrzałą i, zanim starcze jej oczy miały czas czy siłę oglądania dalszego, nieuniknionego ciągu, umarła. A byłaby napewno próbowała i kto wie, może byłoby się jej udało utrzymać ją młodą i silną starczemi swojemi palcami i dygotliwemi pocałunkami; niestety, jednak, nawet ciotka Anna bezsilną była wobec natury.

„Duma przychodzi przed upadkiem!“ — Zgodnie z tą największą z ironij natury rodzina Forsytów zgromadziła się w komplecie na uroczystym, dumnym tym obchodzie, zanim nastąpił jej upadek. Większość twarzy, zarówno tych, którzy stali na lewo, jak i tych na prawo, skierowana była obojętnie ku ziemi, co umożliwiała im ukrywanie swoich myśli; tu i ówdzie jednak któryś z nich, odrywający przypadkiem wzrok od ziemi i spoglądający w górę z pionową zmarszczką na czole, zdawał się widzieć przerażające go widocznie znaki na

ścianach kaplicy, czy też słyszeć głosy zdejmujące go trwożą. Chóralne zwroty, wymrukiwane przyciszonymi głosami, w których górował jednak ten sam nieuchwytny ton rodzinny, brzmiały dziwnie, jakgdyby szeptane w pośpiesznem powtarzaniu przez jedną tylko osobę.

Po skończonym obrzędzie w kaplicy orszak żałobników ustawił się znów w szereg, aby odprowadzić ciało do grobu. Sklepiiona mogiła była otwarta i otaczający ją wieńcem ludzie w żałobnej czerni stali w oczekiwaniu.

Z wzniesionego, uświęconego tego miejsca, na którem spoczywały złożone do snu wiecznego tysiące przedstawicieli wyższej klasy średniej, szły oczy Forsytów, poprzez nieskończone szeregi mogił, wdał, gdzie poniżej poziomu cmentarza rozciągał się Londyn pod rozpiętym bezsłonecznym niebem, zdającym się oplakiwać łącznie z rodziną utratę tej, która była jej matką i strażniczką jej cnót. Sto tysięcy wież i domów, pstrzących niebo przegromnym szarym splotem posiadłości, słało się, niby przypadli do ziemi czciciele, do stóp tej mogiły, kryjącej śmiertelne szczątki najstarszej z nich wszystkich Forsytówny.

Kilka słów, garść ziemi, opuszczenie trumny do dołu, i ciotka Anna znalazła się na miejscu wiecznego swojego spoczynku.

Dokoła mogiły stali świadkowie obrzędu złożenia do grobu, bracia w liczbie pięciu, z opuszczonemi na pierś siewmi głowami, pilnując, czy wygodnie ułożono Annę na ostatniem jej posłaniu. Poza skromną jej własnością, której nie mogła zabrać z sobą i musiała pozostawić na tym świecie, należało zrobić dla niej wszystko, co się tylko dało.

Potem każdy oddzielnie, odstąpiwszy na bok, wkładał kapelusz i zawracał zpowrotem, aby obejrzeć nowy napis na marmurowej płycie familijnego grobu:

TU SPOCZYWA ŚWIĘTEJ PAMIĘCI

ANNA FORSYTE,

CÓRKA JOLYONA I ANNY FORSYTÓW,
KTÓRA ROZSTAŁA SIĘ Z TYM ŚWIATEM

27-go września 1886-go r.

PRZEŻYWSZY OSIEMDZIESIĄT SIEDEM LAT
I CZTERY DNI.

Wkrótce może komuś innemu wypadnie położyć napis. Była to myśl dziwna, nie do zniesienia, dotychczas bowiem nie przychodziło im jakoś do głowy, że Forsytowie mogą umierać. Każdy tedy zosobna i wszyscy razem poczuli tęsknotę za wydostaniem się stąd i uwolnieniem się od udręki tej ceremonji, przypominającej im o rzeczach, z myślą o których nie mogli się pogodzić. Śpieszno im było odejść, powrócić do swoich zajęć i zapomnieć.

Zrobiło się też chłodno; dmący z wzgórza ponad grobami wiatr zmroził ich lodowatym swoim tchnieniem, niby siła zwolna rozczłonkowująca; zaczęli rozdzielać się na grupy i w największym pośpiechu wsiadać do oczekujących powozów.

Swithin oświadczył, że powróci do Tyma na śniadanie, proponował też każdemu zosobna, że zabierze go do swojego powozika. Niezbyt jednak uśmiechała się im perspektywa powrotu w powoziku Swithina, jako że nie był on dość obszerny; nikt też nie przyjął propozycji i Swithin pojechał sam. Bezpośrednio po nim wyruszyli James i Roger; i oni także zamierzali wpaść do Tyma na lunch. Inni stopniowo znikali z cmentarza. Stary Jolyon zabrał trzech bratanków, którymi zapełnił wszystkie wolne miejsca w swoim powozie — ciągnęło go do otoczenia się młodemi twarzami.

Soames, mając jeszcze do załatwienia jakieś szczegóły w biurze cementarnem, poszedł pieszo z Bosinney'em. Miał z nim wiele rzeczy do obgadania, po załatwieniu więc swoich spraw zabrał go do Hampstead, gdzie spożyli lunch w Hiszpańskiej Gospodzie i spędzili dłuższy czas na omawianiu praktycznych szczegółów, związanych z budową domu. Skończywszy z tem, pojechali tramwajem aż do Marmurowego Łuku, skąd Bosinney poszedł do Stanhope Gate, aby zobaczyć się z Juną.

Soames powrócił do domu doskonale usposobiony i zwierzył się Irenie przy obiedzie, że bardzo jest rad z rozmowy z Bosinney'em, który wydaje mu się w istocie bardzo rozsądnym chłopcem; porządny też odbyli spacer, co przyda mu się bardzo na jego wątrobę, jako że nie miał oddawna już okazji użycia ruchu. Wogóle uważać może dzień za udatny. Gdyby nie wzgląd na świeżą żalobę po biednej ciotce Annie, zabrałby żonę do teatru; w danych warunkach wszelako muszą spędzić, jak potrafią najlepiej, wieczór ten w domu.

— „Pirat“ bardzo się o ciebie dopytywał — przypomniał sobie nagle, i, pociągnięty niewytłumaczonym popędem do dania wyrazu swojemu poczuciu własności, wstał z krzesła i wycisnął pocałunek na obnażonych plecach żony.

CZĘŚĆ II

ROZDZIAŁ I.

POSTĘPY BUDOWY

Zima była łagodna. W świecie handlowym panował zastój; jak też Soames trafnie ocenił, rozważywszy rzecz całą dokładnie przed powzięciem ostatecznej decyzji, odpowiedni był czas do budowania. Ku końcowi kwietnia stanął już dom na Robin Hill pod dachem.

Teraz, kiedy było już coś do widzenia za swoje pieniądze, przyjeżdżał Soames raz, dwa, albo nawet trzy razy tygodniowo, wałęsał się pomiędzy rumowiskami, bacząc jeno, aby nie zachłapać wapnem swojego ubrania, kręcąc się w milczeniu pośród niewykończonych obmurowań drzwi lub też dokola kolumn środkowego dziedzińca.

Stawał przed niemi, wpatrując się w nie długo i bacznie, jakgdyby chciał przekonać się o istotnej wartości ich konsystencji.

Dzień 30 kwietnia wyznaczyli sobie z Bosinney'em na przejrzenie rachunków. Na pięć minut przed umówioną godziną wszedł Soames do namiotu, który młody architekt rozstawił dla siebie tuż pod starym dębem.

Rachunki leżały już przygotowane na składanym stole, przywitawszy też Bosinney'a skinieniem głowy, odrazu zasiadł Soames do sprawdzenia ich. Po dłuższym wglębieniu się w nie podniósł głowę z ponad papierów.

— Nie mogę się w tem połapać — rzekł wreszcie — wydatki przekroczyły umówioną sumę prawie o siedemset funtów.

Rzuciwszy przelotnie okiem na twarz Bosinney'a, dodał:

— Gdyby pan chciał być tylko trochę twardszym z pańskimi murarzami, ustąpiliby na pewno z cen. Gotowi wetknąć panu byle co, jeżeli pan nie będzie mocno trzymał ich w garści. Może pan obcinać im śmiało po 10% z wszystkiego. Mniejsza jeszcze, gdyby wypadło dodać jaką setkę czy coś takiego ponad umowę...

Ale Bosinney potrząsnął przecząco głową.

— Zdjąłem im już każdy szeląg, jaki się dało!

Soames odsunął stół gniewnym ruchem, aż arkusze porozsypywały się po ziemi.

— Ładnie mnie pan urządził, niema co! — syknął.

— Mówilem już przecież dziesiątki razy — odparł Bosinney ostro — że musi pan liczyć na dodatki. Uprowadzałem o tem!

— Wiem, wiem — mruknął Soames — nie byłbym też miał nic przeciwko przekroczeniu ustalonego kosztorysu tu i ówdzie o jakie dziesięć funtów. Nie mogłem jednak przypuścić, że „dodatki extra“ urosną u pana do siedmuset funtów.

Stanowisko, zajęte przez obu mężczyzn w tej sprawie, przyczyniło się do wywołania bynajmniej nie mało-ważnego tego sporu. Z jednej strony architekt, zapalony do swojej idei, widzący już w marzeniu dom, który miał stworzyć i w którego piękno wierzył, denerwował się i rozdrażniał stawianemi mu przeszkodami, zmuszaniem go do użerania się o każdy grosz z robotnikami i dostawcami; z drugiej — Soames, niemniej szczerze dążący do tego, aby każdy szczegół, użyty do budowy, był w możliwie najprzedniejszym gatunku, nie chciał jednak zrozumieć, że przedmiotu wartości trzynastu szylingów nie można dostać za dwanaście.

— Żałuję, że wogóle podjąłem się roboty dla pana — wybuchnął nagle Bosinney. — Sterczy pan tu wciąż po

to tylko, żeby mnie mordować i nie dawać mi chwili spokoju. Życie mi już przez pana obrzydło. Chciałby pan dostawać wszystko za połowę ceny, a teraz, jak widzi pan już przed sobą dom, któremu niema równego w całej okolicy, wzdraga się pan płacić za niego. Jeżeli pan chce rozwiązać naszą umowę, znajdę sobie sposób pokrycia samemu nadwyżki kosztorysu, ale niech mnie licho porwie, jeżeli kiwnę jeszcze palcem dla pana!

Soames odzyskał panowanie nad sobą. Wiedząc, że Bosinney nie posiada żadnych kapitałów, uważał wybuch jego za czczą jeno pogroźkę. Zarazem jednak zdawał sobie sprawę, że dalsza budowa domu, który pochłonął go całkowicie, przeciągnąć się może Bóg wie jak długo w tym właśnie krytycznym momencie, kiedy wszystko zależy od osobistej czujności architekta. Należało też pomyśleć o Irenie! Bardzo dziwna jakaś była ostatnio. Zaczynał nawet przypuszczać, że tolerowała projekt domu jedynie dlatego, że zaprzyjaźniła się z Bosinney'em. Ryzykowną byłoby rzeczą doprowadzić do stanowczego z nią sporu.

— Nie ma się pan o co tak złościć — rzekł. — Nie widzę powodu do irytowania się pańskiego, skoro ja z mojej strony zgadzam się pokryć nadwyżkę. Pozwoliłem sobie tylko zauważyć, że skoro mi pan mówi, iż taka a taka rzecz będzie kosztowała tyle a tyle, chciałbym... chciałbym wiedzieć, czego się mam naprawdę trzymać.

— Słuchaj pan! — wrzasnął Bosinney tonem, który mógł w samej rzeczy podrażnić Soamesa swoją szorstkością. — Dostał mnie pan za psie pieniądze. Za pracę, jaką włożyłem w tę budowę i za czas, jaki jej poświęcam, musiałby pan zapłacić Littlemasterowi czy innemu prostakowi cztery razy tyle. Przejrzałem pana nawskroś — chciał pan mieć pierwszorzędnego architekta za czwartorzędną płacę i to się panu udało!

Soames widział, że młody artysta mówi z głębi prze-

konania, przy całym też swoim gniewie na niego uzmysłowił sobie odrazu jasno konsekwencje ostrego z nim zatargu. Ujrzał przed sobą dom swój niedokończonym, Irenę wzburzoną, a samego siebie wystawionego na powszechne pośmiewisko.

— Dajmy temu spokój! — mruknął ponuro. — Zajmijmy się lepiej rachunkami.

— Zgoda — rzekł Bosinney. — Ale pośpieszmy się, jeśli łaska. Muszę wrócić w porę, żeby zajechać po Junę do teatru.

Soames rzucił na niego okiem ukradkiem i odparł:

— Umówił się pan z nią u nas pewnie?

Bosinney nie wychodził prawie z jego domu.

Nocy poprzedniej spadł deszcz — prawdziwie wiosenny deszcz; ziemia pachniała wilgocią młodej trawy i dzikich ziół. Ciepły, łagodny wietrzyk poruszał liście i nabrzmiałe złotawe pąki starego dębu, kosy wygwizdywały swoje trele na cały głos w pełnym świetle słońca, jakgdyby chciały wyśpiewać treść własnej duszy.

Był jeden z owych czarownych dni wiosennych, budzących w sercu człowieka niewysłowioną tęsknotę, bolesną słodycz, dziwnie głębokie rozrzewnienie, przykuwających go do byle listka czy trawki, przed którymi staje on bez ruchu, rozwierających jego ramiona do objęcia niemi świata całego w uścisku. Ziemia promieniowała ciepłe fale, przedzierające się poprzez mroźną, nieopadłą z niej jeszcze szatę zimową. Była to jakgdyby wabiąca jej pieścizota, zachęta do utulenia się w jej ramiona, do przywarcia stęsknionem ciałem do macierzystego jej łona i przyłgnięcia do niej spragnionemi ustami.

W takim właśnie jak ten dniu otrzymał nareszcie Soames od Ireny przyzwolenie, o które błagał ją tylokrotnie. Siedząc na ulamanym pniu drzewa, uroczyście przyobiecał jej, po raz niewiadomo który, że gdyby

ich małżeństwo miało okazać się z jej strony pomyłką, zwróci jej bez namysłu wolność, jakgdyby nigdy nie była jego żoną!

— Przysięgasz na to? — rzekła wówczas za całą odpowiedź.

Niedalej jak kilka dni temu przypomniła mu tę przysięgę.

— Nonsens! — odparł. — Nie mogłem przysięgać ci nic podobnego!

Dziwnym trafem stało mu to w tej chwili w pamięci. Jakie dzikie przysięgi gotów składać mężczyzna, kiedy pragnie osiąść kobietę! Byłby powtórzył tę samą przysięgę nieskończony razy, byleby dostać Irenę! Byłby poprzysiągł to samo i w tej chwili, gdyby wiedział, że może ją tem wzruszyć — nic jednak niezdolne jej wzruszyć, rybia krew płynie w jej żyłach!

Wraz z falami ciepłego wiosennego powietrza opływały go wspomnienia z czasów jego narzeczeństwa.

Na wiosnę 1881 roku odwiedził swojego kolegę szkolnego i zarazem klienta, George' Liversedge'a z Branksome, który, przystępując do eksploataowania swoich lasów sosnowych w sąsiedztwie Bournemouth, powierzył Soamesowi sprawę zorganizowania potrzebnego do urzeczywistnienia tego planu towarzystwa akcyjnego. Pani Liversedge, znająca się na wymogach życia towarzyskiego, urządziła na jego cześć wieczór muzyczny. Ku końcowi tego zebrania, które niemuzykalnemu Soamesowi wydało się okrutną nudą, spojrzenie jego padło na twarz stojącej samotnie młodej dziewczyny w żalobnym stroju. Linje wysmukłego, dziewczęco szczupłego jeszcze ciała zarysowywały się wyraźnie poprzez szorstką, przylegającą materję czarnej sukni, ręce, uwięzione w czarnych rękawiczkach, leżały splecione na piersiach, usta miała lekko rozchylone, a ciemne, wielkie oczy błędziły po twarzach obecnych. Włosy, upięte nisko

nad karkiem, zdawały się płomienieć ponad czarnym kołnierzykiem sukni, niby zwoje lśniącego metalu. Soames, patrząc na nią, szczególnego doznał uczucia, nieobcego większości mężczyzn — dziwnej rozkoszy zmysłowej, olśnienia, mianowanego przez powieściopisarzy zakochaniem się z miejsca. Wciąż w dalszym ciągu wpatrując się w nią ukradkiem, skierował się odrazu do gospodyni domu i stał, czekając niecierpliwie, aż zamilkną tony muzyki.

— Kto jest ta młoda panna ze złotymi włosami i ciemnymi oczami? — zapytał.

— O, to Irena Heron! Ojciec jej, profesor Heron, umarł w tym roku. Mieszka ze swoją macochą. Sympatyczna i ładna dziewczyna, ale zupełnie bez grosza.

— Niech mnie pani jej przedstawi, proszę.

Niewiele znalazł młodej dziewczynie do powiedzenia, a i ona sama niezbyt była rozmowna. Wrócił jednak do hotelu, w którym zamieszkał, z postanowieniem zobaczenia jej jeszcze. Cel swój osiągnął przypadkowo, spotkawszy ją nazajutrz na pomoście w towarzystwie jej macochy, która stale odbywała tutaj swój spacer od dwunastej w południe do pierwszej. Soames chętnie zapoznał się z tą damą, zwłaszcza że odrazu nieomal przeczuł w niej sojuszniczkę, jakiej było mu potrzeba. Jego wyrobiony węch w sprawach, związanych z handlową stroną życia familijnego, rychło ujawnił mu, że Irena kosztuje swoją macochę więcej aniżeli pięćdziesiąt funtów rocznie, które jej wnosi; ujawnił mu również, że pani Heronowa, kobieta młoda jeszcze, pragnie powtórnie wydać się za mąż. Niezwykła, dojrzewająca uroda pasierbicy stała jej na przeszkodzie w spełnieniu tych pragnień. I Soames z tajoną zrećźnie uporczywością przeprowadził swój plan.

Wyjechał z Bournemouth, nie zdradziwszy swoich

uczuc, po miesiącu wszelako powrócił i tym razem wyjawil je, nie mlodej dziewczynie wszelako, ale jej matkosze. Oswiadczył, ze zdecydowany jest czekac, jak dlugo wypadnie. A wypadlo czekac dlugo, obserwujac przez dręcący ten czas bujny rozkwit Ireny, zaokrąglanie się linii mlodego jej ciała, ozywianie się blasku pięknych jej oczu pod wpływem zywiej tętniącej w żyłach krwi, zabarwiającej ciepłym odcieniem mleczną bialosc jej policzków. Za kazdym razem, przy okazji ponawiania swoich odwiedzin, ponawial też swoje oswiadczyzny, aby stale na odjezdnem zabierac z sobą jej odmowe, z którą wracal do Londynu ze zranionem sercem, zacięty jednak, milczący i nieustępliwy jak grób. Usiłował dotrzeć do tajemnych źródel jej oporu, raz jeden tylko jednak olśnil go przelotny przeblask świadomości. Było to na jednym z owych wieczorków tanecznych, dających jedyną možność wyładowania namiętności kuracjuszów nadmorskiego kąpieliska. Siedział wraz z nią we wnęce okiennej, podniecony drażniąciami dźwiękami walca. Irena spojrzala na niego poprzez pióra rozkołysanego falującym ruchem wachlarza; pod czarem tego spojrzenia stracil doreszty głowę. Chwyciwszy ją za poruszający się wraz z wachlarzem przegub jej dłoni, przycisnal usta do obnażonego ramienia mlodej dziewczyny. Spłoszona, wzdrgnęła się — do dnia dzisiejszego nie zapomnial tego jej wzdrgnięcia się, ani wyraźnego wstretu, jaki dostrzegł w jej oczach.

W rok później uległa jego natarczywości. Co ją sklonilo do ustąpienia — nie mógł nigdy dociec; nie dowiedzial się też niczego od pani Heronowej, wyjątkowo zręcznej dyplomatki. Pewnego razu już po ślubie zadal żonie pytanie:

— Dlaczego tyle razy dawalaś mi odkosza?

Odpowiedziala mu dziwnym milczeniem.

Od dnia, w którym ujrzał ją po raz pierwszy, byla dla

niego zagadką i zagadką pozostała dla niego w dalszym ciągu...

Bosinney czekał na niego u wrót. I jego czerstwa, przystojna twarz przybrała dziwnie tęskny, a mimo to promieniejący szczęściem wyraz, jakgdyby niebo wiosenne i przepojone rzeźwiącemi zapachami powietrze darzyło go zapowiedzią niewypowiedzianej błogości. Soames spojrział na czekającego. Co się stać mogło chłopcu, że miał taką rozanieloną minę? Na co czekał z tym uśmiechem na ustach i błyskiem rozradowania w oczach? Soames nie mógł wiedzieć, na co Bosinney czekał, stojąc na progu wzniesionego przez siebie domu i wdychając pełną piersią fale pachnącego kwiatami powietrza. I znów poczuł się nagle onieśmielonym wobec tego człowieka, którego zwykł przecież lekceważyć. Pośpieszył do wnętrza budowli.

— Jedynym kolorem odpowiednim na te dachówki — usłyszał głos mówiącego do niego Bosinney'a — byłby rubinowy z szarawym odcieniem, aby sprawiać wrażenie przejrzystości. Chciałbym wiedzieć, co pani Irena na to powie. Zamówiłem purpurowe skórzane zasłony do drzwi, prowadzących na wewnętrzny dziedziniec; dzięki złagodzeniu kremowej białości tapet salonowych otrzymamy pożądany efekt. Zadaniem wewnętrznej dekoracji jest dążenie do osiągnięcia tego, co nazywam istotą czaru.

— Uważa pan, że żona moja posiada taki czar?

Bosinney wykręcił się od dania odpowiedzi na dziwne to pytanie.

— Należałoby urządzić w pośrodku dziedzińca klomb irysów.

Soames uśmiechnął się z miną pewną siebie.

— Wstąpię do Beech'a poszukać czegoś odpowiedniego — rzekł.

Nie mieli sobie wiele więcej do powiedzenia, jednakże po drodze na stację rzucił mu Soames zapytanie:

— Uważa pan Irenę za wysoce artystyczną naturę?

— Tak.

Krótką tą odpowiedź była równie dobrze szorstką odprawą, wyraźnym powiedzeniem nieomal:

— Jeżeli pan zamierza dyskutować o zaletach żony pańskiej, radziłbym wybrać sobie innego interlokutora!

Ponury gniew, jaki tail w sobie Soames przez całe popołudnie, rozpłomienił się w nim na dobre.

Zamilkli obaj. Żaden z nich nie przemówił słowa, i dopiero kiedy byli już blisko stacji, zapytał Soames:

— Kiedy ma pan nadzieję oddać gotowy gmach?

— Ku końcowi czerwca, o ile pan rzeczywiście zamierza powierzyć mi i wewnętrzną dekorację.

Soames skinął głową.

— Zdaje pan sobie chyba jednak sprawę — rzekł — że dom kosztuje mnie znacznie więcej, aniżeli obliczyliśmy. Muszę panu nawet przyznać, że byłbym dał całej budowie za wygraną, gdyby nie to, że nie mam zwyczaju porzucania raz powziętego projektu.

Bosinney pominął to wyznanie milczeniem. Soames spojrział na niego zukosa z wyrazem zawziętej niechęci — bowiem pomimo butnej, wyniosłej swojej powściągliwości przypominał mu Soames zaciętymi swojemi ustami i twardo zarysowanym czworokątnym podbródkiem — buldoga.

Kiedy o siódmej tego wieczora przyszła Juna na Montpellier Square, oznajmiła jej pokojowa, Bilson, że pan Bosinney jest w salonie; — nasza pani — dodała — przebiera się i zejdzie za chwilę na dół. Uprzedzi ją o przybyciu panny Juny.

Juna zatrzymała gorliwą służbistkę.

— Dobrze, moja Bilson. Pójdę do salonu. Proszę nie przeszkadzać pani Soamesowej.

Zdjęła okrycie i Bilson, rozumiejąc jej intencję, nie otworzyła jej nawet drzwi salonu, ale pobiegła na dół do suterren służbowych.

Juna zatrzymała się na chwilę, aby obejrzeć się w małym staroświeckim srebrnym lustrze, zawieszonym nad dębową komodą, w którym odbiła się jej drobna, a mimo to dumna dziewczęca figurka z wyrazem stanowczości na małej twarzączce, w białej sukni, z półokrągłym wycięciem dokoła szyi, zbyt szczupłej na dźwiganie korony spiętrzonych miedziano-złocistych włosów.

Cichutko otworzyła drzwi wiodące do salonu, chcąc zrobić narzeczonemu niespodziankę. Pokój przesiąknięty był subtelnym, ale upajającym zapachem azalij.

Wciągnęła aromat żądnymi nozdrzami i w tej samej chwili usłyszała głos Bosinney'a nie w tym samym pokoju, ale tuż obok:

— Ach! Tyle jest rzeczy, o których miałbym do pomówienia, ale teraz nie będziemy mieli na to czasu!

Głos Ireny odpowiedział:

— Dlaczego nie przy obiedzie?

— Jak można mówić swobodnie?...

Pierwszym impulsem Juny było cofnąć się, zamiast ulec mu jednak weszła do pokoju i stanęła przy weneckich drzwiach, wychodzących na mały dziedziniec. Stamtąd właśnie dolatywał zapach azalij, przy których klombie, zwróceniu plecami do niej, tuląc twarz do złocisto-różowych kielichów kwiatowych, stali — narzeczony jej i żona Soamesa.

— Proszę, niech pani przyjdzie sama jedna w niedzielę; będziemy mogli obejrzeć cały dom razem.

Juna pochwyciła spojrzenie, jakie rzuciła mówiącemu Irena poprzez oddzielający ją od niego bukiet kwiatów. Nie było to spojrzenie zalotne, ale stokroć gorsze w oczach młodej dziewczyny — spojrzenie kobiety, która boi się wyjawienia niem zbyt wiele.

— Przyobiecałam pojechać na spacer ze stryjem...

— Z tym grubym?! Dobrze, niech panią zawiezie; to niedaleko; jakie dziesięć kilometrów, w sam raz dla jego koni.

— Biedny stryj Swithin!

Fala słodkiego aromatu azalii opłynęła twarz Juny, przyprawiając ją o nagły zawrót głowy.

— Niech pani przyjdzie! Proszę, niech pani przyjdzie!

— Ale w jakim celu?

— Muszę się tam z panią zobaczyć, sądziłem, że miałyby pani ochotę dopomóc mi...

Podsluchającej dziewczynie wydało się, że odpowiedź zabrzmiała cicho, z drzeniem, jakgdyby z poza parawana kwiatowych bukietów.

— Chciałabym rzeczywiście.

Juna miała tego dość. Wyszła drzwiami werendowemi na otwartą przestrzeń.

— Jak tu duszno! — zawołała. — Nie mogę znieść tego zapachu!

Oczy jej, płonące gniewem i zwrócone wprost na nich oboje, omiotły ich surowem spojrzeniem.

— Mówiliście o domu? I ja nie widziałam go jeszcze... Może pojedziemy wszyscy obejrzyć go w niedzielę?

Twarz Ireny zgasła i zbladła.

— Jadę tego dnia na spacer ze stryjem Swithinem — odpowiedziała.

— Ze stryjem Swithinem? A cóż to szkodzi? Możesz dać mu odprawę!

— Nie mam zwyczaju dawania nikomu odprawy!

Rozległy się kroki i Juna ujrzała Soamesa, stojącego tuż poza nią.

— Jeżeli jesteście gotowi — rzekła Irena, zwracając się do wszystkich trojga z kolei z dziwnym uśmiechem — obiad jest także gotów!

ROZDZIAŁ II.

ESKAPADA JUNY

Obiad rozpoczął się w milczeniu; kobiety usiadły naprzeciwko siebie, mężczyźni po obu przeciwległych brzegach stołu.

W milczeniu zjedzono zupę — wyborną, jakkolwiek nieco gęstawą; podano rybę. Obnoszono ją wśród powszechnego milczenia.

Bosinney przerwał je wreszcie:

— Pierwszy prawdziwie wiosenny dzień.

Irena zawtórowała mu cichym głosem:

— Tak, pierwszy wiosenny dzień.

— Wiosenny?! — oburzyła się Juna. — Niema czem oddychać!

Nikt jej nie podtrzymał.

Zebrano talerze po rybie, pięknej świeżej soli z Dover. Bilson przyniosła butelkę szampana, obłożoną po szyjkę lodem.

Soames uprzedził:

— Boję się, że będzie zbyt wytrawny.

Podano bite kotlety, każdy przystrojony przy kostce różową karbowaną bibułką. Juna odmówiła wzięcia potrawy i znów zapadło milczenie.

Soames poradził Junie, aby nie pogardzała mięsem, uprzedzając ją, że nie będzie już żadnego innego.

Ale Juna nie dała się przekonać, odniesiono więc półmisek do kuchni.

Tym razem przerwała milczenie Irena.

— Słyszał pan śpiew mojego kosa, panie Filipie?

— Tak. Idąc tutaj, słyszałem go ze skweru.

— Miła ptaszyna!

— Mogę służyć salata? — pytała każdego z kolei pokojówka, obnosząca salaterkę.

— Szparagi tym razem dość marne — zauważył Soa-

mes. — Pozwoli pan, Bosinney'u, szklaneczkę sherry do deseru? A ty, Juno, nic nie pijesz?

— Wiesz, że nigdy nie piję. Niecierpię wina!

Przyniesiono szarlotkę na srebrnym półmisku.

Irena zauważyła z uśmiechem:

— Azalje cudownie rozkwitły w tym roku.

Bosinney zawtórował jej szeptem:

— Cudownie! Nadzwyczajnie pachną! Niezwykłe!

— Jak możesz lubić ten zapach? — oburzyła się

Juna. — Proszę o cukier, Bilson.

Podano jej cukier i Soames zauważył:

— Szarlotka się udała!

Po zabraniu półmiska z legominą zapanowało znów długie milczenie. Irena, skinąwszy na Bilson, rzekła:

— Proszę wynieść azalję, moja Bilson. Panna Juna nie znosi jej zapachu!

— Nie, niech zostanie! — zaproponowała Juna.

Oliwki, przywiezione z południa Francji i rosyjski kawior podane zostały na małych półmiskach. Soames zganil:

— Dlaczego nie hiszpańskie?

Nikt mu nie odpowiedział.

Zabrano ze stołu oliwki i kawior. Juna, podnosząc stojący przed nią kubek, poprosiła o wodę. Wniesiono wielką srebrną patere z wspaniałymi śliwkami, pochodzącymi z Niemiec. Nastąpiła dłuższa pauza. Wszyscy zajęli się w doskonałej harmonii jedzeniem śliwek.

Bosinney policzył pestki.

— W tym roku, w przyszłym — kiedyś...

Irena dokończyła za niego szeptem:

— Nigdy... Czarujący był zachód słońca. Niebo jest jeszcze całe rubinowe! Przepiękne!

— A pod purpurą ciemność! — odpowiedział Bosinney.

Oczy ich spotkały się! Juna rzuciła szyderczo:

— Zachód słońca w Londynie!

Obniesiono egipskie papierosy w srebrnych szkatułkach. Soames, zapalając swój papieros, zapytał:

— O której zaczyna się wasz teatr?

Nikt mu nie odpowiedział. Po papierosach podano turecką czarną kawę w małych złożonych filiżaneczkach. Irena, łagodnie uśmiechając się, rzekła:

— Gdybyż tylko...

— Gdyby co? — zainteresowała się Juna.

— Gdybyż zawsze mogła być wiosna!

Nalano koniak. Był stary, barwy blado-żółtej.

— Napij się pan trochę koniaku, panie Bosinney — rzekł Soames.

Bosinney wypił podany sobie kieliszek. Wszyscy wstali.

— Posłać po dorożkę? — zapytał Soames.

— Nie — odparło Juna. — Proszę o moje okrycie, kochana Bilson.

Przyniesiono jej okrycie.

Irena, stojąc przy oknie, szepnęła:

— Jaka prześliczna noc! Wybłyskują już na niebie pierwsze gwiazdy!

— Mam nadzieję, że będziecie się oboje dobrze bawili — rzekł Soames.

Juna już w drzwiach odpowiedziała:

— Dziękuję. Chodź, Filu!

— Idę już — odparł Bosinney.

Soames uśmiechnął się ironicznie:

— Życzę powodzenia!

Irena śledziła wzrokiem odchodzących.

— Dobranoc! — zawołał Bosinney.

— Dobranoc! — odwzajemniła się prawie szeptem.

Juna zaproponowała jazdę na dachu omnibusu, mówiąc, że chce odetchnąć powietrzem, znalazłszy się też

na górze, siedziała w milczeniu, poddając twarz pieszczocie wietrzyka.

Wóznicą omnibusu odwrócił się parokrotnie w zamiarze zaryzykowania jakiejś uwagi, rozmyślił się jednak. Ładną tworzyli parę! Wiosna rozgrzała krew i w jego żyłach także; poczuł wielką chętkę dania ujścia swoim uczuciom, mlasnął jednak tylko językiem, zaciął biczyskiem konie, a i one także, biedactwa, poczuć znać musiały węchem wiosnę, bowiem przez pół godziny szparko uderzały ich kopyta o bruk uliczny.

W całym mieście widoczne było wielkie ożywienie. Gałęzie drzew, okrytych młodem listowiem, podwijały się do góry, żadne odświeżającego wiewu nocnego powietrza. Świeżo zapalone latarnie obejmowały ulicę w posiadanie, oświetlając blade w ich łunie twarze tłumów, gdy w górze wielkie białe obłoki mknęły szybko i miękko po płonącej wciąż jeszcze purpurze nieba.

Mężczyźni w strojach wieczorowych zrzucali płaszcze, wstępując wesolo na stopnie klubów; ludzie, powracający z pracy, zwalniali kroku, a kobiety — samotne o tej porze kobiety — szły szeregami, w pojedynkę, w kierunku wschodnim, leniwym, ociągającym się, zdradzającym oczekiwanie krokiem, marząc o dobrem winie i smacznej wieczerzy, a może też, chwilami, o pocałunkach dawanych z miłości.

Niezliczone te szeregi postaci, sunących utartą drogą w mdłym świetle ulicznych latarni, doznały, każda z osobna i wszystkie razem, na swój sposób błogosławieństwa tej nocy wiosennej. Wszystkie one i każda poszczególne, tak samo jak owi klubowicze, rozpinający swoje płaszcze wieczorne, zrzuciły z siebie coś z charakteryzujących je cech i obyczajów ich bractwa, ujawniając bardziej zawadjackiem nasadzeniem kapeluszy, większą różnością kroku, weselszym śmiechem czy smutniejszom

milczeniem łączące je węzły wspólnoty pod rozpalającym krew niebem.

Bosinney i Juna weszli do teatru w milczeniu i zajęli swoje miejsca na górnej galerji. Przedstawienie dopiero co się rozpoczęło i przyciemniona widownia z sznurami zwróconych w jednym kierunku głów i oczu podobna była do wielkiego ogrodu, pełnego kwiatów, zwracających kielichy swoje ku słońcu.

Juna po raz pierwszy siedziała w teatrze na galerji. Od ukończenia piętnastu lat towarzyszyła stale dziadkowi, który wybierał wyłącznie miejsca w krzesłach, i to najlepsze, środkowe, w trzecim rzędzie od sceny, zamawiane zawsze osobiście przez niego w agencji Grogana i Boney'a w drodze powrotnej z City, na kilka dni przed przedstawieniem. Bilety te przynosił w kieszeni palta, gdzie umieszczone były obok papierośnicy i pary odwiecznych skórkowych rękawiczek. Przyszedszy do domu, wręczał je Junie z zaleceniem, aby dobrze je schowała aż do właściwego wieczora. Siedzieli tak w krzesłach — wyniosłej postaci, krzepko trzymający się siwowłosy starzec i drobna, żywa, płomiennogłowa figurka —, bacznie śledząc przebieg akcji na scenie; w drodze powrotnej do domu wydawał stary Jolyon sąd o grze głównego bohatera:

— Marny aktorzyzna! Szkoda, że nie mogłaś widzieć w tej roli Bobsona!

Na ten dzisiejszy wieczór czekała z zapierającą dech rozkoszą; wykradła się bez przyzwotki, o czem nie śniło się nikomu w Stenhope Gate, gdzie przypuszczano, że jest u Soamesów. Spodziewała się należnej nagrody za to podejście, uplanowane dla zrobienia przyjemności narzeczonemu; miała nadzieję, że przyczyni się ono do rozproszenia mroźnej, ciężkiej chmury i przywrócenia dawnych słonecznych, naturalnych pomiędzy nimi stosunków z przed zimy, zamiast tych nie do zniesienia

dręczących i naciągniętych, jakie zapanowały ostatnio. Przyszła w zamiarze stanowczego rozmówienia się z nim; patrzyła też na scenę z głęboką zmarszczką, ściągającą jej brwi, w milczeniu, z rękami splecionymi kurczowo na kolanach. Osaczył ją rój kłujących żądłem zazdrości przypuszczeń.

Jeżeli nawet Bosinney zdawał sobie sprawę z jej stanu, nie dał tego niczem poznać po sobie.

Kurtyna zapadła. Skończył się pierwszy akt.

— Strasznie tu gorąco! — rzekła młoda dziewczyna.

— Chciałabym wyjść.

Wiedziała, że jest bardzo blada — zarazem też wiedziała — wyczuła to podrażnionemi swojemi nerwami, że narzeczony jej jest niespokojny, jakgdyby poczuwał się do winy.

Na końcu korytarza otwarty balkon wychodził na ulicę. Stała na nim, oparta o ścianę, czekając, aby Fil rozpoczął pierwszy.

Wkońcu jednak nie wytrzymała naprężenia chwili.

— Muszę ci coś powiedzieć, Filu — rzekła.

— Cóż takiego?

Wyzywający ton jego pytania oblał nagłym rumieńcem jej policzki. Z ust jej zerwały się namiętne słowa:

— Nie dajesz mi okazji ujawniania ci mojej miłości

— od tak dawna już!

Bosinney utkwił wzrok w bruku ulicznym. Milczał.

Juna zawołała błagalnie:

— Wiesz przecież, że uczyniłabym wszystko dla ciebie

— że chciałabym być dla ciebie wszystkim!...

Z ulicy doleciał wzmożony gwar, poprzez który donośniej jeszcze i ostrzej dźwięknął dzwonek, oznajmający rychłe rozpoczęcie drugiego aktu. Juna nie poruszyła się. W piersi jej zawrzała rozpaczliwa, głucha walka. Czy ma odważyć się postawić wszystko na kartę? Czy ma rzucić wyzwanie temu obcemu wpływowi, temu

urokowi kobiety, odciągającej go od niej? Odwaga stawiania czoła niebezpieczeństwu leżała w jej naturze, rzekła też:

— Filu, zabierz mnie z sobą w niedzielę obejrzeć dom!

Z uśmiechem, drżącym i zrywającym się na jej wargach, siłąc się — z jakąż mocą! — na nieokazywanie, że go obserwuje, utopiła wnikliwie wzrok w jego twarzy, zauważyła na niej wyraz wahania, spostrzegła zmarszczkę niezadowolenia, ściągającą jego brwi i nagły przypływ gorącej fali krwi zalał jej policzki.

— Nie w niedzielę, moja droga — odparł wreszcie Bosinney. — Każdego innego dnia!

— Dlaczego nie w niedzielę? Najmniej ci przecież przeszkodzę w niedzielę!

Z wyraźnym wysiłkiem zdobył się na odpowiedź:

— Zajętą mam niedzielę.

— Chcesz zabrać...

Oczy jego zaiskrzyły się gniewem; wzruszył ramionami i odparł:

— Zajętą mam niedzielę; nie pozwoli mi więc to zabrać cię, aby pokazać ci dom.

Juna zagryzła wargi do krwi i powróciła na swoje miejsce na galerji, nie rzekłszy ani słowa, nie była jednak w stanie powstrzymać łez oburzenia i gniewu, ściekających po jej policzkach. Na szczęście, widownia była w tej chwili ściemniona, nikt więc nie mógł ich dostrzec.

W świecie Forsytów nie może wszelako nikt uniknąć śledzących go bacznie oczu.

Siedzące w trzecim rzędzie krzesel na dole, Eufemja, najmłodsza córka Mikołaja i zamężna jej siostra, pani Tweetyman, dostrzegły Junę odrazu.

Po teatrze podzieliły się ze stryjcem Tymem wiadomością o spotkaniu na przedstawieniu Juny z jej narzeczonym.

— W krzesłach?

— Nie, nie w... .

— O, w foyer, rozumie się. Młode pokolenie wprowadziło teraz modę przechadzania się w antraktach po foyer.

— Nie, nie w foyer. Na... . W każdym razie temu narzeczeństwu nie sądzone długie trwanie. Nie widziały nigdy nikogo z tak rozwścieczoną miną, jak ta mała Juna! Ze łzami rozbawienia w oczach opowiedziały, jak Juna, wracając na swoje miejsca już podczas rozpoczętego drugiego aktu, utraciła kapelusz z głowy jakiemś panu i jakim wzrokiem ów pan spojrział na nią. Eufemja miała szczególny, cichy rodzaj śmiechu, kończący się niespodzianie ostremi okrzykami. Kiedy też pani Small, podnosząc z gestem oburzenia obie ręce do góry, zawołała:

— Co ty mówisz?! Utraciła kapelusz?!... wybuchła Eufemja zrazu cichym, a potem tak spazmatycznym, nieustającym, krzykliwym śmiechem, że musiano cucić ją solami trzeźwiącemi. Odprowadzona do sypialni, wołała jeszcze we drzwiach:

— Utrą... ci... ła... ka... pe... lusz!... Umrę chyba ze śmiechu!...

To, co „dla malej Juny“ miało być tego wieczora jej „wesolą eskapadą“, stało się dla niej najsmutniejszym wieczorem, jaki spędziła kiedykolwiek. Bogu jednemu wiadomo, jak bohaterskiego użyła wysiłku, aby zagłuszyć krzyk obrażonej dumy, uspić podejrzenia, stłumić syk zazdrości!

Rozstała się z Bosinney'em przy bramie domu starego Jolyona, trzymając się jeszcze jako tako na siłach; uczucie, że musi zdobyć narzeczonego, tak górowało nad wszystkim, że dzięki niemu potrafiła zachować pozorną równowagę, dopóki odgłos oddalających się jego kroków nie postawił jej przed oczy całego bezmiaru poniesionej klęski.

Milczący „własacz“ wpuścił ją do mieszkania. Byłaby

najchętniej schroniła się odrazu do siebie na górę, ale dziadek, który słyszał, że weszła, stanął we drzwiach stołowego pokoju.

— Wejdz i wypij tutaj twoje mleko — rzekł. — Trzymano je dla ciebie na ogniu. Dlaczego tak późno wracasz? Gdzie byłaś?

Juna stała przy kominku, trzymając nogę na jego kracie, jak stał jej dziadek owej nocy po przyjeździe z opery. Była zbyt bliską ostatecznego załamania się, aby liczyć się z tem, co mu powie.

— Byliśmy na obiedzie u Soamesów.

— Hm!... u posesjonata? Żona jego była tam także... i Bosinney?

— Tak.

Wzrok starego Jolyona utkwiony był w niej tak przenikliwie, że niepodobna było ukryć nic przed nimi; ale Juna nie patrzyła na dziadka, a kiedy zwróciła twarz ku niemu, spuścił odrazu oczy. To, co widział, wystarczyło mu aż nadto. Nachylił się, aby wziąć szklanke mleka z ognia i, odwrócony od wnuczki, mruknął:

— Nie powinnaś pozostawać za domem tak późno; nie wychodzi ci to na zdrowie.

Ukrył się za swoją gazetą, której kartki odwracał z rozmyślnie głośnym szelestem, ale kiedy Juna zbliżyła się do niego, aby pocałować go na dobranoc, rzekł:

— Dobranoc, drogie dziecko — głosem tak nadspodziewanie dygotliwym, że młoda dziewczyna zaledwie zdołała uciec z pokoju przed wybuchnięciem łkaniem, trwającym długo jeszcze w noc.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią, wypuścił stary Jolyon z rąk gazetę, wpatrzony trwożnym wzrokiem przed siebie.

— Holysz! — pomyślał — zawsze wiedziałem, że mała napyta sobie z nim biedy!

Drejące wątpliwości i podejrzenia, tem dokuczliwsze,

że czuł się bezbronnym wobec biegu wypadków, oparowały jego umysł.

— Czy ten smyk zamierza rzucić ją? — Podrywało go, żeby pójść do niego i powiedzieć mu:

— Cóż to, mój panie?! Zamierzasz rzucić moją wnuczkę?...

Czy mógł jednak to uczynić? Mimo że pozytywnie wiedział bardzo mało, właściwie nic, pewien był, wiedziony nieomylną przenikliwością, że knuje się tu coś niedobrego. Nie podobalo mu się ciągle sterczenie Bosinney'a na Montpellier Square.

— Może i ten chłopak nie jest lajdakiem — myślał — twarz ma jakąś pocziwą, dziwny to jednak typ. Nie mogę go rozgryźć. Nigdy się w nim nie polapię. Podobno haruje jak koń, nie widzę jednak rezultatów tej pracy. Jest niepraktyczny, niema w jego robocie metody. Ile razy przyjdzie tutaj, siedzi nachmurzony jak małpa. Jak go się zapytać, jakie mu nalać wino, odpowiada:

— Dziękuję za wino! Nie piję wina.

Jeśli mu podam cygaro, pali je zupełnie jak grosząwą niemiecką lichotę. Nie widziałem nigdy, żeby patrzył na Junę, jak zakochany powinien patrzeć na narzeczoną, a jednak niemożna powiedzieć, żeby leciał na jej pieniądze. Pewien jestem, że gdyby tylko kiwnęła palcem, zrzuciłby się jutro bodaj ze wszystkiego. Ale Juna nie zrobi tego — o, napewno nie zrobi! Będzie się trzymała go do ostatka! Uparta jak kozioł — nie wypuści go nigdy z swoich rąk.

Z głębokiem westchnieniem odwrócił kartę gazety; może w nadziei, że na jej szpaltach znajdzie pocieszenie.

Na górze w swoim pokoju siedziała Juna przy otwartym oknie, przez które wlewały się z parku fale wiosennego wietrzyka, chłodzące jej rozognione policzki i palące jej serce.

ROZDZIAŁ III

PRZEJAZD ŻKA ZE SWITHINEM

Dwa wiersze pewnej piosenki w znanym starym śpiewniku na użytek dzieci szkolnych brzmią jak następuje:

„Jak lśniły guziki na jego fraczku niebieskim! tra-la-la!
Jak śpiewał i nucił, niby ptaszek, tra-la-la!...“

Swithin nie śpiewał i nie nucił jak ptaszek, wychodząc jednak z siedziby swojej w dzielnicy Hyde Parku i patrząc na czekające przed domem, zaprzężone do powozu konie, miał prawie ochotę zanucić jakąś melodję.

Popołudnie było ciepłe i pachnące, niczem dzień czerwcowy. Jakgdyby dla uzupełnienia podobieństwa do staroświeckiej piosenki, wdział na siebie Swithin granatowy surdut, odważywszy się nie wkładać zwierzchniego okrycia po trzykrotnem zesłaniu lokaja Adolfa na ulicę, aby się upewnić, że niema ani śladu wschodniego wiatru. Opiął surdut tak ściśle dokoła okazałej swojej postaci, że jeśli nawet guziki na nim nie lśniły w rzeczywistości, mogły z łatwością lśnić. Byłoby to zupełnie naturalne. Stanąwszy w całym swoim majestacie na chodniku ulicznym, wciągnął na ręce zamśzowe rękawiczki; w swoim szerokim, w kształcie dzwona kapeluszu, z masywnemi swojemi kształtami, wyglądał zbyt pierwotnie jak na Forsyta. Jego gęste siwe włosy, namaszczone przez Adolfa pomadą, wydawały woń opoponaksu i cygar — słynnej marki Swithinowej — za które płacił sto czterdzieści szylingów za setkę i o których niezbyt uprzejmie wyraził się Jolyon, że nie paliłby ich, choćby mu je ofiarowano w prezencie; tylko koński żołądek potrafiłby je znieść!...

— Adolfie!...

— Pszę jasnie pana!

— Nowy szal pledowy!

Nie nauczy nigdy szyku tego dragała, a pani Soamesowa zna się napewno na tem!

— Spuścić kapotę faetonu; odbędę przejażdżkę z damą!

Ładna kobieta dążyłaby do popisania się eleganckim strojem, a on, on — pysznił się tem, że odbędzie przejażdżkę z damą! Jakgdyby na nowo odżyły dawne dobre czasy!

Lata minęły od dni, kiedy odbywał przejażdżki z kobietami. Po raz ostatni, o ile pamiętał, wywiózł na spacer siostrę swoją Julę; biedna staruszka trzęsa się cały czas ze strachu i tak go zniecierpliwiła, że, wysadziwszy ją na Bayswater Road, oświadczył:

— Niech mnie djabli porwą, jeżeli jeszcze kiedy zabiorę cię na przejażdżkę!

Nie zabrał jej nigdy więcej

Zaszedł naprzód od strony łbów końskich i obejrzał starannie wędzidła; nie dlatego, aby miał znać się na wędzidlach — nie po to przecież płacił swojemu stan-gretowi sześćdziesiąt funtów rocznie, żeby miał robić za niego jego robotę; było to stanowczo wbrew jego zasadom. Opinia jego jako znawcy koni opierała się głównie na fakcie, że kiedyś, w dniu Derby, nabral go jakiś oszust, umknąwszy z jego wygraną. Jeden z członków klubu, widząc go, zajeżdżającego przed wrota parą siwków — stale jeździł siwkami, uważając, że to jest w dobrym stylu — nazwał go: „Czwórkowym Forsytem“. Przewisko to doszło do jego uszu przez Mikołaja Treffry, zmarłego Jolyonowego współnika, wielkiego koniarza, słynącego z największej w całym państwie liczby wypadków przy jeźdzeniu. Usłyszawszy je, uważał sobie odtąd Swithin za obowiązek zasłużyć na nie w istocie. Spodobalo mu się ono, nie dlatego, aby miał kiedykolwiek jeździć czwórką koni, ani też

zamierzał czynić to w przyszłości, ale dlatego, że brzmiało szczególnie dystyngowanie. Czwórkokowy Forsyte! Wcale nieźle! Urodzony zbyt wcześnie, minął się Swithin ze swoim powołaniem. Gdyby ocknął się w Londynie w dwadzieścia lat później, byłby został napewno agentem giełdowym, w jego czasach jednak nie należała profesja ta do najbardziej zaszczytnych w pojęciu wyższej klasy średniej. Zniewolony był, literalnie zniewolony, objąć zawód urzędnika licytacyjnego.

Usadowiwszy się na koźle, wziął do rąk podane mu cugle i, mrużąc oczy w pełnym świetle słonecznym, oblewającym bladą, starczą jego twarz, rozejrział się powoli dokoła. Adolf umieścił się poza nim, wygalonowany stajenny stał przy głowach końskich, gotów do puszczenia zaprzęgu w ruch; wszystko było wpogotowiu, czekając tylko na sygnał... i Swithin dał go. Konie ruszyły szparko z kopyta i, zanim można się było obejrzeć, stanął pojazd z brzękiem i hałasem przed drzwiami Soamesowego domu.

Irena wyszła natychmiast i wsiadła, „lekka jak Taglioni“ — opowiedział później bratu Tymowi — „żadnego mizdrzenia się, żadnego posyłania po to, czy po tamto“, a nadewszystko — dodał Swithin, patrząc uporczywie na panią Smallowę w sposób wprawiający ją w niemile zakłopotanie — „bez żadnych głupich strachów“. Ciotce Hester opisał kapelusz Ireny. „Nie tam żadne z waszych wielkich, skrzydlatych, zawadzających na każdym kroku strasydeł, dobrych tylko do wchłaniania w siebie pyłu przydrożnego, a tak lubianych przez dzisiejsze kobiety, ale maluchne, śliczne — określił pieśzczotliwym ruchem ręki — cacko z białą wualką, wytrawny gust...“

— Z czego zrobiony? — zainteresowała się ciotka Hester, zdradzająca szczególnie pożądlive podniecenie, ilekroć mowa była o strojach.

— Z czego zrobiony? A skąd ja u licha miałbym wiedzieć?

Wpadł w tak głęboką zadumę, że ciotka Hester zaczęła się niepokoić, czy nie jest to trans magnetyczny przypadkiem. Nie próbowała jednak poruszyć go i obudzić, nie było to bowiem w jej zwyczaju.

— Chciałabym, żeby ktoś się zjawił — pomyślała — niepodoba mi się jego wygląd.

Nagle jednak ocknął się.

— Z czego zrobiony? — powtórzył z wolna. — A z czego mógłby być zrobiony?

Nie zdążyli ujechać paru staj, a już doznał Swithin wrażenia, że Irenie szczególną sprawia przyjemność ta przejażdżka z nim. Twarz jej promieniała z poza obłoków białego wualu tak miękką słodyczą, a ciemne jej oczy lśniły tak radośnie w wiosennem świetle! Ilekroć też przemówił do niej, zwracała się ku niemu z jasnym uśmiechem.

W sobotę wieczorem zastał ją Soames przy biurku, piszącą liścik do Swithina, aby odmówić jego zaproszeniu.

— Dlaczego odmawiasz mu? — zapytał.

Może odmawiać swoim bliskim, jeżeli tak jej się podoba, nie życzy sobie wszakże, aby odmawiała ludziom, należącym do jego rodziny.

Spojrzała na niego wnikliwie, podarła liścik i rzekła:

— Bardzo dobrze! — i zaczęła pisać inny. Rzucił przelotnie okiem na kopertę i wyczytał na niej adres Bosinney'a.

— O czym piszesz do niego?

— Irena spojrzała na męża powtórnie tym samym wnikliwym wzrokiem i odparła spokojnie:

— O czemś, co chciał, abym zrobiła dla niego.

Hm! — mruknął Soames. — Polecania! Nie poradzisz sobie, jak się zaczniesz wdawać w te rzeczy!

Nie dodał nic więcej.

Swithin otworzył szeroko oczy, usłyszawszy z jej ust, w odpowiedzi na zapytanie, w jakim kierunku mają jechać, wzmiankę o Robin Hill. Będzie to długa droga dla jego koni, a on sam zwykł obiadować o siódmej, zanim zaczynano zjeżdżać się tłumnie do klubu; nowy kucharz więcej przykłada starania do wcześniejszych obiadów — leniwa bestja!

Miałby jednak sam ochotę przyjrzeć się domowi. Nowy dom — to było coś dla Forsytów! Tembardziej dla Forsyta, który sam jest urzędnikiem licytacyjnym. Ostatecznie, nie ma odległość znaczenia — rzekł. Za młodych swoich dni mieszkał w Richmond, gdzie miał wolant i parę koni, codziennie też jeździł do miasta i zpowrotem. Nazywano go „czwórkowym Forsytem!“ Jego zaprząg znany był wszędzie, od Hyde Parku do najdalszych okolic. Książę Z... miał ogromną na niego chrapkę, byłby też zapłacił mu podwójną cenę, ale nie dał się skusić, nie wypuścił swoich koni z rąk. Zbyt dobrze zna się na nich, co?... Wyraz uroczystej dumy opromienił szeroką, gładko wygoloną jego twarz; wykręcił na wszystkie strony szyję w chomonicie sztywnego, stojącego kolnierzyka, niczem puszący się indyk.

Doprawdy, czarująca kobieta! Opisał jej suknię w rozmowie z ciotką Julą, która aż ręce wzniosła do nieba przy tym opisie.

Oblegająca jej stan niby skóra wężowa. To mi się nazywa suknia! Jak ulana! Gładka, prawie bez ozdób, nie jak te wasze wyfiokowane, nastrzępione gałganki! Lubi takie imponujące postacie. Jest na co spojrzeć, nie jak na te chude, długie tyki! Rzucił wymownie okiem na panią Septymusową Small, wysoką i cienką, podobną z tego do brata Jamesa.

— W każdym calu stylowa kobieta! — dodał — królewski kasek! A jaka spokojna, jaka zrównowazona przytem!

— Widzę, że zawojowany przez nią jesteś z kretesem! — syknęła ciotka Hester ze swojego kąta.

Swithin podchwycił atak w locie.

— Jak to rozumiesz? — rzekł. — Umieć się odrazu poznać na ładnej kobiecie. To fakt. Muszę też powiedzieć, że nie widzę dookoła ani jednego godnego jej mężczyzny. Ale może ty mi wskażesz takiego, może mi wskażesz, co?...

— O! Czego chcesz ode mnie — zapytaj się Juli! — zawołała!

Na długo jednak przed Robin Hill ukołysało go świeże powietrze, od którego odwykł od tak dawna. Strasznie zachciało mu się spać. Powoził z zamkniętymi oczami i tylko przyzwyczajenie całego życia do panowania nad sobą utrzymywało w równowadze jego wysoką, barczystą postać, ratując go przed okryciem się śmiesznością wobec towarzyszek.

Bosinney, który zdaleka wypatrywał nadjeżdżających, wybiegł na ich spotkanie i wszyscy troje równocześnie weszli do domu.

Swithin szedł na czele, wywijając sporych rozmiarów bambusową laską ze złotą gałką, podaną mu przez Adolfa, który wiedział, że kolana jego pana odczują skutki długiego pozostawania w niezmienionej pozycji. Pozwolił też zarzucić na siebie futrzane okrycie, które uchronić go miało od przeciągów w nieukończonym domu.

— Klatka schodowa — skinął głową — wcale ładna! W wielkopańskim stylu! Wymaga tylko tu i ówdzie paru posągów. Stał pomiędzy kolumnami wejściowymi od strony wewnętrznego dziedzińca i wyciągnął laskę gestem pytającym.

— Co to ma być?... Westybul, czy jak tam się to teraz z cudzoziemska nazywa? — Spojrzawszy na padające zgóry światło, domyślił się odrazu.

— Aha! Pokój bilardowy!

Kiedy młody architekt wyjaśnił, że ma to być wyłożony mozajkową posadzką dziedziniec z klombem roślin wpośrodku, zwrócił się do Ireny:

— Zmarnować to na rośliny?! Posłuchaj mojej rady i każ zachować tu miejsce na bilard!

Irena uśmiechnęła się. Podniosła wual, który owinęła dokoła głowy jak welon zakonnicy, i z pod niego uśmiech jej ciemnych oczu wydał się Swithinowi czarowniejszym niż kiedykolwiek. Skinął głową. Widział, że gotowa jest usłuchać jego rady.

Niewiele dało się powiedzieć o salonie i jadalni, określił więc je tylko jako „przestronne“; wpadł natomiast w prawdziwy zachwyty, o ile mógł sobie na wyrażenie zachwyty pozwolić człowiek z jego powagą, kiedy zeszli do piwnic na wino, do których prowadziły kamienne schody.

— O, będziecie tu mieli miejsce na sześćset, a kto wie, może na siedemset tuzinów butelek!... Niczego, wcale niczego piwniczka!

Kiedy Bosinney wyraził życzenie pokazania im domu od strony zagajnika na dole, miał tego już Swithin dość.

— Bardzo ładny stąd widok — rzekł — czy nie znalazłoby się u pana coś w rodzaju krzesła?

Przyniesiono krzesło z namiotu Bosinney'a.

— Idźcie sami we dwoje — poprosił — ja posiedzę tutaj i będę się napawał widokiem ztąd.

Usiadł pod dębem w słońcu, sztywny i imponujący, z jedną ręką wyciągniętą, opierającą się na główce laski, a drugą leżącą na kolanach; w rozpiętym futrze i w kapeluszu, wieńczącym bladą szeroką twarz utkwiał nie-

ruchomy wzrok z przejściem w linjach roztaczającego się przed nim pejzażu.

Skinął przyjaźnie głową obojgu schodzącym nadół drogą przez pole.

Nie miał w istocie nic przeciwko pozostawieniu go tu przez nich samego na chwilkę samotnej zadumy. Powietrze przepojone było wiosennymi balsamami, nieupalne mimo że siedział w pełnym słońcu; widok piękny, zadziwia... Głowa przechyliła mu się nieco na bok, ocknął się i pomyślał: — Dziwne!... Posyłali mu zdaleka już ukłony rękami! Podniósł rękę i zatrzepotał nią kilkakrotnie. Niezmordowani!... Widok zadziwia... Głowa jego opadła na lewo, wstrząsnął się, upadła na prawo, i w tej pozycji pozostała już. Zasnął.

Uśpiony, jakgdyby na warcie na szczycie pagórka, zdawał się panować nad całym tym zdumiewającym pejzażem, niby posąg bożka, wykuty przez twórcę pierwotnych Forsytów w czasach pogańskich dla upamiętnienia zwycięstwa ducha nad materją.

I wszystkie niezliczone pokolenia jego wieśniaczych przodków, przywykłych w dni niedzielne, podparłszy się pod boki, stawać na straży drobnych swoich działek ziemi, przyczem ich szare, nieporuszone oczy kryły na dnie swoim wrodzony im instykt żądnej gwałtowności, zaborczy instykt wyłącznego posiadania z wykluczeniem całego pozostałego świata — wszystkie niezliczone pokolenia przodków zdawały się w jego osobie tronować na tym szczycie pagórka.

Ale, wyłoniony z niego, śpiącego tutaj, zazdrosny duch Forsytów poszybował daleko, zapędzając się w Bóg wie jakie gąszcze fantazji, goniąc tych dwoje młodych, aby śledzić, co robią oni tam w lasku, na dole — w lasku, w którym wiosna upojne wyprawiało harce z balsamami młodej zieleni, z pękającymi pączkami kwieciami, w zagajniku, pełnym niezliczonych pieśni ptaszęcych,

wysłanym dywanem liljowych dzwonek i słodko pachnących ziół, ozłoconym promieniami słońca, uwiecznionego wśród wierzchołków drzew! Aby śledzić, co robi tych dwoje młodych, idących tuż blisko przy sobie po ścieżce nazbyt wąskiej na dwie osoby, idących tak blisko, że ich młode ciała ocierały się wciąż wzajem; aby śledzić oczy Ireny, chłonna w siebie wykradane przez nie serce wiosny. Niby wielki niewidzialny opiekun towarzyszył im duch jego na każdym kroku, zatrzymując się wraz z nimi, aby przyjrzeć się małemu, okrytemu miękkim futerkiem, ciałku kreta, martwego od godziny niespełna, lśniącego, nieskalaną jeszcze deszczem ni rosą, jedwabistą puszystością srebrzysto-brunatnego płaszczyka; czuwając nad pochyloną głową Ireny; śledząc tklive spojrzenie jej miłosiernych oczu; nad głową mężczyzny, wpatzonego w nią tak uporczywie, tak dziwnie! Duch jego wędrował wraz z nimi, poprzez wykarczowaną już polanę, na której pracował jeszcze tracz, co roztratował ciężką stopą liljowy dywan dzwonek, przywalony opadłym na ziemię, świeżo odciętym pniem drzewa; wspinał się wraz z nimi aż po sam kraniec lasu, ku ciągnącej się w dal niewykrytej jeszcze krainie, skąd dolatywały odgłosy przeciągłego kukania kukulki.

Niemy, stał tam wraz z nimi, zaniepokojony ich milczeniem! Dziwne, niepojęte!

I znów powracał, jakgdyby w poczuciu winy, poprzez gąszcz leśny na polanę, wciąż niemy, wpośród nieustającego ani na chwilę śpiewu i świergotu ptaszcęgo, ku rzeźwiącym leśnym zapachom — hm!... hm!... co to tak słodko pachnie, czy to ta trawka, którą trzyma w ręku?... Powracał znów ku pniakowi świeżo ściętego drzewa, co, opadając, zagroziło ścieżkę.

A potem, niewidzialny, wciąż niespokojny, szybujący ponad nimi, usiłujący ostrzec ich wydawanymi dźwię-

kami, obserwował forsytowski duch jego młodą kobietę, bujającą się na obalonym pniu, jej rozkolysaną kształtną postać, jej usta i dziwnie błyszczące oczy jej, uśmiechające się do stojącego pod nią młodego chłopca, i... ach!... ach!... jej gibkie ciało, ześlizgujące się teraz — ach! padające — o!... o!... na pierś jego; jej miękkie, ciepłe ciało tulące się do niego, jej główkę, odrywającą się od jego ust; jego pocałunki; jej odskoczenie; jego namiętne wyznanie: — Kocham cię! Wiesz przecież, że cię kocham!

Wie, tak, musi wiedzieć... ładna... miłość!... Miłość!... Tak!...

Swithin obudził się; czuł się dziwnie osłabłym. W ustach miał gorzki, przykry smak. Gdzie jest? Gdzie się znajduje?

Do licha! Zasnął! Spał!

Śniła mu się nowa, nieznana jakaś potrawa, przyprawiona miętą.

Gdzie się podziała para młodych?... Lewa noga zupełnie mu zdrętwiała.

— Adolfie! Adolfie!... A łotr! Niema go! Pewnie śpi gdzieś, rozciągnięty na trawie.

Podniósł się, wysoki, barczysty, masywny w swoim futrze, wpatrzony z niepokojem wdał, w szachownicę pól, rozciągających się u jego stóp i nagle ujrzął ich dwoje nadchodzących.

Irena szła naprzód; młody chłopak — jak to przeważano go?... „Piratem“?... włókł się za nią z miną winowajcy; dostać musiał zdrowo po nosie... napewno!... Dobrze mu tak! Poco taszczył ją tak daleko, żeby obejrzeć dom? Poco łązić tak daleko, kiedy najlepiej widzieć można wszystko z łąki tuż blisko?!

Dostrzegli go. Wyciągnął rękę i gwałtownie nią powiewał, zachęcając ich do rychłego przyjścia. Mimo to zatrzymali się. Dlaczego przystanąli, mówiąc o czemś,

mówiąc bez końca? Znów puścili się naprzód. Zgromiła go porządnie, niema co do tego najmniejszej wątpliwości. Cóż to dziwnego?... Za podobny dom!... Wielka, brzydka landara! Nie dom, do jakiego on, Swithin, przywykł.

Spojrzenie wypełzłych, nieruchomych jego źrenic utkwilo uporczywie w obliczach obojga. Tak, ten młody chłopak dziwną ma minę!

— Na nic się to wszystko nie zdało — rzekł cierpko, wskazując palcem na dom. — Do licha z temi nowomodnemi wymysłami!

Bosinney patrzył na niego, jakgdyby nie słyszał jego słów. Swithin, mówiąc o nim potem z ciotką Hester, określił go, jako „dziwaka, mającego dziki sposób wlepiania oczu w ludzi — zarozumiały golec!“

Nie zaznaczył jednak, co leżało u podstawy psychologicznego tego wniosku. Może sklepienie kopulasto czoło Bosinney'a, wystające jego kości policzkowe i podany naprzód podbródek, a może jakiś wyraz żadnego podniecenia w jego twarzy, z którym nie mogło pogodzić się Swithinowe poczucie spokojnego zadowolenia, jakie winno, zdaniem jego, cechować prawdziwego gentlemana.

Zasepiona twarz jego rozpogodziła się na wzmiankę o herbacie. Gardził zazwyczaj herbatą — to była dziedzina jego brata, Jolyona, który zarobił na niej moc pieniędzy — taki był jednak spragniony i taką miał gorycz w ustach, że gotów był wypić cokolwiekbądź. Wielką miał ochotę uzalić się przed Ireną na dolegający mu niesmak — Irena tak umiała zrozumieć każdego — czuł jednak, że byłoby to w złym guście; poprzestał więc na ściągnięciu języka i zwilżeniu go o podniebienie.

W rogu namiotu pochylał Adolf kocie swoje wąsy nad czajnikiem, w którym kipiała woda i który nagle pozostawił swojemu losowi, aby otworzyć butelkę szam-

pana. Swithin uśmiechnął się i, kiwnąwszy głową w stronę Bosinney'a, rzekł:

— O, ależ z pana istny Monte Cristo!

Słynny ten romans, jeden z półtuzina, jakie kiedykolwiek przeczytał, wywarł na nim niezatarte wrażenie.

Wziąwszy do ręki podany mu kieliszek, podniósł go wysoko w górę, aby przyjrzeć się barwie wina; mimo wielkiego pragnienia nie myślał pić byle lury! Uspokojony snadź jednak, przytknął kieliszek do ust i wypił łyk.

— Wcale, wcale dobre! — rzekł, z lubością wciągając nozdrzami aromat faworytalnego napoju. — Ale nie dorówna mojemu Heidsieckowi! — dodał.

W tej właśnie chwili olśniła go nagła myśl, którą podzielił się w następstwie z kółkiem rodzinnem na zebraniu u Tyma, ubrawszy ją w taką formę słowną:

— Nie dziwiloby mnie ani trochę, gdyby ten smyk architekt zadurzył się w żonie Soamesa!

Od tej chwili wyblakłych, wybałuszonych jego oczu nie przestawała rozsadzać tajemnica tego odkrycia.

— Dureń — zwierzył się Swithin pani Septymusowej — włóczy się za nią krok w krok, z wpatrzonemi w nią jak wierny pies ślepiami — zarozumiały golec! Nie dziwię się temu zresztą. Czarująca kobieta, przytem wzór godności zachowania się.

Wspomnienie delikatnego zapachu, jaki siała dokoła siebie Irena, niby kwiat o stulonych jeszcze płatkach i płomiennem wnętrzu, natchnął go do odtworzenia następującego obrazu:

— Nie byłem jednak pewien tego, dopóki nie schwyciłem go na podniesieniu ukradkiem chusteczki, upuszczonej przez nią na ziemię.

Oczy pani Small zapłonęły ogniem żadnego zainteresowania.

— A czy ją oddał jej? — zapytała.

— Czy ją oddał? — odparł Swithin. — Widziałem tylko, jak się rzucił na nią, przypuszczając, że nie widzę tego.

Pani Small aż zachłysnęła się, tak przejęta, że nie mogła wymówić słowa.

— Ale ona sama nie zachęciła go niczem do tego — dodał Swithin, milknąc natychmiast i przenizał siostrę nawskroś spojrzeniem w sposób, który przeraził biedną panią Small. Nagle, przypomniało mu się, że w chwili, kiedy mieli wsiadać do faetonu, aby ruszyć w drogę powrotną, Irena podała po raz drugi rękę Bosinney'owi i zatrzymała ją w jego uścisku... Zaciął zamasyżycie konie batem, pragnąc jak najrychlej mieć towarzyszkę wyłącznie znów dla siebie. Nie mógł widzieć jej twarzy w tym momencie — trzymała głowę opuszczoną na pierś.

Istnieje nieznanym Swithinowi obraz, przedstawiający mężczyznę, siedzącego na skale, a obok niego, pogrążoną w spokojnej, zielonej wodzie, nimfę morską, leżącą na plecach i trzymającą rękę na obnażonej piersi. Na twarzy jej igra półuśmiech bezkresnego poddania się i tajemnego upojenia. Siedząca obok Swithina Irena uśmiechała się w ten sam bodaj sposób.

Kiedy, podniecony szampanem, znalazł się wreszcie w upragnionym wyłącznym jej towarzystwie, wywnętrzył się przed nią z wszystkich swoich bolączek: z żalu do nowego kucharza klubowego, którego produkcje przytłaczająco wpływały na jego trawienie; z kłopotów z powodu domu na Wigmore Street, którego łotr administrator zbankrutował z winy szwagra swojego, domagającego się nieustannej jego pomocy — jak gdyby pierwszym obowiązkiem człowieka nie było pamiętać o samym sobie; wspominał nawet o własnej głuchocie i o bólu, jaki mu dokuczał często w prawym boku. Słuchała ze spuszczonej powiekami. Swithin pewien był, że to opis jego trosk i cierpień wprowadził ją w tak

głęboką zadumę, tem większą też odczuwał litość nad samym sobą. A jednak świadom był, że w tej chwili, w bogatym swoim futrze, w kapeluszu nasadzonym nieco na bakier, powoząc na koźle faetonu, w którym siedziała piękna kobieta, musi wyglądać bardziej dystyngowanie, niż kiedykolwiek.

Jakiś kupczyk wszelako, wiozący swoją dziewczynę na spacer niedzielny, zdawał się mieć o własnej osobie to samo mniemanie. Mizerak ten zaczął swojego osiołka, zmuszając go do galopowania tuż obok faetonu, sam zaś siedział, wyprostowany jak figura woskowa na podskakującym swoim wózku, pompatycznie opierając podbródek na czerwonej chustce, zupełnie jak Swithin na wytwornym swoim krawacie. Dziewczyna jego, okręciwszy szyję puszystym boa z powiewającemi poza nią na wietrze końcami, małpowala elegancką damę. Jej kawaler, wymachujący biczyskiem, do którego przywiązany był kawalek sznurka, wyraźnie naśladował wielkopañskie Swithinowe trzaskanie z bata, szczerząc równocześnie do swojej panny zęby w sposób dziwnie przypominający banalny uśmiech, z jakim Swithin patrzył na swoją damę.

Jakkolwiek przez czas jakiś nie dostrzegał on obecności niskiej tej kreatury, miał jednak wrażenie, że ktoś pozwala sobie kpić z niego. Zaciął mocniej klacz, obydwaj pojazdy zrównały się jednak z sobą i fatalnym zrządzeniem pędziły naprzód jeden obok drugiego. Żółta, nadęta twarz Swithina spłasowała; podniósł do góry bat, żeby śmignąć nim kupczyka, szczęśliwie jednak uratowała go od takiego zapomnienia o tem, co winien samemu sobie, specjalna opieka Opatrzności. Wóz, wyjeżdżający z wrót, spowodował zderzenie się faetonu i wózka, zaprzęzonego w osła, koła jednego i drugiego zczepiły się wzajem, lżejszy wehikuł nie zdążył zahamować i został obalony.

Swithin ani się obejrzał. Za żadną cenę nie byłby zniżył się do okazania pomocy temu ordynusowi. Dobrze mu tak, jeżeli skręci kark!

Gdyby jednak nawet chciał mu pomóc, nie byłby w stanie. Siwki spłoszyły się. Faeton mocno szarpnięty zarzął się i popędził naprzód z tak błyskawiczną szybkością, że ludzie mijani po drodze podnosili z przerażeniem twarze. Potężne ramiona Swithina, wyprężone w całą długość, ściągały z całych sił lejce. Odał policzki, zaciął wargi, jego nabrzmiała twarz pociemniała matową purpurą.

Ręka Ireny ścisnęła kurczowo poręcz przy każdym przechyleniu się pojazdu i w pewnym momencie usłyszał Swithin jej pytanie:

— Czy grozi nam katastrofa, stryju Swithinie?

Zasapany zaledwie zdołał rzucić jej uspokojenie:

— To nic, nic! — Konie trochę się zgorączkowały!

— Nie przeżyłam jeszcze nigdy żadnego wypadku.

— Siedź spokojnie! Nie ruszaj się! — Spojrzał na nią. Uśmiechała się, zupełnie obojętna.

— Siedź spokojnie! — powtórzył. — Nie bój się niczego, odstawię cię zdrową i całą do domu!

I, wpośród straszliwych swoich wysiłków, nie mógł powstrzymać okrzyku zdumienia, usłyszawszy odpowiedź jej obcym jakimś, nie jej własnym głosem:

— Nie zależy mi wcale na dostaniu się zdrową i całą do domu!

W tym samym momencie powóz tak gwałtownemu uległ wstrząśnieniu, że okrzyk Swithina w odpowiedzi na przerażające te słowa uwiązał mu w gardle. Konie, zahamowane nieco w rozpędzie stromo wznoszącą się w tym miejscu drogą, szarpnęły, zwolniły szalony bieg, przechodząc w kłus, i same wreszcie zatrzymały się.

— Kiedy udało mi się zatrzymać je — opisywał potem Swithin przebieg przygody na zebraniu u Tyma — sie-

działa prawie tak spokojna i nieporuszona jak ja sam
Na zbawienie duszy! Zachowywała się, jakgdyby jej
było wszystko jedno, czy wyjdzie z tej awantury cało
czy nie! Powiedziała wyraźnie: „Nie zależy mi wcale
na dostaniu się zdrową i całą do domu!”

I, opierając się mocniej na rączce swojej laski, wy-
palił ku najwyższemu zgorszeniu pani Small:

— Nie dziwię się zresztą wcale. Kto ma za męża ta-
kiego manjaka, jak nasz młody Soames!

Nie przyszło mu wcale na myśl zastanawiać się nad
tem, co się stało z Bosinney'em po rozstaniu się ich
z nim. Czy wałęsał się po okolicy jak bezdomny pies,
do jakiego on sam porównał go? Czy poszedł do owego
lasku, w którym wiosna w dalszym ciągu wyprawiała
upojne swoje harce i w którym kukulka przyzywała
wciąż jeszcze swoim kukaniem? Czy powędrował tam,
tuląc miłośnie do ust wonną, batystową chusteczkę, której
balsamiczny aromat wdychał wraz z zapachem mięty
i macierzanki? Czy pobiegł tam, aby uśmierzyć dziki,
a mimo to rozkoszny ból własnego serca, aby wypła-
kać go wpośród zieleni drzew?

Zanim jeszcze dojechał Swithin do domu brata Tyma,
zapomniał o samem istnieniu Bosinney'a.

ROZDZIAŁ IV

JAMES JEDZIE SAM OBEJRZEĆ DOM

Ludzie, nie mający styczności z Giełdą Forsytowską,
nie mogli mieć wcale pojęcia, jak wielkie poruszenie
wywołało obejrzenie domu przez Irenę.

Historja pamiętnego tego wydarzenia, opowiedziana
przez Swithina w domu jego brata Tyma, powtórzona
została Junie bez najlżejszej chęci wywołania sensacji,
bez cienia złościwości, w najlepszych jedynie zamiarach.

— Jakie straszne słowa, moja droga! Wyobraź sobie! Nie dba o powrócenie cało i zdrowo do domu! — zakończyła ciotka Julia wierne swoje sprawozdanie. — Co mogła mieć przez to na myśli?

Dziwna to była dla młodej dziewczyny opowieść. Słuchała jej, oblana bolesnym rumieńcem i, zerwawszy się nagle po krótkim pożegnaniu ciotki uściskiem dłoni, wyszła z pokoju.

— Szorstko nieomal! — wyraziła się po jej odejściu ciotka Julia w rozmowie z ciotką Hester.

Jej sposób przyjęcia wiadomości posłużył za kanwę do snucia na tej podstawie dalszych kombinacyj. Jest wyraźnie zgnębiona. Musi więc być coś nie w porządku. Dziwne! Przecież ona i Irena takimi są przyjaciółkami!

Wszystko to w szczególny sposób zbiegało się z szepotami i wzmiankami, krążącymi od pewnego czasu. Obie stare ciotki przypomniały sobie zdanie sprawy przez Eufemję o bytności młodej pary w teatrze — pana Bosinney'a zastać można zawsze podobno u Soamesów? O, tak, w samej rzeczy! Stale ma tam przebywać! Nic wyraźnego. Jedynie o największej, o najdonioślejszej prowokacji można było mówić otwarcie na Forsytowskiej Gieldzie. Maszyna ta była zbyt precyzyjnie skonstruowana; wystarczała lekka wzmianka, najdrobniejsze wyrażenie żalu czy wątpliwości, aby wprawić w drganie struny zbiorowej duszy rodzinnej — duszy tak współczującej, takiej wrażliwej! Nikt nie chciał przecież krzywdzić kogokolwiek tem wprawieniem jej w drganie. — Nie, nikomu nie śniło się o tem wcale! Wprawiali w ruch struny duszy i języki w najlepszych intencjach, w poczuciu, że każdy członek rodziny stanowi część zbiorowej duszy rodzinnej, każdy więc narazić ją może jednak na szwank.

Dużo też u podstawy tych ploteczek tkwiło pobudek serdeczności; prowadziły one często do składania wizyt

kondolencyjnych, zgodnych z obyczajami towarzyskimi, mających na celu przyniesienie prawdziwej ulgi nieszczęsnym ofiarom, wymagających umiejętności pocieszenia ze strony nietkniętych nieszczęściem, którzy doświadczyli przyjemnego czucia, że oto inni cierpią z powodów, które ich osobiście nie dotyczą.

W zasadzie, jedynie popęd do bacznego czuwania na straży wypadków, ten sam więc impuls, pod którego wpływem działa prasa perjodyczna, doprowadził do zetknięcia się Jamesa z panią Septymusową, pani Septymusowej z młodymi Mikołajami, młodych Mikołajów z Bóg wie kim jeszcze i tak dalej. Wielka ta klasa, do jakiej się wznieśli, i teraz trwale należą, wymaga oczywiście pewnej szczerości, bardziej niewątpliwie jednak jeszcze pewnej dozy powściągliwości. Skombinowanie obu tych cnót było gwarancją spoistości ich związku.

Wielu młodszych Forsytów doznawało naturalnie uczucia, otwarcie zresztą wypowiedzanego, że nie życzą sobie takiego wtrącania się do ich spraw, tak jednak potężny jest prąd magnetyczny rodzinnych plotek, że niepodobieństwem okazywało się dla nich samych uniknięcie wtajemniczenia się we wszystko, co zachodziło w rodzinie. Czuli, że żadnej niema na to rady.

Jeden z nich, Roger młodszy, zdobył się na heroiczną próbę wyzwolenia młodych Forsytów, otwarcie nazwawszy Tymoteusza, kiedy była o nim mowa, „chytrym lisem“. Śmiały czyn ten obrócił się jednak ostrzem swoim przeciwko niemu samemu. Słowa jego, które doszły, w sposób najogłędniejszy do uszu ciotki Juli, zostały powtórzone przez nią zgorszonym tonem pani Rogerowej, skąd już prostą drogą powróciły do Rogera juniora.

Ostatecznie cierpieli tylko sprawcy złych czynów; jak George na przykład, który dzięki oddawaniu się grze w bilard stracił cały majątek, albo też jak sam Roger młodszy, tak przerażająco bliski złączenia się

węzłami małżeńskimi z dziewczyną, którą, jak szeptało sobie na ucho, poślubił wedle praw natury; albo wreszcie jak Irena, którą uważano, nie mówiąc o tem wyraźnie, za pozostającą w wielkiem niebezpieczeństwie.

Wszystko to było nietylko przyjemne, ale podnoszące ducha. Dopomagało też do miłego spędzania czasu na zebraniach u Tyma w Bayswater Road; do miłego i pożytecznego spędzania tyłu godzin, które bez tego minęłyby bezpłodnie i ciężko dla trzech zamieszkałych pod jednym dachem istot. A dom Tyma był przecież jednym z setek podobnych domów w stołecznem mieście Londynie, domów osób neutralnych zpośród warstw zabezpieczonych, jednostek znajdujących się osobiście poza nawiasem walki, zmuszonych więc szukać racji bytu w walkach prowadzonych przez innych.

Gdyby nie ta miła przyprawa plotek familijnych, czuli-by się mieszkańcy tego domu wielce osamotnieni. Czyż wszystkie te głuche wieści, opowiadania szeptem, wyrażane nieśmiało wątpliwości i przypuszczenia — nie były dziećmi domu, niemniej drogiemi, aniżeli szczebio-czące niemowlęta, których bratu i siostrze zbrakło w ich własnej wędrówce życiowej? Mówienie o tem wszystkim było równie bliskie ich sercom, jak byłoby posiadanie na własność wszystkich owych dzieci i wnucząt, za którymi tęskniły tkliwe ich dusze. Jakkolwiek bowiem wątpić można, czy tęskniła za nimi tak bardzo dusza Tyma, nie ulega już napewno wątpliwości, że narodziny każdego nowego małego potomka Forsytów wyprowa-dzały go z równowagi.

Na nic się też nie zdało nazywanie Tyma „chytrym lisem“ przez Rogera juniora, na nic wznoszenie rąk do góry przez Eufemję i wołanie: „O, ta trójka!“, ani też wybuchanie przez nią śmiechem, kończącym się histerycznymi wykrzykiwaniami. Na nic się nie przydały i nie były zbyt wielką grzecznością.

Stan rzeczy, który w tem stadjum mógł wydawać się, w oczach Forsytów zwłaszcza, dziwnym — że nie użyjemy wyrazu „niemożliwy“ — nie był, jeśli uwzględnimy pewne fakty, bynajmniej tak bardzo dziwnym.

Pewne rzeczy uszły mianowicie uwagi.

Przedewszystkiem, wobec bezpiecznej przystani, jaką dawały liczne harmonijne pożycia małżeńskie, zapomniano, że miłość nie jest starannie hodowanym cieplarnianym kwiatem, ale dziką płonką, wyrosłą po burzliwej nocy, zrodzoną w słonecznej godzinie, wykwitłą z przygnanego zdala, na skrzydłach wiatru, nasionka; że jest kwiatem, czy trawką, o dzikiej zawsze barwie i zapachu!

Nadto — jako że fakty i obrazy własnego ich życia nie zgadzały się z pojęciem tego pewnika — nie uznawali naogół Forsytowie, że tam, gdzie wykwita dzika ta płonka, mężczyźni i kobiety są niby owady dokoła jasnego, podobnego do płomienia, kwiatu.

Dużo już czasu upłynęło od eskapady Jolyona juniora. — Zachodziła obawa ponownego utrwalenia się tradycji, że ludzie na ich stanowisku nie przekraczają nigdy granic dozwolonych dla zerwania tego kwiatu; że można liczyć na przejście przez nich tej choroby wieku niedojrzałego, tak samo, jak się przechodzi odrę raz tylko w życiu, poczem zostaje się wolnym od niej do końca dni swoich w bezpiecznej przystani małżeńskiego błotka, traktowanego jako lekarstwo na moralną ową odrę, równie skutecznie ją zwalczające, jak syrop z miodu i masła skuteczny jest przy odrze fizycznej.

Ze wszystkich, do których doszła dziwna ta wiadomość o Bosinney'u i pani Soamesowej, najbardziej dotkniętym był nią James. Oddawna zapomniał już, jak skał na czterech łapkach dokoła Emilji jako chudy i błady młodzieniec z zarysem kasztanowatego wąsika w okresie starania się o nią. Oddawna zatarł się w jego

pamięci obraz małego domku na krańcach Mayfair, w którym spędził pierwsze lata małżeńskiego swojego pożycia, a raczej zatarły się w jego pamięci te pierwsze lata, a nie mały domek, żaden Forsyt bowiem nie zapomina o najmniejszym nawet domu — co się zaś specjalnie tyczy danego, sprzedał go James w następstwie z czystym zyskiem czterechset funtów.

Oddawna zapomniał o tych dniach z ich nadziejami, obawami i wątpliwościami co do przezorności kroku, jakim było to małżeństwo (Emilja, jakkolwiek bardzo ładna, nie posiadała prócz urody absolutnie nic, a jego własny zarobek w owej dobie nie wynosił więcej niż tysiąc funtów), zapomniał o niepojętym, nieodpartym uroku, jaki pociągał go ku niej do tego stopnia, że czuł, iż żyć nie potrafi bez tej jasnowłosej dziewczyny z gładziutko uczesaną kształną główką, z białemi ramięrami, przezierającemi przez ściśle oblegającą jej kształty materję stanika, z szczupłą figurką, uwięzioną wedle ówczesnej mody w potężnych rozmiarów klatce krynoliny.

James przeszedł przez ogień, przeszedł jednak również przez wodę lat, gaszącą ogień młodości; przeszedł przez najsmutniejsze ze wszystkich możliwych przeżyć — przez zapomnienie uczuć i wrażeń, jakich się doświadcza, Kochając.

Zapomniał o tem wszystkim! Zapomniał od tak dawna, że zapomniał, czy wogóle kiedykolwiek o tem pamiętał.

A teraz doszły go te słuchy, słuchy o żonie jego syna; bardzo niewyraźne, niby mglisty, zaledwie dostrzegalny cień, prześlizgujący się poprzez namacalne, wyraźne pozory rzeczy, nierealny, niepojęty jak widmo, tak samo jednak jak widmo, siejący dokoła niewytłumaczony strach.

Usiłował uświadomić sobie jasno właściwe znacze-

nie tych słuchów, tak samo jednak trudno mu było to uskuteczyć, jak wyobrazić sobie samego siebie jako ofiarę jednej z owych tragedyj, o jakich czytywał w prasie codziennej. Nie był w stanie. Nie, nie może to mieć żadnego znaczenia. Głupie brednie i nic więcej. Irena nie żyje z Soamesem tak dobrze, jak powinny, ale jest kochanem, dobrem stworzeniem; tak, kochanem, dobrem stworzeniem!

Jak wcale nie małoznaczną większość mężczyzn, nie gardził i James zajmującymi ploteczkami, często też powtarzał, oblizując przytem smakowicie wargi.

— Tak, tak, ona i młody Deson; podobno są oboje razem w Monte Carlo!

Nigdy wszelako nie uderzyło go właściwe znaczenie podobnych spraw — ich przeszłości, ich stanu obecnego czy też ich przyszłości. Co się pod nimi istotnie kryje, jakie męki i porywy złożyły się na ich wytworzenie, jaka, działająca powolnie, a mimo to zwyciężająca wszystko potęga kieruje zaledwie dostrzegalnie z poza faktów losami swoich ofiar — wszystko to nie dochodziło do jego świadomości, ujmującej jedynie nagie fakty, z zabarwieniem czasem plugawem, naogół okraszone miłym pieprzykiem. Nie miał zwyczaju ani potępiania, ani chwaleń, wyciągania wniosków czy uogólniania podobnych wypadków; poprostu słuchał z zaciekawieniem i powtarzał, co słyszał, znajdując takie same w tem upodobanie, jak w raczeniu się przed posiłkiem kieliszkiem sherry czy wódki.

Teraz jednakże, kiedy coś podobnego — raczej głuche o tem wieści, napomknienia bodaj — dotyczyły jego samego osobiście, dostrzegał je jak przez mgłę jeno, a mimo to wypełniały mu one usta przykrym, tłoczącym, zapierającym nieledwie dech smakiem.

Skandal! Możliwość skandalu!

Jedynie powtarzanie wyrazu tego samemu sobie

umożliwiało mu ześrodkowanie na nim uwagi, mieszczenie go w ramach swojego myślenia. Zatarły się w jego pamięci uczucia i wrażenia, bez których niepodobna było zrozumieć powolnego budzenia się, fatalizmu i całej głębi znaczenia podobnych spraw; nie był wprost w stanie pojąć, że mogą istnieć ludzie, wążący się na podobne ryzyko jedynie pod wpływem miłości.

Dzikiem i śmiesznem wydawałoby mu się samo przypuszczenie, aby spośród wszystkich jego znajomych, udających się codziennie, przez rok cały, do City i załatwiających tam swoje interesy, bez względu na ich rodzaj, a w chwilach wolnych od zajęć zawodowych kupujących akcje, czy domy, zjadających obiady i bawiących się, jak słyszał, w rozmaite gry, mógł znaleźć się kogośkolwiek, wążący się na podobne ryzyko dla czegoś podobnie nieuchwytnego, istniejącego w wyobraźni jedynie, jak miłość.

Miłość! Wydawało mu się, istotnie, że słyszał o niej, i maksymy takie, jak: „Młody mężczyzna i młoda kobieta nie powinni być pozostawiani pospołu“ wyłobione były w jego mózgu tak samo, jak utrwalone są na mapie równoleżniki szerokości geograficznej (Forsytowie, o ile idzie o „murowane“ fakty, szczególnie lubują się w realistycznym ich ujmowaniu). Co się wszelako tyczy wszystkiego innego — zdolny był jedynie do uświadamiania ich sobie pod kątem „skandalu“.

Ale nie! To nieprawda! Nie może to być prawdą! Nie obawia się — Irena jest w samej rzeczy kochanem, dobrem stworzeniem! Myśl ta jednak wbiła mu się ćwiekiem w mózgowicę. James należał do natur nerwowych, niezdolnych pozbyć się raz powziętej myśli, dręczonych przewidywaniami i niepewnością. Pod wpływem obawy, że może wymknąć się z pod jego uwagi coś, co do czego mógłby się upewnić, postąpiwszy inaczej,

fizycznie był niezdolny do powzięcia decyzji, dopóki nie zyskiwał absolutnej pewności, że, nie decydując się na dany krok, ucierpi na tem.

W życiu zachodzą jednakże liczne wypadki, kiedy powzięcie stanowczej decyzji nie jest zależne od nas samych. Był to właśnie jeden z takich wypadków.

Co mógł zrobić? Pomówić o tem z Soamesem? Pogorszyłoby to jedynie stan rzeczy. A zresztą, cała ta gadanina, to wierutne bajki!... Pewien jest tego!

A wszystkiemu temu winien nieszczęsny dom. Nie podobał mu się cały ten pomysł od początku. Po kiego licha zachciało się Soamesowi przenosić na wieś? A jeśli już chciał koniecznie wydać moc pieniędzy na budowanie domu dla siebie, czy nie właściwiej było zwrócić się do pierwszorzędnego, uznanego architekta, zamiast do tego smyka Bosinney'a, o którym nikt nigdy nic nie słyszał? Przepowiadał zgóry, że taki będzie wynik. A teraz dochodzą go wieści, że wydatki na budowę domu znacznie przekroczyły preliminowany kosztorys.

Fakt ten, bardziej niż wszystko inne, unaoczniał Jamesowi właściwe niebezpieczeństwo sytuacji. Tak bywa zawsze z tymi chłystkami „artystami“; człowiek rozsądny nie powinien wdawać się z nimi. Ostrzegał w swoim czasie i Irenę także! I oto do czego doprowadził nieopatrzny krok!

Nagle olśniła Jamesa myśl, że powinien pojechać i przekonać się sam. Wpśród całej tej mgły niepewności, jaka przysłała Jamesową zdolność myślenia, postanowienie obejrzenia samemu domu sprawiło mu niewytłumaczone uczucie zadowolenia. Może uradowała go wprost możność uczynienia czegoś — a może sam fakt, że ma w perspektywie oglądanie domu — w każdym razie niewątpliwej doznał ulgi.

Czuł, że dokładne przyjrzenie się budowie, wzniesionej z wapna i cegiel, z drzewa i kamienia, zapro-

jektowanej i wykonanej przez człowieka, którego kazano mu mieć w podejrzeniu, umożliwi mu zapuszczenie wzroku w samo dno słuchów, krążących o Irenie.

Nie powiedziawszy tedy ani słowa nikomu, wsiadł do dorozki i kazał się zawieść na stację, aby udać się koleją do Robin Hill, skąd — ile że stałym w tej okolicy zwyczajem, nie było tu żadnego wehikułu — zmuszony był pójść na miejsce piechotą.

Powoli zaczął piąć się pod górę, z wysiłkiem zginając kańciate kolana i pochylając przygarbione plecy, patrząc uważnie przed siebie, a mimo to wyglądając dostojnie w wysokim swoim kapeluszu i surducie, utrzymywanym czujnem staraniem Emilji w stanie nieposzlakowanej czystości i nieskazitelnego porządku. Właściwie nie ona osobiście o to się starała — ludzie wyższej kondycji nie czynią podobnych rzeczy osobiście — ale pilnowała, aby lokaj należycie dbał o to.

Trzy razy musiał dopytywać się o drogę; ilekroć dawano mu odnośne informacje, powtarzał je, kazał informującemu go powtarzać dawane wskazówki, potem powtarzał je powtórnie, jako że był z natury rozmowny, a zresztą, niemożna być nigdy dostatecznie przezornym w nieznanym okolicy.

Powtarzał też każdemu z osobna, że szuka świeżo budującego się domu; uspokoił się jednak wówczas dopiero, kiedy wskazano mu przeświecający poprzez drzewa dach, i kiedy mógł się tem samem naocznie przekonać, że nie idzie w fałszywym zupełnie kierunku.

Ciężkie niebo zdawało się zwisać nad światem szarą białością tynkowanej wapnem powały. W powietrzu nie było żadnego poruszenia, ani zwykłej świeżości. W podobny dzień nawet angielski rzemieślnik nie myśli wysilać się w pracy ponad obowiązującą go normę, porusza się też ospale, nie bawiąc się nawet w zwykłe ga-

wędy, dające tak mile pokrzepienie i ulgę wpośród trudu.

Poprzez pomieszczenia niewykończonego domu snuły się zwolna postacie mężczyzn z zakasanymi rękawami koszuli, rozlegały się odgłosy pracy — rytmicznych uderzeń młotków, tarcia metalu, pilowania drzewa, skrzypienia ciągniętych po deskach taczek; od czasu do czasu pies majstra mularskiego, uwiązany na sznurku do dębowej belki, skowyczał żałośnie, przypominając skowytem tym syczenie gotującej się w kociołku wody.

Świeżo wstawione szyby okienne, zasmarowane każde z osobna białą mazią wapna wpośrodku, szczyrzyły na Jamesa zmatowane, martwe swoje ślepia, niby stary, ociemniały pies niewidzące galy swoich oczu.

Skłócony chór odgłosów budowania rozlegał się donośnie, a razem niewesoło, pod białą-szarą kopułą nieba. Zamilkły, natomiast, zupełnie drozdy, polujące na robaki w świeżo zoranej ziemi.

James skierował się pośród nastroszonych kup piasku wydeptaną przez nie ścieżką i stanął naprzeciwko wrót wejściowych. Tutaj zatrzymał się wreszcie i podniósł oczy. Niewiele było do oglądania z tego miejsca, wszystko wszakże, co można było zobaczyć, ogarnął okiem od pierwszego spojrzenia; mimo to pozostał, zatopiony w kontemplacji, przez długą chwilę i niebu jednemu tylko mogło być wiadomo, o czym przez ten czas myślał.

Wyblakłe, niebieskie jego oczy, pod strzępiastymi siwymi krzakami brwi, nie poruszyły się; długa górna warga szerokich jego ust, okolonych pięknymi białymi wąsami, drgnęła parokrotnie — łatwo było rozpoznać z pełnego niepokoju, posępnego ich wyrazu, po kim Soames odziedziczył chmurę głębokiej troski, zasępiając często jego oblicze. W tej chwili sprawiał ojciec

jego wrażenie człowieka, mówiącego sobie: — Nic nie rozumiem, życie ciężkiem jest zadaniem.

W takim nastroju zastał go Bosinney.

James oderwał oczy od Bóg wie jakiego gniazda ptasiego, wypatrywanego przez niego w górze i utkwił je w twarzy Bosinney'a, na której malowało się coś niby pogardliwa drwina.

— Jak się pan ma, panie Forsytle!... Proszę, przyjdź pan obejrzyć dom.

Po to właśnie, jak nam wiadomo, przybył tu James, odpowiednio też skonfundowało go zaproszenie architekta. Wyciągnął jednak do niego rękę i rzekł:

— Jak się pan ma? — nie patrząc już teraz na Bosinney'a, który z ironicznym uśmiechem wskazał mu drogę.

James wyczuł w tej uprzejmości coś podejrzanego.

— Chciałbym przedewszystkiem obejść dom z zewnątrz — rzekł — i przyjrzyć się co już zrobione.

Kamienny taras okalał dom od strony południowo-wschodniej i południowo-zachodniej, granicząc ukośną linią z szmatem zoranej ziemi, przygotowanej do odar niowania. Przez ten taras poszedł teraz James za przewodem Bosinney'a.

— Co to wszystko kosztowało? — zapytał, widząc, że taras ciągnie się dalej jeszcze poza węgiel domu.

— A jak się panu zdaje? — zainteresował się Bosinney.

— Skądże miałbym wiedzieć? — zapytał spłoszony nieco tem pytaniem James. — Myślę, że z jakie dwie albo trzy setki.

— Zgadł pan co do joty.

James spojrział na architekta badawczo, spotkawszy się jednak z niewinnym napozór wyrazem jego twarzy, przypisał otrzymaną odpowiedź własnemu niedosłyszaniu.

Znalazłszy się przy wejściu do ogrodu, przystanął, aby podziwiać widok.

— Należałoby to ściąć — rzekł, wskazując na wielki dąb.

— Tak pan sądzi? Uważa pan, że przez to drzewo nie ma pan za swoje pieniądze dostatecznego widoku?

I znów zerknął na niego James podejrzliwie — dziwny ma ten młody człowiek sposób wyrażania się! — Nie wiem o co panu idzie — rzekł — ani na co panu tutaj potrzebne to drzewo?

— Jutro zostanie ono ścięte — rzekł Bosinney.

Słowa te przeraziły Jamesa.

— O — zawołał. — Nie chcę, aby pan utrzymywał, że to ja kazałem je ściąć! Nic mnie to nie obchodzi!

— Nie obchodzi pana?

— Dlaczego miałoby mnie obchodzić? — powtórzył James zaniepokojony. — Nie mam z tem nic wspólnego! Cokolwiek pan zrobi, zrobione będzie na własną pańską odpowiedzialność.

— Pozwoli mi pan jednak powołać się na pana? James przeraził się na dobre.

— Nie wiem, poco miałby się pan powoływać na mnie — burknął. — Najlepiej będzie, jak pan da wogóle spokój temu drzewu. To przecież nie pański dąb!

Wyjął jedwabną chusteczkę i otarł nią czoło. Weszli razem do domu. Wewnętrzny dziedziniec zaimponował Jamesowi niemniej niż Swithinowi.

— Musiał pan wydać na tę sztukę djabelną moc pieniędzy — rzekł, napatrzywszy się przez dłuższy czas na kolumny i krążanek. — Ile naprzykład kosztowały te kolumny?

— Nie mógłbym dokładnie objaśnić pana z pamięci — odparł Bosinney z rozmysłem — wiem tylko, że istotnie djabelnie dużo.

— Można było się tego domyśleć — rzekł. — Co do mnie — zaczął — uważałbym, że... — Urwał nagle, spotkawszy się z rzuconem mu przez architekta spojrzeniem. Od tej chwili, ilekroć uderzyło go coś, o czegocenie pragnął się dowiedzieć, opanowywał swoją ciekawość i powstrzymywał się od wszelkich pytań.

Bosinney postanowił, jak się zdawało, zaprezentować mu dom z wszelkimi szczegółami i gdyby James nie należał do ludzi, umiejących dobrze zakarbować sobie w pamięci każdy drobiazg na pierwszy rzut oka nań, byłby napewno został oprowadzony po całym domu po raz drugi. Architekt zdawał się wyczekiwać z taką skwapliwością na zadawanie sobie pytań, że James uważał tembardziej za właściwe mieć się mocno na baczności. Wysiłek przy oglądaniu domu zaczął mu już porządnie ciążyć, jakkolwiek bowiem był z natury bardzo sprężysty i sprawny, zwłaszcza na człowieka jego budowy i wzrostu, pamiętać wszelako należy, że ukończył już siedemdziesiąt pięć lat.

Coraz bardziej też zaczął upadać na duchu; obejrzenie domu nie zbliżyło go ani o włos do pożądanego celu, nie dało mu wiadomości, jakich, w sposób mglisty nieco, spodziewał się. Jedynym wynikiem oględzin domu było wzmoczenie jego niechęci i nieufności do młodego człowieka, który gnębił go swoją uprzejmością i w którego całem zachowaniu zmuszony był dopatrywać się wyraźnych drwin.

Chłopak okazał się sprytniejszym niż przypuszczał i przystojniejszym niż sobie wyobrażał. Miał wygląd, mówiący „gwizdę na wszystko!“ niepodobający się więc Jamesowi, który najbardziej nie znosił u ludzi żyłki ryzykanckiej. Raził go też dziwny uśmiech chłopaka, ukazujący się na jego ustach w momentach najbardziej niespodziewanych; szczególne także miał oczy. Przypominał — jak wyraził się w następstwie James — głodnego

kota. Określenie to, użyte przez Jamesa w rozmowie, jaką miał na ten temat z Emilją, najbardziej odpowiadała doprowadzającej do rozpacz, aksamitnej miękkości przy wyraźnie drwiącej minie, jaka najwybitniej cechowała taktykę Bosinney'a.

Wreszcie, obejrzawszy wszystko co było do obejrzenia, wyszedł temi samemi drzwiami, któremi wszedł, i teraz, czując, że traci daremnie czas, siły i pieniądze, zdobył się na odwagę iście Forsytowską i, spojrzawszy Bosinney'owi bystro w oczy, rzekł:

— Słyszę, że często widuje pan moją synowę. Co też ona mówi o domu? Nie widziała go jeszcze, przypuszczam?

Powiedział to, wiedząc dobrze o odwiedzinach Ireny na budowlu — nie dlatego, rozumie się, aby miało wiązać się z temi odwiedzinami coś szczególnego, poza dziwnem, wypowiedzianem przez nią, zdaniem o „niedbanu czy dostanie się do domu“ oraz sposobem, w jaki Juna przyjęła wiadomość o wizycie.

Postawieniem w tej formie pytania Bosinney'owi miał na celu danie mu możności wypowiedzenia się, jak tłumaczył się w następstwie przed sobą samym.

Nagabnięty bezpośrednio młody architekt przez długą chwilę nie odpowiadał, nie odrywając oczu od twarzy Jamesa, w którą wlepił je z dokuczliwą uporczywością.

— Widziała dom, nie mógłbym jednak powiedzieć panu, jakiego jest o nim mniemania.

Zaskoczony i podrażniony tą odpowiedzią James, nie mógł jednak, nie sprzeniewierzając się własnej naturze, odstąpić od wszczętego tematu.

— O — rzekł — widziała? Przywiózł ją Soames zapewnie?

— Nie! — odparł Bosinney z uśmiechem.

— Jakto?... Przyjechała sama?

— O, nie!

— W takim razie kto ją przywiózł?

— Nie wiem doprawdy, czy mam prawo wyjawić to panu.

Odpowiedź ta wydała się zupełnie niezrozumiałą dla Jamesa, który wiedział, że przywiózł ją Swithin.

— Jakto? — wybąknął — wie pan, że... — zaczął, urwał jednak nagle, czując, że wkracza na śliski dla siebie grunt.

— Ha, jeśli pan uważa — dodał po chwili — że nie powinien pan zdradzać, z kim przyjechała, musi pan widocznie mieć swoje powody. Nikt zresztą nic mi nie mówił.

Ku zdziwieniu jego wszelako zadał mu Bosinney pytanie:

— Ale, ale, nie mógłby mi pan powiedzieć, czy wielu jeszcze członków pańskiej rodziny wybiera się tutaj? Chciałbym być na miejscu podczas ich odwiedzin.

— Czy wielu jeszcze członków? — powtórzył James oszołomiony. — A któż więcej mógłby przyjechać? Nie wiem o nikim takim. Żegnam pana.

Nie odrywając oczu od ziemi, w którą były utkwione, wyciągnął rękę, dotknął nią dłoni Bosinney'a i wzięwszy swój parasol, trzymany jak zawsze tuż ponad jedwabiem pokrycia, odszedł przez taras, tak samo jak przyszedł.

Zanim skręcił za węglem, odwrócił się i ujrzał Bosinney'a, który śledził go wzrokiem, „przekradającego się chyłkiem pod murem, jak wielkie kocisko“ — pomyślał. Nie odpowiedział też ukłonem na podniesienie kapelusza przez młodego architekta.

Wydstawszy się na drogę, skąd nie mógł już być widzialny, bardziej jeszcze zwolnił kroku. Bardzo powoli, niżej jeszcze przygarbiony ku ziemi, aniżeli kiedy szedł

w tamtą stronę, chudy, wysoki, głodny i zniechęcony wracał na stację.

„Pirat“, obserwujący starego człowieka, powracającego w takim zgnębieniu, żałował może swojego zachowania się względem niego.

ROZDZIAŁ V.

KORRESPONDENCJA Z BOSINNEY'EM

James nie powiedział synowi o swoim obejrzeniu domu, mając wszelako sposobność odwiedzenia pewnego rana brata, Tyma, w sprawie robót kanalizacyjnych, do jakich przeprowadzenia zmusiły go władze sanitarne, wspomniawszy tam o swojej wizycie w Robin Hill.

— Nie jest to w zasadzie zły dom — odrzekł. — Niejedno dałoby się zrobić z niego. Chłopak posiada pewne zdolności, chociaż ile cała ta rzecz będzie kosztowała Soamesa, niepodobna określić, zanim budowa nie zostanie kompletnie ukończona.

Eufemja Forsyte, która znalazła się tam przypadkiem w tym czasie — przyszła pożyczyć ostatnią powieść pióra wielbionego Mr. Scoles'a: „Namiętność i ukojenie“, ciesząc się bardzo wielką poczytnością — dorzuciła własną uwagę:

— Widziałam kochaną Irenkę wczoraj w Wielkich Składowach; zastałam ją na milej pogawędce z panem Bosinney'em w oddziale kolonialnym.

W prosty, niewinny ten sposób ujęła w sprawozdaniu swoim scenę, która wywarła na niej głębokie i skomplikowane wrażenie. Śpieszyła się do oddziału jedwabi Kościelno-handlowego składu — która to instytucja, przeprowadzająca transakcje wyłącznie tylko z osobami dającymi pełną gwarancję pewności, i to za gotówkę zgóry. zyskiwała sobie naturalnie najwyższe uznanie Forsytów —

— otóż śpieszyła do oddziału tego, aby dobrać kawałek materji jedwabnej dla matki, czekającej na ulicy, w powozie.

Kiedy przechodziła, idąc tam, przez oddział kolumnalny, oko jej spoczęło z niemiłym uczuciem na, odwróconej do niej tyłem, skończenie pięknej postaci, tak harmonijnie kształtnej, tak pięknie upozowanej i tak doskonale ubranej, że wrodzone Eufemji poczucie przyzwoitości zaalarmowane tem zostało odrazu. — Wiedzioną raczej intuicją, anizeli opierając się na doświadczeniu, wiedziała, że podobnie skończona piękność postaci rzadko idzie w parze z cnotą; tak przynajmniej zapatrywała się na te rzeczy ona sama, jako że jej własne plecy nie odznaczały się harmonijnością linii i niełatwo nadawały się do przystosowywania do nich tualet.

Podejrzenia jej okazały się usprawiedliwione na szczęście dla niej. Młody jakiś mężczyzna, wychodzący z działu aptecznego, zerwał na widok pięknej, odwróconej tyłem, postaci kapelusz z głowy i zbliżył się do niej.

W tej chwili dopiero przekonała się Eufemja, kogo ma przed sobą; damą o doskonale pięknych kształtach była niewątpliwie pani Soamesowa, a młodym człowiekiem — pan Bosinney. Zakonspirowana przy kupnie pudełka daktyli, zenowało ją bowiem, że spotyka ludzi obładowanych paczkami, gdy sama nie ma nic w ręce, zwłaszcza o tej porze codziennych zakupów, stała się w ten sposób młoda dziewczyna nieumyślną zainteresowaną obserwatorką spotkania młodej pary.

Pani Soamesowa, zazwyczaj nieco blada, miała rozkosznie zaróżowione policzki; zachowanie się pana Bosinney'a było dziwne, jakkolwiek pociągające (uważała go za dystyngowanie wyglądającego młodego człowieka, a dane mu przez George'a dziwne przydomko „Pirat“ już samo w sobie miało coś romantycznie-czarującego

wprost). Zdawał się dowodzić czegoś. Rozmawiali tak poważnie — a raczej on mówił tak poważnie, bowiem pani Soamesowa mówiła niewiele — że bezwiednie tworzyli zator wśród ogólnej krzątaniny. Sympatyczny jakiś stary generał, dążący ku stoisku z cygarami, zmuszony był zejść im z drogi, a ujrzawszy w przelocie twarz pani Soamesowej, dosłownie zerwał — stary głupiec! — kapelusz z głowy! Tacy są mężczyźni!

Najbardziej zaniepokoiły Eufemję oczy pani Soamesowej. Ani razu nie podniosła ich na Bosinney'a, dopóki nie odszedł, a potem długo śledziła niemi odchodzącego. Ale, co te oczy mówiły! O, co one mówiły!

Wymowa tych oczu dała Eufemji wiele do myślenia. Nie będzie przesadą przyznać się, że boleśnie uderzyły ją one tęskną miękkością ciemnych swoich źrenic, źrenic kobiety, która pragnie całą siłą własnego spojrzenia przywołać go zpowrotem i cofnąć słowa, jakie wypowiedziała.

Eufemja nie miała oczywiście w owym momencie czasu zagłębiać się nad tą sprawą, zajęta myślą o dobraniu kawałka jedwabnej materji podług próbki, była jednak „bardzo in trigu ée — bardzo!“ Skinęła zdaleka tylko głową w kierunku pani Soamesowej, ażeby pokazać jej, że ją widziała; jak też zwierzyła się w rozmowie na ten temat z koleżanką, Franusią (córką Rogera), „miała Irena, wiesz, zupełnie wygląd schwytej na gorącym uczynku!“

James, z wielką niechęcią przyjmujący wszelki nowy, dodatkowy szczegół, który potwierdzał dręczące jego podejrzenie, ostro natarł zrazu na Eufemję.

— O — rzekł — wybierali zapewne tapety.

Eufemja uśmiechnęła się.

— W oddziale kolonialnym? — rzuciła niewinną uwagę i biorąc „Namiętność i ukojenie“ ze stołu, dodała:

— Pożycz mi droga cioteczka tę książkę?... Do widzenia!

Odeszła.

James zabrał się prawie bezpośrednio po niej; i tak był spóźniony.

Znalazłszy się w biurze firmy „Forsyte, Bustard i Forsyte“, zastał Soamesa, siedzącego na ruchomem swoim krześle i zajętego kreśleniem obrony. Na widok wchodzącego ojca powitał go krótkim „dzieńdobry“ i, wyjmując kopertę z kieszeni, rzekł:

— Zainteresuje ojca może ten list.

James przeczytał, co następuje:

309 Sloane Street

15 maja

„Drogi panie Forsyte!

Wobec doprowadzenia do końca budowy pańskiego domu skończyła się też moja rola architekta. O ile mam w dalszym ciągu prowadzić rozpoczęte na pańskie żądanie roboty dekoracyjne, chciałbym mieć od pana wyraźne zapewnienie, że pozostawia mi pan pod tym względem wolną rękę.

Nie zdarzyło się ani razu, żeby pan, przyjeżdżając na budowę, nie wystąpił z propozycją całkowicie krzyżującą moje plany. Mam również trzy listy pańskie, z których w każdym poleca mi pan wprowadzenie szczegółu, o jakim ani mi się śniło. Wczoraj był tu też u mnie ojciec pański, który poczynił również cenne swoje uwagi krytyczne.

Dlatego też, proszę, aby pan zechciał się zdecydować, czy życzy pan sobie, abym zajął się wewnętrzną dekoracją pańskiego domu, czy też, abym wycofał się z tej roboty, co, przyznaję, wolalbym wybrać.

Chciałbym w każdym razie, aby pan zrozumiał, że jeśli mam wykonać dekorację, muszę wykonać ją samodzielnie, bez niczyjej dyrektywy.

O ile mam zająć się tą pracą, dokonam jej całkowicie, muszę jednak mieć wolną rękę.

Oddany

Filip Bosinney.“

Trudno oczywiście stwierdzić, jaka była bezpośrednia istotna pobudka, która skłoniła Bosinney'a do napisania tego listu, jakkolwiek nie jest niemożliwym, aby nie miał skłonić go do tego kroku nagły bunt przeciwko stosunkowi jego do Soamesa — wieczny stosunek Sztuki do Własności — tak świetnie scharakteryzowany na grzbiecie najniezbędniejszej wygody nowoczesnej, w słowach, przypominających najpiękniejsze wyrażenia Tacytowe:

„Tomasz T. Smutnicki
Wynalazca

Bertold M. Tratownik
Właściciel.“

— Co masz zamiar odpowiedzieć mu? — zapytał James.

Soames nie odwrócił nawet głowy.

— Nie postanowiłem jeszcze — rzekł — i zajął się w dalszym ciągu kreśleniem linii swojej obrony.

Jeden z jego klientów, który wystawił budynek na nienależącym do niego gruncie, otrzymał nagle, zredagowane w jaknajstrzejszej formie, wezwanie do zburzenia go. Po starannem wszelako rozejrzeniu się w szczegółach sprawy znalazł Soames drogę obrony, opartą na fakcie, że klient jego działał w dobrej wierze

i że, jakkolwiek niewątpliwie grunt nie należy do niego, ma prawo zatrzymać go i powinien to uczynić. Mocodawca jego poszedł za tą radą i przedsięwziął kroki niezbędne do tak zwanego przez marynarzy „rozpięcia w tym kierunku żagli“.

Soames miał opinię prawnika, udzielającego mądrych rad, mówiono też o nim:

— „Idźcie do Forsyta-juniora — tęga głowa!“

Soames dumny był z tej swojej opinii.

Przemawiała też na jego korzyść wrodzona jego usposobieniu ponurość; nie istniało nic bardziej obliczonego na sprawianie na klientach — zwłaszcza na klientach ze sfer posiadających (Soames nie miał innych) wrażenia, że mają do czynienia z rozumnym człowiekiem, z człowiekiem, na którym mogą polegać. Soames był w istocie rozumny. Tradycja, doświadczenie, wychowanie, odziedziczone skłonności, wrodzona przezorność — wszystko to składało się na całokształt zawodowej sumienności, nieugiętej wobec pokus, bowiem znajdującej mocne oparcie w głęboko zakorzenionym w jego naturze lęku przed ryzykiem. Jak mógł upaść, skoro cała jego duchowa istota odwracała się ze wstrętem od okoliczności, umożliwiających upadek — człowiek przykuty do gruntu pod swojemi stopami nie może upaść.

Dlatego też niezliczeni owi Forsytowie, którzy przy załatwianiu niezliczonych tranzakcyj, związanych z wszelkiego rodzaju własnością (nie wyłączając stosunku do prawowitych małżonek i żon z lewej ręki), zasięgać musieli rad rozumnego i pewnego człowieka, uważali za bezpieczne i zarazem korzystne powierzanie swoich spraw Soamesowi. Przemawiał nawet za nim pewien lekki odciśnięty zarozumiałości, połączonej ze skrupulatnem wygrzebywaniem wszelkich precedensów — człowiek niezdarzący sobie dokładnie sprawy ze stanu rzeczy, nie pozwolił sobie na butną zarozumiałość!

Był faktycznym szefem biura obrończego, jakkolwiek bowiem James przychodził prawie codziennie, żeby „samemu dopilnować“ biegu spraw, niewiele więcej już teraz jednak robił poza tem, że siedział na swoim fotelu, założywszy nogę na nogę i wprowadzał tylko zamęt do rozstrzygniętych oddawna kwestyj, poczem odchodził do domu. Bustard, trzeci wspólnik, był tępakiem, posłusznie wykonywającym znaczną część pracy, nigdy wszelako nie pytanym o zdanie.

Soames pracował tedy ze skupieniem w dalszym ciągu nad swoją obroną. Kłamstwem byłoby atoli utrzymywać, że pracował ze spokojną głową. Dręczyła go świadomość zakłócających cały bieg jego życia trudności i przeszkód, o których myśl zatruwała mu spokój od dłuższego już czasu. Usiłował przypisywać je przyczynom fizycznym — stanowi swojej wątroby — wiedział jednak, że to nie to.

Spojrzał na zegarek. Za kwadrans stawić się ma na Ogólnem Zebraniu Nowego Towarzystwa Kopalni Węgla — jednego z koncernów stryja Jolyona; spotka się z nim tam i pomówi z nim o Bosinney'u — nie jest jeszcze zdecydowany co o tej sprawie powie, coś jednak powie — w każdym razie nie wyśle odpowiedzi na list Bosinney'a przed pomówieniem ze stryjem Jolyonem. Podniósł się i ze zwykłą metodyczną dokładnością odłożył szkic swojej obrony. Wszedłszy do małej, ciemnej garderóbki, odkręcił światło, umył ręce kawałkiem brunatnego windsorskiego mydła i osuszył je zawieszonym tu stale ogólnym ręcznikiem. Potem z kolei przyglądził szczotką włosy, z całą ostrożnością jednak, aby nie zamącić nieskazitelnej linii przedziału, zakręcił zpowrotem światło, wziął kapelusz i, zapowiedziawszy, że powróci o wpół do trzeciej, wyszedł na ulicę.

Nie było daleko do biur Towarzystwa Nowych Kopalni Węglowych na Ironmonger Lane, gdzie — a nie w wiel-

kim hotelu na Cannon Street, jak to czyniły inne, kierujące się większymi ambicjami Towarzystwa — odbywało się zawsze Ogólne Zebranie. Stary Jolyon od początku zawiązał się przeciwko prasie. Jakże ma ogół prawo do wtrącania się do jego koncernów!

Soames przyszedł z uderzeniem oznaczonej godziny i zajął swoje miejsce wpośród dyrektorów zarządu, którzy usadowili się długim szeregiem, każdy przy własnym kalamarzu, mając naprzeciwko siebie swoich akcjonariuszy.

W pośrodku tego szeregu stary Jolyon, wyróżniający się z pomiędzy wszystkich, w czarnym swoim, ciasno opiętym surducie, z siwymi wąsami, siedział oparty o grzbiet krzesła, końcami palców przebierając po leżącym przed nim zwoju kopij dyrektorskich sprawozdań i rachunków.

Na prawo od niego zajął miejsce przesadzający we wszystkim generalny sekretarz Hemmings, w którego pięknych oczach tkwił wyraz nadmiernie głębokiego smutku; jego siwawa broda barwy ciemnej stali, miała żalobny wygląd, spotęgowany przesadną czarnością przezierającego z pod niej krawata.

Okoliczności, towarzyszące Ogólnemu Zebraniu, uspaśniały istotnie melancholijnie. Nie więcej niż sześć tygodni upłynęło od chwili otrzymania telegramu od Scorrera, eksperta górniczego, zawiadamiającego ich, że główny ich zarządzający, Pippin, popełnił samobójstwo w trakcie próby napisania, po dwuletniem milczeniu, listu do Dyrekcji. List ten, jako dowód rzeczowy, leżał teraz przed nimi na stole; miano go odczytać akcjonariuszom, którzy naturalnie wtajemniczeni zostaną we wszystkie fakty.

Hemmings mawiał często do Soamesa, grzejąc się przy kominku z rozsuniętymi przezornie połami surduta:

— To, czego nasi akcjonariusze nie wiedzą o stanie

spraw, nie ma znaczenia. Może mi pan zaufać pod tym względem, panie Forsyte.

Zdarzyło się pewnego razu, że stryj Jolyon, obecny przy tego rodzaju powiedzeniu sekretarza, spojrział na niego ostro i rzekł:

— Nie gadaj pan głupstw, panie Hemmings! Chce pan chyba powiedzieć, że to, co im jest wiadomo o stanie spraw, nie ma znaczenia!

Stary Jolyon nie znośił blagi.

Hemmings z błyskiem gniewu w oczach, ale pokornie uśmiechnięty, jak dobrze wytresowany pudel, odpowiedział z sztucznym wybuchem zachwyty:

— A, to pyszny kawał, świetny, daję słowo! Udało się stryjowi pańskiemu! Prawdziwie się udało!

Kiedy przy najbliższej okazji spotkał się z Soamesem, skorzystał z niej, aby powiedzieć mu:

— Nasz przewodniczący mocno się starzeje — nie mogę mu włożyć do głowy rozmaitych rzeczy; taki jest przytem uparty. Czegoż się jednak można spodziewać od człowieka z podobnym podbródkiem?

Soames skinął potakująco głową.

Każdy wiedział, że podbródek stryja Jolyona starczy za ostrzeżenie. Dzisiaj stary szczególnie był rozstrojony, pomimo uroczystego wyglądu, jak przystało na dzień Ogólnego Zebrania; Soames postanowił jednak pomówić z nim o Bosinney'u.

Na lewo od starego Jolyona usadowił się pan Booker. Mały ten człowieczek miał dzisiaj równie odświętną, uroczystą minę ogólnozebraniową, jakgdyby wypatrywał jakiegoś specjalnie czulego akcjonarjusza. Najbliższym jego sąsiadem był głuchy dyrektor z wiecznym marsem na czole; dalej siedział stary pan Bleedham, bardzo układny, jakgdyby świadomy własnej wiedzy i wartości — mógł być pewien siebie, czując przyniesiony jak zawsze do sali obrad brązowy pakiet, ukryty pod

kapeluszem (staromodnym, wysokim cylindrem z płaskim rondem, rodzaj kapelusza, nadający się doskonale do wielkich krawatów, gładko wygolonych warg, rumianych, świeżych policzków i ładnie zafrizowanych siwych baczków).

Soames brał stale udział w ogólnych zebraniach; uważano, że lepiej będzie, aby na nich bywał obecny na wypadek, „gdyby coś miało wyniknąć“. Rozglądał się dookoła, ślizgając się bystrem, twardem swoim spojrzeniem po ścianach, obwieszonych planami kopalni i przystani, a także fotografjami szybu, który okazał się w następstwie szczególnie niewydajnym. Fotografje te — jako dowód wiekuiestej ironji losu, szczerzącej zęby w zaczątkach każdego handlowego przedsiębiorstwa — zachowywały wciąż jeszcze miejsce swoje na ścianie, jako ulubione dyrektorskie, niestety, martwe już jagnię.

Wreszcie stary Jolyon wstał, aby przedstawić zebraniu sprawozdanie i rachunki.

Ukrywając pod maską jowiszowego spokoju stały, tkwiący w głębi łona każdego członka zarządu antagonizm w stosunku do akcjonariuszów reprezentowanego przez niego przedsiębiorstwa, patrzył na nich z niezmacną pogodą. Soames patrzył na nich także. Znał większość ich z widzenia. Oto stary Scrubsole, były marynarz, bywający stale na ogólnych zebraniach po to tylko, aby, jak wyrażał się Hemmings, „zalać wszystkim sadła za skórę“, zaczepnie wyglądający stary dziad z apoplektyczną twarzą i ołbrzymim, leżącym na jego kolanach, niskim kapeluszem. Oto znów wielebny Boms, stale występujący z wnioskiem złożenia podziękowania przewodniczącemu, przyczem niezmiennie wyrażał nadzieję, że zarząd nie zaniedba podnoszenia nadal ducha swoich pracowników. Po ukończeniu obrad miał akcjonariusz ten chwalebny zwyczaj łapania za klapę od surduta pierwszego napotkanego członka zarządu, aby wysondować go,

czy przewidywany jest dobry czy zły rok i, zależnie od treści odpowiedzi, kupowania czy sprzedawania kilku akcji w ciągu następnego tygodnia.

Był tu też wojak, major, O'Bally, niemogący nigdy powstrzymać się od zabrania głosu, chociażby po to tylko, aby poprzeć ponowne obranie członka komisji rewizyjnej, i wywołujący czasem poważną konsternację przez wymowienie toastów — wniosków raczej — z ust osobom, których staraniom zaszczytnie powierzano wąskie skrawki papieru, gdzie były one wypisane.

Poza tem było, jak zazwyczaj, czterech czy pięciu poważnych, milczących udziałowców, sympatycznych Soamesowi — tęgich ludzi interesu, starających się dopilnować osobiście swoich spraw, nienaprzykrzając się nimi jednak nikomu — uczciwych, solidnych gości, przyjeżdżających codziennie do City i powracających co wieczór do zacnych, solidnych swoich małżonek.

Zacnych, solidnych małżonek! Było w pojęciu tem coś, co spotęgowało bardziej jeszcze nieokreślony niepokój, ćmiący w duszy Soamesa.

Co ma powiedzieć stryjowi? Jaką dać ma odpowiedź na list?

„... Gdyby który z panów udziałowców chciał zadać jakieś pytanie, rad będę na nie odpowiedzieć.“

Tępy, szelestliwy stuk padających na stół z dłoni staroego Jolyona arkuszy sprawozdania i rachunków. On sam stał, przesuwając pomiędzy wskazującym a wielkim palcem oprawne w szyldkret okulary.

Cień uśmiechu przemknął po twarzy Soamesa. Niech się lepiej pośpieszą z pytaniami! Znał dobrze system (idealny system), jakiego trzymał się stale jego stryj, który prawie bezpośrednio po zachęceniu udziałowców do stawiania pytań dodawał:

— Proponuję zatem przyjęcie sprawozdania i rachunków!

Nie należy nigdy pozwalać im na puszczanie wodzy chęćce gadania. Wiadomo, że akcjonariusze lubią tracić czas na puste słowa.

Tym razem jednak nie zdążył uprzędzić powstania z miejsca wysokiego, siwobrodego jegomościa z chudem, zasepionem obliczem.

— Sądzę, że pan przewodniczący nie weźmie mi za złe pytania, dotyczącego owej pozycji 5.000 funtów w rachunkach? „Wdowie i rodzinie — rozejrzal się gniewnym wzrokiem dokoła — zmarłego naszego głównego kierownika robót“, który tak... tak nieopatrzenie, tak, panowie, mówię — nieopatrzenie — popełnił samobójstwo wówczas, kiedy jego działalność była niezbędna dla Towarzystwa. Pan przewodniczący zaznaczył, że kontrakt, tak niefortunnie rozwiązany przez niego samego, zawarty był na pięć lat, z których upłynął zaledwie jeden... Wobec tego pozwoliłbym sobie...

Stary Jolyon machnął niecierpliwie ręką.

— Sądzę, że pan przewodniczący nie będzie miał nic przeciw temu, abym pozwolił sobie zapytać, czy suma ta wyplacona — raczej proponowana przez zarząd, jako mająca być wyplaconą samo... zmarłemu... jest wynagrodzeniem za usługi, jakie... samo... zmarły..., mógł oddać Towarzystwu, gdyby nie popełnił samobójstwa?

— Nie, w uznaniu już oddanych przez niego usług, które, jak wszyscy wiemy — pan, równie dobrze jak każdy z nas — miały pierwszorzędną dla spraw naszego Towarzystwa cenność.

— W takim razie zmuszony jestem wyrazić zdanie moje, że, wobec byłych usług, suma jest zbyt wysoka. Akcjonariusz usiadł ponownie na swoim miejscu.

Stary Jolyon, przeczekawszy króciutką chwilkę, rzekł:

— Proponuję zatem przyjęcie sprawozdanie i rachunków...

Akcjonarjusz podniósł się po raz drugi:

— Pozwalam sobie zapytać, czy Zarząd zdaje sobie sprawę, że pieniądze, jakimi rozporządził, nie należą do niego?... Nie waham się twierdzić, że gdyby szło o jego własne pieniądze...

Inny akcjonarjusz z okrągłą, zaciętą twarzą, w którym Soames poznał szwagra zmarłego głównego kierownika, wstał i zawołał energicznie:

— Mojem zdaniem jest suma, wprost przeciwnie, niedostateczna!

Na to znów podniósł się wielbny Boms.

— Jeżeli wolno mi zabrać głos — zaczął — ośmieliłbym się zaznaczyć, że fakt popełnienia samobójstwa przez... zmarłego... winien mocno zaważyć — bardzo mocno zaważyć — na decyzji szanownego naszego Zarządu i jego Przewodniczącego. Nie wątpię zresztą, że zaważył, bowiem — mówię to we własnym imieniu i, sądzę, w imieniu każdego z obecnych (— uwaga! uwaga! —), cieszy się on wysokim naszym szacunkiem i zaufaniem. Wszyscy pragniemy z głębi duszy być miłośnikami. Pewien jednak jestem (surowe spojrzenie w stronę szwagra zmarłego głównego kierownika), że pan Przewodniczący zechce stwierdzić na piśmie — albo raczej przez obniżenie sumy dać dowód wzięcia głosu naszego pod uwagę — poważne nasze potępienie faktu, aby tak cenne i obiecujące życie miało być w sposób tak grzeszny usunięte poza nawias działalności, której kontynuowania niezbędnie domagały się jego własne — i jeśli mi wolno zaznaczyć — nasze interesy. Nie możemy — nie, niewolno nam popierać podobnie karygodnego lekceważenia wszelkich obowiązków — zarówno obowiązków względem ludzi jak względem Boga.

Wielbny usiadł ponownie na swoim miejscu. Natychmiast wstał szwagier zmarłego głównego kierownika.

— Popieram moje poprzednie oświadczenie: proponowana suma jest niewystarczająca!

Pierwszy akcjonariusz przerwał mu:

— Oponuję przeciwko prawomocności wypłaty. W mojem pojęciu Zarząd nie ma prawa do wypłacenia tej sumy. Obecny tu jest radca prawny Towarzystwa; sądzę, że najwłaściwiej będzie zasięgnąć jego zdania.

Oczy wszystkich zwróciły się na Soamesa. Coś jednak się przytrafiło!

Soames wstał z zaciśniętymi wargami, chłodny i wyniosły. Nerwy jego były napięte, uwaga jego odwrócona została wreszcie od zgłębiania ciężkiej chmury, przytłaczającej jego umysł.

— Punkt ten — zaczął niskim, cienkim głosem — nie jest bynajmniej dostatecznie jasny. Wobec niemożności zyskania jednomyślnej co do niego zgody, pozostaje otwartą kwestja, czy wypłata jest ściśle uprawniona. O ile panowie będziecie uważali to za pożądane, należałoby pozostawić sprawę do rozstrzygnięcia sądowi...

Szwagier zmarłego głównego kierownika nasrożył się i oświadczył:

— Niewątpliwie należy zwrócić się do decyzji sądu. Czy wolno mi zapytać o nazwisko radcy prawnego, który łaskaw był udzielić nam tak cennej wskazówki?... Pan Soames Forsyte?!... Tak?!...

Patrzył wyzywająco z kolei na Soamesa i na starego Jolyona.

Blade zazwyczaj policzki Soamesa zabarwiła luna gorącego rumieńca, nie utracił wszelako ani na chwilę hardej miny. Stary Jolyon utkwiał przenikliwie wzrok w przemawiającym i powtórzył dobitnie:

— O ile szwagier zmarłego byłego kierownika nie ma nic więcej do powiedzenia, proponuję, aby sprawozdanie i rachunki zostały...

W tej samej chwili wszelako podniósł się jeden z owych pięciu milczących, tępych akcjonariuszów, wzbudzających sympatję Soamesa, i rzekł:

— Odrzucam z zasady całą tę propozycję!... Mamy dawać jałmużnę żonie i dzieciom, których egzystencja, jak panowie mówicie, zależała od pracy tego człowieka?! Może i tak było rzeczywiście. Mało mnie to jednak obchodzi. Oponuję przeciwko takiemu stawianiu kwestji. Czas już najwyższy zerwać z tym czułościowym humanitaryzmem. Marnuje on kraj cały. Nie zgadzam się, aby pieniądze moje szły na ludzi, o których nic mi nie wiadomo, którzy nic nie zrobili, aby na nie zasłużyć. Zakładam stanowcze veto; nie jest to handlowy sposób traktowania spraw. Stawiam wniosek odrzucenia raportu i rachunków w tym stanie i przerobienia ich przez wykreślenie będącego w mowie punktu.

Stary Jolyon pozostał w pozycji stojącej podczas przemówienia nieprzejechanego, milczącego zazwyczaj udziałowca, którego słowa żywym odezwwały się echem we wszystkich sercach, jako credo mocnego człowieka, wyraziela opozycji przeciwko wspaniałomyślnym popędom, poczynającej już w owym czasie budzić się wśród trzeźwiejszych członków społeczeństwa.

Określenie „to nie jest handlowy sposób traktowania interesu“ poruszyło nawet członków Zarządu. Każdy z nich czuł w głębi duszy, że zarzut ten jest słuszny. Zarazem jednak znali dobrze despotyzm przewodniczącego i jego nieugięty upór. I on także czuć musiał, że nie jest to handlowy sposób traktowania interesu; musiał jednak podtrzymywać własny wniosek. Czyżby miał zdecydować się na cofnięcie go? Niepodobna było przypuścić nic podobnego.

Wszyscy wyczekiwali z zaciekawieniem dalszego przebiegu dyskusji. Stary Jolyon podniósł rękę; oprawne w ciemny sztyldkret binokle, zwisające pomiędzy wska-

zującym i wielkim jego palcem, drgnęły lekko gestem ostrzegawczym.

— Pan — zwrócił się do energicznie oponującego akcjonariusza — któremu znane są tak dobrze wysiłki i poświęcenie, z jakimi zmarły główny kierownik ratował kopalnię podczas wybuchu, miałbyś na serjo żądać ode mnie sformułowania pańskiego wniosku?

— Żądam.

Stary Jolyon sformułował wniosek.

— Czy który z panów popiera go w tej formie? — zapytał, rozglądając się ze spokojem dokoła.

W tym momencie, Soames, rzuciwszy okiem na stryja, odczuł całą potęgę tkwiącej w starym człowieku siły woli. Nikt nie poruszył się. Przewodniczący, patrząc wprost w oczy niezłomnemu, milczącemu akcjonariuszowi, oświadczył:

— A teraz ja stawiam wniosek. — „Przyjęcia i uznania raportu i rachunków za rok 1886“. — Popieracie panowie ten wniosek? Ci, którzy są za nim, zechcą zaznaczyć to w zwykły sposób. Przeciwni mu — nie zaznaczają. Przyjęty. Następny z kolei punkt, panowie.

Soames uśmiechnął się. Stryj Jolyon ma swój specjalny sposób załatwiania spraw!

Wnet jednak powrócił myślą do Bosinney'a. Dziwne, jak ten chłopak zaprzęta całą jego uwagę, nawet podczas godzin urzędowych!

Obejrzenie domu przez Irenę — nie może ono mieć przecież żadnego znaczenia, to jedyne chyba, że powinna była powiedzieć mu o niem. Coprawda, nigdy mu o niczem nie mówi. Z każdym dniem staje się bardziej milcząca i drażliwa. Pragnął z całej duszy, aby dom był już jak najprędzej ukończony i aby mogli zamieszkać w nim zdala od Londynu. Miasto źle na nią wpływa; nerwy jej nie są dość silne. A to niedorzeczne

żądanie oddzielnego pokoju weszło znów na porządek dzienny!

Zebrań ogólnych dobiegało końca. Pod fotografią utraconego szybu wielebny Boms trzymał Hemmingsa za kłapę tuzurka. Mały pan Booker, którego najeżone brwi ściałał grymas gniewnego uśmiechu, miał jeszcze na rozstanie starcie z starym Scrubsolem. Nienawidzili się wzajem z całego serca. Poróżniła ich jakaś sprawa kontraktu na dostawę smarów, o którą mały Booker wystarał się dla swojego bratanka przez jednego z członków Zarządu, sprzątnąwszy ją w ten sposób z przed nosa staremu Scrubsole'owi. Soames słyszał o tem od Hemmingsa, lubiącego ploteczki, zwłaszcza dotyczące jego dyrektorów, z wyjątkiem, oczywiście, starego Jolyona, którego się bał.

Soames czekał na sposobność. Kiedy wreszcie ostatni akcjonariusz znikł w drzwiach wyjściowych, zbliżył się do stryja, wkładającego już kapelusz.

— Mogę pomówić na chwilę ze stryjem?

Trudno określić, czego spodziewał się Soames po tej rozmowie.

Niezależnie od mistycznej niejako czci, jaką Forsytowie otaczali naogół starego Jolyona z powodu filozoficznego jego umysłu, a może — jak powiedziałby niewątpliwie Hemmings — z racji jego podbródka, istniał zawsze i nie przestał istnieć pomiędzy bratankiem a stryjem pewien subtelny antagonizm. Przebłysk jego był widoczny w suchym sposobie ich wzajemnego witania się, przezierał z poza powściągliwych wzmianek jednego o drugim, mając źródło w liczeniu się starego Jolyona z niewzruszonym spokojem (nazywał go właściwie „uporem“) młodego człowieka, w tajonej na dnie duszy wątpliwości, czy potrafi przeprowadzić w stosunku do niego własną swoją wolę.

Obaj ci Forsytowie, tak różni wzajem pod wieloma względami, jak dwa przeciwległe bieguny, posiadali — każdy w odmienny swój sposób — w większym stopniu aniżeli reszta członków rodziny — zasadniczą zdolność uporczywego i przezornego przenikania „interesów“, stanowiącego najbardziej znamiennej cechą wielkiej ich klasy. Każdy z nich, gdyby miał po temu okazję i gdyby mu się poszczęściło, mógłby osiągnąć wybitną karierę; każdy z nich byłby się wyrobił na dobrego finansistę, na dostawcę w wielkim stylu, na męża stanu, mimo że stary Jolyon, wpadłszy w pewien właściwy sobie nastrój — pod wpływem dobrego cygara albo pięknego widoku — byłby zdolny nietyle może do sztychowania z własnego wysokiego stanowiska, ile do stawiania go pod znakiem zapytania, zaś Soames, który nigdy nie palił cygar, nie byłby się na to zdobył.

Poza tem tkwił stale w umyśle starego Jolyona ukryty cierń, że oto syn Jamesa — Jamesa, którego uważał zawsze za takiego niedołęgę — jest na drodze do zrobienia kariery, podczas kiedy własny jego syn...!

I wreszcie, co może najważniejsze — bowiem fale rodzinnych plotek obijały się o niego równie nieuniknienie, jak o każdego innego Forsyta — doszły do niego ponure, niewyraźne, mimo to mocno niepokojące słuchy o Bosinney'u i duma jego dotknięta była do żywego.

Znamiennym było wszelako rysem, że gniew jego obrócił się nie przeciwko Irenie, ale przeciwko Soamesowi. Myśl, że żona jego bratanka (dlaczego, idjota, nie dba o nią bardziej — o, szczególnie niesprawiedliwości! jakgdyby Soames był w stanie bardziej o nią dbać!) odciąga narzeczonego od Juny, była upokarzającą nie do zniesienia. W przeciwieństwie wszelako do Soamesa, dostrzegłszy niebezpieczeństwo, nie krył ze strachu przed nim głowy w piasek, ale trzeźwiejszem i szerszem swoim ogarnianiem spraw uznawał, że nie jest ono niemożli-

wością; Irena dziwny posiada czar; jest w niej coś szczególnie pociągającego!

Opuszczając w towarzystwie Soamesa salę obrad Zarządu, domyślał się tematu, jaki bratanek chce poruszyć w rozmowie z nim. Znalazłszy się na zgiełkliwej i ruchliwej Cheapside, szli przez czas jakiś w milczeniu. Soames zwykłym swoim nerwowym, drobnym krokiem, stary Jolyon wyprostowany, opierający się na parasolu, jak na lasce spacerowej.

Wreszcie skręcili w cichszą względnie ulicę, bowiem droga starego Jolyona, dążącego na zebranie innego Zarządu, prowadziła w kierunku ulicy Moorgate.

Soames, nie podnosząc oczu od ziemi, zaczął:

— Idzie mi o list, otrzymany od Bosinney'a. Widzi stryj, co on pisze; zdawało mi się, że powinienem zaawiadomić o tem stryja. Wydałem na budowę domu daleko więcej, aniżeli zamierzałem, chciałbym też postawić sprawę jasno.

Oczy starego Jolyona przebiegły z niechęcią treść listu.

— To, co pisze, jest aż nadto jasne — rzekł.

— Żąda „pozostawienia mu wolnej ręki“ — odparł Soames.

Stary Jolyon spojrział na niego. Długo powstrzymywana i tajona irytacja i antagonizm w stosunku do młodego człowieka, którego sprawy zaczęły niemile wkraczać w dziedzinę jego własnych, wybuchła otwarciem nazewnątrz.

— Jeżeli nie ufasz mu, po kiego licha powierzasz mu roboty?

Soames rzucił na stryja spojrzenie zpod łba.

— Zapóźno nad tem się zastanawiać. Chcę tylko mieć pewność, że, o ile pozostawię mu wolną rękę, mogę mieć pewność, czy nie nadużyje mojego zaufania. Gdyby stryj zechciał pomówić z nim, większe miałoby to znaczenie.

— Nie! — szorstko odciął się stary Jolyon. — Nie chcę mieć z tem nic wspólnego!

Słowa, wypowiedziane przez stryja i bratanka, zdawały się taić w sobie ukryte, znacznie poważniejsze znaczenie. Spojrzenie, jakie przytem zamienili z sobą, było jakgdyby ujawnieniem ich świadomości tego faktu.

— Ha, sądziłem — rzekł Soames — że ze względu na Junę powinienem powiedzieć stryjowi o tem. Wolałem, aby stryj wiedział że nie pozwolę na żadne głupstwa!

— A cóż to mnie obchodzi? — odparł stary Jolyon wyzywająco.

— O, nie wiem! — cofnął się Soames, zmieszany tonem stryja i niezdolny powiedzieć nic więcej.

— Nie powie stryj w każdym razie, że nie uprzedzałem go — dodał ponuro, odzyskując panowanie nad sobą.

— Że nie uprzedzałeś mnie?! — zawołał stary Jolyon. — Nie wiem, co masz na myśli. Zawracasz mi głowę jakimiś głupstwami. Nie chcę nic wiedzieć o twoich sprawach; sam dawaj sobie z nimi radę!

— Dobrze — odparł Soames nieporuszony — dam sobie sam radę!

— Do widzenia zatem!

Rozstali się.

Soames zawrócił i wszedłszy do słynnej pierwszorzędnej restauracji, zażądał podania mu wędzonego łososa i szklanki Chablis. Rzadko jadał cośkolwiek w środku dnia i zazwyczaj jadał na stojączkę, uważając, że ta pozycja dobrze robi mu na wątrobę, w gruncie rzeczy zupełnie zdrową, mimo że na jej karb chętnie składał wszystkie swoje niepokoje.

Po zjedzeniu otrzymanej porcji powrócił do swojego biura wolnym krokiem, ze spuszczoną głową, nie zwracając uwagi na otoczenie.

cając uwagi na rojące się na chodniku tysiące przechodniów, mijających go z równą obojętnością.

Poczta wieczorna przyniosła Bosinney'owi następującą odpowiedź:

Forsyte, Bustard i Forsyte
Biuro obrońców przysięgłych
2001 BRANCH LANE, Poultry, E. C.
17 maja 1887.

„Kochany panie Bosinney!

Otrzymałem pański list, którego treść wielce mnie zdziwiła. Miałem wrażenie, że pozostawiałem panu zawsze, przez cały czas od samego początku, „wolną rękę“, nie przypominam sobie bowiem, aby którakolwiek z propozycji, jakie niefortunnie pozwoliłem sobie poczynić, brana była przez pana pod uwagę. Zapewniając panu, zgodnie z życzeniem pańskim, ową „wolną rękę“, chciałbym jasno i wyraźnie ustalić, że całkowity koszt domu, oddanego mi w kompletnie ukończonym stanie, wraz z całym wykończeniem wewnętrznym, włączywszy w to również pańskie honorarium (w myśl naszego układu) nie może przekraczać 12,000 funtów. Daje to panu szerokie ramy i, jak panu wiadomo, znacznie przewyższa ustalony pierwotnie kosztorys.

Łączę wyrazy poważania, oddany

Soames Forsyte.“

Nazajutrz otrzymał notatkę od Bosinney'a:

Filip Baynes Bosinney
Architekt
309 D, Sloane-street, S. W.
18 maja.

„Kochany panie Forsyte!

Jeśli pan sądzi, że w tak subtelnej sprawie, jak wewnętrzne wykończenie domu mogę wyliczyć się ściśle co do funta, jest pan, sądzę, w błędzie. Widzę, że pan ma dość mnie i całego układu ze mną i dlatego lepiej zrobię, wycofując się.

Oddany

Filip Bosinney.“

Soames namyślał się długo i z wysiłkiem nad swoją odpowiedzią i późno w noc, kiedy Irena poszła już spać, ułożył ją w sposób następujący:

62 Montpellier Square, S. W.

19 maja 1887.

„Drogi panie Bosinney!

Sądzę, że w interesie nas obu byłoby niezmiernie niepożądanem pozostawienie sprawy w obecnym jej stadium. Słowa mojego listu nie znaczyły, że gdyby pan miał przekroczyć wymienioną przeze mnie sumę o dziesięć, dwadzieścia, a nawet pięćdziesiąt funtów, mogłoby to doprowadzić do jakiegokolwiek scysji pomiędzy nami. Wobec tego prosiłbym pana o zastanowienie się raz jeszcze nad ostateczną pańską odpowiedzią. Ma pan pozostawioną sobie, jak to stwierdza niniejsza nasza wymiana listów, „wolną rękę“ w warunkach, ustalonych w niniejszej korespondencji, mam nadzieję też, że uzna pan za możliwe dokończenie całkowitej dekoracji wewnętrznej, co do której wiem, że niepodobna wyliczyć się naprzód co do grosza.

Oddany

Soames Forsyte.“

Odpowiedź Bosinney'a, która nadeszła następnego dnia, brzmiała:

20 maja.

„Drogi panie Forsytle!

Zgoda.

F. Bosinney.“

ROZDZIAŁ VI

STARY JOLYON

W ZOOLOGICZNYM OGRODZIE

Stary Jolyon zatłwił się sumarycznie z drugim z rzędu posiedzeniem swoim — zwykłym zebraniem Zarządu. — Miał tak dyktatorski ton, że wzrastającym despotyzmem swoim w rozstrzyganiu spraw oburzył na siebie wszystkich kolegów z Zarządu, którzy oświadczyli jednogłośnie, iż nie myślą nadal tolerować podobnego ich traktowania.

Koleją Podziemną pojechał na stację Portland Road, skąd wziął dorożkę do Zoologicznego Ogrodu.

Miał wyznaczone tu spotkanie, jedno ze spotkań, wyznaczanych teraz przez niego coraz częściej, ile że parł go ku nim niepokój z powodu Juny i „zmiana wyraźna w niej“, jak to określał.

Unikała go i chudła w oczach; ilekroć zwracał się do niej, nie otrzymywał odpowiedzi, albo też odpowiedź szorstką, zbywającą go byle czem; czasem też wyglądała tak, jakgdyby miała za chwilę wybuchnąć płaczem. Stała się zupełnie inna niż przedtem, i wszystko to przez tego niegodziwca Bosinney'a. Przed dziadkiem jednak ani myślała zdradzić się czy wywnętrzyć jednym chociażby słówkiem!

Siedział też godzinami sam jeden, zamyślony z nieczytaną gazetą w rękach i zagasłym cygarem w ustach. A tak przywykł do stałego przebywania w towarzystwie wnuczki od czasu, kiedy trzyletnim była jeszcze bąkiem i zawsze trzymała się jego kolan! I tak bardzo ją kochał!

Potęgi, nieliczące się z względami rodzinnymi, klasowymi i obyczajowymi, okazały się silniejsze od opiekuńczej jego czujności; wypadki, wymykające się z pod jego kontroli, oskrzydlały ponurym cieniem starczą jego głowę. W piersi jego, jako człowieka, zwykłego przeprowadzać stale i we wszystkim swoją wolę, wrzał ogień buntu, sam nie wiedział przeciwko komu i przeciwko czemu.

Irytując się na powolność dorożkarskiej szkapę, dojechał wreszcie na miejsce, zdrowy wszelako jego instynkt podchwytywania dobrej strony każdego momentu i wykorzystywania go, kazał mu zapomnieć o irytacji z chwilą, kiedy zbliżył się na umówione miejsce spotkania.

Po kamiennych stopniach tarasu nad niedźwiedzią jamą schodził syn jego i dwoje wnucząt. Na widok starego Jolyona przyspieszyły dzieci kroku i po przywitaniu się z nim poprowadziły go ku klatce z lwami. Każde z nich uczepliło się z jednej strony dziadkowej ręki, a mały urwis Jolly, przewrotny jak niegdyś jego ojciec, uzbroił się w parasol dziadkowy, niosąc go w taki sposób, aby zaczepiać rączką o nogi przechodniów.

Za nimi szedł Jolyon-syn.

Istna komedja patrzeć na ojca, idącego w towarzystwie jego malców, ale komedja, wywołująca śmiech przez łzy. O każdej porze dnia widzieć można starego człowieka, któremu towarzyszy dwoje małych dzieci; jednakże widok starego Jolyona z Jolly i Holly wydawał się Jolyonowi juniorowi szczególnie drażniącym ujawnianiem nazewnątrz uczuć, tkwiących na dnie serc.

Oddanie się wyniosłej, starczej tej postaci bez zastrzeżeń w niewolę dwojgu maleństwom, uczepionym każde jednej jego ręki, budziło nazbyt bolesny sentyment, pod którego wpływem Jolyon-syn, człowiek, przywykły do refleksyjnego reagowania na zewnętrzne bodźce, zaklął przez zęby. Widok ten poruszał go w sposób nieprzystojący Forsytowi, od którego nic nie jest bardziej dalekiem niż zewnętrzne przejawy czułości.

Stanęli przy lwiej klatce.

Dnia tego odbyła się w Zoologicznym Ogrodzie poranna zabawa i liczni Forsytowie, to znaczy dobrze ubrani ludzie, mający własne powozy, przyjechali niemi do Zoologicznego Ogrodu, aby więcej jeszcze niż zwykle użyć za własne pieniądze przed powrotem do Rutland Gate czy Bryanstone Square.

— Jedźmy do Zoologicznego Ogrodu! — mówili sobie wzajem — dobrze się tam zabawimy!

Był to dzień, w którym wejście kosztowało szylinga, można więc było mieć pewność, że nie spotka się tam całego tego obrzydliwego motłochu.

Ustawieni rzędami przed długim szeregiem klatek, przyglądali się płowej drapieżnej zwierzynie, z utęsknieniem wyczekującej za żelaznymi prętami jedynego przyjemnego momentu w ciągu całych dwudziestu czterech godzin doby. Im bardziej wyglodzone jest zwierzę, tem większa uciecha dla widza. Czy jednak źródłem jej jest zazdrość obserwujących na widok apetytu dzikich bestyj, czy też bardziej ludzkie uczucie zadowolenia, że apetyt ten będzie rychło nasycony, nie umiał Jolyon-junior zdać sobie sprawy. Na lewo i na prawo słyszał uwagi:

— Jaki wstrętny ten tygrys!

— O, jakie rokoszne małe zwierzątko! Patrz na jego słodki pyszczek!

— Tak, naprawdę miłutki!

— Nie dochodź tak blisko, mamusiul!

Tu i ówdzie słyhać klaskanie w rączki, a potem znów sięganie do kieszzonek i wnet trwożne oglądanie się dokoła, jakgdyby w oczekiwaniu, że on właśnie, młodszy Jolyon, albo inna jaka dorosła, nieustraszenie wyglądająca osoba uwolni małego tchórza od zawartości jego kieszzonek.

Dobrze odżywiany jegomość w białej kamizelce wycedził zimno przez zęby:

— To tylko łakomstwo. Nie mogą być głodne. Nie używają przecież wcale ruchu.

W tym samym momencie jeden z tygrysów pochwycił kawał ociekającej krwią wątroby, co rozśmieszyło zażywnego jegomościa. Żona jego, w paryskiej sukni modelowej i złotych binoklach zgromiła go:

— Jak możesz się śmiać, Harry? Taki potworny widok!

Jolyon-młodszy zmarszczył czoło.

Warunki jego życia, mimo że przestał zbyt blisko brać je do serca, uczyniły go skłonny do sztydzenia zawsze i z wszystkiego; najbardziej też uspasabiała go do sarkazmu klasa ludzi, do której sam niegdyś należał — klasa powozowa.

Zamykanie lwa i tygrysa w ogrodzeniu klatki jest niewątpliwie potwornem barbarzyństwem, nikt jednak z ludzi kulturalnych nie chce tego przyznać.

Myśl, aby więzienie dzikich zwierząt w klatkach miało być barbarzyństwem, nie przyszła napewno nigdy do głowy jego ojcu naprzykład. Należał do starej szkoły, uważającej zarazem za czyn humanitarny i pedagogiczny zamykanie w klatkach panter i pawjanów. Wychodził przytem niewątpliwie z założenia, że czasem mogłyby te bestje być doprowadzone, nie bez racji, do rozbicia sobie z rozpaczliwej tęsknoty łbów o pręty klatek i narażenia społeczeństwa na wydatek sprowadzenia innych. W jego pojęciu, jak w pojęciu

wszystkich Forsytów, przyjemność oglądania pięknych tych stworzeń w stanie niewoli znacznie przeciąga szalę przykrości, jaką sprawia niewola dzikim bestjom, które Bóg tak nieopatrznie stworzył wolnemi! Działaniem dla dobra tych zwierząt jest zarazem usuwanie ich z drogi niezliczonych niebezpieczeństw, jakie na nie czyhają w warunkach swobodnego krążenia wśród otwartych obszarów i równocześnie umożliwianie im pełnienia należnych funkcji w bezpiecznem odosobnieniu własnego locum! Czyż poco innego właściwie stworzone zostały dzikie zwierzęta, jak nie po to, aby być zamykanemi w klatkach?!

Młodszy Jolyon miał jednak w naturze swojej zadatki bezstronności, przyszło mu też na myśl, że potępienie, jako barbarzyństwa, tego, co jest jeno brakiem wyobraźni, jest niesłuszne; żaden bowiem z tych, którzy żywią taki pogląd, nie znalazł się nigdy w sytuacji podobnej do położenia zwierząt zamykanych przez nich w klatkach, niemożna zatem żądać od nich wczucia się w ich duszę.

Dopiero w chwili wychodzenia z Ogrodu — Jolly i Holly w stanie szczęśliwego upojenia — znalazł ojciec Jolyon sposobność pomówienia z synem o ciążycej mu na sercu sprawie.

— Nie wiem, co z nią począć — rzekł — jeżeli tak dalej pójdzie jak dotychczas, trudno przewidzieć, co się z nią może stać. Chciałem, żeby poradziła się doktora, ale nie pozwala mówić nawet o tem. Ani trochę nie jest podobna do mnie. Kubek w kubek jak twoja matka. Uparta jak kozioł. Jak się zaważmie na coś, niczem nie wybijesz jej tego z głowy. Ani rusz!

Jolyon młodszy uśmiechnął się; oczy jego spoczęły na podbródku ojca.

— Jak dwie krople wody podobna do ciebie — pomyślał, nic jednak nie powiedział.

— Prócz tego — mówił dalej stary Jolyon — musimy się załatwić z Bosinney'em. Miałbym ochotę wypoliczkować tego łotra, ale myślę, że nie moja to rzecz. Dlaczego jednak nie miałbyś ty tego się podjąć — dodał nieco niepewnie.

— Czemuż on zawinił? Daleko lepiej, żeby nic się z tego nie zrobiło, jeżeli nie mogą się z sobą zgodzić.

Stary Jolyon spojrział na syna. Teraz, kiedy doszło między nimi do dyskusji w sprawie wzajemnych stosunków obu płci, czuł, że nie dojdą do porozumienia. Jo wyrazi niewątpliwie bardzo swobodny pogląd na ten temat.

— No, mój drogi, nie wiem, co ty o tem myślisz — rzekł — kto wie nawet, czy sympatje twoje nie są po jego stronie — nie dziwiłoby mnie to wcale; podług mnie jednak, postąpił on ohydnie i jeżeli nawinie mi się pod rękę, powiem mu bez ogródek, jak się na to zapatruję.

Nie dodał więcej nic.

Niepodobieństwem było dyskutować z synem o właściwej istocie i znaczeniu popełnionej przez Bosinney'a zdrady. Czy syn jego nie zrobił tego samego (bodaj gorszego jeszcze, jeżeli możliwe) przed piętnastu laty? Wyniki tego kroku obłądnego zdawały się nie mieć wcale końca!

Jolyon młodszy milczał również; przejrzał odrazu treść rozważań ojca, zdetronizowany bowiem z wyniosłego stanowiska wyraźnego i nieskomplikowanego światopoglądu, stał się zarazem domyślnym i subtelnym.

Stosunek jego z przed piętnastu lat do spraw seksualnych różnił się wszelako wielce od stosunku do nich jego ojca. Niemożliwością było przerwienie pomiędzy nimi obydwoma mostu zgody na ten temat.

— Musiał widocznie zakochać się w innej kobiecie? — zauważył chłodno.

Stary Jolyon spojrział na niego podejrzliwie.

— Nie wiem — rzekł — tak mówią.

— W takim razie musi tak prawdopodobnie być — rzucił niespodzianie Jolyon-syn. — Przypuszczam też, że powiedziano ci, kto ona?

— Tak. Żona Soamesa.

Jolyon-syn nie odpowiedział zwykłym swoim gwizdnięciem. Warunki własnego jego życia uniemożliwiły mu gwizdanie na takie rzeczy, spojrział więc tylko na ojca i słaby cień uśmiechu ożywił jego twarz.

Jeżeli nawet stary Jolyon spostrzegł ten uśmiech, nie zrobił synowi żadnej z jego powodu uwagi.

— Ona i Juna były przyjaciółkami od serca! — mruknął tylko.

— Biedna mała Juna! — szepnął Jolyon-syn miękko. Myśląc o swojej córce, widział ją zawsze trzyletnim maleństwem.

Stary Jolyon sprężył się nagle.

— Nie wierzę w całe te gadaniny! Babskie plotki i nic więcej! Sprowadź mi dorożkę, Jo; śmiertelnie jestem zmęczony.

Stanęli na rogu w oczekiwaniu przejazdu wolnej dorożki, ale powóz po powozie przemykał przed nimi, uwożąc wszelkiego gatunku Forsytów z Zoologicznego Ogrodu do ich domów. Uprzeże, liberje, lśniące sierść końska jaśniały i połyskiwały w promieniach majowego słońca i każdy pojazd, lando, kareta, otwarty powóz czy wolant zdawał się unosić dumnie z ponad kół.

„Ja, i moje konie, i służba moja też,
I cały ten zaprząg kosztują mnie moc,
Warta rama obrazu, trzeba przyznać mi to!
Patrz na pana i panią, jak rozparci
W nim są!... Tak wyglądać należy, tak
Zdobywa się świat!...“

Tak istotnie, jak każdemu wiadomo, powinien wyglądać zaprzęg, godny używającego przejażdżki Forsyta!

Wpółśród tych pojazdów wspaniale otwarte lando, zaprzężone w parę rosłych gniadoszów, pędzących bardziej wyciągniętym niż inne klusem, kołysało się na wysokich swoich resorach, wprawiając cztery siedzące w nim osoby w nieustanny ruch wahadłowy.

Jolyon-młodszy zwrócił uwagę na powóz i nagle na tylnem jego siedzeniu rozpoznał stryja swojego, Jamesa, zawsze jednakiego pomimo coraz bardziej srebrzącej się siwizny jego bokobrodów. Przednie dwa miejsca, ochraniając parasolkami plecy swoje od słońca, zajmowały: Rachel Forsyte i jej, starsza, zameżna siostra, Winifreda Dartie, obie w nieskazitelnych tualetach, dumnie wyprostowane, trzymające wyniośle głowy do góry, niczem owe dwa ptaki, podziwiane przez nie przed chwilą w Zoologicznym Ogrodzie. Obok Jamesa siedział Dartie w nowiuteńkim z igły, zapiętym na wszystkie guziki surducie, z szeroko wystającą z pod rękawów niepokalanie śnieżną bielą mankietów.

Bardziej olśniewający, mimo że z umysłu powściągliwie przyćmiewany połysk, dodatkowa warstwa najlepszego lakieru czy błyszczu cechowały zaprzęg ten, zdając się wyróżniać go z pośród wszystkich innych, jakgdyby szczęśliwym dla jego posiadacza trafem — w sposób odróżniający „prawdziwe dzieło sztuki“ od przeciętnego obrazu — służyć on miał jako właściwy typ pojazdu, za wzór prawdziwego, godnego Forsytów tronu.

Stary Jolyon nie uchwycił momentu przemknięcia go: pieścił biedną małą Holly, bardzo już zmęczoną, natomiast, siedzący w powozie zauważyli odrazu małą grupkę; głowy pań zwarły się wzajem w nagłym ruchu; nastąpiło skurczowe ściągnięcie parasolek, i tylko twarz Jamesa wysunęła się z pod nich naiwnie, niby głowa dłu-

giego ptaka z otwartemi szeroko naksztalt dzioba ustami. Tarcze parasolek malały wciaż i kurczyły się, aż wreszcie całkiem znikły wodдали.

Jolyon mlodszy widział, że został poznany, nawet przez Winifrydę, niemogącą mieć więcej niż piętnaście lat w owym momencie, kiedy utracił nazawsze prawo do uznawania go za Forsyta.

Oni przez cały czas niewiele się zmienili! Zapamiętał dobrze ich wygląd z przed tylu lat, cały ich sposób występowania publicznie. Konie, służba, powóz — wszystko to inne jest teraz niewątpliwie, zupełnie jednak tego samego rodzaju, co wówczas; ta sama wymuskana dokładność, ten sam ściśle obmyślony, wyzywający ruch każdy, tchnący niezachwianą pewnością siebie! Ta sama w każdym calu poza, ten sam ruch parasolek, niezmiennie ten sam duch, nieodłączny od każdej rzeczy.

W jasnych promieniach słońca, od którego chroniły siedzących wyniosłe tarcze parasolek, przemykały pojazdy jeden za drugim.

— Przejechał w tej chwili stryj James ze swoim fraucymerem — zakomunikował ojcu mlody Jolyon.

Ojciec jego odwrócił się.

— Czy stryj widział nas? Tak?... Hm... Czego ten tu szukał w tych stronach?

W tej samej chwili nadjechała wolna dorożka i stary Jolyon zatrzymał ją.

— Zobaczmy się niezadlugo, mój chłopcze! — zawołał. — Nie zwracaj uwagi na to, co ci mówiłem o Bosinney'u. — Nie wierzę w całą tę gadaninę!

Uściskawszy usilujące go zatrzymać dzieci, wsiadł do dorożki i pojechał.

Jolyon-syn, wzięwszy małą Holly na ręce, stał przez chwilę nieporuszenie na rogu, śledząc wzrokiem odjeżdżającą dorożkę.

ROZDZIAŁ VII

POPOŁUDNIOWE ZEBRANIE U TYMA

Gdyby stary Jolyon, wsiadając do dorożki, wyraził się: — „Nie chcę wierzyć w całą tę gadaninę!“ — byłby wierniej daleko oddał swoje uczucia.

Wiadomość, że James i jego kobiety widzieli go w towarzystwie syna, wzbudziła w nim nietylko odruch niezadowolenia, jakiego doświadczał zawsze, ilekroć ktoś śmiał pokrzyżować jego plany, ale podnieciła zarazem utajoną w jego sercu, odwzajemnianą zresztą, wrogość w stosunku do brata. Wrogość naturalną, zrodzoną z drobnego jakiegoś współzawodnictwa w okresie wspólnego ich dzieciństwa, tak często pogłębiającą się i zaostrzającą w miarę upływających lat i, mimo że starannie ukrywaną, skrętnie zarazem hodującą nasienie, zdolne wydać jak najbardziej gorzkie owoce.

Dotychczas nie istniało pomiędzy wszystkimi sześcioma braćmi wyraźniejsze uczucie wzajemnej nieprzyjaźni poza tem jedynie, jakie powodowała tajemna, zrozumiała wzajemna ich podejrzliwość, czy aby który z nich nie jest bogatszy od innych. W miarę zbliżającej się śmierci — jako końca wszelkich trudności i przeszkód życiowych — urastała podejrzliwość ta do szczytu zaciekawienia. Ztąd też pilne szukanie okazji „zblizenia się“ do wspólnego ich notariusza, który nader przezornie zapewniał Mikołaja, iż nie ma pojęcia o wysokości dochodów Jamesa; to samo mówił Jamesowi o sprawach starego Jolyona; Jolyonowi o Rogerze, a Rogerowi o Swithinie, którego, natomiast, w sposób wielce drażniący wtajemniczał, że Mikołaj musi być bogatym człowiekiem. Jedynie Tym wykluczony był z obrębu tych dociekań, ile że majątek jego ulokowany był w nieulegających wątpliwości wartościach.

Teraz wszelako pomiędzy dwoma z nich przynajmniej

powstało zadrażnienie na zupełnie osobliwym tle. Od chwili kiedy James ośmielił się wtrącić do intymnych spraw starego Jolyona — tak przynajmniej wytłumaczył on sobie to — skończyła się jego wiara w całą tę historję z Bosinney'em. Jakto?! Jego wnuczka miałaby być porzucona z winy osoby, należącej do rodziny „tego chłopaka?“ Przekonany był już teraz, że Bosinney niesłusznie został oczerniony. Musi istnieć inny jakiś powód jego niewierności.

Juna musiała poróżnić się z nim o coś; stała się tak niemożliwie drażliwa!

Pojedzie do Tyma i powie im tam, co myśli o tem wszystkim. Niech jeszcze próbują powtarzać niedorzeczne swoje brednie! Pojedzie natychmiast, nie zwlekając; jego już będzie rzeczą, żeby nie miał potrzeby powtarzania swojej wizyty w tej sprawie!

Przed „Altaną“ Tyma stał, zagradzając przejazd, powóz Jamesa. Aha! Wyprzedzili go! Zdażyli już napłotkować w czyjem widzieli go towarzystwie. Za powozem Jamesa siwki Swithina zwracały łby ku łbom Jamesowych gniadoszów, jakgdyby gwarząc wspólnie o sprawach familijnych; to samo również czynili stangreci na swoich kozłach.

Stary Jolyon, złożywszy swój kapelusz na tym samym stołku, na którym ongi przyjęty był kapelusz Bosinney'a za wylegującego się tu burego kota, przesunął chudą dłoń po twarzy swojej ze zwisającymi długimi siwymi wąsami, jakgdyby chcąc gestem tym usunąć z niej wszelki ślad podniecenia, i potem dopiero udał się na górę.

Salon frontowy zapelniony był. Zawsze, w najlepszych chwilach bywał on pelen, nawet bez obcych gości, bowiem Tym i jego siostry, wierni rodzinnym tradycjom ich pokolenia, uważali pokój za „nieprzytulny“, o ile nie był „odpowiednio“ umeblowany. Mieścił on wskutek

tęgo: jedenaście foteli, kanapę, trzy stoły, dwie sekretery, niezliczone drobiazgi oraz wielki fortepian. W danym momencie, kiedy znajdowali się w nim: pani Small, ciotka Estera, Swithin, James, Rachela, Winifreda, Eufemja, która przyszła, aby zwrócić „Namiętność i ukojenie“, połknięte przez nią przy lunchu i jej towarzyszka, Franusia, córka Rogera (muzykalna Forsytka, kompozytorka pieśni) pozostał jeden tylko fotel niezajęty — z wyjątkiem, oczywiście, dwu, na których nigdy nikt nie siadał — zaś jedyne wolne miejsce do stania zajęte było przez kota, którego spędził stary Jolyon.

W owym czasie nie było bynajmniej rzeczą niezwykłą zebranie się w domu Tyma tak licznych gości. Rodzina, wszyscy jej członkowie i każdy z osobna, żywiła rzetelny szacunek dla ciotki Anny, teraz też, kiedy jej już nie stało, bywano częściej w „Altanie“ i pozostawano tam dłużej.

Swithin przybył pierwszy i, rozsiadłszy się nieruchomo na czerwonym atlasowym fotelu ze złoconym grzbietem, sprawiał wrażenie człowieka, który przetrwa wszystkich innych. Jakgdyby żywy symbol trafnie nadanej mu przez Bosinney'a nazwy „ten gruby“, jego masywna postać, jego gęste siwe włosy i nadęta, nieruchoma, wygolona twarz nadawały rozpartemu na miękko wysłanem siedzeniu wygląd bardziej imponujący i zarazem bardziej pierwotny niż kiedykolwiek.

Rozmowę, jak to weszło u niego ostatnio w zwyczaj, skierował z miejsca na Irenę, wyrażając wobec ciotek Estery i Juli opinię swoją w związku z krążącymi, jak do niego doszło, wieściami.

— Nie — oświadczył — lubi może trochę poflirtować, ładna kobieta musi mieć zawsze dokoła siebie fatygantów, poza tem jednak — pewien jest — niema w tem wszystkim absolutnie nic. Nic jawnego przynajmniej. Zbyt rozsądna jest i zbyt dobrze zdaje sobie sprawę

z tego, co winna jest swojemu stanowisku i rodzinie, do której weszła! Niema mowy o żadnym sk...

Chciał powiedzieć „skandalu“, sama jednak myśl o tem była tak przerażająca, że machnął tylko na zakończenie ręką, jakgdyby chcąc dać do zrozumienia, że należy „dać temu przebrzmieć i przeminać“.

Przypuściwszy nawet, że Swithin miał pogląd człowieka nieznanego na te sprawy, czy jednak nie ma się w rzeczy samej obowiązków dla rodziny, której tylu członków poszło tak godną drogą, zdobyło tak wybitne stanowiska? Jeżeli nawet w ponurych, pesymistycznych momentach odzywały się w jego pamięci określenia: „chłopstwo“, „bardzo niskie pochodzenie“ w związku z pierwocinami ich rodu, czy mógł w to naprawdę wierzyć?

Niel! W głębi własnego serca pieścił zywioną tajemnie wiarę, że przodkowie jego musieli mieć w sobie szczególną jakąś dystynkcję, cechującą cały ród.

— Musi tak być niewątpliwie — wyraził się niegdyś w rozmowie z Jolyonem juniorem, zanim chłopak wszedł na złą drogę. — Doszliśmy do czegoś, widzisz sam! Musi jednak krążyć w nas szlachetna krew!

Lubił młodego Jolyona: chłopiec był w odpowiednim otoczeniu w kolegjum, znał się z synami „tego starego łotra“, sir Charles'a Fiscal'a — jeden z nich wyszedł także na porządnego nicponia! — miał w sobie pewną wytworność; jaka niesłychana szkoda, że uciekł z tą obcą dziewczyną — guwernantką w dodatku! Jeżeli już miał się zadurzyć i stracić w ten sposób głowę, niechby przynajmniej wybrał kogoś takiego, kogo rodzina nie miałaby potrzeby się wstydić! A tak, na czem się cała ta historia skończyła? Niższy pisarczyk w biurach Lloyda; mówią nawet, że maluje obrazy! Obrazy! Do licha! Człowiek, który mógł dojść do tytułu „Sir Jolyona

Forsyte'a, radcy prawnego“, zdobyć miejsce w Parlamencie i stanowisko w kraju!

Zamiast niego Swithin sam, ulegając popędowi, który wcześniej czy później przec musi w tym kierunku członka każdego wybitnego rodu, udał się do biura heraldycznego, gdzie zapewniono go, że musi niewątpliwie pochodzić z tego samego pnia, co znani powszechnie Forsitowie — piszący się przez „i“, oraz pieczętujący się herbem „trzy prawe klamry na sobolowem szkarłatnem polu“, do którego — wyrażali nieplonną nadzieję — i jemu przysługiwać winnoby prawo.

Swithin nie przyswoił go sobie jeszcze, stwierdziwszy wszelako, że górną ozdobę herbu stanowi jako zakończenie „bażant w naturalnych barwach“ oraz motto „dla Forsite'a“, kazał namalować „bażanta w naturalnych barwach“ na drzwiczkach swojej karety, a także umieścić go na guzikach liberyjnych swojego stangreta i wreszcie, zarówno zakończenie herbu jak motto, na swoim papierze listowym. Myśl o właściwych oznakach herbowych pieścił w skrytości ducha jedynie, po części dlatego, że, nie zapłaciwszy za nie, uważał za niewłaściwe popisywanie się nimi na drzwiczkach karety, nienawidził zaś popisowania się, po części też dlatego, że, jak każdy człowiek praktyczny, żywił tajoną niechęć i pogardę dla rzeczy, których nie mógł zrozumieć — a trudno mu było, jak niewątpliwie każdemu innemu, zgryźć znaczenie tych „trzech prawych klamer na sobolowem szkarłatnem polu“.

Nigdy wszelako nie zapomniał o tem, co mu powiedziano, że o ile zapłaciłby za nie, miałby prawo do ich używania, i przeświadczenie to utrwaliło jego wiarę w szlacheckie pochodzenie własnego rodu. Nieznacznie też przejęła od niego reszta rodziny „bażanta w naturalnych barwach“, a nawet niektórzy, poważniej biorący rzeczy niż inni, przejęli i motto również; stary Jolyon

wszakże nie chciał używać tego ostatniego, nazywając je błagą — pustym w jego pojęciu dźwiękiem bez znaczenia.

Starszym członkom rodziny nietajnym może było, jakiemu wielkiemu wydarzeniu historycznemu mają do zawdzięczenia owo, przejęte przez nich, zakończenie herbu; o ile też przyciskano ich do muru w sprawie jego pochodzenia, zamiast wykręcać się kłamstwem — nie lubili kłamać, uważając, że kłamią tylko Francuzi i Rosjanie — przyznawali półgębkiem, że wykopał je skądś Swithin.

Młodsza generacja zachowywała dyskretnie w tej sprawie milczenie. Nie chciała ani ranić uczuć starszych członków rodziny, ani też ośmieszać siebie samą; używała więc poprostu herbu bez żadnych komentarzy...

— Nie — oświadczył Swithin — miałem okazję przyjęcia się temu osobiście, muszę też powiedzieć, że w jej zachowaniu się względem tego młodego Pirata, Bosinney'a, czy jak go tam nazywają, nie było nic odmiennego, aniżeli w jej zachowaniu się w stosunku do mnie; raczej, mógłbym powiedzieć...

Ale w tym momencie wejście Franusi i Eufemji niefortunnie przerwało zajmującą rozmowę, nie był to bowiem temat, nadający się do dyskusowania w obecności młodych panien.

Jakkolwiek też Swithin z przykrością urwał rozmowę w chwili, kiedy miał powiedzieć coś ważnego, rychło jednak odzyskał przyjazny swój nastrój. Lubił Frankę, jak ją nazywano w rodzinie. Wyglądała tak elegancko, w dodatku słyszał, że komponowanemi przez siebie pieśniami wcale przyzwoicie zarabia „na szpilki“; uważał to za wielce rozumne z jej strony.

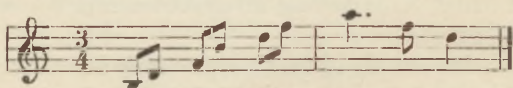
Dumny też był poniekąd z wyrozumiałego stosunku swojego do kobiet, nie widział bowiem powodu odmawiania im prawa malowania obrazów, czy kompono-

wania melodyj, a nawet pisania książek, o ile mogą czerpać z tego zajęcia korzyści materialne. Nie miał nic przeciwko temu — chroni to je od złego. Nie jest też bynajmniej wkraczaniem w atrybucje mężczyzn!

„Mała Franka“, jak ją zazwyczaj nazywano z życzliwą pogardą, była ważną osobistością, chociażby jako stała ilustracja stosunku Forsytów do Sztuki. Nie była wcale „mała“, ale raczej wysoka, z dziwnie ciemnymi, jak na Forsytównę, włosami, które wraz z szaremi jej oczami nadawały jej tak zwany „celtycki wygląd“. Komponowała pieśni, nadając im tytuły w rodzaju „Ciche westchnienia“ albo „Ucałuj mnie, matko, zanim umrę“; której refren brzmiał niby hymn:

Ucałuj mnie, matko, zanim umrę;
Ucałuj, ach, ucałuj mnie, matko!
Ucałuj mnie, zanim umrę, o, matko...
Ucałuj mnie, matko, zanim u... mrę...!“

Sama też pisała słowa do tych pieśni, a także całe poematy. W chwilach lżejszego nastroju komponowała walce, z których jeden „Odgłosy Kensingtonu“ przyjął się prawie jako narodowy w Kensingtonie, tyle w nim było chwytającej za serce słodyczy. Brzmiał tak mniej więcej:



Był bardzo oryginalny. Poza tem była autorką „Pieśni dla małych dzieci“, zarazem dowcipnych i pedagogicznych, zwłaszcza „Babcina rybka“, a także owa, natchniona, prorocznie nieledwie, przyszłym duchem imperjalistycznym i nosząca tytuł: „Podczernij mu oczko“.

Wydawcy rozchwytywali je, a miesięczniki jak „Wytworny świat“, albo „Przewodnik eleganckich pań“ wyrażały się z entuzjazmem o „Nowej piosence panny

Franciszki Forsytówny, zarazem tak pełnej rzetelnego humoru i głębi uczucia. Nas samych pobudziła ona do wesołego śmiechu i do uronienia szczerzej łzy wzruszenia. Panna Forsytówna ma niewątpliwie świetną przed sobą przyszłość.“

Wiedziona niezawodnym instynktem swojego rodu narzuciła sobie „Franka“ nakaz szukania towarzystwa właściwych ludzi — ludzi, którzy będą pisali o niej, i będą mówili o niej, ludzi, należących do lepszego towarzystwa, naturalnie — przyczem nie zapominała nigdy, gdzie, kiedy, jak i kogo podbijać swojemi wdziękami, stale mając na względzie wciąż wzrastający poziom cen, co w jej oczach zapewniało jej przyszłość. W ten sposób zdołała zdobyć powszechny szacunek.

W pewnym okresie, kiedy jej zdolność odczuwania spotęgowało prawdziwe przywiązanie — istota życia Rogera z jego namiętnością do kolekcjonowania własności nieruchomej znalazła oddźwięk w skłonności jedynej jego córki do namiętnych uczuć — zabrała się do poważnej pracy, obierając formę sonaty na skrzypce. Była to jedna jedyna z jej kompozycji, która zaniepokoiła Forsytów. Wyczuli odrazu, że nie będzie ona towarem rynkowym.

Roger, któremu sprawiało przyjemność posiadanie utalentowanej córki i który chętnie wspominał o znacznej sumie kieszonkowych pieniędzy, jakie udawało jej się zarabiać własną pracą, zgnębiony był tą sonatą skrzypcową.

— Marnota! — tak określił utwór. Franka zagarnęła od Eufemji młodego Flageoletti'ego, aby zagrał jej sonatę w salonach Prince's Gardens.

W gruncie rzeczy miał Roger słuszność. Była to istotnie marnota — nudny rodzaj utworu, który napewno nie znajdzie wydawcy. Jak wiadomo każdemu

Forsytowi, marnota, która znajduje pokupność, nie jest bynajmniej marnotą, wprost przeciwnie.

A jednak, bez względu na kryterjum zdrowego rozsądku, ustalające wartość dzieła sztuki zależnie od tego co ono przynosi, nie mogła, wyróżniająca się zawsze muzykalnością, ciotka Hester oprzeć się uczuciu żalu, że muzyka Franki nie jest „klasyczną“, tak samo zresztą, jak i jej poematy. Coprawda, jak mawiała, nie spotyka się człowiek już dzisiaj z prawdziwą poezją; wszystkie te obecne poematy są „lekkimi drobiazgami“ jeno. Niema już ludzi, zdolnych do napisania takiego „Raju utraconego“ albo „Childe Harolda“, a przecież, po przeczytaniu każdego z tych utworów czuje się, że się przeczytało rzecz godną nazwy poezji. Mimo to, bardzo dobrze, że Franka znalazła coś, co wypełnia jej umysł i daje jej zajęcie, podczas kiedy inne dziewczęta biegają tylko po sklepach, wydając niepotrzebnie pieniądze. Obie ciotki, Julia i Hester, zawsze gotowe też były słuchać najnowszego opowiadania o uzyskaniu przez Frankę wyższego honorarjum.

Słuchały tego i teraz wraz z Swithinem, udającym, że nie zwraca na nie uwagi, młode dziewczyny paplały bowiem tak prędko i tak łykały wyrazy, że nie mógł nigdy uchwycić treści ich opowiadań.

— Nie mogą sobie wyobrazić — rzekła pani Septymusowa — jak ty to robisz. Nie odważyłabym się nigdy! Franusia uśmiechnęła się.

— Wolę zawsze mieć do czynienia z mężczyzną niż z kobietą. Kobiety takie są przenikliwe!

— O, moja droga — żywo zaprzeczyła pani Small — ja napewno nie jestem przenikliwa!

Eufemja wybuchnęła zwykłym swoim śmiechem, zrazu cichym, potem przechodzącym w pisk, jakgdyby ją ktoś dusił.

— O, doprowadzi mnie kiedyś ciotuchna do śmierci! Napewno!

Swithin nie widział powodu do śmiechu; nie znosił ludzi śmiejących się z rzeczy, w których on sam nie mógł dopatrzeć się dowcipu. Niecierpiał wogóle Eufemji, o której mówił zawsze, jako o „córce Mikołaja — jak ona się nazywa — ta blada?” — Omal że nie został jej ojcem chrzestnym — byłby w istocie stał się nim, gdyby nie przeciwstawił się energicznie jej cudzoziemskiemu imieniu. — Nie znosił roli chrzestnego ojca.

Otóż Swithin przeciał tę rozmowę z wielką godnością, zwracając się do Franki z uwagą:

— Piękny dzisiaj dzień... hm... o tej porze roku.

Ale Eufemja, której dobrze było wiadomo, że stryj Swithin odmówił zaszczytu trzymania jej do chrztu, odwróciła się do ciotki Hester i zaczęła opowiadać jej o spotkaniu kochanej Irki — pani Soamesowej — w Handlowo-kościelnych Składach.

— A Soames był z nią także? — zapytała ciotka Hester, której pani Smallowa nie miała jeszcze okazji opowiedzieć o tym incydencie.

— Soames z nią?!... Oczywiście, że nie!

— Jakto?! Była więc sama w Londynie?

O, nie! Była w towarzystwie pana Bosinney'a. Była prześlicznie ubrana.

Swithin, usłyszawszy imię Ireny, surowo spojrzał na Eufemję, która, przyznać to należy, nie wyglądała nigdy dobrze w strojnych tualetach, niezależnie od tego, że jej się to nie udawało i w innych okazjach.

— Ubrana była jak elegancka dama; nie wątpię — rzekł. — Miło jest spojrzeć na nią.

W tej samej chwili oznajmiono przybycie Jamesa i jego córek. Dartie, któremu zaschło w gardle, czuł, że nie wytrzyma bez przepłukania go sobie, zmyślił tedy zamówioną godzinę u dentysty, wskutek czego wysiadł z familijnego powozu przy Marmurowym Łuku, gdzie

wskoczył do przejeżdżającej dorożki i w kilka minut później siedział w oknie swojego klubu na Piccadilly.

Żona, jak wyjaśnił swoim koleżkom, chciała zabrać go z sobą na wizyty. Nie lubi takich przyjemności — wykręcił się.

Zawoławszy garsona, posłał go do hallu, aby dowiedział się, kto wziął wyścig o 4.30. Zmęczony jest jak pies — oznajmił — i to była prawda; całe popołudnie objeżdżał z żoną rozmaite widowiska. Zbuntował się wreszcie. Trzeba przecież dać człowiekowi wytchnąć.

W tej samej chwili, zerknąwszy okiem przez okno — lubił miejsce we wnęce okiennej, bo mógł widzieć ztąd wszystkich przechodzących — spostrzegł nieszczęśliwym, czy może szczęśliwym, trafem Soamesa, sunącego środkiem drogi od strony Zielonego Parku z widocznym zamiarem wstąpienia do klubu, bowiem i on także był członkiem „Iseeum“.

Na ten widok zerwał się Dartie na równe nogi, wychylił duszkiem zawartość podanej mu szklanki, mruknął coś o „tym wyścigu o 4.30“ i wycofał się szybko do pokoju karcianego, do którego Soames nigdy nie wchodził. Tutaj, w zupełnem odosobnieniu, przy świetle nieco przyćmionem, mógł dowoli oddawać się marzeniom aż do wpół do ósmej, wiedział bowiem z doświadczenia, że o tej godzinie Soames musiał już wyjść z klubu.

Zbyt ryzykowne byłoby — nie przestawał powtarzać sobie, ilekroć brała go nieodparta chęćka przyłączenia się do grupy gawędzących we wnęce okiennej, stanowczo byłoby zbyt ryzykownem przy kiepskim stanie jego finansów i nieprzystępności starego (Jamesa) od czasu owej afery z akcjami naftowemi, w czem przecież nie było zupełnie jego winy — narazić się na awanturę z Winifredą.

Gdyby Soames zobaczył go w klubie, napewno doszłoby do jej uszu, że nie był wcale u dentysty. Nie znał

rodziny, w której w takim stopniu wszystko dochodziłoby do uszu wszystkich. Zły i niespokojny, wśród stołów, pokrytych zielonem suknem, z marszem na śniadej twarzy, ze skrzyżowanymi nogami w kratkowanych spodniach i lakierkach, lśniących na tle mroku, siedział, ogryzając wskazujący palec i myśląc skąd u licha wytrzasnie pieniądze, jeżeli Erotic nie wygra nagrody Lanca-shirskiej.

Myśli jego krążyły ponuro dokoła Forsytów. Cóż za rodzina! Niepodobna nic z nich wydusić a jeżeli nawet, to z największym wysiłkiem. Djabło nieprzystępni w sprawach pieniężnych; ani jednego sportsmiana wśród całej tej hałastry — chyba że jedyny George. Ot i ten Soames chociażby, szlag napewno trafiłby go, żeby go tak kto chciał naciągnąć na pożyczanie marnych dziesięciu funtów. Spojrzałby na człowieka z takim przekłęciem hardym uśmiechem, jakgdyby się było zatraconą duszą dlatego tylko, że się potrzebuje przypadkiem pieniędzy.

A ta jego żona! (Na jej wspomnienie ślinka pocięła z ust Darti'ego.) Próbował zaprzyjaźnić się z nią, co przecież naturalne jest wobec takiej ładnej bratowej, niech go jednak djabli porwą, jeżeli ta... (użył w myśli bardzo mocnego wyrazu) dała mu jedno chociażby dobre słowo. — Patrzy na niego, jakgdyby był powietrzem — a jednak dałby sobie głowę uciąć, że nie jest wcale taka święta. Zna się na kobietach; nie nadarmo stworzyła je natura z takimi kuszącymi ślepiami i takimi kształtami. Tylko patrzeć, jak ten głupiec Soames przekona się o tem na własnej skórze, jeżeli to prawda, co słyszał o tym gagatku, Piracie.

Wstał z krzesła i przeszedł się po pokoju, zatrzymując się przed lustrem nad marmurowym kominkiem i spędzając tu dłuższą chwilę na przypatrywaniu się własnej twarzy. Wyglądał, jak to bywa czasem, jak-

gdyby go zanurzono w lnianym oleju, który oblepił ciemne jego wąsiki i mały dystyngowany zarys brzośków. W danej chwili badał z trwożnym zainteresowaniem zapowiedź krosteczki, przewidując rychłe jej wyskoczenie przy nasadzie jego zlekką zagiętego, mięsistego nosa.

W tym samym mniej więcej czasie znalazł stary Jolyon pozostały jeszcze wolny fotel w obszernym salonie Tyma. Wejście jego wyraźnie przerwało rozmowę, co poznać można było po kłopotliwej ciszy, jaka zaległa nagle pokój. Ale ciotka Julia z dobrze znaną swoją dobrocią pośpieszyła załagodzić sytuację.

— Tak, Jolyonie — rzekła — mówiliśmy właśnie o tem, że od tak dawna nie byłeś już u nas. Nie powinno nas to jednak dziwić. Zajęty jesteś, naturalnie? James opowiadał nam właśnie, jak dużo ma się teraz kłopotów...

— Opowiadał? — odciął się starzec, patrząc ostro na Jamesa. — Nie miałyby się i połowy ich, gdyby każdy zajmował się własnymi tylko sprawami.

James, siedzący w głębokiej zadumie na wąskim foteliku, z którego kolana jego sterczały do góry, poruszył się niespokojnie, zmienił pozycję, przyczem jedną nogą nastąpił na kota, który, nieopatrznie umykając przed starym Jolyonem, obrał sobie schronisko przy jego fotelu.

— Cóż to, u licha, kota macie tutaj! — zawołał z oburzeniem, cofając pośpiesznie nogę, tonącą w miękkim, puszystym futerku biednego stworzenia.

— Kilka — odparł stary Jolyon, rozglądając się po obecnych. — Przed chwilą nastąpiłem na jednego z nich. Wszyscy dokoła zamilkli.

Wreszcie pani Small, zaciskając nerwowo ręce, ale udając przytem zupełny spokój, zapytała:

— Jakże się ma kochana nasza Juna?

Błysk złościwości rozjaśnił na moment ponury wyraz oczu starego Jolyona. Szczególna kobieta, ta Jula! Niema chyba drugiej, która taki miałaby talent wyskakiwania zawsze z niewłaściwą rzeczą!

— Żle! — odparł. — Pobyt w mieście nie idzie jej na zdrowie; zawielu ludzi ma dokoła, zawiele pustej paplaniny.

Podkreślił te słowa i znów spojrzął Jamesowi prosto w twarz.

Nikt nie zabrał głosu.

Wszystkich ogarnęło uczucie, jakoby nazbyt niebezpiecznym było przedsięwzięciem zrobić krok w jakimkolwiek kierunku, albo zaryzykować byle uwagę. Coś jakgdyby świadomość groźnego fatum, budząca się w duszy widza na przedstawieniu greckiej tragedji, zawisło nad tym miękko wysłanym pokojem, zapelnionym siwowłosymi, opiętymi w nieskazitelne surduty starcami i modnie ustrojonemi kobietami, w których żyłach płynęła jedna i ta sama krew, których łączyło nieuchwytnie podobieństwo.

Trudno nawet powiedzieć, aby zdawali sobie sprawę z owego, zawisłego nad ich głowami fatum — nawiedzenie przez fatalne, złe takie duchy odczuwa się co najwyżej podświadomie.

Wreszcie Swithin podniósł się pierwszy. Nie mógł pozostać biernym pod wrażeniem podobnego uczucia — nie należy do tych, którzy pozwolą komukolwiek przewodzić nad sobą! Przedostając się przesadnie dostojnymi manewrami poprzez zajęte fotele, ścisnął dłoń każdego z osobna.

— Powiedz ode mnie Tymowi, że zanadto się pieści! — rzekł, poczem, zwracając się do Franki, którą uważał za „osobę elegancką“, dodał:

— Urządźmy wspólnie przejażdżkę którego dnia.

Słowa te wskrzesiły jednak w umyśle jego wizję owej niedawnej, doniosłej, brzemiennej w wydarzenia przejażdżki, która była przedmiotem tylu rozmów, zamilkł więc na chwilę, stojąc z wytrzeszczonemi oczami, jak-gdyby chcąc wrazić w umysły obecnych znaczenie wypowiedzianych przez siebie słów, poczem jednak, przypomniawszy sobie, że nic a nic go cała ta sprawa nie obchodzi, zwrócił się do starego Jolyona:

— Do widzenia, Jolyonie! Nie powinienes wychodzić bez palta; złapiesz jeszcze reumatyzm, czy coś w tym rodzaju!

I, lekko potrafiwszy po drodze kota końcem obutej w lakierki stopy, wysunął z pokoju masywną swoją postać.

Po odejściu jego zerknął każdy z pozostałych ukradkiem na resztę obecnych, aby stwierdzić wrażenie, jakie wywarła na nich wzmianka o „przejażdżce“ — wyraz ten stał się sławnym i zyskał decydującą wagę, jako jedyna, oficjalna, aby tak się wyrazić, wiadomość, dotycząca mętnych, ponurych słuchów, jakie obły się o uszy wszystkich członków rodziny, przywierając do ich języków.

Wpółśród ciszy rozległ się krótki śmiech Eufemji, która, nie mogąc powstrzymać się, parsknęła:

— Bardzo jestem rada, że stryj Swithin mnie nie proponuje przejażdżki.

Na co pani Smallowa, chcąc uspokoić ją, a zarazem załagodzić popełnioną poruszeniem tego tematu niezręczność, odparła:

— Swithin lubi zabierać do swojego powozu osoby elegancko ubrane, których towarzystwo przynosić mu może zaszczyt. Nie zapomnę nigdy przejażdżki, na jaką mnie zabrał. Było to prawdziwe przeżycie!

Jej pucułowata, okrągła, starcza twarz rozpromieniła

się na chwilę dziwnym wyrazem zadowolenia, po chwili jednak znów zasępiła się, przyczem w oczach jej zaszklily się łzy. Przypomniała sobie ową, odbytą ongi w dalekiej przeszłości przejażdżkę z Septymusem Smallem.

James, który wpadł ponownie w ponurą swoją zadumę, podniósł się nagle.

— Dziwak z tego Swithina — rzucił obojętnym tonem.

Milczenie starego Jolyona i ponury jego wzrok trzymały wszystkich w stanie bezwładnego napięcia. On sam zresztą był zmieszany i zaskoczony efektem, jakie wywołały własne jego słowa. Czuł, że pogłębiać się one jeszcze zdawały doniosłość słuchów, którym zadanie kłamu było celem jego przybycia; nie uśmierzyło to wszelako jego gniewu.

Nie rozprawił się z nimi jeszcze. — Nie, nie, natrze im raz i drugi uszu i to porządnie!

Nie miał zamiaru nacierania uszu bratanicom — do nich specjalnie nie żywi urazy — młoda i przystojna kobieta znajdowała zawsze łaskę w oczach starego Jolyona — ale ten gałgan James, a i reszta także, choć w mniejszym bodaj stopniu, zasługują na jaknajgorze ich potraktowanie. Zapytał przedewszystkiem o Tyma.

Jakgdyby w poczuciu niebezpieczeństwa, zagrażającego młodszemu bratu, pośpieszyła ciotka Julia podać starszemu herbatę.

— Wystygła już — rzekła — czekała na ciebie cały czas w salonie. Smithers zaparzy ci zaraz świeżą.

Ale stary Jolyon podniósł się z fotela.

— Dziękuję ci — rzekł, patrząc wprost w oczy Jamesowi — nie mam czasu na picie herbaty, ani na plotki i wszystko inne! Muszę już pójść do domu. Do widzenia, Juljo; do widzenia, Hester; do widzenia, Winifredo.

I, nie żegnając się z nikim więcej, wyszedł.

Zanim znalazł się w dorożce, gniew jego rozproszył się — tak bywało zawsze z jego gniewem — z chwilą, kiedy wybuchał nazewnątrz, rozpraszał się. Miejsce jego zajął smutek, który spadł mu ciężarem na duszę. Udało mu się może zamknąć im usta, ale jakim kosztem! Kosztem uświadomienia samemu sobie, że słuchy, którym postanowił nie wierzyć, były uzasadnione. Juna została porzucona, i to dla żony syna tego durnia! Czuł, że to prawda, zaczynał się wszelako w uporze niewierzenia; ból jednakże, jaki ukrywał pod tem upieraniem się, zaczął powoli znajdować ujście w ślepem zaciętrzewieniu przeciwko Jamesowi i jego synowi.

Sześć kobiet i jedyny mężczyzna, pozostali w pokoju, zawiązali odrazu rozmowę tak swobodną napozór, jak tylko możliwe to było po podobnem wydarzeniu; jakkolwiek bowiem zarówno siostry jak brat przeświadczeni byli, że żadne z nich nie powtarza plotek, każde z nich jednak wiedziało zarazem, że pozostała szóstka czyni to. Dlatego też wszyscy źli byli i nie wiedzieli, co mają począć. Jedynie James milczał, wstrząśnięty do głębi duszy.

Franka wyskoczyła wreszcie:

— Wiecie, uważam, że stryj Jolyon zmienił się bardzo w ciągu ostatniego roku. Jak ciocia znajduje? — dodała, zwracając się do ciotki Hester.

Ciotka Hester wzdrygnęła się lekko.

— O, zwróć się z tem do ciotki Juli! — rzekła — ja nic o tem nie wiem.

Nikt z pozostałych nie krępował się jednak przyznać France racji, a James, utkwivszy wzrok ponuro w deseń posadzki, mruknął:

— Stał się zupełnie inny niż był.

— Zauważyłam to już oddawna — uzupełniła Franka — strasznie się zestarzał.

Ciotka Julia potrząsnęła głową; jej twarz zasnęła się nagle nieprzerwaną ponurą chmurą.

— Biedny stary Jolyon — westchnęła — powinienby się ktoś nim zająć!

Ponownie zapadło milczenie, poczem, jakgdyby w obawie, aby nie pozostać po odejściu innych, cała piątka gości zerwała się równocześnie i zabrała do odwrotu.

Pani Small, ciotka Hester i ich kot pozostali znów sami, kiedy daleki odgłos zatrzaskiwanych drzwi obwieścił powrót Tyma.

Wieczora tego, właśnie w chwili, kiedy ciotka Hester udała się na spoczynek do tylnej sypialni, zajmowanej dawniej przez ciotkę Julę, zanim ciotka Julia nie zajęła sypialni ciotki Anny, drzwi jej pokoju otworzyły się i pani Small w różowym czepku nocnym, ze świecą w rękę, stanęła na progu.

— Hester! — szepnęła — Hester!

Ciotka Hester słabo zaszeleściła podpinką kołdry.

— Hester! — powtórzyła ciotka Julia, aby się upewnić, że obudziła siostrę — bardzo jestem zaniepokojona o kochanego naszego Jolyona. Co — ciotka Julia podkreśliła ten wyraz — podług ciebie należałoby zrobić?

Ciotka Hester zaszeleściła ponownie podpinką kołdry i słaby jej głos odezwał się tonem obronnym:

— Co należałoby zrobić? A skądże ja mam o tem wiedzieć?

Ciotka Julia odwróciła się zadowolona i, zamykając drzwi z przesadną ostrożnością, jakgdyby w obawie zakłócenia snu siostry, puściła je nagle tak, że zatrzasnęły się z hałasem.

Po powrocie do własnego pokoju, stanęła przy oknie, wpatrując się w tarczę księżyca, świecącego ponad drzewami parku, poprzez szczelinę w muślinowych firankach, całkowicie zaciągniętych z obawy, aby ktoś jej nie podpatrzył. Stojąc tak z pełnemi łez oczami i za-

sepioną okrągłą twarzą, ocienioną skrzydlami różowego nocnego czepka, myślała o „kochanym Jolyonie“, takim starym i takim osamotnionym; myślała, że mogłaby mu być pomocną i że najstarszy brat mógłby przywiązać się do niej tak, jak nikt nigdy nie był do niej przywiązany — od czasu rozstania się biednego Septymusa z tym światem.

ROZDZIAŁ VIII

T A Ń C E W D O M U R O G E R A

Dom Rogera w Prince's Gardens rzęsiście był uiluminowany. Mnóstwo woskowych świec płonęło w rzniętych kryształowych świecznikach, odbijając jarzące swoje światło w taflach lśniącej posadzki. Wrażenie wielkiego obszaru osiągnięte zostało dzięki usunięciu wszystkich mebli, przeniesionych na podesty górnych pięter klatki schodowej i umieszczeniu dokoła sali dziwacznych wytworów cywilizacji, znanych pod nazwą „kanapek rautowych“.

W rogu pokoju, osłoniętym palmami i tworzącym rodzaj altany, stał fortepian z otwartym egzemplarzem „Odgłosów Kensingtonu“ na pulpicie.

Roger nie zgodził się na wynajęcie orkiestry. Nie mógł zrozumieć, na co im potrzebna orkiestra; ani myśli narazić się na podobny koszt. Wobec tak kategorycznego veta trzeba było ustąpić. Franka (matka jej, której Roger oddawna już narzucił chroniczny rozstrój żołądka, kładła się do łóżka w podobnych okazjach) musiała zadowolnić się zasadzeniem do fortepianu młodzieńca, który towarzyszył innemu, grającemu na kornecie, przyczem obaj, wraz z fortepianem, tak byli zamaskowani pod ukryciem palmowego klombu, że kto nie zbadał istoty rzeczy, mógł wyobrazić sobie, jako

ukrywa się tam kilku muzykantów z kilkoma rodzajami instrumentów. Franka wpadła na pomysł nakazania im, aby głośno grali — kornet jest instrumentem, wydającym bogactwo dźwięków, o ile grajek włoży w granie na nim całą swoją duszę.

Wyrażając się wytworniejszym językiem, „wybrnęła“ nareszcie — przedarła się szczęśliwie przez najezony labirynt trudności, które należało pokonać, aby pogodzić potrzebę eleganckiego wystąpienia z duchem przezornej oszczędności Forsytów. Szczupła, ale jaśniejaco wytworna w kukurydzowo-żółtej tualecie, z obłokiem gazy dokoła obnażonych ramion, krążyła z miejsca na miejsce, naciągając na palce rękawiczki i obrzucając każdy kąt krytycznem swoim okiem.

Wynajętemu lokajowi (w domu Rogera była tylko kobieca usługa) dała dyspozycję w sprawie wina. Czy dobrze zapamiętał, że pan Forsyte kazał przynieść od Whitelay'a dwanaście butelek szampana? Gdyby jednak miano wypić je (nie przypuszczała, aby mogło tak się stać wobec używania przez większość pań, jak miała nadzieję, wody jedynie), wypadnie urządzić się tak, aby zapełnić bowlą opróżnione szampanki. Jego już rzecz, jak to zrobi.

Z największą przykrością czuła się zmuszoną wydać lokajom tego rodzaju rozporządzenia; uważała je za tak bardzo „ponizej jej godności“... Cóż jednak począć z podobnego typu ojcem? Roger, w istocie, nazrędziwszy przez całe popołudnie na temat tańców, zeszedł teraz na dół, świeży i wypoczęty, dumnie wystawiając czoło, jakgdyby całe przyjęcie było własnym jego pomysłem i zasługą. Będzie się napewno mile uśmiechał, poprowadzi do kolacji najładniejszą z pań, a o drugiej godzinie, kiedy goście najbardziej będą rozbawieni, cichaczem wsunie się za parawan z palm i każe muzy-

kantom zaintonować marsza: „Niech Bóg chroni królowę“ i wynieść się.

Franka jedno tylko miała pobożne życzenie, aby jak najwcześniej uczuł się zmęczonym i wysunął się do swojej sypialni.

Trzy czy cztery najbardziej oddane jej przyjaciółki, które przeniosły się do niej z racji przygotowań do zabawy, podzieliły z nią w jednym z górnych pokojów naprędce podany obiad, złożony z udka kurczęcia na zimno i filizanki herbaty; mężczyzn posłano do klubu, bo im przecież należy się solidniejsze pożywienie.

Punktualnie z wybiciem dziewiątej zjawiała się pani Smallowa sama, kwieciście tłumacząc nieobecność Tyma, nie wspominając jednak zarazem o siostrze, która w ostatniej chwili oświadczyła, że chce, aby dano jej święty spokój. Franka przyjęła ciotkę ostentacyjnie, i posadziła ją na rautowej kanapce, pozostawiwszy ją na honorowem tem miejscu nachmurzoną i osamotnioną, w paradnej liljowej atlasowej szacie — włożonej po raz pierwszy od żałobnej czerni po śmierci ciotki Anny.

Oddane najbliższe przyjaciółki wyszły, każda ze swojego pokoju, każda, jakgdyby czarodziejskiem zrządzeniem, w sukni odmiennej barwy, wszystkie wszelako z tą samą obfitością gazy dokoła obnażonych ramion i łona — bowiem wszystkie, co do jednej, nie grzeszyły nadmiarem pulchności. Wszystkie przedstawione zostały pani Smallowej; żadna nie zabawiła w jej towarzystwie więcej niż parę sekund, poczem skupiły się wszystkie razem, i, szczebiocząc i nerwowo ściskając swoje karnety, zerkwały ukradkiem na drzwi w oczekiwaniu pierwszego mężczyzny.

Zkolei przybyła całą grupą rodzina Mikołajostwa Forsytów, zawsze punktualnych, za nimi Eustachy ze swoimi chłopcami, spoglądającymi posepnie zpodęłba i zalatującymi dymem papierosów.

Zjawili się też trzej czy czterej wierni rycerze Franki, jeden po drugim; każdemu z osobna kazała przyjść wcześniej. Wszyscy byli gładko wygoleni, popisujący się owym szczególnym rodzajem ożywienia, modnego ostatnio w dzielnicy Kensingtonskiej. Zdawali się bynajmniej nie peszyć wzajemnie swoją obecnością i dumnie prezentowali swoje krawaty ze sterczącymi końcami, białe kamizelki i skarpetki w grochy. Wszyscy mieli ukryte w zanadrzu mankietów rękawiczki. Robili dużo zgiełku i zamętu, każdy zbrojny w zawodową wesolość, jakgdyby przybył specjalnie w celu dokonania wielkich czynów. Twarze ich podczas tańca, zamiast tradycyjnie uroczystego wyrazu, cechującego tańczących Anglików, były beztroskie, mile uśmiechnięte, promieniające dokoła siebie czar; skakali i podrygiwali, wirując w przyspieszonym tempie wraz z tancerkami, nie dbając o pedantyczne stosowanie się do rytmu muzyki.

Na resztę tancerzy spoglądali z rodzajem wyniosłej pogardy — uważając siebie samych za lekką kawalerję, za bohaterów setek Kensingtonskich „hopek“, po których jedynie można było oczekiwać właściwego sposobu uśmiechania się i „hopkowania“.

Po nich zaczęli goście napływać szerokim, wartkim strumieniem; przyzwoitki, przybyłe celem opiekania się młodemi pannami, wpatrzona w drzwi wejściowe, obsiadły kanapy dokoła ścian, gdy żywioł lotny wypełniał wirowaniem większą salę.

Męska połowa rodzaju ludzkiego reprezentowana była dość skąpo i dekorujące ściany dziewczęce kwiatki miały wzruszająco smutny wygląd, pomimo kwaśno-słodkiego uśmiechu, na jaki się silily i jaki zdawał się mówić:

— O, nie wprowadzisz mnie w błąd, mój młody panie! Wiem dobrze, że nie do mnie się zbliżasz! Nie mogę się tego spodziewać!

Franka, uśmiechając się do jednego ze swoich wiel-

bicieli, albo do innego gołowąsego młodzieńca, prosiła przymilnie:

— Proszę, jeżeli chce mi pan sprawić przyjemność, pozwoli pan, że go przedstawię miss Pink; bardzo sympatyczna młoda panienska, doprawdy!

I sprowadzała go do niej, mówiąc:

— Pozwoli pani, że jej przedstawię pana Gathercole — panna Pink. Czy znajdzie pani jeszcze wolne miejsce w swoim karnećku?

Na co panna Pink, uśmiechając się wymuszonym swoim uśmiechem i czerwieniąc się zlekka, odpowiadała:

— O, zdaje mi się, że tak! — i zasłaniając pusty swój karneć, wpisywała, sylabizując je pieściwie, nazwisko pana Gathercole na proponowanym przez niego miejscu, drugim, dodatkowym.

Kiedy jednak młodzieniec, mruknąwszy, że jest gorąco, odchodził, wpadała ponownie w poprzedni nastrój beznadziejnego oczekiwania, przybierając stały swój cierpliwy, zrezygnowany, słodko-kwaśny uśmiech.

Matki, wachlując leniwie twarze, śledziły swoje córki oczami, z których wyczytać można było losy tych córek. Dla nich samych nie miało znaczenia wysiadanie tu godzinami, bez względu na śmiertelne znużenie, siedzenie w milczeniu, albo siłąc się na rozmowy z towarzyszkami niedoli — byleby dziewczęta mogły się zabawić! Ale widzieć, że są zaniedbywane i pomijane!... O, i one również uśmiechały się, ale oczy ich sztyletowały, jak oczy podrażnionego łabędzia; rade byłyby uchwycić młodego Gathercole'a za poly jego eleganckiego smokinga i przyciągnąć go do swoich córek — tego impertynent!

Wszystkie okrucieństwa, cała gorycz życia, jego wzruszające tragedje i nierówne szanse, jego pycha i ofiarność, pewność siebie i wyrzekanie się własnych praw do istnienia, znajdowały tu swoje odbicie na tem polu walki, jakim była sala balowa w domu Rogera.

Tu i ówdzie pary zakochanych — nie specjalnego gatunku wielbicieli w rodzaju Frankowych, ale w zwykły sposób zakochanych — drżących, czerwieniących się, milczących, szukały się wzajem rzucanemi ukradkiem spojrzzeniami, starały się spotkać i zetknąć w wirze tańiecznym; od czasu do czasu też tańcząc z sobą razem, uderzały obserwujących je niezwykłym błyskiem oczu.

Z wybiciem dziesiątej przybyli Jamesowie — Emilja, Rachela, Winifreda (Dartie'go pozostawiły w domu, jako że poprzednim razem przy podobnej okazji za dużo wypił u Rogerów szampana) i Cecylja, najmłodsza, której było to pierwszym występem; tuż po nich, dorożką, przybywając z domu rodziców, gdzie byli na obiedzie, przyjechali: Soames i Irena.

Wszystkie te panie miały naramienniki, nieprzykryte gazą — świadcząc wyraźnie śmielszem tem obnażaniem ciała, że pochodzą z elegantszej części Parku.

Soames, cofając się przed ocieraniem o tańczących, umieścił się pod ścianą. Ukryty pod maską bladego swojego uśmiechu, obserwował ztąd wirujące pary. Walc po walcu zaczynał się i kończył, para po parze przemykała z uśmiechem na ustach, z urywkami zamienianych w trakcie tańca rozmów. Niektórzy tańczyli z zaciśniętymi wargami, wodząc oczami po tłumie gości; jeszcze inni z równie zawartemi na głucho, milczącemi wargami, ale z oczami wpatrzonemi w siebie wzajem. Atmosfera balu, zapach kwiatów, włosów i ulubionych kobiecych perfum opływał salę dusznemi falami w rozprężeniu nocy letniej.

Soames, milczący, z odcieniem szyderstwa w uśmiechu, zdawał się nie zwracać na nic uwagi; od czasu do czasu jednak oczy jego, znajdując to, czego szukały, przywierały do określonego punktu w ciżbie i wówczas zamierał uśmiech na jego wargach.

Nie przetańczył ani razu. Niektórzy z mężczyzn tańczyli z własnymi żonami; jego poczucie „formy“ nie pozwalało mu nigdy tańczyć z Ireną od czasu ich ślubu, jedynie też bóg Forsytów mógłby powiedzieć, czy było to dla niego ulgą czy nie.

Przefruwała obok niego, tańcząc z innymi mężczyznami; jej suknia, barwy irysowej, falowała dokola jej nóg. Tańczyła dobrze; znudziły go już zachwyty, powtarzane przez wszystkie kobiety:

— Jak pięknie tańczy pańska żona, panie Forsyte! — Prawdziwa to przyjemność patrzeć na nią w tańcu!

Nudzilo go odpowiadanie im, odwracając od nich głowę:

— Tak pani uważa?

Młoda jakaś para, wirując tuż przy nim, niemile wachlowała go poruszonym w tym zawrotnym tańcu prądem powietrza. Franka i jeden z jej wielbicieli, stojąc w pobliżu, rozmawiali o miłości.

W pewnym momencie usłyszał Soames poza sobą głos Rogera, wydającego jednemu z służących polecenia w sprawie wieczerzy. Wszystko było tutaj drugorzędne! Żałował, że przyszedł. Zapytał Irenę, czy potrzebny jej jest, na co odpowiedziała mu ze zwykłym, do szalu doprowadzić mogącym uśmiechem:

— O, nie!

Poco więc przyszedł? W ciągu ostatniego kwadransa znikła mu zupełnie z oczu. Nie widział jej ani razu. Zamiast niej zbliżył się George; zapóźno już zejść mu z oczu.

— Widziałeś „Pirata“ w bojowym rynsztunku, z porządnie ostrzyżoną głową, w pełnej gali?

Odpowiedział, że nie widział i, przeszedłszy na drugą stronę wolnej teraz w przerwie pomiędzy tańcami sali, wyszedł na balkon, patrząc z niego na ulicę.

W tej chwili zajechał przed dom powóz ze spóźnio-

nymi gośćmi. Dokoła bramy skupiła się gromadka cierpliwych londyńskich gapiów ulicznych, których przyciągają niezmiennie byle oświetlone okna i dolatujące z poza nich odgłosy muzyki tanecznej. Ich blade, podniesione do góry twarze, wylaniające się z ponad czarnych, tonących w mroku ich postaci, miały wyraz tępego wpatrywania się, które wydało się Soamesowi drażniącym. Dlaczego pozwalają im gromadzić się? Dlaczego policjanci nie rozpędzają ich?

Ale policjant nie zwracał na nich uwagi; rozstawił szeroko nogi na kawałku wyścielającego podjazd czerwonego chodnika; twarz jego pod służbowym szyszakiem miała ten sam wyraz tępego wpatrywania się co tamtych.

Z drugiej strony jezdni, poprzez sztachety, widzieć mógł Soames polyskujące świeżą zielenią w świetle latarni ulicznych, lekko poruszane wietrzykiem gałęzie drzew, zaś poza nimi, powyżej, szeregi oświetlonych okien, wpatrzonych, niby mnóstwa oczu, w niemą czerń ogrodu. Nad tem wszystkim rozpięta kopuła nieba, cudownego londyńskiego nieba, usianego niezliczonymi odbiciami niezliczonych światel — ciemna opona, rozsnuta pomiędzy gwiazdami, załamująca w sobie odzwierciedlenie ludzkich nędz i ludzkich zachcianek, noc w noc ogarniająca wyrozumiale drwiącym swoim uśmiechem całe mile domów i ogrodów, wspaniałych sadyb i lichych chatek, Forsytów, policjantów i cierpliwych gapiów ulicznych.

Soames odwrócił się i, ukryty we wnęce, obserwował oświetloną salę. Znacznie było chłodniej tutaj. Spostrzegł świeżo przybyłych, Junę i jej dziadka, wchodzących do pokoju. Dlaczego przybyli tak późno? Stali w obramowaniu drzwi. Wyglądali markotnie. Trudno było wyobrazić sobie stryja Jolyona, zjawiającego się o tej porze na bal! Dlaczego Juna nie zabrała się z Ireną, jak to

zwykle czyniła?... W tej samej chwili przyszło mu na myśl, że oddawna już nie widywał Juny u swojej żony.

Obserwując z niewolną od złośliwości uwagą jej twarz, zauważył, że młoda dziewczyna zbladła nagle, jakgdyby miała zemdleć, i wnet potem spłonila się purpurą. Idąc śladem jej oczu, spostrzegł żonę swoją, opartą na ramieniu Bosinney'a, z którym wychodziła z cieplarni, znajdującej się na końcu sali. Oczy Ireny podniesione były ku towarzyszowi, jakgdyby odpowiadała mu na jakieś zadane jej przez niego pytanie, on zaś wpatrzony był w nią pożądliwie.

Soames spojrział znów na Junę. Dłoń jej spoczywała na ramieniu dziadka, którego zdawała się prosić o coś. Na twarzy starego Jolyona odbił się wyraz zdumienia; w chwilę później poszli oboje dalej i znikli poza drzwiami z pola jego widzenia.

Muzyka zagrała ponownie walca, a Soames w swojej wnęce okiennej z nieporuszoną twarzą, ale bez uśmiechu na ustach, czekał. Wreszcie, w odległości yarda od ciemnego balkonu, dostrzegł żonę swoją, przechodzącą z Bosinney'em. Poczul zapach pęku gardenji, zdobiących jej toaletę, widział wznoszenie się i opadanie jej łona, pochwylił wyraz tęsknego omdlenia w jej oczach, zauważył jej rozchylone usta i dziwny, nieznany mu dotychczas uśmiech na jej twarzy. Wolnym, kołyszącym się rytmem tanecznym przewirowali oboje obok niego i w mgnieniu tem wydało mu się, jakoby byli przytuleni wzajem do siebie; spostrzegł, że Irena podniosła ciemne, aksamitne swoje oczy na Bosinney'a, poczem opuściła je ponownie.

Błady jak trup powrócił na balkon i, opierając się o jego balustradę, spoglądał na dół na skwer. Grupa gapiów stała tam wciąż jeszcze, wpatrzona z tępym uporem w oświetlone okna; twarz policjanta zwrócona była także w górę i tak samo zagapiona. Soames nie

widział nic jednak z tego wszystkiego. Przed dom zajechał powóz, dwie postacie wsiadły do niego i odjechały...

Tego samego dnia Juna i stary Jolyon zasiedli do południowego lunch'u o zwykłej porze. Młoda dziewczyna miała na sobie, jak zazwyczaj, suknię zapiętą pod górę, a dziadek ubrany był także po domowemu.

Przy śniadaniu wspomniała o tańczącym wieczorku u stryja Rogera i wyraziła chęć pójścia; szkoda tylko, jak zaznaczyła, że popelniła wielkie głupstwo, nie pomysławszy o nikim, kto mógłby ją tam zabrać. Teraz już zapóźno.

Stary Jolyon podniósł na nią bystre swoje oczy. Juna stale bywała na wszelkich zebraniach tanecznych z Ireną. Rozumiało to się samo przez się. Rozmyślnie też utkwivszy w niej wzrok, zapytał:

— Dlaczego nie umówiłaś się z Ireną?

Nie! Juna nie miała ochoty iść z Ireną. Pójdzie o tyle tylko — o ile dziadkowi nie zrobiłoby różnicy ten jeden jedyny raz towarzyszyć jej, na krótko zresztą.

Wobec błagalnego jej spojrzenia i wymizerowanej twarzy zgodził się stary Jolyon, pomrukując niechętnie. Nie rozumie właściwie, poco jej potrzebne chodzenie na tańce do Rogerów — wyobraża sobie, mógłby nawet założyć się, że marna tam będzie zabawa. A zresztą ona sama z mizernym swoim wyglądem nie nadaje się do chodzenia na tańce. Potrzeba jej morskiego powietrza, zaraz też po Ogólnem Zebraniu Koncesji Złotego Piasku gotów jest zawieźć ją nad morze. Co? Nie chce wyjechać z Londynu? — O, zupełnie wybije się tutaj z sił! A tam przyszlaby odrazu do siebie...

Żalśnie spoglądając na nią ukradkiem, jadł w dalszym ciągu swój obiad.

Juna wstała od stołu wcześniej i wyszła na miasto, w samą spiekotę południową, czyniąc zakupy z go-

rączkowym pośpiechem. Drobna, wątła jej figurka, ostatnio tak leniwie poruszająca się, niezwykle zdrażała podniecenie. Dziewczyna nasamprzód kupiła dla siebie trochę kwiatów. Chciała — postanowiła — wyglądać szczególnie korzystnie. On będzie tam! Wiedziała doskonale, że otrzymał zaproszenie. Pokaże mu, że nic sobie z niego nie robi. Na dnie serca wszelako żywiła nadzieję, że odzyska go tego wieczora. Powróciła ożywiona i zarumieniona i wesoło gawędziła z dziadkiem, czem potrafiła wprowadzić go w błąd.

W ciągu popołudnia wybuchła nagle rozpaczliwym łkaniem. Stłumiła szlochanie, kryjąc twarz w poduszkę, kiedy jednak uspokoili się wreszcie, ujrzała w lustrze obrzękłą twarz, zaczerwienione oczy i fioletowe podniemi sińce. Aż do kolacji pozostała w przyciemnionym pokoju.

Przez cały czas milczącej wieczery wrzała w niej głucha walka wewnętrzna. Sprawiała wrażenie tak wyczerpanej i wymizerowanej, że stary Jolyon dał polecenie odwołania powozu. Nie pozwoli jej wyjść. Powinna się położyć. Juna nie oponowała, poszła na górę do siebie i siedziała dłuższy czas pociemku. O dziesiątej zadzwoniła na swoją garderobianę.

— Proszę mi przynieść dzban gorącej wody i powiedzieć panu, że jestem zupełnie wypoczęta. Proszę też powiedzieć, że gdyby nie czuł się na siłach pojechania ze mną, mogę pojechać do stryja Rogera sama.

Wobec wahającej się postawy służącej natarła na nią Juna ostro, wołając tonem rozkazującym:

— Proszę przynieść mi natychmiast gorącą wodę!

Suknia balowa leżała rozłożona na kanapie, sama też starannie się ubrała, wzięła do ręki pęk kwiatów i zeszła nadół, wysoko trzymając małą, kształtną główkę, uginającą się pod ciężarem gąszczy włosów. Przechodząc obok pokoju dziadka, usłyszała jego głos, dochodzący ztamtąd.

Zdziwiony i zirytowany ubierał się pośpiesznie. Było już po dziesiątej; nie staną na miejscu przed jedenastą — dziewczyna oszalała chyba. Nie śmiał wszelako drażnić jej — wyraz jej twarzy przy obiedzie nie dawał mu spokoju.

Ciężkimi hebanowemi szcztokami przyglądał włosy, dopóki nie lśniły w świetle jak srebro, poczem i on ukazał się w mrocznej klatce schodowej.

Juna czekała na niego na dole i oboje, nie zamienwszy słowa, wsiedli do powozu.

Kiedy po zdającej się nie kończyć nigdy jeździe weszła do sali balowej w domu Rogera, ukryła z wysiłkiem pod maską stanowczej decyzji istną burzę zdenerwowania i wzruszenia. Uczucie wstydu, że może być posądzona o tak zwane „bieganie za nim“, zagłuszała obawa, że Fil może nie przyjść, że może go jednak nie zobaczyć i w ten sposób na niczem spełźnie jej postanowienie — nie wiedziała tylko, jak je wprowadzić w czyn — odzyskania go zpowrotem.

Widok sali balowej z jej błyszczącą posadzką, nappełnił ją uczuciem radości i tryumfu, lubiła bowiem tańczyć i w tańcu fruwała, tak była lekka, niby zwiewny duch lotny. Napewno poprosi ją do tańca, a wówczas wszystko wróci pomiędzy niemi do dawnego stanu. Żywo rozejrzała się dokoła.

Widok Bosinney'a, nadchodzącego od strony oranżerii w towarzystwie Ireny, z wyrazem bezgranicznego wniebowzięcia na twarzy, zadał jej cios zbyt nagły. Nie widziano — nikt nie powinien być świadkiem — jej straszliwego zgnębienia, — nawet dziadek.

Położyła rękę na ramieniu starego Jolyona i szepnęła zaledwie dosłyszalnie:

— Dziaduniu, muszę wrócić do domu; czuję się niedobrze.

Pociągnął ją pośpiesznie, mamrocząc pod nosem do samego siebie, że zgóry to przewidywał.

Jej wprost nic nie powiedział. Dopiero, kiedy znów znaleźli się w powozie, który szczęśliwym trafem stał przed drzwiami, zapytał:

— Co ci się stało, kochanie?

Czując, że całe smukłe jej ciało wstrząsane jest łkaniem, zaniepokoił się okrutnie. Musi wezwać jutro lekarza. Nie odstąpi od tego. Nie może dłużej patrzeć na jej stan... Cicho, uspokój się, maleńka!

Juna zapanowała nad sobą, stłumiła łkanie i gorączkowo ucepiona ręki dziadka, leżała wtulona w róg powozu, kryjąc twarz w zawojach szala.

Widzieć mógł tylko jej oczy, wpatrzone w ciemność; nie przestawał gładzić jej ręki starczo wychudłemi swojemi palcami.

ROZDZIAŁ IX

WIECZÓR W RICHMOND

Inne jeszcze oczy, poza oczami Juny i Soamesa, widziały „tych dwoje“ (jak Eufemja zaczęła już ich nazywać), wracających z oranżerji; inne oczy zauważyły też wniebowzięty wyraz twarzy Bosinney'a.

Są momenty, w których natura ujawnia namiętność, ukrytą pod beztroskim spokojem zwykłych swoich nastrojów — wiosna, wytryskująca nagle śnieżną bielą kwiecica na drzewach migdałowych poprzez chmury szkarłatne; obłany srebrzystem światłem księżyca samotny szczyt z jedyną swoją gwiazdą, sięgający w błękity, albo stary cis, stojący w płomieniach zachodu, niby straż bezpieczeństwa, czuwająca nad świętością niedostępnej tajemnicy.

Są też chwile, kiedy w galerji obrazów, dzieło, za-

znaczone w katalogu przypadkowego widza, jako „*** wyjątkowo piękny Tycjan“ przebija pancierz obojętności którego z Forsytów, lepiej może orientującego się niż inni i trzyma go pod czarem ekstatycznego zachwytu. Dzieją się tu rzeczy — czuje to — dzieją się tu rzeczy, które — otóż, które są rzeczami... Ogarnia go coś niewytłumaczonego, coś nie dającego się ująć rozumowo; kiedy jednak usiłuje określić owo coś ze ścisłością praktycznego człowieka, wymyka mu się ono i ulatuje jak opar wina, które wypił, rozwiewa się, pozostawiając mu jeno uczucie nieusposobienia i świadomość posiadania wątroby. Czuje, że zawiele sobie pozwolił, że nadużył czegoś; że cnota umiarkowania opuściła go.

Nie pragnął wcale objawienia tego, co kryje się pod trzema gwiazdkami jego katalogu. Niech Bóg broni, aby dowiedzieć się miał czegokolwiek o siłach natury! Niech Bóg broni, aby miał uznać, że istnieją podobne rzeczy! Z chwilą gdy uzna je, co się stanie z nim samym? Placi się szylinga za wejście i jeszcze jednego za katalog.

Wyraz twarzy, który dostrzegła Juna, który dostrzegli inni Forsytowie, był jakgdyby nagłem błysnięciem płomienia świecy poprzez otwór wyimaginowanego płótna, poza którym była ona przesuwana — nagle zaiskrzenie się mglistej, błakającej się luny, kuszącej niby widmowa zjawa. Na jedno mgnienie zauważyli ją z przyjemnością, z zainteresowaniem, po chwili wszelako zorientowali się, że nie powinni byli zauważyć jej wcale.

A jednak, wyjaśniało to powód zjawienia się Juny tak późno i zniknięcia jej bez przetańczenia jednego choćby tańca, bez przywitania się nawet z narzeczonym. Zachorowała, jak wyjaśniono — i nic w tem dziwnego.

W tem miejscu wszelako spojrzeli wzajem po sobie z miną skruszoną. Nie było wcale ich zamiarem szerszenie

plotek, ani też nie chcieli być złośliwymi. W czym mogło to leżeć interesie? Obcym nie piśnięto ani słowa; niepisane prawo zamykało im usta.

Równocześnie przyszła wiadomość, że Juna wyjechała nad morze wraz z dziadkiem.

Wywiózł ją do Broadstairs, która to miejscowość zaczynała wchodzić w modę na niekorzyść Yarmouth, naprzekór Mikołajowi i jego rodzinie. Nikt z Forsytów, udających się nad morze, nie chciał oddychać za swoje pieniądze powietrzem, które poruszyłoby w nim znów zółć przed upływem tygodnia. Fatalnie arystokratyczne upodobanie pierwszego Forsyta do picia madery wpłynęło na wrażliwość w tym kierunku jego następców.

Tak więc wyjechała Juna nad morze. Rodzina czekała na dalszy bieg wypadków. Nie pozostało nic innego do zrobienia.

Ale jak daleko, jak daleko zaszło „tamtych dwoje“? Jak daleko zamierzają zajść? Czy może wogóle być mowa o ich zachodzeniu daleko? Nie może napewno dojść między nimi do niczego, bo przecież żadne z nich nie ma pieniędzy. Co najwyżej flirt, którego kres nastąpi, jak to się dzieje z wszystkimi podobnymi miłostkami, we właściwym czasie.

Siostra Soamesa, Winifreda Dartie, która wraz z powietrzem Mayfairu — mieszkała przy Green Street — wchłonęła na punkcie stosunków małżeńskich bardziej nowoczesne zasady, aniżeli te, jakie dotychczas obowiązywały, w Landbroke Grove chociażby — wyśmiała samą myśl, ażeby miało coś w tem być. „Ta mała“ — Irena była wyższa od niej, prawdziwą też było miarą solidnej wartości Forsytów, że nazawsze już miała pozostać „tą małą“ — nudzi się poprostu. Dlaczego nie miałyby się pobawić? Soames nie jest zbytnio zajmujący, a co się tyczy pana Bosinney'a — tylko ten błazen

George mógł przezwać go „Piratem“ — utrzymywała stanowczo, że jest on bardzo szykownym młodzieńcem.

Zapewnienie to, że Bosinney jest bardzo szykownym młodzieńcem, wywołało istną sensację. Nie mogło jednak przekonać. Że jest „przystojny na swój sposób“, gotowi byli przyznać, aby jednak można było nazwać szykownym człowieka z jego wystającymi kośćmi policzkowymi, z jego biegającymi ciekawie oczami, a nadewszystko z jego miękkimi pilśniowemi kapeluszeniami, jest jeszcze jednym dowodem przesadnie oryginalnej pogoni Winifredy za czemś nowem.

Działo się to owego słynnego lata, kiedy oryginalność i przesada były w modzie, kiedy sama ziemia przesadzała w swoich darach, kiedy drzewa kasztanowe okryły się niezwykłą bujnością kwiecia, a wszystkie pachnące rośliny sączyły niebywale dotychczas aromaty; kiedy róże pysznie rozkwitły we wszystkich ogrodach; kiedy nie starczyło miejsca na rojące się mirjadami gwiazdy na ciemnym niebie; kiedy codziennie i przez cały dzień słońce wytaczało płonąca swoją tarczę ponad Parkiem; kiedy ludzie dziwne wyprawiali rzeczy, śniadając i obiadując na otwartem powietrzu. Niezwykłe dotychczas wezbranemi rzekami płynęły nieskończone szeregi powozów i dorożek poprzez mosty rozpięte nad lśniąca rzeką, uwożąc tysiącami wyższą burżuazję do zielonych przepychów Bushey'u, Richmondu, Kew, czy Hampton Courtu. Każda nieomal rodzina, mająca jakiegokolwiek pretensje należenia do powozowych, raz przynajmniej tego lata zwiedzała kasztanowe gaje w Bushey, albo też urządziła przejażdżkę poprzez gąszcze Richmond Parku. Sunąc gładko, mimo że w kurzawie pyłu, wzbijanego kopytami własnych ich rumaków, wypatrywali, jak należało, naglego śmigania udekorowanych rogami głów większych sztuk płowej zwierzyny wpośród splątanej gęstwiny paproci, zapowiadającej miłośnikom jesieni niebywale do-

tychczas pokrycie. Tu i owdzie, ilekroć słodki zapach kasztanowego kwiecia i paproci bogatszą zalatywał falą, mawiano sobie wzajem:

— Ach, moja droga! (czy, mój drogi) jaki szczególny aromat!

Lipy tego lata zakwitły niezwykle wcześnie i niebywale szczerze, w kolorze płynnego miodu nieledwie. Na rogach skwerów londyńskich zionęły one ku zachodowi słońca zapach słodszy, aniżeli ten, co przywabiał miodne pszczoły — zapach, poruszający niewypowiedziane tęsknoty w sercach Forsytów i ich ojców rodzin, zażywających milego chłodku po obiedzie w obrębie owych ogrodów, do których oni jedni posiadali klucze.

Tęskne to uczucie zniewalało ich do dłuższego przesiadywania o zmierzchu wpośród majaczących już niewyraźnie kwietników, kazało im powracać i powracać bez końca, jakgdyby czekał na nich tu przedmiot ich miłości — czekał na ostatnie, gasnące w cieniu gałęzi, promienie świetlne.

Nieokreślona jakaś sympatja, współczucie, zrodzone pod wpływem upajającego zapachu lipowego kwiecia, a może chęć udowodnienia słuszności wypowiedzianej przez nią opinji, że „nic w tem wszystkiem niema“, bodaj tylko niepohamowana tego lata chęć przejechania się do Richmondu, skłoniła matkę małych Darciańtek (Publjusza, Imogeny, Maud i Benedykta) do napisania następującego listu do bratowej:

„Kochana Irenko!

30 czerwca.

Dowiaduję się, że Soames jedzie jutro do Henley, gdzie ma przenocować. Myślę, że dobrze zabawiłbyśmy się, urządzając wycieczkę do Richmondu. Może zaprosiłabyś pana Bosinney'a, a ja ściągnę młodego Flipparda?

Emilja (matkę swoją nazywali po imieniu Emilją, uważając, że to szykowniej) pożyczmy nam swój powóz. Zajadę po ciebie i twojego kawalera o siódmej.
Kochająca cię siostra

Winifreda Dartie.“

„Montague uważa, że wcale możliwy obiad dostaniemy w restauracji „Pod Berłem i Koroną.“

Montague było drugiem i bardziej znanem imieniem Dartie'go — na pierwsze było mu Mojżesz; zaliczał on się bowiem bezwzględnie do ludzi światowych.

Projekt jej spotkał się wszelako z większym sprzeciwem Opatrzności, aniżeli zasługiwała na to zacna taka intencja. Przedewszystkiem otrzymała następującą kartkę od młodego Flipparda:

„Droga Pani!

Niezmiernie mi przykro, ale zajęty jestem w sposób nieodwołalny.

Oddany

August Flippard.“

Zapóźno już było szukać po ludziach zastępstwa. Z nieugiętą stanowczością macierzyńską zarzuciła Winifreda sieci na własnego męża. Posiadała wistocie stanowcze, acz wyrozumiałe usposobienie, idące w parze z bardzo wyrazistym profilem, jasnymi włosami i zielonkawymi oczami. Rzadko, a bodaj nigdy, nie traciła kontensu, zawsze umiała wykorzystać ku dobremu najgorszą nawet sytuację.

Dartie był także w dobrym nastroju. „Erotic“ nie wygrał wprawdzie nagrody Lancashirskiej. Właściwie słynny ten wyścigowiec, będący w posiadaniu jednego z potentatów pola, który w sekrecie sam postawił wielo-

tysięczne przeciwko niemu zakłady, nawet nie wystartował. Czterdzieści osiem godzin po niefortunnym jego występie należało do najciemniejszych okresów w życiu Dartie'go.

Myśl o Jamesie nie dawała mu spokoju dniem i nocą. Czarne wątpliwości co do Soamesa rozświetlały chwilami jedynie przeblýski słabej nadziei. W piątek wieczorem upił się, do tego stopnia był zgnębiony. Ale w sobotę rano zwyciężył w nim niezawodny instynkt giełdziarskiego ryzykanta. Będąc w posiadaniu kilku setek, pojechał do miasta i postawił wszystko odrazu na „Concertinę“, biegającą w wielkim wyścigu z przeszkodami.

— Ten mały Żydek, Nathans, dał mi wskazówkę — zwierzył się majorowi Scrottonowi, w którego towarzystwie był na lunchu w klubie Iseeum. — Ja sam nie mam o szkapie zielonego pojęcia. Niech się co chce dzieje. Jeżeli nie wygra do wszystkich djabłów — to niech ją... będzie stary musiał zapłacić!

Butelka starego portwejnu wypita na szczęście wzniciła na nowo jego pogardę dla Jamesa.

Wygrał. „Concertina“ wysunęła się naprzód o długość szyi — straszliwy skrzek! Ale, jak wyraził się Dartie:

— Byle mieć szczęście!

Nie miał nic przeciwko wyprawie do Richmondu. Popierał ją nawet. Miał wiele adoracji dla Ireny i niczego nie pragnął tak gorąco, jak okazji zbliżenia się do niej.

O wpół do szóstej przybył służący z Park Lane z oznajmieniem:

— Pani Forsyte bardzo żałuje, ale jeden z koni kaszle!

Niepokonana nowym tym ciosem Winifreda wysłała natychmiast małego Publjusza, obecnie siedmiolatka, z boną na Montpellier Square.

Pojadą dorożkami i spotkają się o trzy kwadranse na ósmą w restauracji „Pod Berłem i Koroną“.

Dartie przyjął tę wiadomość z wielkiem zadowoleniem. Daleko przyjemniej tak będzie, aniżeli siedzieć w powozie tyłem do koni. Nie miał nic przeciwko przejechaniu się z Ireną. Przypuszczał, że zajadą po nią na Montpellier Square i wezmą ztamtąd dorożki.

Dowiedziawszy się wszelako, że spotkać się mają dopiero w restauracji, i że tem samem wypadnie mu jechać z własną żoną, spuścił nos na kwintę i bąknął coś o przekleście powolnej jeździe!

Wyruszyli o siódmej, przyczem Dartie zaproponował woźnicy zakład o półkorony, że nie zajedzie na miejsce nawet i za trzy kwadranse.

Dwa razy tylko zamienili z sobą mąż z żoną uwagi podczas jazdy.

— Imć pan Soames nie będzie zachwycony wiadomością, że jego żona przejechała się dorożką z imć panem Bosinney'em!

— Nie pleć głupstw, Monty! — odparła Winifreda.

— Głupstw! — powtórzył Dartie szyderczo. — Nie znasz kobiet, piękna moja damo!

W drugim wypadku zapytał tylko:

— Jak dzisiaj wyglądam? Zdziebko podkrążone mam oczy? Ten hultaj George zanadto lubi pociągnąć z butelki.

Był na lunchu z Georgem Forsytem w Haversnake.

Bosinney z Ireną przybyli przed niemi. Stali w jednym z okien werendowych, wychodzących na rzekę.

Okna tego lata pozostawiano otwarte przez cały dzień i całą noc także; i dniem i nocą płynęły z ogrodów balsamy kwiatów i drzew, gorące powiewy suszącego się siana i chłodne, orzeźwiające wonie kroplistej rosy.

Spostrzegawcze oczy Dartie'go wykryły odrazu, że oboje jego goście nie musieli zbyt wykorzystać szczę-

śliwej tej okazji. Stali jedno przy drugim, nie mówiąc do siebie ani słowa. Bosinney wyglądał jak zgłodniały wilk — nie musiało mu się powieść! Brak mu widać energii!

Pozostawił jednak ich oboje na opiece Winifredy, a sam zajął się obiadem.

Forsyt zażądałby dobrego, ale nie wykwińskiego jedzenia. Dartie, natomiast, oceni odrazu najdokładniej wszelkie możliwości restauracji „Pod Berłem i Koroną“. Nie wystarczy mu byle co. Musi mieć wszystko co najlepsze do jedzenia — i napewno dostanie najlepsze. Napoje muszą być również w najlepszym gatunku; w Anglii pije się dużo rzeczy, których Dartie „nie uznaje za dostatecznie dobre dla siebie“; żąda najprzedniejszych. Płacąc nieswojami pieniędzmi, nie ma przecież potrzeby skąpić sobie. Skąpić sobie potrafi byle kiej, ale nie Dartie. O, nie Dartie!

Wszystko co najlepsze! Najzdrowsza to zasada, na jakiej może oprzeć życie swoje człowiek, którego teść rozporządza bardzo znacznymi dochodami i ma słabość do małych wnuków.

Bystrem swoim okiem wykrył Dartie ten szczególnie wrażliwy punkt w Jamesie w pierwszym zaraz roku po zjawieniu się na świat małego Publjsza (przez pomyłkę) i teraz czworo małych Darciańtek stałe stanowiło zabezpieczenie.

Punktem kulminacyjnym biesiady była niewątpliwie czerwona barwena. Wspaniała ta ryba, sprowadzona ze znacznej odległości w stanie nieskazitelnego nieomal przechowania, była przedewszystkiem usmażona, potem oczyszczona z ości i wreszcie podana w lodzie z ponczem z madero w miejsce sosu, według przepisu, znanego nielicznym tylko smakoszom-światowcom.

Poza tą rybą nie zasługuje nic innego na szczególne

zaznaczenie z wyjątkiem zapłaconego przez Dartie'go rachunku.

Dartie niezmiernie był miły i uprzedzający podczas całego obiadu, przyczem prawie że nie odrywał od twarzy i postaci Ireny śmiałego, pełnego wyraźnego zachwytu, wzroku. Zmuszony był jednak przyznać sobie w głębi duszy, że nie zyskał z jej strony odwzajemnienia. Pozostała chłodna tak samo nieomal, jak marmurowo chłodne jej ramiona, przezierające z pod osłony kremowej koronki. Miał nadzieję przychwycenia jej na porozumiewaniu się spojrzeniem bodaj z Bosinney'em; nic z tego wszakże — zdumiewająco ukryć umiała swoją grę. Co się zaś tyczy samego architekcinicy, był on ponury i mrukliwy niczem niedźwiedź zbudzony z drzemki. — Winifredzie nie udawało się wydostać słowa z niego; nie jadł nic, nie żałował sobie tylko wina, coraz bardziej też bladła jego twarz, a oczy spoglądały niesamowicie.

Bardzo to wszystko było ciekawe.

Dartie sam był w doskonałej formie, wyjątkowo rozmowny, i w miarę uszczypliwy, jako człowiek z natury niegłupi. Opowiedział kilka historyjek pikantnych, ale utrzymujących się na granicy przyzwoitości. To utrzymywanie się na granicy przyzwoitości było z jego strony szczególnem ustępstwem dla towarzystwa, zazwyczaj bowiem opowiadane przez niego dykteryjki nie wyróżniały się tą cnotą. W żartobliwie-ironicznem przemówieniu zaproponował wypicie zdrowia Ireny. Nikt wszelako nie poszedł za jego wezwaniem, a Winifreda skarciła go:

— Nie rób z siebie błazna, Montie!

Na jej propozycję wyszli po obiedzie na przeznaczony na zabawy ludowe taras, z którego roztaczał się widok na rzekę.

— Chciałabym przyjrzeć się zakochanym parkom z pospólstwa — rzekła — to takie zabawne!

Mnóstwo ich przechadzało się w chłodku, miłym po

całodziennej spiekocie. W powietrzu rozbrzmiewały liczne głosy, jedne donośne i rubaszne, inne ciche i pieszczośliwe, jakgdyby powierzające sobie wzajem ważne tajemnice.

Praktyczne oko Winifredy — była ona jedyną zpośród obecnych przedstawicielką Forsytów — odrazu dostrzegło niezajętą ławkę, na której siedli wszyscy czworo rzędem. Wielkie drzewo rozpościerało nad ich głowami zielony swój baldachim. Ponad rzeką ciemniała zwolna luna zachodzącego słońca.

Dartie siedział na końcu ławki, tuż przy nim Irena, potem Bosinney, i wreszcie na drugim końcu — Winifreda. Zaledwie starczyło miejsce na czworo i wesoly światowiec czuł ramię Ireny przyciśnięte do jego ramienia. Wiedział, że nie może ona go wycofać, nie narażając się na zarzut szorstkości i to właśnie bawiło go; obmyślał też raz wraz jakiś ruch, który bardziej jeszcze przyciskał go do niej.

— Czekaj ty, „Piracie“, nie będziesz jej miał dla samego siebie wyłącznie! Doskonała pozycja! Nie trzeba lepszej! — mówił sobie w duchu.

Zdaleka, z ponad rzeki dolatywało ciche pobrzękiwanie na mandolinie i harmonijne głosy chóralne, śpiewające wesołą ludową piosenkę. Nagle wyplłynął z za drzew blady jeszcze księżyc i, jakgdyby pod tchnieniem zimnego jego światła, powiało chłodem, ogrzanym ciepłymi falami aromatów lipowych.

Dartie, paląc cygaro, spoglądał ukradkiem na Bosinney'a, który siedział ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, wpatrzony w przestrzeń, zdradzający wyrazem twarzy jakąś myśl dręczącą.

Dartie rzucił okiem na tę twarz, tak ukrytą w cieniu, rzuconym przez gęste ulistwienie drzewa, że wyglądała jak ciemniejsza jeszcze, żywa i oddychająca plama cienia, milcząca, tajemnicza, kusząca.

Nagła cisza zaległa hałaśliwy taras, jakgdyby wszyscy spacerujący wpadli w zadumę zbyt rozkoszną, aby wypowiedzieć ją słowami.

Dartie'mu jeden tylko przyszedł na myśl wyraz: „Kobiety!”

Luna zachodu gasła ponad rzeką, śpiewy umilkły; blady księżyc skrył się poza drzewem i wszystko dokoła pociemniało. Rozzuchwalony Dartie przytulił się szczerzej do Ireny.

Nie zraził go dreszcz, jaki wstrząsnął jej członkami, o które tak blisko się otarł, ani też pogardliwy błysk spojrzenia, jakim go zmierzyła. Uczuł tylko, że próbuje odsunąć się od niego i uśmiech okolił jego usta.

Zaznaczyć należy, że światowiec wypił zupełnie dostateczną na swoją głowę porcję wina.

Odęte zmysłowe wargi pod starannie zafryzowanym wąsikiem i pełen zuchwałej złośliwości wzrok, utkwiony zukosa w twarzy Ireny nadawały mu podobieństwo do satyra.

Na szmacie nieba, widzialnym pomiędzy kępami wierzchołków drzew, wyblysnęły pierwsze gwiazdy; podobne do ziemskich śmiertelników zdawały się mrugać na siebie wzajem porozumiewawczo i wzajem z sobą szeptać. Taras ożywił się ponownie gwarem ludzkich głosów i Dartie pomyślał:

— O! Nie zazdroścę Bosinney'owi! Nie wygląda na tryumfującego kochanka!...

I przysunął się bliżej jeszcze do Ireny.

Nie zyskał wszelako z jej strony należnego uznania. Podniosła się z ławki i wszyscy poszli za nią.

Wesoly światowiec umocnił się bardziej jeszcze w swym postanowieniu przekonania się, z jakiej też ulepiona ona jest gliny. Na tarasie szedł tuż przy niej. Szumiało mu w głowie wypite wyśmienite wino. Z przyjemnością myślał o powrocie, o długiej jeździe w miłej ciasnocie dorożki — w szczęśliwym odosobnieniu od

świata, będącem zasługą dobrego i mądrego wynalazcy tego sposobu lokomocji. Głodomór architekciną może jechać z jego żoną — najzupełniej mu użycza tej przyjemności! Czując jednak, że język niezupełnie może okazać mu się posłusznym i głos nie będzie brzmiał zbyt pewnie, wolał powstrzymać się od mówienia; uśmiech tylko nie opuszczał pełnych jego warg.

Poszli wszyscy czworo w kierunku dorożek, czekających na nich na drugim końcu dziedzińca. Plan jego, podobnie jak wszystkie wielkie plany, cechowała brutalna prostota — będzie poprostu stał przy niej tuż blisko w chwili, kiedy wsiądzie do dorożki i momentalnie wskoczy za nią do środka.

Irena wszelako, stanąwszy przy dorożce, nie wsiadła do niej, lecz prześlizgnęła się zręcznie ku głowom końskim. Dartie nie był w tym momencie panem swoich nóg do tego stopnia, aby móc w porę podążyć za nią. Stała, pieszcząc chrapy jednego z koni, i ku wielkiemu niezadowoleniu Dartie'go, Bosinney znalazł się przy niej pierwszy. Odwróciła się i przemówiła coś do niego. Słowa „ten człowiek!“ obily się o uszy Dartie'go, który stał uparcie przy stopniu dorożki w oczekiwaniu na jej powrót. Zdecydowany był użyć sprytnego wybiegu!

Tutaj, w świetle latarni, postać jego (niewyższa niż średniej wielkości), dobrze opięta białą wieczorową kamizelką, z lekkim okryciem przewieszonem przez ramię, z różowym gwoździkiem, zdobiącym jego butonjerkę, z wyrazem pewnego siebie, wesołego zuchwalstwa prezentowała się najładniej — prawdziwy, doskonały światowiec.

Winifreda siedziała już w swojej dorożce. Dartie'mu przyszło na myśl, że Bosinney musi dobrze mieć się na baczności, żeby nie oberwać porządnie. Nagle potracił go ktoś tak silnie, że o mało nie rozciągnął go na drodze. Głos Bosinney'a syknął mu równocześnie do ucha:

— Ja odwiozę Irenę; słyszy pan?

Ujrzał przed sobą twarz, śmiertelnie bladą z hamowanej wściekłości, i oczy rzucające złowieszcze błyski, niby dziki kot.

— Co?! — wyjąkał. — Co takiego?! Ani mi się śni! Pojedzie pan z moją żoną!

— Precz z drogi! — syknął Bosinney — bo rozciągnie się pan na środku ulicy!

Dartie cofnął się — zrozumiał z najdobitniejszą oczywistością, że tamten nie ma zamiaru żartować. Irena skorzystała z jego odstąpienia i przesunęła się tuż obok niego, tak że suknia jej otarła się o jego nogi, wskoczyła do dorożki, a Bosinney tuż za nią.

— Ruszaj! — usłyszał okrzyk „Pirata“. Woźnica zaciął konie. Powóz potoczył się szybko.

Dartie stał przez chwilę oszołomiony, poczem, poskoczywszy ku dorożce, w której siedziała jego żona, wdrapał się do środka.

— Ruszać, a żywo! — wrzasnął na woźnicę — i nie tracić z oczu tamtej dorożki przed nami!

Usiadłszy obok żony, dał wolny upust swojej wściekłości. Wreszcie, hamując się z wysiłkiem, dodał:

— W ładną wkopałaś nas kabałę, pozwalając, aby „Pirat“ odwiózł ją do domu! Nie mogłaś do wszystkich djabłów zabrać go do swojej dorożki? Czy nie widzisz, że ten dureń szaleje z miłości za nią? Trzeba być ślepym na oba oczy, żeby nie widzieć tego!

Tłumaczenie się Winifredy zbył nowemi wezwaniami do Wszechmocnego, nie kończąc swoich jeremjad, w trakcie których naurągał żonie, jej ojcu, jej bratu, Irenie, Bosinney'owi, całemu rodowi Forsytów, własnym dzieciom, klął dzień, w którym przyszło mu na myśl zenić się, i tak przez całą drogę, dorożki nie zajechali do Barnes.

Winifreda, kobieta silnego charakteru, dała mu wy-

złościć się, wiedząc z doświadczenia, że po wyrzuceniu z siebie wszystkiego, co miał na sercu, zamilknie i nie przerwie przez długi czas ponurej swojej zadumy. Miotające wciąż jeszcze iskry gniewu oczy jego nie odrywały się od tyłu wyprzedzającej ich dorożki, mknącej, co koń wyskoczy, poprzez zgęszczający się z każdą chwilą mrok.

Nie mógł, na szczęście, słyszeć namiętnych wynurzeń, które wezbranym potokiem zerwały się z piersi Bosinney'a: nie mógł widzieć dreszczu, przebiegającego ciała Ireny, jakgdyby obnażono ją nagle z szat, ani jej ciemnych, przepastnie smutnych oczu, jak oczy bitego dziecka. Nie mógł słyszeć błagań i zaklinań Bosinney'a, nie mógł słyszeć jej nagłego, cichego płaczu, ani widzieć, jak to marne, zgłodniałe wilczyisko kornie, ze drzeniem, niby świętości, dotknęło jej ręki.

Na Montpellier Square, stosując się literalnie do wydanych mu instrukcyj, zatrzymał się woźnica tuż przed wyprzedzającą ich dorożką. Dartie i jego żona dostrzegli Bosinney'a, wyskakującego, za nim w ślad Irenę, która ze spuszczoną głową wbiegła na schody. Miała widocznie klucz od mieszkania, znikła bowiem momentalnie. Niepodobna było zdać sobie nawet sprawy, czy zwróciła się jeszcze z jakim słowem do Bosinney'a, który przeszedł po chwili obok dorożki Dartie'go.

Oboje, i mąż i żona, mogli zupełnie dobrze widzieć jego twarz w świetle ulicznej latarni. Nosila ona jeszcze na sobie wyraźne ślady gwałtownego wzruszenia.

— Dobranoc, panie Bosinney — zawołała wśląd za nim Winifreda.

Bosinney wzdrygnął się, zerwał kapelusz z głowy i popędził dalej, nie zatrzymując się. Zdawał się zapominać zupełnie o ich istnieniu.

— Cóż?! Nie mówiłem?! — wybuchnęła na nowo Dar-

tie. — Widziałś twarz tej bestji? Ładnie ubraliśmy Irenę! — Skorzystał z okazji, naturalnie!

Tak oczywistem było, że musiała rozegrać się w do-
różce dramatyczna jakaś scena, iż Winifreda nie mogła
bronić już swojej teorii. Rzekła więc tylko:

— Nie będę o tem nikomu opowiadała. Na co zda-
łoby się roztrąbić po świecie całą tę historję?

Dartie zgodził się odrazu na ten pogląd. Uważając Ja-
mesa za osobistą swoją rezerwę, oponował z zasady
przeciwko niepokojeniu go obcemi troskami.

— Zupełnie słusznie. Soames może sam zająć się swo-
jemi sprawami. Potrafi chyba dać sobie sam radę!

Rozmawiając w ten sposób, zajechali oboje małżonko-
wie Dartie do swojej siedziby na Green Street, za którą
komorne opłacał James i zaraz udali się na dobrze zasłu-
żony wypoczynek. Było już po północy i żaden Forsyte
nie pozostałby o tej porze na ulicy, aby śledzić niespo-
kojną wędrówkę Bosinney'a, ani powrót jego i zatrzy-
manie się przy sztachetach ogrodowych na Montpellier
Square, tyłem do światła latarni ulicznej; aby widzieć
go, stojącego tu w cieniu drzew, wpatzonego w okna
domu, gdzie ukryta była ta, za możność widzenia której
na jedną jedyną chwilę oddałby świat cały; ta, która
była teraz dla niego tchnieniem drzew lipowych, światłem
jego oczu, ciemnością nocy i biciem własnego jego serca.

ROZDZIAŁ X

O K R E Ś L E N I E F O R S Y T Ó W

W naturze Forsytów leży nieświadomość tego, że
są Forsytami; Jolyon-syn wiedział jednak, że jest For-
sytem. Nie miał o tem pojęcia aż do popelnienia sta-
nowczego kroku, który wyrzucił go poza nawias własnej
jego społeczności. Od tej chwili świadomość tkwiącego

w nim forsytyzmu nie opuszczała go nigdy. Czuł ją przez cały czas małżeńskiego swojego pożycia, w ciągu całego współżycia jego z drugą żoną, która była najbardziej krańcowem przeciwieństwem Forsytów.

Wiedział, że gdyby nie zdawał sobie tak jasno sprawy z tego, do czego dążył i nie umiał z taką uporczywością kroczyć drogą, jaką sobie wytknął, gdyby nie miał poczucia szaleństwa utracenia tego, co okupił tak wysoką ceną — słowem, gdyby nie posiadał „poczucia własności“ — nie mógłby nigdy utrzymać jej (może nawet nie chciałby wcale utrzymać jej) w ciągu piętnastu lat finansowych trosk, zawodów i zmartwień; nie byłby nigdy skłonil jej do poślubienia go po śmierci pierwszej jego żony; nie miałby możności przeżycia tego wszystkiego i ostania się, wymizerowanym co prawda i wychudzonym, ale z uśmiechem na ustach.

Należał do typu ludzi, którzy, siedząc ze skrzyżowanemi nogami, niby minjaturowe bożki chińskie, w klatce własnego serca, uśmiechają się stale, śmiejąc się z samych siebie drwiącym nieco, ironicznym uśmieszkiem. Nie znaczy to wszelako, aby uśmiech ten, przywarły nieodłącznie do jego twarzy i taki jej właściwy, miał być mu przeszkodą do jego czynów, które, podobnie jak jego podbródek i jego temperament, szczególnem były połączeniem miękkości i stanowczości.

Świadom był również, że jest Forsytem i w swojej pracy także, w swoim malowaniu akwarelami, któremu poświęcał się z taką energją, z okiem stale jednak zwróconem na samego siebie, jakgdyby nie mógł brać zupełnie na serjo podobnego zajęcia i jakgdyby stale ogarniał go niepokój, że nie zarabia malowaniem tem dość pieniędzy.

Wskutek tej właśnie świadomości swojej cech prawdziwego Forsyta przyjął nawpół z niesmakiem i na-

wpół z współczuciem następujący list od starego Jolyona (charakter pisma ojca bardzo nieznacznej uległ tylko zmianie w ciągu trzydziestu zgorą lat od czasu, jak je zapamiętał):

Sheldrake-House
Broadstairs
1 lipca.

„Mój drogi Jo!

Jesteśmy tutaj od dwóch tygodni i naogół pogoda sprzyjała nam. Powietrze jest tutaj orzeźwiający; nie-stety, moja wątroba wciąż nie w porządku. Chętnie też powrócę do miasta. O Junie nie mogę powiedzieć nic pocieszającego. Jej zdrowie i usposobienie pozostawiają wiele do życzenia; nie wiem doprawdy, na czem się to wszystko skończy. Nie mówi nic, widać jednak, że truje się biedaczka tem narzeczeństwem, które właściwie jest niem i nie jest niem — lichu doprawdy wie czem jest. Poważne mam wątpliwości, czy należy jej pozwolić powrócić do Londynu w obecnym stanie rzeczy, tak jest jednak samowolna, że może jej w każdej chwili wpaść na myśl spakować manatki. Ktoś powinienby pomówić z Bosinney'em, aby upewnić się, jakie są jego zamiary. Ja sam bałbym się na to ważyć, bo gotówbym przetrącić gągatkowi kości, myślę jednak, że ty, który znasz go z klubu, mógłbyś podjąć się tego i przekonać się, co właściwie chłopak ma na celu. Oczywiście, nie skompromitujesz niczem Juny. Rad będę usłyszeć od ciebie za parę dni, czy udało ci się dowiedzieć czegoś. Sytuacja stała się nieznośną dla mnie, myśl o malej dręczy mnie całemi nocami.

Ucałuj ode mnie Jolly i Holly

Twój kochający cię ojciec,
Jolyon Forsyte.“

Jolyon-syn zamyślił się nad treścią tego listu tak głęboko i poważnie, że żona jego zauważyła tę zadumę i zapytała, co się stało.

— Nic — odpowiedział.

Przyjął za stałą zasadę nie wspominać nigdy w rozmowach z żoną o Junie. Mogłoby to zaniepokoić ją; Bóg wie, co gotowa pomyśleć. Pośpieszył tedy zatrzeć wszelkie zewnętrzne ślady swojego zakłopotania, tak samo jednak udało mu się to, jak udaloby się jego ojcu, odziedziczył bowiem całą przejrzystość starego Jolyona w sprawach, dotyczących drobnych podstępów domowego życia. Dlatego też pani Jolyonowa-młodsza, krzując się dnia tego dokola gospodarstwa, miała mocno zaciśnięte wargi i od czasu do czasu tylko rzuciła na męża chyłkiem badawcze, przenikliwe spojrzenia.

W godzinach popołudniowych wyruszył Jolyon-syn do klubu z listem ojca w kieszeni, niezdecydowany jednak jeszcze, jak ma postąpić.

Wybadywanie człowieka co do jego zamiarów było mu szczególnie niemile, a własne jego anormalne położenie podwajało jeszcze tę przykrość. Tak, to zupełnie w guście jego rodziny, w guście wszystkich tych ludzi, których znał i z którymi związane były jego losy, narzucanie człowiekowi tak zwanych przez nich swoich praw do niego, upodabnianie go do nich samych; tak, zupełnie w ich duchu jest stosowanie swoich zasad handlowych do kwestyj czysto prywatnych!

I jak wyraźnie zdradzało całą istotę rzeczy zdanie, użyte przez ojca: — „Oczywiście, pod żadnym pozorem nie skompromitujesz Juny!“

A jednak list z osobistymi żalami, troska o Junę, groźba „pogruchotania kości“ takie są zrozumiałe! Cóż dziwnego, że ojciec chce się dowiedzieć, jakie ma Bosinney zamiary, cóż dziwnego też, że jest taki rozszonony?

Trudno odmówić żądaniu starego Jolyona. Ale dla-

czego jemu właśnie powierzona została niemila ta misja? Wybór zupełnie niewłaściwy; należy wszelako do cech prawdziwego Forsyta nie dbać, jakimi drogami osiągnie pożądany cel, byleby tylko zachowane zostały pozory.

Jak ma się do tego zabrać, albo też, pod jakim pretekstem odmówić? I jedno i drugie wydawało mu się niemożliwe. Tak, tak młody Jolyonie! Niema co, trzeba się zdecydować!

Przyjechał do klubu o trzeciej po południu i pierwszym zaraz człowiekiem, na którego się natknął, był Bosinney we własnej osobie, siedzący w rogu przy oknie, przez które wyglądał na ulicę.

Jolyon-syn usiadł nieopodal i wpatrzył się w niego uważnie po raz pierwszy może w życiu. Czynił to wszelako z ukrycia, nie chcąc spłoszyć nieświadomego tej obserwacji młodego człowieka. Zbyt mało znał niezwykle wyglądającego młodzieńca, tak różniącego się sposobem ubierania, twarzą i zachowaniem od innych członków klubu — sam Jolyon-młodszy, jakkolwiek odmienił się zarówno co do usposobienia i nastrojów, zachował jednak zawsze zewnętrzną nieskazitelną i charakterystyczną powściągliwość Forsyta. On jedyny z pośród wszystkich Forsytów nie słyszał nigdy o przezwisku, danem Bosinney'owi. Uważał go za człowieka niezwykłego, ale nie ekscentrycznego; niezwykłego i na tem koniec. Bosinney miał wygląd wymizerowany, był blady, z wklęsłymi policzkami i wystającymi, szerokimi kośćmi policzkowymi, nie czynił jednak bynajmniej wrażenia człowieka chorego, był bowiem silnej budowy, a gęstwina krętych jego włosów zdawała się wskazywać na nie-
spożyta żywotność mocnego organizmu.

Coś w jego twarzy i zachowaniu się wzruszyło młodego Jolyona, który wiedział z osobistego doświadczenia, co znaczy cierpienie, zrozumiał więc odrazu, że człowiek ten musi cierpieć.

Podniósł się i dotknął jego ramienia.

Bosinney wzdrygnął się, poznawszy młodego Jolyona, nie okazał jednak żadnych śladów zakłopotania.

Młody Jolyon usiadł obok niego.

— Nie widzieliśmy się już oddawna — zaczął. — Jak pan zaawansowany jest z budową domu mojego kuzyna?

— Będzie skończona za jaki tydzień.

— Winszuję panu!

— Dziękuję — chociaż nie zdaje mi się, aby miał być szczególny powód do winszowania.

— Naprawdę? — badał młody Jolyon. — Myślałem, że pan rad będzie pozbyć się wreszcie takiej roboty; widocznie jednak doświadczać pan musi tego samego, czego i ja doświadczam, rozstając się z malowanym przeze mnie obrazem — prawie jakgdybym rozstawał się z rodzonym dzieckiem.

Spojrzał zyczliwie na Bosinney'a.

— Tak — zgodził się Bosinney nieco cieplej — z chwilą, jak wychodzi to z człowieka, kończy się wszystko. Nie miałem pojęcia, że pan maluje.

— Akwarelą tylko; nie ufam zbyt wiele własnej pracy.

— Nie ufa pan własnej pracy?! Jakże może pan w takim razie poświęcać się jej? Niema celu pracować, o ile nie wierzy się we własne dzieło!

— Ma pan słuszność! Zawsze tak mówiłem — odparł młody Jolyon. — Ale, ale, czy pan zauważył, że ilekroć przyznaje się komuś słuszność, dodaje się zarazem: „Tak właśnie zawsze mówiłem?...” Jeśli jednak zapyta mnie pan, dlaczego to czynię, odpowiem, że jestem Forsytem i w tem tkwi cała przyczyna.

— Forsytem?! Nigdy nie przyszłoby mi na myśl uważać pana za Forsyta.

— Forsyte — potwierdził młody Jolyon — nie jest rzadkim okazem zwierzęcia. Istnieją wpośród członków

tego klubu setki Forsytów. Setki ich spacerują po ulicach; natrafi pan na nich wszędzie, dokądkolwiek pan się zwróci.

— Wolno zapytać, po czem się ich rozpoznaje? — zaciekawiał się Bosinney.

— Po ich poczuciu własności. Każdy Forsyte ma praktyczny — możnaby go nawet nazwać trzeźwym — sposób zapatrywania się na rzeczy, a praktyczny sposób zapatrywania się na rzeczy oparty jest nadewszystko na poczuciu własności. Forsyte, jak się pan przekona, nigdy niczem się nie zdradza.

— Czy to ma być żart?

Młody Jolyon mrugnął porozumiewawczo okiem.

— Nie. Ja sam, jako Forsyte, nie powinienem tego mówić. Jestem jednak czystej krwi mieszzańcem, nie wprowadzam więc pana w błąd. Pomiedzy mną a panem taka sama zachodzi różnica, jak pomiedzy mną, a moim stryjem Jamesem, który służyć może jako typowy wzór prawdziwego Forsyta. Posiada on doprowadzone do najwyższej perfekcji poczucie własności, pan zaś nie posiadasz go wcale. Gdyby nie ja, jako pośrednie, łączące ogniwo, mógłby pan wydawać się odmiennym gatunkiem żyjącego stworzenia. Wszyscy, oczywiście w mniejszym lub większym stopniu, jesteśmy niewolnikami własności. Przyznaję też, że jest to tylko kwestja stopnia. Ci jednak, których nazywam Forsytami, należą do gatunku ludzi, będących raczej bardziej aniżeli mniej niewolnikami własności. Znają się oni na rzeczy, wiedzą co dobre, zdrowe i bezpieczne i ich trzymanie się pazurami własności — niezależnie od tego, czy własnością tą jest żona, kamienica, pieniądze czy opinja — jest cechą szczególnie ich wyróżniającą, ich marką fabryczną.

— O — mruknął Bosinney — powinienby pan opatentować to określenie!

— Miałbym nieraz ochotę — odparł młody Jolyon —

wygłosić odczyt na temat: „Właściwości i cechy Forsytów.“ Mile te stworzonka, najwięcej obawiające się okrycia śmiesznością w oczach innych przedstawicieli własnego gatunku, obojętne są na drwiny odmiennych od nich istot (jak ja np. lub pan). Obciążone dziedziczną krótkowzrocznością, zdolne są rozpoznawać jedynie osoby i siedziby, należące do własnego ich gatunku, wpośród których pędzą żywot względnie spokojny.

— Mówi pan o Forsytach — zauważył Bosinney — jakgdyby stanowili połowę Anglii.

— Stanowią istotnie połowę Anglii — odparł młody Jolyon — w dodatku lepszą połowę, pewniejszą połowę, trzyprocentową połowę, połowę, która winna być brana w rachubę. Ich zamożność właśnie i niezłomność umożliwia wszystko — rozwój pańskiej sztuki, literatury, nauki, religji nawet. Bez Forsytów, którym obojętne jest to wszystko, ale którzy ciągną z tego wszystkiego korzyści dla samych siebie, gdzie bylibyśmy teraz? Mój drogi panie, Forsytowie są przedstawicielami klasy średniej, handlowcami, podporami społeczeństwa, kamieniami węgielnymi i filarami układu społecznego — wszystkiem, co jest godne podziwu!

— Nie wiem, czy dobrze uchwyciłem sens pańskich słów — rzekł Bosinney — wyobrażam sobie wszelako, że i w moim zawodzie pełno musi być Forsytów, jak ich pan nazywa.

— Niewątpliwie. Przeważająca większość architektów, malarzy, czy pisarzy tak samo nie kieruje się żadnymi zasadami, podobnie jak inni Forsytowie. Sztuka, literatura, religja utrzymują się dzięki nielicznym narwańcom, szczerze w nie wierzącym, a także dzięki licznym Forsytom, ciągnącym handlowe z nich korzyści. Skromnie obliczając, trzy czwarte Królewskich naszych Akademików należy do gatunku Forsytów, także siedem dziesiątych naszych powieściopisarzy oraz znaczna część prasy.

O nauce nie mogę nic powiedzieć, w religji natomiast są oni reprezentowani nader licznie; w Izbie Gmin liczniejsi są bodaj niż gdzieindziej; o arystokracji niema co mówić nawet. Nie żartuję bynajmniej. Zaznaczam tylko, że niebezpiecznie jest iść przeciwko większości — i jakiej jeszcze większości!...

Spojrzał bystro na Bosinney'a.

— Niebezpiecznie jest dać się porwać i oddać całkowicie czemukolwiek — kamienicy, obrazowi... kobiecie!...

Obaj mężczyźni spojrzeli wzajem po sobie. I nagle Jolyon, jakgdyby w obawie, że zrobił to, czego nie robi żaden Forsyte — że odsłonił swoje karty — cofnął się w głąb własnej skorupy. Bosinney pierwszy przerwał milczenie.

— Dlaczego stawia pan własną rodzinę za wzór typowych okazów? — zapytał.

— Rodzina moja — odparł młody Jolyon — nie jest zbyt krańcowa; ma ona własne swoje szczególne właściwości i słabotki, jak każda inna rodzina, posiada, natomiast, w zdumiewająco wysokim stopniu dwie cechy charakteryzujące prawdziwego Forsyta — zdolność nieoddawania się niczemu głębią duszy, bez pamięci, a także poczucie własności.

Bosinney uśmiechnął się.

— A ten gruby naprzykład? — zapytał.

— Ma pan na myśli stryja Swithina? — zapytał młody Jolyon. — O, w nim jest jeszcze coś pierwotnego. Miejskie życie klasy średniej nie zdołało go jeszcze pochłonać. Tkwi w nim trwale praca wielu wieków na roli i pierwotna siła brutalna pomimo całej jego dżentelmenery.

Bosinney zdawał się namyślać.

— Trafnie określił pan w każdym razie swojego kuzyna Soamesa — odezwał się nagle. — Ten napewno nigdy nie da się porwać bez pamięci niczemu.

Młody Jolyon spojrział na niego przenikliwie.

— Nie — rzekł — napewno nie da się. Dlatego właśnie należy liczyć się z nim. Mieć się na baczności przed jego trzymaniem się oburącz stanu posiadania. Łatwo jest śmiać się. Nie należy jednak szydzić z Forsyta, nie należy lekceważyć go!

— A jednak pan sam to uczynił?

Trafnie wymierzone odparowanie ciosu ugodziło młodego Jolyona, na którego twarzy zgasł ożywiający ją uśmiech.

— Zapomina pan — rzekł z dziwną dumą — że i ja także potrafię trzymać się oburącz; jestem przecież sam Forsytem. My wszyscy należymy do mocnych natur. Człowiek, schodzący z bezpiecznej, osłoniętej murem ścieżki — wiadomo panu przecież, co mam na myśli... Nie radziłbym — dokończył, cedząc zwolna wyrazy, jakgdyby tonem groźby — nie radziłbym nikomu iść... moją... drogą... Zależy to...

Pąs rumieńca zalał policzki Bosinney'a, wnet jednak spłynął, pozostawiając je blado-smagłemi, jak zawsze. Roześmiał się on krótkim, urywanym śmiechem, krzywiącym jego usta dziwnym, dumnym grymasem i zapalającym w jego oczach iskry szyderczych ogników.

— Dziękuję — rzekł — djabło uprzejmie to z pańskiej strony. Ale wy, Forsytowie, nie jesteście jedynymi, którzy potrafią wytrwać i wytrzymać.

Podniósł się.

Młody Jolyon ścigał wzrokiem odchodzącego i, oparłszy twarz na rękę, westchnął.

W sennej atmosferze pustego prawie pokoju były jedynymi szmerami: szelest przewracanych gazet i pocieranie zapalek o siarniki. Pozostał przez długi czas bez ruchu, przeżywając w pamięci owe dni, kiedy i on także przesiadywał długie godziny na śledzeniu posuwających się zwolna wskazówek zegara, w oczekiwaniu

rychlejszego upływania minut — długie godziny, pełne udreki, niepewności i dzikiego, słodkiego bólu. Odżyła w nim z dawną siłą rozkoszna męka owych dni minionych. Widok Bosinney'a, jego bladej, wychudłej twarzy, jego płonących nieustannym niepokojem oczu, spoglądających raz wraz na zegar, wzbudził w sercu jego litość, niewolną od dziwnej, nieopanowanej zazdrości.

Tak dobrze znane mu były wszystkie te oznaki. Dokąd idzie? Ku jakim drogom przeznaczenia? Jaką jest ta kobieta, pociągająca go ku sobie ową siłą magnetyczną, której przeciwstawić się nie są zdolne względy honoru, zasad, ni interesu, przed którą jedynym ratunkiem jest ucieczka.

Ucieczka?! Dlaczego jednak miałby Bosinney uciekać? Mężczyzna ucieka, o ile staje wobec niebezpieczeństwa zburzenia ogniska rodzinnego, o ile są dzieci, o ile depce ideały, o ile czuje, że łamie coś bezpowrotnie. Tutaj jednak, o ile wiadomo Jolyonowi, zastał on już wszystko zdeptane i złamane.

On sam nie uciekł i nie byłby uciekł, gdyby wypadło przeżywać wszystko raz jeszcze na nowo. A przecież posunął się dalej niż Bosinney, zburzył nieszczęśliwe własne swoje ognisko domowe, nie cudze. Przypomniała mu się dawna przypowieść, głosząca, że: „Losy człowieka leżą we własnem jego sercu.“

W jego własnem sercu! Smak potrawy poznaje się, jedząc ją. — Bosinney ma jeszcze przed sobą potrawę, którą będzie musiał spożyć, ażeby poznać jej smak.

Myśli jego skierowały się ponownie ku kobiecie owej, ku kobiecie, której nie znał, ale której zarys dziejów obił się w opowiadaniu o jego uszy.

Niefortunne zamążpójście! Nie, żeby mąż źle ją miał traktować — jedynie owo niedające się określić uczucie zgnębienia, ów straszliwy jad zarazy, zatruwający wszelką słodycz na ziemi; i tak z dnia na dzień, z tygodnia na

tydzień, z roku na rok, dopóki śmierć nie poloży kresu tej męce!

Ale młody Jolyon, którego gorycz uczuć zdołał już czas ułagodzić, rozumiał także i rolę Soamesa w całej tej sprawie. Skąd człowiek, przesiąknięty, jak jego brat stryjeczny, wszystkimi przesadami i wierzeniami swojej kasty, czerpać ma poczucie czy natchnienie, że winien poświęcić się, łamiąc własne swoje życie? To sprawa wyobraźni, zdolności przerzucenia się myślą w przyszłość, poza granice dokuczliwych plotek, szyderstw i skandalu, towarzyszących podobnym rozstaniom, poza sferę przemijających skurczów bólu, spowodowanych utraceniem *jej* z oczu, poza surowe potępienie osób czcigodnych. Niewielu wszelako ludzi, niewielu zwłaszcza z pośród przedstawicieli kasty, do której należy Soames, posiada potrzebny na to zasób wyobraźni. Zwykły udział śmiertelników na tym świecie i zwykła niedostateczność daru wyobraźni. I, Boże wielki, jaka przepaść nieprzebyta pomiędzy teorią a praktyką! Niejeden mężczyzna, może i sam Soames nawet, w zasadzie wyraża rycerskie na te sprawy poglądy, kiedy jednak zatruta strzała ugodzi w niego samego, znajdzie on napewno czynnik, wyróżniający go i czyniący z niego szczególny wyjątek.

I to jednak rozumowanie wydało mu się nieuzasadnionem. Przeżył podobne doświadczenie na samym sobie, zakosztował w pełni goryczy nieszczęśliwego małżeństwa, jakże więc mógłby bezstronnie sądzić tych, którzy nigdy osobiście nie przeszli przez udrękę walki? Własny jego pogląd na te sprawy był zbyt osobistym — jak pogląd na sprawy wojskowe, wypowiedany przez żołnierza, który przebywał długie lata w czynnej służbie, w zestawieniu z poglądem cywila, który nie przecierpiał na własnej skórze niewygód zbyt bliskiego stykania się z polem bitwy.

Większość ludzi gotowa uważać małżeństwo takie jak

Soamesa i Ireny za najdoskonalej, nieszczęśliwi j dobrane: on wnosil majątek, ona — urodę; najwłaściwsze pole do kompromisu. Niema powodu, dla którego nie mieliby ciągnąć pospółu taczki życia, chociażby nawet mieli się nienawidzić wzajem. Mniejsza o to, jeśli każde z nich pójdzie własną drogą, byleby nie zostały przekroczone granice przyzwoitości, byleby uszanowana była świętość węzłów małżeńskich, nienaruszalność wspólnego ogniska. Polowa małżeństw wśród wyższej klasy średniej oparta jest na nieobrażaniu poczucia przyzwoitości, jaką się rządzi społeczeństwo, na uszanowaniu drażliwości, jaka cechuje na tym punkcie kościół. Aby uniknąć urażania społeczeństwa i kościoła, warto poświęcić własne, najgłębsze bodaj uczucia. Korzyści ustalonego ogniska rodzinnego są widoczne, namacalne — składa się na nie tyle obiektów posiadania! Utrzymanie *status quo* nie grozi żadnem ryzykiem. Zburzenie ogniska rodzinnego jest w najlepszym razie eksperymentem wielce niebezpiecznym, w dodatku czysto egoistycznym.

Na tym punkcie sprawa wymagała dowodzenia i obrony i młody Jolyon westchnął boleśnie.

— Ośrodkiem tego wszystkiego — pomyślał — jest poczucie własności, wielu ludzi wołałoby wszelako nie stawiać kwestji na tej płaszczyźnie. W ich pojęciu idzie wyłącznie o świętość węzłów małżeńskich. Ale podstawą świętości węzłów małżeńskich jest świętość rodziny, a świętość rodziny oparta jest na świętości posiadania, zatem na własności. A przecie wszyscy ci ludzie są wyznawcami Tego, który nic nigdy nie posiadał na własność. Ciekawe!

I młody Jolyon westchnął ponownie.

— Czy ja sam, wracając teraz do domu, zaproszę każdego napotkanego nędzarza, aby podzielił ze mną mój obiad, którego w takim razie mogłoby nie starczyć dla mnie samego, a w każdym razie dla mojej żony, nie-

zbędnej mi do szczęścia i zdrowia? Może ostatecznie Soames słusznie czyni, korzystając ze swoich praw i przyczyniając się własnym przykładem do podtrzymania i umocnienia uświęconej zasady posiadania, z której korzystamy wszyscy — z wyjątkiem tych, którzy cierpią z tego powodu?

Pograżony w rozmyślaniach tych, wstał z krzesła, precisnął się pomiędzy tłumem siedzących, wziął kapelusz i, snując się ociężale przez rozprażone, natłoczone pojazdami, przepojone niemilemi zapachami, zapyłone ulice, skierował się ku domowi.

Zanim stanął na Wistaria Street, wyjął z kieszeni list ojca i, podarłszy go starannie na drobne strzępy, rozwiął je w pyle gościńca.

Otworzył drzwi swojego domu kluczem od zatrzasku i, wszedłszy, zawołał żonę po imieniu. Okazało się jednak, że wyszła, zabrawszy z sobą Jolly i Holly i dom był pusty. W ogrodzie tylko pies, Baltazar, leżał pod drzewem, oganiając się przed natarczywością much.

Młody Jolyon usiadł przy nim pod gruszą, która nie rodziła już owoców.

ROZDZIAŁ XI

KILKA SŁÓW O BOSINNEY'U

Nazajutrz po owej wycieczce do Richmondu wrócił Soames z Henley rannym pociągiem. Nie interesując się szczególnie sportami wodnymi, traktował wizytę swoją raczej jako kwestję interesu, aniżeli przyjemności; nie chciał odmawiać przyjęcia zaprosin jednego z poważniejszych swoich klientów.

Ze stacji kolejowej udał się wprost do City, nie znalazłszy tam wszelako nic szczególnego do załatwienia, wyszedł z biura o trzeciej, rad z okazji spokojnego

powrotu do domu. Irena nie spodziewała się go. Nie miał bynajmniej zamiaru szpiegowania jej, nie widział jednak nic zdrożnego w niespodziewanym takim zjawieniu się.

Przebrawszy się w spacerowe ubranie, wszedł do salonu. Zastał ją tam, siedzącą beczynnym w rogu kanapy, na ulubionem jej miejscu. Miała podkrążone oczy, jakgdyby po spędzeniu bezsennej nocy.

— Co się stało, że jesteś tutaj? — zapytał. — Czy oczekujesz kogo?

— Tak... właściwie nikogo szczególnego.

— Kogo?

— Pan Bosinney uprzedził, że może wstąpi.

— Bosinney?! Powinien być na budowlu.

Na uwagę tę nie dała odpowiedzi.

— Chciałbym, żebyś pojechała ze mną do Składow, a potem pójdziemy do Parku.

— Nie mam ochoty wyjść. Boli mnie głowa.

— Zawsze, ile razy chcę, żebyś coś zrobiła, wymawiasz się bólem głowy. Dobrze ci robi, jak posiedzisz trochę w cieniu drzew.

Milczała.

Soames milczał także przez kilka minut; wreszcie rzucił cierpką uwagę:

— Nie wiem, jak sobie wyobrażasz twoje obowiązki żony. Nie dawałaś nigdy dowodu rozumienia ich!

Nie spodziewał się z jej strony odpowiedzi, odpowiedziała jednak.

— Staralam się spełniać twoją wolę; nie moja wina, że nie wkładałam w to całej duszy.

— A czyja w takim razie? — Spojrzał na nią zukosa.

— Przed pobraniem się naszym przyobiecałeś, że uwolnisz mnie od siebie, o ile małżeństwo nasze nie miałyby okazać się szczęśliwym: Czy podług ciebie jest ono szczęśliwe?

Soames zmarszczył czoło.

— Szczęśliwe? — bąknął. — Mogłoby być szczęśliwym, gdybyś zachowywała się jak należy.

— Próbowałam — odparła Irena. — Zwróć mi wolność!

Soames odwrócił się. Przerażony w gruncie rzeczy, szukał ucieczki w wybuchu gniewu.

— Zwrócić ci wolność?! Sama nie wiesz, co mówisz! Zwrócić ci wolność?! Jakim sposobem mogę zwrócić ci wolność?! Jesteśmy przecież mężem i żoną! O czym więc mówisz? Na miłość boską, nie zwracaj ani sobie ani mnie głowy podobnemi głupstwami. Włóż lepiej kapelusz i chodź posiedzieć trochę w Parku.

— Nie chcesz zatem zwrócić mi wolności?

Widział, że oczy jej, pełne dziwnie błagalnego wyrazu, zatrzymały się na jego twarzy.

— Zwrócić ci wolność?! — powtórzył. — A cóż u licha poczęłabyś z tą wolnością, gdybym zgodził się zwrócić ci ją? Nie masz przecież żadnego majątku!

— Poradziłabym sobie jakoś.

Zerwał się i zaczął niespokojnie przebiegać tam i zpowrotem pokój. Po chwili zatrzymał się i stanął przed nią.

— Chciej proszę zrozumieć raz na zawsze, że nie życzę sobie słuchania podobnych niedorzeczności! Idź i włóż kapelusz!

Irena nie ruszyła się z miejsca.

— Przypuszczam — syknął Soames — że nie chcesz wyjść dlatego, że Bosinney może przyjść.

Podniosła się zwolna i wyszła z pokoju. Po chwili wróciła w kapeluszu.

Wyszli.

W Parku trafili na godzinę popołudniową, godzinę szarego tłumu, kiedy cudzoziemcy i inni ludzie, uważający się za nadających ton, nie zwykli używać prze-

jażdżki: godzina ich spaceru minęła, kiedy Soames i Irena usiedli w pobliżu posągu Achillesa.

Oddawna już nie korzystał z jej towarzystwa w Parku. Było to jedną z minionych rozkoszy pierwszych dwóch letnich miesięcy ich małżeńskiego życia, kiedy popisując się wobec całego Londynu posiadaniem na własność uroczej tej istoty napawało go największą, choć tajoną na dnie duszy dumą. Ileż poobiedzi takich spędził, siedząc obok niej, ubrany z największą starannością, w jasno-perłowych rękawiczkach, z lekkim, uprzejmym uśmiechem kiwając głową przechodzącym znajomym, tu i owdzie uchylając przed nimi kapelusza.

Jasno-perłowe rękawiczki obciągały w dalszym ciągu jego ręce, a usta jego krzywił ten sam sardoniczny uśmiech; co się wszelako stało z rozradowaniem jego serca?

Krzeseła i ławki opróżniały się szybko, Soames trzymał tu jednak Irenę wciąż jeszcze, milczącą i bladą, jak-gdyby chcąc ją w ten sposób ukarać. Parę razy rzucił pobieżną jakąś uwagę, na co pochylała głowę lub też odpowiadała: „Tak!“, słabo się przytem uśmiechając.

Wzdłuż sztachet pędził mężczyzna jakiś tak śpiesznie, że ludzie oglądali się za nim, w miarę jak przebiegał.

— Spójrz na tego osła — rzekł Soames. — Trzeba być warjatem, żeby biec tak w podobny upał — dodał, zwróciwszy się w jego stronę. Irena poruszyła się nagle na krześle.

— Hallo! — zawołał — to nasz przyjaciel, Pirat!

Soames siedział spokojnie z szyderczym uśmiechem, widząc, że Irena pozostaje równie spokojnie na miejscu i uśmiecha się tak samo jak i on.

— Czy ukłoni mu się? — pomyślał.

Nie dostrzegł jednak żadnego poruszenia na jej twarzy.

Bosinney dobiegł tymczasem do końca sztachet i szedł teraz, zbliżając się ku nim spacerowym krokiem, z ocza-

mi utkwionemi w ziemię, jak wyżeł tropiący ślad zwierzyny. Spostrzegłszy Soamesa i Irenę, stanął nagle jak wkopany i zdjął kapelusz.

Uśmiech nie zgasł na twarzy Soamesa, który również uchylił kapelusza.

Bosinney zbliżył się do nich z dziwnym wyrazem znużenia na twarzy, jakgdyby po dokonaniu wyczerpujących ćwiczeń. Pot wystąpił kroplami na jego czoło, a uśmiech Soamesa zdawał się mówić:

— Nielatwo ci przyszło, kochanku!... Cóż to pan robi w Parku? — zwrócił się do Bosinney'a. — Pewni byliśmy, że pogardza pan podobnie płochami przyjemnościami.

Bosinney zdawał się nie słyszeć skierowanego do niego zapytania, zwrócił się bowiem bezpośrednio do Ireny:

— Byłem u państwa; miałem nadzieję, że zastanę panią.

Ktoś dotknął ramienia Soamesa i przemówił do niego; podczas wymiany zwykłych uprzejmości z jegomościem, stojącym poza jego plecami, nie dosłyszał Soames odpowiedzi Ireny.

— Wracamy właśnie — zdecydował się nagle. — Chódź pan do nas — zwrócił się do Bosinney'a. — Zje pan z nami obiad.

Zaproszenie to wypowiedział tonem szczególnie wyzywającym i szczególnie jeszcze żalonym. Jego wzrok i ton zdawały się mówić:

— Nie wyprowadzisz mnie, bratku, w pole, a mimo to, widzisz, ufam ci — nie boję się ciebie!

Wrócili we troje na Montpellier Square, Irena pomiędzy obydwoma mężczyznami. W przejściu przez bardziej natłoczone ulice szedł Soames na przedzie. Nie słuchał ich rozmowy; niezrozumiała decyzja ufności, jaką powziął, zdawała się kierować utajonemi pobudkami

jego i ożywiać je wyraźnie. Jak gracz-ryzykant powiedział sobie:

— Karty tej nie mogę odrzucić — muszę na nią postawić. Zbyt mało mam szans.

Przebierał się do obiadu powoli, słyszał, jak Irena wyszła z pokoju i zesłała nadół i jeszcze przez dobrych pięć minut potem kręcił się po swojej ubieralni. Wreszcie zeszedł, z umysłu zatraskując drzwi głośno, aby uprzedzić, że schodzi. Zastał ich oboje stojących przy kominku, rozmawiających, a może i nie — nie potrafiłby tego powiedzieć.

Przez cały wieczór farsowo odgrywał swoją rolę — zachowując się w stosunku do swojego gościa uprzejmiej niż kiedykolwiek, a kiedy wreszcie Bosinney zaczął zabierać się do wyjścia, rzekł:

— Niech pan znów wkrótce nas odwiedzi; Irena chętnie rozmawia z panem o domu.

I znów głos jego brzmiał zarazem dziwnie wyzywająco i jeszcze dziwniej żałośnie, ale dłoń jego zimna była jak lód.

Wierny powziętemu postanowieniu, w chwili ich rozstawania się odwrócił się od żony, stojącej pod wiszącą lampą i tu zegnającej gościa, odwrócił się od lśniącej w świetle jej złotowłosej główki, od jej smutnie uśmiechniętych ust, od widoku wpatrzonych w nią z psią wiernością i psiem oddaniem oczu Bosinney'a.

Położył się spać, zdobywszy niezbitą pewność, że Bosinney kocha się w jego żonie.

Noc letnia była gorąca, tak rozprazona i cicha, że przez otwarte okno wlewały się fale gorętszego jeszcze niż pokojowe powietrza. Przez długie godziny leżał wsłuchany w oddech żony.

Irena może spać, on natomiast leży z otwartymi oczami. Leżąc i nie śpiąc, umacniał się w decyzji odgrywania roli spokojnego i ufającego męża.

Przed świtaniem jeszcze wysunął się z łóżka i, wszedłszy do swojej gotowalni, usiadł przy otwartem oknie. Z trudnością oddychał.

Odżyła w jego pamięci noc z przed czterech lat — przedostatnia noc, dzieląca go od dnia jego ślubu — noc równie rozprężona i duszna jak ta dzisiejsza.

Przypomnił sobie, jak leżał na trzcinowym długim fotelu w oknie bawialni swojej na Victoria Street. Na dole w bocznej uliczce, mężczyzna jakiś trzasnął drzwiami, kobieta jakaś wrzasnęła — tak żywo stało mu to wszystko w pamięci, jakgdyby działo się w tej chwili; odgłosy bijatyki, trzaśnięcie drzwiami i martwa cisza, jaka po tem nastąpiła. A potem, o świcie, wóz do polewania, oczyszczający błoto z ulicy, zadudnił na oświetlonej dziwnem, wydającym się zbędnem już, światłem latarni; zdawało się, że słyszy ponownie coraz bliżej i bliżej turkot kół wozu, aż wreszcie przebrzmiał i zaciął zwolna wodдали.

Wychylił się przez otwarte okno, ponad małe, leżące pod niem podwórko i dostrzegł, że niebo zaczyna szarzeć. Przez chwilę zatarły się kontury ciemnych murów i dachów, poczem zarysowały się wyraziściej niż poprzednio.

Przypomnił sobie, jak owej dawno minionej nocy obserwował blednące wzdłuż Victoria Street latarnie, jak pośpiesznie zarzucił na siebie ubranie i popędził na ulicę, jak przebiegł wzdłuż domów i placów przed mały domek, w którym zamieszkała Irena i stał tam, patrząc na jego mury, nieme i szare, niby oblicze umarłego człowieka.

I, nagle przeszła mózg jego majaczeniem chorej fantazji myśl dzika:

— Co on teraz robi? — on, człowiek, którego obraz nie daje mi spokoju, ów człowiek, który był tutaj dzisiaj, który kocha się w mojej żonie — może krąży tutaj gdzieś

wpobliżu, wpatrzony w jej okna, jak wpatrzony był — wiem o tem dobrze — dzisiaj po obiedzie w nią samą; może krąży dokoła mojego domu i wypatruje jej, tak samo jak ja wówczas?

Przekradłszy się przez podest schodowy na front domu, rozsunał storę i otworzył okno.

Drzewa na skwerze wylaniały się w szarej poświacie, jakgdyby noc, jak wielka, nisko fruująca ćma, musnęła je dotknięciem swoich skrzydeł. Latarnie paliły się jeszcze, ale ani jedna żywa dusza nie poruszyła się — nie widać było ani jednej żywej istoty.

Nagle jednak, zdala, wśród grobowej ciszy, usłyszał przenikliwy, wywołany znać spazmem bólu, krzyk, jakgdyby głos duszy straconej z nieba i oplakującej swoje szczęście. Krzyk ten powtórzył się raz jeszcze — i znów po raz trzeci! Soames zamknął okno, wstrząśnięty dreszczem grozy.

Wnet wszelako domyślił się.

— Ach, to tylko pawie, tam, z drugiej strony wody!

ROZDZIAŁ XII

JUNA SKŁADA WIZYTY

Stary Jolyon stał w wąskim hallu w Broadstairs, przesiąkniętym wonią śledzi i płótna napojonego tłuszczeniem, właściwą wszystkim szanującym się mieszkalnym domom na wybrzeżach morskich. Na krześle — na wytartym skórzanem krześle z wyzierającym z dziury w lewym górnym kącie klakiem rosharu — leżała teka. Wypełniał ją rozmaitemi dokumentami i notatkami, ostatnim numerem gazety „Times“ i butelką wody kolońskiej. Tego dnia miał zebranie „Towarzystwa Złotykh Koncesji“ i „Nowego Towarzystwa Kopalń Węgla z ogr. por.“, na które wybierał się, nie opuszczał bowiem

z zasady żadnego z zebrań Zarządu. Opuszczanie zebrań Zarządu byłoby jeszcze jednym dowodem starzenia się, a tego nie mógłby znieść zachlanny jego duch forsytowski.

Oczy jego w chwili pakowania teki skrzyły się, jak gdyby lada chwilę miały buchnąć z nich płomienie gniewu. Tak skrzą się oczy małego uczniaka, przywabionego bójką, do jakiej chcą go wciągnąć towarzysze; powstrzymuje się jednak, odstraszonego głoźnemi przeważającymi siłami, jakie czuje przeciw sobie. Stary Jolyon powstrzymywał się również, hamując z mistrzowską, obecnie już słabnącą na sile umiejętnością panowania nad sobą gniew, którym burzył się na warunki swojego życia.

Otrzymał od syna niedorzeczny list, w którym chłopak dalekimi ogólnikami usiłował wykręcać się od dania odpowiedzi na postawione mu wprost pytanie.

„Widziałem się z Bosinney'em — pisał. — Nie jest on wcale zbrodniarzem. Im więcej poznaję ludzi, tem więcej się przekonuję, że nigdy nie są ani zdecydowanie dobrzy, ani zdecydowanie źli — bywają tylko śmieszni, albo wzruszający. Ale ojciec napewno nie zgodzi się ze mną.“

Stary Jolyon nie zgadzał się z nim; uważał taki sposób wyrażania się za cynizm; nie doszedł jeszcze do tak starczego wieku, w którym Forsytowie nawet, wyrzuci z iluzji i zasad, żywionych przez całe życie wobec celów praktycznych, jakkolwiek nigdy w głębi duszy nie wierzyli w nie, nie doznający żadnych już rozkoszy cielesnych, odarci z resztek nadziei na przyszłość — przełamują krępujące ich dotychczas zapory powściągliwości i mówią rzeczy, o jakich możność wypowiedzania nigdy sami nie mogliby się posądzać.

Może nawet i on nie wierzył bardziej niż syn, w istnienie jednostek „z gruntu złych“ i „bezwzględnie do-

brych“, utrzymywał jednak, że „nic o tem nie wie, nic o tem nie może powiedzieć — może i coś jest w tem, pocóż więc niepotrzebnem zupełnie niedowiarstwem dobrowolnie pozbawiać się możliwych korzyści?“

Przywykły do spędzania wakacyj swoich w górach — jakkolwiek (jako prawdziwy Forsyte) nie ważył się nigdy na imprezy zbyt szalone i karkołomne — namiętnie je pokochał. Ilekroć też, po wysiłku wspięcia się na szczyt, oglądał cudowny widok (zaznaczony w Baedekerze, jako wycieczka „nużąca, ale oplacająca się“), odczuwał niewątpliwe istnienie wielkiej, wzniosłej prawdy, wieńczącej chaotyczne wysiłki, przerzucającej mosty poprzez wymaginowane przepaście i śmiechu warte drobne, ciemne otchłanie życia. Było to uczucie, najbliższe wierzeniu religijnemu, na jakie mógł zdobyć się kiedykolwiek jego praktyczny umysł.

Od wielu lat już jednak nie bywał w górach. Zawoził tam Junę przez dwa z kolei letnie sezony po śmierci żony, doznał wszelako goryczy stwierdzenia, że skończyły się dla niego dni pieszych wycieczek górskich.

Oddawna już nie odzywała się w jego duszy owa wiara w najwyższy porządek rzeczy, jaką darzyło go wspinanie się na szczyty.

Wiedział, że jest stary, czuł się jednak młodym i to właśnie niepokoiło go. Niepokoiło go i przerażało, że on, który był taki „zrównoważony i przezorny“, miałby być ojcem i dziadkiem istot, jakgdyby stworzonych do klęsk życiowych. Nie może nic zarzucić Jo — któż mógłby zarzucić coś dzielnemu temu chłopcu? — ale sytuacja jego jest pożałowania godna, a sprawa Juny bynajmniej nielepsza. Istny fatalizm, a fatalizm był jedną z tych rzeczy, której człowiek jego pokroju nie jest w stanie ani zrozumieć, ani też z nią się pogodzić.

Pisząc do syna, nie miał właściwie nadziei, aby przydało się to na coś. Od owego balu u Rogersa zdawał

sobie jasno sprawę, jak rzeczy się mają — umiał trafniej i szybciej obserwować i dochodzić do konkluzyj, aniżeli większość ludzi — i, mając przed oczami przykład własnego syna, wiedział lepiej od wszystkich Forsytów jego rodu, że błady ten płomień osmala skrzydła mężczyzn, czy chcą czy nie chcą.

Zanim jeszcze Juna zaręczyła się, w owym czasie, kiedy obie, pani Soamesowa i ona, nierozłącznymi były towarzyszkami, widywał Irenę dość często, aby móc stwierdzić czar, jakim sidłała ona mężczyzn. Nie jest flirciarką, nie ma w sobie zalotności nawet — obu tych cech tak drogich sercu obecnego pokolenia, lubiącego mianować rzeczy miłemi, elastycznymi, niedość ściślemi określeniami — mimo to jest niebezpieczna. Nie umiałby nawet powiedzieć dlaczego. Gdyby starano się wytłumaczyć mu, że jest to właściwość wrodzona niektórym kobietom — kusząca potęgą, niepoddająca się własnej ich kontroli! — odpowiedziałby:

— Nonsens!

Irena jest niebezpieczna i na tem koniec. Nie zamierzał zagłębiać się nad tą sprawą. Wolał zamknąć na nią oczy. Jeżeli tak jest, to trudno — nie chce słyszeć więcej o tem — pragnie tylko uratować sytuację Juny i zwrócić jej utracony spokój ducha. Nie tracił wciąż jeszcze nadziei, że stanie się ona znów, jak dawniej, pociechą jego starości.

I dlatego napisał. Niewiele mu przyszło z otrzymanej odpowiedzi. Co się tyczy osiągniętych przez młodego Jolyona wyników jego wywiadu, streszczały się one faktycznie w jednym jedynym, dziwnym zdaniu:

— Widzę, że dał się on porwać prądowi.

Prądowi? Jakiemu prądowi? Do licha z tym nowomodnym sposobem wyrażania się!

Westchnął ciężko i złożył ostatni dokument do bocznej

kieszeni teki. Wiedział aż nadto dobrze, co syn jego chciał przez to powiedzieć.

Juna wyszła z jadalni i pomogła mu włożyć letnie palto. Z jej stroju i wyrazu stanowczości na jej drobnej twarzyczce domyślił się odrazu, co go czeka.

— Jadę z tobą, dziaduniu — oświadczyła.

— Niema sensu, dziecko; jadę wprost do City. Nie chcę, ażebyś się kręciła sama po ulicach.

— Muszę odwiedzić staruszkę, panią Smeechowę.

— O, te twoje wieczne niedolegi — pupilki! — mruknął dziadek z niezadowoleniem. Niebardzo wierzył w podany przez nią pretekst, przestał wszelako oponować. Wiedział i tak, że nic nie poradzi na jej upór.

Na londyńskiej stacji kolejowej wsadził ją do pociągu, który zamówił dla samego siebie — charakterystyczny gest, świadczący o jego braku drobiazgowego samolubstwa.

— Nie przemęczaj się tylko, kochanie — rzekł i pojechał dorożką do City.

Juna kazala się zawieźć nasamprzód na jedną z bocznych ulic w dzielnicy Paddingtonu, gdzie mieszkała pani Smeechowa, jedna z jej zniedołężniałych pupilek — staruszka, zajmująca się niegdyś posługą na godziny. Po spędzeniu wszelako pół godziny na wysłuchaniu zwykłej litanji jej skarg i chwilowego ukojenia jej i obdarzenia jej pewną pociechą, pojechała do Stanhope Gate. Zastala wielki dom zamknięty i ciemny.

Postanowiła jednak dowiedzieć się czegoś za wszelką cenę. Lepiej stanąć wobec najgorszego bodaj i skończyć z tem raz wreszcie. Powzięła tedy następujący plan: Pójdzie przedewszystkiem do ciotki Fila, pani Baynesowej, o ile zaś nie miałyby się niczego od niej dowiedzieć, uda się wprost do Ireny. Nie zdawała sobie wszelako dokładnie sprawy, co zyska tą drogą.

O trzeciej popołudniu była na Lowndes Square. Wie-

dziona instynktem, niezawodnym w chwilach ciężkich powikłań życiowych, ustroiła się w najlepszą swoją toaletę i stanęła do walki z błyskiem odwagi godnej samego starego Jolyona. Lęk jej ustąpił miejsca energii.

Pani Baynesowa (Luiza było jej na imię) znajdowała się w chwili oznajmienia jej przybycia Juny w kuchni, gdzie wdrażała w nowe obowiązki świeżo przyjętą kucharkę, była bowiem zawołaną gospodynią, zaś, jak mawiał zawsze Baynes „dobry obiad — to grunt“. On sam najlepsze swoje dzieła tworzył po obiedzie. Baynes właśnie, a nie kto inny, był twórcą zdumiewającego szeregu wysokich szkarłatnych domów w Kensingtonie, współzawodniczących z tyloma innymi o tytuł „najbrzydszych w Londynie“.

Usłyszawszy imię Juny, pośpieszyła do swojej sypialni i, wyjąwszy dwie wielkie bransoletki z pąsowego safjanowego pudełka w zamkniętej szufladzie toalety, włożyła je na białe swoje napięstki — posiadała bowiem w znacznym stopniu owo „poczucie własności“, stanowiące, jak wiemy kamień probierczy forsytizmu i podstawę dobrych obyczajów.

Jej postać średniego wzrostu z wyraźną tendencją do pulchności kształtów odbijała się w lustrze białej szafy jej sypialni, ukazując, sfabrykowaną w domu pod jej własnym kierunkiem, suknię jednej z owych niezdecydowanych barw, przypominających wyblakłe obicia korytarzowe w wielkich hotelach. Obie ręce podniosła ku włosom, uczesanim *à la princesse de Galles*, przyglądała je tu i owdzie, umacniając je na głowie, przyczem oczy jej pełne były nieświadomego poczucia rzeczywistości, jakgdyby stanąć miała wobec jednego z brzydkich faktów życiowych, które brać należało z możliwie najlepszej ich strony. Za młodu cera jej przypominała krew z mlekiem, albo śmietankę i płatek róży, teraz wszakże upstrzyły ją lata, tak zwany wiek średni.

Wyjęła puszek do pudru i w chwili, kiedy szybko przesuwiała go po twarzy i czole, oczy jej zamigotały znów tym samym niemiłym wyrazem zdawania sobie sprawy z rzeczywistości. Odłożywszy puszek, zatrzymała się na chwilę przed lustrem, krzywiąc w sztucznie przybranym uśmiechu swój wydatny, imponujący nos, podbródek (który nie był nigdy duży, a teraz zmniejszył się w miarę narastania szyi) i wąskie wargi z opuszczonymi ku dołowi kącikami ust. Szybko, aby nie zatracić pożądanego efektu, uniosła energicznie spódnice obiema rękami i zeszła nadół.

Spodziewała się tej wizyty od dłuższego już czasu. I do niej także doszły słuchy, jakoby miało coś nie być w porządku pomiędzy jej siostrzeńcem a jego narzeczoną. Nie widziała ani jego ani jej od szeregu tygodni już. Kilkakrotnie zapraszała Fila na obiad, stale jednak odpowiadał jej, że zbyt jest zajęty.

Zaniepokoiło ją to instynktownie, a posiadała w tych sprawach instynkt niezawodny. Powinna była być Forsytką; w pojmowaniu tego określenia przez młodego Jolyona zasługiwała na nie i posiadała niewątpliwie jego przywileje.

Powydawała zamąż swoje trzy córki w sposób, uważany przez ludzi za przewyższający ich zasługi, odznaczały się bowiem ową zawodową brzydota, którą naogół znaleźć można jedynie pomiędzy żeńskimi przedstawicielkami kandydatur do funkcji społecznych. Nazwisko jej figurowało na listach członkiń komitetów niezliczonych organizacyj filantropijnych, związanych z Kościołem — wieczorków tanecznych, przedstawień teatralnych i went na dobroczynność — nigdy jednak nie uświetniała list tych swoim nazwiskiem, dopóki nie przekonywała się, że wszystko należycie jest zorganizowane.

Zdaniem jej, jak nie przestawała zaznaczać, każda

rzecz oparta być musi na podstawie handlowej, jako że właściwem zadaniem Kościoła i dobroczynności, wszystkiego ostatecznie, jest utrwalanie ustroju społecznego. Dlatego też uważała wszelką akcję indywidualną za niemoralną. Organizacja — to wszystko, bowiem dzięki organizacji jedynie możemy zdobyć pewność, że pieniądze nasze nie przepadną i przyniosą nam należyty plon. Wierzyła w organizację, jak w Ewangelię, w organizację nadewszystko! Nie ulega też wątpliwości, że była właśnie, jak to nazywał stary Jolyon, jak stworzona do tego. Złośliwy starzec nie poprzestawał jednak na tem określeniu i nazywał jej działalność „wyższą błagą“.

Przedsięwzięcia, którym użyczała laskawie swojego nazwiska, były zorganizowane tak świetnie, że kiedy przychodziło nareszcie do rozdawnictwa ich wyników, były one zbieranem już mlekiem, pozbawionem śmietanki ludzkiej dobroci. Jak sama wszelako często powtarzała, jest czułośćkowością rzeczą godną potępienia. Przemawiała w samej rzeczy jak z katedry.

Dostojna, zacna ta niewiasta, ciesząca się w kołach klerykalnych tak wysoką estymą, była jedną z arcykapłanek świątyni forsytyzmu, podtrzymującą dniem i nocą święty płomień na ołtarzu boga Własności, na którym czytać możemy natchniony napis:

„Nic za nic, i w samej rzeczy zdumiewająco mało za sześć pensów.“

Ilekróć wchodziła do pokoju, czuło się, że wraz z nią wkraczało coś ważkiego i to właśnie uczucie było powodem jej popularności, jako pani opiekunki. Ludzie lubią ważkość, skoro poświęcili na nią swoje pieniądze, w ich oczach też pani Baynesowa, otoczona sztabem swoim na balach filantropijnych, imponująca zadartą dumnie do góry głową i masywną, rozłożystą postacią, ustrojona w stały swój, naszyty cekinami uniform, wydawała się generałem nieledwie.

Jedyną cechą, przemawiającą przeciwko niej, było nieposiadanie przez nią podwójnego nazwiska. Była potęgą w wyższym mieszczańskim towarzystwie, z jego setkami kół i środowisk, krzyżujących się wzajem na wspólnem polu walki funkcyj filantropijnych i z takim upodobaniem ocierających się spódnicami na tem samem polu walki o spódnice przedstawicielki kół towarzyskich przez duże „T“. Pani Baynesowa była potęgą w kołach towarzyskich przez małe „t“, stanowiących organizację liczniejszą, donioślejszą i silniejszą, w której kupiecko chrześcijańskie instytucje, maksymy i „zasady“, przez nią symbolizowane, były prawdziwą żywą krwią, krążącą bujnie, jako właściwy krwiobieg interesu, a nie wyjalowioną jej imitację, płynącą w żyłach drobniejszego liczbą i znaczeniem odłamu towarzystwa przez duże „T“. Ludzie, którzy ją znali, czuli, że mają do czynienia z istotą zdrową — ze zdrową kobietą, która nie zdradzała nigdy przed nikim swoich myśli, zamykając nietylko własną duszę na cztery spusty, ale i kieszeń swoją także, o ile tylko jej się to udawało.

Pozostawała w jaknajgorszych stosunkach z ojcem Bosinney'a, który wielokrotnie ośmielał się dopuszczać niewybaczalnej zbrodni czynienia z niej przedmiotu swoich żartów. Wspominając też o nim teraz, po jego śmierci, nazywała go „biednym, droгим, nieodpowiedzialnym swoim bratem“.

Przywitała się z Juną ze zwykłą wylewnością uczuć, w czem była istną mistrzynią. Młoda dziewczyna budziła w niej lekkie uczucie lęku — o ile kobieta tak dostojna w świecie handlowo-chrześcijańskim może znać wogóle uczucie lęku przed kim i przed czemkolwiek. — Istotnie, pomimo drobnego wzrostu, posiadała Juna dużo godności, może z powodu śmiałego spojrzenia nieustraszonych swoich oczu, i pani Baynesowa z wrodzoną sobie przebiegłością wyczuwała, że pod bezkompromisową szczer-

ścią jej zachowania kryje się prawdziwy podkład forsytowski. Gdyby młoda dziewczyna była szczerą tylko i odważną, uważałaby ją pani Baynesowa za „narwaną” i lekceważyłaby ją; gdyby była tylko „Forsytówną” — jak Franka, powiedzmy — uważałaby za właściwe przytłaczać ją swoim poparciem wagi ciężkiego metalu; ale Juna przy całej mikroskopijności swoich kształtów — pani Baynesowa była zazwyczaj zwolenniczką ilości — budziła w niej niemiłe uczucie lekkiego zaniepokojenia, posadziła ją też na krześle twarzą do światła.

Inny jeszcze istniał powód szacunku jej dla Juny — do czego pani Baynesowa, zbyt gorliwa członkini kongregacji kościelnej, aby liczyć się miała z względami światowemi, nie byłaby się nigdy przyznała — otóż słyszała często z ust męża, że stary Jolyon jest bardzo zamożny i że, powodowany najrozsądniejszą z wszelkich możliwych pobudek, wyróżnia szczególnie wnuczkę. W tej chwili doznawała uczucia wzruszenia, podobnego do tego, jakiego doznajemy przy czytaniu powieści, opisującej bohatera i bogaty spadek, jaki go czeka, i budzącej w nas nerwowe podniecenie na myśl, że przeraźliwe jakieś wyrócenie koziołka przez autora sprawi, iż bohater ów może okazać się pozbawionym wkońcu swojej schedy.

Jej ton wobec Juny był bardzo serdeczny — nigdy jeszcze z taką oczywistością nie zdawała sobie sprawy, jak dystygowaną i ponętą ma przed sobą istotę. Nasamprzaw zapytała ją o zdrowie dziadka. — Zdumiewająco dobrze się trzyma na swój wiek; wyprostowany jak trzcina, wygląda zupełnie jeszcze młodo. Ile właściwie liczy sobie lat? Osiemdziesiąt jeden?! Nigdyby nie posądziła go o to! Bawią nad morzem? Bardzo to musi być przyjemnie; Juna miewa zapewne codziennie wiadomości od Fila? — Jej jasno-szare oczy omal nie wyszły z orbit przy zadaniu młodej dziewczynie tego py-

tania; Juna wytrzymała jednak to spojrzenie, nie mru-
gnąwszy.

— Nie — odparła — nie pisuje do mnie wcale.

Powieki pani Baynesowej opadły. Nie miały zamiaru
opaść, ale opadły. Wnet jednak uniosły się znów wgórze.

— Naturalnie, rozumiem. To zupełnie w guście Fila
— zawsze był taki!

— Rzeczywiście? — rzuciła Juna.

Lakoniczność tej odpowiedzi zwarzyła na mgnienie
swobodę uśmiechu pani Baynesowej; zamaskowała jednak
chwilowe zawahanie się nagłym ruchem i na nowo roz-
siadując się szeroko, rzekła:

— Ależ tak, moja droga, to najbardziej trzpioto-
waty chłopak, jakiego znam; nie należy nigdy zwracać
najmniejszej uwagi, na to, co on robi.

Juna zrozumiała nagle, że traci daremnie czas; gdyby
nawet zdobyła się na zupełnie jasne postawienie kwestji,
nie wyciągnie nic z tej kobiety.

— Widuje go pani? — zapytała, oblewając się szkar-
latnym rumieńcem.

Grube krople potu wystąpiły na czoło pani Bayne-
sowej z pod warstwy pudru.

— O, tak — pośpieszyła odpowiedzieć — nie pamię-
tam, kiedy po raz ostatni był u mnie — istotnie rzadko
widywaliśmy go ostatnio. Jest tak bardzo zajęty sta-
wianiem domu kuzyna pani. Podobno ma być skończony
wkrótce. Musimy urządzić małe przyjęcie na uświetnie-
nie tej uroczystości; niech pani przyjedzie i zostanie
u nas na noc!

— Dziękuję pani — rzekła Juna, myśląc w dochu:
— Tracę tylko niepotrzebnie czas. Nie dowiem się od
niej niczego.

Podniosła się do wyjścia. Nagła zmiana wystąpiła na
twarzy i w całej postaci pani Baynesowej. I ona również
wstała; usta jej drgnęły, poruszyła nerwowo rękami.

Coś musiało być widocznie mocno nie w porządku, nie śmiała jednak wprost zapytać o to młodą dziewczynę, która stała przed nią, wyprostowana, szczupła, drobna, z wyrazem stanowczości na twarzy, z mocno zaciśniętymi szczękami i pełnemi smutku oczami. Nie było zwyczajem pani Baynesowej bać się zadawania pytań — podstawą organizacji było zadawanie pytań!

Tutaj wynik tak był poważny, że silne zazwyczaj jej nerwy do głębi były wstrząśnięte. Nie dalej jak tego rana mąż jej powiedział:

— Śmiało szacować można starego Forsyta na jakie sto tysięcy funtów!

A wnuczka jego stała tutaj, wyciągając rękę — wyciągając rękę!

Tak łatwo może — Bóg wie doprawdy! — wymknąć się szansa utrzymania jej w rodzinie, a mimo to pani Baynesowa nie śmie mówić.

Wzrokiem odprowadziła Junę aż do drzwi.

Zamknęły się za nią.

Z nagłym okrzykiem pobiegła ku drzwiom, przelewając z boku na bok masywne swoje kształty i pośpiesznie raz jeszcze je otworzyła.

Zapóźno! Usłyszała zatrzaśnięcie frontowego wejścia, stanęła więc z wyrazem głębokiego zgnębienia i gniewu na pulchnej twarzy.

Juna pośpieszyła wzdłuż skweru z chyżością ptaka. Znienawidziła teraz tę kobietę, którą w dawnych, szczęśliwszych czasach uważała za tak pocziwą. Czy zawsze odsuwana być ma w ten sposób od prawdy i wystawiana na tak dręczącą niepewność?

Najlepiej zrobi, jeżeli pójdzie wprost do Fila i zapyta go, jakie są jego zamiary. Ma prawo wiedzieć. Idąc za tym popędem, pośpieszyła na Sloan Street do domu, w którym mieszkał Bosinney. Wpadłszy przez bramę na

dole, wbiegła na schody z boleśnie tłukącym w piersi sercem.

Na trzecim piętrze stanęła na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu i, trzymając się poręczy, stała nadsluchując. Z góry nie dochodził żaden dźwięk.

Z pobladałą ze wzruszenia twarzą weszła na ostatnie piętro, gdzie odrazu rzuciły jej się w oczy drzwi z tabliczką z jego nazwiskiem. Stanowczość, która przywiodła ją aż tutaj, pierzchnęła nagle.

Zdała sobie odrazu sprawę ze znaczenia swojego kroku. Oblała ją gorąca fala wstydu; dłonie jej nawet zwilgotniały pod jedwabiami okrywających je rękawiczek.

Cofnęła się na schody, nie zeszła jednak niemi nadół. Oparta o balustradę krawędzi, usiłowała pokonać uczucie duszenia się i z przeraźliwą odwagą wlepiła oczy w drzwi. Nie! Nie zejdzcie nadół! Co ją to obchodzi, co pomyśla o niej ludzie? Nikt się przecież nie dowie! Nie znajdzie znikąd pomocy, jeżeli sama sobie nie pomoże. Wykona zamiar swój do końca!

Zmusiwszy się wysiłkiem woli do oderwania rąk od oparcia, pociągnęła za dzwonek. Drzwi nie otworzyły się; cały jej strach i wstyd odleciał ją odrazu; zadzwoniła jeszcze wielokrotnie, jakgdyby, pomimo pustek w pokoju, mogła wydostać odpowiedź z murów dookoła zamknięcia, zyskując tem nagrodę za przecierpiany z powodu przyjścia tutaj strach i wstyd. Drzwi nie otworzyły się jednak w dalszym ciągu, dała więc za wygranę dzwonieniu i usiadła na górnym podejście schodów z twarzą ukrytą w dłoniach.

Wreszcie przekradła się cichaczem nadół i wyszła na ulicę. Doznawała wrażenia, jakgdyby przebyła ciężką chorobę, pragnęła też jedynie dostać się zpowrotem do domu jak tylko się da najprędzej. Ludzie, których spotykała, zdawali się wiedzieć skąd powraca i co tam robiła. Nagle, na przeciwległym chodniku, ujrzała, zmie-

rzającego ku swojemu mieszkaniu od strony Montpellier Square, samego Bosinney'a we własnej jego osobie. Zrobiła ruch, jakgdyby chciała się rzucić poprzez nieskończony szereg pojazdów i w tej samej chwili oczy ich spotkały się. Bosinney uchylił przed nią kapelusza. Przejeżdżający omnibus zaslonił go przed nią, wnet jednak, stojąc już na brzeżku chodnika, przez wyłom w sunącym szeregu, ujrzała go, idącego dalej bez zatrzymania się. Stała nieporuszona, śledząc go oczami.

ROZDZIAŁ XIII

W Y K O Ń C Z E N I E D O M U

„Jedna zółwiowa; jeden buljon; dwie szklanki portwejnu!“

W górnym pokoju restauracji French'a, gdzie Forsyte może jeszcze uraczyć się posiłnem angielskiem jadłem, James i syn jego zasiadali do lunchu.

Ze wszystkich restauracyj najlepiej lubił James tę właśnie; odpowiadała mu jej bezpretensjonalność, smakowitość unoszących się w powietrzu tutejszem zapachów; jakkolwiek też był do pewnego stopnia zdeprawowany koniecznością ulegania modzie i dotrzymywania kroku wymogom zwiększających się dochodów, pozwalał sobie powracać w chwilach wolnych od zajęć w City do nęcących go zawsze mięsiw z dawnych czasów. Usługiwali tutaj nieogoleni po modnemu angielscy kelnerzy w białych fartuchach; podłoga wysypana była trocinami, a trzy złoczone lustra wisiały tak wysoko, że niepodobna się było w nich przejrzeć.

Założywszy serwetkę za trzeci guzik kamizelki — zyczaj, od którego zmuszony był odstąpić od wielu lat już w restauracjach Westendu — poczuł, że z przyjemnością spożyje zupę, jako że cały ranek poświęcił na rozwikłanie

spraw, związanych z posiadłością jednego z dawnych swoich przyjaciół.

Posiliwszy się przedewszystkiem kawalkiem nieco czerstwego już chleba domowego wypieku, zagadnął syna wprost:

— Co tam słyhać u ciebie w Robin-Hill? Zabierzesz nam Irenę? Dobrze zrobiłbyś, gdybyś ją zawiózł. Myślę, że niejedno znajdziecie tam do obejrzenia.

Soames, nie podnosząc na ojca oczu, odpowiedział:

— Irena nie pojedzie.

— Nie pojedzie?! Co to ma znaczyć? Ma przecież zamieszkać w tym domu? Tak, czy nie?

Soames nic na to nie odpowiedział.

— Nie pojmuję, co się dzieje z dzisiejszemi kobietami — mruknął James — ja sam nie miałem z niemi żadnych kłopotów. Zadużo zostawiłeś jej wolności. Zepsułeś ją...

Soames podniósł oczy.

— Nie życzę sobie krytykowania Ireny — rzucił niespodzianie.

Milczenie, jakie zaległo po tych jego słowach, przerywane było tylko Jamesowem cmokaniem przy głośnem wciąganiu przez niego zupy językiem.

Garson przyniósł dwie szklaneczki portweju, ale Soames powstrzymał go.

— Nie tak podaje się portwejn — rzekł — proszę zabrać szklanki i przynieść nam butelkę.

Odrywając się od zadumy, w jaką był pogrążony przy jedzeniu zupy, zorjentował się James jednym rzutem w sytuacji i rzekł:

— Matka twoja leży, chora jest; możesz mieć do swojej dyspozycji konie. Myślę, że przejażdżka sprawi Irenie przyjemność. Przypuszczam, że zastaniecie na budowie Bosinney'a; będzie mógł oprowadzić was.

Soames skinął głową.

— Mam sam ochotę wybrać się tam i naocznie przekonać się, jak sobie chłopak poradził z ostatecznem wykończeniem — dodał James. — Pojadę tam także i wstąpię po drodze po was oboje.

— Ja pojadę koleją — odparł Soames. — Jeżeli ojciec chce pojechać powozem, zgodzi się może Irena zabrać z ojcem. Nie mogę jednak nic powiedzieć o tem pewnego.

Skinął na garsona, żeby podał rachunek, który James zapłacił.

Rozstali się przy katedrze św. Pawła, skąd Soames skręcił w drogę ku stacji, a James pojechał omnibusem w kierunku zachodnim.

Zajął miejsce narożne przy konduktorze, gdzie wyciągnięte długie jego nogi utrudniały przejście, przyczem patrzył z wyrzutem na każdego, kto odważył się przejść obok niego, jakgdyby wchodzący nie miał prawa oddychania tem samym co on powietrzem.

Miał zamiar skorzystać tego popołudnia z możliwości pomówienia z Ireną. Uważał, że w porę rzucone słówko ostrzeżenia może zapobiec konieczności prowadzenia potem przykrych dyskusyj, teraz zaś, kiedy Soames i ona przenoszą się na wieś, można mieć nadzieję, że rozpoczną oboje nowe życie! Widział, że cierpliwość Soamesa jest na wyczerpaniu i że nie zniesie on dłużej podobnego stanu rzeczy.

Nie wpadło mu nawet na myśl, że należałoby dokładniej zdać sobie samemu sprawę, co właściwie należałoby rozumieć przez „podobny stan rzeczy“; było to określenie niejasne, mgliste, i właśnie dlatego odpowiadało prawdziwemu Forsytowi.

Dobrze podjadłszy przy lunchu, poczuł w sobie James większy zapas odwagi niż zazwyczaj.

Po przybyciu do domu kazał zaprząć kolasę, nakazując zarazem groomowi, aby szykował się również do

wyjazdu. Chciał sprawić przyjemność synowej i dobrze ją usposobić do rozmowy.

Kiedy zajechał przed Nr. 62, wyraźnie usłyszał ją przez otwarte drzwi, śpiewającą przy fortepianie, zaznaczył też to zaraz głośno wobec służącej, ażeby nie dać Irenie możności nieprzyjęcia go.

— Tak — odparła pokojówka — pani Soamesowa jest w domu, nie wiem jednak, czy przyjmuje.

Ale James z szybkością i zręcznością, która zawsze zdumiewała w zestawieniu z wysokim jego wzrostem i skupionym wyrazem twarzy, wbiegł wprost do salonu, nie pozwoliwszy dziewczynie upewnić się co do intencji jej pani. W salonie zastał Irenę, siedzącą przy fortepianie; palce jej spoczywały na klawiszach, widać było jednak, że przysłuchuje się głosom, dochodzącym z hallu. Na widok teścia powitała go bez uśmiechu.

— Teściowa twoja leży w łóżku — zaczął James odrazu, mając nadzieję zyskania jej współczucia. — Przyjechałem tutaj powozem. Proszę cię, zrób mi przyjemność, włóż kapelusz i przejedź się ze mną. Dobrze ci to zrobi!

Irena spojrzała na niego widocznie z zamiarem dania odmownej odpowiedzi, namyśliwszy się jednak, poszła do siebie na górę i po chwili ponownie zeszła, już w kapeluszu.

— Dokąd ojciec zamierza mnie zawieźć? — zapytała.

— Pojedziemy do Robin Hill — odparł, wyrzuciwszy ze siebie zdanie to jednym tchem — koniom potrzebny jest ruch, a przytem chciałbym zobaczyć, jak daleko zaszliście tam już z budową.

Irena cofnęła się instynktownie, znów jednak widocznie przyszedł namysł, szybko bowiem wyszła przed dom aby wsiąść do powozu. James zajął miejsce przy niej, wpatrując się w nią wnikliwie, aby uchwycić właściwy moment.

Wreszcie, już prawie w połowie drogi zdobył się na odwagę:

— Soames bardzo cię kocha; nie pozwala na żadne krytykowanie twojej osoby. Dlaczego nie okazujesz mu więcej przychylności?

Rumieniec oblał twarz Ireny, która odpowiedziała cichym głosem:

— Nie mogę okazywać tego, czego nie czuję.

James spojrział na nią żywo. Czuł, że w tej chwili, mając ją we własnym swoim powozie wioząc ją własnymi końmi z własną swoją służbą na koźle, jest panem sytuacji. Irena nie może ani dać mu odprawy, ani też nie zechce urządzić mu sceny publicznie.

— Nie rozumiem doprawdy, czego od niego chcesz — rzekł. — Jest takim dobrym mężem.

Odpowiedź, jaką dała Irena, wypowiedziana była cicho, niedosłyszalnie nieomal, w każdym razie rozwiała się wśród tętentu i stuku kopyt końskich i kół. Zrozumiał jedynie słowa:

— Ojciec nie jest jego żoną!

— A cóż to ma do tego? Daje ci przecież wszystko, czego może ci być potrzeba. Myśli tylko o tem, czem ci dogodzić, gotów zawsze prowadzić cię, dokąd tylko chcesz; wybudował nawet teraz specjalnie dla ciebie dom na wsi. Nie wniosłaś mu przecież nic.

— Nie.

I znów James bystro przyjrzał się synowej, nie mógł jednak wyczytać nic z jej twarzy. Zdawało mu się, że jest bliska płaczu, a jednak...

— Zdaje mi się — dodał pośpiesznie — że staraliśmy się wszyscy być dobrzy dla ciebie.

Wargi Ireny drgnęły; James zauważył z przykrością łzę, która wysliznęła się jej z pod powieki i ściekała zwolna po policzku. Poczul, że jego samego ściska coś za gardło.

— Kochamy cię wszyscy — rzekł — gdybyś tylko... chciał powiedzieć: „zachowywała się jak należy“, zamiast tego jednak dokończył: „gdybyś tylko chciała być mu bardziej żoną“.

Irena milczała i James zamilkł także. Było coś w jej milczeniu, co zbijało go dziwnie z tropu. Nie było to milczenie uporczywe, nie; raczej potakiwanie wszystkiemu, co mógł mieć do powiedzenia. A jednak czuł, że rozmowa ich nie skończy się na tem. Nie mógł tego zrozumieć. Niezdolny był jednak zachować długo milczenia.

— Przypuszczam — rzekł — że ten młody Bosinney ożeni się wkrótce z Juną?

Twarz Ireny zmieniła się.

— Nie wiem — odparła — powinienby ojciec ją o to zapytać.

— Czy pisuje do ciebie?

— Nie.

— Cóż to się stało? Byłyście, o ile mi wiadomo, serdecznymi przyjaciółkami!

Irena odwróciła głowę ku niemu.

— I o to także powinienby ojciec ją samą zapytać.

— Widzę — obruszył się James — że, choć to bardzo dziwne, nie mogę wydostać od ciebie normalnej odpowiedzi na zupełnie normalne pytanie.

Przez chwilę siedział nadąsany i wreszcie wybuchnął:

— Ha, trudno, ostrzegłem cię. Nie myślisz o przyszłości. Soames nie zwykł tracić nadarmo słów, jestem pewien jednak, że nie będzie długo tego znosił. Sobie tylko przypiszesz winę i, co gorsze, nie znajdziesz poparcia z niczyjej strony.

Irena pochyliła głowę z lekkim uśmiechem.

— Bardzo jestem ojcu zobowiązana.

James nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć.

Jasny, upalny poranek przeistaczał się powoli w szare, duszne popołudnie; ciężka ławica chmur z żółtawem

zabarwieniem, brzemieniem w nadciągające grzmoty, przyplwała z południowej strony nieba i zwolna zasnowała widnokrąg. Gałęzie drzew opadły nieruchome poprzez drogę bez najlżejszego poruszania się liści. Słaby zapach potu, parującego z rozprażonej się ści końskiej, przepelniał zgęszczone powietrze; stangret i lokaj, wyprostowani nieruchomo na koźle, ukradkiem wymieniali urywane zdania, nie odwracając się wzajem ku sobie.

Kiedy wreszcie dojechali do domu, odetchnął James z ulgą; zacięte milczenie i nieprzenikniona sztywność siedzącej obok niego młodej kobiety, którą uważał zawsze za tak łagodną i ustępliwą, przerażała go.

Wysiedli z powozu przed wrotami domu, do którego weszli.

W hallu panował chłód i grobowa nieledwie cisza; po plecach Jamesa przebiegł dreszcz, pośpieszył też unieść ciężką skórzaną zasłonę, zawieszoną pomiędzy kolumnami, oddzielającymi hall od wewnętrznego dziedzińca.

W tej samej chwili zerwał mu się z ust mimowolny okrzyk zachwyty.

Urządzenie było istotnie w znakomitym guście. Matowo szkarłatne tafelki, sięgające od dołu ścian do podstawy okrągłego klombu wysokich irysów dokoła wielkiej głębokiej konchy z białego marmuru, wypełnionej wodą, w najlepszym były guście. Szczególnie zwłaszcza zachwycały go purpurowe skórzane kotary, zaciągnięte wzdłuż całej jednej strony, tworząc obramowanie ogromnego pieca z białych kafli. Środkowa część szklanego dachu odsunięta była i ciepłe powietrze zzewnątrz przenikało do wnętrza domu.

Staął, z rękami założonemi za plecy, z głową odchylną wtył i wciśniętą w wysokie, wąskie ramiona i przyglądał się linjom kolumn i deseniowi fryzu, biegnącego dokoła malowanych na kremowy kolor ścian pod kruż-

gankiem. Całość składała się na prawdziwie pańską rezydencję. Widać było, że nie oszczędzono tu ani pieniędzy ani zachodu. Zbliżył się z kolei do skórzanych kotar i, spenetrowawszy, jak urządzona jest ich maszynerja, rozsunął je, odsłaniając galerję obrazów, zakończoną wypełniającem całą jej tylną ścianę olbrzymiem oknem. Podłoga była z czarnego dębu, zaś ściany, tak samo jak zewnętrzne mury pomalowane na kolor kremowy. Szedł dalej, szeroko otwierając drzwi i zaglądnąjąc do środka. Wszystko było w najzupełniejszym porządku, gotowe do bezzwłocznego zamieszkania.

Zawrócił, żeby rozmówić się wreszcie z Ireną, i ujrzał ją, stojącą przy wejściu do ogrodu w towarzystwie męża i Bosinney'a.

Jakkolwiek nieobdarzony szczególną wrażliwością, zauważył James odrazu, że coś jest nie w porządku. Zbliżył się do nich, i dziwnie zaniepokojony, nie wiedząc o co właściwie idzie, próbował załagodzić sytuację.

— Jak się pan ma, panie Bosinney? — rzekł, wyciągając na powitanie rękę. — Nie krępował się pan, jak widzę, tutaj z wydawaniem pieniędzy!

Soames odwrócił się od nich i odszedł. James spojrział na zaszępioną twarz Bosinney'a a potem na Irenę i, niezdolny opanować podniecenia, wypowiedział głośno swoją myśl:

— Nie mam doprawdy pojęcia o co idzie. Nikt mi nic nie mówi!

Idąc śladem syna, zawrócił na pięcie i odszedł, słysząc za sobą krótki śmiech Bosinney'a i jego okrzyk:

— Nareszcie, chwała Bogu! Wygląda pani tak...

Zakończenia zdania nie dosłyszał, na nieszczęście.

Co się stało? Obejrzał się poza siebie. Irena stała tuż przy architekcie; twarz jej była jakaś zupełnie odmienna od tej, jaką znał. Pośpieszył za synem.

Soames chodził tam i zpowrotem po galerji obrazów.
— Co się dzieje? Co to wszystko znaczy? — badał James.

Soames spojrział na niego z hardym, niezłomnym swoim spokojem, ale James widział wyraźnie, że miota nim gwałtowny gniew.

— Nasz przyjaciel przekroczył znów dane mu upoważnienie — to wszystko. Tym razem już tem gorzej dla niego.

Odwrócił się i poszedł w kierunku drzwi. James pośpieszył za nim, starając się wyprzedzić go. Spojrzawszy na Irenę, spostrzegł, że położyła palec na ustach i rzekła coś zwykłym swoim głosem, zdaleka więc już, nie zdążywszy jeszcze zbliżyć się do nich, zawołał:

— Nadciąga burza. Lepiej będzie wrócić do domu. Pan, panie Bosinney, nie może pewnie jechać? Nie, prawda, że nie? W takim razie do widzenia!

Wyciągnął do niego rękę. Bosinney nie przyjął jej, i, odwracając się ze śmiechem, rzekł:

— Do widzenia, panie Forsyte. Nie daj się pan złapać przez burzę! — i odszedł.

— Doprawdy — zaczął James — nic a nic nie rozumiem...

Ale widok twarzy Ireny powstrzymał go. Ujmując synowę pod rękę, odprowadził ją do powozu. Był teraz pewien, zupełnie pewien, że zająć musiało pomiędzy nimi jakieś porozumienie...

Niema na świecie rzeczy, która mogłaby bardziej wzburzyć Forsytę, aniżeli przekonanie się, że coś, co wedle jego obliczeń miało kosztować tyle a tyle pieniędzy, kosztowało znacznie więcej. Jest to zupełnie w porządku rzeczy, bowiem na ścisłości wyliczeń oparta jest cała jego polityka życiowa. O ile nie może polegać na określonych i ustalonych wartościach przedmiotów swojego posiadania, skrzywiona zostaje wytyczna jego

życia. Jakgdyby rzucono go na wzburzone wody oceanu bez busoli.

Po wymianie z Bosinney'em wspomnianej już korespondencji przestał Soames zaprzętać sobie myśl sprawą kosztu budowy. Pewien był tak wyraźnego przez siebie postawienia kwestji ceny wewnętrznej dekoracji, że nie mogło mu nawet przyjść do głowy, ażeby architekt mógł ponownie przekroczyć kosztorys. Usłyszawszy też od Bosinney'a, że zakreślone mu granice dwunastu tysięcy funtów zostały przekroczone ponownie o blisko czterysta funtów, zapienił się z wściekłości. Pierwotnie opracowany kosztorys budowy wraz z kompletnem wewnętrznym wykończeniem domu mieścił się w granicach dziesięciu tysięcy funtów, wielokrotnie też czynił samemu sobie gorzkie wyrzuty za to, że dał się wciągnąć w ponawiane przekraczanie tego kresu. Tym razem wszelako wyprowadził go Bosinney ostatecznie z równowagi. Jak mógł pozwolić sobie człowiek na coś podobnego i wpaść tak głupio? Soames nie był w stanie go zrozumieć; fakt jednak, że uczynił to; cała wściekłość i ukryta zazdrość, które wrzały przeciw niemu w piersi Soamesa od tak dawna, znalazły teraz ujście w wybuchu gniewu na ten ostatni dowód szalonej, nieobliczalnej rozrzutności młodego architekta. Skończyło się już z utrzymywaną z takim wysiłkiem rolą ufającego i uprzejmego męża. Odgrywał ją, aby utrzymać swoją własność — żonę — teraz zaś zrzucił z siebie tę maskę, aby utrzymać innego rodzaju własność.

— O! — zwrócił się do Bosinney'a, odzyskawszy narreszcie możność wydostania głosu z krtani — widzę, że jest pan zupełnie zadowolony z samego siebie. Zmuszony jednak jestem oświadczyć, że najzupełniej pomylił się pan w swoich rachubach!

Co rozumiał przez te słowa, nie zdawał sobie w danej chwili dokładnie sprawy, po obiedzie jednak przejrzał

korespondencję swoją z Bosinney'em, ażeby dokładnie się upewnić. Nie mogło być dwóch zdań co do tego — te czterysta, a w każdym razie trzysta pięćdziesiąt funtów obciążają wyłącznie architekta, niech więc radzi sobie z niemi jak chce; musi sam je pokryć.

Doszedłszy do ostatecznej tej konkluzji, spojrzął na żonę. Siedząc na zwykłym swoim miejscu, w rogu kanapy, obszywała kołnierzyk sukni koronką. Nie odezwała się do niego ani razu przez cały wieczór.

Podszedł do kominka i, stanąwszy przed nim, przyjrzał się swojej twarzy w umieszczonem nad niem lustrze.

— Nasz przyjaciel, Pirat, postąpił jak idjota. Ale będzie musiał zapłacić za swoją głupotę!

Spojrziała na niego z pogardą i odpała:

— Nie rozumiem o czym mówisz!

— Zrozumiesz zaraz. Drobiazg, o którym podług ciebie nie warto mówić — czterysta funtów.

— Zamierzasz naprawdę kazać mu zapłacić je za ten wstrętny dom?

— Naturalnie.

— Wiesz przecież, że nie posiada żadnego majątku!

— Wiem.

— Jesteś więc nikczemniejszy jeszcze, niż przypuszczałam!

Soames odwrócił się od lustra i, biorąc ruchem automatycznym filiżankę z półki nad kominkiem, oplótł ją oburącz dłońmi, jakgdyby w modlitwie. Widział gwałtownie podnoszącą się i opadającą pierś Ireny, jej pociemniałe z gniewu oczy, puszczając też mimo uszu obrazę, zapytał spokojnie:

— Flirtujesz z Bosinney'em?

— Nie, nie flirtuję!

Oczy jej spotkały się z oczami męża, który odwrócił głowę. Ani wierzył jej, ani nie wierzył, czuł jednak, że zadaniem jej tego pytania popełnił błąd; nie znał nigdy

i nigdy nie pozna jej myśli. Widok jej zagadkowej dla niego twarzy, z której nic nie mógł wyczytać, myśl o setkach wieczorów, jakie przesiedziała w ten sposób w tym rogu sofy, uległe bierna, a taka zarazem nieodgadniona, rozwścieczyła go ponad wszelką miarę.

— Czyś ty z kamienia do licha? — zawołał, zaciskając z taką siłą dłonie dokoła filiżanki, że zmiażdżył kruchą porcelanę, której szczątki upadły na palenisko kominka. Irena uśmiechnęła się.

— Zdajesz się zapomnieć, że filiżanka ta nie jest w każdym razie z kamienia! — rzekła.

Soames uchwycił ją za ramię.

— Jedyne porządne ochłostanie — to jedno mogłoby cię oprzytomnić — krzyknął i zawracając ostro na pięcie, wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ XIV

SOAMES SIEDZI NA SCHODACH

Soames poszedł tego wieczora na górę do sypialni, czując, że posunął się za daleko. Gotów był przeprosić żonę za swoje słowa.

Zakręcił gaz, który palił się jeszcze na korytarzu, prowadzącym do ich pokoju, i biorąc za klamkę, aby otworzyć drzwi, myślał, w jaką formę ujmie te przeprosiny, nie chciał bowiem, aby widziała, jaki jest wzburzony.

Drzwi nie otworzyły się jednak, pomimo że szarpnął je powtórnie. Musiała zamknąć je z jakiegoś powodu i zapomniała otworzyć znów.

Wszedłszy do swojej gotowalni, gdzie również palił się jeszcze przykrycony nieco płomień gazowy, zbliżył się szybko do drzwi, łączących je z sypialnią. I te jednak były zamknięte. Równocześnie też zauważył, że polowe łóżko, z którego korzystał czasem, było roz-

stawione i jego nocna pyjama ułożona na niem w porządku. Dotknął ręką czoła i odjął ją wilgotną. Zrozumiał, że jest odtrącony.

Zbliżył się ponownie do pierwszych drzwi i, łomocąc gwałtownie klamką, zawołał:

— Otwórz drzwi! Czy słyszysz?! Otwórz drzwi!

Usłyszał przyciszony szelest, ale drzwi ani drgnęły.

— Otwórz! Słyszysz! Wpuść mnie natychmiast! Żądam, abyś mi otworzyła!

Słyszał wyraźnie przez dziurkę od klucza przyśpieszony jej oddech, oddech istoty, zagrożonej niebezpieczeństwem.

Było coś przerażającego w nieubłaganem tem milczeniu, w fizycznej tej niemożliwości dostania się do Ireny. Soames powrócił do gotowalni i, napierając z całych sił na wiodące z niej drzwi do sypialni, próbował je wysadzić. Ale drzwi były nowe; on sam kazał obsadzić nowe, aby urządzić wszystko jak należy na powrót ich z podróży poślubnej. Doprowadzony do wściekłości, podniósł nogę, aby walnąć nią z rozmachu w futrynę, powstrzymała go jednak myśl o służbie. Poczul, że jest zwyciężony.

Rzuciwszy się na fotel w gotowalni, wziął książkę do czytania.

Zamiast liter jednak widział przed sobą żonę — jej złote włosy, opadające kaskadą po obnażonych plecach i jej wielkie ciemne oczy — widział ją, stojącą jak spłoszony zwierz na czatach. Myślała naprawdę, że grozi jej niebezpieczeństwo!

Nie był w stanie usiedzieć spokojnie i podszedł znów ku drzwiom. Słyszał, że nie śpi jeszcze, zawołał więc:

— Ireno! Ireno!

Nie chciał nadać swojemu głosowi tonu błagalnego. Słabe odgłosy zamilkły w złowróźbnej odpowiedzi. Stał z zaciśniętymi dłońmi, pogrążony w zadumę.

Wreszcie przekradł się na palcach i, rzuciwszy się nagle na drugie drzwi, spróbował całym wysiłkiem woli wyważyć je. Drzwi trzasnęły, ale nie otworzyły się. Wobec daremności swoich usiłowań usiadł na stopniu schodów i ukrył twarz w dłoniach.

Długo siedział tak pociemku, a księżyc, przedarłszy się przez szklany dach nad jego głową, rzucał bladą smugę światła, wydłużającą się powoli ku niemu poprzez próżnię klatki schodowej. Próbował filozofować:

Skoro zamknęła przed nim drzwi, nie ma już do niego praw żony, będzie się więc pocieszał z innymi kobietami!

Upiornie jednak tylko zamajaczyły mu przed oczami wyobraźni podobne rozkosze — nie ciągnęło go do nich nic zupełnie. Nigdy ich nie szukał, a teraz utracił drogę do nich. Czuł, że nigdy jej nie odzyska. Głód jego nasyć mogła jedynie żona jego, nieubłagana i wystraszona poza zamkniętymi temi drzwiami. Nie zastąpi mu jej żadna inna kobieta!

Przeświadczenie to olśniło go z brutalną oczywistością, kiedy tak siedział pociemku na stopniu schodów.

Filozofja zawiodła go; miejsce jej zajął głuchy gniew. Zachowanie Ireny jest niemoralne, nie do wybaczenia, zasługujące na najsurowszą karę, jaka jest w jego mocy. Nie pragnie nikogo innego prócz niej, a ona odtrąciła go!

Musi go więc prawdziwie nienawidzić! Nigdy dotychczas nie powstała w myśli jego możliwość podobnego przypuszczenia. I teraz jeszcze nie wierzy w nie. Wydaje mu się ono niepodobnem do prawdy, nie do pomyslenia. Czy nie zatracił sam raczej zdolności logicznego wnioskowania? Skoro ona, taka uległa i łagodna, za jaką miał ją zawsze, mogła ważyć się na równie decydujący krok. — Bóg wie, co jeszcze może nastąpić!

Potem z kolei zaczął rozważać, czy istotnie mogła związać bliższy stosunek z Bosinney'em. I w to również

nie wierzył; nie mógł wyobrazić sobie, ażeby w tem tkwiła przyczyna jej postępowania — nie był w stanie zdobyć się na podobne podejrzenie.

Nie do zniesienia byłaby myśl o konieczności uczynienia małżeńskich jego praw dobrem publicznem. Nie uwierzy, o ile nie będzie miał najzupełniej namacalnych dowodów, nie widzi potrzeby zadawania sobie tego rodzaju katuszy. Rozumując w ten sposób, wierzył jednak w głębi duszy.

Światło księżyca oblało szarawem światłem jego postać, wtuloną pomiędzy stopień a ścianę klatki schodowej.

Bosinney kocha się w niej! Nienawidzi tego chłopaka, nie myśli też oszczędzać go. Ma prawo — i wykorzysta je — odmówienia zapłaty jednego grosza chociażby ponad dwanaście tysięcy pięćdziesiąt funtów, jako ponad ostateczny, ustalony w ich korespondencji limit. A raczej, zapłaci; tak — zapłaci i wystąpi sędownie o odszkodowanie. Odda sprawę w ręce Joblinga i Boultera. Zrujnuje tego żebraka, nieposiadającego własnego grosza! I nagle — drogą jakich skojarzeń?! — niema wszak żadnej łączności pomiędzy dwiema temi myślami! — przyszło mu do głowy, że i Irena także nie posiada pieniędzy. Oboje są żebrakami. Dziwną satysfakcję sprawiła mu ta myśl.

Ciszę przerwał odgłos słabego skrzypnięcia poza ścianą. Kładzie się więc nareszcie do łóżka! O!... Radosnych, rozkosznych marzeń!... Gdyby otworzyła teraz szeroko drzwi, nie wszedłby już do niej!

Ale wargi jego, skrzywione w gorzkim uśmiechu, drgnęły; zasłonił oczy rękami...

Nazajutrz o późnej godzinie popołudniowej stał Soames we wnęce okiennej jadalnego pokoju, ponuro wpatrzony w drzewa skweru.

Słońce ozlacało jeszcze wierzchołki platanów, których wielkie, jasne liście lśniły i kołysały się, poru-

szane lekkim wietrzykiem w takt muzyki wędrowniej katarynki, ustawionej na rogu. Grano na niej walca, staro-rego, dawno wyszłego z mody walca, niegdyś tak upajającego swoją melodją, a dzisiaj poruszającego liście jedynie do rytmicznego kołysania się w takt jego melodji.

Kobieta, kręcąca korbę, nie miała zbyt wesołego wyglądu, bardzo już bowiem była zmęczona. Z okien wysokich domów dokola skweru żadna nie wychyliła się dłoń litościwa, aby rzucić jej miedzianą drobną monetę. Przeniosła więc nieco dalej swoją katarynkę, ustawiła ją i zaczęła na nowo kręcić korbą.

Był to ten sam walc, którego grano na wieczorze w domu Rogera i którego Irena tańczyła z Bosinney'em. Nagle owionął Soamesa zapach gardenij, noszonych przez nią owego wieczora. Przyplynał znać falą na skrzydłach zdradliwej muzyki, tak samo jak wówczas, kiedy on i ona otarli się o niego w wirze tanecznym, kiedy musnęły go polyskliwe włosy Ireny i błysnął mu przelotnie promienny wzrok rozmodlonych jej oczu, kiedy mignęła mu na chwilę wiotka jej postać, unoszona przez Bosinney'a wgląd niekończącej się sali balowej.

Kataryniarka kręciła wolno korbą — grała tę samą melodję przez cały dzień — grała ją na Sloan Street tuż obok, grała ją może pod oknami samego Bosinney'a także.

Soames odwrócił się, wyjął papierosa z rzeźbionej szkatułki i podszedł znów do okna. Melodja zahypnotyzowała go. Słuchał jej, gdy nagle w polu jego widzenia ukazała się Irena, śpiesząca ze złożoną parasolką przez skwer w kierunku domu, w blado-różowej bluzce z opadającymi rękawami, której nie widział na niej dotychczas. Zatrzymała się przed katarynką, wyjęła portmonetkę i wręczyła kobiecie pieniądz.

Soames cofnął się wgląd wnąki i stanął tak, aby widzieć żonę, wchodzącą do hallu.

Weszła, otworzywszy sobie drzwi własnym kluczem, odstawiła parasolkę i stanęła przed lustrem, aby przejrzeć się w niem. Policzki jej były zarumienione, jakgdyby spalone na słońcu; wargi jej rozchyłał uśmiech. Nagłym ruchem wyciągnęła przed siebie ramiona, jakgdyby chcąc objąć w uścisku samą siebie, przyczem z ust jej zerwał się krótki śmiech, uderzająco podobny do szlochu.

Soames postąpił parę kroków naprzód.

— Bardzo ładnie! — rzekł.

Drgnęła i, jak rażona strzałą, zwarła się w sobie, chcąc przejść mimo niego na schody. Zastąpił jej drogę.

— Dlaczego taki pośpiech? — zapytał i oczy jego przywarły żądnie do pasma jej włosów, które wysunęło się i zwisło nad uchem.

Prawie że nie poznawał jej. Wydawała się rozognioną, tak mocnym rumieńcem płonęły jej policzki, tak błyszczwały jej oczy, takim żarem tchnęły jej wargi, tak ciepły ton miała barwa nieznanej mu dotychczas jej bluzki.

Podniosła rękę i odgarnęła spadający lok zlocistych włosów. Oddychała często i głęboko, jakgdyby po pośpiesznym biegu i z każdym oddechem fala aromatu promieniować się zdawała z jej włosów, z całego jej ciała, niby zapach rozwierającego się kwiatu.

— Nie podoba mi się ta bluzka — wycedził z wolna — zbyt luźna, bez żadnej linji!

Podniósł rękę w kierunku jej piersi, ale ona szybkim ruchem odsunęła jego dłoń.

— Nie dotykaj mnie! — zawołała.

Schwycił ją za napięstek; wyrwała mu się.

— Gdzie raczyłaś być? — zapytał.

— W raju — poza twoim domem! — Rzuciwszy mu te słowa, popędziła lotem strzały po schodach.

Na skwerze — w podzięce za otrzymaną monetę — przy samych drzwiach katarynka grała walca.

Soames stał nieporuszony. Dlaczego nie pośpieszył za Ireną?

Czy dlatego, że tak wiernie widzącymi oczami wyobraźni ujrzał Bosinney'a, wypatrującego z wysokiego swojego okna na Sloane Street, czy nie ujrzy w przelocie jeszcze znikającej na zakręcie ulicy postaci kochanki, chłodzącego rozognioną swoją twarz i pieszczącego w rozmarzonym wspomnieniu chwilę, w której rzuciła mu się w objęcia? W powietrzu dokoła unosił się jeszcze zapach jej włosów i jej ciała, rozbrzmiewał jeszcze odgłos, tak dziwnie podobnego do szlochu, krótkiego, urwanego jej śmiechu.

CZEŚĆ III

ROZDZIAŁ I

ŚWIADECTWO PANI MAC ANDEROWEJ

Niewątpliwie wielu ludzi, nie wyłączając redaktora „Ultrawiwisekcjonisty“, będącego wówczas w rozkwicie pierwszej młodości, orzekłoby, że Soames nie okazał się godnym nazwy mężczyzny, skoro nie zerwał zamków z drzwi żoninej sypialni i, po uprzednim zdrowem jej przetrzepaniu, nie odzyskał przemocą swoich praw małżeńskich.

Brutalność nie roztopiła się do tego stopnia bez nadziejnie w humanitaryzmie, jak to bywało dawniej, mimo to uczuciowy odłam społeczeństwa dozna napewno ulgi, dowiadując się, że nie uczynił on żadnej z tych rzeczy. Czynna brutalność nie znajduje stronników z pośród Forsytów; zbyt są naogół ostrożni i nazbyt miękkiego serca. Scames nadto odznaczał się dość pospolitą zresztą dumą, która nie wystarczała, aby natchnąć go prawdziwie wielkodusznym postępkiem, była wszelako dostatecznie wielką, aby powstrzymać go od dogodzenia sobie czynem szczególnie nikczemnym, chyba że w wyjątkowem uniesieniu. Nadewszystko jednak prawdziwy jego forsytyzm nie pozwalał mu na okrycie samego siebie śmiesznością. Poza faktycznem podniesieniem ręki na żonę nie widział możliwości przeciwdziałania; dlatego też pogodził się pozornie ze swoim położeniem, nie zaoponowawszy przeciwko niemu ani jednym wyrazem.

Przez całe lato i jesień chodził w dalszym ciągu do biura, nie przestawał sortować swoich obrazów i zapraszać przyjaciół na obiady.

Nie wyjechał z miasta; Irena nie chciała opuścić miejskiego swojego mieszkania. Jakkolwiek dom w Robin Hill zupełnie już był wykończony, pozostawał jednak niezamieszkały w daremnym oczekiwaniu na wprowadzenie się właściciela. Soames wystąpił sędownie przeciwko Piratowi, domagając się od niego zwrotu nadpłaconej sumy trzystu pięćdziesięciu funtów.

Obrony Bosinney'a podjęło się biuro obrończe panów Freak i Able. Przyznając w zasadzie fakty, wskazywali oni jednak na pewien punkt w zamienionej przez Soamesa i Bosinney'a korespondencji, sprowadzający całą rzecz — poza przybraniem jej w adwokackie zawilości frazeologiczne — do tego, że wzmianka o „wolnej ręce“ w warunkach określonych w korespondencji jest niedorzecznym przeciwieństwem pomiędzy treścią słów, a zewnętrznym ich wyrazem.

Przypadkiem, nie tak nieprawdopodobnym, jak mogłoby się zdawać, dowiedział się Soames o linii obrony przyjętej przez przedstawicieli jego przeciwnika dzięki temu, że pracujący współwłaściciel jego biura, Bustard, znalazł się na obiedzie u poborcy podatkowego, Walmisley'a, przy młodym Chankery'm, stającym przed kratkami, jako specjalny znawca prawa zwyczajowego.

Manja mówienia o sprawach zawodowych, ujawniana przez wszystkich adwokatów z chwilą, kiedy po odejściu pań do salonu zostają sami przy czarnej kawie, skłoniła też Chankery'ego, młodego, obiecującego adwokata, do zwierzenia się z kancelaryjnej swojej kazuistyki sąsiadowi, którego nie znał z nazwiska, bowiem Bustard, siadujący stale w tylnych ławkach, nie był człowiekiem znanym otoczeniu.

Mam teraz — zaczął Chankery — przypadek, w którym zamierzam skorzystać z „ciekawego kruczka“. Poczem zachowując zawodową dyskrecję, wyjaśnił zagadkę spra-

wy Soamesa. Każdy z kimkolwiek o tem mówił, uważa to za „mocny punkt“ obrony. Jedyna możliwa furtka, bardzo ciasna, niewątpliwie. Wynik „djabelnie poważny, dla jego klienta jak przewiduje“ — szampan Walnislley'a był lichey, ale raczono się nim w wielkiej obfitości. — Sędzia gotów krótko się z tem rozprawić. On sam, Chankery, zamierza użyć całej siły swojej wymowy: „punkt“ istotnie doskonały. A jak sąsiad jego uważa?

Bustard, wzór dyskrecji, nie wyraził swojego zdania. Zdał jednak z pewną dozą złośliwości sprawę z incydentu tego Soamesowi, bowiem cichy, spokojny ten człeczyna miał ludzki sposób odczuwania, zakończył też wyrażeniem własnej opinji, że „punkt“ jest istotnie mocno sporny.

Zgodnie z powziętą decyzją powierzył Soames sprawę swoją Joblingowi i Boulterowi, z chwilą jednak, kiedy to zrobił, żałował, że nie podjął się sam własnej obrony. Po otrzymaniu kopji obrony Bosinney' udął się do obranego przez siebie biura.

Boulter, kierujący biurem i mający sprawę w swoim ręku, jako że Jobling nie żył już od kilku lat, powiedział mu, że uważa to raczej za pomyślny dla niego punkt, pragnie jednak zasięgnąć co do tego opinji poważnego konsultanta.

Soames polecił mu udać się do najlepszego rzeczoznawcy, zwrócono się tedy do radcy królewskiego, Waterbucka, zapłaciwszy mu za poradę jedenaście gwinei. Konsultant przetrzymał papiery sześć tygodni, poczem przysłał następującą piśmienną odpowiedź:

„Mojem zdaniem właściwa interpretacja tej wymiany listów zależna jest w znacznym stopniu od intencji stron, wobec czego zeznania ich wpłyną na przebieg procesu. Mojem zdaniem należałoby próbować wydostania od architekta przyznania, iż rozumiał on daną mu instrukcję w ten sposób, że niewolno mu było przekroczyć sumy

dwunastu tysięcy pięćdziesięciu funtów. Co się tyczy wyrażenia „wolna ręka w warunkach tej korespondencji“, na które skierowana została moja uwaga, uważam punkt ten istotnie za sporny: sądzę jednak, że miarodajny być może co do niego wyrok w sprawie Boileau contra „Stwardniały cement, Spółka z ogr. por.“

Reprezentujące interesy Soamesa biuro obrończe wzięło pod uwagę tę opinię rzeczoznawcy i w myśl jej pokierowało redakcją pytań, ku wielkiemu wszakże strapieniu swojemu przekonało się, że panowie Freak i Able tak mistrzowsko odparli zarzuty, iż nie ostał się żaden z nich, i to bez zastrzeżeń.

Soames dostał 1-go października do ręki odpowiedź Waterbucka, którą przeczytał w jadalni przed obiadem. Zdenerwowała go ona, nietyle ze względu na zawarte w niej powołanie się na sprawę „Boileau“ contra Sp. z ogr. por. „Stwardniały cement“, ile dlatego, że ostatnio zaczął i jemu samemu punkt ten wydawać się spornym; tkwił w nim ów szczególny zapaszek subtelności kodeksowej, tak ponętny dla wyostrzonych apetytów prawniczych. Fakt, że własne jego odczucie znajdowało potwierdzenie ze strony radcy królewskiego, Waterbucka, mógł w rzeczy samej zaniepokoić poważnie każdego.

Siedział też, rozmyślając o tem, wpatrzony w puste palenisko kominka, jakkolwiek bowiem była już pora jesienna, utrzymywała się wciąż wspaniała pogoda, jakgdyby to był jeszcze środek sierpnia. Gniewało go, że natrafia na trudności; zbyt gorąco pragnął zmiążdżenia Bosinney'a.

Mimo że nie widział architekta od owego ostatniego spotkania w Robin Hill, nie był nigdy wolny od uczucia jego obecności — nie mógł wykreślić z pamięci swojej obrazu wymizerowanej jego twarzy z jej wystającymi kośćmi policzkowymi i natchnionymi oczami. Nie będzie

przesadą zaznaczenie, że nie pozbył się nigdy wrażenia, doświadczonego owej nocy, kiedy usłyszał o świtanu krzyk pawia — wrażenia, że Bosinney krąży koło domu. Każda sylwetka ludzka, zarysowująca się w mroku wieczornym i przesuwająca się mimo, wydawała mu się podobną do tego, którego George tak trafnie przezwał „Piratem“.

Pewien był, że Irena spotyka się z nim w dalszym ciągu; gdzie i w jaki sposób, ani wiedział, ani badał, powstrzymywany nieokreśloną, tajemną obawą dowiedzenia się zbyt wiele. Wszystko to wydawało mu się obecnie ukrytą podziemną robotą.

Czasem, kiedy pytał żonę, skąd wraca, i gdzie była, o co uważał sobie za obowiązek pytać ją, jak winien czynić każdy Forsyte, dziwną bardzo miała minę. Zdumiewającą była jej moc panowania nad sobą; zdarzały się wszelako chwile, kiedy z poza maski, kryjącej jej zawsze niezbadaną dla niego twarz, błyskał wyraz, jakiego nigdy na niej dotychczas nie widywał.

Od pewnego czasu stało się jej zwyczajem spożywanie lunchu poza domem; ilekroć informował się u garderobianej Bilson, czy pani jej była w domu na lunchu, otrzymywał równie często przeczącą jak twierdzącą odpowiedź.

Mocno mu się niepodobało to jej wałęsanie się samopas, czego bynajmniej przed nią nie ukrywał. Nie zwracała jednak na to najmniejszej uwagi. Było coś w jej lekceważeniu z całym spokojem jego życzeń, co go złościło, zdumiewało, a mimo to bawiło nieomal. Wyglądało to istotnie na lubowanie się z jej strony myślą o odnoszeniu zwycięstwa nad nim.

Wstał wreszcie od studjowania odpowiedzi królewskiego radcy, Waterbuck'a i, udawszy się na górę, wszedł do pokoju Ireny, zamykała się bowiem w nim dopiero idąc spać — tyle jeszcze miała poczucia przyzwoitości,

że liczyła się pod tym względem ze służbą. — Została żoną, rozczesującą szcnotką włosy. Odwróciła ku niemu głowę z szczególnym ogniem w oku.

— Czego tu chcesz? — rzekła. — Proszę wyjść z mojego pokoju!

— Chcę wiedzieć, jak długo trwać ma pomiędzy nami ten stan rzeczy? — odparł. — Mam go już oddawna dość.

— Czy wolno mi prosić o opuszczenie mojego pokoju?

— Czy wolno żądać, abyś traktowała mnie jak męża?

— Nie.

— W takim razie przedsięwzię kroki, zmuszające cię do tego.

— Bądź łaskaw!

Wytrzeszczył na nią oczy, zaskoczony spokojem jej odpowiedzi. Wargi jej zaciśnięte były tak, że tworzyły wąską linijkę; włosy jej spadały rozsypanemi falami na obnażone ramiona i plecy, tworząc blaskiem i jasnością swojego złota dziwny kontrast z ciemnymi jej oczami — oczami, w których płonęły skłócone uczucia: lęku, nienawiści, pogardy i szczególnego, stałego tryumfu.

— Bardzo proszę o opuszczenie mojego pokoju!

Odwrócił się i wyszedł z chmurą na twarzy.

Wiedział bardzo dobrze, że nie myśli przedsięwziąć żadnych kroków, widział też, że Irena doskonale zdaje sobie sprawę z jego lęku przed przedsięwzięciem ich.

Od początku ich małżeńskiego pożycia miał zwyczaj opowiadania jej o wszystkich swoich interesach: o tem, jacy i w jakich sprawach odwiedzali go klienci; jak oczyścił hipotekę Parkesa; w jakim stadjum jest ciągnący się od tak dawna proces Fryera przeciwko Forsytowi, powstały wskutek nad miarę przezornego rozporządzenia się swoją własnością przez dziadecznego jego stryja, Mikołaja Forsytę, który tak zawikłał całą sprawę, że niepodobna było przystąpić do niej z żadnej strony.

Wszelkie były też widoki, że proces ten pozostanie źródłem dochodów szeregu pokoleń prawniczych aż do dnia Sądu Ostatecznego bodaj.

Zdawał jej też sprawę ze swojej bytności u Jobsona, gdzie natrafił na sprzedaż autentycznego Bouchera, który wymknął mu się właśnie z rąk na licytacji u Talleyranda i Synów w Pall Mall.

Uwielbiał Bouchera, Watteau i całą ówczesną szkołę. Przywykł opowiadać Irenie o tem wszystkiem, czynił to też w dalszym ciągu i teraz nawet, prowadząc długie monologi przy obiedzie, jakgdyby wartkością potoku słów swoich mógł zagłuszyć wobec siebie samego drążący ból serca.

Często, ilekroć bywali sami, próbował pocałować ją na dobranoc. Może pieścił tajemną, nieokreśloną nadzieję, że przyjdzie dzień, kiedy pozwoli mu ona na to, a może kierowało nim tylko poczucie, że mąż powinien całować żonę. Gdyby nawet miała nienawidzić go, jemu samemu w żadnym razie nie przystoi popelnianie błędu zaniedbywania ustalonego rytuału.

Dlaczego jednak miałaby nienawidzić go? I teraz jeszcze nie może w to uwierzyć. Dziwnem byłoby, gdyby miał być nienawidzonym! — zbyt krańcowe to uczucie! A jednak on sam nienawidzi Pirata, bezdomnego tego włóczęgi, tego nocnego Marka. W myśli bowiem widział go Soames zawsze stojącego na czatach — krążącego dokola domu. O, musi dziać mu się bardzo kiepsko! Młody Burkitt, kolega jego po fachu, widział go, wychodzącego z trzeciorzędnej garkuchni z miną wygłodniałego wilka.

W ciągu całego szeregu spędzanych bezsennie godzin rozmyślał Soames nad sytuacją, zdającą się nie mieć końca — o ile Irena nie przyjdzie nagle do rozumu. — Ani na jedną chwilę nie powstała na serjo w jego głowie myśl rozłączenia się z żoną...

A Forsytowie? Jaki udział brali oni w tem stadjum ukrytej tragedji Soamesowej?

Mówiąc prawdę, niewielki, a bodaj żaden, jako że bawili wówczas wszyscy nad morzem.

Zamieszkując hotele, zakłady hydropatyczne, czy też zwykle pensjonaty, kąpali się codziennie i wchłaniali w płuca zapas ozonu, który starczyć im miał na całą zimę.

Każda sekcja w obranej przez siebie winnicy hodowała, zrywała, wyciskała i ściągała do butelek grona ulubionego powietrza morskiego.

Początek września był początkiem ich powracania na zimowe leże.

W czerstwym zdrowiu i w natłoczonych wagonach, z mocnemi rumieńcami na policzkach, powracali codziennie z rozmaitych stacyj klimatycznych. Następnego zaraz rana zabierali się wszyscy zpowrotem do rozmaitych swoich zajęć.

W najbliższą niedzielę salon Tyma przepelniony był od lunchu do obiadu.

W szeregu innych ploteczek, nazbyt licznych i interesujących, ażeby można było opowiedzieć je, wspomniała pani Septymusowa Small, że Soames i Irena nie wyjeżdżali nigdzie.

Obcej względnie osobie przypadła rola dostarczycielki następnego z kolei, podniecającego ciekawość, szczególu informacyjnego.

Zdarzyło się, że pewnego popołudnia w końcu września, najserdeczniejsza przyjaciółka Winifredy Dartie, pani Mac Ander, używając zaleconego jej przez lekarza ruchu w postaci przejażdżki na rowerze w Richmond Parku, w towarzystwie młodego Augusta Flipparda, spotkała Irenę i Bosinney'a, powracających z paprociowych zarośli w stronę Sheen Gate.

Może biedna kobiecinka była spragniona, pedałowala

bowiem długo po suchej, kamienistej drodze, zaś — jak wiadomo każdemu Londyńczykowi — jeżdżenie na rowerze i równocześnie prowadzenie rozmowy z młodym Flip-pardem nadszarpnąć może najsilniejszy organizm; a może też wzbudził jej zazdrość widok cienistych zarośli paprociowych, z których powracało „tych dwoje“. Cieniste zarośla paprociowe na szczycie pagórka, nad którymi rozpięły dach ochronny splecione gałęzie dębów. Paprociowe zarośla, z których gąszczu rozlegał się nieskończony hymn weselny turkawek i gdzie jesień, szeleszcząca opadającami z drzew liśćmi, szeptała słowa miłosne do ucha kochankom, szukającym wśród tych paproci schronienia i nie zwracającym uwagi na przemykającą obok nich płową zwierzynę. Paprociowe zarośla, darzące nieporównaną rozkoszą, złotemi chwilami niezmaconego kojarzenia się nieba z ziemią! Paprociowe zarośla, święte gaje jeleni i faunów, wyskakujących z poza pni drzewnych, tańczących dokola srebrzystej bieli nimf, ukrytych w gąszczach brzeziniowych o zmroku letnim!

Pani ta знаła wszystkich Forsytów, że zaś bywała na przyjęciach u Juny, odrazu zorjentowała się kogo ma przed sobą. Własne jej zameęcie, biedaczki, nie było fortunne, że jednak posiadała dość zdrowego rozsądku i zręczności aby doprowadzić swojego męża do zostania schwytanym na gorącym uczynku, przeszła ona sama przez nieuniknione bagienko rozwodowe bez ska'ania się najłżejszą plamką.

Dzięki temu miała opinię sędziego, wyrokującego we wszystkich tego rodzaju sprawach; dodać zaś należy, że mieszkała w jednym z owych wielkich gmachów, gdzie w poszczególnych małych mieszkankach skupione są nieprawdopodobne mnóstwa Forsytów, których jedynem zajęciem w wolnych od pracy chwilach jest roztrząsanie cudzych spraw.

Biedna, poczciwa kobiecina była może spragniona, na-

pewno jednak była znudzona, bowiem Flippard miał opinię intelektualisty. Spotkać „tych dwoje“ w tak niezwykłym miejscu było wyraźnie łaskawem dla niej zrządzeniem Opatrzności.

W stosunku do pani Mac Anderowej, jak wogóle do całego towarzystwa londyńskiego, czas nie posuwa się naprzód.

Drobna ta, ale niezwykła kobietka zasługuje na specjalne zwrócenie na nią uwagi, bowiem jej wszystko widzące oko i obrotny, ostry języczek przyczyniły się niewątpliwie do urzeczywistnienia zamierzonych przez Opatrzność celów.

Z nieodmienną swoją miną osoby w przededniu śmierci, potrafiła doprowadzać dbałość o siebie do dokuczliwych wręcz granic. Więcej i napewno w znaczniejszym na swój sposób stopniu, aniżeli każda inna kobieta, przyczyniła się ona w swoim środowisku do wyrwania z korzeniem zmysłu rycerskości, który wciąż jeszcze hamuje postęp cywilizacji. Uważana była za osobę szykowną i tak sympatyczną, że nie mówiono o niej inaczej, aniżeli pieszczotliwie, jako „o małej Mac Ander“.

Dobrze ubierająca się, członkini Klubu Kobiet, nie należała jednak bynajmniej do owych zhistryzowanych, ponurych działaczek, wojujących nieustannie o prawa, należne ich płci. Było to właściwie zbędne, co się jej bowiem tyczy, brała ona sobie te prawa nieświadomie dla samej siebie, jakgdyby przynależne jej z natury, umiała też wyzyskiwać je w sposób dla siebie najkorzystniejszy, nie budząc przytem innych uczuć, poza podziwem i zachwytem licznej klasy związanej z nią węzłami pokrewności, nietyle właściwie z racji jej manjer, ile jej urodzenia, wychowania i właściwego jej rysu charakterystycznego — poczucia tego, co uchodzi.

Córka adwokata z Bedford i córki duchownego, nigdy, przez cały czas przykrych doświadczeń małżeńskiego

swojego pożycia z bardzo miernym, do szaleństwa miłującym naturę malarzem, który porzucił ją dla jakiejś aktorki, nie straciła kontaktu z wymaganiami, wierzeniami, i prawdziwymi odczuwaniami Towarzystwa, z chwilą też odzyskania swobody, bez wysiłku znalazła się w samym gnieździe forsytyzmu.

Zawsze dobrze usposobiona i „pełna wiadomości“, była wszędzie pożądanym gościem. Nikt nie dziwił się, ani też nie wyrażał się o niej nagannie, o ile spotkał ją na Renie czy w Zermatt samą lub podróżującą w towarzystwie innej jeszcze damy i dwóch panów; każdy czuł, że umie ona bez zarzutu stać na straży własnej godności, dlatego też serca wszystkich Forsytów żywym odzywały się oddźwiękiem na cudowny ów instynkt, umożliwiający jej korzystanie z wszelkich uciech życia, nie roniąc przytem nic z samej siebie. Panowało też powszechne przekonanie, że kobieta taka jak pani Mac Anderowa stworzona jest do utrzymania i szerzenia najlepszego krajowego typu niewiast. Nigdy nie miała dziecka.

Jeżeli istniało coś, czego nie znosiła bardziej niż wszystkiego innego, były tem owe łagodne kobiety, w których mężczyźni szczególny upatrują urok. Do pani Soamesowej wyjątkową czuła niechęć.

Mgłście niewątpliwie odczuwała, że o ile możnaby istotnie przyjąć urok ten za kryterjum, przepadłoby znaczenie szykowności i elegancji; dlatego też nie znosiła — nienawiścią tem głębszą, im częściej się zdarzało, że ów tak pojęty urok zdawał się krzyżować wszelkie jej plany — subtelnego powabu, jakiego nie mogła nie widzieć w Irenie.

Utrzymywała wszelako, że nie może dopatrzeć się niczego w tej kobiecie — niema w niej za grosz energii — nie potrafiłaby napewno istnieć samodzielnie — każdy mógłby ją wyzyskać; to jasne — niepodobna

wogóle zrozumieć, co mężczyźni w niej widzą i czem się zachwycają!

Pani Mac Anderowa nie była w gruncie rzeczy złą, konieczność wszelako utrzymania się na stanowisku w przykrych okolicznościach małżeńskiego jej pożycia zmuszała ją do krążenia po świecie z pełnym koszem wiadomości; nie przyszło jej też wcale na myśl, że lepiej zrobiłaby, gdyby w sprawie spotkania „tych dwojga“ w Parku trzymała język za zębami.

Traf chciał, że obiadowała tego dnia w domu Tyma, gdzie bywała czasem, aby „rozruszać staruszki“, jak zwykła mawiać. Zawsze spotykała tam na obiadach te same osoby, prozione celem dotrzymania jej towarzystwa: Winifredę Dartie i jej męża, Franusie dlatego, że należała do artystycznych kół, wiadomo było bowiem, że pani Mac Anderowa pisuje artykuły o modach do miesięcznika „Królestwo Pań“ i wreszcie, jako objekty do flirtu dla niej, usiłowano, o ile to się udawało, ściągnąć jednego albo dwóch młodych Haymansów, którzy, jakkolwiek nigdy nic nie mówili, uważani byli za bardzo sprytnych i doskonale obeznanym ze wszystkim, co było ostatnim krzykiem mody w eleganckim świecie.

O dwadzieścia pięć minut po siódmej zakręciła światło elektryczne w małym swoim przedpokoju i, otulona w wieczorne okrycie z kołnierzem z szenszylki, wyszła na korytarz, zatrzymując się na chwilę, aby się upewnić, czy zabrała klucz od zatrasku. Małe te, same w sobie mieszkanka uważała za wielce odpowiednie; skąpo, oczywiście, miała w nich powietrza i światła, mogła jednak wygodnie zamknąć je, kiedykolwiek chciała i wyjść czy wyjechać. Nie miała kłopotu ze służbą, nigdy też nie czuła się związaną, jak wówczas, kiedy biedny, kochany Fred wiecznie laził jej po piętach; taki był niepoczytalny. Na myśl wszelako o aktorce teraz nawet jeszcze krzywił jej usta cierpki, szyderczy uśmiech.

Mocno zatrzasnąwszy drzwi za sobą, minęła posepny, wskutek brunatno-żółtawych ścian, korytarz, na który wychodził nieskończony szereg ponumerowanych ciemnodębowych drzwi. Winda zjeżdżała nadół, otulona więc w swój wieczorowy płaszcz z podniesionym kołnierzem, świadoma, że każdy jej jasnoblonde włos na głowie ułożony jest na właściwym miejscu, czekała nieporuszenie, aż dźwig zatrzyma się na jej piętrze. Żelazne wrota rozwarły się; weszła. Znajdowały się już wewnątrz trzy osoby: mężczyzna w szerokiej białej kamizelce, z szeroką, gładką niby dziecięcą twarzą i dwie wiekowe damy czarno ubrane, z mitenkami na rękach.

Pani Mac Anderowa uśmiechnęła się do nich; znała się z każdym i owi troje, dotychczas zadziwiająco milczący, zaczęli rozmawiać wszyscy naraz. Stanowiło to tajemnicę powodzenia pani Mac Anderowej. Prowokowała rozmowę.

Rozmowa ta prowadzona była bez przerwy przez cały czas zjeżdżania z piątego piętra, podczas którego chłopiec obsługujący windę stał odwrócony, wysadziwszy cyniczną twarz poprzez żelazne pręty.

Na dole rozstali się; mężczyzna w białej kamizelce udał się do sali bilardowej, wiekowe damy — do jadalni na obiad, zamieniwszy po drodze parę uwag w rodzaju: „Jaka miła, sympatyczna kobietka!“ i „taka terkotka!“ — a pani Mac Anderowa do dorożki.

Ilekróć pani Mac Anderowa obiadowała w domu Tyma, rozmowa (mimo że on sam nigdy nie dawał się nakłonić do uczestniczenia w tych przyjęciach), przybierała szerszy, bardziej światowy charakter, tak lubiany przez Forsytów, i to właśnie czyniło damę tę tak bardzo pożądanym u nich gościem.

Pani Smallowa i ciotka Hester uważały jej obecność za rozweselającą rozrywkę. „Gdyby tylko — mawiały —

można było zetknąć z nią Tyma!“ Czuly, że towarzystwo jej dobrze zrobiłoby mu. Umiała naprzykład opowiedzieć najświeższą historję o synu sira Charles'a Fista w Monte Carlo; wiedziała, czyją kopją jest właściwie bohaterka najnowszej powieści Tynemoutha Eddy, o którą wszyscy się dobijali i jakie są obecnie najmodniejsze w Paryżu stroje kobiece. Taka też była rozsądna w rozstrzygnięciu trudnych kwestyj, jak naprzykład, czy skierować najstarszego chłopca Mikołajów do marynarki, zgodnie z życzeniem jego matki, czy też zrobić z niego buchaltera, co, zdaniem ojca, byłoby drogą najpewniejszą. Bezwzględnie przeciwną była marynarce. O ile nie jest się wyjątkowo uzdolnionym, albo o ile się nie ma za sobą wyjątkowo silnych pleców, jest się haniebnie pomijanym. A zresztą, do czego można na tej drodze dojść, jeżeli nawet doprowadzi się do stanowiska admirała? — do nędznych okruchów jedynie! Buchalter ma daleko więcej szans, należy tylko umieścić go w dobrej firmie, w której niema ryzyka przy samem zaraz wstąpieniu!

Czasem też dawała wskazówki giełdowe, co w domu Tyma szczególnie ceniono, mimo że ani pani Smallowej ani ciotce Hester nie były one bynajmniej potrzebne. Nie posiadały pieniędzy do lokowania, samo wszelako zetknięcie się z tą stroną życia mile już je podniecało. Było dla nich nieznanem dotychczas przeżyciem. Zapewniały, że zasięgną rady Tyma. Nie czyniły tego jednak nigdy, wiedząc zgóry, że wprawi go to w zły humor. Ukradkiem wszakże, w ciągu tygodni jeszcze potem, szperały w specjalnem piśmie, czytwanem przez nie z szacunkiem z powodu jego prawdziwie nowoczesnych tendencyj, chcąc przekonać się, czy akcje „Świetnych rubinów“ lub spółki akcyjnej „Welniane regenmantle“ idą w górę czy spadają. Czasem nie mogły znaleźć wcale wzmianki o którym z tych Towarzystw; czekały wówczas na przybycie Jamesa, Rogera, a nawet Swithina, których

pytały drżącym z zaciekawienia głosem, jak stoi „Klej Boliwijski“, bo niema nic o nim w gazecie.

— Po kiego licha wam ta wiadomość? — obruszał się Roger. — Nowe jakieś naciąganie! Porządnie się na niem sparzycie! Też pomysł! Pakować pieniądze w klej! W rzecz, o której nie macie zielonego pojęcia! Kto wam to podsunął?

I, dowiedziawszy się od nich wszystkiego, co im powiedziano o tych akcjach, odchodził, aby rozpytać się o nie w City i ewentualnie zaangażować własne fundusze w tem przedsiębiorstwie.

Mniej więcej w połowie obiadu, w chwili właśnie, kiedy podano comber barani, pani Mac Anderowa, rozglądając się niewinnie dokoła, rzekła:

— Jak się państwu zdaje, kogo spotkałam dzisiaj w parku Richmondskim? Napewno nigdy nie zgadniecie — panią Soamesową i... pana Bosinney'a. Pewnie wracać musieli z oględzin domu.

Winifreda Dartie kaszlnęła, poza tem nie odezwał się nikt słowem. Była to wiadomość, na którą wszyscy bezwiednie zdawali się czekać.

Należy oddać pani Mac Anderowej sprawiedliwość, że, wraz z trzema jeszcze osobami, bawiła w Szwajcarji i na włoskich jeziorach, nie słyszała więc nic o zerwaniu przez Soamesa stosunków z architektem. Nie mogła tem samem przewidzieć siły wrażenia, jakie podana przez nią wiadomość wyrzuci na obecnych. Siedzący na prawo i na lewo od niej młodzi Haymansowie, utkwivszy ponure, chude, jakgdyby wygłodniałe twarze w stojące przed nimi talerze, żarłocznie jedli swoje porcje baraniny.

Obaj ci chłopcy, Giles i Jessy, tak byli wzajem do siebie podobni i tak nierozłączni, że znani byli ogólnie pod mianem dwóch Ajaksów. Nigdy nie słyszał nikt z ich ust ani słowa i zawsze zdawali się być zajęci nie-

robieniem niczego. Powszechnie przypuszczano, że obkuwają się do ważnego jakiegoś egzaminu. Odbywali wielogodzinne spacery bez kapelusza w części Parku, sąsiadującej z ich domem, z nieodłącznym u ich nóg foksykiem; nie mówili przez cały czas przechadzki ani słowa i nie wypuszczali z ust papierosa. Co rano, w odległości pięćdziesięciu jardów, kłusowali na dwóch wynajętych rumakach, których nogi były tak samo długie jak ich własne, ku Campdon Hill i co rano, w godzinę później, niezmiennie w odległości pięćdziesięciu jardów, wracali stępa zpowrotem. Co wieczór, niezależnie od tego, gdzie obiadowali, można ich było widzieć około wpół do jedenastej, wychylających się przez balustradę promenady w Alhambrze.

Nie widziano ich nigdy w pojedynkę; pospołu w ten sposób spędzali życie, z którego napozór zupełnie byli zadowoleni.

Pod wpływem głuchego poruszenia się w ich łonach poczucia godności zwrócili się w przykrym tym momencie do pani Mac Anderowej i zapytali ściśle tym samym tonem:

— Widziała pani „Tych...?”

Zdumienie jej na dźwięk ich głosu było tak wielkie, że wypuściła z rąk widelec; przechodząca w tej chwili Smither pośpiesznie zabrała jej talerz. Ale pani Mac Anderowa z całą przytomnością umysłu natychmiast ją odwołała.

— Prosiłabym o jeszcze kawałek wybornej tej baraniny.

Później wszelako, znalazłszy się już w salonie, usiadła przy pani Smallowej, zdecydowana zbadać sytuację gruntownie.

— Jaka czarująca kobieta, ta młoda Soamesowa! — zaczęła. — Takie sympatyczne ma usposobienie! Soames może prawdziwie uważać się za szczęśliwego człowieka!

Jej żądza dowiedzenia się w zbyt małym jednak stopniu uwzględniała najczulszą strunę Forsytów, niezwykłych dzielić się troskami swojami z ludźmi z poza ich klanu. To też pani Septymusowa Small, odsunawszy się z chrzęstem i skrzypieniem całej swojej postaci, urażona w osobistej swojej godności, zbyła interlokutorkę surowem:

— Droga pani poruszyła temat, o którym nie mówi się u nas.

ROZDZIAŁ II

N O C W P A R K U

Jakkolwiek, wiedzona niezawodnym swoim instynktem, pani Smallowa powiedziała to właśnie, co bardziej jeszcze „zaintrygowało“ jej gościa, trudno doprawdy pomyśleć, w jaki sposób, chcąc pozostać wierną prawdzie, mogłaby odpowiedzieć inaczej.

Nie był to istotnie temat, o którym Forsytowie mogli dyskutować z sobą. Była to raczej kwestja „podziemna“, że użyję wyrazu, wymyślonego przez Soamesa dla scharakteryzowania sytuacji wobec samego siebie.

Mimo to nie upłynął tydzień od spotkania, jakie pani Mac Anderowa miała w parku Richmondskim, a wszyscy oni — z wyjątkiem Tyma, przed którym najstaranniej ukrywano tę wiadomość — zarówno James i jego cała rodzina, jak George i wszyscy inni, od narożnego okna w Haversnake do bilardowego pokoju w „Czerwonej Miarce“ wiedzieli, że „ci dwoje“ posunęli się do najdalszych granic.

George (ten sam, którego autorstwa były rozmaite trafne powiedzonka, zaaklimatyzowane na stałe w eleganckich kołach) dał wierniejszy niż inni wyraz powszechnemu odczuwaniu, powiedziawszy, w rozmowie z bratem swoim, Eustachym, że „Pirat“ za daleko już

„zajechał“ i że chyba nareszcie Soames „będzie miał tego dość“.

Czuło się, że powinien już mieć dość, a jednak jak można było zaradzić? Należałoby może przedsięwziąć odpowiednie kroki; przedsięwzięcie kroków byłoby jednak fatalne.

Bez publicznego skandalu, do którego nie mogli przecież go zachęcać, trudno było wymyśleć, co dałoby się w tych warunkach zrobić. W tem położeniu bez wyjścia, jedyną rzeczą wskazaną było zatajenie całej sprawy przed Soamesem oraz nie mówienie o niej z sobą wzajem, słowem pomijanie jej milczeniem.

Może uda się wpłynąć na Irenę zachowaniem w stosunku do niej wyniosłego chłodu?... Niestety jednak, rzadko bywała teraz widzialna, zachodziła więc pewna trudność w szukaniu jej towarzystwa po to jedynie, aby okazać jej wyniosły chłód. Od czasu do czasu w intymności sypialni wyjawiał James Emilji całą głębię bólu, jaki sprawia mu nieszczęsny los syna.

— Nie mogę ci wcale powiedzieć, ile mnie to kosztuje — mawiał — zadrecza mnie to na śmierć. Skończy się napewno na skandalu, na którym Soames niewątpliwie nie wygra. Nic mu jednak nie powiem. Może naprawdę nic w tem wszystkim niema? Jak myślisz? Irena jest, jak mówią, bardzo artystyczną naturą. Co mówisz? Druga „ciotka Julia!“ Ach, nie wiem nic, ale przygotowany jestem na najgorsze. Taki właśnie jest koniec bezdzietnych małżeństw! Wiedziałem od samego początku, co z tego wyniknie. Nigdy mi nie mówili, że nie chcą mieć dzieci. Nigdy nic mi się nie mówi!

Kłęcząc przy swoim łóżku, z oczami szeroko otwartymi i pełnymi wyrazu zatroskania, wtykał nos w koldrę. W długiej swojej nocnej koszuli, z pochylonym karkiem i zaokrąglonym grzbietem miał wygląd wielkiego białego ptaka.

— „Ojcie nasz“ — powtarzał — nie przestając rozmyślać o możliwości zagrażającego im skandalu.

Zupełnie tak samo jak stary Jolyon, i on w głębi duszy przypisywał winę całej tej tragedji wtrącaniu się rodziny. Co „tej hołocie“ — zaczynał nazywać w myśli odnogę ze Stanhope Gate, wraz z Jolyonem--synem i jego córką, „tą hołotą“ — wpadło do głowy, żeby wprowadzać do rodziny takiego hołysza jak Bosinney? (Wiedział o przezwisku „Pirata“, danem Bosinney'owi przez George'a, niebardzo jednak mógł polapać się, co ono ma znaczyć — młody człowiek jest przecież architektem?)

Zaczynało mu przychodzić na myśl, że brat jego, Jolyon, dla którego zawsze wielki miał respekt i na którego zdaniu zawsze polegał, nie odpowiada w zupełności wysokiemu mniemaniu, jakie ma o nim.

Nie posiadając siły charakteru starszego brata, był bardziej zgnębiony aniżeli zły. Wielką dla niego pociechą było chodzenie do Winifredy i zabieranie małych Darciaćek na przejażdżkę powozem po Ogrodach Kensingtonskich. Tutaj, przy Okrągłym Stawie widywano go często, przechadzającego się, z oczami utkwionemi niespokojnie w żaglówkę małego Publjusza, na którą on sam postawił monetę pensową, jakgdyby przekonany był, że nie przyplynie ona już więcej do brzegu, podczas kiedy mały Publjusz — niepodobny zupełnie do swojego ojca, jak z rozkoszą konstatował James — ciągnąc stateczek w stronę wiatru, usiłował nakłonić dziadka, ażeby założył się o jeszcze jednego pensa, że żaglówka nie dopłynie, chociaż wiedział dobrze, że dopłynie. Dziadek dawał się przekonać; płacił zawsze przegranę, czasem trzy albo nawet cztery pensy w ciągu popołudnia, mały Publjusz stale bowiem wygrywał, a dziadek, płacąc, powtarzał za każdym razem:

— Będiesz miał znów co włożyć do skarbonki. O, jak widzę, stajesz się bogatym człowiekiem!

Myśl o wzrastającym bogactwie wnuka sprawiała mu szczerą przyjemność. Ale mały Publusz znalazł sklep ze słodyczami, używał więc jakich umiał podstępów, żeby móc wyciągać pieniądze na łakocie.

Do domu wracali pieszo przez Park, przyczem wysoka, chuda postać Jamesa ze zgarbionymi plecami i stroskaną twarzą pochylała się z opiekuńczą pieczołowitością nad czerstwymi, zdrowymi figurkami obojga wnucząt, Imogeny i Publusza.

Ogrody te i Park nie były jednak wyłącznym, uświęconym miejscem spacerów Jamesa. Forsyci i włóczęgi, dzieci i zakochane pary odpoczywały tu i przechadzały się co wieczór, szukając wytchnienia po pracy, zażycia spokoju po gwarze i zamęcie ulicznym.

Liście brunatniały zwolna, utrzymywane na drzewach promieniami słońca we dnie i ciepłymi powiewami w nocy.

W sobotę, piątego października, niebo, błękitne przez cały dzień, pociemniało po zachodzie, przybierając odcień purpurowych gron winnych. Nie było księżyca i przejrzysty zmierzch, niby powłoka z aksamitu osnuwał drzewa, których przerzedzone konary i gałązki, podobne nieco do upierzenia, nie poruszały się w cieplej, bezwietrznej atmosferze. Cały Londyn wysypał do Parku, chcąc osuszyć do dna czarę letnich rozkoszy.

Para po parze, z każdych wrót, zalewała ścieżki i spalone od słońca trawniki i jedna po drugiej, unikając jaśniej oświetlonych przestrzeni, przekradały się pod ochronę pierzastych drzew, gdzie, przytulone do którego z pni, lub też zaszyte w gąszcz krzewów, zapominały wpośród aksamitnych ciemności o wszystkim i o wszystkich, żyjąc sobą tylko wyłącznie i dla siebie.

Dla przybywających ścieżkami poprzednicy ich two-

rzyli jedną nierozdzielną całość z ową pełną miłosnych tajemnic masą mroku, skąd dochodził dziwny jeno szmer bijących serc. Kiedy jednak szmer ten dochodził do uszu każdej z par, siedzących jeszcze lub przechadzających się w pełnym świetle księżycy, głosy ich załamywały się i milkły; nie rozplatając złączonych w uścisku ramion, badali i przenizywali oczami ciemność. Nagle, jakgdyby pociągnięci niewidzialnymi dłońmi, i oni także wychodzili poza ogrodzenie i, znikając, jak milczące cienie, wsiąkali w mroki.

Cisza, zawarta w dalekich, nieubłaganych odgłosach miasta, nabrzmiała mirjadami namiętności, nadziei i miłości mnóstw walczących atomów ludzkich. Bowiem, pomimo protestu wielkiego klanu Forsytów, członków Rady Miejskiej, uważającej przez długi czas miłość, narówni ze sprawami kanalizacyjnymi, za najpoważniejsze z niebezpieczeństw, zagrażających municypalności, działały się tej nocy w Parku, jak również w tysiącach innych parków, dziwy, bez których tysiące fabryk, kościołów, sklepów, cała maszyna podatkowa, cała kanalizacja, których byli oni kustoszami, stanowiły arterje jeno, pozbawione krwi, twory, nie posiadające serca.

Instynkty zapomnienia się, namiętnego głosu krwi i miłości, kryjące się w cieniu drzew, zdala od czujności nieubłaganego ich wroga, „poczucia tego, co uchodzi“, skrycie tu ucztowały. Soames, powracający z Bayswater — sam tego wieczora obiadał w domu Tyma — zaprzątnięty myślami o zbliżającym się procesie, doznał nagle spazmatycznego skurczu serca na odgłos przyciszonego śmiechu i namiętnych pocałunków. Przyszło mu do głowy, że należałoby zaraz nazajutrz napisać do „Timesa“ celem zwrócenia uwagi redakcji na nocne sceny w parkach publicznych. Nie odważyłby się jednak na to, zżymał się bowiem na samą myśl ujrzenia nazwiska swojego wydrukowanego w gazecie.

Przy jego wygłodzeniu wszelako namiętne szepty wśród ciszy, majające niewyraźnie postacie wpośród ciemności oddziaływały na niego naksztalt podniecającego trunku. Zszedł ze ścieżki wzdłuż brzegu wody i, przekradając się pod drzewami, wkroczył w cień zarosli, gdzie gałęzie drzew kasztanowych spuszczały nisko wielkie swoje liście, tworząc czarniejszą jeszcze kryjówkę. Z ukrycia tego, krążąc pomiędzy szeregami siedzących, bacznie przyglądał się usadowionym na zbliżonych tuż do siebie krzesłach i opartym o pnie drzewne, parom zakochanych, splecionych w czułym uścisku i wzdrygających się niespokojnie na odgłos jego kroków.

Stanąwszy na wzniesieniu, z którego objąć można było okiem całą serpentynę, zatrzymał się, przyczem wzrok jego padł na siedzącą w pełni światła latarni, odrzynającą się czarną sylwetką na srebrzystem tle wody, nieporuszoną prawie parę — kobieta ukryła twarz na piersi mężczyzny i oboje pospołu stopili się w jedną nierozzerwalną całość w jeden, jakgdyby wykuty z czarnego marmuru, symbol niepomnej wszystkiego dokoła, zakłętej w nieprzerwane milczenie, namiętności.

Rażony tym widokiem w samo serce, zaszył się Soames głębiej jeszcze w nieprzejrzany cień drzew.

Kto wie, kogo w tej chwili wypatrywały jego oczy, na myśl o kim kurczyło się bólem jego serce? Czyżby promyk światła, rozpraszający ciemności, miał być dla niego kęsem chleba, ratującym przed głodową śmiercią? Kto wie, kogo, czy co, spodziewał się tutaj znaleźć — bezosobowe poznanie głębin ludzkiego serca — kres osobistej swojej, skrycie drażącej, podziemnej tragedji? — Kto wie bowiem, czy każda z tych kryjących się w cieniu, nieznanym, bezimiennych parok nie mogła być nim i nią?

Niemożliwe jednak, aby tego właśnie miał szukać. — Czy podobna wyobrazić sobie, aby żona Soamesa For-

syta siedzieć miała w Parku, jak zwykła gryzетка! Nie było to wprost do pomyślenia, przesuając się też bezszelestnie od drzewa do drzewa, mijał gruchające, przytulone do siebie pary.

Raz zaklął ktoś na jego widok, raz jeden szept namiętny: — „O, gdybyż wiecznie tak być mogło!“ trafił go wprost w serce, z którego nagłą falą odpłynęła cała krew; on jednak czekał nieporuszenie, cierpliwy i nieustępujący na powstanie z miejsca tych dwojga. Kiedy nareszcie nastąpiło to, przekonał się, że kobieta była skromną, ubogo odzianą, drobną, szczupłą dziewczyną sklepową, przytuloną miłośnie do swojego kochanka, na którego ramieniu zwiśla bezwolnie.

Setki innych par zakochanych szeptało sobie do ucha w ciszy nocy słowa nadziei, setki innych zakochanych dziewcząt tuliło się do ramienia wybranego.

Wzdrygając się z nagłą odrazą, powrócił Soames na ścieżkę, zaprzestając tego wypatrywania sam nie wiedział czego.

ROZDZIAŁ III

SPOTKANIE W BOTANICZNYM OGRODZIE

Jolyonowi-synowi, którego warunki materjalne znacznie ustępowały Forsytowskiemu, niełatwo bywało czasem zaoszczędzić pieniądze, potrzebne na urządzenie wycieczek za miasto w poszukiwaniu Natury, bez czego obejść się nie może żaden akwarelista, pragnący utrwalać swoje wrażenia pędzlem na papierze.

Częstokroć też zmuszony był zabierać pudło z farbami do Botanicznego Ogrodu i tam, ustawivszy swój skladywany stół pod osłoną której z szerokoliściastych roślin egzotycznych, albo drzewa gumowego, spędzał długie godziny na szkicowaniu.

Pewien znawca Sztuki, oglądający niedawno jego prace, wyraził sąd o nich w następujący sposób:

— „Rysunki pańskie dobre są pod pewnemi względami; oddaje pan odpowiedni ton i koloryt; niektóre z nich zdradzają też właściwe odczucie Natury. Ale widzi pan, tak są one rozproszone, że nie uda się panu nigdy ściągnięcie publiczności do ich oglądania. Gdyby pan jednak obrał określony pewien temat i kierunek, jak np. „Londyn w nocy“, albo „Pałac Kryształowy na wiosnę“ i namalował całą serję z każdego, zorjentowałyby się publiczność odrazu, co ogląda. Kładę na ten punkt jaknajwiększy nacisk. Ktokolwiek wyrobił sobie uznane nazwisko w Sztuce, jak Crum Ston np. albo Bleeder, zawdzięcza sławę swoją unikaniu niespodzianek, obraniu wyraźnej specjalności i nadawaniu wszystkim swoim dziełom jednolitego charakteru, aby publiczność mogła odrazu wiedzieć, gdzie ich szukać. Ma to swoje dobre racje, żaden bowiem zbieracz nie zgodziłby się, aby oglądający wtykać musieli dopiero nosy w obrazy, aby przekonać się, czyjego są pędzla. Chce, aby na pierwszy rzut oka mogli zawołać: — „O, jaki kapitalny Forsyte!“ Tembardziej dla pana jest rzeczą pierwszej wagi przezorne obieranie tematu, który z miejsca rzucalby się w oczy, nie widzę bowiem w stylu pańskim szczególnej oryginalności.“

Młody Jolyon, siedząc przy pianinie, na którym stała na podkładce z wypłowiałego adamaszku czara z zaszuszonemi płatkami róż — jedyny produkt ogrodu — słuchał z bladym uśmiechem.

Zwracając się do żony, patrzącej na mówiącego z wyrazem irytacji na wychudzonej twarzy, rzekł:

— Widzisz, moja droga?

— Nic nie widzę — odpowiedziała, przedzielając pauszami poszczególne wyrazy, wypowiedane głosem, ma-

jącym w sobie wciąż jeszcze odcień cudzoziemczyny — uważam, że masz styl odrębny!

Krytyk spojrział na nią, uśmiechnął się pobłażliwie i nie dodał nic więcej. Jak wszystkim innym, znane mu były ich dzieje.

Słowa jego wywarły wpływ na młodego Jolyona; pozostały one w sprzeczności z całą dotychczasową jego wiarą w swoją Sztukę, ze wszystkim, co teoretycznie uważał w niej za dobre, szczególnie wszelako, głęboko zakorzeniony w nim instynkt nie pozwalał mu wyciągnąć z rad tych praktycznych korzyści.

Pewnego ranka przyszło mu na myśl namalowanie serji akwarelowych rysunków, przedstawiających widoki Londynu. W jaki sposób powstała w głowie jego ta myśl, nie mógłby powiedzieć, i dopiero w rok później, kiedy zrealizował ją i sprzedał prace swoje za przyzwoitą cenę, błysnęło mu w pewnym momencie zadumy wspomnienie o owym znawcy i krytyku, drogą asocjacji też stwierdził we własnym dziele dowód swojego forsytizmu.

Postanowił zacząć od Botanicznego Ogrodu, który był miejscem tyłu jego studjów i wybrał tym razem małe sztuczne jeziorko, upstrzone teraz deszczem jesiennych, złocistych i szkarłatnych liści, jakkolwiek bowiem ogrodnicy usiłowali zmieść je z powierzchni stawu, nie mogli dosięgnąć ich swojemi szcztkami. Pozostałe części ogrodu oczyszczane były przez nich prawie doszczętnie co rano ze wszystkich spadających na nie liści, które potem zgarniali w stosy. Z płonących powolnym ogniem stosów tych unosił się ku niebu gryzący, o słodkawym zapachu dym, stanowiący, tak samo jak głos kukułki na wiosnę, jak balsamiczna woń kwiatu lipy w lecie, symbol jesiennego opadania liści z drzew. Systematyczność ogrodników nie mogła pogodzić się z pstrzęciami zieloną murawę złotemi i szkarłatnemi plamami. W po-

rządnie utrzymanym angielskim ogrodzie muszą wysypać zwirom ścieżki lśnić się niepokalanie gładką żółtawą bielą, więc się jak ulizane, wolne od wszelkich śladów otaczającej rzeczywistości, tem bardziej więc odświadczeń powolnego, pięknego rozkładu, siejącego strącone z drzew korony pod nogi przechodnia, barwiącego niemi ziemię, z której, w niezamykającym się nigdy kręgu odrodzeń Natury, nową bujną wytrysną wiosną.

Dlatego też każdy, zegnający się z rodzinną gałązką, opadający z niej, wirujący przez moment na wietrze, zeschnięty i obumarły listek zgóry skazany być musi na zagładę.

Jedynie na powierzchni małego owego jeziora gromadziły się liście i kołysały spokojnie, połyskując na słońcu pysznymi jesiennymi barwami i radując olśniony niemi wzrok.

Padły też na nie i oczy młodego Jolyona także.

Przyszedł tu pewnego październikowego rana, nie mile był wszakże zaskoczony, znalazłszy, stojącą o dwadzieścia kroków od jeziora, ławeczkę zajętą, nie cierpiał bowiem czyjegokolwiek przyglądania się mu podczas pracy.

Dama jakaś w aksamitnym okryciu siedziała na ławce, utkwivszy oczy w ziemię. Na szczęście, oddzielał od niej Jolyona wielki kwitnący oleander, schronivszy się więc poza nim, rozstawił swoje stalugi.

Przygotowania jego do pracy odbywały się w dość powolnem tempie; odrywało go od niej, jak każdego prawdziwego artystę, wszystko, co chwilowo przykuć mogło jego wzrok, i w tej chwili też złapał się sam na rzucaniu ukradkowych spojrzeń na nieznaną damę.

Po ojcu odziedziczył zdolność bezpośredniego podchwytowania charakterystycznych rysów twarzy. Spozstrzegł też odrazu, że twarz nieznanajomej jest czarująca.

Rzucił mu się w oczy ślicznie zarysowany, tonący

w puchach kremowych koronek okrągły podbródek i delikatny owal twarzy, opromienionej wielkimi ciemnymi oczami i miękkim zarysem ust. Czarna malarska pastera przysłaniała włosy nieznajomej; kibić jej lekko opierała się o grzbiet ławki, kolana były skrzyżowane, a z pod spływających fałd sukni wylaniała się stópka, obuta w czarny lakierowany pantofelek. Było coś niewymownie wytwornego w całej postaci siedzącej damy, główną jednak uwagę młodego Jolyona przykuł wyraz jej twarzy, przypominający mu wyraz twarzy własnej jego żony. Wydawało się, jakgdyby właścicielka tego oblicza zetknęła się z potęgami, nadmiernie przytłaczającemi wątłe jej siły. Wzruszyło go to, budząc w nim nieokreślony pociąg ku nieznajomej i rycerskie względem niej uczucia. Kim jest? Co tu robi o tej porze sama jedna?

Dwaj młodzieńcy szczególnego owego typu, zarazem zuchwałego i nieśmiałego, jakich często spotyka się w Regent's Parku, minęli ławkę w drodze na kort tenisowy, z niesmakiem też zauważył rzucone przez nich na siedzącą, pełne zachwyty spojrzenie. Krążący w pobliżu ogrodnik zatrzymał się zupełnie bez potrzeby, udając, że coś robi przy kępie zamorskiej trawy — i on także szukał pretekstu przyjrzenia się nieznajomej. Starszy jakiś jegomość, profesor ogrodnictwa, jak sądzić można było z jego kapelusza, trzy razy minął ławkę tam i zpowrotem, przyglądając się siedzącej ukradkiem, z dziwnym wyrazem dokoła zwiędłych ust.

Widok wszystkich tych mężczyzn niezrozumiałą wzbudził w młodym Jolyonie irytację. Nieznajoma nie odwzajemniła się żadnemu z nich przelotnym bodaj spojrzeniem, pewien był jednak, że każdy przechodzący mężczyzna będzie przyglądał jej się w taki sam sposób.

Twarz jej nie była twarzą uwodzicielki, której każde spojrzenie na mężczyznę jest zaofiarowywaniem mu sa-

mej sobie; nie było też w niej nic z owej „kuszającej, djabelskiej piękności“, tak wysoko cenionej przez pierwotnych Forsytów, pracujących na roli; nie był to też niemniej ponętny typ, przypominający bombonjerki do czekoladek, ani namiętnie uduchowiony, czy uduchowienie namiętny, właściwy współczesnej sztuce dekoracyjnej i poetyckiej; ani też nie zdawała się dostarczać dramaturgowi wzoru do stworzenia interesującej, zhistryzowanej postaci, popelniającej samobójstwo w ostatnim akcie.

Rysunkiem i kolorytem, miękką, ujmującą swoją biernością i zmysłową czystością przypominała mu twarz nieznanym „Niebiańską miłość“ Tycjana, której reprodukcja wisiała nad kominkiem w jego jadalnym pokoju. Główny czar tej postaci zdawał się promieniować z tej właśnie łagodnej jej bierności, z doznawanego na jej widok wrażenia, że musiałaby ulec naciskowi.

Na kogo czy na co czeka tu wpośród tej ciszy, przerywanej tylko od czasu do czasu szelestem miękko spadających z drzew liści i trzepotaniem drożdów, przemykających poprzez tknięte już jesiennym szronem trawy?

Nagle czarująca jej twarzyczka ożywiła się i młody Jolyon, rozejrzawszy się dokola z zazdrością kochanka nieomal, ujrzał śpieszącego wielkimi krokami poprzez trawnik Bosinney'a.

Z zaciekawieniem obserwował ich spotkanie, spojrzenie, jakimi skrzyżowały się ich oczy, przeciągły, długi uścisk, jakim przywarły do siebie wzajem ich dłonie. Usiedli na ławce tuż bliźutko przy sobie, spleceni z sobą odcięciem się od reszty świata. Słyszał tylko przyspieszony szept ich rozmowy, poszczególnych słów nie mógł jednak uchwycić.

I on sam żaglował niegdyś po wzburzonym takim morzu! Znał z własnego doświadczenia długie godziny

oczekiwania i skąpe chwile nawpół publicznego spotkania; nie obce mu były udręki zawodów, torturujące nieuświęconego najwyższą sankcją kochanka.

Wystarczył wszelako pobieżny rzut oka na twarze tych dwojga, ażeby zrozumieć, że nie idzie tutaj o jedną z owych sezonowych, przelotnych miłości, służących za chwilową rozrywkę tysiącom ludzi po miastach; o żadną z owych nagłych żądź, budzących się z szaloną namiętnością i gasnących, po zadowoleniu błyskawiczne zbudzonych apetytów, po upływie kilku tygodni. To była prawdziwa miłość! Taka sama, jaka objęła w swoje władanie jego samego! Miłość, której drogi nie dają się zupełnie przewidzieć!

Bosinney prosił ją o coś, a ona, taka cicha, taka łagodna, a mimo to niezachwiana w swojej bierności, siedziała, utkwivszy oczy w trawie.

Czy jest on tym człowiekiem, umiejącym porwać ją za sobą, tę łagodną, bierną istotę, która nie będzie zdolna uczynić nigdy kroku jednego dla samej siebie? Istotę, która oddała mu się bez zastrzeżeń i która umrzeć bodaj gotowa dla niego, ale która nie zdobędzie się nigdy na siłę dokonania ucieczki wraz z nim?

Zdawało się młodemu Jolyonowi, że nieomal słyszy ją mówiącą:

— Ależ, ukochany, to byłoby ruiną dla ciebie!

Bowiem na samym sobie doświadczył on w całej pełni udręki strachu, toczącego serce kobiety, która czuje, że zaciąży kamieniem na życiu ukochanego mężczyzny.

Przestał już na nich spozierać chyłkiem, ale cichy, pośpieszny szmer ich szeptów łączył się w uszach jego z jęklwym śpiewem ptaka, który próbował, zdało się, przypominać sobie swój śpiew wiosenny.

Co w tem było?... Radość — tragedia?... Jedno czy drugie?...

Stopniowo szepty zamierały, aż wreszcie ustały zupełnie. Nastąpiło długie milczenie.

— Jaka jest tu rola Soamesa? — pomyślał młody Jolyon. — Ludzie pewni są, że straszy ją grzech zdradzenia męża? Jak mało znają kobiety! Nareszcie, po tak długim wygłodzeniu, dorwała się strawy — nareszcie znalazła możliwość odwetu! Niech jej Niebo dopomóż, bo on niewątpliwie także go poszuka.

Usłyszał chrzęst jedwabiu i wyjrawszy z poza służącego mu za kryjówkę drzewa laurowego, ujrzał ich odchodzących ze splecionymi ukradkiem dłońmi...

*

W końcu lipca zawiózł stary Jolyon wnuczkę w góry i podczas tej wycieczki (zrobionej przez nich oboje po raz ostatni) odzyskała Juna w znacznym stopniu zdrowie i humor. W hotelach zapelnionych brytyjskimi Forsytami — stary Jolyon nie znosił środowiska „szwabskiego“ jak nazywał wszystkich cudzoziemców — spoglądano na nią z szacunkiem, jako na jedyną wnuczkę dostojnie prezentującego się i widocznie bardzo zamożnego starego pana Forsyta. Nie łączyła się z ludźmi bez wyboru — łączenie się z ludźmi bez wyboru nie było u niej w zwyczaju — zawiązała jednak kilka znajomości a nawet przyjaźni, jedną zwłaszcza, w dolinie Rodanu, z umierającą na suchoty młodą Francuzką.

Postanowiwszy, że nowa jej przyjaciółka nie umrze, zapomniała w trakcie walki, jaką wytoczyła śmierci, o własnej swojej trosce.

Stary Jolyon przyglądał się nowej tej zażyłości z ulgą, poniekąd zarazem jednak z niechęcią. Martwił go ten jeszcze jeden więcej dowód, że życie jego wnuczki ma upływać wśród podobnego rodzaju „kalekich pupilek“. Czy naprawdę nigdy nie zawiąże przyjaźni i nie za-

interesuje się niczem takim, co przyniosłoby rzetelną korzyść jej samej?

„Zawracanie sobie głowy cudzoziemcami“ — tak określał nową skłonność Juny. Często jednak przynosił do domu kieliszki winogron lub pęki róż i ofiarowywał je „Mam’zelle“ z przymilnym mrugnięciem oczami.

Ku końcowi września, pomimo oporu Juny, wydała Mademoiselle Vigor ostatnie tchnienie w małym hoteliku w Saint-Luc, do którego ją przewieziono. Juna tak głęboko odczuła swoją porażkę, że dziadek wywiózł ją do Paryża. Tutaj, przy zachwycającym się Milońską Wenus i kościołem „Madeleiny“ ocknęła się ze swojego zgnębienia i kiedy, w połowie października, wrócili do Londynu, stary Jolyon przeświadczony był, że kuracja poskutkowała.

Zaledwie jednak rozgościli się w Stanhope Gate, zauważył ku wielkiemu swojemu zmartwieniu nawrót dawnego jej, ponurego zamknięcia się w sobie. Potrafiła przesiadywać wpatrzona w próżnię, podparłszy podbródek dłonią, niby mały, skoncentrowany w samym sobie duszek skandynawski, podczas kiedy dokoła, w jarzących potokach świeżo właśnie zainstalowanego światła elektrycznego, jaśniał salon, obity brokatem aż do fryzu, wypełniony meblami od Baple’a i Pullbred’a. W wysokich złoconych zwierciadłach odbijały się porcelanowe grupy młodzieńskich pasterzy w krótkich, opiętych dokoła kolan spodenkach, u stóp młodych, mocno wydekoltowanych dam, tulących do łona ulubione baranki. Grupy te kupił stary Jolyon jeszcze za czasów swoich kawalerskich, w dobie, kiedy skazony smak klas posiadających szczególnie się w nich miłował. Był on człowiekiem, do którego otwartego umysłu znajdowały przystęp wszelkie nowe prądy, bardziej też, aniżeli którykolwiek z Forsytów, szedł naprzód wraz z czasem, nigdy wszelako nie mógł zapomnieć, że nabył te grupy u Job-

sona, a zwłaszcza, że zapłacił za nie moc pieniędzy. Często mawiał też do Juny z rodzajem wzgardliwego rozczarowania:

— O, wiem, że ty nie dbasz o nie! Nie są one w guście rzucających się w oczy, pstrych świecidełek, któremi ty i twoje przyjaciółki umiecie się zachwycać, a przecie zapłaciłem za nie siedemdziesiąt funtów!

Nie należał do ludzi, ulegających spaczonym cudzym gustom, o ile miał solidne podstawy uważania własnego za zdrowy i słuszny.

Pierwszą rzeczą, jaką przedsięwzięła Juna po powrocie do domu, było udanie się do ciotek, mieszkających u stryja Tyma. Udawała przed samą sobą, że pójście jej do nich i rozweselenie staruszek zdaniem sprawy z odbytej podróży jest jej obowiązkiem; w rzeczywistości wszelako poszła, nie mogąc znaleźć innego miejsca, gdzie, dzięki zręcznemu krążeniu dokoła właściwego przedmiotu, czy nieopatrznie rzuconej przez ciotki okolicznościowej uwadze, dowie się czegoś o Bosinney'u.

Przyjęły ją bardzo serdecznie. — Jak się ma drogi jej dziadunio? Nie widziały go od maja już! Biedny stryj Tym ma się wciąż bardzo nieszczęśliwie, miał mnóstwo kłopotów z przewodami kominowemi w swojej sypialni; robotnik-niedołęga puścił sadze na pokój! Wyprowadziło to stryja Tyma ostatecznie z równowagi!

Juna przesiedziała u nich parę godzin, w nieustannym przez cały ten czas strachu, a zarazem namiętne pragnieniu usłyszenia z ich ust wieści o niewiernym narzeczonem.

Ale poczucie obowiązku dyskrecji, z którego sama nie umiała sobie zdać sprawy, sparaliżowało zdolność mówienia pani Smallowej, która ani sama nie uroniła słówka w tej materji, ani też nie zadawała Junie żadnych pytań o Bosinney'a. Doprowadzona do ostatecznej despe-

racji dziewczyna zapytała wreszcie, czy Soames i Irena są w mieście — z nikim jeszcze nie zdążyła się widzieć.

Odpowiedzi udzieliła jej ciotka Hester, która poinformowała ją, że oboje Soamesowie są w mieście i że nigdzie wogóle nie wyjeżdżali. — Zachodzą, o ile mi wiadomo, trudności jakieś z nowowypbudowanym domem — dodała — Juna napewno musiała słyszeć coś o tem. Lepiej niech się zwróci do ciotki Juli!

Juna zwróciła się do pani Smallowej, która siedziała wyprostowana na fotelu, ze splecionymi na kolanach rękami i twarzą, posianą niezliczonym mnóstwem chmurerek. W odpowiedzi na pytające spojrzenie młodej dziewczyny dziwne zachowała milczenie, a kiedy wreszcie przemówiła, jedyne zdanie, jakie wypowiedziała, dotyczyło ważnej kwestji, czy Juna nie zaniedbała wkładania, na noc skarpetek w tych górskich hotelach, gdzie tak bardzo musi być zimno.

Juna odpowiedziała, że nie wkładała, że nienawidzi wszelkich ciepłych sztuk garderoby i podniosła się do odejścia.

Najoczywieściej rozmyślne milczenie pani Smallowej bardziej było złowróżbne niż wszystko, co dostojna ta dama mogłaby powiedzieć.

Nie upłynęło pół godziny, a Juna zdążyła już wyciągnąć prawdę z ust pani Baynesowej na Lowndes Square, od której dowiedziała się, że Soames wytoczył Bosinney'owi proces o przekroczenie ustalonego przez niego kosztorysu budowy.

Wiadomość ta, zamiast zaniepokoić ją, wpłynęła na nią dziwnie kojąco, jakgdyby wszczęta pomiędzy obydwoma walka stanowiła zapowiedź lepszych widoków dla niej samej. Dowiedziała się, że termin rozprawy sądowej wyznaczony być ma za miesiąc mniej więcej i że mało jest nadziei na wygraną Bosinney'a.

— Nie mam pojęcia, jak sobie biedny chłopiec poradzi

— dodała pani Baynesowa — to okropne dla niego, wie pani — nie ma wcale pieniędzy — położenie jego jest wprost rozpaczliwe. Nikt z nas nie ma naturalnie możności dopomóc mu. O ile mi mówiono, lichwiarze nie zechcą mu pożyczyć, o ile nie przedstawi gwarancji; a jakąż może dać gwarancję? Nie ma żadnej, absolutnie żadnej.

Tusza zaczętej damy znacznie ostatnio się powiększyła, co tembardziej jej dokuczalo, że znajdowała się w kulminacyjnym punkcie rozgardjaszu, związanego z sezonem jesiennym; biurko jej zawałone było literalnie programami rozmaitych filantropijnych zabaw i went. Spojrzała wymownie na Junę szaremi swojemi, papuzio-okrągłemi oczami.

Nagły rumieniec, jaki oblał skupioną twarz młodej dziewczyny — jakgdyby olśniła ją w tym momencie iskra nadziei — nagła słodycz jej uśmiechu stawały często w następstwie, po latach jeszcze, w pamięci lady Baynes (Baynes otrzymał tytuł szlachecki po wybudowaniu przez niego publicznego Muzeum Sztuki, które tyle stworzyło posad dla urzędników i oficjalistów, a tak mało dostarczyło przyjemności klasom pracującym, mającym głównie z niego korzystać).

Pamięć naglej tej, tak żywej i prawdziwie wzruszającej przemiany, przypominającej nagle rozwarcie się kielicha kwiatu, albo pierwszy promień słońca po długotrwałej zimie, a także pamięć wszystkiego, co nastąpiło potem, narzucała się często lady Baynes w sposób niewytłumaczony i wielce niepożądany w chwilach, kiedy umysł jej zajęty bywał najpoważniejszymi sprawami.

*

W popołudniowych godzinach tego samego właśnie dnia, w którym młody Jolyon był świadkiem spotkania w Botanicznym Ogrodzie, odwiedził stary Jolyon biuro swoich radców prawnych, Forsyta, Bustarda i Forsyta

w Poultry. Soamesa nie było w biurze; poszedł do Somerset House; Bustard pogrążony był po białka oczu w papierach w niedostępnem pomieszczeniu, gdzie wyznaczono mu stałe locum, aby mógł pracować ile wlezie; we frontowem wszelako biurze, znajdował się James, który, gryząc nerwowo palec, w ponurem skupieniu przeglądał akty sprawy „Forsyte contra Bosinney“.

Doświadczony prawnik niezbyt obawiał się owego „spornego punktu“, który zdaniem jego wystarczał jedynie do milego adwokackiej duszy pogmatwania procesu; własny jego zmysł praktyczny mówił mu, że gdyby on sam zasiadał na ławie sędziowskiej, nie liczyłby się z nim wcale. Obawiał się jedynie bankructwa Bosinney'a, które zmusiłoby Soamesa do zapłacenia nie tylko spornej sumy, ale w dodatku i kosztów procesu. Poza uzasadnioną tą obawą czaiło się jeszcze widmo związanych z procesem rozmaitych przykrości, powikłań, możliwego skandalu, i wszystko to niepokoiło Jamesa niby zły sen, którego proces widomy, zewnętrznym był tylko znakiem.

Wchodzącego starego Jolyona powitał podniesieniem głowy z ponad aktów i mruknięciem:

— Jak się masz, Jolyonie? Nie widzieliśmy się już od wieków. Podobno byłeś w Szwajcarji? Wiesz, ładnie się ubrał ten młody Bosinney. Wiedziałem zgóry, że musi się tak skończyć.

Wyciągnął ku starszemu bratu akty, rzucając na niego z podoba pełne niepokoju spojrzenie.

Stary Jolyon przejrzał je w milczeniu, i przez cały czas odczytywania ich przez niego gryzł James nerwowo palec, utkwivszy wzrok w podłogę.

Wreszcie, po dłuższej chwili, rzucił Jolyon papiery na stół, na który padły one z głuchym hukiem pomiędzy stos papierów „w sprawie niezującego Buncombe'a“, stanowiącej jedno z licznych rozgąleżeń owego, tak

stale i bujnie obradzającego głównego drzewa procesowego: „Fryer contra Forsyte“.

— Nie pojmuję, o co Soamesowi idzie — rzekł. — Czy opłaci mu się cały ten galimatjas o marne paręset funtów? Sądzilem, że jest człowiekiem zamożnym.

Wydluzona górna warga Jamesa drgnęła gniewnie; nie mógł znieść atakowania syna na tym punkcie.

— Nie idzie o pieniądze... zaczął, urwał jednak wobec utkwionego w jego oczy bystrego, przenikliwego spojrzenia starszego brata.

Zapadło milczenie.

— Przyszedłem w sprawie mojego testamentu — rzekł wreszcie stary Jolyon, szarpiąc siwy wąs.

Oznajmienie to roziskrzyło nagle ciekawość Jamesa. Nic w życiu nie emocjonowało go w tej mierze, co kwestje testamentów. Było to wszak ostatnie rozporządzenie się swoją własnością, ostateczna inwentaryzacja własnego stanu posiadania, ostateczne ustalenie wysokości własnego majątku. Zadzwoił.

— Proszę przynieść testament pana Jolyona — rozkazał ciemnowłosemu, wylękłemu pisarczykowi.

— Chcesz wprowadzić jakieś zmiany? — zapytał brata i równocześnie przemknęła mu błyskawicą myśl: — Czy też mój majątek dorównywa jego majątkowi?

Stary Jolyon włożył testament do bocznej, ukrytej na piersiach kieszeni i James z wyraźnym żalem zaszczał pod stołem nogami.

— Udało ci się podobno ostatnio zrobić kilka dobrych interesów? — rzekł.

— Nie wiem, skąd czerpiesz swoje informacje — odciął się Jolyon ostro. — Na kiedy wyznaczony jest termin tej sprawy? Na przyszły miesiąc? Nie pojmuję, co wam też przyszło do głowy. Zresztą, wasza to rzecz. Jeżeli jednak chcecie posłuchać mojego zdania, radziłbym wycofać sprawę z wokandy. Do widzenia!

Wyszedł, pożegnawszy brata chłodnem dotknięciem jego dłoni.

James, wpijając oczy w niewidzialny jakiś, niepokojący go przedmiot, zaczął znów nerwowo gryźć palec.

Stary Jolyon zaniósł testament swój do biura Nowej Spółki Węglowej i, usiadłszy w pustym w tej chwili pokoju Zarządu, zabrał się do odczytania go. Tak szorstko posłał do wszystkich djabłów Hemmingsa, który, widząc że Przewodniczący wszedł do pokoju dyrektorskiego, pośpieszył przynieść mu pierwszy raport nowego Głównego Kierownika, że, urażony w swoim dostojęństwie sekretarz cofnął się pośpiesznie i, wezwawszy do siebie jednego z urzędników, wywarł na nim w tak gwałtowny sposób całą swoją wściekłość, że biedaczysko nie wiedział, w którą ma patrzeć stronę.

— Cóż do diabła, co on sobie myśli? Smyk taki! Wyobraża sobie, że dlatego, że udało mu się dostać do tego biura, jest już samym Bogiem?! On (Hemmings) stoi na czele firmy od tylu lat już, że nie potrafi ich smarkacz taki zrachować nawet! A jeżeli wyobraża sobie, że jak skończył daną mu robotę, może siedzieć z założonymi rękami i patrzeć w niebo, zapomina, że ma do czynienia z Nim (z Hemmingsem), że nie zna Go widać jeszcze!... I tak wciąż wkołko...

Z drugiej strony zasłoniętych ciężką zieloną kotarą drzwi siedział stary Jolyon przy długim, mahoniowem, obitem skórą biurku, nasadziwszy na nos wielkie, oprawne w szyldkret binokle i wodząc złotym ołówkiem po paragrafach testamentu.

Treść testamentu nie była skomplikowana, jako że nie zawierał on kłopotliwych drobnych legatów i zapisów na cele dobroczynne, rozpraszających majątek i osłabiających wspaniały efekt specjalnej wzmianki w porannych pismach, poświęconej Forsytowi, który, umierając, przekazuje najbliższym majątek wynoszący sto tysięcy funtów.

Treść nieskomplikowana. Przekazanie synowi dwudziestu tysięcy funtów. „Co się tyczy reszty mojego majątku, własności nieruchomości czy w jakiegokolwiek postaci, gotowizny, czy też udziałów w przedsiębiorstwach — od których dochody, renty, dywidendy czy procenty wypłacane być mają mojej wnuczce, Junie Forsytównie, lub też wyznaczonym jej kuratorom czy pełnomocnikom do jej dowolnego dożywotniego rozporządzenia i użytkowania i t. d. i t. d. . . . zaś po jej śmierci ma być wyżej wymieniona jej scheda-ziemia, budynki, udziały, prawa, gotowizna, papiery wartościowe, akcje, weksle i wszystko co się ich tyczy — przekazana osobie, czy osobom, jednej lub kilku, do użytkowania i rozporządzenia się nią wogóle w taki pod wszelkimi względami sposób, jak to wzmiankowana Juna Forsytówna, niezależnie od jej zamążpójścia, w ostatniej swojej woli czy testamentie, czy w rozporządzeniu listownem, mającem charakter testamentu czy testamentowego rozporządzenia, podpisanych i opublikowanych w sposób legalny, bezpośrednio wskaże czy przekaże czy też rozporządzi się. W braku . . . Z tem wszelako zastrzeżeniem . . .“ i tak dalej na siedmiu arkuszach ścisłym, prawniczym językiem.

Testament ten ułożony został przez Jolyona w dobie największego rozkwitu jego interesów. Przewidział on w nim wszelkie możliwości.

Testator siedział długo, odczytując uważnie ostatnią swoją wolę, wreszcie wyjął półarkusza papieru z półki i nakreślił na nim dłuższą notatkę ołówkiem, poczem, schowawszy testament, kazał sprowadzić dorożkę i pojechał do biur panów Paramora i Herringa w Lincoln's Inn Fields. Jack Herring nie żył już, ale bratanek jego stał wciąż jeszcze na czele firmy i z nim właśnie przesiedział stary Jolyon, zamknięty w prywatnym jego gabinecie, dobre półgodziny.

Dorożkę przez cały ten czas zatrzymał i, po wyjściu z biura, podał woźnicy adres: — 3 Wistaria Avenue.

Doznawał uczucia niezwykłej, głęboko utajonej satysfakcji, jakgdyby udało mu się odnieść zwycięstwo nad Jamesem i „posesjonatem“. Niech się nauczą nie wsuwać swojego nosa w cudze sprawy; wykreślił właśnie przed chwilą nazwiska ich z listy wykonawców testamentu; odbierze im wogóle prowadzenie wszystkich swoich spraw i odda je młodemu Herringowi, zarówno jak sprawy Towarzystw, na których czele sam stoi. Gdyby ten młokos Soames umiał naprawdę szanować swoją własność, nie naraziłby się na utratę tysiąca funtów rocznie czy coś około tego. Stary Jolyon złowróźnie uśmiechnął się pod wąsem. Czuł, że to co robi, jest aktem sprawiedliwej, w zupełności zasłużonej zemsty.

Zwolna, ale pewnem, niezawodnem działaniem, drogą powolnego procesu, toczącego w korzeniu stare drzewo, podważał trujący osad ran, zadanych jego szczęściu, jego woli, i jego dumie, podwalinie przytulnego gmachu jego filozofji. Życie naginało go tak długo w jedną stronę, że wreszcie, podobnie jak ród, którego był senjorem, utracił pierwotną równowagę.

W miarę jak dorożka wiozła go w północnym kierunku ku domowi syna, myśl o nowem rozporządzeniu swoją własnością, którego przed chwilą dokonał, krystalizowała się w mózgu jego, mgliście narazie, w postaci kary, wymierzonej rodowi i społeczeństwu, którego on sam i syn jego wydawali mu się przedstawicielami. Jolyon-ojciec przywrócił Jolyona-syna do praw dziedziczenia i to przywrócenie synowi należnych mu praw czyniło zadość jego własnej żądzy zemsty — zemsty przeciwko nieubłaganemu czasowi — za wszystkie przejścia, zmartwienia i przykrości, za cały nieobliczalny ogrom potępienia, jakim świat w ciągu piętnastu lat obrzucał głowę jego syna. Wydawało mu się to jedyną drogą po-

stawienia raz jeszcze na swoim i wykazania całej mocy własnej jego woli; zmuszenia Jamesa, Soamesa, wszystkich członków rodziny, wszystkich ukrytych zastępów Forsytów — nieustającej rozlewnej ich fali, rozbijającej się o nieprzeparty wał jego uporu — do uznania raz nazawsze, że *on właśnie będzie panem*. Rozkoszną była myśl, że uczyni wreszcie ze swojego chłopca znacznie bogatszego człowieka, aniżeli ów syn Jamesowy, ów „posesjonat“. Rozkoszną była myśl obdarowywania Jo, kochał bowiem prawdziwie swojego syna.

Nie zastał w domu ani Jolyona ani jego żony (Jolyon-syn nie powrócił jeszcze z Botanicznego Ogrodu), ale mała dziewczynina-służąca powiedziała mu, że tylko co patrzeć pana Forsyta.

— Zawsze bywa w domu po obiedzie na herbacie, proszę pana. To pora, kiedy bawi się z dziećmi.

Stary Jolyon powiedział, że zaczeka, cierpliwie też usiadł w wypłowiałym, odrapanym saloniku, w którym teraz, kiedy zdjęto z mebli kolorowe kretonowe pokrowce, ujawniły się wszystkie braki starych krzesel i kanapek. Miał wielką ochotę posłania po dzieci; tęsknił za widokiem ich twarzączek i ocieraniem się ich giętkich ciałek o jego kolana, za usłyszeniem wesołego powitania małego Jolly: — „Hallo!, dziaduniu!“ i za nieśmiałem, z ukradka, pogłaskaniem starczych policzków miękką, drobniuchną rączką małej Holly. Powstrzymał się jednak. Zbyt uroczysty był powód jego przyjścia, dopóki więc nie załatwi głównej sprawy, nie chce bawić się z dziećmi. Przyjemne uczucie budziła w nim myśl, że dwoma pociągnięciami pióra przywróci duch kastowy, tak wyraźnie obcy wszystkiemu w skromnym tym domku; że będzie mógł zapelnąć pokoje te, czy wszelkie inne w obszerniejszej siedzibie, dziełami sztuki czystej i stosowanej, nabytymi u Baple'a i Pullbreda; że posłać będzie mógł małego Jolly do Harrow i Oxfordu (prze-

stał wierzyć w Eton i Cambridge, ponieważ syn jego był tam) i że można będzie małej Holly, zdradzającej wybitne uzdolnienie muzyczne, zapewnić możliwie najlepszy kierunek w tej dziedzinie.

Wszystkie te wizje tak do głębi poruszały go i roz-pierały jego serce, że nie mógł usiedzieć na miejscu, podniósł się też i stanął przy oknie, skąd był widok na mały, otoczony murem, kawałek ogrodu, w którym drzewo gruszkowe, przedwcześnie огоłocone z liści, stało z obnażonymi gałęziami w zwolna osnuwającej wszystko dokoła mgłę jesiennego popołudnia. Pies Baltazar, za-łożywszy ogon na pstrokatem, bujnym swoim futrze, obwąchiwał rośliny, kwitnące pod murem i od czasu do czasu opierał się tylną nogą o ścianę.

Stary Jolyon zamyślił się.

Czy istnieją przyjemności poza dawaniem? Miło jest obdarowywać, o ile znajduje się kogoś, kto potrafi być wdzięcznym za otrzymany dar — kogoś z własnej krwi i kości! Nieporównanie mniejszą sprawia przy-jemność dawanie tym, którzy nie należą do nas, tym, którzy żadnych nie mają do nas praw! Obdarowywanie takich ludzi jest zaparciem się indywidualnych prze-konań i czynów całego życia, wszystkich swoich dążeń, prac, przezornego umiarkowania, wielkiego, dumnego faktu, że — podobnie do tysięcy Forsytów przed nim — dziesiątki tysięcy żyjących obecnie i dziesiątki ty-sięcy przyszłych nagromadzi i utrzyma własność swoją na świecie.

I kiedy stał tak, zapatrzony w zbrukane sadzą liście drzew laurowych, w poczerniałą trawę gazonu, w wałę-sanie się psa Baltazara, wszystkie przecierpiane w ciągu minionych piętnastu lat bole i zawody, pozbawiające go należnych radości życia, zaprawiały goryczą słodycz zbliżającego się momentu.

Jolyon-syn powrócił wreszcie, zadowolony z dokonanej tego dnia pracy i odświeżony szeregiem spędzonych na powietrzu godzin. Dowiedziawszy się, że ojciec jest w saloniku, zapytał bezzwłocznie, czy żona jego jest w domu, a kiedy powiedziano mu, że jeszcze nie przyszła, odetchnął z uczuciem ulgi. Po starannem odłożeniu przyborów swoich do malowania do malej, ukrytej w sionce, szafki, wszedł do pokoju.

Z cechującą go zawsze stanowczością przystąpił stary Jolyon odrazu do głównej sprawy.

— Jo, zmieniłem mój sposób rozporządzenia się majątkiem — rzekł. — Będiesz mógł żyć trochę szerzej na przyszłość. Wyznaczam ci od teraz już tysiąc funtów rocznie. Juna dostanie po mojej śmierci pięćdziesiąt tysięcy, a ty resztę. Słuchaj, ten twój pies psuje wam cały ogród. Nie trzymałbym psa, gdybym był na twojem miejscu!

Pies Baltazar, który rozłożył się na samym środku gazonu, badał pilnie swój ogon.

Jolyon-syn spojrział na zwierzę, widział je jednak tylko przez mgłę, jaką zaszyły mu oczy.

— Na ciebie wypadnie coś około stu tysięcy, mój chłopcze — dodał stary Jolyon. Przyszło mi na myśl, że lepiej będzie, jak się dowiesz o tem już teraz. Nie liczę już w moim wieku na długi żywot. Nie będziemy więcej mówili o tej sprawie. Jak się ma twoja żona? Pokłoń jej się serdecznie ode mnie.

Młody Jolyon położył rękę na ramieniu ojca, że zaś żaden z nich obu nie wymówił ani słowa więcej, zakończył się na tem cały incydent.

Po odprowadzeniu ojca do dorożki powrócił młody Jolyon do saloniku i stanął przy oknie na tem samym miejscu, gdzie przed chwilą stał jego ojciec i skąd patrzył na mały ogródek. Próbował uzmysłwić sobie, czem właściwie jest dla niego ta zmiana i, jako Forsyte,

odrazu wyczarował z głębin swojego mózgu obrazy, związane z posiadaniem. Lata przymierania głodem, jakie miał za sobą, nie zagłuszyły w nim doszczętnie wrodzonych jego instynktów. W niezmiernie realnej i praktycznej formie snuć zaczął wizje podróży, wytwornego ubrania dla żony, odpowiedniego kształcenia dzieci, kucyka dla Jolly, tysiąca miłych i potrzebnych rzeczy; wszystkie te kombinacje jednak nie przysłoniły mu myśli o Bosinney'u i jego wybranej, o nadłamanym głosie drozda. Radość?... Tragedja? Co właściwie?...

Dawno minioną przeszłość — bolesną, dręczącą, gorącą, cudowną przeszłość, której nabyć nie można za żadne pieniądze, której palącej słodczy nic nie jest w stanie przywrócić, stanęła przed nim jak żywa.

Usłyszawszy kroki żony na górze, pośpieszył wprost do niej i przycisnął ją do serca. Długą chwilę stał bez słowa, z zamkniętymi oczami, tuląc ją w objęciach, a ona patrzyła na niego zdziwionym, rozkochanym, pytającym wzrokiem.

ROZDZIAŁ IV

Z STĄPIENIE DO PIEKIEŁ

Zrana po pewnej nocy, podczas której Soames zdobył nareszcie swoje prawa i postąpił jak mężczyzna, siedział on przy śniadaniu sam.

Jadł przy świetle gazowem, jako że listopadowa mgła otuliła miasto olbrzymią powłoką, z poza której zaledwie wyłaniały się czubki drzew parkowych, widzialne z okien jadalnego pokoju.

Jadł systematycznie jak zwykle, chwilami wszelako doznawał uczucia, że nie może łykać. Czy słusznie postąpił, ulegając wreszcie niepokonanej swojej żądzy ostatniej nocy i złamał opór, cierpliwie znoszony przez

niego nazbyt już długo ze strony kobiety, będącej prawną, uroczyście poślubioną mu towarzyszką życia?

Dziwnie prześladowało go wspomnienie jej twarzy, od której usiłował odciągnąć jej dłonie, aby upieścić ją i utulić — wspomnienie jej gwałtownie powstrzymany-
wanych łkań, jakich nigdy jeszcze nie słyszał w całym swoim życiu i jakie i teraz jeszcze nie przestawały brzmieć mu w uszach. Prześladowało go wciąż jeszcze nieznośne uczucie żalu i wstydu, jakiego doznał, stojąc przed nią i patrząc na nią w świetle świecy, zanim nie wysunął się w milczeniu z pokoju.

Sam też nie rozumiał, dlaczego teraz, kiedy postąpił w ten sposób, dziwił się samemu sobie.

Przed dwoma dniami, na proszonym obiedzie u Winifredy Dartie, prowadził do stołu panią MacAnderowę, która, wraziwszy w niego przenikliwe spojrzenie bystrych, zielonkawych swoich oczu, rzekła:

— Żona pańska jest zatem wielką przyjaciółką tego waszego Bosinney'a?

Nie zaszczylił jej zapytaniem o znaczenie tych słów, zapadły mu one jednak głęboko w duszę.

Rozpalily w nim dziką zazdrość, która, drogą dziwnego wypaczenia uczuć, przeistoczyła się w dzikszą jeszcze żądzę.

Gdyby nie podniecające działanie słów pani MacAnderowej, nie byłby może nigdy odważył się na to, co uczynił. Gdyby nie podniecenie, spowodowane niemi oraz szczególniey traf znalezienia drzwi sypialni Ireny wyjątkowo niezamkniętymi, nie byłby zakradł się do niej podczas jej snu.

Krótki sen rozproszył chwilowo jego wątpliwości, rano wszelako zbudził je z nową siłą do życia. Jedna tylko pocieszała go myśl:

— Nikt nie może wiedzieć — nie są to rzeczy, o których Irena mogłaby mówić z kimkolwiek.

Istotnie też, kiedy wóz codziennych jego zajęć, domagający się tak władczo nieustannego naoliwiania go smarem jasnego, niezamącenie trzeźwego myślenia, potoczył się i tego ranka, jak codziennie, ruszając z miejsca z chwilą otrzymania pierwszej poczty, błędność zaczęły na dnie myśli jego nocne te majaki i przybierać mniej doniosłą wagę. Cały ten incydent wydał mu się bardziej przelotnym; w książkach tylko robią kobiety tyle o to hałasu, pod kątem wszelako chłodnej oceny trzeźwo sądzących mężczyzn, ludzi znających świat i życie, tych, których usprawiedliwienie słyszał często z ust sędziów, wyrokujących w sprawach rozwodowych, uczynił to, co mógł uczynić najlepszego w imię podtrzymania świętości węzłów małżeńskich i niedopuszczenia, aby żona zaniedbywała swoje obowiązki, a bodaj nawet, o ile miała by istotnie w dalszym ciągu widywać się z Bosinney'em, przeszkodzenia, aby... Nie, stanowczo nie żałował swojego czynu.

Teraz, kiedy zrobiony został pierwszy krok do pogodzenia się, reszta łatwiej już względnie... względnie...

Wstał z krzesła i podszedł do okna. Nerwy jego były wstrząśnięte. W uszach rozbrzmiało mu znów gwałtownie powstrzymywane łkanie. Nie mógł pozbyć się go.

Włożył na siebie futro i wyszedł. Aby dostać się do City, skierował się ku stacji kolei podziemnej na Sloane Square.

Ale wciąż jeszcze, siedząc w przedziale pierwszej klasy, zapelnionej dążącymi do City ludźmi interesu, słyszał to gwałtownie powstrzymywane łkanie. Aby pozbyć się go, otworzył gazetę z donośnym specyficznym owym chrobotem, zagłuszającym wszelkie mniej głośnie dźwięki i, zabarykadowawszy się poza nią, zabrał się metodycznie do studjowania jej treści.

Przeczytał, że wielkiemu jury z dnia poprzedniego zarzucono dłuższą niż zazwyczaj listę nieprawidłowości,

dowiedział się o trzech zabójstwach, pięciu grabieżach, siedmiu podpaleniach i ni mniej ni więcej, tylko jedenastu — zdumiewająco wielka liczba! — zgwałceniach, poza wieloma drobniejszemi przestępstwami, których osądzenie miało wejść na najbliższą sesję sądową. Od jednej nowiny przechodził do drugiej, nie odrywając ani na chwilę oczu od gazety.

Mimo to, nieodłącznie od czytania, prześladowało go wspomnienie zalanej łzami twarzy Ireny i Ikań, rozrywających jej pierś.

Miał bardzo wiele spraw do załatwienia tego dnia, bowiem, poza zwykłemi zajęciami zawodowemi, musiał jeszcze zjechać do swojego agenta giełdowego i dać mu polecenie sprzedaży udziałów, jakie miał w Nowej Spółce Węglowej. O ile podejrzewał raczej, aniżeli wiedział, interesy jej szły nietęgo (przedsiębiorstwo to staczać się zaczęło w następstwie powoli do upadku i ostatecznie odsprzedane zostało za grosze amerykańskiemu syndykatowi). Nadto czekała go długa konferencja w kancelarji radcy królewskiego Waterbucka, w której udział wziąć mieli, prócz samego Waterbucka, Boulter oraz młody radca prawny, Fiske.

Sprawa „Forsyte contra Bosinney“ rozpatrywana być miała nazajutrz pod przewodem sędziego Benthama.

Sędzia Bentham, człowiek wyróżniający się raczej zdrowym sądem o rzeczy, aniżeli wybitną wiedzą prawniczą, uważany był za najwłaściwszą instancję do rozstrzygnięcia tej sprawy. Był to sędzia „surowy“.

Radca królewski Waterbuck, w miłym przeciwstawieniu do szorstkiego, nieomal lekceważącego traktowania Soamesa ze strony Boultera i Fiske'go, zachowywał się względem niego z uprzedzającemi względami; niewiadomo jednak, czy działał samorzutnie, czy też pod wpływem słuchów, jakie do niego dochodziły o Soamesie, jako o jednym z poważnych posesjonatów.

Ze zdumiewającą uporczywością podtrzymywał wyrażone już kiedyś pisemnie zdanie, że wynik sprawy w znacznej mierze zależeć będzie od zeznań na przewodzie sądowym, dlatego też w kilku trafnie ujętych zdaniach dał Soamesowi wskazówkę, aby unikał zeznawania w sposób nazbyt ostrożny.

Odrobina bluffowania! — uśmiechnął się — odrobina bluffowania! — powtórzył i rzekłszy to, roześmiał się na dobre, poczem zacisnął mocno wargi i poskrobał się w głowę w tem miejscu, z którego zsunął nieco perukę ruchem obywatela wiejskiego, za jakiego lubił, aby go brano. Uważany był może za głównego specjalistę w sprawach dotyczących zrywania umów.

Soames w drodze powrotnej do domu znów skorzystał z kolei podziemnej. Na stacji kolejowej Sloane Street mgła gęściejsza była niż kiedykolwiek. Poprzez zwartą jej masę wlewały się i wylewały mrowia mężczyzn. Kobiety, bardzo zresztą nieliczne, przyciskały torebki do łona i chusteczki do ust. Zarysy dorożek, uwieńczone dziwaczными naroślami kłaków waty dokoła koni i woźnicy, rozjaśnionej słabo majaczącą glorią światła ulicznych — które zdawały się roztopiać w mlecznych oparach, zanim zdołały dotrzeć do kamieni bruku i asfaltu chodników, — wynurzały się tu i owdzie i znów ginęły w mroku. Wysiadające z nich niewyraźne postacie pasażerów przeskakiwały do swoich nor śpiesznie, nakształt królików.

Przemykające te cienie, spowite, każdy z osobna, we własny swój całun mglisty, nie zwracały wzajem na siebie najmniejszej uwagi. W wielkiej ludzkiej królikarni istnieć się zdawał każdy królik dla samego siebie tylko. Dotyczyło to zwłaszcza gatunków strojnych w bogatsze futra, nie dowierzających w dni wielkiej mgły pojazdom, i z tej jedynie racji korzystających z kolei podziemnej, jako jedyne go bezpiecznego środka lokomocji.

Niedaleko Soamesa jakaś postać wyraźnie wszelako czekała na kogoś przy wejściu na stację.

Żebrak, może zakochany, o którym każdy Forsyte niezmiennie myśli:

— Biedak! Wygląda, jakgdyby przez wielkie przechodził opał!

Współczujące ich serca żywszem na chwilę były tętnem na widok biedaka tego, czekającego z widocznym niepokojem wpośród mgły; nie przeszkadzało im to jednak mijać go śpiesznie, rozumieli bowiem, że cały swój czas i wszelkie zasoby pieniężne muszą poświęcać na łagodzenie własnych bolączek i trosk.

Jedynie policjant, patrolujący ruch uliczny, zwracał od czasu do czasu bacniejszą uwagę na postać czekającego, któremu rondo miękkiego kapelusza nawpół osłaniało posiniałą z zimna, chudą i wymizerowaną twarz; tak samo chuda, przejrzysta jego ręka przesuwiała się tu i owdzie chyłkiem po tej twarzy, jakgdyby ruchem tym mogła spędzić z niej niepokój i troskę, a może też dodać czekającemu odwagi i wznowić powziętą przez niego decyzję czekania. Ale czekający żebrak czy zakochany (niezależnie od tego, czy był jednym czy drugim) przywykł widocznie do zaciekawiania swoją osobą policjanta, a może zbyt przejęty był własnym niepokojem, ani się bowiem poruszył. Uparty wielbiciel (o ile był to istotnie wielbiciel) zżyty był znać z długim wyczekiwaniem, z niespokojnem wypatrywaniem, z wystawaniem na zimnie i wilgoci, żyjąc jedyną tylko myślą ujrzenia wreszcie ukochanej! Szalencie! Mgły trwają do wiosny; należy być przygotowanym na deszcze i śniegi; a pociechy znikąd; dręczący strach, o ile zdecyduje się ona, ubłagana przez niego, wyjść na ulicę; niemniej dręczący, o ile skłoni ją, aby została w domu.

— Dobrze mu tak; dlaczego nie umie urządzić się lepiej?

Tak powie każdy szanujący się Forsyte. Gdyby jednak trzeźwy ten obywatel mógł zajrzeć na dno duszy kochanka, czekającego na chłodzie i slocie, powiedziałby może:

— Tak, biedaczysko; nietęgo musi mu się dzać!

Soames wsiadł do swojej dorożki, spuścił okna i powlókł się wzdłuż Sloane Street, a potem wzdłuż Brompton Road, i wreszcie stanął w domu o piątej.

Żony nie zastał. Wyszła o kwadrans przed jego przybyciem. O tak późnej porze, podczas straszliwej tej mgły?!

Usiadł przy ogniu kominkowym w jadalni, pozostawwszy drzwi otworem, próbując przejrzeć wieczorne gazety. Książki nie byłby w stanie czytać — jedynie gazety mogły dać mu narkotyk na znieczulenie dojmujących jego trosk. Zwykle, poruszane stale w gazecie tematy i nowiny dały mu w istocie nieco ukojenia.

„Samobójstwo aktorki!“ „Poważna niedyspozycja męża Stanu!“ (chroniczny pacjent). „Rozwód oficera!“ „Pożar w kopalni węgla!“ — przeczytał wszystko od deski do deski. Trochę mu to czytanie ulżyło — recepta, zapisana przez największego z wszystkich doktorów — wrodzone nasze upodobanie.

Była już prawie siódma, kiedy nareszcie usłyszał kroki wchodzącej Ireny.

Pod wpływem dręczącego niepokoju z powodu jej niezrozumiałego wyjścia o tak późnej porze i w taką mgłę zbladło znaczenie incydentu ostatniej nocy. Teraz wszelako, kiedy Irena była znów w domu, powróciła pamięć jej rozpaczliwego łkania; strach ogarnął go na myśl spotkania się z nią.

Była już na schodach; szare jej futrzane palto zwiślało do kolan, w wysoko podniesionym kołnierzu kryła się prawie jej twarz, osłonięta gęstym wualem.

Nie odwróciła głowy ku niemu, ani też do niego nie przemówiła. Zjawa, ani człowiek zupełnie obcy, nie mogłyby przesunąć się bardziej milcząco.

Bilson weszła, aby nakryć do stołu, oznajmiając, że pani domu nie zejdzie; prosiła, aby jej przynieść talerz zupy na górę do sypialni.

Po raz pierwszy nie zmienił Soames ubrania do obiadu; bodaj że po raz pierwszy w swoim życiu usiadł do stołu w zbrukanych mankietach, nie zauważwszy tego nawet. Długo siedział zamyślony przy kieliszku wina. Posłał Bilson, aby zapaliła światła w galerji obrazów, do której po chwili poszedł sam.

Znalazszy się tu, westchnął głęboko, jakgdyby wpośród tych skarbów, odwróconych rzędami do ścian dookoła niewielkiego pokoju, służącego za galerję, mógł nareszcie odzyskać spokój ducha. Zbliżył się wprost do największego ze wszystkich tych skarbów, niewątpliwego Turnera, i, ustawivszy go na stalugach, zwrócił płótno do światła. Ostatnio poskoczyły Turnery mocno w cenie; nie mógł się jednak zdecydować rozstać z płótnem. Stał przed nim przez dłuższą chwilę, pochylając bladą, gładko ogoloną twarz z ponad stojącego kołnierzyka, wpatrzony w obraz, jakgdyby chciał wrazić sobie w pamięć jego piękno. Dziwnie pożądliwy wyraz zamigotał w jego oczach; może nie wystarczało mu odebrane wrażenie. Zdjął wreszcie obraz ze stalug, aby odstawić go ponownie na poprzednie miejsce pod ścianą, w chwili jednak przechodzenia przez pokój zatrzymał się, wydało mu się bowiem, że słyszy łkanie.

Omylił się — była to ta sama wciąż, dręcząca go przez cały dzień zhora. Wnet potem przekradł się cicho po schodach nadół.

— Jutro wszystko się ułoży! — pomyślał. Długo jednak trwało, zanim udał się na spoczynek...

Kolej teraz na George'a Forsyta, do którego zwrócić

się musimy po promień światła, rozjaśniający mroki wydarzeń tego, spowitego w mgłę, popołudnia.

Najdowcipniejszy i najbardziej sportsmański z Forsytów spędził dzień na czytaniu powieści pod dachem rodzicielskim w Prince's Gardens. Od czasu krytycznego przełomu w jego sprawach finansowych trzymał go Roger krótko i zmusił do zamieszkania „w domu“.

Okolo piątej wyszedł i wsiadł do pociągu kolei podziemnej na stacji South Kensington (tego dnia nie używał nikt innej lokomocji). Miał zamiar zjeść obiad i spędzić wieczór na grze w bilard w Czerwonym Garnku — jedynej w swoim rodzaju jadalni, która nie jest ani hotelem, ani klubem, ani pierwszorzędną, znaną restauracją.

Wysiadł na Charing Cross, obierając tym razem tę drogę zamiast zwykłego przejścia przez Park św. Jakóba, aby móc dostać się na Jermyn Street lepiej oświetlonemi ulicami.

Na peronie wzrok jego (łącznie z wytworną, pańską sylwetką posiadał George bystry wzrok, stale też wysyłał go na zwiady w poszukiwaniu psztyczka, mogącego podniecić sardoniczny jego humor) padł na mężczyznę, który, wyskoczywszy z przedziału pierwszej klasy, zatoczył się raczej, aniżeli wybiegł ku wyjściu.

— Aha, to tak, mój ptaszku! — powiedział sobie. — O, to przecież Pirat! — zawołał, śpiesząc wślad za nim. Nic nie bawiło go bardziej, aniżeli widok człowieka pijanego.

Bosinney, w nasuniętym na oczy miękkim kapeluszu, zatrzymał się tuż przed nim, ale natychmiast zawrócił i popędził zpowrotem do wagonu, z którego przed chwilą wybiegł. Zapóźno. Odźwierny schwycił go za pole pałta; pociąg ruszył.

Doświadczone oko George'a dostrzegło twarz otulonej w szary futrzany płaszcz damy, która mignęła mu przy

jednem z okien przebiegającego pociągu. Była to pani Soamesowa — George wyczuł w tem odkrycie coś szczególnie pikantnego.

Przyśpieszył kroku, aby nie zatracić śladu Pirata, popędził za nim po schodach, potem wraz z nim minął urzędnika odbierającego bilety i wypadł na ulicę. Podczas tej pogoni jednak w nastroju jego zaszedł zwrot; ciekawość i rozbawienie pierzchły, ustępując miejsca współczuciu dla biednego, ściganego przez niego chłopca. „Pirat“ nie był pijany, zdawał się jednak działać pod wpływem gwałtownego wzruszenia; mówił sam do siebie i George dosłyszał jedynie słowa: „O, mój Boże!“ Widoczne było, że sam nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi i dokąd biegnie; wlepił oczy w próżnię, wahał się i poruszał jak nieprzytomny; zamiast też szukać w nim przedmiotu zabawy poczuł George, że winien roztoczyć nad nieszczęśliwym czujną opiekę.

— Musiał porządnie dostać po łbie!... porządnie! — pomyślał. — Co też takiego mogła pani Soamesowa powiedzieć mu w wagonie? Sama wyglądała jak z krzyża zdjeta! Żal mu się zrobiło na myśl o odjeżdżającej samotnie z tak ciężkiem wyrażnie sercem.

Śpieszył tuż za Bosinney'em — rosły, wielki mężczyzna biegł naprzód, nic mówiąc, poruszając się jak automat — i nie spuszczał go z oczu wpośród ulicznej mgły. Nie do żartów tu było! O, nie! W George'u, obok współczucia, zbudził się instynkt łowiecki.

Bosinney wyszedł wprost na jezdnię w sam środek rozlewnego, zgęszczonego mroku, gdzie niepodobna było nic rozróżnić na pięć, sześć kroków dokoła, gdzie krzyki, wołania i gwizdy myliły wciąż i zbijały z tropu, gdzie nagle wylaniały się z czerności cieni zarysy poszczególnych sylwetek ludzkich i pojazdów, i od czasu do czasu migwały błakające się światełka, niby wysepki, majaczące wśród bezkresów ciemnego oceanu.

Szybkim krokiem wpadł Bosinney w niebezpieczny ten odmęt nocy i równie szybko podążył za nim George. Jeżeli chłopak ma zamiar rzucić się pod koła omnibusu, powstrzyma go, o ile zdoła! Z ulicy w ulicę pędził Pirat, gnany niewidzialną siłą, nie poomacku, ostrożnie. jak posuwają się ludzie wśród mroków mgły, ale wprost naprzód, jakgdyby nieodstępny George poza nim poganiał go biczem. Ta pogoń za prześladowanym zaczęła przedziwnego nabierać dla George'a uroku.

Nagle cała sprawa szczególnie wzięła obrót, który pozostał uwieczniony trwale w jego umyśle. Zahamowany wskutek zatrzymania się pędzącego naprzód Bosinney'a, usłyszał słowa, które rzuciły mu jaskrawe światło na całą historję. To, co pani Soamesowa powiedziała chłopakowi przed chwilą w wagonie kolei podziemnej, przestało być dla niego tajemnicą. Z wyrzucanych przez Bosinney'a urywanych słów zrozumiał, że Soames siłą wymusił swoje prawo na opierającej mu się, nie mającej nic już z nim wspólnego kobiecie i zawładnął nią najbardziej przemocnym, decydującym aktem posiadania.

Nietrudno mu było odtworzyć sobie w wyobraźni całą sytuację; wywarła ona na nim gwałtowne wrażenie; odczuł cały bezmiar bólu i piekącego wstydu męskiego, jaki palić musiał serce Bosinney'a. Pomyślał też:

— O, tak, to już przechodzi granice! Nie dziwię się, że biedny chłopak wydaje się nawpół obłąkany!

Prześladowana przez niego ofiara rzuciła się wreszcie na ławkę pod jednym z lwów na Trafalgar-Square, pod upiornym sfinksem, zabłąkanym, podobnie jak oni obaj, wśród gęstwy mgły. Bosinney siedział tu, milczący i nieruchomy, a George, pociągnięty ku niemu dziwnem współczuciem bratniem, cierpliwie stał poza nim. Nie brakło mu pewnego poczucia delikatności, niepozwalającego na narzucanie się, ani wtrącanie do tej tragedji,

czekał więc, spokojny jak lew ponad jego głową, z kołnierzem futrzanym, podniesionym powyżej uszu i kryjącym czerstwy rumieniec jego policzków, osłaniającym twarz całą z wyjątkiem współczujących, zarazem sardonicznie uśmiechniętych oczu. Nieustanną falą płynęły mimo nich szeregi mężczyzn, powracających z zajęcia po drodze do swoich klubów, spowitych niby kokony w oprzęd mgły, z której wylaniali się nakszałt upiórów i jak upiory znów w niej znikali. Przewyciężając wzruszenie współczucia, podniecił nagle George'a wrodzony mu humor do pociągnięcia którego z tych upiornych widziadeł za rękaw i rzucenia mu w twarz:

— Ej, ty Johnnie! Stój! Nieczęsto miewasz okazję oglądania podobnego widowiska? Masz tu przed sobą biedaka, którego kochanka opowiedziała mu przed chwilą ładną historyjkę o zachowaniu się jej męża; przyjrzyj mu się, przyjrzyj! Dostał porządnie pałką w łeb!

Widział już ich w wyobraźni swojej, wytrzeszczających ślepia na udręczonego kochanka; szczyrzył z uciechy zęby na myśl o godnym jakimś, świeżo skojarzonym młodzieńcu, któremu własne jego sprawy miłosne pozwoliłyby na uchylenie rąbka zasłony, kryjącej głębię duszy Bosinney'a; wyobrażał sobie, jak coraz szerzej rozwierają mu się usta, chłonąc w siebie coraz gęściejszą falą kłęby mgły. Bowiem w sercu George'a nagromadził się bezmiar pogardy dla klasy średniej — zwłaszcza dla żonatych przedstawicieli klasy średniej — pogardy, cechującej wszystkie, urobione na modłę sportsmanską, niesforne natury z pośród sfer mieszczańskich.

Zaczęło go to wreszcie nudzić. Nie po to załazł aż tu, aby czekać.

— Ostatecznie — pomyślał — poradzi sobie biedaczysko z tem wszystkim! Nie po raz pierwszy zdarza się podobna historia w małym tym światku.

W tej samej jednak chwili jego ofiara zaczęła ponownie wyrzucać z siebie słowa pełne gwałtownej nienawiści i gniewu. Pod wpływem nagłego impulsu położył George rękę na ramieniu siedzącego.

Bosinney wzdrygnął się i odwrócił szorstkim ruchem głowę.

— Kto pan taki? Czego pan ode mnie chce?

George byłby dobrze utrzymał się w swojej roli w świetle gazowych latarni, w ramach zwykłego środowiska, którego był tak wytrawnym znawcą; wpośród tej mgły wszelako, nadającej wszystkiemu dokoła widmowo nierzeczywisty pozór, zatracającej wyrazistość faktycznych wartości i forsytowych ocen przyziemnych, uległ dziwnie niesamowitemu oszołomieniu, usiłując też śmiało spojrzeć manjakowi prosto w oczy, pomyślał:

— Gdybym tylko zobaczył w pobliżu policjanta, oddałbym mu go w ręce; nie nadaje się biedak do spacerowania na wolności.

Bosinney wszakże, nie czekając na odpowiedź, zerwał się z ławki i wsiąknął w mgłę. George pośpieszył za nim, trzymając się jednak tym razem nieco zdala, jakkolwiek bardziej jeszcze niż kiedykolwiek był zdecydowany nie tracić swojej zwierzyny z oczu.

— Nie może przecież biec tak do nieskończoności — pomyślał. — Prawdziwie cudowna czuwa nad nim Opatrzność, że nie został jeszcze przejechany!

Przestał już wypatrywać policjanta, znów bowiem zapłonął w nim święty ogień sportowca.

Bosinney parł naprzód szalonym pędem, prując coraz bardziej zgęszczającą się mgłę, mimo to tropiący go zdawał sobie sprawę z pewnej już metodyczności jego biegu — widoczne było, że zdąża on już ku wyraźnemu celowi, śpiesząc w zachodnim kierunku.

Idzie do Soamesa — jak mi Bóg miły! — pomyślał George. — Świadomość ta pociągnęła go nadzieją

celu, oplacającego trud pogoni. Nie lubił nigdy stryjczanego swojego brata.

Dyszel przejeżdżającej dorożki otarł się o jego ramię, zmuszając go do gwałtownego odskoczenia. Nie miał zamiaru dać się zabić dla Pirata, ani dla nikogo innego. Z dziedzicznym wszelako, iście forsytowskim uporem starał się nie tracić z oczu śladu, wpijając oczy w mgłę, wyścielającą wszystko dokoła z wyjątkiem cienia tropionego przez niego człowieka i mdłego światelka najbliższej latarni.

Nagle niezawodny instynkt miejskiego szlifibruka odpowiedział George'owi, że znajduje się w Piccadilly. Tutaj już mógł trafić poomacku. Wolny od wysiłku geograficznej niepewności, oddał się całkowicie myśli o nieszczęśliwym Bosinney'u.

Kiedy tak biegł długą aleją, z którą nieodłącznie wiązało się mnóstwo jego przeżyć, jako dziecka miasta, wyłoniło mu się z zakamarków pamięci, na tle bagna dwuznacznych miłostek, jedno niezwykle jasne wspomnienie młodości. — Wspomnienie, wciąż jeszcze żywe, wyczarowujące mu wpośród mroku i oparów tej mgły londyńskiej, pamięć zapachu siana, blasku światła księżycowego, uroku nocy letniej — nocy, podczas której w najciemniejszym cieniu gazonu usłyszał z ust kobiety wyznanie, że nie jest jedynym jej posiadaczem. Przez chwilę zdawało mu się, że nie kroczy wpośród ciemności Piccadilly, ale leży znów, z piekłem wróćem mu w duszy i twarzą wtuloną w słodko pachnącą, sperlona rosą trawę, w wydłużonym cieniu, kładącym się z wysokich topoli i kryjącym światło księżyca.

Ogarnęła go tęsknota za opleceniem szyi Bosinney'a ramionami swojemi i powiedzeniem mu:

— Chodź ze mną, drogi chłopcze. Czas leczy najkrwawsze rany. Chodź i utopmy smutki nasze w winie!

Ale ktoś krzyknął na niego, cofnął się więc instynktownie. Z ciemności wytoczyła się dorożka, która wnet w tej ciemności zpowrotem znikła. I nagle spostrzegł George, że stracił z oczu Bosinney'a. Rzucił się naprzód, potem wtył, poczuł że serce ścisnął mu skurcz lęku, ciemnego, niewytłumaczonego lęku, opadającego na duszę na skrzydłach mgły. Na czoło wystąpiły mu grube krople potu. Stał sprężony, wsłuchany całym swoim jęstem w martwą ciszę nocy.

— I wówczas właśnie — zwierzył się tegoż jeszcze wieczora Dartie'mu podczas partji bilardu w Czerwonym Garnku — straciłem go z oczu.

Dartie pokręcił z wyrazem współczucia ciemny swój wąsik.

— A kto była ona? — zapytał.

George ogarnął powoli wzrokiem gąbczastą, bladą twarz „światowca“ i ponury, zjadliwy uśmiezek przemknął po jego policzkach i zabłysnął z pod ciężkich, opadających na oczy powiek.

— O, nie, mój ptaszku — pomyślał. — Ani mi się śni powiedzieć ci.

Mimo że często przebywał w towarzystwie Dartie'go, uważał go za marne bydlę.

— O, jakaś gryzетка — rzekł, smarując kredą swój kij.

— Gryzетка! — zawołał Dartie. — Dałbym głowę, że to nasz przyjaciel, Soa...

— Dałbyś? — przerwał mu George szorstko. — W takim razie pomyliłbyś się, do wszystkich djabłów!

Nie trafił. Starannie unikał ponownego poruszenia tego tematu, około jedenastej wszakże, kiedy, zgodnie z poetycką frazeologją „zaczęło mu już od wychylanych kieliszków porządnie kurzyć się we łbie“, rozsunął kotarę okienną i wyjrzał na ulicę. Mroczne czerności mgły słabo tylko rozjaśnione były latarniami Czer-

wonego Garnka i wśród całej tej czerni nie migotał ani jeden niepewny zarys żywego człowieka czy rzeczy.

— Nie mogę pozbyć się myśli o biednym Piracie — rzekł. — Może włóczy się w dalszym ciągu jeszcze we mgle. Jeżeli nie jest już trupem — dodał z dziwnem zgnębieniem.

— Trupem?! — zawołał Dartie, w którego umyśle błysnęło wspomnienie jego porażki w Richmondzie. — *Temu* nigdy nic się nie stanie. Dziesięć przeciwko jednemu, że da wszystkiemu radę! Samemu djabłu chyba!

George zwrócił się ku niemu i zmierzył go od stóp do głowy dzikim błyskiem rozognionych oczu.

— Zamknij gębę! — ofuknął go. — Mówię ci przecież, że dostał porządnie po łbie!

ROZDZIAŁ V

PROCES

Z rana, w dniu, na który wyznaczona była jego sprawa, druga na liście, zmuszony był znów Soames wyjść z domu, nie widziawszy się z Ireną, co zresztą dogadzało mu do pewnego stopnia, bowiem nie postanowił jeszcze, jak ma się wobec niej zachować.

Kazano mu stawić się w gmachu sądowym o wpół do jedenastej, na wypadek, gdyby pierwsza sprawa (zerwanie kontraktu) miała być skreślona z wokandy, co wszelako nie nastąpiło, ile że obie strony wykazały pełnię odwagi, domagającej się interwencji radcy królewskiego Waterbucka i dającej mu możliwość spotęgowania i tak dostatecznie już znakomitej opinii niedoścignionego specjalisty w tego rodzaju sprawach. Przeciwnikiem jego był Ram, jeszcze jedna sława w dziedzinie zrywania umów. Zapowiadała się walka olbrzymów.

Sąd ogłosił wyrok przed samą przerwą śniadaniową, poczem opuścił salę posiedzeń. I Soames także udał się na poszukiwanie czegoś do posilenia się. W małym barze śniadannym spotkał się z Jamesem, stojącym jak pelikan w labiryncie pustych korytarzy i pochylonym nad butersznytą oraz kieliszkiem sherry. Rozległa pustka wielkiego hallu centralnego, w pośrodku którego ojciec i syn stali zadumani jeden przy drugim, zakłócana była tu i owdzie przez przemykające przez nią w pośpiechu postacie adwokatów w togach i perukach; od czasu do czasu też ukazywała się w niej jakaś starsza dama lub jegomość w wyszarzanym palcie, rozglądający się dokoła z przestachem. Dwie tylko osoby, śmielsze od innych stały we wnętrzu, rozprawiając z ożywieniem. Szmer ich głosów napełniał powietrze, łącznie z dziwnym odorem zaniedbanych studzien, skłóconym ze stęchlizną korytarza i składającym się na jedyny w swoim rodzaju bukiet, do złudzenia przypominający aromat gnojonego sera, tak nierozzerwalnie związany z brytyjskim wymiarem sprawiedliwości.

James z miejsca zwrócił się do syna:

— Na kiedy wyznaczona twoja sprawa? Myślę, że będzie zaraz po przerwie. Ten twój Bosinney gotów mocno się bronić; będzie chyba musiał. Zbankrutuje z kretesem, jeżeli przegra.

Odgryzł spory kawał butersznytą i popił go łykiem sherry.

— Matka — dodał — prosi, żebyście zjedli u nas dzisiaj obiad oboje z Ireną.

Lodowaty uśmiech drgnął na ustach Soamesa, kiedy w odpowiedzi spojrzął na ojca. Ktokolwiek dostrzegł tę wymianę spojrzeń, mógł śmiało nie być zbudowany wzajemnym stosunkiem ojca i syna. James jednym tchem opróżnił swój kieliszek sherry.

— Ile? — zapytał.

Po powrocie do sali posiedzeń zajął Soames odrazu właściwe miejsce na frontowej ławce obok swojego adwokata, upewniwszy się rzuconym zukosa spojrzeniem, czy ojciec jego zdążył się już usadowić.

James siedział nieco dalej, splótlszy obie dłonie na gałce parasola, i zająwszy miejsce na samym skraju ławki, aby móc łatwiej wyjść z chwilą ukończenia sprawy. Zdaniem jego postępowanie Bosinney'a było wysoce niewłaściwe, nie miał wszelako ochoty zetknąć się z nim, czując, że to spotkanie wypadłoby wielce nieprzyjemnie.

Narówni z wydziałem rozwodowym była ta dekasterja sądu ulubionem może emporjum sprawiedliwości, oszczerstw, zrywania umów i innych rozpatrywanych tu czynności handlowych. Pstry tłum ludzi niezwiązanych z procesem zapełniał dalsze ławki, wśród których tu i owdzie pstrzyły się barwne plamy damskich kapeluszy.

Dwie ławki bezpośrednio przed Jamesem zajmowali adwokaci w perukach, którzy zajęli miejsca, aby móc robić notatki, gawędzić i dłużyć sobie w zębach. Niebawem jednak uwaga jego odciągnięta została od drobniejszych tych gwiazdek na firmamencie sprawiedliwości wejściem radcy królewskiego Waterbucka, szeliszczącego skrzydłami jedwabnej togi i obnoszącego z dostojeństwem czerstwą, inteligentną swoją twarz, okoloną krótko przystrzyżonemi bokobrodami. Słynny radca królewski wydawał się obrazem człowieka, zdolnego wpędzić swoim sposobem badania każdego świadka w suchoty.

Pomimo długoletniej praktyki zawodowej Jamesa tak się złożyło, że nigdy jeszcze dotychczas nie widział on radcy królewskiego Waterbucka i, jak wielu Forsytów, należących do niższej odnogi obrończego fachu, żywił niezmierny podziw dla specjalistów od prażenia świadków ogniem krzyżowych pytań. Podłużne, posępne

bruzdy, złobiące jego policzki, przytęchły nieco na widok wchodzącego, zwłaszcza, że, jak przekonał się, reprezentował Soamesa jego adwokat jedynie, strojny, jak inni, w jedwab togi.

Radca królewski Waterbuck odwrócił się do swojego referenta, aby pogadać z nim przed wejściem na salę przewodniczącego, sędziego Benthama — chudego, obszczypanego jak kura, zlekka przygarbionego człowieczka, świecącego gładko wygoloną twarzą pod śnieżną bielą peruki. Równocześnie z wszystkimi innymi w sali sądowej wstał Waterbuck i pozostał w pozycji stojącej, dopóki przewodniczący nie zajął miejsca. I James również uniósł się nieco z ławy; Bentham nie imponował mu, jako że dwukrotnie siedział przy nim przy obiedzie u Bumley'a Tommsa. Bumley Tomms był w gruncie rzeczy marnawym prawnikiem, mimo że tak wielkie miał powodzenie. James sam powierzył mu pierwszą jego sprawę. Podnieciła go nieco faktyczne stwierdzenie nieobecności Bosinney'a w sądzie.

— Jaki może kryć się pod tem zamiar? — przemysłował niespokojnie.

Z chwilą wywołania sprawy radca królewski Waterbuck, zręcznym ruchem odsuwając na bok swoje papiery, poprawił faldy togi, poczem dopiero, zakreśliwszy głową półkole, rozejrzał się po sali i, jak człowiek, zamierzający zarzucić wędkę, zwrócił się do sądu.

— Fakty — zaczął — nie podlegają kwestji, jedyną też rzeczą, o jaką ośmieli się prosić Jego Lordowską Mość, jest łaskawe nadanie właściwej interpretacji wymianie listów pomiędzy klientem jego i pozwanym, architektem, któremu poruczone zostało dekoracyjne wykończenie wnętrza domu. Pozwoliłby sobie jednak zaznaczyć, że korespondencja może mieć jedno tylko, zupełnie wyraźne znaczenie. Streściwszy zwięźle historję budowy domu w Robin Hill, stale nazywanego przez

niego siedzibą, a także przytoczywszy faktyczne dane umowy, oświadczył w dalszym ciągu, co następuje:

— Klijent mój, pan Soames Forsyte, jest człowiekiem honoru, posesjonatem, któremu na myśl napewno nie przyszłoby podawać w wątpliwość skierowane przeciwko niemu jakiegokolwiek słuszne roszczenie. Spotkał się wszelako ze strony architekta z takim traktowaniem sprawy domu, na którego budowę wyłożył już, jak zapewne Jego Lordowskiej Mości wiadomo, około dwunastu tysięcy funtów — sumę znacznie przewyższającą pierwotnie przewidziany przez niego koszt — że wskutek tego dla samej zasady — moment ten pragnąłbym jak najusilniej podkreślić — *dla samej zasady*, w interesie innych, uczuł się zniewolonym do podania za targu tego na rozpatrzenie sądu. Punkt, jaki architekt przytacza w swojej obronie, nie zasługuje, że pozwolę sobie zaznaczyć wobec Waszej Lordowskiej Mości, na poważniejsze nad nim zastanowienie się. — W tem miejscu mówca przerwał, aby odczytać odpowiednie ustępy korespondencji.

Klijent jego, „człowiek o uznanem stanowisku“ gotów jest bronić praw swoich przed sądem i zaprzysiąc, że ani na chwilę nie powstała w głowie jego myśl zezwolenia na wydawanie bez ograniczenia sum, poza najdalej zakreśloną i najściślej przez niego ustaloną granicą dwunastu tysięcy pięćdziesięciu funtów. Nie chcąc też marnować cennego czasu Wysokiego Sądu, proponowałby bezzwłoczne wezwanie pana Forsyta.

Wezwany Soames zajął miejsce na ławie świadków. Powierzchność jego uderzała mocą panowania nad sobą. Twarz, butna nieco, była jak zawsze, blada, gładko ogolona, z niewielką zmarszczką pomiędzy oczami i zaciśniętą linją warg; ubranie w nieskazitelnym, acz nie odświętnym porządku; jedną jego rękę obciągała rękawiczka, druga pozostawała obnażona. Na zada-

wane mu pytania odpowiadał przyciszonym zlekka, ale wyraźnym głosem. Zeznanie jego pod krzyżowym ogniem pytań tchnęło uporczywą lakonicznością.

— Czy nie użył wyrażenia „wolna ręka?”

— Nie.

— Jakto?! Jakto?!

Wyrażenie, jakiego użył, brzmiało: „wolna ręka na warunkach niniejszej korespondencji”.

— Czy uważa wyrażenie to za poprawne językowo?

— Tak!

— Co oznacza ono podług świadka?

— To, co w nim powiedziano!

— Czy zgodzi się świadek przyznać, że zachodzi w niem pewna rozbieżność wyrażień?

— Tak.

— Czy świadek jest Irlandczykiem?

— Nie.

— Czy świadek ukończył wyższe studia?

— Tak!

— A jednak upiera się przy swoim twierdzeniu?

— Tak!

Przez cały czas krzyżowego ognia wszystkich tych pytań, kręcących się niezmiennie dokola ciekawego „punktu spornego” siedział James z dłonią zwiniętą w trąbkę przy uchu i oczami utkwionemi w twarzy syna.

Dumny był z niego! Czuł dobrze, że w podobnych okolicznościach on sam nie potrafiłby ustrzec się pokusy większego rozwodzenia się w swoich odpowiedziach, a jednak instynkt mówił mu, że lakonizm był tu jak najbardziej wskazany. Westchnął też z ulgą, kiedy nareszcie Soames, zlekka odwrócony, niezmiennymi ani na jotę wyrazu twarzy, opuścił ławę świadków.

Kiedy przyszła kolej przemówienia na obrońcę Bosinney'a, podwoił James natężenie uwagi, starannie zarazem przeszukując wzrokiem wszystkie zakątki sali,

aby się przekonać, czy Bosinney nie ukrywa się w niej gdzieś.

Młody Chankery rozpoczął swoje przemówienie nerwowo — nieobecność Bosinney'a postawiła go w niezręcznej pozycji. Czynił też co było w jego mocy, aby wyzyskać tę nieobecność w sposób korzystny dla klienta.

Obawia się wprost, aby klientowi jego nie przytrafiło się coś złego. Liczył na stawienie się jego celem osobistego złożenia zeznań; posłał dzisiaj zrana zarówno do biura pana Bosinney'a, jak do prywatnego jego mieszkania (wiedział dobrze, że biuro i prywatne mieszkanie architekta mieściły się w jednym i tym samym pokoju, uważał jednak za właściwsze nie zaznaczać tego) nigdzie jednak nie umiano objaśnić, co się z nim stało. Szczegół ten wydaje mu się tembardziej niepokojącym, że wiadomo mu, jak bardzo panu Bosinney'owi zależało na złożeniu swojego zeznania. Nie będąc wszelako upoważnionym przez swojego mocodawcę do odłożenia rozprawy, uważa adwokat za obowiązek swój stanąć do niej. Główny punkt jego obrony, na który liczy z niezmienną pewnością i który klient jego — gdyby, na nieszczęście, nie stanęło mu coś zagadkowego na przeszkodzie — poparłby niewątpliwie swoim zeznaniem, polega na tem, że wyrażenie takie, jak „wolna ręka“, nie może być niczem ograniczone, krępowane, ani pozbawione znaczenia przez uzupełnianie go jakimikolwiek dodatkowymi słowami. Pozwoli sobie też posunąć się jeszcze dalej i powie, że z samej korespondencji wynika, jako — niezależnie od tego, co zeznać mógłby pan Forsyte w swojej obronie — nie myślał on nigdy o nieuznaniu czegokolwiek, co zostałyby dokonane przez jego architekta. Pozwany nie byłby w przeciwnym razie podjął się tak subtelnego zadania, ani też, co zresztą wypływa z jego listów, nie byłby zgodził się na prowadzenie robót w dalszym ciągu, robót niesłychanie skompliko-

wanych, które wykonywać należało z niezmierną starannością i umiejętnością, ażeby zadowolnić wytworny gust znawcy, bogatego człowieka, pana i posiadacza całą gębą. Odczuwa sytuację do głębi, a odczuwając ją, wyraża się może nazbyt surowo, utrzymując, iż żądanie, z jakim występuje powód, jest nie do usprawiedliwienia, niespodziewane, że nosi wyjątkowy, niesłychany, nieznaną żadnych precedensów charakter. Gdyby Jego Lordowska Mość miał okazję, o którą on sam uważał sobie za obowiązek postarać się, obejrzenia przepięknego tego domu i naoczniego w ten sposób zapoznania się z subtelnym wdziękiem i niezwykłym pięknem dekoracji wnętrza, dokonanej przez jego klienta-artystę w najzaszczytniejszym swoim zawodzie — pewien jest, że ani na jedną chwilę Jego Lordowska Mość nie zechciałby tolerować podobnie — że nie użyje mocniejszego wyrażenia — zuchwałej próby zrzucenia z siebie należytej odpowiedzialności.

Przytoczywszy tekst listów Soamesa, zlekka poruszył sprawę „Boileau contra Spółka z ogr. por. „Stwardniały Cement“.

— Podać można w wątpliwość decyzję w tej sprawie; w każdym jednak razie pozwolę sobie zaznaczyć, że decyzja ta wypadła w jednakiej mierze na korzyść moją, jak mojego szanownego kolegi.

Zkolei przystąpił do bliższego rozpatrzenia „spornego punktu“. Z całym należnym szacunkiem stwierdził przede wszystkim, że wyrażenie, jakiego użył pan Forsyte, pozbawia się samo przez się wszelkiego znaczenia. Klient jego nie jest człowiekiem zamożnym i dlatego sprawa cała przedstawia się dla niego w sposób niezmiernie poważny; jest bardzo utalentowanym architektem, którego opinia, jako zawodowca, wchodzi tu w grę. Kończy tedy przemówienie swoje zbyt może osobistym zwróceniem się do Jego Lordowskiej Mości, jako mi-

łośnika Sztuki, aby stanął w obronie artystów przeciwko temu, co w danym wypadku — zaznaczył wyraźnie: *w danym wypadku* — występuje w charakterze żelaznej ręki kapitału.

— Jakie — rzekł — będzie położenie zawodów artystycznych, jeśli bogaci posesjonaci, jak pan Forsythe właśnie, będą mieli prawo zrzucania się z odpowiedzialności za roboty, jakie oni sami powierzyli do wykonania?...

A teraz spróbuje wezwać swojego klienta na wypadek, gdyby okazać się miało, że w ostatniej chwili odnalazł się i może być obecnym.

Imię i nazwisko Filipa Bosinney'a okrzyknięte zostało trzykrotnie przez woźnych i odgłos wołania rozległ się melancholijnym echem po sali i korytarzach sądu.

Wywołanie tego nazwiska, które przebrzmiało bez odpowiedzi, dziwne wywarło wrażenie na Jamesie: wydało mu się podobnym do nawoływania zaginionego psa po ulicach. Gnębiące wrażenie, że oto szuka się zaginionego człowieka, w przykry sposób odbiło się na jego poczuciu bezpieczeństwa i wygody — na przytulnej świadomości życia. Nie umiał sam powiedzieć dlaczego, dziwnie jednak czuł się zaniepokojony.

Spojrzał na zegarek — za kwadrans trzecia! Za kwadrans skończy się wszystko. Gdzie chłopak może się podziewać?

Dopiero w chwili, kiedy przewodniczący ogłosił wyrok, zdołał otrząsnąć się z doznanego wrażenia.

Stojąc poza drewnianym pulpitem, oddzielającym go od zwykłych śmiertelników, przechylił się uczony sędzia naprzód. Światło elektryczne, zapalone w tej chwili ponad jego głową, padło mu na twarz, zabarwiając ją na lekko pomarańczowy odcień, który odbijał tem żywiej od śnieżnej białości wieńczącej go peruki; obszerność

jego togi pęczniała w oczach; cała jego postać, przeciwstawiona względnemu mrokowi widowni, promieniowała majestat naksztalt świętego pomazańca. Odchrząknął, upił łyk wody ze szklanki, złamał koniec stalówki o pulpity i, splatając przed sobą kościste swoje dłonie, rozpoczął przemówienie.

Jamesowi wydał on się nagle daleko bardziej imponującym, okazalszym, aniżeli wyobrażał sobie kiedykolwiek, że może Bentham się wydać. Był w tej chwili wcieleniem majestatu prawa i naturze znacznie mniej trzeźwej, aniżeli natura Jamesa, nie można byłoby się dziwić, że niezdolna jest rozproszyć tej glorii i dostrzec pod nią pospolitego poniekąd Forsyta, chodzącego i rozmawiającego w życiu codziennem pod imieniem i nazwiskiem Sir Waltera Benthama.

Ogłoszenie wyroku ujął sędzia w następującą formę:

— Fakty w tej sprawie nie podlegają dyskusji. W dniu 15 maja ubiegłego miesiąca napisał pozwany do powoda, żądając od niego zgody na wycofanie się z przyjętego na siebie zawodowego zobowiązania w stosunku do wykończenia wnętrza domu powoda, o ile nie będzie mu pozostawiona „wolna ręka“. Powód w dniu 17 maja odpisał, co następuje: „Pozostawiając panu, zgodnie z pańskim żądaniem, wolną rękę, chciałbym być przez pana wyraźnie zrozumiany, że całkowity koszt budowy domu, polecanej mu wraz z wykończeniem wnętrza, łącznie z pańskim honorarjum (zgodnie z naszą umową) nie może przekroczyć dwunastu tysięcy funtów.“ Na list ten pozwany odpowiedział w dniu 18 maja: „Jeżeli sądzi pan, że w tak subtelnej sprawie, jak dekoracja wnętrza domu, mogę wiązać się ściśle wyliczeniem każdego funta, sądzę, że jest pan w błędzie.“ W dniu 19 maja powód oświadczył pisemnie co następuje: „Nie miałem zamiaru powiedzieć, że gdyby pan przekroczył wymienioną przeze mnie w liście moim do pana sumę

o dziesięć, dwadzieścia, a nawet pięćdziesiąt funtów, doprowadziłoby to do jakiegokolwiek pomiędzy nami kolizji. Pozostawiam panu wolną rękę na warunkach określonych w naszej korespondencji, mam też nadzieję, że potrafi pan w tych ramach dokończyć dekoracji wnętrza.“ W dniu 20 maja pozwany odpowiedział krótko:

— „Zgoda.“

Przy wykończaniu tej dekoracji pozwany zaciągnął zobowiązania i poczynił wydatki, które podniosły całkowity koszt budowy do sumy dwunastu tysięcy czterystu funtów, który to koszt został w całości pokryty przez powoda. Proces niniejszy wytoczył powód celem odzyskania od pozwanego sumy trzystu pięćdziesięciu funtów, jakie wydał ponad sumę dwunastu tysięcy pięćdziesięciu funtów, którą to cyfrę, w myśl twierdzeń powoda, ustalił on w korespondencji swojej jako najwyższej sięgającą granicę tego, co wolno był pozwanemu wydatkować.

Pozostaje mi zatem rozstrzygnięcie, czy pozwany jest, czy nie jest, obowiązany zwrócić powodowi tę sumę. Według mojej opinii jest on do tego zobowiązany.

Faktycznie powiedział powód co następuje: — „Pozostawiam panu wolną rękę co do wykończenia dekoracji wnętrza pod warunkiem, że utrzyma się pan z całkowitą sumą ich kosztu w granicach dwunastu tysięcy funtów. O ile przekroczy pan tę sumę nie więcej niż o pięćdziesiąt funtów, nie będę miał do pana pretensji; poza tą sumą jednak niewolno panu rozporządzać się moją kieszenią; zrzucę z siebie wszelką w takim razie odpowiedzialność.“ — Nie jest dla mnie rzeczą zupełnie pewną czy, gdyby powód w rzeczywistości zrzucił z siebie odpowiedzialność co do kontraktów zawieranych przez swojego pełnomocnika, mógłby we wszelkich okolicznościach uczynić to z dobrym skutkiem — nie poszedł on jednak tą drogą. Wywiązał się ze swoich zobowiązań.

wiązań i teraz ma regres do pozwanego, na którym poszukuje praw swoich w ramach, określonych w przyjętej przez tamtego umowie.

— Mojem zdaniem powód ma prawo poszukiwania tej sumy na pozwanym.

— obrońca pozwanego usiłował wykazać, że w korespondencji nie została ustalona, ani zamierzona, ostateczna granica wydatków. Gdyby tak było, nie widziałbym powodu wstawienia przez powoda do jego korespondencji pozycji dwunastu tysięcy funtów, a w następstwie dodatkowo — pięćdziesięciu funtów. Opór pozwanego uczyniłby pozycję tę zupełnie nieaktualną. Oczywiście jest dla mnie, że listem swoim z dnia 20 maja zgodził się on na wyraźnie postawioną propozycję, której warunki muszą go zobowiązywać.

— Z tych względów przysądzam powodowi jego powództwo w sumie żądanej przez niego wraz z kosztami.

James odetchnął głęboko i, nachyliwszy się, podniósł swój parasol, który z brzękiem upadł na ziemię przy słowach „wstawienie do jego korespondencji“.

Podniósłszy się z miejsca, pośpiesznie opuścił salę sądową i, nie czekając na syna, złapał pierwszą napotkaną dorożkę (było przejryste, widne popołudnie) i pojechał wprost do Tyma, gdzie zastał Swithina. Obu im, jak również pani Septymusowej Small i ciotce Hester opowiedział cały przebieg przewodu sądowego. polykając przytem — i to niekoniecznie w przerwach pomiędzy opowiadaniem — postawione przed nim gorące grzanki.

— Soames sprawił się bardzo dzielnie — zakończył — pokazało się, że ma głowę na karku. Jolyon nie będzie tem zachwycony. Dla młodego Businney'a to fatalny wynik — nie dziwiłbym się, gdyby zbankrutował z kretesem.

Po długiej pauzie, podczas której stał niespokojnie wpatrzony w ogień kominka, dodał:

— Nie było go w sądzie — dlaczego?

Rozległy się kroki. W tylnym salonie ukazała się przysadzista postać męska z ogorzalą, tchnącą zdrowiem twarzą. Wskazujący palec podniesionej jego ręki odcinał się białą plamą od czerni jego surduta. Głos, jakim przemówił, brzmiał opryskliwie.

— To ty, Jamesie?! — rzekł. — Nie mogę — nie mogę zostać. — I, odwróciwszy się na pięcie, wyszedł.

Był to Tym.

James podniósł się z krzesła. — Widzicie, widzicie! — wykrztusił — wiedziałem, że coś nie jest w po... Zachłysnął się i umilkł, patrząc bezmyślnie przed siebie, jakgdyby ujrzał znak złowróżbny.

ROZDZIAŁ VI

N O W I N A S O A M E S A

Po wyjściu z gmachu Sądu nie udał się Soames wprost do domu. Nie czuł się usposobionym do pójścia do City; pociągnięty w swoim tryumfie potrzebą współczucia, i on także skierował kroki swoje, pieszo jednak i powoli, do domu Tyma na Bayswater-Road.

Ojciec jego wyszedł właśnie przed chwilą; pani Smalowa i ciotka Hester, którym wiadomy już był przebieg sprawy i jej ostateczny wynik, serdecznie go powitały. Pewne były, że musi być głodny po całej tej przeprawie z zeznawaniem. Smither upiecze mu świeżą porcję grzanek, drogi jego ojciec zjadł wszystkie, jakie były. Niech wygodnie wyciągnie nogi na sofie; zaraz każą mu przynieść kieliszek śliwownicy. To takie wzmacniające.

Swithin był wciąż jeszcze obecny; zasiedział się dłużej niż zazwyczaj. Na propozycję śliwownicy zachnął się nie-

cierpliwie. Ładną mamy teraz młodzież! Jego własna wątroba dokuczała mu, nie mógł więc znieść myśli, że ktoś inny pije śliwowicę.

Opuścił dom Tyma prawie niezwłocznie, rzuciwszy Soamesowi na odchodnym:

— Jakże się ma twoja żona? Powiedz jej w moim imieniu, że jeżeli jej się przykrzy i miałaby ochotę przyjść do mnie na skromny obiadek, postawię jej takiego szampana, jakiego nie ma okazji pić codziennie.

Spojrzawszy na Soamesa z góry, z wyżyn swojego wzrostu, uściśnął jego mięsistą, pulchną, żółtawą dłoń, jakgdyby tym jednym uściskiem obejmował dłonie całej nielicznej zebranej tu gromadki, i, wypuczywszy dumnie pierś, dostojnym, powolnym krokiem wyszedł z pokoju.

Pani Smallowa i ciotka Hester były zgorszone. Swithin taki bywa dziwny!

One same czuły ogromną ochotę zapytania Soamesa, jak Irena przyjmie tę nowinę, czuły jednak, że niewolno im tego robić. Soames samorzutnie może powie coś o tem i rzuci promień światła na tę najbardziej obecnie palącą w ich życiu sprawę, która, wskutek konieczności zachowania o niej zupełnego milczenia, dręczyła je w sposób nie do wytrzymania nieledwie; nawet Tymowi opowiedziano już teraz o niej i wpływ tej wiadomości na stan jego zdrowia był przerażający istotnie. Jak też zachowa się w tym stanie rzeczy droga Juna? I ta myśl również podniecała je swoją grozą.

Nie zapomniały wizyty starego Jolyona, który od tego czasu nie pokazał się u nich ani razu więcej; nie zapomniały uczucia, jakie ogarnęło wszystkich obecnych, dla których jasnym się nagle stało, że rodzina nie jest już tem, czem była — że coś się w niej załamuje i psuje.

Ale Soames nie przyniósł im żadnej ulgi. Siedział ze skrzyżowanymi kolanami i rozprawiał o Barbizońskiej

szkole malarskiej, którą świeżo właśnie był wykrył. To ludzie przyszłości — oświadczył — kto wie, można będzie zarobić na nich moc pieniędzy; ma chrapkę na dwa obrazy pędzla niejakiego Corota — czarujące rzeczy; jeżeli uda mu się dostać je za możliwą cenę, kupi je — pewien jest, że będą miały kiedyś wielką wartość.

Nie mogąc wykrzesać z siebie zainteresowania tym tematem, nie były obie w stanie znieść podobnego odsunięcia ich od najbardziej palącej kwestji.

To ciekawe — niezmiernie ciekawe — a kochany Soames tak świetnie zna się na malarstwie, że jeśli nikt inny nawet nie potrafiłby, on napewno zrobi coś z temi obrazami; ale jakie ma plany teraz, po wygraniu swojej sprawy? Czy zamierza niezwłocznie opuścić Londyn i przenieść się na wieś? Czy też inne ma projekty?

Soames odpowiedział, że nic jeszcze nie wie, myśli jednak, że wkrótce przeniosą się. Wstał i ucałował ciotki.

Z chwilą, kiedy ciotka Jula poczuła na swoich policzkach ten symbol pożegnania, nagle wystąpiła w niej zmiana, jakgdyby natchnęła ją w tym momencie prze-rażająco bohaterska odwaga — każda najdrobniejsza na jej twarzy faldka zdawała się wymykać z pod niewidzialnej, okrywającej ją maski.

Wstała, prostując w pełni cały swój więcej niż średni wzrost i rzekła:

— Oddawna już dręczy mnie ta wiadomość, mój kochany, jeżeli więc nikt nie chce ci tego powiedzieć, postanowiłam, że...

W tem miejscu przerwała jej ciotka Hester.

— Pamiętaj — wtrąciła zadyszczanym głosem — ze czynisz to na swoją własną odpowiedzialność!

— Sądzę, że *powinieneś* wiedzieć — nie dała się pani Smallowa zbić z tropu, jakgdyby nie dosłyszała uwagi

siostry — o tem, kogo pani Mac Anderowa spotkała spacerującego w Parku Richmondzkim — Irenkę z panem Bosinney'em.

Ciotka Hester, która także zerwała się ze swojego krzesła, opadła na nie zpowrotem i odwróciła głowę. Julia jest doprawdy zanadto!... Nie powinnyby robić takich rzeczy w jej, ciotki Hester, obecności... i, dławiąc się ze zniecierpliwienia, czekała z wytężoną ciekawością na odpowiedź Soamesa.

Oblany nagłym, szczególnym rumieńcem, który zawsze skupiał się dokoła jego oczu, podniósł rękę i, obrawszy specjalny palec, nadgryzł delikatnie jego paznokieć, poczem, cedząc wyrazy przez mocno zaciśnięte usta, rzucił:

— Pani MacAnderowa jest starą jędzą!

I, nie czekając na niczyją odpowiedź, wyszedł z pokoju.

Po drodze do Tyma postanowił, co zrobi po powrocie do domu. Pójdzie do Ireny i powie jej:

— Wygrałem sprawę i na tem wszystko się skończy. Nie chcę rujnować Bosinney'a. Postaram się dojść z nim do jakiegoś porozumienia; nie będę go naciskał. A teraz, rozpoczniemy nowy rozdział naszego życia! Wynajmiemy ten miejski dom i pozbędziemy się raz nareszcie tutejszej mgły! Przeniesiemy się zaraz do Robin Hill. Nigdy nie zamierzałem być grubjańskim względem ciebie. Podajmy sobie ręce... i...

Może pozwoli mu ucałować ją i zapomniał...

Po wyjściu od Tyma plan jego nie był już taki prosty. Dławiąca zazdrość i narastająca w jego duszy w ciągu miesięcy podejrzliwość buchnęły w nim nagłym płomieniem. Położył wszystkiemu temu kres raz na zawsze; nie pozwoli jej na tarzanie jego nazwiska w błocie! Jeżeli nawet nie może czy nie chce kochać go, jak to jest jej obowiązkiem i jego prawem — nie będzie robiła mu kawałów z nikim innym! Zażąda od

niej tego kategorycznie! Zagrozi jej rozwodem! Opa-
mięta ją to. Nauczy jak ma postępować; nie będzie
miała odwagi zdecydować się na rozwód. Co... co
jednak, jeżeli będzie miała?...

Zachwiał się. Myśl ta nie przyszła mu dotychczas
do głowy.

A jeżeli będzie miała odwagę? Jeżeli zechce uczynić
mu wyznanie? Jakie będzie wówczas jego położenie?
Będzie zmuszony doprowadzić do rozwodu!

Do rozwodu! Sam dźwięk tego wyrazu paraliżował go,
w tak krańcowej pozostawał rozbieżności ze wszyst-
kimi zasadami, jakie dotychczas kierowały jego ży-
ciem. Przerzązał go w nim brak wszelkiej możności
kompromisu; doznawał uczucia, jakie musiałby mieć
kapitan okrętu, wychylający się poza jego burtę i wła-
snymi rękami wyrzucający przez nią w fale najcen-
niejszy ze swoich ładunków. Myśl własnowolnego wy-
zbycia się z prawa należnej mu własności wydawała się
Soamesowi czemś niesamowitem. Rzuciłoby to płamę
na własny jego zawód. Zmusiłoby go do wyzbycia się
domu w Robin Hill, który kosztował go taką moc
pieniędzy, z którym wiązał tyle nadziei — za cenę nie-
byle ofiary. A ona! Przestałaby należeć do niego, nawet
nominalnie! Wykreślona zostałaby z jego życia i nigdy
— nigdy więcej nie zobaczyłby jej!

Przejechał dorożką całą długość ulicy, niezdolny pójść
dalej poza myśl, że nie zobaczyłby jej nigdy więcej!

Może jednak nie ma Irena co wyznawać mu; nawet
i teraz nie ma prawdopodobnie nic do wyznania. Czy
rozsądnie byłoby posuwać rzeczy tak daleko? Czy mądrze
jest stawiać się własnowolnie w takie położenie, w któ-
rem oddałby życie całe, aby móc cofnąć wypowiedziane
słowa? Wynik sprawy doprowadzi Bosinney'a do ruiny
— człowiek zrujnowany ważyć się gotów na krok roz-
paczliwy — co mógłby zrobić? Może wyjechać za-

granicę; ludzie zrujnowani szukają zawsze ucieczki za granicą. Cóż innego mogliby i oni zrobić — jeżeli istotnie o nich może być mowa — bez pieniędzy? Lepiej czekać i przekonać się, jak rzeczy się ułożą. Gdyby zaszła potrzeba, mógłby kazać ją śledzić. Ból, jakim drążyła go zazdrość (zupełnie podobny do gwałtownie dokuczającego bólu zęba) przeszył go ponownie; omal nie krzyknął. Musi jednak zdecydować się na coś, ustalić linię postępowania, zanim nie przyjedzie do domu. Kiedy jednak dorożka stanęła przed bramą, nie zdecydował się jeszcze na nic.

Wszedł blady, z uczuciem wilgoci na spotniałych dłoniach, bojąc się zetknięcia z Ireną, płonąc żądzą ujżenia jej, nie mając pojęcia, co ma powiedzieć i jak postąpić.

Pokojówka Bilson była w hallu i na jego zapytanie: — Gdzie jest jej pani? odpowiedziała, że pani Forsyte wyjechała w południe, zabrawszy z sobą walizkę i ręczny sak.

Wyrwawszy pokojówce rękaw futrzanego płaszcza, który chciała z niego ściągnąć, spojrzał na nią bystro:

— Co takiego?! — zawołał — co takiego?!

Nagle jednak, oprzytomniawszy i zdając sobie sprawę, że niewolno mu zdradzać wzruszenia, dodał:

— Czy zostawiła dla mnie jakieś polecenie? — uważał jednak z tajemnym przerażeniem wyraz zdumienia w oczach dziewczyny.

— Pani Forsyte nie pozostawiła żadnego polecenia, proszę pana.

— Żadnego polecenia? — bardzo dobrze, w porządku. Nie będę jadł obiadu w domu.

Służąca zesłała nadół, pozostawiwszy go w niezdjętem jeszcze futrze, bezmyślnie przerzucającego bilety wizytowe w porcelanowej czarze, stojącej na rzeźbionej dębowej komodzie w hallu.

Pan i pani Bareham-Culcherowie.
Pani Septymusowa Smallowa.
Pani Baynesowa.
Pan Salomon Thornworthy.

Lady Bellis.
Panna Hermiona Bellisówna.
Panna Winifreda Bellisówna.
Panna Ella Bellisówna.

Kto są do diabła wszyscy ci ludzie? Wydało mu się, że zapomniał o całym zwykłym swoim świecie. Słowa: „żadnego polecenia — walizę i ręczny sak“ urządziły ciuciubabkę w jego mózgu. Nie do pojęcia, że nie pozostawiła żadnego polecenia!... Nie zdejmując wciąż w dalszym ciągu futra, pobiegł na górę, przeskakując po dwa schody naraz, jak młody małżonek, powracający do domu, pędzi do pokoju młodej swojej żony.

Wszystko było tu wytworne, świeże, słodko pachnące; każda rzecz w jak największym porządku. Na wielkim francuskim łóżku, zaślanem liljową jedwabną kołdrą leżała koperta, uszyta i wyhaftowana przez nią własnoręcznie i przeznaczona na przechowywanie jej toalety nocnej; pantofelki stały gotowe w nogach łóżka; kołdra odchyłona była nawet na poduszkach, jakgdyby w oczekiwaniu na położenie się jej.

Na stole toaletowym rozłożone były oprawne w srebro szczotki do czesania i flakoniki z jej saka toaletowego, który on sam ofiarował jej w prezencie. Musi więc zachodzić tu jakaś pomyłka. Jaki sak zabrała? Podszedł do dzwonka, ażeby wezwać Bilson, w porę jednak przypomniał sobie, że musi przedtem dowiedzieć się, dokąd Irena wyjechała, zgromadzić na razie fakty i samemu wyciągnąć z nich wnioski.

Pozamykał drzwi i starał się skupić myśli, czuł wszelako, że mózg odmawia mu posłuszeństwa; nagle skłębily się pod powiekami jego łzy.

Ściągając z siebie pośpiesznie futro, przejrzał się w lustrze.

Był przeraźliwie blady; cała jego twarz przybrała od-

... popielaty; nalał sobie do miski wody i zaczął gorączkowo się myć.

Oprawne w srebro szczotki do czesania zalatywały zapachem wody toaletowej, której używała do włosów, i zapach ten przeszył ponownie serce jego ostrym spazmem zazdrości.

Wdziawszy na siebie w pośpiechu futro, zbiegł pędem ze schodów i wypadł na ulicę.

Nie utracił jednak całkowicie zdolności panowania nad sobą, biegnąc też przez Sloane Street, obmyślił jakąś historję na wypadek, gdyby nie miał zastać jej u Bosinney'a. A gdyby jednak miał ją tam zastać? I znów zawahał się, niezdolny do powzięcia stanowczej decyzji; stanął też przed domem, niezdecydowany, jak postąpić, o ile miałby znaleźć ją tam.

Było już po godzinach biurowych i wejście od ulicy było zamknięte; kobieta, która mu otworzyła, nie umiała powiedzieć, czy pan Bosinney jest w domu czy nie; nie widziała go tego dnia jeszcze, tak samo zresztą jak w ciągu paru ostatnich dni; nie usługuje mu już teraz; nie ma on nikogo do posługi...

Soames przerwał jej, oświadczając, że sam pójdzie na górę i przekona się. Poszedł istotnie z bladą, zaciętą twarzą.

Na najwyższem piętrze nie paliło się światło; drzwi były zamknięte; nikt nie odpowiedział na jego dzwonek; nie słyszał żadnego z poza drzwi odgłosu. Zmuszony był wobec tego zejść nadół, trzęsąc się z zimna w swoim futrze, przejęty nawskroś lodowatym tchnieniem, kurczącym mu serce. Zawoławszy dorożkę, kazał woźnicy jechać do Park Lane.

Po drodze usiłował przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni wypisał Irenie czek; nie mogła mieć w majątku więcej niż dwa albo trzy funty, pozostawały jednak jej klejnoty. Z dręczącym zamieraniem serca obliczał, ile

mogła za nie dostać. Starczyłoby na opłaceniu przejazdu ich obojga zagranicę i przeżycie tam kilku miesięcy! Dorożka zatrzymała się; wysiadł, nie zdążywszy dokończyć swojego obliczenia.

Kamerdyner zapytał go, czy pani Soamesowa pozostała w dorożce, ponieważ pan James uprzedził go, że oboje państwo Soamesowie spodziewani są na obiedzie.

— Nie, pani Forsyte jest zaziębiona — odparł Soames.

Kamerdyner pozwolił sobie wyrazić swoje ubolewanie.

Soamesowi wydało się, że służący przygląda mu się badawczo, przypomniawszy sobie tedy, że nie ma na sobie wieczorowego stroju, zapytał:

— Czy jest ktoś jeszcze, Warmsonie?

— Nie, proszę pana, niema nikogo oprócz obojga państwa Dartie.

I znów wydało się Soamesowi, że służący spojrzął na niego z zaciekawieniem. Zmieszało go to.

— Dlaczego Warmson tak mi się przygląda? — zapytał. — Co jest we mnie takiego szczególnego?

Kamerdyner zaczerwienił się, zdjął z gościa futro, powiesił je i, wymamrotawszy coś, co brzmiało, jak: — „Nic, nic, proszę pana“ — pośpiesznie się wycofał.

Soames poszedł na górę. Minawszy salon bez obejrzenia się, udał się wprost na górę do sypialni rodziców.

James, stojąc odwrócony bokiem, przyczem korzystnie zarysowywały się linje wysokiej, chudej jego postaci, nie miał na sobie jeszcze fraka i w kamizelce wieczorowej, z pochyloną głową i końcem białego krawata, wyzierającym z pod siwych jego bokobrodów, wpatrzony w jeden punkt z odętymi wargami, zapinał górne zatrzaśki żoninego stanika... On sam, Soames, nigdy nie był wzywany do podobnych posług...

Usłyszał głos ojca, zdławiony, jakgdyby miał szpilki w ustach i pytający:

— Kto to? Kto przyszedł? Czego tu chce? — i matki:

— Chodź tu, Felicjo, twój pan nie da sobie rady z tem zapięciem.

Soames dotknął ręką gardła i odparł ochryplym głosem:

— To ja, Soames!

Wyczuł wdzięcznem sercem pełne współczucia zdumienie w okrzyku matki:

— Co to, drogi chłopcze? — a także ojca, któremu wypadł z palców zatrask:

— Kto?! Soames? Co cię sprowadza? Czy ci coś jest?

— Nic mi nie jest; jestem zdrow — odparł automatycznie, spojrzawszy na rodziców i wydało mu się niepodobieństwem oznajmienie wieści, z jaką przyszedł.

James, łatwo ulegający niepokojom, nie dał jednak za wygraną.

— Żle wyglądasz — rzekł. — Musiałeś się pewnie zaziębić. To wątrobą; nie dziwiłbym się wcale. Matka da ci...

Ale Emilja dopomogła mu:

— Sprowadziłaś Irenę?

Soames potrząsnął głową.

— Nie — wyjąkał. — O... Opuściła mnie!...

Emilja jednym skokiem oderwała się od lustra, przy którem stała. Jej wysoka, okazała postać utraciła dostojność ruchów i stała się bardzo ludzką w tem przyskoczeniu do syna.

— Mój drogi chłopcze! Mój drogi, kochany chłopcze! Dotknęła wargami jego czoła i poglaskała jego ręce.

I James także zwrócił się ku synowi. Jego twarz postarzała nagle.

— Opuściła cię? — powtórzył. — Co chcesz przez to powiedzieć? Nie mówiłaś mi nigdy, że ma zamiar cię opuścić.

— Skąd miałem wiedzieć? — odparł Soames zgryźliwie. — Co mam teraz począć?

James zaczął przemierzać nerwowo pokój tam i zpowrotem; dziwnie bocianio jakoś wyglądał bez tużurka.

— Co począć? — powtórzył. — Skądże ja mogę wiedzieć, co masz począć? W jakim celu pytasz się mnie o to? Nikt mi nic nie mówi, a potem przychodzą do mnie i pytają się, co mają począć. Chciałbym wiedzieć, jaką mam dać na to odpowiedź. Masz tu matkę; stoi przed tobą; dlaczego ona nic ci nie mówi? Jeżeli o moje zdanie idzie, uważam, że powinienes sprowadzić ją zpowrotem.

Soames uśmiechnął się; właściwy mu, butny nieco uśmiech nigdy nie sprawiał tak żalosego wrażenia.

— Nie wiem, gdzie się podziewa — rzekł.

— Nie wiesz, gdzie się podziewa?! — powtórzył ojciec. — Jak to możliwe, żebyś nie miał wiedzieć, gdzie się podziewa? Naturalnie, że jest u tego waszego młokosa, Bosinney'a. Nigdzie indziej. Wiedziałem, że się tak stanie.

Podczas długiego milczenia, jakie zaległo po tych słowach, czuł Soames rękę matki, ściskającą jego dłoń. Wszystko, co działo się dokoła niego, zdawało się odbywać w ten sposób, jakgdyby on sam utracił zdolność myślenia i działania.

Twarz ojca, ciemno szkarłatna, drgała, bliska płaczu, a słowa z trudnością wydierały mu się z gardła, ściśniętego spazmem bólu.

— Skończy się skandalem — zawsze to przepowiedziałem! — Widząc, że nikt mu nie odpowiada, dodał: — A teraz stoicie tu przede mną bezradnie oboje, ty i twoja matka!

— Daj spokój, Jamesie! — odezwała się Emilja z lekkim odcieniem pogardy w głosie: — Soames zrobi wszystko, co tylko będzie możliwe do zrobienia.

— Trudno, mój kochany, nie mogę ci nic pomóc. Starzeję się. Ale, pamiętaj, bez zbytegno pośpiechu,

mój chłopcze — upomniał syna James urywanym nieco tonem, smutnie spuściwszy głowę i nie podnosząc oczu od podłogi.

— Soames zrobi wszystko, co będzie możliwe, aby odzyskać ją. Nie mówmy o tem więcej — powtórzyła matka. — Zobaczycie, że wszystko dobrze się skończy.

— Nie widzę, jak może wszystko dobrze się skończyć — mruknął James. — A jeżeli Irena nie uciekła z tym młokosem, Bosinney'em, radzę ci, nie pytaj o nic, tylko wywiadz się, gdzie jest i sprowadź ją zpowrotem do domu.

Po raz wtóry poczuł Soames rękę matki, głaszczącą jego dłoń, jakgdyby dając mu tem poznać, że pochwała tę radę.

— Zrobię to — oświadczył Soames tonem powtarzania formuły przysięgi.

Wszyscy troje zeszli razem nadół do salonu, gdzie znajdowały się już trzy młode dziewczyny oraz Winifreda Dartie z mężem. Gdyby nie brak Ireny, znalazłoby się koło rodzinne w komplecie.

James opadł ciężko na swój fotel i poza słówkiem zimnego przywitania się z Dartiem, którym zarazem pogardzał i obawiał się go, jako człowieka wiecznie w potrzebie pieniędzy, nie odezwał się do nikogo aż do chwili oznajmienia przez kamerdynera, że obiad na stole. Soames również milczał, jedynie Emilja, pełna zawsze nieustraszonej odwagi, podtrzymywała rozmowę z Winifredą na potoczne tematy. Nigdy nie okazywała większego panowania nad sobą w sposobie zachowania się i mówienia, jak tego właśnie wieczora.

Wszyscy umówili się znać, aby nie wspominać o Irene, nikt bowiem z pozostałych członków rodziny nie wyraził swojego poglądu na właściwą linię postępowania w stosunku do niej. Z ogólnego wszakże tonu wobec wypadków, jakie się w następstwie rozwinęły, można

byłoby wywnioskować, że rada Jamesa: „Nie pytaj o nic, wywiedz się, gdzie jest i sprowadź ją zpowrotem!” — uważana byłaby, z małemi tu i owdzie wyjątkami, za rozumną, i to nietylko w Park Lane, ale tak samo i w domu Mikołajów, Rogerów, a także u Tyma. Podpisaliby się pod nią również i dalsi członkowie rodu Forsytów, rozsiani po całym Londynie, których zdanie dlatego tylko nie wchodziło w rachubę, że nie byli wtajemniczeni w całą historję.

Pomimo też usiłowań Emilji podany był obiad przez Warmsona i młodszego lokajczyka wśród milczenia nieomal. Dartie był nachmurzony i wlewał w siebie tyle alkoholu, ile tylko mógł dostać; dziewczęta zrzadka przerzucały się wzajem słówkiem. James zapytał, gdzie się podziewa Juna i co porabia obecnie. Że jednak nie umiano mu na to odpowiedzieć, wpadł ponownie w ponure milczenie. Rozjaśniła mu się tylko twarz, kiedy Winifreda opowiedziała, jak mały Publusz dał żebrakowi otrzymaną od kogoś fałszywą monetę pensową.

— O! — zawołał zachwycony — to ci mądry bąk! Ciekaw jestem, co z niego wyrośnie, jeżeli tak dalej pójdzie. Mały spryciarz! Prawdziwie inteligentny berbec! —

Ożywienie to było jednak tylko chwilowe.

Potrawy podawano, zjadano jedną po drugiej w uroczystem skupieniu, w jarzącem świetle elektrycznym, które padało całkowicie na biały obrus stołu, nie dosięgając ścian powyżej głównej ich ozdoby — „Pejzażu morskigo pędzla Turnera“, wyłącznie nieomal składającego się ze zwojów lin i ludzi tonących. Nalano do kieliszków szampana i równocześnie postawiono przed nakryciem Jamesa butelkę starego, przedhistorycznego portwejnu, wszystko to jednak nie zdołało rozgrzać atmosfery, jakgdyby zmrożonej lodowatą dłonią kościotrupa.

O dziesiątej wyszedł Soames. Dwa razy, w odpo-

wiedzi na zadane mu pytania, odpowiedział, że Irena jest niezdrowa, czuł jednak, że nie jest w stanie dłużej ręczyć za siebie. Matka ucałowała go szerokim, ciepłym pocałunkiem i uściśnęła jego rękę, wywołując tem żywszy przyływ krwi do jego policzków. Wyszedł na zimny wiatr, wyjący rozpaczliwie dokoła węglów domów i u wylotów ulic, pod jasnym, stalowo-niebieskim, usianem skrząciami się gwiazdami niebem. Nie dostrzegł jednak mroźnego ich powitania, nie słyszał chrzęstu skreconych liści platanowych, nie widział nocnych ciem, śpieszących w wytartych swoich futerkach, ani skulonych postaci włóczęgów, zaszytych we wnęki domów. Przyszła zima! Ale Soames śpieszył do domu, niepomny niczego; ręce jego dygotały przy wyjmowaniu ostatniej poczty ze złoczonej drucianej skrzynki, do której wrzucił je listonosz przez otwór zrobiony w drzwiach.

Od Ireny ani słowa.

Wszedł do jadalni, gdzie płonął na kominku jasny ogień. Fotel jego przysunięty był do kominka, pantofle stały przygotowane, spirytusowa maszynka i rzeźbione pudełko z papierosami ustawione na stoliku. Utkwiwszy w tem wszystkim wzrok przez parę chwil, pogasił wnet światła i poszedł na górę. I w gotowalni jego rozpalono także ogień na kominku, jedynie w pokoju Ireny zimno było i ciemno. Soames wszedł tam.

Urządził wielką iluminację, pozapalał wszystkie świece i przez długi czas spacerował tam i zpowrotem pomiędzy łóżkiem a drzwiami. Nie był zdolny oswoić się z myślą, aby miała naprawdę go porzucić, i, jakgdyby wciąż jeszcze w poszukiwaniu jakiegoś listu, wyjaśnienia, wykrycia tajemnicy całego małżeńskiego ich pożycia, zaczął otwierać każdą szafę, każdą komodę, każdą szufladę i każdą skrytkę, jedną po drugiej.

W szafie pełno było jej sukien — lubił zawsze, a nawet nalegał, żeby była dobrze ubrana — zabrała z sobą

tylko parę, dwie czy trzy conajwyżej. Także szuflada za szufladą, pełne batystowej i jedwabnej bielizny, były nietknięte.

Może ostatecznie to tylko dasy i Irena pojechała jedynie na kilka dni do której z miejscowości kąpielowych nadmorskich, chcąc się oderwać od domu. Gdybyż tak naprawdę było i gdyby miała naprawdę wrócić do niego, nigdyby już więcej nie powtórzył tego, co uczynił fatalnej owej nocy ostatniej, nigdy już nie naraziłby się na podobne ryzyko — jakkolwiek domagał się od niej tylko spełnienia jej obowiązku, obowiązku, jako żony. Mimo że jest jego własnością, nie narazi się nigdy już na podobne ryzyko. Musiało jej się widocznie przewrócić w głowie.

Pochylił się nad szufladką, w której przechowywała swoją biżuterję; nie była zamknięta; otworzyła się za pierwszym pociągnięciem; w kasetce z biżuterją tkwił klucz. Zdziwiło go to, przypomniał sobie jednak, że szkatułka musi być pusta. Otworzył ją.

Nie była wcale pusta. Porozmieszczane po małych, zielonych aksamitnych przegródkach, leżały wszystkie kosztowności, jakie otrzymała od niego, nawet jej zegarek, przy którym w pudełku, służącym do przechowywania go, leżała złożona trójkątnie kartka, zaadresowana do „Soamesa Forsyta“ pismem Ireny.

„Zdaje mi się, że nie zabrałam nic z rzeczy, zaofiarowanych mi przez ciebie i przez twoich.“ — Tak brzmiała treść notatki.

Patrzył na broszki i bransoletki z brylantów i pereł, na mały płaski złoty zegareczek z wielkim brylantem, otoczonym szafirami, na łańcuszki i pierścionki, każdy w swojej przedziałce, i lzy wypełniły jego oczy i wyciekły z pod powiek.

Nic z tego, co mogłaby uczynić, nic z tego, co uczyniła, nie ujawniło mu z taką oczywistością głębokiego

znaczenia jej kroku. Może w tej chwili dopiero zrozumiał wszystko, a przynajmniej prawie wszystko, co było do zrozumienia — rozumiał, że pogardzała nim, że pogardzała nim oddawna, że byli pod każdym względem jak ludzie, żyjący na odmiennych planetach, że niema już dla niego żadnej nadziei, że nigdy jej nie było; nawet, że Irena cierpi i zawsze cierpiała, że zasługuje ona na litość.

W tym jednym momencie wzruszenia zaparł się w samym sobie Forsyta — zapomniał o sobie, o swoich interesach, o swojej własności — zdolny był do wszystkiego nieomal; wzniósł się w świetlane sfery czystego ideału bezinteresowności i niepraktyczności.

Ale takie chwile mijają szybko.

I jakgdyby wraz ze łzami, które spłynęły, oczyścił się ze słabości, wstał, zamknął szkatułkę i powoli, z drżeniem nieledwie, zabrał ją z sobą do sąsiedniego pokoju.

ROZDZIAŁ VII

Z W Y C I E Ś T W O J U N Y

Juna czekała na swoją kolej, wertując co nudniejsze kolumny dzienników rano i wieczorem z wytrwałością, która zrazu zdumiewała starego Jolyona; a kiedy jej kolej nadeszła, uchwyciła się jej z całą właściwą sobie chyżością i uporczywą stanowczością.

Zawsze najmilej wspominać będzie w swoim życiu ów ranek, w którym nareszcie na liście spraw sądowych w odpowiedniej rubryce dziennika „Times“ pod nagłówkiem: Sala XIII. Przewodniczący, sędzia Bentham — znalazła wymieniony proces: „Forsyte contra Bosinney.“

Jak gracz, stawiający ostatni swój pieniądz, gotowa była postawić wszystko na tę kartę; przewidywanie możliwości porażki nie leżało w jej charakterze. Jakiem

przecuciem kierowana, przecuciem kochającej kobiety, wiedziała, że przegrana Bosinney'a w tym procesie jest rzeczą zgóry zapewnioną, trudno powiedzieć. Fakt jednak, że na tem przeświadczeniu, jak na opoce, budowała wszystkie swoje plany.

O wpół do dwunastej stała już na czatach w korytarzu, wiodącym do sali Nr. XIII i pozostała tu, dopóki nie skończyła się sprawa „Forsytle contra Bosinney“. Nieobecność Fila nie zaniepokoiła jej; czuła instynktownie, że nie będzie się bronił. Po wygłoszeniu wyroku wybiegła spiesźnie na ulicę i pojechała dorożką do jego mieszkania.

Minęła otwarte wrota domu oraz biura na trzech dolnych piętrach bez zwrócenia na siebie czyjejkolwiek uwagi. Trudności rozpoczęły się dla niej dopiero z chwilą, kiedy stanęła na podeście najwyższego piętra.

Na dzwonek jej nikt nie odpowiedział; musiała teraz zdecydować się, czy ma zejść nadół i poprosić mieszkającego w suterenie odźwiernego, aby wpuścił ją do mieszkania Bosinney'a i pozwolił jej zaczekać tam na niego do jego powrotu, czy też ma pozostać cierpliwie za drzwiami, licząc na to, że nikt nie przyjdzie na górę. Zdecydowała się na to ostatecznie.

Kwadrans minął na drętwiędem oczekiwaniu na podeście, zanim przyszło jej na myśl, że Bosinney zwykł pozostawiać klucz od swojego mieszkania pod słomianką przed drzwiami. Poszukała i znalazła go tam. Parę minut trwało wahanie, czy ma skorzystać z niego, wkońcu jednak przemogła się i weszła, pozostawiając drzwi otwarte, aby każdy, kto wejdzie, mógł widzieć, że przyszła tu w interesie.

Tym razem nie była to już ta sama Juna, która przyszła tu dygocąca przed pięcioma miesiącami. Okres cierpień i zamykania się w sobie osłabił jej wrażliwość;

tak długo i tak szczegółowo obmyślała to przyjście, że jego groza rozwiała się dla niej już naprzód. Tym razem nie przyszła tutaj, aby ponieść porażkę, gdyby bowiem miało się to stać, nikt już nie mógłby jej pomóc.

Na podobieństwo samiczki, czuwającej nad pisklętami, drobna, zwinna jej figurka nie pozostała ani na chwilę w tym pokoju w bezruchu, ale krążyła od ściany do ściany, od okna do drzwi, dotykając to tego, to owego szczegółu. Wszystko zasnuła gruba warstwa kurzu; widoczne było, że pokój nie jest sprzątny od tygodni i Juna, z żarliwością gotowa uchwycić się wszystkiego, co mogłoby dodać jej otuchy i ożywić jej nadzieje, dostrzegła w tem znak, że Fil ze względów oszczędnościowych zmuszony był wyrzec się najemnej posługi.

Zajrzała do sypialni; łóżko było zasłane bezdarnie, jakgdyby ręką mężczyzny. Nad słuchując czujnie, wpadła tam i zlustrowała wnętrze szafy. Kilka koszul i kołnierzyków, para zabłoconych butów — w całym pokoju nie widać było żadnej odzieży nawet.

Chyłkiem przekradła się z powrotem do pracowni i teraz dopiero zauważyła brak wszystkich drobnych przedmiotów, które były tu przez niego nagromadzone. Zegar ścienny, będący jeszcze własnością jego matki, luneta polowa, która wisiała nad sofą; dwa istotnie wartościowe staloryty z Harrow, gdzie ojciec jego pobierał nauki, a także waza japońska, którą ona sama mu podarowała. Brakło tego wszystkiego, pomimo wściekłości też, jaka zawrzała w jej opiekuńczem, macierzyńskiem sercu na myśl, że świat obszedł się z Bosinney'em w ten sposób, zniknięcie wszystkich cennych tych dla niego pamiątek złośliwo powzięty przez nią plan promienną nadzieją powodzenia.

W momencie, kiedy spojrzała na miejsce, na którym stała niegdyś japońska waza, dziwną poczuła pewność,

że ktoś jej się przygląda. Odwróciła się i w obramowaniu otwartych drzwi ujrzała Irenę.

Obie stały przez chwilę, wylupiając wzajem na siebie oczy w milczeniu, poczem Juna pierwsza postąpiła parę kroków naprzód i wyciągnęła do tamtej rękę. Irena nie ujęła jej.

Wobec tej odmowy cofnęła Juna swoją. Oczy jej strzeliły gniewem; czekała, aby Irena przemówiła pierwsza i, czekając tak, żądnie wchłaniała oczami z niesamowitą pasją zazdrości, podejrzeń i zaciekawienia każdy szczegół twarzy dawnej przyjaciółki, jej ubrania i całej postaci.

Irena otulona była w szare futrzane okrycie; podróżna czapeczka odsłaniała ponad czołem promień złotych jej włosów; w obramowaniu miękkiej puszystości futrzanego kołnierza zaznaczała się bardziej jeszcze uderzająco dziecięca drobność szczupłej jej twarzy.

W przeciwieństwie do policzków Juny nie zdradzały policzki Ireny ani śladu krwi krążącej pod nimi. Były alabastrowo białe, ściągnięte, jakgdyby z zimna. Oczy podkrążone były ciemnymi sińcami. W jednej ręce trzymała bukietik fijołków.

Bez cienia uśmiechu patrzyła na Junę; wielkie ciemne oczy, utkwione w dziewczynie, pociągnęły ją, pomimo jej oburzenia i gniewu, cieniem dawnego ich dla niej uroku.

Wreszcie przemówiła Juna pierwsza.

— W jakim celu tu przyszedłeś? — Ale uczucie, że jej samej zadać można to pytanie, kazało jej wnet dodać: — Potworna ta sprawa. Przyszłam mu powiedzieć, że przegrał ją.

Irena milczała w dalszym ciągu, nie spuszczała tylko oczu z twarzy Juny.

— Nie stój tu, jakgdybyś była figurą wyciosaną z kamienia! — zawołała wreszcie dziewczyna.

— Dalby Bóg, żebym nią była! — z goryczą zawołała Irena.

Ale Juna odwróciła się od niej.

— Stój! — krzyknęła. — Nie chcę wiedzieć, poco przyszłaś. Nie chcę nic słyszeć! — I, niby duch niepokojny, krążyć zaczęła po pokoju tam i zpowrotem. Nagle wybuchła:

— Ja byłam tu pierwsza. Nie możemy pozostawać tu obie razem!

Uśmiech wykwitł na chwilę na twarzy Ireny i zgasł, jak nagły błysk ognia. Nie poruszyła się. Wówczas dopiero dostrzegła Juna pod bezwładną nieruchomością jej postaci odwagę i stanowczość rozpaczy; coś nieodwołalnego, coś groźnie niebezpiecznego. Zerwała kapelusz z głowy i, podnosząc obie ręce do czoła odgarnęła spiętrzoną na niem, lśniącą polyskiem brązu grzywę włosów.

— Nie masz prawa tu być! — krzyknęła wrywająco.

— Nie mam prawa nigdzie być... — poprawiła Irena.

— Co to znaczy?

— Opuściłam Soamesa. Zawsze mi to doradzałaś!

Juna zasłoniła rękami uszy.

— Nie mów! Nie chcę nic słyszeć! Nie chcę o niczem wiedzieć! Niepodobna walczyć z tobą. Dlaczego tu stoisz? Dlaczego nie odchodzisz?

Wargi Ireny drgnęły. Zdawała się mówić: — Dokąd mam pójść?

Juna odwróciła się do okna. Widzieć mogła z niego tarczę zegara na przeciwległym murze. Było około czwartej. Mógł nadejść w każdej chwili! Obejrzała się przez ramię poza siebie i twarz jej wykrzywił gniew.

Ale Irena stała nieporuszona; w urękawiczkowanej dłoni bezustannie ścisłała i skręcała bukietek fijołków.

Łzy rozczarowania i wściekłości spłynęły wzdłuż policzków Juny.

— Jak śmiałaś przyjść?... Byłaś mi Judaszem zatem?!

I znów Irena uśmiechnęła się gorzko. Juna spostrzegła, że zagrała fałszywą grę i ostatecznie ją to załamało.

— Dlaczego przyszedłaś? — zaskąkała. — Zniszczyłaś moje życie, a teraz chcesz zniszczyć jego!

Usta Ireny drgnęły; oczy jej spotkały się z oczami Juny, która wyczytała w nich taki bezmiar smutku, że wśród łkań zawołała dwukrotnie: — „Nie, nie!“

Irena pochyliła głowę i opuściła ją aż na samą pierś. Zawróciła i szybko wyszła, kryjąc usta pod maleńkim bukietem fiołków.

Juna pobiegła ku drzwiom. Usłyszała już tylko na schodach kroki schodzącej. Zawołała za nią: Wróć się, Ireno!... Wróć się!...

Kroki zamarły w oddali...

Zgnębiona i niezdecydowana dziewczyna stała na górnym podejściu schodów. Dlaczego Irena odeszła, ustępując jej miejsca? Co to miało znaczyć? Czy naprawdę wyzbywa się go na jej korzyść? Czy też...? Okrutna niepewność boleśnie szarpnęła jej sercem... Bosinney nie przychodził...

*

Okolo szóstej tego popołudnia powrócił stary Jolyon z Wistaria Avenue, gdzie teraz codziennie prawie spędzał kilka godzin, i, wszedłszy do domu, zapytał, czy wnuczka jego jest na górze. Kiedy oświadczone mu, że przed chwilą wróciła, posłał po nią, prosząc, aby zeszła na dół rozmówić się z nim.

Postanowił powiedzieć jej, że pogodził się z jej ojcem. Na przyszłość to, co minęło, musi być pogrzebane raz nazawsze. Nie będzie już żył w osamotnieniu, a przynaj-

mniej faktycznie w osamotnieniu, w tym ich wielkim domu; zamierza wydzierzawić go i nabyć inny, na wsi, wspólnie z synem, dokąd wszyscy oni mogliby przenieść się i zamieszkać razem. Gdyby Junie kombinacja ta nie dogadzała, mogłaby otrzymywać odpowiednią pensję i urządzić się oddzielnie. Nie robi to jej wielkiej różnicy, oddawna bowiem nie okazuje mu śladu przywiązania.

Kiedy jednak Juna zeszała nadół, twarz jej była tak skurczona, że prawdziwie wzbudzała litość; w oczach jej osiadł wyraz naprężenia i tajonego smutku. Przykucnęła zwykłym swoim ruchem na poręczu dziadkowego fotela i to, co powiedział jej stary Jolyon, słabą było zaledwie kopją jasno obmyślanego, władczego, opartego na uczuciu zawodu, oznajmienia, jakie tak starannie naprzód sobie przygotował. Ból przeniział starcze jego serce, ból, jaki odczuwa w kochającym swoim sercu matka piskląt, wylatujących z gniazda i kaleczących sobie skrzydła. Mówił z wyraźnem ociąganiem się, jak-gdyby tłumaczył się przed nią, że nie wytrzymał sytuacji i zboczył z drogi cnoty, ulegając, wbrew zwykłym zdrowym swoim zasadom, wrodzonemu raczej instynktowi.

Zdawał się niepokoić, czy, oznajmiając wnuczce w ten sposób swoje intencje, nie daje jej złego przykładu; teraz też, kiedy zbliżał się w przemówieniu swoim do głównego punktu, sposób, w jaki podsunął jej myśl, że gdyby miało nie dogadzać jej wspólne zamieszkanie, mogłaby zamieszkać sama, był aż nad miarę delikatny.

— Gdybyś jednak, dziecko drogie, miała trafem szczególnym, nie uważać wspólnego z niemi pożycia za pożądanę dla siebie, mógłbym temu zaradzić. Urządziłabyś się, jak tylko sama chciałabyś. Znalazłoby się miłe mieszkanko w Londynie, w którym mogłabyś osiąść, a ja stale dojeżdżałbym do ciebie... Dzieci — dodał to słodkie małe aniolki.

I tu, wpośród poważnego komunikowania wnuczce swoich planów, ostrożnie przysłoniętych, zmienioną — stosownie do okoliczności — polityką, w oczach jego zamigotał chochlik złościwości.

— A toż to będzie smagnięcie dla słabych nerwów Tyma! — zachichotał. — Nie dałbym dwóch groszy za to, że ten chuchający na siebie dudek podskoczy do góry z przerażenia. Będą mieli w każdym razie co do gadania!

Juna wciąż jeszcze nie wypowiedziała się. Dziadek nie mógł widzieć jej twarzy, kiedy tak siedziała ukucnięta na poręczy jego fotela, wysoko ponad jego głową. W tej samej wszelako chwili poczuł ciepło jej policzka, ocierającego się o jego własny, odrazu też zrozumiał, że nie ma powodu obawiać się jej stosunku do zakomunikowanej nowiny. Dodało mu to odwagi.

— Pokochasz twojego ojca — rzekł — sympatyczny chłop. Nie lubił nigdy robienia z siebie wielkich rzeczy, bardzo też łatwy jest w obejściu. Prawdziwie artystyczna natura, czy jak wy to tam nazywacie.

Mówiąc tak, przypomniał sobie tuzin czy więcej akwarel, starannie ukrytych pod zamknięciem w jego sypialni; teraz, kiedy syn jego miał zostać poważnym posesjonatem, nie uważał ich już za takie miernoty jak dotychczas.

— Co się tyczy twojej... twojej macochy — rzekł, krztusząc się zlekka przy wymawianiu tego wyrazu — uważam ją za kobietę bardzo subtelną — może nieco przesadna, jak na mój gust — ale prawdziwie przywiązana do Jo. A dzieci — powtórzył — określenie, które jak czuły akord muzyczny dominowało w całym jego usprawiedliwianiu się — to słodkie małe aniolki!

Juna nie mogła wiedzieć, że słowa te były jedynie wyrazem tkliwego ukochania małych dzieci, istot nie-

doświadczonych i słabych, które ongi kazało mu opuścić syna dla niej samej, drobnej wówczas kruszyny, a teraz, zmienną koleją czasu, odbierało mu ją dla maleńkich wnucząt.

Milczenie jej zaczęło go jednak niepokoić, niecierpliwie też zapytał:

— I cóż ty na to?

Juna osunęła się do kolan dziadkowych i teraz ona z kolei zaczęła swoją opowieść. Przedewszystkiem wyraziła pewność, że wszystko ułoży się wspaniale. Nie widzi żadnych trudności ani przeszkód, nie dba też ani trochę, co pomyślą o tem ludzie!

Stary Jolyon wzdygnął się. Hm!... A więc ludzie pomyślą jednak to i owo! Sądził, że po tylu latach zdążyli już zapomnieć. Ha, trudno, nie widzi na to rady! Mimo to jednak, nie pochwalał zapatrywania wnuczki na te sprawy — powinnyby liczyć się z opinią ludzi.

Nie powiedział jednak nic. Nie mógł sam połapać się w swoich uczuciach — były zbyt różnorodne i rozbieżne, zbyt nieuchwytnie, aby móc ująć je w słowa.

— Nie — mówiła dalej Juna — nie dba o to absolutnie; cóż może to kogokolwiek obchodzić? Czy to ich sprawy? Jedno tylko chce jeszcze powiedzieć — po cieplejszem przytuleniu się jej policzka do jego kolan poznał odrazu stary Jolyon, że to „jedno“ nie okaże się byle czem. — Skoro dziadek chce nabyć dom na wsi, czy nie chciałby — zrobiłby jej tem wielką przyjemność — kupić wspaniały ten dom Soamesa w Robin Hill? Jest już całkowicie wykończony, prezentuje się prześlicznie, a teraz nikt w nim nie zamieszka. Tak byłoby im wszystkim w nim dobrze!

Stary Jolyon nastroszył się. Jakto? Czy „posesjonat“ nie ma zamiaru zamieszkać w swoim domu?! Mówiąc o Soamesie, nigdy nie nazywał go inaczej.

— Nie, nie zamierza — odparła Juna — napewno wiadomo jej, że nie zamierza!

— Skąd wiesz o tem?

Nie może mu powiedzieć, ale wie. Wie prawie napewno! Tak się złożyły okoliczności!

Mówiąc tak, miała w uszach wspomnienie słów Ireny: — Opuściłam Soamesa! Dokąd miałabym iść?

Nie zdradziła się z tem jednak.

Gdyby tylko dziadek chciał nabyć ten dom i załatwić ową fatalną sprawę procesu, który nie powinien był nigdy być wytoczony Filowi! Byłoby to najlepsze wyjście i wszystko, wszystko mogłoby ułożyć się po myślnie.

Juna w uniesieniu przycisnęła usta do dziadkowego czoła.

Ale stary Jolyon uwolnił się od jej pieśczoły, a twarz jego przybrała ów znany jej twardy wyraz, jaki cechował go stale, ilekroć szło o interes.

Co jej przychodzi do głowy?... Co to ma znaczyć? — zapytał. — Musi kryć się coś poza tem... Czy widziała się z Bosinney'em?

— Nie — odparła Juna — ale byłam w jego mieszkaniu.

— Byłaś w jego mieszkaniu? Kto zaprowadził cię tam?

Juna wytrzymała odważnie groźny wzrok dziadka.

— Poszłam sama. Przegrał proces. Mało mnie to obchodzi, czy słusznie, czy niesłusznie. Chcę mu dopomóc i dopomogę mu!

— Widziałaś się z nim? — powtórzył stary Jolyon zapytanie. — Oczy jego zdawały się wwiercać w głąb duszy dziewczyny.

— Nie, nie było go w domu — odparła. — Czekałam na niego, ale nie przyszedł.

Stary Jolyon odetchnął z ulgą. Podniosła się i spojrzała na niego; taka drobna, wątła i młoda, a zarazem taka stanowcza i odważna. Zaniepokojony i zirytowany starzec nie mógł zastraszyć jej groźnym wyrazem swoich oczu. Doznał upokarzającego uczucia, że został pobity, że cugle wymknęły mu się z rąk, że jest stary i zmęczony.

— O — rzekł wreszcie — widzę, że napytasz sobie kiedyś grubej biedy. Zanadto jesteś samowolna we wszystkim.

I, ulegając niespodzianemu nastrojowi filozofowania, dodał:

— Taką się urodziłaś i taką pozostaniesz aż do śmierci.

On, który w stosunkach handlowych, z członkami Zarządu, z wszelkiego gatunku Forsytami, z ludźmi, którzy nie mieli w sobie nic z Forsytów, zawsze umiał postawić na swoim i własną tylko rządził się wołą, ze smutkiem patrzył na nieugięty upór swojej wnuczki — wyczuwał bowiem w niej cechy, które nieświadomie podziwiał ponad wszystkie inne.

— Czy wiesz, co się święci, jak utrzymują ludzie? — zapytał cedząc wyrazy.

— Tak — i nie. Wiem — i nie wiem. — Nic mnie to zresztą nie obchodzi! — tupnęła nogą.

— Myślę — rzekł dziadek, spuszczać oczy — że trzymać się go będziesz i po jego śmierci nawet!

Po dłuższej chwili nieprzerwanego przez nią milczenia, dodał:

— Ale co się tyczy kupna domu, sama nie wiesz, co mówisz.

Juna zapewniła, że wie. Przedewszystkiem wie, że dziadek może sobie pozwolić na kupienie go, o ile zechce. Wie też, że jeśli zgodzi się zapłacić żadaną cenę, może go dostać.

— Żadaną cenę! Co ty o tem możesz wiedzieć?! Nie chcę chodzić do Soamesa. — Nie chcę mieć nic wspólnego z tym młokosem!

— Nie ma dziadunio wcale potrzeby; wystarczy pójść do stryja Jamesa. A jeżeli dziadunio nie może kupić domu, czy zechce zapłacić sumę zasądzoną od Bosinneya z wyroku? Wiem, że jest mu bardzo ciężko — przekonałam się o tem. Może dziadunio wypłacić ją z moich pieniędzy!

Złośliwy uśmiech zaiskrzył się w oczach Jolyona.

— Z twoich pieniędzy?! Dobry sposób! A co, jeśli wolno wiedzieć, poczniesz bez pieniędzy?!

Nie zdradzał się z tem jednak, że myśl wydarcia domu z rąk Jamesa i jego syna zagnieździła się na dobre w jego mózgu. Na Gieldzie forsytowskiej słyszał sporo komentarzy, niejedną nieco dwuznaczną pochwałę owego domu. Jest może „zbyt artystyczny“; naogół jednak piękna siedziba. Wydostanie z rąk „posesjonata“ własności do której przywiązywał on tak wielką wagę, byłoby osiągnięciem ostatecznego trymfu nad Jamesem, namacalnym dowodem, że zamierza uczynić „posesjonata“ z Jo, a tem samem przywrócić mu właściwe jego stanowisko i utrzymać go już na niem. Słuszna i sprawiedliwa kara dla tych wszystkich, którym przyjemnie było uważać jego syna za bezdomnego wyrzutka społeczeństwa!

Warto o tem pomyśleć! Warto! Może nie będzie mogło być o tem mowy; nie ma zamiaru płacić za dom bajońskich sum, jeżeli jednak okaże się to możliwem — cóż, może i gotów byłby!

I w jeszcze głębszych tajnikach duszy wiedział, że nie może odmówić dziewczynie.

Nie zdradził się z tem jednak. — Zastanowi się nad tem — powiedział do Juny.

ROZDZIAŁ VIII

ŚMIERĆ BOSINNEY'A

Stary Jolyon nie zwykł decydować się pośpiesznie, możliwe też, że byłby namyślał się w dalszym ciągu nad sprawą nabycia domu w Robin Hill, gdyby wyraz twarzy Juny nie ostrzegł go, że nie będzie miał spokoju, dopóki od namysłu nie przejdzie do działania.

Przy śniadaniu nazajutrz rano zapytała go, na którą ma zamówić powóz.

— Zamówić powóz?! — zawołał z udaną naiwnością.

— W jakim celu? Nie wyjeżdżam nigdzie!

— Jeżeli dziadunio nie pojedzie dość wcześnie, nie zastanie stryja Jamesa przed jego wyjazdem do City — odparła najspokojniej.

— Stryja Jamesa?! Poco mi twój stryj James?!

— Dom — rzuciła za całą odpowiedź, takim jednak tonem, że przestał udawać naiwnego.

— Nie jestem jeszcze zdecydowany — rzekł.

— Musisz się zdecydować, dziaduniu, musisz! O, dziaduniu, pomyśl o mnie!

— Pomyśleć o tobie! — mruknął. — Ależ ja wciąż myślę o tobie, szkoda, że ty sama za mało myślisz o sobie; że nie myślisz, na co się narażasz swoim postępowaniem. No, dobrze, dobrze, zamów powóz na dziesiątą.

Kwadrans po dziesiątej postawił swój parasol w kącie hallu w Park Lane — nie miał ochoty odkładać palta i kapelusza — oznajmił Warmsonowi, że chce się widzieć z jego panem i wnet potem wszedł, niezannon-sowany, do gabinetu, gdzie zajął odrazu miejsce w fotelu.

James był jeszcze w jadalni i rozmawiał z Soamesem, który przyszedł tego dnia ponownie przed śniadaniem. Dowiedziawszy się, kto przyszedł, bąknął zaniepokojony.

— A tego znów co tu sprowadza? — poczem podniósł się z krzesła.

— Pamiętaj — zwrócił się do Soamesa — dobrze się namyśl, zanim coś postanowisz; przedewszystkiem musisz się dowiedzieć, gdzie ona się podziewa — uważam, że najlepiej pójść z tem do Stainersa. To najlepsze biuro; jeżeli oni jej nie znajdą, nikomu się to nie uda.

I nagle, dziwnie wzruszony, szepnął sam do siebie:

— Biedactwo! Nie mogę pojąć, co jej też strzeliło do głowy! — i wyszedł, wycierając nos.

Stary Jolyon nie podniósł się na widok brata, wyciągnął tylko do niego rękę i po forsytowsku potrząsnął braterską prawicą.

James usiadł na drugim fotelu przy biurku i oparł głowę na rękę.

— I cóż, stary, jak się masz? Dawno nie widzieliśmy cię u nas — zaczął.

Ale Jolyon puścił uwagę tę mimo uszu.

— Jak zdrowie Emilji? — zapytał i, nie czekając na odpowiedź, dodał:

— Przyszedłem rozmówić się z tobą w sprawie młodego Bosinney'a. Podobno ten nowy, zbudowany przez niego dom ma być ósmym cudem świata?

— Nie wiem nic o żadnych ósmych cudach świata — odciął się James. — Wiem to tylko, że przegrał proces i jest w przededniu bankructwa.

Stary Jolyon nie zaniedbał wykorzystać dobrą okazję.

— Ani trochę mnie to nie dziwi — zgodził się — ale jeżeli zbankrutuje, „posesjonat“ — chcę powiedzieć Soames, nie zobaczy swoich pieniędzy. Otóż, przyszła mi do głowy następująca kombinacja: O ile nie ma on zamiaru zamieszkać tam...

Spostrzegłszy wyraz zdumienia i zarazem podejrziwości w oczach Jamesa, dodał szybko:

— Nie chcę się do niczego wtrącać; przypuszczam, że to sprawka Ireny — nie obchodzi mnie to zresztą. Sam jednak myślę o nabyciu domu na wsi dla siebie, niezbyt daleko od Londynu, gdyby więc dom w Robin Hill odpowiadał mi, kto wie, może zdecydowałbym się kupić go za odpowiednią cenę.

James słuchał tego oznajmienia z dziwną mieszaniną podejrzliwości, niepewności, ulgi i równocześnie obawy, czy coś się pod tem wszystkim nie kryje, zarazem z górującem nad wszystkim zaufaniem do uczciwości i zdrowego rozsądku starszego brata. Nie był też wolny od lęku, co stary Jolyon mógł słyszeć i jaką drogą; zaświtał mu przytem cień nadziei na myśl, że gdyby związek Juny z Bosinney'em miał być zupełnie zerwany, dziadek jej nie kwapiłby się tak do przyjścia chłopcu z pomocą. Nadewszystko jednak był zdumiony; że zaś nie miał ochoty ani okazać tego, ani też czemkolwiek zdradzić swoich uczuć, rzekł:

— Słyszę, że porobiliś zmiany w testamencie na rzecz twojego syna?

Nikt mu tego nie mówił; wywnioskował to poprostu z faktu spotkania starego Jolyona w towarzystwie syna i wnucząt oraz z tego, że starszy brat wycofał swój testament z biura obrończego „Forsyte, Bustard i Forsyte“. Strzał okazał się trafny.

— Kto ci o tem powiedział? — zainteresował się Jolyon.

— Naprawdę nie pamiętam. Łatwo teraz zapominam nazwisk — wiem jednak napewno, że słyszałem o tem od kogoś. Soames wydał moc pieniędzy na ten dom; nie myślę też, aby miał zgodzić się pozbyć go, o ile nie zyskałby dobrej za niego ceny.

— Ha, jeżeli mu się zdaje, że gotów będę zapłacić fantastyczną cenę, myli się. Nie mam, jak on, pieniędzy do wyrzucenia. Niech spróbuje sprzedać z przymusu,

a przekona się, ile dostanie. Niema to być dom dla przeciętnego człowieka, slysze.

James, który był w gruncie rzeczy tego samego zdania, odpowiedział:

— To pańska siedziba. Soames jest w tej chwili u mnie. Może chciałbyś widzieć się z nim?

— Nie, nie posunąłem się jeszcze tak daleko; prawdopodobnie też nie dojdzie do niczego, jak widzę, skoro bierzecie rzecz w ten sposób.

James był nieco spłoszony; ilekroć miał do czynienia z ustalonymi cyframi transakcji handlowej, pewien był swego, miał bowiem wówczas przed sobą fakty, a nie ludzi; wstępne wszelako układy, jak te w danym momencie, wyprowadzały go z równowagi — nigdy nie wiedział, jak daleko może się posunąć.

— Zresztą — wzruszył ramionami — ja sam nie wiem nic o tem. Soames nic mi o tem nie mówi; myślę, że skłonny byłby do tego — to kwestja ceny.

— O, niech mu się nie zdaje, że robi mi tem łaskę! — warknął stary Jolyon, wkładając gniewnym ruchem kapelusza.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Soames.

— Przyszedł tu ktoś z policji do stryja Jolyona — rzekł z cieniem uśmiechu.

Stary Jolyon spojrział na niego gniewnie.

— Ktoś z policji?! — obruszył się James. — Nie mam nic wspólnego z policją. Ale może *tobie* wiadomo coś o tem? — dodał, spoglądając podejrzliwie na starszego brata — sądzę, że powinieneś zobaczyć się z tym panem.

W hallu stał inspektor policji, rozglądający się tępem spojrzeniem wyblakłych, niebieskich, nakrytych ciężkimi powiekami oczu po wytwornem staro-angielskiem umeblowaniu, które Jamesowi udało się zdobyć na słynnych licytacjach Mavrojano na Portland-Square.

— Znajdzie pan brata mojego tutaj — zwrócił się James do policjanta.

Inspektor podniósł z szacunkiem palce do daszku czapki i wszedł do gabinetu.

James śledził wchodzącego wzrokiem, szczególnego doznając uczucia.

— Musimy chyba poczekać i dowiedzieć się, czego on tu chce. Stryj twój przyszedł do mnie w sprawie domu w Robin Hill.

Wszedł wraz z Soamesem do jadalni, nie mógł tu jednak usiedzieć.

— Czego on też może chcieć? — mruknął powtórnie.

— Kto? — zapytał Soames — Inspektor? Przysłano go tutaj ze Stanhope Gate, tyle tylko wiem. Ten niedowiarek Jolyon musiał coś zmalować pewnie.

Pomimo pozornego spokoju i on też czuł się dziwnie nieswojo.

Po upływie dziesięciu minut zjawił się stary Jolyon.

Podszedł do stołu i stanął przy nim w grobowym milczeniu, skubiąc nerwowo długie swoje, siwe wąsy. James wlepił w niego zdumione oczy, szeroko rozwierając usta — nie widział nigdy brata w podobnym stanie.

Po chwili podniósł stary Jolyon rękę i oznajmił, wyrzucając z siebie powoli wyrazy:

— Młody Bosinney przejechany został podczas mgły i zabity.

Poczem, stając ponad bratem i bratankiem i patrząc im w oczy głębokiem swoim spojrzeniem, dodał:

— Zachodzi... przypuszczenie... samobójstwa.

Dolna szczęka Jamesa opadła.

— S a m o b ó j s t w a ? Z jakiego powodu?! — zawołał.

— Bóg raczy wiedzieć, o ile tobie i twojemu synowi nic nie wiadomo! — rzekł ponuro.

Ale James nic na to nie odpowiedział.

Wszystkich ludzi, którzy dożyli późnego wieku, nawet

wszystkich Forsytów, darzy życie gorzkimi przejściami. Przypadkowy przechodzień, widząc ich bezpiecznie otulonych w płaszcz zamożności, wysokich stanowisk i wygod życiowych, nie może przypuścić nawet, jak beznadziejnie czarne cienie legły na ich drodze. W przedsienu duszy każdego starca — nawet samego sir Waltera Benthama — raz jeden bodaj zjawiała się myśl o samobójstwie, stanęła na progu, czekając na możliwość wejścia do najtajniejszych głębi, powstrzymywana przed niem przypadkowym zrzędzeniem trafu, mglistą obawą, promykiem bolesnej nadziei. Dla Forsytów szczególnie ciężkie jest ostateczne to wyzbycie się własności. O, jak bardzo ciężkie! Rzadko — nigdy bodaj — bywają oni w stanie zdobyć się na nie, a jednak, jak bliskimi niego bywali niejednokrotnie!

To samo stało się z Jamesem.

Wreszcie, wśród bezładnej płątaniny myśli swoich wybuchnął:

— Co też ty mówisz?!... Jakto?! Wczoraj dopiero czytałem w gazecie: „Przejechany podczas mgły.“ Nie wiedzieli jak się nazywa.

W zamroczeniu swoim zwracał się od jednego do drugiego, instynktownie zarazem przez cały czas odrzucając przypuszczenie samobójstwa. Nie miał odwagi spojrzeć w oczy podobnej myśli, tak bardzo sprzecznej z własnym jego interesem, z interesem jego syna, z interesem każdego Forsyta. Walczył z nią; i dzięki temu, że dusza jego przez cały czas nieświadomie odrzucała to, czego nie mogła uznać ze względu na własne swoje bezpieczeństwo, udało mu się stopniowo pokonać pierwotny swój strach. Tak, był to przypadek! Nie mogło być nic innego! Przypadek, wyraźnie przypadek!

Stary Jolyon przerwał mu brutalnie jego rozmyślanie.

— Zabity na miejscu. Leżał przez cały dzień wczorajszy w szpitalu. Nie znaleziono przy nim nic takiego,

co mogłoby ujawnić jego tożsamość. Jadę tam zaraz; ty i twój syn powinniście pojechać ze mną także.

Ponieważ ani James ani Soames nie zaoponowali przeciwko tej dyrektywie, wyszedł pierwszy z pokoju.

Dzień był jasny i bezwietrzny, jadąc więc ze Stanhope Gate do Park Lane, nie kazał Jolyon opuszczać wieka landa. Oparty na wyścielanych poduszkach, kończąc swoje cygaro, z lubością wchłaniał w siebie rześniące powietrze i przyglądał się z przyjemnem uczuciem ożywionemu ruchowi kołowemu i pieszemu, dziwnej, paryskiej rzecz można, wesołości, jaką pierwszy pogodny dzień po długotrwałym deszczu i mgłę opromienia ulice Londynu. Czuł się tak szczęśliwym, jak już nie był oddawna; od miesięcy całych. Przestała go już dręczyć myśl o konieczności wypowiedzenia się przed Juną; miał na widoku w niedalekiej przyszłości stałe towarzystwo syna i wnucząt — (wyznaczył synowi rendez-vous w jego Klubie celem przedyskutowania raz jeszcze sprawy) nadto mile podniecała go myśl o spotkaniu z Jamesem i „posesjonatem“ i odniesieniu ostatecznego nad nimi zwycięstwa w sprawie domu.

Teraz kazał opuścić kapotę powozu; nie był usposobiony do przyglądania się wesołemu ruchowi ulicznemu, zresztą nie uchodziło, aby widziano kogoś z Forsytów, jadącego w towarzystwie inspektora policji.

W powozie inspektor znów mówić zaczął o wypadku:

— Mgła nie była wtedy właśnie tak bardzo gęsta. Woźnica utrzymuje, że zabity powinien być mieć dość czasu na rozejrzenie się, gdzie jest, ale zdawać się mogło, że lezie wprost pod koła. Okazuje się, że interesy jego były w bardzo kiepskim stanie; znaleźliśmy w jego mieszkaniu kilka kwitów zastawowych; rachunek jego w banku był przekroczony, w dodatku ten proces, o którym wspominają dzisiejsze gazety —

Zimne, niebieskie oczy policjanta przenosiły się kolejno

z jednego na drugiego z wszystkich trzech siedzących w powozie Forsytów.

Stary Jolyon, przyglądając się ze swojego kąta, dostrzegł zmianę twarzy brata, na której zarysował się wyraz przykrej, bolesnej zadumy. Słowa inspektora wskrzesiły w istocie wszystkie wątpliwości i obawy Jamesa. Interesy w złym stanie... kwity zastawowe... przekroczony rachunek w banku! Słowa te, będące dla niego stałą, daleką zmorą w całym jego życiu, zdawały się nadawać upiorne cechy rzeczywistości podejrzeniu samobójstwa, którego za żadną wszelako cenę niewolno podtrzymywać. Usiłował wyczytać z oczu syna co o tem myśli, ale nieporuszony, ponury, sfinksowo milczący Soames nie odwzajemnił się ojcu spojrzeniem. W sercu starego Jolyona, przyglądającego się niemej tej grze, przeczuwającego łączący ojca i syna związek ku wzajemnej obronie, zbudziło się niepokonane pragnienie, aby własny jego syn znalazł się przy jego boku, jakgdyby te oględziny ciała zabitego były walką, do której, w przeciwnym razie, stanąć musiałby w pojedynkę przeciwko tamtym dwóm. Wciąż też kotłowała mu się po głowie myśl, w jaki sposób uniknąć wmieszania do całej tej sprawy imienia Juny. James ma syna, który służy mu za podporę. Dlaczegożby i on nie miał posłać po swojego Jo?

Wyjął z kieszeni notatnik i nakreślił na kartce ołówkiem:

„Przyjedź zaraz. Posyłam po ciebie powóz.“

Wysiadłszy z powozu, dał kartkę swojemu stangretowi, nakazawszy mu jechać co koń wyskoczy do Klubu syna i jeżeli zastanie go tam, oddać mu kartkę i sprowadzić go natychmiast. Jeżeli go tam jeszcze niema, ma zaczekać, aż przyjdzie.

Poszedł za innymi po schodach, opierając się na parasolu i stanął na chwilę aby odsapnąć.

— Tutaj trupiarnia, proszę panów — objaśnił inspektor. — Nie mają się panowie co śpieszyć. W pustym, o bielonych ścianach pokoju, w którym szeroka plama słoneczna słała się na wolnej od kurzu podłodze, leżało, okryte prześcieradłem, ciało. Wielką swoją, pewną dłonią ujął inspektor róg płótna i odchylił je. Szklane źrenice rozwarte były na nich ślepo z twarzy trupa i wszyscy trzech Forsytowie wpatrzyli się w wyzywającą, niemą tę twarz. W duszy każdego z nich tajone wzruszenia, obawy i współczucia do jakich zdolna była własna ich natura, przyplływały i odpływały falą, podobną do przyplływających i odpływających fal życia, od którego białe ściany trupiarni nazawsze już odcięły Bosinney'a. I w każdym z nich jego własna odrębna jaźń, zasadnicza, u każdego swoista sprężyna, powodująca poszczególne nastroje, nieodmiennie różne od nastrojów każdej innej istoty ludzkiej, w specyficzny, sobie właściwy sposób układała kierunek jego myśli. Daleki od wszystkich pozostałych, a mimo to niedocieczenie im bliski, stał tak każdy, sam jeden wobec śmierci, milczący, skupiony, z opuszczonymi powiekami.

Inspektor przerwał niemą ciszę rzuceniem łagodnego pytania:

— Czy panowie poznają trupa?

Stary Jolyon podniósł głowę i skinął nią potakująco. Spojrzał na stojącego naprzeciwko niego brata, na jego wysoką, szczupłą postać, pochyloną w zamyśleniu nad zmarłym, na jego brunatno-czerwoną twarz z naprężonemi, szaremi źrenicami oczu i na pobladłego, stojącego wciąż przy ojcu Soamesa. W obliczu białej, nieskończonej jak wieczność, śmierci rozwiały się, jak smugi dymu, wszystkie nieprzyjazne jego dla tych obu uczucia. Skąd śmierć przychodzi i jakimi drogami...? Nagły przewrót wszystkiego, co było przedtem; ślepe pchnięcie na ścieżkę, wiodącą niewiadomo dokąd. Nie-

pojęte zdmuchnięcie iskry! Zgaszenie ognia! Ciężkie, brutalne zmiżdżenie, przez które przejść muszą wszyscy, zachowując odważnie jasny wzrok do końca! Mimo, że takie drobne i bez znaczenia są z nich owady! I po twarzy starego Jolyona przemknął błysk, kiedy Soames, szepnąwszy coś inspektorowi, oddalił się bezszelestnie.

Nagle podniósł i James oczy. Dziwny wyraz błagalnej niemocy tkwił w podejrzliwie niespokojnem jego spojrzeniu, zdającym się mówić:

— Wiem, że daleko mi do ciebie...

Pośpiesznie wyciągnąwszy chustkę do nosa, otarł czoło, poczem, pochyliwszy ze smutkiem chudą swoją postać nad trupem, i on także odwrócił się i szybko wyszedł.

Stary Jolyon stał, cichy i milczący jak śmierć, utkwivszy oczy w zmarłym. Kto wiedzieć może o czem myślał? Czy o samym sobie z owej doby, kiedy włosy jego były ciemne, tak samo jak czupryna młodzieńca, którego trup przed nim leży? O sobie z owego czasu, kiedy walka życiowa zaledwie się dla niego rozpoczynała, długą, długą owa walka, którą tak ukochał?, walka, która zakończyła się już dla tego młodzieńca, nieomal zanim się jeszcze rozpoczęła? O wnuczce swojej i złamanych jej nadziejach? O tamtej innej kobiecie? O dziwnych, godnych litości kolejach tego wszystkiego? O niezbadanej, gorzkiej ironji tego końca? O sprawiedliwości?... Nie istnieje sprawiedliwość dla ludzi, którzy kroczą stale wśród mroków!

A może w przystępie jednego ze swoich nastrojów filozoficznych, myślał: — Lepiej być już poza tem wszystkim!... Lepiej skończyć już raz z tem, jak biedny ten młodzik!

Ktoś dotknął jego ramienia.

Łza zakręciła mu się pod powieką i zwilżyła jego rzęsę.

— Nie, nie miejsce tu dla mnie. Lepiej zrobię, jak odejdę ztąd. Przyjdiesz do mnie, jak tylko będziesz mógł, Jo.

I odszedł z głową pochyloną.

Teraz kolei Jolyon-syn objął straż przy zmarłym, dokoła trupa którego zdało mu się, iż widzi wszystkich Forsytów powalonych na ziemię bez tchu. Cios ugodził zbyt nagle i gwałtownie.

Moce, leżące u podstawy każdej tragedji — niezwykciężone moce, rozbieżnymi drogami zdążające do szyderczych swoich celów, skrzyżowały się i stopiły z gwałtownością pioruna, porażając ofiarę i powalając na ziemię wszystkich tych, co stali dokoła.

Tak przynajmniej wydało się młodemu Jolyonowi, który widział ich w wyobraźni, powalonych dokoła trupa Bosinney'a.

Usiłując otrząsnąć się z tych myśli, zwrócił się do inspektora z prośbą o poinformowanie go, co się właściwie stało, a ten, jako człowiek, któremu nie codziennie trafia się podobna gratka, wyluszczył mu detalicznie wszystkie znane sobie fakty.

— Nie wszystko tu jednak — rzekł — takie jest proste jak się wydaje, proszę pana. Nie przypuszczam, ażeby to miało być samobójstwo, ani też zwykły wypadek. Raczej sądziłbym, że biedak ciężko był zgnębiony, zatopiony w myślach, i nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dokoła niego dzieje. Może pan byłby w stanie wyjaśnić mi znaczenie tego oto.

Wydostał z kieszeni mały pakiecik i położył go na stole. Ostrożnie rozwiąawszy paczuszkę, wyjął z niej damską chusteczkę, złożoną i przepiętą szpilką z matowego weneckiego złota. Kamień, oprawny w nie, wyleciał, pozostawiając puste po sobie miejsce. Młody Jolyon poczuł zalatujący z fałd chusteczki zapach zeschłych fijołków.

— Znalazłem to w jego bocznej kieszeni — rzekł inspektor — monogram został wycięty.

Młody Jolyon z wysiłkiem zdobył się na odpowiedź, że, niestety, nie może dać mu żadnego wyjaśnienia. Żywo stanęła mu przed oczami twarz, rozświetlona nagłym promiennym błyskiem szczęścia na widok nadchodzącego Bosinney'a! Myślał o niej bardziej jeszcze, niż o własnej swojej córce, bardziej anizeli o nich wszystkich — o tej kobiecie z ciemnymi, rozmarzonymi oczami, z subtelną, łagodną twarzą, czekającej na zmarłego cierpliwie, i w tej chwili może jeszcze oczekującej go w słońcu.

Wyszedł zgnębiony ze szpitala do domu ojca, myśląc o tem, że ta śmierć rozbija życie rodzinne Forsytów. Cios prześliznął się w istocie poprzez linję ich obronną i poraził sam miąższ ich pnia. Mogą oni jeszcze dumnie rozkwitać napozór, tak samo jak dawniej, zachowywać dawny splendor w oczach Londynu, pień wszelako obumarł, rażony tym samym piorunem, który powalił Bosinney'a. A teraz miejsce jego zajmą młode drzewka, z których każde będzie znów stało na straży poczucia własności.

Zdrowy las Forsytów! — pomyślał młody Jolyon — najpewniejszy budulec naszego kraju!

Co się tyczy przyczyny tej śmierci, niewątpliwie rodzina jego energicznie odrzuci przypuszczenie samobójstwa, tak dla niej kompromitujące! Przyjmą ją za wynik nieszczęśliwego wypadku, zrządzenie losu. W głębi duszy gotowi nawet byliby dopatrywać się w tem ręki Opatrzności, odpląty bodaj — gdyby Bosinney nie naraził na szwank dwu najbezcenniejszych przedmiotów ich posiadania: kieszeni i ogniska domowego. Mówić też będą o „tym nieszczęśliwym wypadku, jakiemu uległ młody Bosinney“, może jednak nie będą wcale mówili — milczenie będzie właściwsze w tym razie.

On sam, osobiście, uważał opowieść kierowcy omnibusu o wypadku za niezbyt wielkiej wartości, jako świadectwo prawdy. Człowiek, tak do szaleństwa zakochany, nie popełnia samobójstwa z powodu braku pieniędzy; Bosinney nie należał zresztą do gatunku ludzi, przykładających tak wielką wagę do trudności finansowych. Dlatego i on również odrzucał przypuszczenie samobójstwa — zbyt wyraźnie widział przed sobą twarz zmarłego. Zeszedł ze świata w pełnym rozkwicie swojej młodości!... Sama myśl, że przypadek skosił to młode życie w momencie największego napięcia jego uczucia, budziła bezbrzeżną litość w sercu młodego Jolyona.

Nagle stanęła przed jego oczami wizja domu Soamesa, jakim był on w tej chwili, jakim musi, już odtąd pozostać nazawsze. Piorun, uderzając, obnażył i oświetlił iskrą niesamowitego, bezlitosnego swojego światła gołe kości i ziejącą pomiędzy nimi pustkę; ciała, które ją okrywało, nie było już...

W jadalni domu swojego przy Stanhope Gate siedział stary Jolyon sam jeden w chwili, kiedy wszedł jego syn. Dziwnie zbiedzony i zniedołężniały wyglądał w wielkim poręczowym swoim fotelu. Oczy jego, błakające się wzdłuż ścian z ich martwymi naturami oraz arcydziełem: „Holenderskie łodzie rybackie o zachodzie słońca“ zdawały się ogarniać wzrokiem własne jego życie z wszystkimi jego nadziejami, zdobyczami, zwycięstwami.

— O, Jo — zawołał — czy to ty? Powiedziałem o wszystkim biednej małej naszej Junie. Ale na tem nie koniec. Pójdiesz do Soamesów! Możliwe, że to i jej wina, nie mogę jednak myśleć o niej, zamkniętej w tym domu, odciętej od wszystkich — samej jednej — dokończył szeptem i, podnosząc do góry chudą, żyłastą swoją dłoń, zacisnął ją z całej siły.

ROZDZIAŁ IX

POWRÓT IRENY

Pozostawiwszy Jamesa i starego Jolyona w trupiarni szpitalnej, wypadł Soames na ulicę i włóczył się po mieście bez celu.

Tragiczna śmierć Bosinney'a przeistoczyła cały splot wydarzeń. Nie miał już poprzedniego uczucia, że każda stracona chwila może być fatalną, ryzykownie też byłoby powiedzieć komukolwiek o ucieczce żony, dopóki nie ukończy się śledztwo.

Dnia tego wstał wczesnie, przed przyjściem listonosza, sam wyjął pierwszą pocztę ze skrzynki i jakkolwiek nie było nic od Ireny, wykorzystał okazję, aby powiedzieć Bilson, że jej pani jest nad morzem i że prawdopodobnie on sam pojedzie tam spędzić z nią koniec tygodnia, od soboty do poniedziałku. Dało mu to czas do działania, czas na przewrócenie kamienia każdego do góry spodem, aby wreszcie ją odnaleźć.

Teraz jednak, kiedy śmierć Bosinney'a uniemożliwiła mu przedsięwzięcie jakichkolwiek kroków — dziwna ta śmierć, o której myśl była przykładaniem rozpalonego żelaza do serca, zdejmowaniem zeń przytłaczającego ciężaru — nie wiedział, czem ma zapelnąć ten dzień. Błąkał się więc tu i owdzie po ulicach, przyglądając się każdej spotkanej twarzy, targany tysiącem niepokojów.

Podczas bezcelowej tej włóczęgi myślał o tym, który ukończył już doczesną swoją wędrówkę i który nigdy już nie będzie nachodził jego domu.

W godzinach popołudniowych rzuciły mu się w oczy pierwsze klepsydry, ogłaszające tożsamość zabitego, kupił też kilka pism, żeby przekonać się co one o tem mówią. Postanowił zatkać im gęby, o ile tylko będzie mógł. Udał się do City i zamknął się na długi czas z Boulterem.

Po drodze do domu, mijając około wpół do piątej stopnie, prowadzące do Jobsona, spotkał się z Georgem Forsytem, który podsunął mu gazetę wieczorną, mówiąc:
— Masz tutaj! Czytałeś już tę wzmiankę o biedaku Piracie?

Soames odpowiedział lodowatym tonem, że czytał.

George wytrzeszczył na niego oczy. Nie lubił nigdy Soamesa, a teraz uważał go za winnego śmierci Bosinney'a. Soames sprawił to — sprawił to swoim sądowym dochodzeniem prawa własności, doprowadził Pirata do tragicznego pędzenia naólep w owo fatalne popołudnie.

— Biednego chłopaka — rozważał — tak rozsadzała zazdrość i chęć pomszczenia się, że myśli o tem wypełniały mu głowę, nie słyszał też świstków omnibusu w owe piekielne popołudnie z zasłaniającą wszystko przeklętą mgłą.

Soames doprowadził go do tego! Wyrok wypisany był wyraźnie w oczach George'a.

— Plotą tu coś o samobójstwie — bąknął wreszcie.
— Niema w tem za dwa grosze sensu.

Soames potrząsnął głową.

— Nieszczęśliwy przypadek — mruknął.

Zmiałwszy gniewnym gestem gazetę, wsunął ją George do kieszeni. Nie mógł jednak powściągnąć się od rzucenia Soamesowi ostatniej zatrutej strzały.

— Hm? Cóż? Wszystko dobrze u ciebie w domu? Małe Soamesiátko w drodze?

Twarz Soamesa pobielala, niczem marmurowe stopnie schodów, wiodących do Jobsona; wargi jego rozchyliły się jakgdyby do warknięcia, nie odwrócił jednak głowy i pomknął bez pamięci naprzód.

Kiedy wreszcie dostał się do domu, otworzywszy kluczem od zatrasku drzwi małego oświetlonego przedpokoju, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy,

była żonina parasolka z pozłacaną rączką, leżąca na komodzie. Zerwawszy z głowy kapelusz, wpadł do salonu.

Firanki i rolety pozaciągane już były na noc i jasny ogień z cedrowych polan buzował na kominku. Przy jego świetle dostrzegł Irenę, skuloną w zwykłym jej kąciku na sofie. Zamknął cicho drzwi i podszedł do niej. Nie poruszyła się, nie zdawała się dostrzegać nawet jego obecności.

— Powróciłaś zatem? — rzekł. — Dlaczego siedzisz tu pociemku?

W tej samej chwili wzrok padł na jej twarz, tak bladą i nieporuszoną, że zdawało się, jakgdyby krew przestała krążyć w jej żyłach; oczy jej dziwnie wyolbrzymione, przypominały wielkie, szeroko otwarte, zdrętwiałe oczy sowy.

Wtulona w szarem swoim futrzanem okryciu w poduszki kanapy, dziwnie podobna była do tego ptaka, skulonego w miękkim swoim upierzeniu wpośród drucianego okratowania klatki. Znikła gdzieś giętka, prężna smukłość jej postaci, jakgdyby złamało ją okrutne przeżycie, jakgdyby nie miała już poco być piękną, giętką i smukle sprężoną.

— Powróciłaś zatem? — powtórzył.

Nie podniosła nawet głowy, ani też nie otworzyła ust i tylko iskierki światła kominkowego ślizgały się po nieruchomej jej postaci.

Nagle spróbowała podnieść się, ale Soames nie pozwolił jej; w tej samej dopiero chwili zrozumiał wszystko.

Wróciła jak zwierzę śmiertelnie zranione, nie wiedząc, dokąd się zwrócić, nie zdając sobie sprawy, co robi. Widok jej postaci, spowitej w futrzane okrycie, był aż nadto wymowny.

Wiedział już teraz napewno, że Bosinney był jej kochankiem; wiedział, że wyczytała wiadomość o jego

śmierci — może, podobnie jak on, kupiła gazetę na tym samym, owianym mroźnemi przeciągami, rogu ulicy.

Powróciła więc, z własnej woli, do klatki, z której tak pilno było jej uciec; uświadomając też sobie nagle całą doniosłość tego faktu, pragnął móc zawołać:

— Precz! Zabieraj się z mojego domu z nienawistnem twojem, a tak ukochanem przeze mnie ciałem! Zabieraj się z tą twoją białą jak opłatek, litość budzącą, taką okrutną i taką słodką zarazem twarzą! Precz z nią, zanim jej nie zmiażdżę! Precz z moich oczu! Obym cię nigdy już więcej nie oglądał!

I przy niewypowiedzianych tych słowach wydało mu się, że Irena podnosi się i odchodzi, niby zjawa dręcząca w śnie okrutnym, z którego usiłował się zbudzić — odchodzi w noc mroźną i ciemną, nie spojrzawszy nawet na niego, nie zdając sobie może nawet sprawy z jego obecności.

Jakgdyby w zaprzeczeniu tego, czego nie wypowiedział, wydarł mu się z gardła okrzyk:

— Nie! Zostań tutaj!...

Wykrzyknąwszy te słowa, odwrócił się od niej i usiadł na zwykłym swoim miejscu z drugiej strony kominka.

Siedzieli tak oboje w niemem milczeniu.

W głowie Soamesa kotłowały się myśli: — Dlaczego to wszystko? Z jakiego powodu cierpię tak strasznie? Czem zawiniłem? Niema w tem przecież mojej winy?

I znów spojrzął na nią, skuloną, jak ptak śmiertelnie zraniony, którego biedna pierś gwałtownie podnosi się i opada, w miarę jak uchodzi z niej powietrze, którego biedne oczy patrzą na ciebie, sprawcę strzału śmiertelnego, jaki w nią ugodził, patrzą wolnym, miękkim, zachodzącym już bielmem śmierci wzrokiem, żegnającym wszystko co dobre i piękne — słońce, powietrze i ukochanego towarzysza.

Siedzieli tak przy świetle ognia w milczeniu, każde z innej strony kominka.

Dym z płonących polan cedrowych, które Soames tak lubił, zdawał się chwytać go za gardło aż wreszcie nie mógł dłużej wytrzymać. Wyszedłszy do przedsionka, szeroko otworzył drzwi, aby zaczerpnąć nieco chłodnego powietrza, poczem, bez palta i kapelusza, wyszedł na skwer.

Nawpółzamorzony kot, ocierając się o sztachety ogrodowe, przekradał się ku niemu i Soames na jego widok pomyślał:

— Cierpienie! A kiedy mojemu cierpieniu nastanie kres?

Przy frontowych drzwiach przeciwległego domu stał znajomy jego, niejaki Rutter, ocierający buty z błota i zdający się ruchem tym mówić:

— Jestem tutaj panem.

Soames, nie zatrzymując się, poszedł dalej.

Zdaleka, w przejrzystym powietrzu dzwony kościoła, w którym on i Irena brali ślub, huczały rozedrgane i zagłuszające wszelkie odgłosy ruchu ulicznego. Nagle ogarnęła go gwałtowna chęć upicia się mocnym jakimś napojem, do bezpamięci albo do szalu. Gdybyż mógł wydrzeć się z własnej skóry, z omotującego ją nierozzerwalnie oprzędu, który po raz pierwszy uczuł dookoła siebie. Gdyby mógł żyć się z myślą: — Rozwiedź się z nią! Zapomniała o tobie! Zapomnij ty o niej!

Gdybyż tylko mógł uledez głosowi serca: — Pozwól jej odejść! Dość się nacierpiała!

— Gdyby zdolny był urzeczywistnić gorące pragnienie: — Uczyni z niej twoją niewolnicę — masz ją teraz w twojej mocy!

— Gdybyż tylko potrafił przejąć się nagłym olśnieniem: — Co cię to wszystko obchodzi? — Zapomnieć się na chwilę, zapomnieć, że to co zrobił, ma znaczenie,

zapomnieć, że cokolwiek zrobił, musi to okupić jakąś ofiarą!

Gdybyż tylko mógł działać pod wpływem impulsu!

Nie może zapomnieć o niczem; nie może przejąć się żadnym olśnieniem; nie może uleść żadnemu głosowi serca; nie jest zdolny urzeczywistnić żadnego pragnienia; wszystko to zbyt trudne; zbyt ciasno zwarły się dokoła niego niedające się przełamać pręty klatki.

Na najdalszym krańcu skweru wykrzykiwali roznościelcie gazet nazwy wydań wieczornych, i wrzaskliwe ich obwoływania wpadły skłócone w huczenie kościelnych dzwonów.

Soames zasłonił sobie uszy. Jak błyskawicą przemknęła mu przez głowę myśl, że gdyby nie traf, on sam, a nie Bosinney, leżałby teraz martwy, a ona, zamiast kulić się jak zraniony śmiertelnie ptak z temi jej obumierającymi oczami...

Coś miękkiego dotknęło jego nóg — to kot otarł się o nie puszystym swoim futerkiem. Nagłe łkanie, wstrząsające nim całym, od głowy do stóp, wydarło się z jego piersi. A potem znów wszystko ucichło w mroku nocy, na którego tle zdawały się przyglądać mu domy, każdy z poszczególnym swoim właścicielem i właścicielką, z ukrytymi przed światem dziejami smutków swoich i radości.

I nagle spostrzegł, że drzwi własnego jego domu są otwarte i na progu ich, odcinając się czarną plamą wśród smugi świetlnej z hallu, stoi zwrócony plecami mężczyzna. Coś śliskiego podpełzło pod serce Soamesa. Przekradł się cichaczem i stanął za intruzem.

Dostrzegł własne swoje okrycie futrzane, rzucone w pośpiechu na rzeźbione dębowe krzesło, perski dywan, srebrne czary, rzędy porcelanowych talerzy, zawieszonych na ścianach i nieznanomego, stojącego na progu, człowieka.

— Czego pan tu chce? — zapytał szorstko.

Gość odwrócił się. Był to Jolyon-syn.

— Drzwi były otwarte — rzekł. — Czy mogę zobaczyć się na chwilę z twoją żoną? Mam do niej polecenie.

Soames obrzucił go dziwnie odtrącającem spojrzeniem.

— Żona moja nie przyjmuje nikogo — mruknął ponuro.

— Nie zatrzymam jej dłużej niż chwilę — odparł młody Jolyon tonem łagodnej prośby.

Soames przesunął się obok niego i zatarasował mu drogę.

— Nie może widzieć się z nikim — powtórzył.

Wzrok Jolyona sięgnął poprzez Soamesa w głąb hallu. Soames odwrócił się w tę stronę. W głębi, w drzwiach, prowadzących do salonu, stała Irena, z szeroko rozwartymi, żądnie wpatrzonemi oczami, rozchyłonemi wargami i wyciągniętymi dłońmi. Na widok obu mężczyzn zagasło światło, opromieniające jej twarz, ręce opadły wzdłuż sukni; stała jak wykuta z kamienia.

Soames podbiegł, spojrział prosto w oczy gościowi i na to, co w nich dostrzegł, odpowiedział dziwnym, wydzierającym mu się odruchowo z krtani, podobnym do warknięcia, dźwiękiem. Wargi jego skrzywiła zjawa uśmiechu.

— To mój dom — rzekł. — Sam się tu rządę. Powiedziałem już — i mówię raz jeszcze: Nie przyjmujemy nikogo.

I zatrzaskał przed młodym Jolyonem drzwi.

Koniec.



PODRĘCZNIK

Instytut Biblioteczny

Nr. 1719

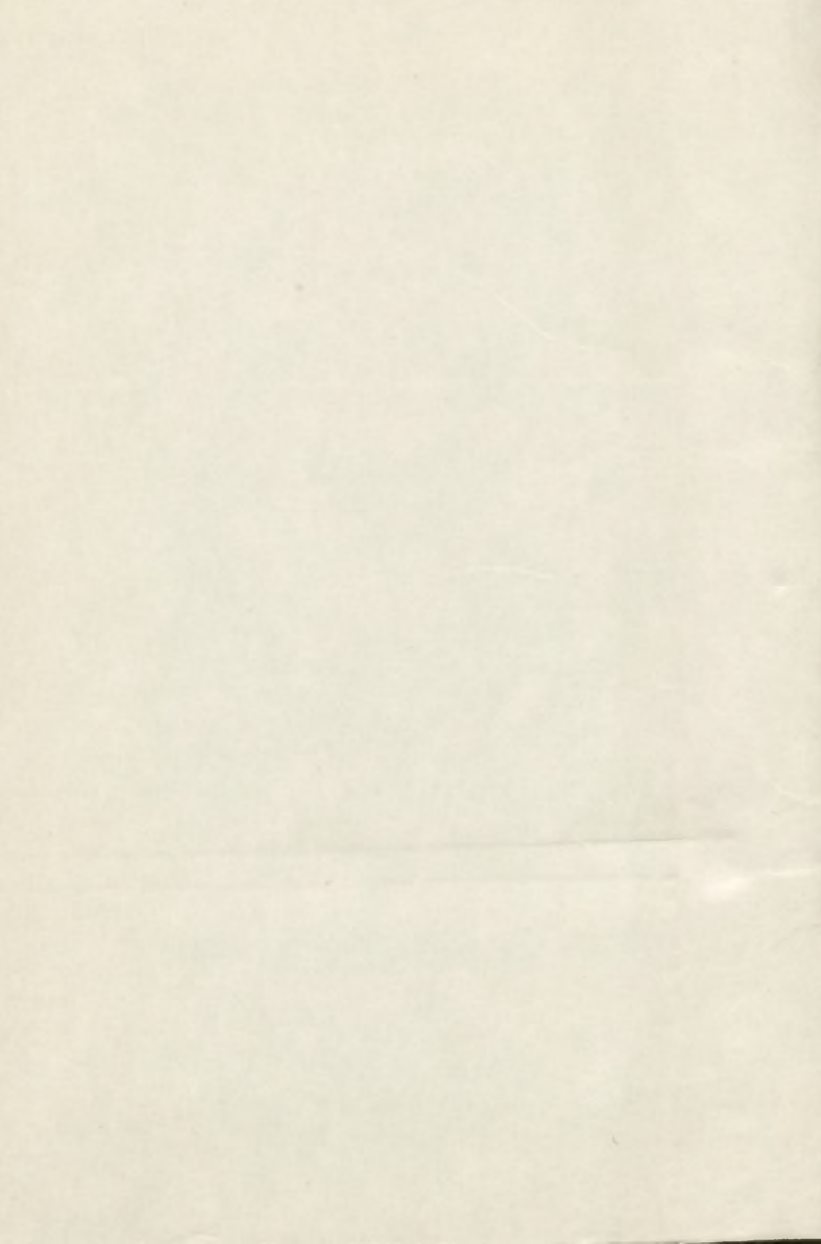


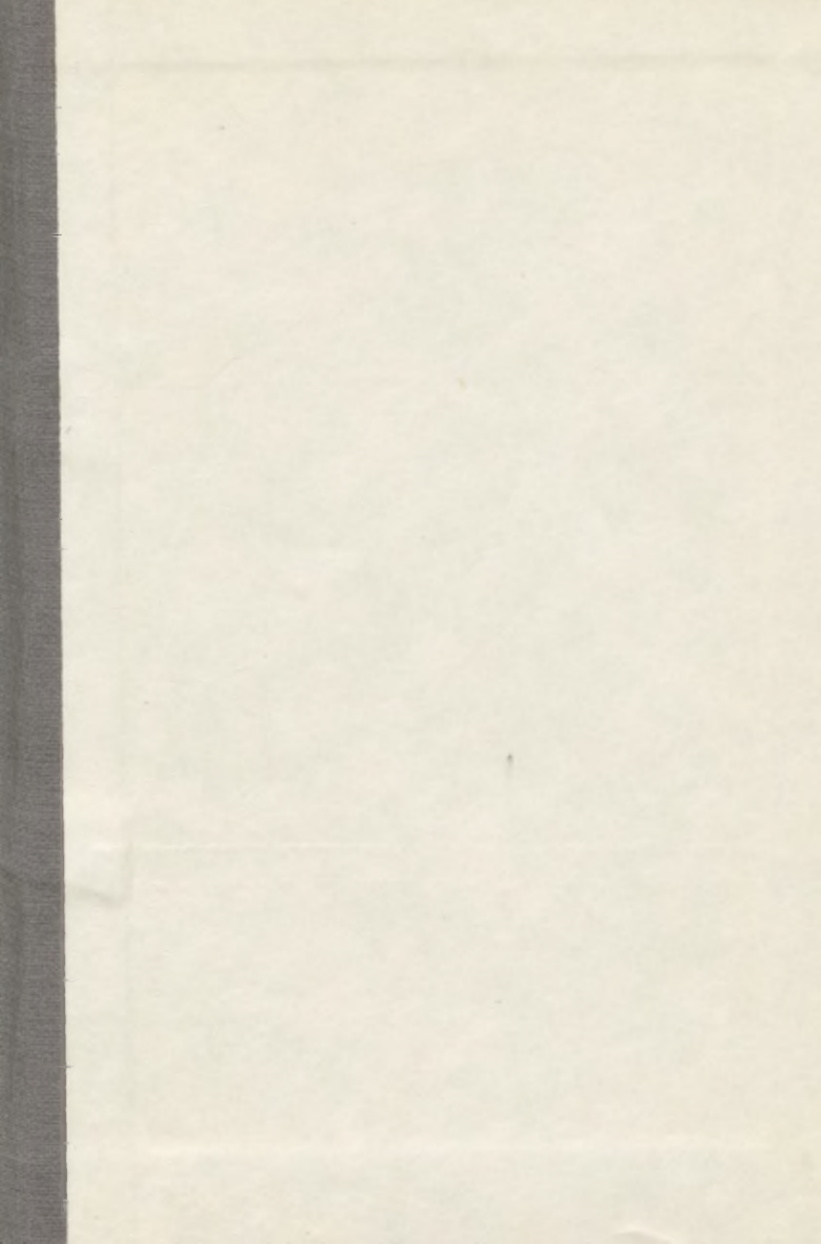
ANULOWANO ANULOWANO

1999

1376

820-3=84





Biblioteka UJK Kielce

UJK



0500587